

HENNING MANKELL

O krok

przełożyła IRENA KOWADŁO -PRZEDMOJSKA

Wydanie I Warszawa 2006

* * *

Wiktorii i Danowi

W przyrodzie istnieje o wiele więcej układów nieuporządkowanych niż uporządkowanych... z drugiej zasady termodynamiki

Uwertura do opery Rigoletto Giuseppe Verdiego

* * *

Prolog

Deszcz przestał padać tuż po piątej.

Mężczyzna przykucnięty obok grubego pnia drzewa ściągał ostrożnie kurtkę. Deszcz nie był ulewny, padał nie dłużej niż pół godziny. A jednak przemokło mu ubranie. Ogarnęła go nagle wściekłość. Nie chciał się przeziebić. Nie teraz, nie w środku lata.

Położył kurtkę na ziemi i wstał. Nogi miał zeszywniałe. Rozglądał się uważnie dokoła, kołysząc się powoli w przód i w tył, żeby pobudzić krążenie.

Wiedział, że ci, na których czeka, nie zjawią się przed ósmą. Tak się umówili. Istniało jednak pewne, choć niewielkie ryzyko, że któryś ze szlaków przecinających rezerwat przyrody będą schodzili inni ludzie.

Jedynie to mogło pokrzyżować mu plany. Jedynie tego nie był pewny.

Mimo to nie odczuwał niepokoju. Była wigilia święta letniego przesilenia*. W rezerwacie nie było kempingów ani placów zabaw. Ci, na których czekał, wybrali to miejsce z rozmysłem. Nie chcieli, by im przeszkadzano.

Dwa tygodnie wcześniej ustalili, gdzie się spotkają. Wówczas już od wielu miesięcy deptał im po piętach. Dzień po tym, jak się umówili, zaczął szukać tego miejsca. Wędrował przez rezerwat, starając się, by nikt go nie dostrzegł. W pewnej chwili

* Święto letniego przesilenia, czyli najkrótszej nocy (noc świętojańska), jest jednym z najważniejszych szwedzkich świąt. Obchodzi się je zawsze po dwudziestym czerwca, z piątku na sobotę. (Przypisy pochodzą od tłumaczki.)

na jednej ze ścieżek pojawiła się para starszych ludzi. Skrył się w pobliskim zagajniku i czekał, aż przejdą.

Odnalazłszy miejsce, które wybrali na nocne oczekiwanie, uznał, że jest wprost wymarzone.

Leżało w zagłębieniu terenu. Otaczały je gęste zarośla. A dalej był niewielki zagajnik.

Doprawdy nie mogli wybrać lepszego miejsca.

I dla siebie, i dla niego.

Niebo przejaśniło się. Wyjrzało słońce i natychmiast zrobiło się cieplej.

Czerwiec był w tym roku chłodny. Wszyscy wokół narzekali na spóźnione lato w Skanii.

Potakiwał.

Zawsze potakiwał.

To jedyny sposób, żeby uniknąć wpadki, myślał. Ominąć każdą przeszkodę na drodze.

Opanował tę sztukę. Sztukę potakiwania.

Spojrzał na niebo. Nie powinno już padać. Wiosna i początek lata były rzeczywiście bardzo chłodne. Teraz jednak, w święto najkrótszej nocy, nareszcie wyrzało słońce.

Będzie piękny wieczór, pomyślał. W dodatku niezapomniany.

W powietrzu unosił się zapach wilgotnej trawy. Gdzieś w pobliżu usłyszał trzepot ptasich skrzydeł. Poniżej, z lewej strony, prześwitywało morze.

Staął w rozkroku i wypluł prymkę, która rozplywała mu się w ustach. Wgniół ją nogą w piach.

Nigdy nie pozostawiał po sobie śladów. Nigdy. Ale często myślał, że powinien rzucić tytoń. To zły nawyk i do niego nie pasuje.

Postanowili spotkać się w Hammar.

Tak było najlepiej, bo jedni jechali z Simrishamnu, a drudzy z Ystadu. Samochody mieli zaparkować w rezerwacie przyrody i dojść do wyznaczonego miejsca.

Właściwie nie była to wspólna decyzja. Przez dłuższy czas rozpatrywali rozmaite warianty, przesyłając sobie kolejne propozycje. Gdy wreszcie ktoś z nich zaproponował to miejsce, przyjęli je bez zastrzeżeń. Być może dlatego, że już nie mieli czasu. Trzeba było jeszcze sporo załatwić. Ktoś zajął się zor-

ganizowaniem prowiantu, ktoś inny pojechał do Kopenhagi wypożyczyć stroje i peruki.

Wszystko zostało drobiazgowo zaplanowane.

Przygotowali się również na złą pogodę.

O drugiej po południu jeden z nich zapakował dużą plastikową płachtę do czerwonego worka. Włożył tam jeszcze rolkę taśmy klejącej i parę starych aluminiowych kołków. Pozostaną na zewnątrz nawet w razie deszczu. Ale będą mieli schronienie.

Wszystko było gotowe. Jednak nikt nie mógł przewidzieć tego, co nastąpiło.

Któreś z nich nagle zachorowało.

Była to młoda kobieta. Być może właśnie ona najbardziej się cieszyła na świętojańską zabawę. Poznała ich wszystkich przeszło rok wcześniej.

Obudziła się wcześniej rano z uczuciem nudności. Z początku myślała, że to ze zdenerwowania. Kilka godzin później, już po dwunastej, przyszła gorączka i torsje. Ciągle jeszcze liczyła, że to minie. Kiedy jednak chłopak, z którym miała jechać, zadzwonił do drzwi, otworzyła na drżących nogach i powiedziała, że jest chora.

Spotkali się więc w Hammar tylko we trójkę, tuż przed wpół do ósmej, w świętojański wieczór. Niespodziewana choroba nie popsowała im nastroju. Wiedzieli z doświadczenia, że w życiu bywa różnie.

Zaparkowali samochody przy wjeździe do rezerwatu, wzięli koszyki i ruszyli jedną z leśnych ścieżek. Komuś zdawało się, że z oddali dochodzą dźwięki akordeonu. Poza tym słychać było tylko ptaki i odległy szum morza.

Gdy dotarli na miejsce, od razu im się spodobało. Tu w spokoju będą mogli doczekać świtu. Niebo było bezchmurne. Zapowiadała się jasna noc.

Wspólne obchody święta zaplanowali na początku lutego. Zwierzali się sobie wówczas z tęsknoty za jasną, letnią nocą. Pili dużo wina, prowadząc długie, żartobliwe dyskusje na temat zmierzchu.

Kiedy zaczyna się moment pomiędzy jasnością a mrokiem, który nazywamy zmierzchem? Czy można go opisać słowami? Co widać, gdy światło jest tak słabe, że znajdujemy się w nieokreślonym „pomiędzy”, w wymykającej się chwili, na skraju z wolna wydłużającego się cienia?

Mieli rozbieżne zdania i kwestia zmierzchu pozostała nierozstrzygnięta. Ale już wtedy, tamtego wieczoru, zaczęli snuć plany zabawy.

Kiedy dotarli do zapadliny i odstawili kosze z prowiantem, rozeszli się w różne strony, by przebrać się w gęstych zaroślach. Wkładali peruki, przeglądając się w kieszonkowych lusterkach wciśniętych między gałęzie drzew.

Nikomu nie przyszło do głowy, że opodal stoi mężczyzna i przygląda się ich skomplikowanym przygotowaniom. Najłatwiej było nałożyć peruki. Trudniej gorsety, poduszki i halki. Na końcu jeszcze fulary, kryzy i grubą warstwę pudru na twarz. Wszystko musiało być naprawdę. Zabawę traktowali serio.

O ósmej wyłonili się z zarośli i popatrzyli na siebie. Byli głęboko poruszeni. Po raz kolejny wymykali się ze swojego czasu i wkraczali w inną epokę.

W epokę Bellmana*.

Podeszli bliżej i parsknęli śmiechem. Ale szybko znów spoważnieli. Rozpostarli duży obrus, z koszy wyjęli wiktuały i włączyli magnetofon z nagraniem Listów Fredmana**.

Zabawa się zaczęła. Gdy nadejdzie zima, będą wspominać ten letni wieczór. Będzie ich wiązała kolejna wspólna tajemnica.

Około północy nadal nie był zdecydowany. Wiedział, że nie musi się śpieszyć. Zostaną tu do rana. Być może nawet prześpią całe przedpołudnie.

Znał ich plany w najdrobniejszych szczegółach. Dawało mu to poczucie olbrzymiej przewagi. Tylko ten, kto ma przewagę, może uniknąć wpadki.

Tuż po jedenastej byli już podchmieleni. Wtedy ostrożnie zmienił pozycję. Gdy po raz pierwszy znalazł się w tym miejscu, wyznaczył sobie punkt obserwacyjny. Były to gęste zarośla na zboczu. Miał stamtąd otwarty widok na wszystko, co

* Carl Mikael Bellman (1740-1795) - szwedzki poeta i kompozytor.

** Listy Fredmana (Fredmans epistlar) - zbiór pieśni Bellmana.

działo się na jasnoniebieskim obrusie. Mógł podejść zupełnie blisko, niezauważony. Od czasu do czasu odchodzili na bok za potrzebą. Widział wszystko, co robili.

Minęła północ. Nadal czekał. Wahał się.

Coś się nie zgadzało.

Miało ich być czworo. Brakowało jednej osoby. Przez myśl przemknęło mu kilka możliwych powodów. Nie znajdował wytłumaczenia. Zaszło coś nieprzewidzianego. Może dziewczyna się rozmyśliła? Może zachorowała?

Słyszał muzykę. Śmiech. Chwilami wyobrażał sobie, że siedzi na dole przy jasnoniebieskim obrusie z kieliszkiem w ręku. Później zmierzy perukę. A może nawet kostium? Mógł zrobić wszystko, co zechce. Miał nieograniczone możliwości. Nawet gdyby był niewidzialny, jego przewaga nie byłaby większa.

Jeszcze czekał. Śmiech wznosił się i opadał. Gdzieś wysoko ponad głową przeleciał nocny ptak.

Było dziesięć po trzeciej.

Nie chciał już dłużej czekać. Nadszedł czas. Czas, który sam wyznaczył.

Właściwie nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miał na ręku zegarek. Mimo to godziny i minuty nieustannie w nim tykały. Miał w sobie wewnętrzny zegar, który zawsze dobrze chodził.

W dole, wokół jasnoniebieskiego obrusa, było cicho. Leżeli spleceni ramionami, słuchając muzyki. Wiedział, że nie śpią. Pogrążeni głęboko w marzeniach, nie podejrzewali, że jest tuż za nimi.

Wziął do ręki pistolet z tłumikiem, który leżał na złożonej kurtce. Rozejrzał się pośpiesznie.

Potem przemknął się w kierunku pobliskiego drzewa. Był dokładnie za nimi. Przystanął na kilka sekund. Nikt nic nie zauważył. Rzucił ostatnie spojrzenie wokoło. Nikogo w pobliżu.

Byli sami.

Wyszedł zza drzewa i zabił ich kolejno jednym strzałem w czoło. Nic nie mógł poradzić na to, że krew trysnęła na białe peruki.

Wszystko stało się tak szybko, że ledwie zdążył to zarejestrować.

Teraz leżeli przed nim martwi. Ciasno spleceni, jak kilka sekund wcześniej.

Wyłączył magnetofon. Nasłuchiwał. Ptaki świergotały. Znow się rozejrzał. Naturalnie nikogo nie było.

Odłożył pistolet na obrus, na którym przedtem rozłożył serwetkę. Nigdy nie zostawiał śladów.

Potem usiadł. Przyglądał się tym, którzy dopiero co się śmiali, a teraz leżeli martwi.

Idylla dalej trwa, pomyślał. Z tą różnicą, że teraz jest nas czworo. Tak jak było zaplanowane od początku.

Nalał sobie kieliszek czerwonego wina. Z reguły nie pił. Ale teraz nie mógł się powstrzymać.

Potem przymierzył perukę. Spróbował jedzenia. Nie był zbyt głodny. Dochodziło wpół do czwartej, gdy wstał.

Miał jeszcze wiele do zrobienia. W rezerwacie pojawiały się ranne ptaszki. Chociaż było to mało prawdopodobne, ktoś mógł zboczyć z wytyczonej ścieżki i natknąć się na zapadlinę. Nie może zostawić żadnych śladów.

Nie tym razem.

Na końcu, zanim się oddalił, przeszukał torby i ubrania. Znalazł to, czego szukał. Wszyscy mieli przy sobie paszporty. Włożył je do kieszeni kurtki. Później, w ciągu dnia je spali.

Rozejrzał się po raz ostatni. Wyjął z kieszeni mały aparat i zrobił zdjęcie.

Jedno jedyne.

Miał wrażenie, że patrzy na obraz przedstawiający osiemnastowieczny piknik.

Tyle tylko, że obraz był spryskany krwią.

Nadszedł świąteczny poranek. Sobota, dwudziesty drugi czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. Zapowiadał się piękny dzień. W Skanii nareszcie zapanowało lato.

* * *

Część I

1

W środę, siódmego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku Kurt Wallander omal nie zginął w wypadku samochodowym, na wschód od Ystadu. Zdarzyło się to wcześniej rano, wkrótce po szóstej. Właśnie minął Nybrost-rand, kierując się na Ósterlen. Nagle przed jego peugeotem wyrosła spiętrzona masa samochodu ciężarowego. Klakson ciężarówki usłyszał w momencie, gdy gwałtownie skręcał kierownicę.

Chwilę później zjechał na pobocze. Dopiero wtedy ogarnął go strach. Serce tłukło mu się w piersiach. Miał mdłości i zawroty głowy. Zdawało mu się, że za chwilę zemdleje. Kurczowo zaciskał ręce na kierownicy.

Kiedy się uspokoił, powoli dotarło do niego, co się stało.

Zasnął za kierownicą. Wystarczyła sekunda, by jego stary samochód zaczął zjeżdżać na lewy pas jezdni.

W następnej sekundzie by nie żył, zmiażdżony przez ciężarówkę. Na myśl o tym poczuł w sobie pustkę. Pamiętał tylko, jak kilka lat wcześniej, pod Tingsryd, omal nie zderzył się z losiem. Wtedy jednak była mgła i ciemno.

Tym razem po prostu przysnął za kierownicą.

Zmęczenie.

Nie wiedział, skąd ono się bierze. Spadło na niego bez uprzedzenia na początku czerwca, tuż przed urlopem. W tym roku postanowił wziąć urlop wcześniej. Ale cały czerwiec rozpląnął się

w deszczu. Gdy tylko wrócił do pracy, zaraz po świętym Janie, w Skanii zapanowała piękna i ciepła pogoda.

Towarzyszyło mu nieustanne znużenie. Potrafił zasnąć na krześle. Nawet po dobrze przespanej nocy musiał się rano zmuszać do wstania z łóżka. Prowadząc samochód, często zjeżdżał na pobocze, żeby się chwilę zdrzemnąć.

Linda, jego córka, zauważyła to podczas wspólnych wakacji, kiedy przez tydzień jeździli po Gotlandii. Na jedną z ostatnich nocy zatrzymali się w pensjonacie w Burgsvik. Był piękny wieczór. Dzień spędzili na wędrowce po południowym cyplu wyspy. Zanim wrócili na noc do pensjonatu, zjedli obiad w pizzerii.

Pytała go o powód zmęczenia. Widział jej twarz w świetle lampy naftowej. Zarejestrował, że pytanie było dobrze przygotowane. Wykręcał się. Nic mu nie jest. Chyba nic dziwnego, że część urlopu spędza na odsypianiu zaległości. Linda więcej nie pytała. Ale spostrzegł, że mu nie wierzy.

Tak dłużej być nie może, pomyślał. To nie jest zwykłe zmęczenie. Coś jest nie tak. Próbował przywołać inne objawy, świadczące o jakiejś chorobie. Ale poza tym, że budził się nieraz w nocy z powodu kurczu w łapkach, nic nie przychodziło mu do głowy.

Uświadomił sobie, jak bliski był śmierci. Nie może dłużej zwlekać. Dzisiaj zamówi wizytę u lekarza.

Włączył silnik i ruszył. Opuścił boczną szybę. Był już sierpień, ale nadal utrzymywało się letnie ciepło.

Wallander jechał do domu ojca w Lóderupie. Przejeżdżał tą drogą niezliczoną ilość razy. W dalszym ciągu nie potrafił pogodzić się z faktem, że w przesyconej zapachem terpentyny pracowni nie zobaczy już ojca siedzącego przy sztalugach i malującego obrazy z niezmiennie powracającym motywem: pejzaż z głuszcem na pierwszym planie. Albo bez głuszca. Słońce podwieszane na niewidzialnych niciach, tuż nad koronami drzew.

Niedługo miną dwa lata. Dwa lata od dnia, kiedy Gertruda zadzwoniła do komendy w Ystadzie i powiedziała, że ojciec leży martwy na podłodze pracowni. Do dzisiaj zachował w pamięci wyraźne, dręczące wspomnienie faktu, że w drodze do Lóderupu negocjował oczywistą prawdę. Zrozumiał, że musi jej spojrzeć w oczy, kiedy na podwórzu dostrzegł Gertrudę. Wiedział, co go czeka.

Ostatnie dwa lata szybko przeleciały. Odwiedzał Gertrudę, która nadal mieszkała w domu ojca, kiedy tylko mógł. Ale zdecydowanie zbyt rzadko. Minął przeszło rok, gdy wreszcie zabrali się do porządkowania pracowni. Znaleźli trzydzieści dwa skończone i podpisane obrazy. Pewnego grudniowego wieczoru w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, usiadłszy przy stole w kuchni Gertrudy, sporządzili listę osób, którym zamierzali je podarować. Wallander zatrzymał dwa z nich dla siebie. Pierwszy z głuszcem, drugi bez. Linda dostała jeden, tak samo jak Mona, była żona Wallandera. Jego siostra, Kristina, nie chciała ani jednego. Zaskoczyło go to i zasmuciło. Gertruda miała ich dużo i więcej nie chciała. Zostało do oddania jeszcze dwadzieścia osiem obrazów. Wallander, z pewnym wahaniem, wysłał jeden z nich inspektorowi policji kryminalnej w Kristianstad, z którym utrzymywał luźny kontakt. Rozdali już dwadzieścia trzy obrazy i nikt więcej nie przychodził im do głowy. Wszyscy krewni Gertrudy zostali już obdarowani. Pozostało jeszcze pięć płócien.

Wallander zastanawiał się, co robić. Wiedział, że spalić ich nie potrafi.

Właściwie obrazy były własnością Gertrudy. Uważała jednak, że należą się jemu i Kristinie. Nie jej, która tak późno wkroczyła w życie ich ojca.

Wallander minął zjazd na Kasebergę. Za chwilę będzie na miejscu. Myślał o tym, co go czeka. Pewnego majowego wieczoru, przy okazji wizyty u Gertrudy, wybrali się na długi spacer po krętych, wyjeżdżonych traktorem drózkach między polami rzepaku. Powiedziała wtedy, że nie chce dłużej mieszkać w tym domu. Czowała się zbyt samotna.

- Wolę się wyprowadzić, zanim zaczniesz tu straszyć - powiedziała.

W pewnym sensie ją rozumiał. Sam chyba reagowałby podobnie.

Podczas spaceru poprosiła go o pomoc w sprzedaży domu. Nie ma pośpiechu, można poczekać do końca lata. Ale chciałyby się wyprowadzić przed jesienią. W okolicach Ryngø miała siostrę, która świeżo owdowiała. Postanowiła się tam przeprowadzić.

Nadszedł umówiony dzień. Tej środy Wallander wziął wolne. O dziewiątej mieli się spotkać z pośrednikiem z Ystadu i wspólnie ustalić cenę domu. Przedtem chcieli przejrzeć z Gertrudą ostatnie kartony z rzeczami ojca. Tydzień wcześniej wszystko spakowali. Martinsson, kolega z pracy, przyjechał z przyczepą i zrobili kilka kursów na wysypisko śmieci za Hedeskogå. Myślał z narastającym uczuciem przykrości, że wszystko, co pozostaje po człowieku, nieuchronnie trafia na śmietnik.

Po ojcu, oprócz wspomnień, zostało trochę starych zdjęć, pięć obrazów oraz kilka pudeł starych listów i dokumentów. Nic więcej. Życie zostało zaksięgowane i podliczone.

Wallander zjechał na drogę prowadzącą do domu ojca.

Zauważył Gertrudę na podwórzu. Zawsze wcześniej wstawiała.

Przywitała się z nim. Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że nosi tę samą suknię, co w dniu ślubu z ojcem. Ścisnęło go w gardle. Dla Gertrudy był to szczególny dzień. Na zawsze opuszczała swój dom.

Wypili kawę w kuchni. Za otwartymi drzwiami szafek widać było puste półki. Siostra Gertrudy miała przyjechać po nią tego samego dnia. Wallander zatrzymał jeden klucz od domu, drugi miał dać pośrednikowi.

Przejrzeli zawartość dwóch kartonów. Wśród starych listów zaskoczony Wallander znalazł parę dziecięcych butów, które pamiętał z dzieciństwa. Czyżby ojciec przechowywał je przez te wszystkie lata? Wyniósł kartony do samochodu. Już zatrzaskiwał drzwi, kiedy na schodach spostrzegł Gertrudę. Uśmiechała się.

- Zostało pięć obrazów - powiedziała. - Zapomniałeś?

Wallander pokręcił głową. Poszedł w stronę budynku gospodarczego, gdzie ojciec miał pracownię. Drzwi były otwarte, wewnątrz czysto wysprzątane. W powietrzu nadal unosił się zapach terpentyny. Na starej płytce elektrycznej stał garnek, w którym ojciec gotował niezliczone ilości kawy.

Może tu jestem ostatni raz, pomyślał Wallander. Ale w przeciwieństwie do Gertrudy nie wyglądam elegancko. Mam na sobie codzienne, znoszone ubranie. I gdybym nie miał szczęścia, już

bym nie żył. Jak ojciec. Linda musiałaby wywozić na śmietnik to, co po mnie zostało. W moich rzeczach znalazłaby dwa obrazy, jeden z głuszcem na pierwszym planie.

Czuł się nieswojo. Ojciec był ciągle obecny w mrocznej pracowni. O ścianę stały oparte obrazy. Przeniósł je do samochodu. Położył w bagażniku i przykrył kocem. Gertruda nadal stała na schodach.

- Nic więcej nie ma. Wallander kiwnął głową.

- Nic więcej - powiedział. - Nic.

O dziewiątej samochód agenta zjechał na podwórze. Kiedy mężczyzna wysiadł z samochodu, zaskoczony Wallander ujrzał znajomą twarz. Był to niejaki Robert Akerblom. Kilka lat wcześniej ktoś brutalnie zamordował jego żonę, a ciało wrzucił do starej studni. Dochodzenie w tej sprawie Wallander wspominał jako jedno z najtrudniejszych i najbardziej przykrych w swojej karierze. Zmarszczył czoło, nieco skonsternowany. Podpisał umowę z jedną z największych agencji nieruchomości w Szwecji. Biuro Akerbloma nie pracowało dla niej. O ile w ogóle jeszcze istniało. Jeśli dobrze pamiętał, chodziły słuchy, że zamknął je wkrótce po zabójstwie Louise Akerblom.

Wyszedł na schody. Robert Akerblom nic się nie zmienił. Wallander pamiętał, jak podczas ich pierwszego spotkania płakał u niego w biurze. Uważał wtedy, że Akerblom jest mężczyzną, którego powierzchowności nigdy nie zapamięta. Jego niepokój i ból po śmierci żony był

szczerzy. Wallander przypominał sobie, że on i żona byli bodajże członkami Kościoła metodystów.

Podali sobie ręce.

- Znów się spotykamy - powiedział Robert Akerblom.

Nawet głos zabrzmiał znajomo. Wallander poczuł się zakłopotany. Nie wiedział, jak się zachować. Ale Akerblom odezwał się pierwszy.

- Oplakuję ją dzisiaj nie mniej niż wtedy - powiedział po woli. - Ale jeszcze trudniej jest dziewczynkom.

Wallander przypomniał sobie ich dwie córeczki. Były wtedy zupełnie małe. A jednak coś rozumiały.

- Musi wam być ciężko - odparł. Obawiał się, że powtórzy się to, co kiedyś. Akerblom się rozpląca. Ale nie.

- Staralem się dalej prowadzić biuro. Ale nie byłem w stanie. Jeden z konkurentów zaproponował mi posadę i przyjąłem ją. Nigdy tego nie żałowałem. Skończyło się wieczorne ślęczenie nad rachunkowością. Mogłem więcej czasu poświęcić córkom.

Gertruda wyszła na podwórze. Razem obeszlili dom. Robert Akerblom notował, zrobił kilka zdjęć. Potem usiedli w kuchni napić się kawy. Cena, którą Akerblom zaproponował, z początku wydawała się Wallanderowi zbyt niska. Po chwili zdał sobie sprawę, że była trzy razy wyższa od ceny, którą niegdyś zapłacił ojciec.

Tuż po wpół do jedenastej Robert Akerblom odjechał. Wallander uznał, że powinien zostać, dopóki po Gertrudę nie przyjedzie siostra. Odgadła jego myśli. Uspokoila go, że może ją bez obawy zostawić samą.

- Jest piękny dzień - dodała. - Nareszcie prawdziwe lato.

Pod sam koniec. Posiedzę sobie w ogrodzie.

- Zostanę, jeżeli chcesz. Mam dzisiaj wolne.

Gertruda pokręciła głową.

- Odwiedź mnie w Ryngie - powiedziała. - Ale dopiero za parę tygodni. Muszę się najpierw urządzić.

Wallander wsiadł do samochodu i odjechał w kierunku Ystadu. Miał jechać prosto do domu i zamówić wizytę u lekarza. A później zarezerwować sobie czas w pralni i posprzątać mieszkanie. Nie śpieszył się, wybrał więc dłuższą drogę. Lubił prowadzić.

Błądził myślami, spoglądając na krajobraz. Właśnie mijał Vallebergę, kiedy odezwał się telefon. Dzwonił Martinsson. Wallander zjechał na pobocze.

- Szukałem cię - powiedział Martinsson. - Nikt mnie oczywiście nie poinformował, że masz wolne. A przy okazji: czy wiesz, że twoja automatyczna sekretarka nie działa?

Wallander wiedział, że sekretarka czasami się zacina. Od razu jednak wyczuł, że coś się stało. Od kiedy był policjantem,

zawsze miał ten sam objaw. Ucisk w dołku. Wstrzymał oddech.

- Dzwonię z pokoju Hanssona - ciągnął dalej Martinsson. - Jest u mnie matka Astrid Hillström.

- Czyja?

- Astrid Hillström. Jednej z zaginionych. Wallander zorientował się, o kim mowa.

- Czego chce?

- Jest bardzo wzburzona. Dostała pocztówkę od córki, nadaną w Wiedniu.

Wallander zmarszczył czoło.

- To chyba dobra wiadomość? Że dała znać?

- Matka twierdzi, że to nie ona pisała. Mówi, że to podróbka. I jest oburzona, że nic nie robimy.

- Co mamy robić, skoro nie popełniono przestępstwa? Mamy mnóstwo dowodów na to, że wyjechali z własnej woli.

Nastała chwila milczenia, a potem Wallander znów usłyszał głos Martinssona.

- Nie wiem, co myśleć. Ale mam wrażenie, że coś jest nie tak. Chociaż nie wiem co. Ale coś.

Wallander wyostrzył uwagę. Z biegiem lat nauczył się poważnie traktować intuicję Martinssona. Często się okazywało, że miał rację.

- Chcesz, żebym przyjechał?

- Nie. Ale uważam, że ty, ja i Svedberg musimy to jutro przedyskutować.

- Powiedz, o której.

- Może o ósmej? Przekażę Svedbergowi.

Skończyli rozmowę. Wallander dalej siedział w samochodzie. Wodził wzrokiem za pracującym na polu traktorem.

Zastanawiał się nad tym, co powiedział Martinsson. Sam już wielokrotnie spotykał się z matką Astrid Hillström.

Odtworzył w myślach kolejność wydarzeń.

Kilka dni po święcie najkrótszej nocy dostali meldunek o zaginięciu trojga młodych ludzi. Było to tuż po jego powrocie z deszczowego urlopu. Zajął się sprawą wraz z kilkoma kolegami. Od początku był zdania, że nie popełniono przestępstwa. Trzy dni później przyszła zresztą pocztówka z Hamburga. Ze zdjęciem stacji kolejowej. Wallander pamiętał dokładnie jej treść: „Podróżujemy po Europie. Zapewne w połowie sierpnia będziemy z powrotem”.

Dzisiaj jest środa, siódmy sierpnia. Wkrótce więc wrócą do domu. Przyszła jeszcze jedna pocztówka, od Astrid Hillström. Nadana w Wiedniu.

Na pierwszej kartce podpisała się cała trójka. Rodzice rozpoznali podpisy. Tylko matka Astrid Hillström się wahała. Ale tamci ją przekonali.

Wallander spojrzął w boczne lusterko i wyjechał na szosę. Intuicja Martinssona często okazywała się trafna.

Zaparkował na Mariagatan, wniósł na górę kartony i obrazy. Potem usiadł przy telefonie. U lekarza domowego odezwała się automatyczna sekretarka. Był na urlopie do dwunastego sierpnia. Wallander zastanawiał się, czy zaczekać, aż wróci. Nie opuszczała go jednak myśl, że rano cudem uniknął śmierci. Zadzwoił do innego lekarza i zapisał się na następny dzień na jedenastą. Zamówił na wieczór pranie i zabrał się do sprząwania. Ledwie ogarnął sypialnię, poczuł się zmęczony. Salon odkurzył po łebkach i odstawił odkurzacz na miejsce.

Przeniósł kartony i obrazy do pokoju, w którym mieszkała Linda podczas swych sporadycznych odwiedzin. Wypił trzy szklanki wody w kuchni.

To dziwne, że tak często chce mu się pić. Zmęczenie. Pragnienie. Skąd się to bierze?

Była dwunasta. Poczul głód. Jedno spojrzenie do lodówki wystarczyło, żeby stwierdzić, że nie ma sobie wiele do zaoferowania. Włożył kurtkę i wyszedł z domu. Było ciepło. Przeszedł się do centrum.

Przystawał kolejno przed trzema agencjami nieruchomości i przyglądał się wywieszonym na szybie ofertom. Doszedł do wniosku, że cena zaproponowana przez Akerbloma była rozsądna. Za dom w Lóderupie nie mogli dostać więcej niż trzysta tysięcy.

Wstąpił do baru i zjadł hamburgera. Wypił dwie butelki wody mineralnej. Potem wszedł do sklepu z obuwiem, gdzie miał znajomego właściciela, i skorzystał z toalety. Był w rozterce. Powinien wykorzystać wolny dzień na zakupy. Pusta była nie tylko lodówka, ale i spizarka. Nie miał jednak ochoty wracać po samochód i jechać do supermarketu. Ruszył Hamn-gatan, minął tory kolejowe i skręcił w Spanienfararegatan. Kiedy dotarł do przystani, szedł wolno wzdłuż pomostów i przyglądał się przycumowanym łodziom. Usiłował sobie wyobrazić, że żegluje. Nie miał w tej dziedzinie żadnego doświadczenia. Znowu mu się chciało sikać. Skorzystał z

toalety w barze, wypił kolejną butelkę wody mineralnej i usiadł na ławce przy czerwonym baraku morskiej służby ratowniczej.

Ostatnim razem siedział tu w zimie, w wieczór wyjazdu Bajby.

Odwiózł ją na lotnisko Sturup. Było już ciemno, wiał porywisty wiatr i wirujące płatki śniegu tańczyły w świetle reflektorów. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Kiedy znikła za okienkiem kontroli paszportów, wrócił do Ystadu i usiadł na tej ławce. Wiał zimny wiatr. Siedział i marzył. Wiedział, że to już koniec i że więcej jej nie zobaczy. Ich rozstanie było ostateczne.

Przyjechała do Ystadu w grudniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, krótko po śmierci jego ojca. Właśnie zakończył śledztwo, jedno z trudniejszych w swojej policyjnej karierze. Ale już jesienią, po raz pierwszy od wielu lat, zaczął robić plany na przyszłość. Postanowił wyprowadzić się z Mariagatan, przenieść na wieś. Kupić psa. Odwiedził nawet hodowlę labradorów. A najważniejsze, że chciał być z Bajbą. Przyjechała do Ystadu na święta Bożego Narodzenia. Wallander spostrzegł, że Linda i ona natychmiast się polubiły. Na początku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, na kilka dni przed jej powrotem do Rygi, prowadzili poważne rozmowy na temat wspólnej przyszłości. Być może już latem mogłaby na dobre przeprowadzić się do Szwecji. Rozglądali się za domem. Wiele razy jeździli oglądać niewielkie gospodarstwo pod Svenstorpem. Pewnego marcowego dnia, a raczej wieczoru - Wallander już spał - zatelefonowała z Rygi, że się waha. Nie chciała wychodzić za mąż, nie chciała przeprowadzać się do Szwecji. W każdym razie jeszcze nie teraz. Kilka dni później szarpany niepokojem Wallander poleciał do

Rygi. Liczył, że ją przekona. Skończyło się na długiej i ostrej kłótni. Po raz pierwszy się posprzeczała. W rezultacie nie odzywali się do siebie przez ponad miesiąc. Potem Wallander zadzwonił do niej i postanowili, że latem przyjedzie na Łotwę. Spędzili dwa letnie tygodnie nad Zatoką Ryską, w zapuszczonym domu, który odstąpił im kolega Bajby z uniwersytetu. Chodzili na długie spacery po plaży. Wallander, nauczony poprzednim doświadczeniem, ostrożnie czekał, aż sama podejmie temat przyszłości. Kiedy w końcu zaczęła mówić, jej słowa brzmiały ogólnikowo i wymijająco. Nie teraz, jeszcze nie. Dlaczego nie może być tak jak dotychczas? Wallander wrócił do Szwecji przygnębiony i nadal nie wiedział, co będzie dalej. Minęła jesień i ani razu się nie widzieli. Choć snuli plany i roztrząsali rozmaite warianty, do spotkania jednak nie doszło. Wallander stał się podejrzliwy. Czy w Rydze nie pojawił się przypadkiem inny mężczyzna, o którym nie miał pojęcia? Często, powodowany zazdrością, dzwonił do niej w środku nocy. Przynajmniej dwa razy wydawało mu się, że ktoś był w mieszkaniu, choć zapewniała, że to nieprawda.

Na święta Bożego Narodzenia przyjechała do Ystadu. Tym razem Linda spędziła z nimi tylko Wigilię. Potem wybrała się z przyjaciółmi do Szkocji. I wtedy, w kilka dni po Nowym Roku, Bajba wyznała, że nie może sobie wyobrazić życia w Szwecji. Długo się wahała. Ale teraz już jest pewna. Nie chce rezygnować z pracy na uniwersytecie. Co może robić w Szwecji? W Ystadzie? W najlepszym razie zostanie tłumaczem. To wszystko. Wallander bez powodzenia usiłował ją przekonać; wkrótce się poddał. Nie mówili tego otwarcie, ale oboje wiedzieli, że ich związek ma się ku końcowi. Po czterech latach ciągle nie mieli widoków na wspólną przyszłość. Wallander odwiózł ją na Sturup, patrzył, jak znika za stanowiskiem kontroli paszportów, a potem siedział w zimowy wieczór na pokrytej lodem ławce przy budynku ratowniczej służby morskiej. Był przybity, czuł się bardziej opuszczony niż kiedykolwiek. Ale gdzieś w głębi budziło się w nim inne uczucie. Uczucie ulgi. Przynajmniej nie będzie dłużej żył w niepewności.

Z portu wypłynęła motorówka. Wallander wstał. Znów musiał skorzystać z toalety.

Od czasu do czasu rozmawiali ze sobą przez telefon. Później i to się urwało. Od ostatniej rozmowy minęło już ponad pół roku. Któregoś dnia podczas przechadzki w Visby Linda zapytała, czy rozstanie z Bajbą jest ostateczne.

- Tak - odparł. - To już koniec.

Czekała, że powie coś więcej.

- Widocznie tak musiało być - dodał. - Sądzę, że oboje się przed tym broniliśmy. Ale to było nieuniknione.

Wszedł do baru. Skinął głową kelnerce i wszedł do toalety.

Potem udał się spacerem na Mariagatan, wszedł do samochodu i pojechał w kierunku szosy wylotowej na Malmö. Zanim wysiadł przy supermarkecie, w którym zwykle robił zakupy, zrobił listę sprawunków. W sklepie, chodząc z wózkiem między półkami, nie mógł odnaleźć kartki. Nie chciało mu się wracać do samochodu. Była już prawie czwarta, kiedy wstawił zakupy do lodówki i spizarki. Położył się na kanapie, by poczytać gazetę. Prawie natychmiast zasnął. Ocknął się gwałtownie godzinę później.

Miał sen.

Śniło mu się, że jest z ojcem w Rzymie. Był z nimi Ryd-berg. I jacyś mali, karłowaci ludzie, którzy zawzięcie szczypali ich po nogach.

Wallander usiadł na kanapie.

Śnią mi się zmarli, pomyślał. Co to znaczy?

Ojciec nie żyje, a śni mi się prawie co noc. A teraz jeszcze Rydberg. Dawny kolega i przyjaciel. Ten, który nauczył mnie wszystkiego, co dzisiaj umiem. Nie żyje już od pięciu lat.

Wyszedł na balkon. Nadal było ciepło i bezwietrznie. Na horyzoncie zbierały się chmury.

Nagle dotarło do niego z całą bolesną ostrością, jak bardzo jest samotny. Nie miał właściwie żadnych bliskich, z wyjątkiem Lindy, którą rzadko widywał. Przebywał tylko z kolegami z pracy. Ale nie utrzymywał z nimi kontaktów towarzyskich.

Udał się do łazienki i przemył twarz. Spojrzał w lustro. Był opalony. Jednak spod opalenizny prześwitywało zmęczenie. Lewe oko nabiegło krwią. Linia włosów na czole znów się trochę cofnęła.

Stanął na wadze. Parę kilo mniej niż na początku lata. Ale ciągle zbyt dużo. Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę. Dzwoniła Gertruda.

- Chciałam powiedzieć, że już jestem w Ryngie i miałam dobrą podróż.

- Myślałam o tobie - odparł Wallander. - Powinienem być chyba zostać.

- Potrzebowałam trochę pobyć sama ze wspomnieniami. A tu będzie mi dobrze. Lubimy się z siostrą. Zawsze się lubiliśmy.

- Wpadnę do was za tydzień.

Odłożył słuchawkę. Telefon znów się odezwał. Tym razem dzwoniła koleżanka z pracy, Ann-Britt Hóglund.

- Chciałam tylko spytać, jak poszło - powiedziała.

- Z czym?

- Nie byłeś dziś umówiony z agentem?

Wallander przypomniał sobie, że napomknął o tym poprzedniego dnia.

- Wszystko w porządku. Możesz kupić dom za trzysta tysięcy.

- Nawet go nie widziałam - odparła.

- To dziwne uczucie. Stoi pusty. Gertruda się wyprowadziła. Ktoś go kupi. Może na dom letniskowy. Zamieszkają tam inni ludzie. I nic nie będą wiedzieli o moim ojcu.

- W każdym domu straszy - powiedziała. - Oprócz nowo wybudowanych.

- Zapach terpentyny będzie się długo utrzymywał. Kiedy i on zniknie, nic już nie będzie przypominało ludzi, którzy tam kiedyś mieszkali.

- To brzmi smętnie.

- Ale prawdziwie. Do zobaczenia jutro. Dziękuję za telefon.

Wallander poszedł do kuchni napić się wody. Miło ze strony Ann-Britt, że pamiętała. Jemu by nigdy nie przyszło do głowy, żeby zadzwonić w podobnej sytuacji.

Dochodziła już siódma. Usmażył sobie kielbasę z ziemniakami. Jadł przed telewizorem, trzymając talerz na kolanach. Zmieniał kanały, ale nic go nie zainteresowało. Po jedzeniu

wyszedł na balkon z filiżanką kawy. Jak tylko zaszło słońce, ciepło się ulotniło. Wszedł do mieszkania.

Resztę wieczoru spędził na przeglądaniu rzeczy, które przywiózł ze sobą z Lóderupu.

Na dnie jednego z kartonów leżała brązowa koperta. Otworzył ją i ujrzał kilka starych, wyblakłych fotografii. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek je widział. Na jednej z nich - miał może cztery lub pięć lat - siedział na masce dużego, amerykańskiego auta. Obok stał ojciec, podtrzymując go, by nie spadł.

Wallander poszedł do kuchni i wyjął szkło powiększające z kuchennej szuflady.

Uśmiechamy się, pomyślał. Patrzę prosto w obiektyw i bije ze mnie duma. Obwoźny handlarz obrazów, który za psie pieniądze kupował obrazy ojca, pozwolił mi usiąść na masce swojego wozu. Ojciec też się uśmiecha. Ale patrzy na mnie.

Długo siedział, wpatrując się w zdjęcie. Przywoływało ono dawno zamkniętą na cztery spusty, niedostępną rzeczywistość. Niegdyś, dawno temu, miał z ojcem dobre stosunki. Wszystko się zmieniło, kiedy postanowił zostać policjantem. W ostatnich latach życia ojca starali się odnaleźć uczucie dawnej bliskości.

Nie udało nam się cofnąć tak daleko, pomyślał Wallander. Do uśmiechu, z którym siedzę na masce błyszczącego buicka. Zbliżyliśmy się do siebie w Rzymie. Ale nie do końca.

Wallander przymocował pinezką zdjęcie na kuchennych drzwiach. Potem ponownie wyszedł na balkon. Chmury podpływały bliżej. Usiadł przed telewizorem i obejrzał końcówkę starego filmu.

Położył się około północy.

Nazajutrz ma się spotkać ze Svedbergiem i Martinssonem. Potem wizyta u lekarza.

Długo leżał w ciemności i nie mógł zasnąć.

Dwa lata wcześniej marzył o przeprowadzce z Mariagatan. Miał kupić psa. I żyć z Bajbą.

Nic z tego nie wyszło. Nie ma Bajby, domu ani psa. Wszystko jest po staremu.

Musi się coś wydarzyć, pomyślał. Coś, co da mi siłę i nadzieję na przyszłość.

Było po trzeciej, kiedy wreszcie zasnął.

2

Wczesnym rankiem chmury się rozproszyły.

Wallander obudził się już o szóstej. Znowu śnił mu się ojciec. W podświadomości przemykały urywane i chaotyczne obrazy. Był dorosłym i dzieckiem w jednej osobie. Nie mógł się w tym doszukać żadnego sensu. Sen przypominał niewyraźne kontury statku w oparach gęstej mgły.

Wziął prysznic i napił się kawy. Na ulicy poczuł letnie ciepło. Wyjątkowo nie było wiatru.

Wsiadł do auta i pojechał do komendy. Jak zwykle przed siódmą, korytarze świeciły pustką.

Nalał sobie kawy i poszedł do pokoju. Spojrzał na stół. Na szczęście tym razem nie był zawalony teczkami. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio miał tak niedużo roboty. Od wielu lat miał wrażenie, że ilość pracy rośnie w tym samym tempie, w jakim maleją nakłady na policję.

Dochodzenia dreptały w miejscu albo je odfajkowywano. W wielu przypadkach, gdy wstępne postępowanie świadczyło o popełnieniu przestępstwa, nie podejmowano dalszych kroków.

Wallander był zdania, że tak być nie musi. Gdyby tylko mieli więcej czasu. I więcej ludzi.

Niektórzy uważali, że przestępstwo się opłaca. Jeżeli tak było rzeczywiście, nie wiadomo, jak i kiedy do tego doszło. Jednak już dość dawno stwierdzono, że przestępczość w Szwecji się zakorzenia. Ci, którzy popełniali wyrafinowane przekręty finansowe, żyli jakby w strefie ochronnej. W tej dziedzinie państwo prawa najwyraźniej skapitulowało.

Wallander często poruszał ten temat z kolegami z pracy. Wiedział, że z niepokojem oczekiwali przyszłości. Gertruda też o tym mówiła. Jak również sąsiedzi spotykani w pralni.

Zdawał sobie sprawę, że ich niepokój jest uzasadniony. Nic jednak nie zapowiadało radykalnych zmian. Przeciwnie, na sądy i policję przeznaczano coraz mniej środków.

Wallander zdjął kurtkę i stanął w otwartym oknie; patrzył na starą wieżę ciśniń. W ciągu ostatnich lat w Szwecji zaczęły się tworzyć różne grupy samoobrony. Gwardia Obywatelska. On od dawna się tego obawiał. Kiedy oficjalny wymiar sprawiedliwości przestaje funkcjonować, dochodzi do głosu

prawo linchu. Ludzie sami zaczynają wymierzać sprawiedliwość i uważają to za naturalne.

Stał w oknie i zastanawiał się, jaka ilość nielegalnej broni krąży po kraju. Myślał o tym, co będzie za parę lat.

Usiadł za biurkiem. Przewertował kilka dokumentów z poprzedniego dnia. Pierwszy dotyczył koordynacji ogólnokrajowych działań w związku ze wzrastającą liczbą fałszywych kart płatniczych. Wallander przejrzał pobieżnie informację o fabrykach produkujących fałszywe karty, odkrytych w paru azjatyckich krajach.

Drugi dokument był końcową oceną projektu rozpoczętego w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku i zakończonego latem. Dotyczył stosowania pieprzowego sprayu. Lokalna policja mogła w pewnych okolicznościach dostarczać spray kobietom, które czuły się zagrożone. Po dwukrotnym przeczytaniu tekstu Wallander nadal nie był pewien wyników podjętej akcji. Wzruszył ramionami i włożył papiery do kosza na śmieci. Drzwi pokoju były uchylone - słyszał głosy w korytarzu. Śmiech kobiety. Uśmiechnął się. To szefowa, Lisa Hol-gersson. Przed kilku laty przyszła na miejsce Bjórka. Wielu kolegów Wallandera nieufnie przyjęło obecność kobiety w ścisłym kierownictwie. Ale Wallander bardzo szybko nabrał dla niej szacunku. I żywił go do tej pory.

Było wpół do ósmej. Zadzwoił telefon. Odezwała się Ebba z recepcji.

- Jak poszło? - spytała.

Wallander domyślił się, że miała na myśli poprzedni dzień.

- Dom jeszcze niesprzedany. Ale wszystko jest na dobrej drodze.

- Chciałam zapytać, czy możesz przyjąć wizytę studyjną o wpół do jedenastej - ciągnęła.

- Wizytę studyjną? Latem?

- To grupa emerytowanych oficerów marynarki. Raz do roku, w sierpniu, zjeżdżają do Skanii. Mają jakieś stowarzyszenie. Nazywa się „Wilki Morskie”.

Wallander przypomniał sobie wizytę u lekarza.

- Musisz poprosić kogoś innego - odparł. - Między wpół do jedenastej a dwunastą mnie nie będzie.

- Porozmawiam z Ann-Britt - powiedziała Ebba. - Kto wie, może dawnym oficerom marynarki przyjemnie będzie spotkać się z kobietą.

- Albo i nie - odparł Wallander.

Dochodziła ósma, a on jeszcze nie zabrał się do pracy. Kiwał się na krześle albo wyglądał przez okno. W całym ciele czuł zmęczenie. Niepokoił się, co powie lekarz. Czy zmęczenie i powracające kurcze nie były oznaką jakiejś poważnej choroby?

Wstał i przeszedł do sali zebrania. Martinsson już tam był. Opalony i świeżo ostrzyżony. Wallander pamiętał, jak dwa lata wcześniej chciał rzucić służbę. Ktoś napadł na jego córkę na szkolnym podwórku, bo miała ojca policjanta. Ale został. Dla Wallandera Martinsson - od czasu kiedy jako nowicjusz rozpoczął służbę w komendzie - na zawsze już pozostał najmłodszy. Mimo że teraz należał w Ystadzie do policjantów z najdłuższym stażem. Usiedli i rozmawiali o pogodzie. Było pięć po ósmej.

- Gdzie, do diabła, podziewa się Svedberg? - zapytał Martinsson.

Jego zdziwienie było uzasadnione. Svedberg był znany z punktualności.

- Rozmawiałeś z nim wczoraj?

- Szukałem go, ale już wyszedł. Zostawiłem mu wiadomość na automatycznej sekretarce.

Wallander wskazał na telefon.

- Może zadzwoń jeszcze raz. Martinsson wybrał numer.

- Gdzie się podziewasz? Czekamy na ciebie - powiedział. Odłożył słuchawkę.

- Znowu sekretarka.

- Pewnie jest w drodze - zauważył Wallander. - Może
zaczniemy bez niego.

Martinsson przeglądał stos papierów. Potem podsunął Wallanderowi kartkę pocztową. Było to zdjęcie lotnicze śródmieścia Wiednia.

- Ta kartka leżała we wtorek, szóstego sierpnia w skrzynce rodziny Hillstrómów. Jak widzisz, Astrid Hillstróm pisze, że mają zamiar zostać trochę dłużej, niż planowali. Wszystko jest w porządku. Pozdrawiają. Astrid prosi matkę, żeby zadzwoniła do pozostałych rodziców i przekazała im, że czują się dobrze.

Wallander przeczytał kartkę. Litery przypominały pismo Lindy, były zaokrąglone.

Odłożył pocztówkę.

- Więc Eva Hillstróm tu była?

- Wpadła jak burza do mojego pokoju. Wiemy, że jest nerwowa, mieliśmy z nią wcześniej do czynienia. Ale tym razem było znacznie gorzej. Ona się po prostu boi. Jest pewna, że ma rację - odpowiedział Martinsson.

- Rację?

- Że coś się stało i że kartki nie pisała jej córka.

- Chodzi jej o charakter pisma? O podpis? - spytał Wallander po namyśle.

- Pismo wygląda na jej, ale matka twierdzi, że łatwo je podrobić, tak samo jak podpis.

Zgadzam się z nią.

Wallander wziął do ręki notes i pióro. Podrobienie pisma i podpisu Astrid Hillstróm zajęło mu niespełna minutę. Odsunął notes.

- Eva Hillstróm martwi się o córkę i zwraca się do nas. To zrozumiałe. Skoro nie charakter pisma lub podpis są przyczyną jej niepokoju, to w takim razie co?

- Nie potrafiła powiedzieć.

- Zadałeś jej takie pytanie?

- Czy chodzi o dobór słów? Sposób formułowania zdań? Pytałem o wszystko. Nie umie powiedzieć. A jednak jest przekonana, że kartki nie napisała córka.

Wallander skrzywił się i pokręcił głową.

- Coś musi być na rzeczy.

Spojrzeli na siebie.

- Pamiętasz, co mówiłeś wczoraj? - powiedział Wallander.

- Że sam zaczynasz się niepokoić.

Martinsson skinął głową.

- Coś tu się nie zgadza - odrzekł. - Tylko nie wiem co.

- Postaw pytanie inaczej - mówił dalej Wallander. - Załóżmy, że nie udali się w niezaplanowaną podróż. Co mogło

się stać? I kto pisze pocztówki? Wiemy, że zabrali samochody i paszporty. Sprawdziliśmy to.

- Pewnie się myślę - odparł Martinsson. - Może mnie Eva Hillstróm zaraziła niepokojem.

- To normalne, że rodzice martwią się o dzieci - stwierdził Wallander. - Czy wiesz, ile razy zachodziłem w głowę, co Linda wyczynia, kiedy przychodziły pocztówki z najdziwniejszych zakątków świata?

- Co robimy? - zapytał Martinsson.

- Obserwujemy rozwój sytuacji. Wróćmy jeszcze do faktów, może coś przegapiliśmy.

Martinsson omówił wydarzenia. Jak zwykle jasno i precyzyjnie. Przy jakiejś okazji Ann-Britt Hóglund zapytała Wallandera, czy nie sądzi, że Martinsson od niego nauczył się sposobu referowania.

Przebieg wydarzeń był prosty i przejrzysty. Troje młodych ludzi, w wieku od dwudziestu do dwudziestu trzech lat, postanowiło wspólnie obchodzić noc świętojańską. Jeden z nich, Martin

Boge, mieszkał w Simrishamn, dwie pozostałe - Lena Norman i Astrid Hillström - w zachodniej części Ystadu. Przyjaźnili się od dawna i spędzali razem dużo czasu. Byli dziećmi zamożnych rodziców. Lena Norman studiowała na uniwersytecie w Lundzie, pozostała dwójka dorywczo pracowała. Nigdy nie mieli do czynienia z wymiarem sprawiedliwości ani narkotykami. Astrid Hillström i Martin Boge nadal mieszkali w domu; Lena Norman w akademiku w Lundzie. Nikomu nie mówili, gdzie będą spędzać noc świętojańską. Rodzice pytali jedni drugich, rozpytywali się w kręgu ich przyjaciół. Ale nikt nie wiedział. Nie było w tym nic niezwykłego. Często bywali tajemniczy i nie zawsze zdradzali swoje plany. W dniu zniknięcia wyjechali dwoma samochodami: volvo i toyotą. Samochody przepadły, tak samo jak oni, dwudziestego pierwszego czerwca po południu. Od tamtej pory nikt ich nie widział. Pierwsza pocztówka nosiła stempel z Hamburga z datą dwudziestego szóstego czerwca. Donosili, że zamierzają podróżować po Europie. Kilka tygodni później Astrid Hillström przysłała kartkę z Paryża. Byli w drodze na południe. A teraz znów się odezwała. Martinsson umilkł.

- Co właściwie mogło się stać? - zapytał po namyśle Wallander.

- Nie wiem.

- Czy istnieje jakikolwiek powód, by ich zniknięcie uznać za podejrzanę?

- Właściwie nie.

Wallander odchylił się na krześle.

- Jedyne, co mamy, to przecucie Ewy Hillstrom. Niepokój matki.

- Która twierdzi, że kartki nie pisała córka. Wallander skinął głową.

- Uważa, że mamy ich szukać?

- Nie. Ale chce, żebyśmy coś zrobili. To są jej słowa: „Policja musi coś zrobić”.

- Co innego możemy zrobić oprócz przyjęcia zgłoszenia o zaginięciu? Przekazaliśmy już nazwiska do komputerowego rejestru poszukiwanych.

Zamilkli. Była za piętnaście dziewiąta. Spojrzał pytająco na Martinssona.

- Svedberg?

Martinsson podniósł słuchawkę i wybrał numer Svedberga. Po chwili ją odłożył.

- Znowu sekretarka.

Wallander przesunął pocztówkę w stronę Martinssona.

- Chyba nic więcej nie wymyślimy. Mam zamiar sam po rozmawiać z Ewą Hillstrom. Potem zdecydujemy, co dalej. Nie ma powodu wszczynać poszukiwań. W każdym razie nie te raz.

Martinsson zapisał jej numer na kartce papieru.

- Jest rewizorem - powiedział.

- A mąż? Ojciec Astrid?

- Są rozwiedzeni. Zdaje się, że raz tu dzwonił. Zaraz po święcie letniej nocy.

Wallander wstał. Martinsson zgarnął papiery. Wyszli z sali zebrań.

- Może Svedberg zrobił to co ja. Wziął wolny dzień. A my nic nie wiemy.

- On już jest po urlopie - odparł stanowczo Martinsson.

- Wykorzystał go co do dnia.

Wallander spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Skąd wiesz? Svedberg nie jest zbyt rozmowny.

- Pytałem, czy nie chciałby się ze mną zamienić na jeden tydzień. Ale postanowił raz wreszcie wykorzystać cały urlop za jednym zamachem.

- Chyba nigdy wcześniej tego nie robił - stwierdził Wallander.

Rozstali się przed pokojem Martinssona. Wallander poszedł do siebie. Usiadł za biurkiem i zadzwonił pod pierwszy numer. Poznał w słuchawce głos Evy Hillström. Umówili się po południu w komendzie.

- Czy coś się stało? - spytała.

- Nie - odparł Wallander. - Nic. Poza tym, że ja również chciałbym się z panią zobaczyć.

Wallander skończył rozmowę. Właśnie wybierał się po kawę, gdy w drzwiach ukazała się Ann-Britt. Mimo że niedawno wróciła z urlopu, była jak zwykle blada. Przyszło mu na myśl, że bladość odzwierciedla stan jej ducha. Do tej pory nie przyszła do siebie po ciężkim postrzale, którego ofiarą padła dwa lata wcześniej. Fizycznie wróciła do zdrowia, ale Wallander nie był pewien, jak naprawdę się czuje. Nieraz miał uczucie, że cierpi na chroniczny lęk. Wcale go to nie dziwiło. Sam niemal co dzień myślał o tym, jak kiedyś dostał nożem. A minęło już ponad dwadzieścia lat.

- Przeszkadzam?

Wallander wskazał ręką na fotel dla interesantów. Usiadła.

- Widziałaś może Svedberga? - spytał.

Pokręciła głową.

- Mielіśmy się z nim spotkać. Martinsson i ja. Ale się nie zjawił.

- On przecież nie opuszcza żadnego zebrania?

- Otóż to. Ale nie przyszedł.

- Dzwoniliście do niego do domu? Może jest chory?

- Martinsson wielokrotnie nagrywał się na automatyczną sekretarkę. Zresztą Svedberg nigdy nie choruje.

Przez chwilę zastanawiali się w milczeniu, gdzie Svedberg mógł się podziać.

- Chciałaś czegoś ode mnie? - zapytał po chwili.

- Pamiętasz szajkę, która przemycała samochody do krajów wschodniej Europy?

- Jak mógłbym zapomnieć? Ślęczałem nad tym paskudztwem przez dwa lata, dopóki jej nie rozbiliśmy i nie zamknęliśmy przywódców. W każdym razie tych w Szwecji.

- Wygląda na to, że znów zaczęli działać.

- Przywódcy przecież siedzą?

- Pewnie znaleźli się inni, którzy skorzystali z okazji i zajęli ich miejsce. Tym razem baza nie znajduje się w Göteborgu. Ślady prowadzą między innymi do Lycksele.

Wallander był zaskoczony.

- To przecież, do diabła, w Laponii?

- Przy dzisiejszej komunikacji, gdziekolwiek jesteś, znajdujesz się w samym środku Szwecji.

Wallander pokręcił głową. Wiedział jednak, że Ann-Britt ma rację. Zorganizowana przestępczość bardzo szybko przyswaja sobie nowoczesną technologię.

- Nie mam siły zaczynać od początku - powiedział. - Nie chcę już słyszeć o przemycie samochodów.

- Zajmę się tym. Lisa mnie prosiła. Domyśla się, że masz już dosyć zaginionych aut.

Chciałabym tylko, żebyś mi zreferował sprawę. I przy okazji dał kilka dobrych rad.

Umówili się na następny dzień, a potem poszli do stołówki na kawę. Usiedli przy otwartym oknie.

- Jak było na urlopie? - spytał.

W jej oczach nagle załśniły łzy. Wallander chciał coś powiedzieć, ale powstrzymała go ruchem ręki. Po chwili się opanowała.

- Nie za dobrze. Ale nie chcę o tym mówić.

Wzięła kubek z kawą i szybko się podniosła. Wallander patrzył, jak odchodzi. Siedział, zastanawiając się nad jej reakcją.

Niewiele o sobie wiemy, pomyślał. Oni o mnie, a ja o nich. Pracujemy razem, nieraz przez całe zawodowe życie. Ale co właściwie wiemy o sobie? Nic.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze dużo czasu. Postanowił wyjść z komendy i przejść się na ulicę Kapellgatan, gdzie przyjmował lekarz.

Był niespokojny i przygnębiony.

Lekarz okazał się młody. Wallander był u niego pierwszy raz. Nazywał się Góransson i pochodził z północy Szwecji. Wallander opisał swoje dolegliwości. Zmęczenie, pragnienie, częste oddawanie moczu. Wspomnił również o powtarzających się kurczach.

Zaskoczyła go szybka reakcja lekarza.

- To wskazuje na cukier - powiedział.

- Cukier?

- Tak, to objawy cukrzycy.

Wallander przez moment znieruchomiał. To mu nie przyszło do głowy.

- Odnoszę wrażenie, że pan za dużo waży - oświadczył

lekarz. - Za chwilę się zresztą przekonamy, czy tak jest. Najpierw pana osłucham. Jak z pana ciśnieniem?

Wallander nie wiedział. Zdjął koszulę i położył się na leżance.

Serce miał w porządku, ale ciśnienie za wysokie: sto siedemdziesiąt na sto pięć. Stał na wadze - pokazała dziewięćdziesiąt dwa kilogramy. Lekarz posłał go na badanie moczu i pobranie krwi. Pielęgniarka się uśmiechała. Wallander pomyślał, że przypomina jego siostrę, Kristinę.

Wrócił do lekarza.

- Poziom cukru powinien mieć wysokość od dwu i pół do sześciu i czterech dziesiątych milimola na litr - powiedział Góransson. - U pana jest piętnaście i trzy dziesiąte, czyli o wiele za dużo.

Wallanderowi zrobiło się niedobrze.

- To tłumaczy zmęczenie - kontynuował Góransson. - A także pragnienie, kurcze w łydkach i częste bieganie do toalety.

- Czy jest na to lekarstwo? - zapytał Wallander

- Zaczniemy od zmiany sposobu odżywiania - powiedział Góransson. - No i musimy obniżyć panu ciśnienie. Dużo się pan rusza?

- Nie.

- Trzeba od tego zacząć. Dieta i ruch. Jeśli to nie pomoże, spróbujemy inaczej. Przy takim poziomie cukru wysiada cały organizm.

Cukrzyk, pomyślał przerażony Wallander.

Góransson zauważył jego niepokój. - Doprowadzimy pana do porządku - powiedział. - Od tego się nie umiera. W każdym razie jeszcze nie w tym stadium.

Zrobił mu dodatkowe badania krwi. Miał stosować zaleconą dietę i pokazać się znowu w poniedziałek. Wyszedł od lekarza o wpół do dwunastej. Skierował się na Stary Cmentarz i usiadł na ławce. Nadal jeszcze nie w pełni dotarły do niego słowa lekarza. Odszukał okulary i zaczął czytać opis diety.

O wpół do pierwszej był z powrotem w komendzie. W recepcji czekało na niego kilka wiadomości. Nic bardzo ważnego. W korytarzu minął Hanssona.

- Czy Svedberg się pokazał? - zapytał Wallander.

- A co? Nie ma go?

Wallander nie odpowiedział. Eva Hillström miała przyjść po pierwszej. Zapukał do uchylonych drzwi pokoju Martins-sona. Nikogo nie było. Na biurku leżała cienka teczka z materiałami z porannego zebrania. Wallander wziął ją i poszedł do siebie. Pośpiesznie przerzucił papiery. Przyjrzał się trzem pocztówkom, ale nie mógł się skupić. Przez cały czas myślał o rozmowie z lekarzem.

Ebba zadzwoniła z recepcji, że jest już Eva Hillström. Wallander po nią wyszedł. Grupa zwawych starszych panów właśnie opuszczała budynek. Wallander domyślił się, że to oficerowie marynarki po skończonym zwiedzaniu komendy.

Eva Hillström była wysoka i chuda. Miała czujne spojrzenie. Już przy pierwszym spotkaniu Wallander odniósł wrażenie, że jest lękliwa i zawsze spodziewa się najgorszego. Przywitani się i poszli do pokoju. Po drodze zaproponował jej kawę.

- Nie piję kawy - odparła. - Szkodzi mi na żołądek.

Usiadła na krześle, nie spuszczając z niego oczu. Spodzie wa się wiadomości, pomyślał Wallander. I sądzi, że będzie zła.

Zajął miejsce za biurkiem.

- Wczoraj rozmawiała pani z moim kolegą - zaczął. - Przyniosła pani pocztówkę, która przysła kilka dni temu z Wiednia, podpisaną przez pani córkę, Astrid. Twierdzi pani, że to nie ona pisała. Czy tak?

- Tak.

Odpowiedź brzmiała bardzo stanowczo.

- Według Martinssona, nie potrafi pani wyjaśnić dlaczego.

- Zgadza się, nie potrafię.

Wallander sięgnął po pocztówkę i położył przed nią.

- Powiedziała pani, że pismo i podpis córki łatwo podrobić.

- Może pan spróbować.

- Już to zrobiłem. I zgadzam się z panią. Jej pismo nie jest zbyt trudno podrobić.

- Więc czemu pan pyta?

Wallander chwilę się jej przyglądał. Martinsson miał rację. Była spięta i zżerana niepokojem.

- Zadaję pytania, żeby pewne rzeczy potwierdzić - powie dział. - Czasami to konieczne.

Skinęła niecierpliwie głową.

- Wciąż nie mamy podstaw, aby przypuszczać, że kartki nie pisała Astrid - mówił dalej

Wallander. - Może coś innego wzbudziło pani podejrzenie?

- Nie. Ale wiem, że mam rację.

- Rację?

- Że to nie ona napisała tę kartkę. Ani te, które przyszły wcześniej.

Nagle podniosła się z krzesła i zaczęła krzyżeć. Wallander był całkowicie nieprzygotowany na tak gwałtowną reakcję. Pochyliła się nad stołem i chwyciwszy go za ramiona, potrząsała nim. Nie przestawała krzyżeć.

- Dlaczego policja nic nie robi? Na pewno coś się stało! Wallander uwolnił się z uścisku i poderwał z krzesła.

- Myślę, że powinna się pani opanować - powiedział. Ale Eva Hillström krzyżała nadal.

Wallander zastanawiał

się, co pomyśla przechodzący korytarzem ludzie. Wyszedł zza biurka i mocno chwycił ją za ramiona, siłą posadził na krześle i chwilę przytrzymał. Wybuch minął równie szybko, jak nastąpił. Wallander powoli rozluźnił uścisk. Potem wrócił na swoje miejsce. Eva Hillström wbiła wzrok w ziemię. Wallander czekał. Był do głębi poruszony. W jej reakcjach i niezbitej pewności było coś, co zaczynało mu się udzielać.

- Co się stało, według pani? - zapytał po chwili.

- Nie wiem.

- Nic nie wskazuje na to, że zdarzył się wypadek. Albo cokolwiek innego.

Spojrzała na Wallandera.

- Astrid nieraz wyjeżdżała z przyjaciółmi - mówił dalej. - Może nie na tak długo jak tym razem. Zabrali samochody, paszporty. Wszystko to już raz sprawdziliśmy. Ponadto Astrid i jej

przyjaciele są w wieku, kiedy się idzie za impulsem. Nie planuje się z góry. Sam mam córkę o parę lat starszą od Astrid. Wiem, jak to jest.

- Ja i tak wiem swoje - odparła. - Może często się boję na wyrost, ale tym razem coś jest nie tak.

- Inni nie dzielają pani obaw? Rodzice Martina Boge i Leny Norman?

- Nie rozumiem ich.

- Traktujemy poważnie pani niepokój. To nasz obowiązek. Mogę obiecać, że raz jeszcze rozważymy wszczęcie poszukiwań.

Miał wrażenie, że jego słowa na chwilę ją uspokoiły. Ale po chwili lęk powrócił. Malował się na jej otwartej twarzy.

Wallanderowi było jej żal. Zakończyli rozmowę. Podniosła się. Odprowadził ją do recepcji.

- Przykro mi, że straciłam panowanie nad sobą - powie działa.

- Rozumiem pani niepokój - odrzekł.

Podala mu szybko rękę i wyszła.

Wallander wracał do pokoju. Martinsson wysunął głowę przez drzwi i patrzył na niego z zaciekawieniem.

- Co tam się w środku działo?

- Jest rzeczywiście wystraszona - odpowiedział Wallan

der. - To autentyczny lęk. Musimy jakoś na to zareagować.

Ale nie wiem jak. - Spojrzał w zadumie na Martinssona. -

Chciałbym omówić to jutro w większym składzie. Ze wszystkimi, którzy mają czas. Trzeba podjąć decyzję, czy mamy wszcząć poszukiwania. Coś mnie w tej historii martwi. Martinsson skinął głową.

- Widziałeś Svedberga? - zapytał.

- Jeszcze się nie odezwał?

- Nie. Odpowiada tylko sekretarka. Wallander się skrzywił.

- To do niego niepodobne.

- Spróbuję jeszcze raz - obiecał Martinsson. Wallander poszedł do swojego pokoju. Zamknął drzwi

i zadzwonił do Ebby.

- Nie łącz mnie z nikim przez najbliższe pół godziny. Czy Svedberg się przypadkiem nie odzywał?

- Nie. A miał się odezwać?

- Tak tylko pytam.

Wallander oparł nogi na stole. Był zmęczony i miał sucho w ustach. Po chwili powziął decyzję. Włożył kurtkę i opuścił pokój.

- Wychodzę - rzucił do Ebby. - Będę z powrotem za go dzinę lub dwie.

Nadal było ciepło i bezwietrznie. Wallander udał się do miejskiej biblioteki, leżącej na Surbrunnsvagen. Z pewnym trudem odszukał na półkach dział medyczny. Wkrótce znalazł to, czego szukał. Książkę o cukrzycy. Usiadł przy stole, wyjął okulary i zaczął czytać. Po półtorej godziny miał już niejaki pojęcie o chorobie. Zrozumiał również, że sam jest sobie winien. Sposób odżywiania, brak ruchu i ustawiczne próby odchudzania, po których na nowo przybierał na wadze - wszystko się teraz mści.

Odstawił książkę na półkę. Ogarnęło go uczucie porażki i pogardy dla samego siebie. Tak dłużej być nie może, musi zmienić tryb życia.

Było wpół do piątej, kiedy powrócił do komendy. Na stole leżała kartka od Martinssona. Nie udało mu się skontaktować ze Svedbergiem. Wallander przejrzał raz jeszcze raport o zaginięciu

młodych ludzi. Uważnie obejrzał pocztówki. Znowu powróciło uczucie, że coś mu umknęło. Czego nie zauważył?

Czuł wzrastający niepokój. Wydawało mu się, że Eva Hillstrom ciągle siedzi na krześle dla interesantów.

Nagle zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. To bardzo proste. Ona wie, że nie jej córka pisała tę kartkę. Nie ma znaczenia skąd. Wie i już. I to powinno wystarczyć.

Wallander wstał i podszedł do okna.

Młodym ludziom coś się przytrafiło.

Pytanie tylko, co.

3

Tego wieczoru Wallander postanowił rozpocząć nowe życie, przynajmniej w ograniczonym zakresie. Na kolację zjadł tylko chudy bulion i sałatę. Tak przejął się tym, żeby nic niewłaściwego nie wylądowało na talerzu, że kiedy przypomniał sobie o zamówionym na wieczór praniu, było już za późno.

Pocieszał się myślą, że nowa sytuacja ma swoje dobre strony. Zbyt wysoki poziom cukru we krwi nie jest przecież wyrokiem śmierci. Otrzymał jednak ostrzeżenie. Skoro chce nadal normalnie żyć, w jego życiu muszą nastąpić pewne zmiany. Niezbyt wielkie, niemniej dość zasadnicze. Po jedzeniu czuł się równie głodny jak przedtem. Zjadł jeszcze jednego pomidora. Później siedział przy kuchennym stole, usiłując ułożyć zestaw posiłków na najbliższe dni, na podstawie otrzymanej diety. Od jutra będzie chodził na piechotę do komendy, a w soboty i niedziele wyjeżdżał nad morze na długie spacerunki po plaży.

Przypomniał sobie, że chcieli kiedyś z Hanssonem grać w badmintona. Może teraz nadeszła właściwa pora?

Była dziewiąta, kiedy wstał od stołu. Otworzył drzwi i wyszedł na balkon. Wiał lekki wiatr z południa. Ale nadal było ciepło.

Kanikuła.

W dole grupka młodzieży przechodziła ulicą. Wallander podążał za nimi wzrokiem. Nie mógł się skupić nad spisem posiłków i wykresami wagi. Po głowie chodziła mu Eva Hillstrom i jej niepokój. Straciła panowanie nad sobą i chwyciła go za ramiona. W jej oczach malował się strach z powodu zniknięcia córki.

Zdarza się, że rodzice zupełnie nie znają swoich dzieci, pomyślał. Ale bywa również, że jedno z rodziców zna swoje dziecko najlepiej ze wszystkich. Coś mi mówi, że tak jest w przypadku Ewy Hillström i jej córki.

Wszedł z powrotem do mieszkania. Drzwi balkonowe zostawił otwarte.

Nękało go uczucie, że coś przeoczył. Coś, co w jednej chwili ruszyłoby sprawę z miejsca i pozwoliłoby stwierdzić, czy niepokój Ewy Hillström jest uzasadniony.

Poszedł do kuchni nastawić kawę. Podczas gdy grzała się woda, przetarł stół. Zadzwoił telefon. Dzwoniła Linda - z restauracji na Kungsholmen, gdzie pracowała. Zdziwił się. Sądził, że lokal jest czynny tylko w dzień.

- Właściciel wszystko pozmieniał - odparła na jego pytanie. - Zresztą wieczorami więcej zarabiam. Życie jest drogie.

W tle słychać było szmer głosów i brzęk naczyń. Pomyślał, że nie zna aktualnych planów Lindy. Kiedyś chciała zostać tapicerem. Potem zmieniła zdanie i zaczęła próbować sił jako aktorka. Pewnego dnia i to się skończyło.

Odgadywała jego myśli.

- Nie mam zamiaru przez całe życie być kelnerką. Ale okazuje się, że potrafię oszczędzać. Zimą wyruszam w podróż.

- Dokąd?

- Jeszcze nie wiem.

Wallander zrozumiał, że to nie pora na zasadnicze rozmowy. Wspomnił tylko, że Gertruda się wyprowadziła. A dom dziadka jest na sprzedaż.

- Żałuję, że go nie zachowaliśmy - odparła. - I żałuję, że nie mam dosyć pieniędzy, żeby go kupić.

Wallander domyślał się, co Linda czuje. Zawsze miała dobry kontakt z dziadkiem. Zdarzało się nawet, że bywał zazdrosny, widząc ich razem.

- Muszę kończyć. Chciałam tylko zapytać, co słyhać.

- Wszystko w porządku. Byłem dziś u lekarza. Nic mi nie jest.

- Nawet nie mówił, że powinieneś schudnąć?

- Owszem, ale poza tym wszystko w porządku.

- No to trafiłeś na miłego lekarza. A jak twoje zmęczenie? Przejrzała mnie na wylot, pomyślał bezradnie Wallander.

Dlaczego nie powiem, jak jest? Że jestem na dobrej drodze do cukrzycy, może już nawet ją mam? Skąd to uczucie, że cierpię na wstydlivą chorobę?

- Nie jestem zmęczony. Tydzień na Gotlandii był wspaniały.

- Tak. Muszę już kończyć - powtórzyła. Jeśli chcesz do mnie dzwonić wieczorem, zapisz numer.

Zanotował numer w pamięci. Skończyli rozmowę.

Wallander przeszedł z kawą do pokoju i włączył telewizor. Ściszył dźwięk. Numer telefonu, który mu podała, zapisał w rogu gazety.

Pisał niewyraźnie. Nikt poza nim nie umiałby tego odczytać.

W tej samej chwili powróciła myśl, która dręczyła go w ciągu dnia. Odsunął filiżankę z kawą. Spojrzał na zegarek. Było piętnaście po dziewiątej. Zastanawiał się, czy dzwonić do Martinssona, czy poczekać do rana. Wreszcie podjął decyzję. Poszedł z książką telefoniczną do kuchni i usiadł przy stole. Znalazł cztery rodziny Normanów w samym mieście. Wallander pamiętał adres z dokumentów w teczce Martinssona. Lena Norman mieszkała z rodzicami na Karinggatan, na północ od szpitala. Ojciec nazywał się Bertil Norman i miał tytuł „dyrektor”. Był właścicielem firmy dostarczającej grzejniki do prefabrykowanych domów.

Wybrał numer. Odebrała kobieta. Wallander się przedstawił, starając się być bardzo uprzejmy. Nie chciał jej przestraszyć. Wiedział, co oznacza telefon z policji. Szczególnie wieczorem.

- Czy mówię z matką Leny Norman?

- Nazywam się Lillemor Norman.

Wallander pamiętał jej imię.

- Mogłem zaczekać do jutra - ciągnął Wallander. - Ale jest coś, co chciałbym wyjaśnić. Niestety, policja pracuje w nietypowych godzinach.

Nie wydawała się zaniepokojona.

- W czym mogę pomóc? A może wołałby pan porozmawiać z mężem? Mam go zawołać? Odrabia matematykę z bratem Leny.

Wallander się zdziwił. Myślał, że w szkołach już nie zadają lekcji.

- Nie trzeba - powiedział. - Właściwie zależy mi na próbie charakteru pisma Leny. Ma pani w domu jakieś jej listy?

- Przyszły tylko pocztówki. Myślałam, że policja o tym wie.

- Może jakiś inny list. Wcześniejszy.

- Do czego to panu potrzebne?

- To zwykła formalność. Porównujemy charakter pisma. Nic ważnego.

- I w tej nieważnej sprawie policja dzwoni wieczorem?

Eva Hillström się boi, pomyślał Wallander. A Lillemor Norman jest podejrzliwa.

- Może mi pani pomóc?
- Mam wiele listów od Leny.
- Wystarczy jeden. Nawet pół strony.
- Poszukam. Czy ktoś po to przyjedzie?
- Miałem zamiar sam wpaść. Mogę być za dwadzieścia minut.

Wallander powrócił do książki telefonicznej. W Simrisham-nie był tylko jeden Boge. Rewizor. Wallander wybrał numer i czekał z niecierpliwością. Już miał odkładać słuchawkę, kiedy ktoś odebrał.

- Klas Boge.

Głos w słuchawce był młody. Wallander doszedł do wniosku, że to brat Martina Boge. Przedstawił się.

- Czy rodzice są w domu?
- Jestem sam. Poszli na obiad z golfiarzami. Wallander wahał się, czy mówić dalej. Ale chłopiec robił przytomne wrażenie.

- Dostałeś kiedyś list od brata? Który masz do tej pory?
- Nie tego lata.
- Może kiedyś wcześniej? Chłopiec chwilę się zastanowił.
- Mam list z Ameryki, z ubiegłego roku.
- Pisany odręcznie? -Tak.

Wallander się namyślał. Wsiąść w samochód i jechać do Simrishamn, czy zaczekać do następnego dnia?

- Po co panu list mojego brata?
- Chcę tylko spojrzeć na charakter pisma.
- Jeśli to pilne, mogę przefaksować.

Chłopak był bystry. Wallander podał mu numer faksu w komendzie.

- Chciałbym, żebyś poinformował o tym rodziców - powiedział.
- Mam nadzieję, że będę już spał, jak wrócę.
- Może powiesz jutro?
- List od Martina jest do mnie.
- Mimo to lepiej będzie, jak im powiesz - powtórzył cierpliwie Wallander.
- Martin i reszta będą niedługo w domu - stwierdził chłopiec. - Nie rozumiem, dlaczego ta Hillström tak się denerwuje. Codziennie tu wydzwania.

- Twoi rodzice się nie denerwują?
- Myślę, że są zadowoleni, że Martin wyjechał. Szczególnie ojciec.

Zdziwiony Wallander czekał na dalszy ciąg. Ale ten nie nastąpił.

- Dziękuję za pomoc - powiedział.
- To taka zabawa - mówił dalej chłopiec.
- Zabawa?

- Przenoszą się w inne epoki. Przebierają. Bawią się jak dzieci. Chociaż są dorośli.
- Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem - przerwał mu Wallander.
- Odgrywają role. Ale nie w teatrze. W życiu. Może wybrali się do Europy na poszukiwanie czegoś, co nie istnieje.

- Bawili się w ten sposób? Ale w święto letniej nocy je się i tańczy.
- I pije - dodał chłopiec. - Ale jak się przebrać, to jest coś więcej, prawda?
- Często się przebierali?

- Tak. Ale tak naprawdę nic nie wiem. To była tajemnica. Martin niewiele mówił.

Wallander bardziej się domyślał, niż rozumiał, o czym mówi chłopiec.

Spojrzał na zegarek. Lillemor Norman za chwilę będzie na niego czekać.

- Dziękuję za pomoc - zakończył rozmowę. - Nie zapomnij powiedzieć rodzicom, że dzwoniłem. I o co prosiłem.

- Zobaczymy - odparł chłopiec.

Trzy różne reakcje, pomyślał Wallander. Eva Hillström się boi. Lillemor Norman jest nieufna. Rodzice Martina Boge są zadowoleni, że syna nie ma w domu. Brat z kolei woli, gdy w domu nie ma rodziców.

Wziął kurtkę i wyszedł. Przeszedł obok pralni i zapisał się na piątkową listę. Mimo że Karinggatan nie była daleko, wziął samochód. Ruch na świeżym powietrzu musi poczekać. Skręcił w Karinggatan z Bellevuevagen. Zatrzymał się przed białą dwupiętrową willą. Kiedy otworzył furtkę, w drzwiach ukazała się Lillemor Norman. W przeciwieństwie do Evy Hillström była mocno zbudowana. Przywołał w pamięci zdjęcia w teczce Martinssona. Lena Norman była podobna do matki.

W ręku miała białą kopertę.

- Przykro mi, że przeszkadzam - powiedział Wallander.

- Lena usłyszy to i owo od mojego męża, jak wróci do domu. W głowie nam się nie mieści, że można tak przepaść bez słowa.

- Właściwie są już pełnoletni. Ale oczywiście rodzice się martwią.

Wallander wziął list i obiecał, że go zwróci.

Potem pojechał do komendy. Zajrzał do pokoju dyżurnego policjanta. Ten rozmawiał właśnie przez telefon. Pokazał na jeden z faksów. Klas Boge przesłał list od brata. Wallander poszedł do swojego pokoju i zapalił lampę na biurku. Położył obok siebie dwa listy i dwie pocztówki. Skierował na nie światło lampy i włożył okulary.

Martin Borge opisywał mecz rugby. Lena Norman pisała o pensjonacie w południowej Anglii, gdzie nie było ciepłej wody.

Odchylił się na krześle.

Jego rozumowanie było prawidłowe.

Pismo Martina Boge i Leny Norman było nierówne i niewyrobane. Tak samo podpis. Jeśli ktoś chciałby podrobić pismo jednego z nich trojga, wybór był łatwy.

Astrid Hillström.

Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. Starał się rozumować logicznie. Czy to coś oznacza? Właściwie nic. Nie wyjaśnia, dlaczego ktoś miałby pisać fałszywe kartki. Kto zresztą miał dostęp do ich odręcznego pisma? Mimo to nie mógł się pozbyć uczucia niepokoju.

Musimy na serio zabrać się do przejrzenia materiału, pomyślał. Gdyby rzeczywiście coś się stało, to stałoby się już dwa miesiące temu.

Przyniósł sobie kawę. Było piętnaście po dziesiątej. Powtórnie przeczytał raport z przebiegu wydarzeń. Nie znalazł nic, co by go zaskoczyło.

Kilkoro zaprzyjaźnionych młodych ludzi postanowiło razem spędzić noc świętojańską. Potem udali się w podróż. Wysłali do domu pocztówki. To wszystko.

Wallander złożył listy i umieścił je w teczce razem z pocztówkami. Dziś wieczór już nic nie działo. Nazajutrz omówią wszystko z Martinssonem i z pozostałymi współpracownikami i ewentualnie zadecydują o podjęciu poszukiwań.

Wallander zgasił lampę i wyszedł z pokoju. Zauważył światło u Ann-Britt Hóglund. Drzwi były uchylone. Pchnął je ostrożnie, powiększając szparę. Siedziała z opuszczonym wzrokiem. Ale na biurku nie było papierów. Błat był pusty.

Wallander się wahał. Rzadko bywała w komendzie wieczorami, musiała zajmować się dziećmi. Mąż, monter, pracował w terenie i rzadko bywał w domu. Przypomniał sobie jej gwałtowną reakcję w stołówce. A teraz siedziała zapatrzona w pusty blat biurka. Bardzo możliwe, że chciała być sama. Kto wie jednak, czy nie wolałaby z kimś porozmawiać.

Zawsze może mi powiedzieć, żebym sobie poszedł, pomyślał Wallander. To najgorsze, co może mnie spotkać.

Zapukał do drzwi. Zaczekał na odpowiedź i wszedł.

- Widziałem, że się pali. Nie masz zwyczaju przesiadywać tu wieczorami. Chyba że dzieje się coś szczególnego.

Spojrzała na niego w milczeniu.

- Jeśli chcesz być sama, powiedz.

- Nie. Właściwie nie chcę. A co ty tu robisz? Stało się coś?

Wallander opadł na fotel dla interesantów. Czuł się jak ciężkie, nieforemne zwierzę.

- To ta młodzież, co zaginęła w noc świętojańską.

- Coś nowego?

- W zasadzie nie. Wpadła mi do głowy pewna myśl i chciałem ją sprawdzić. Trzeba się będzie temu dokładniej przyjrzeć. Bądź co bądź, Eva Hillström jest poważnie zaniepokojona.

- Co się mogło stać?

- Dobre pytanie.

- Będziemy ich szukać? Wallander rozłożył ramiona.

- Nie wiem. Postanowimy jutro.

W pokoju panował półmrok. Światło lampy padało na podłogę.

- Jak długo już jesteś w policji? - zapytała nagle.

- Długo. Często myślę, że zbyt długo. Ale dotarło do mnie, że jestem w każdym calu policjantem. I pozostanę nim do emerytury.

Długo na niego patrzyła, zanim zadała następne pytanie.

- Jak ty to wytrzymujesz?

- Nie wiem.

- Ale jednak wytrzymujesz?

- Nie zawsze. Dlaczego pytasz?

- Pamiętasz, co powiedziałam w stołówce? Że lato było nieudane. To prawda. Mamy z mężem problemy. Nigdy go nie ma w domu. Nieraz mija tydzień, zanim się do siebie przyzwyczaimy po jego kolejnej nieobecności. A wtedy znowu wyjeżdża. Latem zaczęliśmy rozmawiać o rozwodzie. To nigdy nie jest łatwe. Szczególnie, jak się ma dzieci.

- Wiem - powiedział Wallander.

- Równocześnie zaczęłam się zastanawiać, czym ja się właściwie zajmuję. Biorę rano gazetę do ręki i czytam, że policjanci w Malmö zostali zatrzymani za paserstwo. Włączam telewizję i dowiaduję się, że wysoko postawieni oficerowie policji tkwią po uszy w bagnie zorganizowanej przestępczości. Albo występują jako honorowi goście na ślubnych przyjęciach rozmaitych łajdaków w zagranicznych kurortach. Widzę to i wiem, że jest tego coraz więcej. W końcu zaczynam się zastanawiać, czym się zajmuję. A raczej, czy będę w stanie przez następne trzydzieści lat pracować w policji.

- Wszystko się chwieje i trzeszczy w posadach - stwierdził Wallander. - Już od dawna. Korupcja to nic nowego. Zawsze istnieli nieuczciwi policjanci. Ale teraz ich więcej. I dlatego jest ważne, żeby tacy jak ty się nie załamywali.

- Ary?

- Mnie też to dotyczy.

- Ale jak to wytrzymujesz?

Wallander wyczuł w jej pytaniach agresję. Znał to uczucie. Ile razy siedział ze wzrokiem wbitym w blat biurka, nie potrafiąc znaleźć żadnych okoliczności łagodzących dla swojej pracy?

- Pocieszam się, że beze mnie byłoby jeszcze gorzej - odpowiedział. - Są chwile, kiedy to pomaga. Słaba pociecha, ale to lepsze niż nic.

Pokręciła głową.

- Co się z tym krajem porobiło?

Wallander czekał na dalszy ciąg. Nie doczekał się. Z ulicy dobiegł łoskot przejeżdżającej ciężarówki.

- Pamiętasz brutalny napad wiosną? - zapytał Wallander.

- W Svarte?

Pamiętała.

- Dwaj czternastoletni chłopcy pobili dwunastolatka. Po tem, kiedy już nieprzytomny leżał na ziemi, zaczęli po nim deptać. Tak długo, dopóki go nie zdeptali na śmierć. Nastąpiła przerażająca zmiana. I nigdy przedtem nie dotarła do

mnie z równą ostrością. Ludzie zawsze się bili. Ale bójka się kończyła, kiedy jeden z nich leżał na ziemi pokonany. Można to dowolnie nazwać. Na przykład uczciwą grą. Kiedyś było to oczywiste. Teraz jest inaczej. Ci chłopcy nigdy się tego nie nauczili. Jak gdyby całe pokolenie młodzieży zostało opuszczone przez rodziców. Jak gdyby tumiwizizm stał się podstawową normą postępowania. W policji trzeba nagle zacząć myśleć na nowo. Warunki radykalnie się zmieniły. Nagromadzone wcześniej doświadczenie straciło ważność.

Zamilkł.

- Nie wiem, czego się spodziewałam, kiedy chodziłam do Wyższej Szkoły Policji - powiedziała. - Ale nie tego.

- Tak czy owak, trzeba wytrzymać. Nie wyobrażałaś sobie również, jak myślę, że pewnego dnia mogą cię postrzelić.

- Czasem próbowałam. Podczas ćwiczeń z bronią. Strzelałam, usiłując sobie wyobrazić, że kule trafiają we mnie. Ale bólu wyobrazić sobie nie można. I człowiek nie wierzy, że może i jemu się coś przytrafić.

Z korytarza dochodziły głosy. Policjanci z wieczornej zmiany wymieniali uwagi o jakimś nietrzeźwym kierowcy. Potem znowu zapanowała cisza.

- Jak ty się właściwie czujesz?

- Masz na myśli: od kiedy mnie postrzelono?

Skinął głową.

- Śni mi się to. Śni mi się, że umieram. Albo że kula trafia mnie w głowę. To chyba najgorsze.

- Po czymś takim można już zawsze się bać.

Wstała z krzesła.

- W dniu, kiedy naprawdę zacznę się bać, odejdę z policji. Ale chyba jeszcze nie jestem na tym etapie. Dziękuję ci, że przyszedłeś. Zwykle sama sobie radzę z problemami. Ale dziś wieczór czułam się bezsilna.

- Samo przyznanie się świadczy o sile.

Włożyła kurtkę. Uśmiechnęła się blado. Wallander zastanawiał się, czy się wysypia. Ale nic nie powiedział.

- Porozmawiamy jutro o przemyśle samochodów? - spytała.

- Może po południu? Pamiętaj, że przed południem musimy pogadać o tamtych młodych ludziach.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Wyglądasz na zmartwionego.

- Eva Hillström jest zaniepokojona. Nie mogę tego lekceważyć.

Wyszli razem na ulicę. Nie widział jej samochodu na parkingu. Zaproponował, że podrzuci ją do domu, ale odmówiła.

- Chcę się przejść. Jest tak ciepło. Co za sierpień!

- Kanikuła - powiedział. - Cokolwiek to znaczy.

Pożegnali się. Wallander wszedł do samochodu i pojechał do domu. Wypił filiżankę herbaty i przejrzał gazetę „Ystads Allehanda”. Potem poszedł się położyć. Uchylił okno - w sypialni było ciepło.

Po chwili już spał.

Ze snu wyrwał go przejmujący ból.

Złapał go kurcz w lewej łydce. Postawił nogę na podłodze i napiął mięsień. Ból puścił. Położył się ostrożnie. Bał się, że kurcz powróci. Zegar na nocnym stoliku pokazywał wpół do drugiej.

Znów śnił mu się ojciec. Fragmenty bez związku. Błądzili ulicami nieznanego miasta. Kogoś szukali. Nie wiadomo kogo. Firanka w oknie łagodnie falowała. Myślał o matce Lindy, Monie, która tak długo była jego żoną. Żyła teraz zupełnie innym życiem - z mężem, który grał w golfa i zapewne nie miał podwyższonego poziomu cukru. Myśli wędrowały dalej. Nagle ujrzał siebie idącego z Bajbą po rozległej plaży Skagenu.

Po chwili Bajba znikła.

Gwałtownie oprzytomniał.

Usiadł na łóżku. Myśl przysłała nie wiadomo skąd. Przedarła się przez inne myśli i nagle nim o władnęła. Svedberg.

Nie zawiadomił, że jest chory. To do niego niepodobne. Zresztą nigdy nie chorował. Gdyby coś się stało, dałby znać. Powinien był wcześniej o tym pomyśleć. To, że Svedberg się nie odezwał, może oznaczać tylko jedno: nie był w stanie przekazać wiadomości.

Wallander poczuł lęk. Naturalnie, to tylko wytwór jego fantazji. Co mogło się stać Svedbergowi?

Uczucie lęku jednak nie ustępowało. Wallander znów spojrzął na zegarek. Potem poszedł do kuchni i odszukał numer telefonu Svedberga. Wystukał numer. Po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Wallander odłożył słuchawkę. Teraz był już pewien, że coś się stało. Ubrał się i zszedł do samochodu. Podniósł się wiatr, ale nadal było ciepło. Do Stor-torget dojechał w parę minut. Zaparkował i ruszył w stronę Lilia Norregatan, gdzie mieszkał Svedberg. W oknie paliło się światło. Wallander poczuł ulgę. Ale tylko przez kilka krótkich sekund. Potem niepokój powrócił z jeszcze większą siłą. Dlaczego Svedberg nie odbiera, skoro jest w domu? Wallander pchnął frontowe drzwi. Były zamknięte. Nie znał kodu. Ale w drzwiach była szczelina. Wallander wyciągnął scyzoryk i rozejrzał się naokoło. Potem wsunął najgrubsze ostrze w szparę w drzwiach i pchnął.

Drzwi puściły.

Svedberg mieszkał na samej górze, na trzecim piętrze. Wallander zziął się, wchodząc po schodach. Przyłożył ucho do drzwi. Cisza. Otworzył otwór na listy. Nic. Zadzwoił. Dźwięk dzwonka rozległ się w mieszkaniu.

Po trzecim razie zaczął walić w drzwi.

Zastanawiał się, co dalej. Nie chciał być sam. Sięgnął do kieszeni. Komórka została na stole w kuchni. Zszedł na dół po schodach i wsunął kamień między skrzydła drzwi wejściowych.

Potem poszedł szybkim krokiem do automatów telefonicznych przy Stortorget. Wybrał numer Martinssona.

Martinsson odebrał telefon.

- Przepraszam, że cię budzę - powiedział Wallander. - Ale potrzebuję pomocy.
- Co się dzieje?
- Złapałeś w końcu Svedberga?
- Nie.
- Musiało się coś stać.

Martinsson zamilkł. Dopiero teraz otrzeźwiał ze snu.

- Czekam na ciebie przed domem na Lilia Norregatan - poinformował Wallander.
- Dziesięć minut - odparł Martinsson. - Najwyżej.

Wallander poszedł do samochodu i otworzył bagażnik. Leżało tam kilka narzędzi w brudnej plastikowej torbie. Wyjął gruby łom. Potem wrócił pod dom Svedberga. Dziewięć minut później Martinsson podjechał samochodem. Wallander spostrzegł, że pod marynarką ma górę od pizamy.

- Jak myślisz, co się mogło stać?
- Nie wiem.

Weszli po schodach. Wallander skinął na Martinssona, żeby zadzwonił do drzwi. I tym razem nikt nie otwierał. Spojrzeli na siebie.

- Może ma w biurze zapasowe klucze? Wallander potrząsnął głową.
- To będzie za długo trwało.

Martinsson odsunął się na bok. Wiedział, co nastąpi. Wallander chwycił łom. Po czym wyważył drzwi.

4

Noc dziewiątego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku była jedną z najdłuższych w życiu Wallandera. Kiedy o świcie, na chwiejnych nogach, wyszedł z domu przy Lilia Norregatan, nie mógł pozbyć się uczucia, że tkwi w niepojętym koszmarze.

Lecz wszystko, co zobaczył podczas tej długiej nocy, wydarzyło się naprawdę. Rzeczywistość była porażająca. Jako policjant wiele razy w życiu był świadkiem spustoszeń w miejscu, gdzie rozegrał się brutalny i krwawy dramat. Ale nigdy przedtem osobiście go to nie dotknęło. Kiedy wyważył drzwi do mieszkania Svedberga, nie wiedział, co tam zastanie. Weiskając łom w szparę przy futrynie, obawiał się jednak najgorszego. Przechucie go nie myliło. Bezszelestnie weszli do przedpokoju, jak gdyby wkraczali na terytorium wroga. Martinsson stał tuż za nim. Było ciemno. Tylko z głębi mieszkania dochodziło światło. Przez chwilę stali w całkowitym milczeniu. Wallander słyszał za plecami niespokojny oddech Martinssona. Skierowali się w stronę pokoju dziennego. W drzwiach Wallander cofnął się tak gwałtownie, że wpadł na Martinssona, który właśnie pochylił się do przodu, usiłując coś dojrzeć.

Później Wallander będzie wspominać reakcję Martinssona. Nigdy tego nie zapomni. Martinsson zaczął zawodzić jak dziecko, kiedy ich oczom ukazał się makabryczny widok. Na podłodze leżał Svedberg. Jedną nogę miał przewieszoną przez oparcie przewróconego krzesła. Ciało było dziwnie zdeformowane, jak gdyby bez kręgosłupa.

Wallander znieruchomiał w drzwiach, zastygł z przerażenia. Scena nie pozostawiała żadnych wątpliwości. To Svedberg. Był martwy. Człowiek, z którym od tylu lat razem pracował, leżał bez życia w groteskowej pozie. Przestał istnieć. Już nigdy nie będzie siedział na swoim miejscu przy stole, w sali zebrań, i drapał się w łysinę końcem długopisu.

Svedberg nie miał już łysiny. Pół głowy miał odstrzelone. Trochę dalej leżała dubeltówka. Krew trysnęła na białą ścianę, kilka metrów od leżącego krzesła.

Wallander stał bez ruchu i z walącym sercem wpatrywał się w scenę, która miała na zawsze pozostać mu przed oczami. Svedberg z odstrzeloną głową, przewrócone krzesło i broń leżąca na czerwonym dywanie, przetykanym jasnoniebieskimi paskami.

Przez głowę przemknęła mu absurdalna myśl. Svedberg nie będzie już musiał walczyć z panicznym lękiem przed osami.

- Co się stało? - odezwał się Martinsson. Głos mu się załamywał. Wallander spostrzegł, że Martinsson niemal płacze. On sam daleki był ciągle od tego rodzaju reakcji. Nie potrafił wybuchnąć płaczem w obliczu czegoś, czego nie pojmował. A tego, co miał przed oczami, nie był w stanie pojąć.

Svedberg martwy? To czysty nonsens. Svedberg to czterdziestoparoletni policjant, który jutro jak zwykle będzie siedział na swoim stałym miejscu, na kolejnej naradzie grupy dochodzeniowej. Svedberg ze swoją łysiną, lękiem przed osami. Svedberg, który w każdy piątek zażywał samotnych kąpieli w policyjnej saunie. On nie może tam leżeć. To ktoś inny, ktoś do niego podobny. Wallander instynktownie spojrział na zegarek. Było dziewięć po drugiej. Stali jeszcze kilka minut w drzwiach. Potem wrócili do przedpokoju. Wallander zapalił ścienną lampę. Zobaczył, że Martinsson dygocze. Zastanawiał się, jak sam wygląda.

- Musimy zarządzić pełną mobilizację - powiedział.

W przedpokoju stał telefon. Nie było automatycznej sekretarki. Martinsson skinął głową i już miał podnieść słuchawkę. Wallander go powstrzymał.

- Zaczekaj. Trzeba się zastanowić.

Nad czym właściwie mieli się zastanawiać? Może liczył, że zdarzy się cud? Że Svedberg nagle stanie za nimi i okaże się, że wszystko, co przed chwilą widzieli, nie wydarzyło się naprawdę?

- Pamiętasz domowy telefon Lisy Holgersson? - spytał.

Z doświadczenia wiedział, że Martinsson ma świetną pamięć do numerów i adresów. Obaj mieli równie znakomitą pamięć. Martinsson i Svedberg. Teraz został tylko jeden.

Martinsson, zacinając się, podał numer. Wallander wystukał cyfry.

Lisa Holgersson odebrała po drugim sygnale, musiała mieć telefon przy łóżku.

- Mówi Wallander. Przepraszam, że cię budzę.

Była zupełnie przytomna.

- Musisz tu przyjechać - powiedział. - Jesteśmy z Martinssonem w mieszkaniu Svedberga na Lilia Norregatan. Svedberg nie żyje.

Usłyszał, jak jęknęła.

- Co się stało?

- Nie wiem. Zginął od kuli.

- To straszne. Czy to zabójstwo?

Wallander pomyślał o strzelbie na podłodze.

- Nie wiem - odparł. - Zabójstwo albo samobójstwo. Nie wiem.

- Skontaktowałeś się z Nybergiem?

- Wołałem najpierw zadzwonić do ciebie.

- Już jadę, tylko się ubiorę.

- Przez ten czas złapiemy Nyberga.

Wallander nacisnął palcem widelki. Podał słuchawkę Martinssonowi.

- Nyberg. Zaczynaj od niego.

Do pokoju dziennego wchodziło się z dwóch stron. Podczas gdy Martinsson rozmawiał przez telefon, Wallander przeszedł naokoło, przez kuchnię. Na podłodze leżała szuflada od kuchennej szafki. Drzwiczki narożnej szafki były otwarte. Papiery i kwity leżały rozrzucone po podłodze. Wallander rejestrował wszystko wzrokiem. Słyszał głos Martinssona, który tłumaczył technikowi, co się stało. Wallander szedł dalej. Uważnie stawiał stopy. Wszedł do sypialni Svedberga. Wszystkie trzy szuflady komody były wysunięte, łóżko niezaścielone.

Narzuta zsunęła się na podłogę. Z nieopisanym smutkiem stwierdził, że Svedberg spał w kwiecistej pościeli. Łóżko przypominało letnią łąkę. Przeszedł dalej. Przed salonem znajdował się mały pokój do pracy. Stały w nim regały i biurko. Svedberg lubił porządek. Na jego biurku

w komendzie nigdy nie było najmniejszego zbędnego papierka. A tu, we własnym domu, powyrywane z półek książki i wypatroszone szuflady biurka. Wszędzie poniewierały się papiery.

Wallander doszedł do salonu, tym razem od drugiej strony. Znajdował się teraz bliżej strzelby, a dalej od zniekształconego ciała Svedberga. Stał nieruchomo i patrzył na scenę przed sobą. Na wszystkie zastygłe w bezruchu szczegóły, świadków dramatu, który się tutaj rozegrał. W głowie miał zamęt. Ktoś musiał chyba słyszeć strzał? Lub strzały? Wszystko wskazywało na zabójstwo na tle rabunkowym. Ale czy tak było? Co właściwie się stało?

Martinsson zjawiał się w drzwiach z drugiej strony salonu.

- Są w drodze - powiedział.

Wallander pomału ruszył tą samą drogą z powrotem. Był w kuchni, kiedy nagle usłyszał szczekanie, a potem zirytowany głos Martinssona. Wyszedł szybko do przedpokoju. Na klatce schodowej stał policyjny patrol z owczarkiem, za nim kilka osób w szlafrokach. Funkcjonariusz z psem nazywał się Edmundsson i od niedawna pracował w Ystadzie.

- Dostaliśmy telefon - odezwał się niepewnie na widok

Wallandera. - O włamaniu. Do mieszkania niejakiego Svedberga.

Wallander uświadomił sobie, że Edmundsson nie wie, o jakiego Svedberga chodzi.

- W porządku - powiedział. - Tu się zdarzył wypadek. To mieszkanie inspektora kryminalnego Svedberga.

Edmundsson zbladł.

- Nie miałem pojęcia.

- Skąd miałeś wiedzieć? Wracaj na komendę. Zarządziliśmy pełną mobilizację.

Edmundsson spojrzał na niego pytająco.

- Co się stało?

- Svedberg nie żyje - odparł Wallander. - To wszystko, co na razie wiemy.

Natychmiast pożałował, że cokolwiek powiedział. Sąsiedzi na schodach się przysłuchiwali. Ktoś mógł wpaść na pomysł zawiadomienia prasy. W tej chwili Wallanderowi najmniej zależało na tłoczących się na klatce schodowej dziennikarzach.

Policjant, który zginał w niewyjaśnionych okolicznościach

- taka wiadomość dobrze się sprzedaje.

Edmundsson zszedł z psem po schodach. Wallanderowi przemknęło przez myśl, że nie wie, jak on się wabi.

- Możesz się zająć sąsiadami? - zwrócił się do Martinssona.

- Co jak co, ale powinni byli przynajmniej usłyszeć strzały.

Może od razu udałoby się ustalić godzinę.

- Był więcej niż jeden strzał?

- Nie wiem. Ale ktoś musiał coś słyszeć.

Wallander zauważył, że drzwi naprzeciw mieszkania Svedberga były otwarte.

- Poproś, żeby cię tam wpuścili. Nie chciałbym tu mieć niepotrzebnych ludzi. Na schodach będzie bieżanina.

Martinsson skinął głową. Miał zaczerwienione oczy. Jeszcze dygotał.

- Co się stało, do cholery? - zapytał. Wallander potrząsnął głową.

- Nie wiem.

- Wygląda na włamanie? Wszystko powyrywane, porozrzucane.

Na dole trzasnęły drzwi wejściowe. Słysząc było zbliżające się kroki. Martinsson zaczął kierować zaspanych i zaniepokojonych ludzi do mieszkania naprzeciwko.

Lisa Holgersson szybko wchodziła po schodach.

- Wolałbym cię przygotować na to, co cię czeka - powiedział Wallander.

- Tak źle to wygląda?

- Svedberg został trafiony w głowę. Z dubeltówki. Z bliska.

Skrzywiła się. Widział, jak starała się nad sobą zapanować.

Wallander wszedł z nią do przedpokoju i wskazał na salon. Podeszła do uchylonych drzwi i gwałtownie się cofnęła. Zachwiała się, jakby miała zemdleć. Wallander chwycił ją za ramię i zaprowadził do kuchni. Osunęła się na pomalowane na niebiesko krzesło. Wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami.

- Kto to zrobił?

- Nie wiem.

Wallander zdjął szklankę z suszarki i nalał jej wody.

- Svedberga wczoraj nie było - wyjaśnił. - Nikogo nie zawiadomił.

- To do niego niepodobne - stwierdziła Lisa Holgersson.

- Nawet bardzo. Obudziłem się w nocy z uczuciem, że coś jest nie tak. Przyjechałem tutaj.

- Więc to nie musiało się stać wczoraj wieczorem?

- Nie. Martinsson próbuje się czegoś dowiedzieć od sąsiadów. Powinni byli coś słyszeć. Strzał z dubeltówki jest donośny. Jeżeli nie, to ustaleniem godziny zajmą się eksperci sądowi w Lundzie.

Wallanderowi rozbrzmiewało w głowie echo jego własnych, rzeczowych komentarzy.

Chwyciły go mdłości.

- Wiem, że nie był żonaty. Miał jakąś rodzinę? - spytała

Lisa Holgersson.

Wallander się zastanowił. Wiedział, że matka Svedberga zmarła kilka lat temu. O ojcu nic nie słyszał. Była na pewno jedna krewna, bo poznał ją przed niespełna rokiem, przy okazji jakiegoś śledztwa.

- Miał kuzynkę, Ylvę Brink, położną. Poza nią nie znam nikogo.

Z przedpokoju słyhać było głos Nyberga.

- Posiedzę tu jeszcze kilka minut - powiedziała Lisa Holgersson.

Wallander wyszedł do Nyberga, który właśnie ściągał z nóg gumowce.

- Co się tu, do cholery, dzieje?

Nyberg był zdolnym technikiem kryminalnym. Miał jednak trudny charakter i potrafił być nieznośny. Nie zorientował się jeszcze, że chodzi o kolegę z pracy. Martwego kolegę. Może Martinsson zapomniał mu powiedzieć.

- Wiesz, gdzie jesteś? - zapytał Wallander ostrożnie.

Nyberg spojrzał na niego ze złością.

- Wiem, że wezwano mnie do mieszkania na Lilia Norregatan. Martinsson był jakoś dziwnie rozkojarzony, jak dzwonił.

O co chodzi?

Wallander spojrzał na niego z powagą. Nyberg zauważył jego wzrok i zamarł.

- To Svedberg - powiedział Wallander. - Nie żyje. Wygląda na to, że został zamordowany.

- Kalle? - spytał Nyberg z niedowierzaniem.

Wallander skinął głową i poczuł, jak głos uwiązał mu w gardle. Nyberg był jednym z nielicznych, którzy mówili do Svedberga po imieniu. Miał na imię Karl Evert. Nyberg nazywał go Kalle.

- Leży tam w środku - mówił dalej Wallander. - Zabity strzałem z dubeltówki. Prosto w twarz.

Nyberg skrzywił się.

- Nie muszę ci mówić, jak to wygląda - powiedział Wallander.

- Nie - odparł Nyberg. - Nie musisz.

Nyberg skierował się w głąb mieszkania. On również cofnął się w drzwiach. Wallander odczekał chwilę, dając Nybergowi czas na ogarnięcie sytuacji.

Potem podszedł do niego.

- Mam pytanie. Jak widzisz, strzelba leży przynajmniej dwa metry od ciała. Moje pytanie brzmi: czy mogłaby tam

wylądować, gdyby Svedberg popełnił samobójstwo?

Nyberg chwilę się namyślał. Potem pokręcił głową.

- Nie - powiedział. - To niemożliwe. Gdyby się sam zastrzelił, broń nie poleciałaby tak daleko. To absolutnie wykluczone.

Przez chwilę Wallander poczuł niejasną ulgę. Svedberg się nie zastrzelił.

W przedśionku zaczęli się zbierać jacyś ludzie. Był lekarz i Hansson. Jeden z techników rozpakowywał torbę.

- Proszę o chwilę uwagi - zwrócił się do nich Wallander.

- Tam w środku leży inspektor kryminalny Svedberg. Nie żyje. Został zamordowany. Chcę, żebyście wiedzieli, że to straszny widok. Znaliśmy go. Ubolewamy nad jego śmiercią. Był naszym kolegą i przyjacielem. Jest nam bardzo ciężko.

Zamilkł. Czuł, że powinien powiedzieć coś więcej. Ale nie znajdował słów. Wrócił do kuchni, podczas gdy Nyberg z kolegami zabrali się do roboty. Lisa Holgersson nadal siedziała na krześle.

- Muszę zadzwonić do jego kuzynki - stwierdziła. - Jeżeli to najbliższa rodzina.

- Mogę to zrobić - zaproponował Wallander. - Znam ją.

- Zreferuj mi przebieg wydarzeń. Co się właściwie stało?

- Potrzebuję do tego Martinssona. Pójdę po niego.

Wallander wyszedł na klatkę schodową. Drzwi do sąsiedniego mieszkania były uchylone. Zapukał i wszedł. Martinsson był w salonie z czterema innymi osobami. Jedna z nich była całkowicie ubrana, reszta miała na sobie szlafroki. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Skinął na Martinssona.

- Proszę tymczasem poczekać - powiedział do pozostałych.

Poszli do kuchni. Martinsson był bardzo blady.

- Zaczniemy od początku - powiedział Wallander. - Kto ostatni widział Svedberga? I kiedy?

- Nie wiem, czy byłem ostatni. Ale w środę przed południem mignął mi w stołówce. Około jedenastej.

- Jak wyglądał?

- Niczego nie zauważyłem, więc chyba normalnie.

- Dzwoniłeś do mnie tego dnia po południu. Umówiliśmy się na czwartek rano.

- Bezpośrednio po naszej rozmowie poszedłem do pokoju Svedberga. Nie było go. W recepcji powiedzieli, że już nie wróci.

- O której wyszedł?

- Nie pytałem.

- Co dalej?

- Zadzwoniłem do domu. Odpowiedziała automatyczna sekretarka. Zostawiłem wiadomość o czwartkowym zebraniu. Potem dzwoniłem jeszcze wiele razy, ale nikt się nie zgłaszał.

Wallander przez chwilę się zastanawiał.

- W środę Svedberg wychodzi z komendy. Wszystko jest jak zwykle. W czwartek nie zjawia się w pracy. To się nie

zdarzało. Niezależnie od tego, czy odsłuchiwał wiadomość, czy nie, Svedberg nigdy nie opuszczał pracy bez zawiadomienia.

- Innymi słowy, mogło się to stać już w środę - stwierdziła

Lisa Holgersson

Wallander skinął głową.

Musimy złapać moment, kiedy normalne przechodzi w nienormalne, pomyślał. Przyszła mu do głowy kolejna myśl w związku z uwagą Martinssona na temat jego automatycznej sekretarki.

- Zaczekajcie chwilę - powiedział i wyszedł z kuchni. Wszedł do gabinetu Svedberga. Na stole stała automatyczna sekretarka. Przeszedł do salonu. Nyberg klęczał obok dubeltówki.

Wallander skinął na niego. Zaprowadził go do gabinetu.

- Chciałbym odsłuchiwać wiadomości na sekretarce. Ale boję się zniszczyć ewentualne ślady.

- Możemy cofnąć taśmę do pozycji wyjściowej - zaproponował Nyberg.

Na rękach miał plastikowe rękawiczki. Wallander kiwnął głową. Nyberg wcisnął przycisk odsłuchiwania. Były trzy wiadomości od Martinssona. Za każdym razem, kiedy dzwonił, podawał godzinę. Nic więcej.

- Chciałbym posłuchać, co mówi Svedberg - powiedział

Wallander.

Nyberg wcisnął inny przycisk. Wallander wzdrygnął się na dźwięk głosu Svedberga. Nyberg również poczuł się nieswojo. Nie ma mnie w domu. Proszę zostawić wiadomość. To wszystko.

Wallander wrócił do kuchni.

- Twoje nagrania są na taśmie - poinformował Martinsson

na. - Ale z tego naturalnie nie wynika, że ich wysłuchał.

Zapanowała cisza. Wszyscy zastanawiali się nad słowami Wallandera.

- Co mówią sąsiedzi? - spytał.

- Nikt niczego nie słyszał - odpowiedział Martinsson. - To bardzo dziwne. Nikt nie słyszał żadnego strzału. A niemal wszyscy byli w domu.

Wallander zmarszczył czoło.

- To niemożliwe, żeby nikt niczego nie słyszał.

- Będę ich jeszcze przesłuchiwał.

Martinsson wyszedł. Do kuchni zajrzał policjant.

- Za drzwiami jest jakiś dziennikarz - powiedział.

Niech to szlag, pomyślał Wallander. Ktoś już ich zdążył zawiadomić.

Spojrzał na Lisę Holgersson.

- Najpierw musimy się skontaktować z rodziną - powiedziała.

- Nie da się tego odwlec dłużej niż do jutra w południe - stwierdził Wallander.

Zwrócił się do czekającego policjanta.

- W tej chwili nie mamy nic do powiedzenia. Jutro w komendzie będzie konferencja prasowa.

- O jedenastej - dodała Lisa Holgersson.

Policjant wyszedł. Nyberg wrzasnął w salonie. Potem znów zrobiło się cicho. Nyberg miał usposobienie choleryka. Ale jego wybuchy trwały krótko. Wallander wszedł do gabinetu i podniósł z podłogi książkę telefoniczną. W kuchni, przy stole odszukał numer telefonu Ylvy Brink. Spojrzał pytającym wzrokiem na Lisę Holgersson.

- Zadzwoni ty - odparła.

Wallander uważał, że nie ma nic gorszego niż powiadamianie rodziny, której członek poniósł gwałtowną śmierć. Kiedy tylko mógł, brał ze sobą policyjnego kapelana. Nigdy się do tego nie przyzwyczaił, mimo że wiele razy musiał to robić. Teraz też miał opory, choć Ylva Brink była tylko kuzynką. Z niepokojem słuchał pierwszego sygnału. Czuł, jak sztywnieje.

Po chwili włączyła się automatyczna sekretarka. Ylva miała nocny dyżur na oddziale położniczym.

Wallander odłożył słuchawkę. Przypomniało mu się nagle, jak zaledwie dwa lata temu odwiedził ją ze Svedbergiem w szpitalu.

Teraz Svedberg nie żyje. Ciągłe nie mógł tego pojąć.

- Jest w pracy. Muszę tam pójść.

- Nie możemy czekać - powiedziała Lisa Holgersson. -Svedberg może mieć inną rodzinę, o której nie wiemy. Bliższą niż kuzyni.

Wallander pokiwał głową. Miała rację.

- Chcesz, żebym z tobą poszła? - spytała.

- Nie musisz.

Wallander najchętniej poszedłby z Ann-Britt. W tej samej chwili uświadomił sobie, że do tej pory nikt jej nie zawiadomił. Powinna być tu z nimi.

Lisa Holgersson wstała i wyszła z kuchni. Wallander usiadł na jej miejscu i wybrał numer Ann-Britt. Odezwał się rozespany męski głos.

- Muszę mówić z Ann-Britt. Tu Wallander.

- Kto?

- Kurt. Z policji.

Mężczyzna był nadal rozespany. I na dodatek zły.

- Co jest, do cholery?

- Czy to numer Ann-Britt Hóglund?

- Jedyna baba w tym domu nazywa się Alma Lundin -ryknął mężczyzna i rzucił słuchawkę.

Wallanderem aż wstrząsnęło. To pomyłka. Tym razem wybierał powoli. Ann-Britt odezwała się po drugim sygnale. Równie szybko jak Lisa Holgersson.

- Mówi Kurt.

Nie robiła wrażenia zaspanej. Może zresztą nie spała, z powodu osobistych problemów? Teraz dojdzie jeszcze jeden, pomyślał Wallander.

- Co się stało?

- Svedberg nie żyje. Prawdopodobnie został zamordowany.

- Niemożliwe.

- Niestety tak. U siebie w mieszkaniu. Lilia Norregatan.

- Wiem, gdzie to jest.

- Przyjedziesz?

- Już jadę.

Wallander odłożył słuchawkę i nadal siedział przy stole. Jeden z techników zjawił się w drzwiach kuchni. Wallander zbył go ruchem ręki. Musiał pomyśleć. Niedługo. Potrzebował chociaż minuty dla siebie. I rzeczywiście wystarczyła mu minuta, by dojść do wniosku, że w całej sytuacji kryje się coś dziwnego. Coś, co zupełnie się nie zgadza. Ale nie potrafił powiedzieć co.

Technik znów zajrzał do kuchni.

- Nyberg chce z tobą mówić.

Wallander przeszedł do salonu. Panowała tam posępna atmosfera. Svedberg był ich kolegą. Nie był specjalnie barwną postacią, ale lubiano go. Ktoś go zabił.

Lekarz klęczał przy zwłokach. Od czasu do czasu pokój rozświetlał błysk flesza. Nyberg robił notatki. Podszedł do stojącego w drzwiach Wallandera.

- Czy Svedberg miał broń?

- Masz na myśli dwururkę? -Tak.

- Nie wiem. Ale nie sądzę, żeby polował.

- Byłoby dziwne, gdyby sprawca pozostawił broń. Wallander przytaknął. To była jedna z jego pierwszych myśli.

- Czy uderzyło cię jeszcze coś szczególnego? - zapytał.

Nyberg spojrział spod przymrużonych powiek.

- Wszystko jest szczególne, kiedy jeden z kolegów ma odstrzeloną głowę.

- Wiesz, co mam na myśli.

Wallander nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się i wyszedł. W korytarzu zderzył się z Martinssonem, który kierował się do salonu.

- Jak leci? Mamy jakąś godzinę?

- Nikt niczego nie słyszał. Ale wygląda na to, że od poniedziałku zawsze ktoś był w domu. Przez okragłą dobę. Albo na tym piętrze, albo piętro niżej.

- I nikt niczego nie słyszał? To niemożliwe!

- Piętro niżej mieszka emerytowany nauczyciel szkoły średniej, zdaje się, że nieco przygłuchy. Ale słuch pozostałych nie pozostawia nic do życzenia.

Wallander nie rozumiał. Ktoś musiał słyszeć strzał. Albo strzały.

- Próbuje jeszcze coś z nich wyciągnąć - powiedział. - Muszę jechać do szpitala. Pamiętasz kuzynkę Svedberga, Ylvę Brink? Położną?

Martinsson pamiętał.

- To, zdaje się, najbliższa krewna.

- Czy on nie miał ciotki w Vastergötlandzie?

- Zapytam Ylvę.

Wallander zszedł po schodach. Musiał zaczerpnąć powietrza. Przed bramą czekał reporter, niejaki Wickberg. Wallander go znał. Był z gazety „Ystads Allehanda”.

- Co się tu dzieje? Pełna mobilizacja w środku nocy w mieszkaniu inspektora policji kryminalnej, Karla Everta Svedberga.

- Nie mogę nic powiedzieć - odparł Wallander. - O jedenastej będzie konferencja prasowa w komendzie.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Naprawdę nie mogę.

Dziennikarz pokiwał głową.

- To znaczy, że ktoś nie żyje. Czy tak? Nie możesz nic powieść dzieć, ponieważ musisz poinformować rodzinę? Zgadza się?

- Gdyby tak było, mógłbym zadzwonić.

Wickberg uśmiechnął się z nieukrywaną satysfakcją.

- Tego się nie praktykuje. Zawiadamia się policyjnego kapelana, jeżeli takowy jest. Więc Svedberg nie żyje?

Wallander był zbyt zmęczony, żeby się złościć.

- Nie interesują mnie twoje przypuszczenia - powiedział. - Konferencja prasowa będzie o jedenastej. Wcześniej nie usłyszysz słowa, ani ode mnie, ani od nikogo innego.

- Dokąd idziesz?

- Przewietrzyć się.

Poszedł ulicą Lilia Norregatan. Po przejściu kilku przecznic obejrzał się za siebie. Wickberg nie deptał mu po piętach. Wallander skręcił w prawo, w Sladdergatan, następnie w lewo, w Stora Norregatan. Poczł pragnienie. Chciało mu się sikać. Nic nie jechało. Zatrzymał się pod ścianą budynku i ulżył sobie. Potem ruszył dalej.

Coś jest nie tak, pomyślał. Coś jest nie w porządku z całą tą sprawą.

Nie mógł zrozumieć co, ale uczucie się wzmagalo. Człł ucisk w żołądku. Dlaczego Svedberg został zastrzelony? Co się nie zgadzało w potwornym widoku mężczyzny z odstrzeloną głową?

Dotarł do szpitala. Okrążył budynek i znalazł się przed wejściem do izby przyjęć. Zadzwoił do drzwi, wszedł i wjechał windą na oddział położniczy. Ogarnęło go znajome uczucie.

Znowu siedł ze Svedbergiem na spotkanie z Ylvą Brink. Svedberga jednak nie było. Jakby nigdy nie istniał.

Nagle ujrzał Ylvę przez szklane drzwi. Ich oczy się spotkały. Minęło kilka sekund, zanim go rozpoznała.

Podeszła do drzwi i otworzyła.

W tej samej chwili zrozumiała, że coś się stało.

5

Usiedli w gabinecie na oddziale położniczym. Było dziewięć po trzeciej. Wallander opowiedział jej, co się wydarzyło. Svedberg nie żyje. Zabity jednym lub kilkoma strzałami z dubeltówki. Nie wiedzieli, kto i dlaczego strzelał. Ani kiedy to nastąpiło. Unikał szczegółów dotyczących miejsca zbrodni.

Kiedy skończył mówić, do pokoju weszła pielęgniarka z nocnej zmiany z pytaniem do Ylvy Brink.

- Przyniosłem wiadomość o śmierci kogoś z rodziny - powiedział Wallander. - Może pani zaczekać?

Pielęgniarka zawróciła. Zanim zdążyła wyjść, Wallander poprosił ją o szklanek wody. Miał tak sucho w ustach, że język kleił mu się do podniebienia.

- Jesteśmy wstrząśnięci i zaszokowani - kontynuował Wallander po wyjściu pielęgniarki. - To, co się stało, jest zupełnie niewiarygodne.

Ylva Brink nie odpowiadała. Była bardzo blada, ale wydawała się opanowana. Pielęgniarka wróciła z wodą.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała.

- Nie w tej chwili - odparł Wallander.

Opróżnił szklanek jednym haustem. Był równie spragniony jak przedtem.

- Nie pojmuję tego - powiedziała Ylva. - Nie dociera do mnie.

- Ja też nie. Minie dużo czasu, zanim to do mnie dotrze.

Odszukał pióro w kieszeni kurtki. Jak zwykle nie zabrał z sobą notesu. Obok krzesła stał kosz na śmieci. Wyciągnął zmiętą, porysowaną kartkę, wygładził ją i podłożył gazetę ze stołu.

- Muszę ci zadać kilka pytań - powiedział. - Czy Svedberg miał jakąś rodzinę? Przyznaję, że jesteś jedyną znaną mi krewną.

- Jego rodzice nie żyją. Nie ma rodzeństwa. Oprócz mnie jest jeszcze jeden kuzyn. Ja jestem kuzynką ze strony ojca, on ze strony matki. Nazywa się Sture Björklund.

Wallander notował.

- Mieszka w Ystadzie?

- Na wsi pod Hedeskogą.

- Jest rolnikiem?

- Profesorem uniwersytetu w Kopenhadze.

Wallander był zdziwiony.

- Nie przypominam sobie, żeby Svedberg kiedykolwiek o nim wspominał.

- Prawie nigdy się nie widywali. Spośród krewnych Svedberg utrzymywał kontakty tylko ze mną.

- Mimo to trzeba go zawiadomić - powiedział Wallander. - Sama rozumiesz, że sprawa będzie nagłośniona w prasie. Policjant, który ginie gwałtowną śmiercią.

Rzuciła mu baczne spojrzenie.

- Co znaczy: gwałtowną śmiercią?

- Najprawdopodobniej został zamordowany.

- Cóż innego mogło się stać?
 - To jest moje następne pytanie. Czy mógł popełnić samobójstwo?
 - Każdy chyba może. W pewnych okolicznościach.
 - Chyba tak.
 - Nie widać, czy ktoś został zamordowany, czy popełnił samobójstwo?
 - Zapewne się tego dowiemy, ale niektóre pytania należy zadać rutynowo.
 - Sama nieraz o tym myślałam w ciężkich chwilach - powiedziała po namyśle. - Bóg jeden wie, że mi ich nie brakowało. Ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Karl może to zrobić.
 - Nie miał powodu?
 - Nie sądzę, żeby był nieszczęśliwym człowiekiem.
 - Kiedy ostatnio miałś z nim kontakt?
 - Dzwonił w ubiegłą niedzielę.
 - Jakże sprawiał wrażenie?
 - Normalne.
 - Dlaczego dzwonił?
 - Dzwoniliśmy do siebie raz w tygodniu. Raz on, raz ja. Czasami przychodził na kolację. Czasem ja szłam do niego. Jak może pamiętasz, mój mąż rzadko bywa w domu. Jest kierownikiem technicznym na tankowcu. A dzieci są już dorosłe.
 - Czyżby Svedberg przyrządził kolację?
 - Co w tym dziwnego?
 - Jakoś nigdy nie wyobrażałem go sobie w kuchni.
 - Dobrze gotował. Szczególnie rybę.
- Wallander podjął poprzedni wątek.
- Więc zadzwonił w niedzielę, czwartego sierpnia. I wszystko było jak zawsze.
 - Tak.
 - O czym rozmawialiście?
 - O wszystkim i o niczym. Ale pamiętam, że narzekał na zmęczenie. Mówił, że jest przepracowany.
 - Rzeczywiście tak mówił? - wtrącił zdziwiony Wallander. - Że jest przepracowany?
 - Tak.
 - Przecież dopiero wrócił z urlopu.
- Dobrze pamiętam. Wallander zastanowił się chwilę.
 - Czy wiesz, jak spędził urlop?
- Wiesz chyba, że nie lubił opuszczać Ystadu. Na ogół nie wyjeżdżał. Może na krótko wyskoczył do Polski?
 - Ale co robił na miejscu? Siedział w mieszkaniu?
 - Miał różne zainteresowania.
 - Co takiego?
- Pokiwała głową.
- Myślałam, że wiesz. Miał w życiu dwie wielkie namiętności: obserwowanie gwiazd i studiowanie historii amerykańskich Indian.
 - O Indianach słyszałem. I o tym, że czasami jeździł do Falsterbo obserwować ptaki. Ale gwiazdy to dla mnie nowość.
 - Miał znakomity teleskop.
- Wallander nic takiego sobie nie przypominał.
- Gdzie go trzymał?
 - W gabinecie.
 - Więc w ten sposób spędzał urlop? Obserwując gwiazdy? I czytając o Indianach?

- Tak sędzę. Ale to lato było inne niż zwykle.
- Pod jakim względem?
- Na ogół widywaliśmy się w lecie częściej niż zwykle. Ale w tym roku nie miał czasu. Wielokrotnie odrzucał zaproszenia na obiad.
- Dlaczego?

- Widać nie miał czasu - odpowiedziała z wahaniem. Instynkt mówił Wallanderowi, że jest blisko czegoś ważnego.
- Nie mówił dlaczego?
- Nie.
- Nie dziwiło cię to?
- Niespecjalnie.

- Czy zauważyłaś w nim jakąś zmianę? Może zachowywał się inaczej niż zwykle?
- Był taki jak zawsze. Tylko miał mało czasu.
- Kiedy to zauważyłaś? Kiedy po raz pierwszy to powiedział?
- Tuż po nocy świętojańskiej. Mniej więcej na początku urlopu.

W drzwiach ukazała się pielęgniarka. Ylva Brink wstała.

- Zaraz wrócę - powiedziała, wychodząc.

Wallander wyszedł poszukać toalety. Wypił kolejne dwie szklanki wody i wysikał się. Kiedy wrócił, Ylva była z powrotem w gabinecie.

- Pójdę już - oznajmił. - Wszystkie pozostałe pytania, mogą poczekać.

- Jeśli chcesz, mogę zadzwonić do Sturego - zaproponowała Ylva. - Trzeba zająć się pogrzebem.

- Byłoby dobrze, gdybyś zadzwoniła w ciągu paru godzin - odparł. - Dziś o jedenastej dowie się o tym prasa.

- To wszystko wydaje mi się absolutnie nierealne - powiedziała.

Nagle w jej oczach błysnęły łzy. Wallander czuł, że za chwilę sam się rozplacze. Siedzieli w milczeniu, starając się

zapanować nad uczuciami. Wallander wbił wzrok we wskazówkę sekundnika na ściennym zegarze.

- Mam jeszcze jedno pytanie - dodał po chwili. - Svedberg był kawalerem. Nigdy nie słyszałem o żadnej kobiecie w jego życiu.

- Bo takowej nie było - odparła.

- Nie sądzisz, że to właśnie wydarzyło się latem?

- Że spotkał jakąś kobietę?

- Tak.

- I dlatego był przepracowany?

Wallander dostrzegł absurdalność pytania.

- Muszę pytać - powtórzył. - Inaczej do niczego nie dojdziemy.

Odprowadziła go do szklanych drzwi.

- Musicie złapać tego, który to zrobił - powiedziała, chwytając go mocno za ramię.

- Zabójstwo policjanta to ogromne ryzyko - odparł. - Niepisana gwarancja schwymania zabójcy. Podali sobie ręce.

- Zadzwonię do Sturego - powtórzyła. - Najpóźniej o szóstej.

Stał już w drzwiach, gdy wpadło mu do głowy jeszcze jedno pytanie.

- Nie wiesz, czy przechowywał w domu większą ilość gotówki?

Nie bardzo zrozumiała.

- A skąd miał mieć pieniądze? Zawsze narzekał, że za mało zarabia.
- Tak jak my wszyscy.
- Wiesz, ile zarabia położna?

- Nie.

- Lepiej, żebym ci nie powiedziała. Mogłoby się okazać, że ktoś zarabia jeszcze mniej od was. Wallander wyszedł ze szpitala i wziął głęboki oddech. Ptaki świergotały, dochodziła czwarta rano. Wiał lekki wiatr. Nadal było ciepło. Wracał powoli ulicą Stora Norregatan. Męczyła go pewna myśl.

Dlaczego Svedberg był przepracowany? Przecież dopiero wrócił z urlopu. Czy ma to jakiś związek z zabójstwem?

Przystanął na wąskim trotuarze. Cofnął się w myślach do chwili, kiedy stojąc w drzwiach salonu, oglądał ślady zniszczenia. Za nim stał Martinsson. Widział martwego mężczyznę i strzelbę. Od razu odniósł wrażenie, że coś jest nie tak.

Może teraz potrafi to uchwycić. Wyteżył pamięć, lecz bez powodzenia.

Muszę być cierpliwy, pomyślał. Zresztą jestem zmęczony. Noc była długa. I jeszcze się nie skończyła.

Ruszył dalej. Zastanawiał się, czy zdąży się przespać i zajrzeć do przepisanej diety. Znow przystanął. Przyszło mu nagle do głowy pytanie, co będzie, jeśli nagle umrze, jak Svedberg? Komu będzie go brakowało? Co ludzie będą mówić? Że był dobrym policjantem, po którym zostało puste krzesło w sali zebrania? Komu właściwie będzie go brakowało jako człowieka? Ann-Britt Hóglund, może Martinssonowi?

Nisko nad jego głową przeleciał gołąb.

Nic o sobie nawzajem nie wiemy, pomyślał. Z ręką na sercu - co ja wiedziałem o Svedbergu? Czy mi go w ogóle brakuje? Czy można oplakiwać kogoś, kogo się nie znało?

Ruszył dalej, wiedząc, że te i podobne pytania będą go nadal dręczyły.

Wszedł do mieszkania Svedberga i znow znalazł się w środku koszmaru. Znikło późne lato i świergot ptaków. Wewnątrz, w ostrym świetle lamp, panowała niepodzielnie śmierć. Lisa Holgersson wyszła do komendy. Wszedł do kuchni z Ann-Britt Hóglund i Martinssonem. Już miał ich zapytać, czy nie widzieli Svedberga, na szczęście zdążył się powstrzymać. Usiedli przy kuchennym stole. Mieli szare twarze. Był ciekaw, jak sam wygląda.

- Jak leci? - spytał.

- Czy to może być coś innego niż zabójstwo na tle rabunkowym? - powiedziała Ann-Britt.

- Może być wiele rzeczy - odparł Wallander. - Zemsta, szaleniec, dwóch szaleńców, trzech szaleńców. Nie wiadomo. Tak długo, jak nie wiadomo, musimy polegać na tym, co widzimy.

- Jest jeszcze coś - dodał powoli Martinsson.

Wallander skinął głową. Wiedział, co Martinsson chce powiedzieć.

- Fakt, że Svedberg był policjantem.

- Czy znaleźliście jakieś ślady? - zapytał Wallander. - Jak sobie radzi Nyberg? Co mówi lekarz?

Mieli notatki. Pierwsza wyciągnęła je Ann-Britt.

- Strzały padły z obu luf, jeden po drugim. Zarówno lekarz, jak i Nyberg są raczej pewni. Na tyle, na ile potrafią to stwierdzić. Prosto w głowę. Drżał jej głos. Odetchnęła głęboko i ciągnęła dalej.

- Nie da się stwierdzić, czy w momencie strzału Svedberg siedział na krześle. Nie wiemy, z jakiej odległości strzelano.

Sądząc po wielkości pokoju i po tym, jak stoją meble - najwyżej z czterech metrów. Albo całkiem z bliska.

Martinsson poderwał się, niewyraźnie mamrocząc. Zniknął w toalecie. Czekali. Wrócił po paru minutach.

- Powiniennem był odejść dwa lata temu - powiedział. - Powiniennem był wtedy odejść ze służby.

- Teraz jesteśmy potrzebni bardziej niż kiedykolwiek - odparł ostro Wallander. Ale wiedział dokładnie, co Martinsson ma na myśli.

- Svedberg był ubrany - ciągnęła Ann-Britt. - To by znaczyło, że nie został wyrwany z łóżka. Ale nadal nie mamy ustalonej godziny.

Wallander spojrzał na Martinssona.

- Pytałem o to nie raz i nie dwa - powiedział. - Ale żaden z sąsiadów niczego nie słyszał.

- A hałas z ulicy? - spytał Wallander.

- Trudno mi uwierzyć, żeby zagłuszył dwa strzały z dubeltówki.

- Svedberg był ubrany. To oznacza, że możemy wykluczyć późną noc. Zawsze uważałem, że Svedberg się wcześniej kładzie.

Martinsson się zgodził. Ann-Britt nie miała zdania.

- Czy wiadomo, jak sprawca dostał się do środka?

- Nie ma widocznych śladów na drzwiach.

- Nietrudno je wylamać - powiedział Wallander.

- Dlaczego porzucił broń? Wpadł w panikę?

Nie umieli odpowiedzieć na pytania Martinssona. Wallander spojrzał na zmęczonych i przygnębionych kolegów.

- Powiem wam, co myślę. Czas pokaże, ile to jest warte.

Jak tylko wszedłem do mieszkania i zobaczyłem, co się stało,

tknęło mnie, że coś jest nie tak. Nie wiem dlaczego. Wszystko

wskazuje na zabójstwo na tle rabunkowym. Bo cóż innego?

Zemsta? A może ktoś się włamał nie po to, żeby ukraść, ale

żeby coś znaleźć?

Sięgnął po szklanekę i znów napił się wody.

- Byłem w szpitalu u Ylvy Brink - ciągnął dalej. - Sved-

berg miał bardzo małą rodzinę. Właściwie dwoje krewnych.

Utrzymywał z Ylvą regularne kontakty. Powiedziała coś, co

mnie zastanowiło. Rozmawiała ze Svedbergiem w ubiegłą nie

dziele. Narzekał, że jest przepracowany. Jak to jest możliwe?

Przecież dopiero wrócił z urlopu.

Ann-Britt i Martinsson czekali na dalszy ciąg.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale musimy się dowiedzieć, co się za tym kryje.

- Kto wie, jaką sprawą zajmował się Svedberg? - spytała Ann-Britt.

- Sprawą zaginionej młodzieży - odparł Martinsson.

- Musiał zajmować się czymś jeszcze - zaproponował Wallander. - W tamtej sprawie nie było formalnego postępowania. Zresztą poszedł na urlop kilka dni po tym, jak rodzice się do nas zwrócili.

Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć.

- Niech ktoś z was sprawdzi, czym się zajmował - polecił.

- Myślisz, że miał jakąś tajemnicę? - zapytał ostrożnie Martinsson.

- Kto z nas nie ma?

- Czego właściwie szukamy? Tajemnicy Svedberga?

- Mamy schwytać tego, kto go zabił. Nic więcej.

Umówili się na naradę w komendzie o ósmej. Martinsson

udał się do sąsiedniego mieszkania, aby zakończyć przesłuchiwanie sąsiadów. Ann-Britt została. Wallander spojrzał na jej zmęczoną, wymizerowaną twarz.

- Nie spałaś, kiedy dzwoniłem?

Zaraz pożałował pytania. Spała czy nie, to nie jego sprawa. Ale nie miała mu za złe.

- Nie - odparła. - Nie spałam.

- Przypuszczam, że mąż jest w domu, jeśli mogłaś tak szybko przyjechać? I zajmie się dziećmi?

- Zadzwońeś akurat w trakcie kłótni. Drobna, głupia sprzeczka. Zamiast tej wielkiej i ważnej, na którą nikt nie ma siły.

Siedzieli w milczeniu. Od czasu do czasu słyhać było głos Nyberga.

- Nie mogę zrozumieć - odezwała się. - Kto chciałby wy
rządzić krzywdę Svedbergowi?

- Kto go najlepiej znał? - spytał Wallander. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Nie ty?

- Nie. Nie znałem go zbyt dobrze.

- On ciebie podziwiał.

- Nie sądzę.

- Nie dostrzegałeś tego. A ja tak, i inni również. Był zawsze wobec ciebie lojalny, nawet gdy się myliłeś.

- To nie jest odpowiedź na pytanie - powiedział i powtórzył: - Kto go najlepiej znał?

- Nikt.

- Musimy więc poznać go teraz, kiedy już nie żyje.

Do kuchni wszedł Nyberg z kubkiem kawy w ręku. Zawsze miał w pogotowiu termos, na wypadek nocnego wezwania.

- Jak leci? - spytał Wallander.

- Wygląda na kradzież z włamaniem. Pozostaje pytanie, dlaczego sprawca porzucił broń.

- Nie mamy godziny śmierci.

- To sprawa lekarzy.

- Chętnie usłyszę twoją opinię.

- Nie lubię zgadywać.

- Rozumiem, ale z twoim doświadczeniem mógłbyś zaryzykować.

Nyberg pocierał nieogoloną brodę. Miał przekrwione oczy.

- Najwyżej doba, nie więcej.

W milczeniu zastanawiali się nad jego słowami. Doba, myślał Wallander. Środa wieczór albo czwartek. Nyberg ziewnął i wyszedł z kuchni.

- Powinnaś pojechać do domu - zwrócił się do Ann-Britt Hóglund. - O ósmej musimy się zebrać i zaplanować śledztwo.

Zegar w kuchni wskazywał piętnaście po piątej.

Włożyła kurtkę i wyszła. Wallander został w kuchni. Na parapecie leżała sterta rachunków.

Przejrzał je. Od czegoś trzeba zacząć. Równie dobrze od rachunków na parapecie, jak od czegoś innego. Znalazł rachunek za elektryczność, kwit z bankomatu i paragon ze sklepu z męską konfekcją. Włożył okulary. Trzeciego sierpnia Svedberg podjął z bankomatu dwa tysiące koron. Saldo końcowe wynosiło dziewiętnaście tysięcy trzysta czternaście koron.

Termin zapłaty rachunku za elektryczność upływał z końcem sierpnia. Z paragonu ze sklepu konfekcyjnego wynikało, że Svedberg trzeciego sierpnia kupił koszulę. Tego samego dnia, kiedy podjął pieniądze. Koszula kosztowała sześćset dziewięćdziesiąt pięć koron. Bardzo drogo

- uznał Wallander. Odłożył papiery na parapet. Poszedł do Nyberga i wrócił z parą gumowych rękawiczek. Rozejrzał się po kuchni. Kolejno przeglądał szafki i szuflady. W kuchni Svedberga panował taki sam porządek jak na jego biurku. Nie znalazł nic szczególnego, niczego nie brakowało. Pożyczył od Nyberga latarkę. Zajrzał pod rury odprowadzające wodę. Nie wiedział, czego szuka. Wyszedł z kuchni i przeszedł do gabinetu. Gdzieś tu powinien być teleskop,

pomyślał. Rozglądał się po pokoju. Nyberg zameldował, że skończyli i zabierają zwłoki Svedberga. Czy chce raz jeszcze na nie spojrzeć?

Wallander pokręcił głową. Miał przed oczami Svedberga z odstrzeloną głową. Ze szczegółami, jak na zdjęciu. Wodził spojrzeniem po niemal pustych półkach. Książki poniewierały się po podłodze. Na biurku stały: sekretarka automatyczna, pojemnik na ołówki, paru starych cynowych żołnierzyków i kalendarz. Wallander przewracał kolejne kartki tego kalendarza. Wizyta u dentysty jedenastego stycznia o dziewiątej trzydzieści. Siódmy marca - urodziny Ylvy Brink. Pod datą osiemnastego kwietnia widniało nazwisko Adamsson. To samo nazwisko powtarzało się piątego i dwunastego maja. W czerwcu i w lipcu nie było żadnych zapisów. Svedberg miał urlop. Skarżył się później na przemęczenie. Przewracał dalej kartki, coraz wolniej. Żadnych adnotacji. W ostatnich dniach życia

Svedberga kartki były puste. Osiemnastego października urodziny Sture Björklunda. Nazwisko Adamssona powraca czternastego grudnia. Na tym koniec. Odłożył kalendarz na miejsce.

Sądząc po kalendarzu, można było przypuszczać, że Svedberg był bardzo samotny. Do czego jednak służy kalendarz? Czy jego własne zapiski mają większą wagę? Oparł się wygodnie na krzesło. Poczł, jak bardzo jest zmęczony. Chciało mu się pić. Zamknął oczy i zastanawiał się, kim jest Adamsson. Pochylił się nad biurkiem i podniósł podkładkę do pisania. Pod spodem leżały karteczki z zapiskami i wizytówki. Adres antykwariatu Bomana w Göteborgu. Telefon dealera Audi w Malmö. Svedberg był wierny jednej firmie - Audi. Podobnie jak Wallander firmie Peugeot, w której wymieniał swoje samochody. Na jednej z wizytówek widniał adres firmy „Indian Heritage” w Minneapolis. Znalazł wyrwane z gazety ogłoszenie. „Leki homeopatyczne z ogrójca” w Karlshamnie. Odłożył podkładkę na miejsce. Dwie szuflady biurka leżały na podłodze. Dwie pozostałe były do połowy wysunięte. W pierwszej leżały kopie deklaracji podatkowych. W drugiej pocztówki i listy. Wallander wertował plik listów. Większość była sprzed dziesięciu lat i pochodziła od matki. Odłożył je i zaczął przeglądać pocztówki. Ku swojemu zdziwieniu znalazł jedną, którą sam wysłał do Svedberga. Ze Skagenu. „Są tu wspaniałe plaże”, napisał. Siedział z pocztówką w ręku.

Trzy lata wcześniej był na zwolnieniu lekarskim i przez długi czas wątpił, że kiedykolwiek wróci do służby w policji. Dużo czasu samotnie spędzał na wyludnionych, jesiennych plażach w Skagenie. Nie pamiętał, że wysłał tę pocztówkę. Niewiele miał wspomnień z tamtego okresu. Najwyraźniej jednak napisał do Svedberga. Po długiej nieobecności wrócił do Ystadu i przyszedł do pracy. Zapamiętał Svedberga z pierwszej porannej narady po powrocie. Björk go powitał, pozostali siedzieli w milczeniu, nie spodziewali się go z powrotem. Pierwszy przełamał ciszę Svedberg. Wallander dokładnie pamiętał jego słowa: „Dobrze, że jesteś z powrotem, bo jeszcze jeden dzień bez ciebie i wszystko by diabli wzięli”.

Wspominał dalej. Próbował zobaczyć Svedberga takiego, jaki był. Małomówny. Lecz umiał, gdy trzeba, właściwym słowem rozładować kłopotliwe sytuacje. Był dobrym policjantem. Nie wyróżniającym się, ale właśnie dobrym. Bez wielkiej fantazji, ale zawziętym i obowiązkowym. Nie był mistrzem pióra, prokuratorów nie raz złościł styl jego raportów. Miał za to dobrą pamięć i przekonanie, że to, co robi, jest ważne.

Kolejne wspomnienie odżyło w pamięci Wallandera. Kilka lat wcześniej prowadzili żmudne śledztwo, w którym złowieszczą rolę odegrał właściciel zamku w Farnholmie. Przy jakiejś okazji Svedberg powiedział: „Człowiek, który tyle posiada, nie może być uczciwy”. W tym samym czasie, przy innej okazji, wyjawiał mu swoje marzenie, żeby „przyskrzynić któregoś z tych panów, którzy uważają, że prawo ich nie obowiązuje”.

Wallander wszedł do sypialni. Nigdzie śladu teleskopu. Przykłęknął i zajrzał pod łóżko. Ani odrobiny kurzu. Podnosił kolejno poduszki. Otworzył drzwi od szafy - wisiały tam równo ubrania i koszule. W dolnej części była półka na buty. Wallander poświecił latarką za ubraniami. Leżało tam kilka walizek. Wyjął je i otworzył. Były puste. Pod ścianą stała komoda z bielizną i pościelą. Pomacał dno szuflad. Usiadł na skraju łóżka i sięgnął po książkę na

nocnym stoliku. Historia Siuksów, po angielsku. Svedberg słabo mówił po angielsku, widocznie lepiej czytał.

Siedział i z roztargnieniem przerzucał kartki książki. Zatrzymał się na pięknym zdjęciu dumnego Sitting Bulla. Potem wstał i poszedł do łazienki. Zajrzał do lustrzanej szafki. Żadnych niespodzianek. Jego szafka w łazience wyglądała tak samo. Pozostał jeszcze przedpokój i salon. Zaczął od przedpokoju. Przysiadł na stołku i wysunął szufladę z małej komódki pod lustrem. Leżały tam rękawiczki i kilka czapek. Jedna z reklamą skańskiej sieci sklepów ze sprzętem radiowo-tele-wizyjnym. Teraz pozostał już tylko salon. Najchętniej by tam nie wchodził. Poszedł do kuchni napić się wody. Dochodziła szósta. Był bardzo zmęczony. W salonie Nyberg pełzał w na-kolannikach wzdłuż czarnej kanapy pod ścianą. Przewrócone krzesło i strzelba leżały ciągle w tym samym miejscu. Brakowało tylko zwłok Svedberga. Wallander rozglądał się po pokoju, na próżno usiłując sobie wyobrazić, co zaszło. Co rozegrało się w ostatnim momencie, zanim padły strzały? Po raz kolejny ogarnęło go przecucie, że umknęło mu coś istotnego. Stał bez ruchu i powstrzymując oddech, próbował to sprecyzować. Bez powodzenia. Nyberg podniósł się z podłogi, ich oczy się spotkały.

- Rozumiesz to? - spytał Wallander.

- Nie - odpowiedział Nyberg. - Jakiś dziwaczny obraz. Wallander spojrzał na niego badawczo.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Jaki obraz? Nyberg wytarł nos i starannie złożył chusteczkę.

- Straszny tu bajzel. Porozwalane krzesła, wywalone szuf lady, wszędzie się poniewierają papiery i porcelanowe figurki.

Jakoś tego za dużo.

Wallander rozumiał, o co chodzi, mimo że sam o tym nie pomyślał.

- Wygląda na upozorowane?

- To tylko niczym niepoparte przypuszczenie.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Nyberg wskazał porcelanowego kogutka na podłodze.

- Sądzę, że stał na tej półce, to chyba jedyne miejsce?

Mógł polecieć na ziemię, podczas gdy ktoś wywalał szuflady.

Ale nie aż tak daleko.

Wallander skinął głową.

- Z pewnością jest jakiś powód - powiedział Nyberg.

- Reszta należy do ciebie.

Wallander nie odpowiedział. Stał jeszcze kilka minut w salonie. Potem wyszedł z mieszkania. Na dworze już się rozwidniło. Przed domem parkował radiowóz. Nie widać było ciekawskich. Wallander przypuszczał, że policja dostała instrukcję, aby tymczasem siedzieć cicho. Kilka razy głęboko odetchnął. Zapowiadał się piękny letni dzień.

Teraz dopiero opadło go uczucie przytłaczającego smutku na myśl o Svedbergu. Nie umiał powiedzieć, czy to reakcja na jego śmierć, czy też lęk na skutek uświadomienia sobie własnej śmiertelności. Otarł się o śmierć. Nie tak jak wtedy, gdy umarł ojciec. W inny sposób.

Tym razem się zląkł.

Był poranek dziewiątego sierpnia. Za pięć wpół do siódmej. Wallander powoli ruszył do samochodu. Gdzieś słychać było turkot betoniarki.

Dziesięć minut później wchodził do komendy.

6

Tuż po ósmej zebrał się w pokoju narad na zaimprovizowanej uroczystości poświęconej pamięci Svedberga. Lisa Hol-gersson ustawiła na stole płonąca świeczkę, przed krzesłem, na którym zwykle siedział. Przyszli wszyscy, którzy mieli rano służbę. Byli wzburzeni i przygnębieni. Lisa Holgersson nie mówiła długo. Z trudem nad sobą panowała. Wszyscy modlili się po cichu, żeby się nie załamała i dojrzała do końca. Potem nastąpiła minuta ciszy.

Wallander miał w głowie zamęt. Z trudem udawało mu się odtworzyć twarz Svedberga. Pamiętał, jak przeżywał śmierć ojca, a jeszcze wcześniej Rydberga. Zmarłych można wspominać, ale wydaje się, że nigdy nie istnieli naprawdę, pomyślał. Uroczystość się skończyła. W pokoju, oprócz grupy dochodzeniowej, została Lisa Holgersson. Usiedli przy stole. Martinsson zamknął okno i płomień świecy zadrżał. Wallander spojrzał pytająco na Lisę. Pokręciła głową. Wobec tego zabrał głos.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni - zaczął. - Smutni, wstrząśnięci i zagubieni. Stało się to, czego najbardziej się lękamy. Zazwyczaj tropimy mniejsze lub większe przestępstwa, które dotknęły ludzi spoza naszego grona. Tym razem ofiarą jest jeden z nas. Musimy jednak postępować tak jak w każdym innym przypadku. - Przerwał i rozejrzał się po zebranych. Nikt się nie odezwał. - Spróbujmy podsumować fakty i następnie ułożyć plan działania. Wiemy bardzo niewiele. Svedberg został zastrzelony między środą po południu a czwartkiem wieczór. We własnym mieszkaniu. Ktoś dostał się do mieszkania, nie uszkodzając drzwi. Zakładam, że strzelał z broni, którą znaleźliśmy w mieszkaniu. Są ślady plądrowania. Svedberg mógł mieć do czynienia z uzbrojonym złodziejem. Nie wiemy, czy tak było - to jeden z możliwych wariantów. Mogą być inne, i te również musimy brać pod uwagę. Nie możemy lekceważyć faktu, że Svedberg był policjantem. To może mieć znaczenie. Nie znamy godziny dokonania zbrodni. Aż trudno uwierzyć, że nikt z sąsiadów nie słyszał strzałów. Będziemy musieli poczekać na opinię lekarza sądowego z Lund. Wypił szklanekę wody i mówił dalej:

- Tyle wiemy dotychczas. Dodam jeszcze, że w czwartek Svedberg nie przyszedł do pracy. My, którzy go znaleźliśmy, wiemy, że to się nie zdarzało. Nikogo nie zawiadomił, że nie przyjdzie. Musiało mu coś przeszkodzić. To jedyne sensowne wytłumaczenie. Rozumiemy, co to oznacza.

Nyberg dał znak, że chce zabrać głos.

- Nie jestem lekarzem sądowym, ale wątpię, żeby Svedberg zginął już w środę.

- Musimy to wyjaśnić - odpowiedział Wallander. - Co przeszkodziło mu w przyjsciu do pracy? Dlaczego nie dał znać? Kiedy został zamordowany? - Zrelacjonował swoją rozmowę z Ylvą Brink. - Dowiedziałem się od niej o istnieniu jeszcze innego krewnego. Poza tym powiedziała coś, co zwróciło moją uwagę. Twierdziła, że Svedberg ostatnio narzekał na przemęczenie. Mimo że był po urlopie. Wydaje mi się to dziwne, tym bardziej że nie miał zwyczaju spędzać urlopu na uciążliwych podróżach.

- Czy kiedykolwiek wyjeżdżał z Ystadu? - zapytał Martinsson.

- Bardzo rzadko. Czasem płynął na jeden dzień na Bornholm albo promem do Polski. Ylva może to potwierdzić. Spędzał wolny czas nad książkami o amerykańskich Indianach i na obserwacji gwiazd. Według Ylvy miał znakomity teleskop, ale w mieszkaniu go nie znalazłem.

- Zdaje się, że interesował się ptakami? - odezwał się dotychczas milczący Hansson.

- Owszem, trochę. Musimy przyjąć, że Ylva Brink dość dobrze go znała. Z jej relacji wynika, że interesował się głównie Indianami i gwiazdami. - Rozejrzał się po obecnych. -

Dlaczego był przemęczony? Czy ma to dla nas jakieś znaczenie? Wydaje mi się, że tak.

- Sprawdziłam, czym Svedberg się zajmował - wtrąciła

Ann-Britt. - Na krótko przed urlopem przeprowadził rozmowy z rodzicami zaginionych młodych ludzi.

- Jakich młodych ludzi? - zdumiała się Lisa Holgersson.

Wallander wyjaśnił, o czym mowa.

- Dwa dni przed urlopem złożył wizytę rodzinom Normánów, Boge i Hillstrómów. Nie znalazłam na ten temat żadnej notatki. Przeszukałam nawet jego biurko.

Wallander i Martinsson wymienili zdziwione spojrzenia.

- To niemożliwe - powiedział Wallander. - Razem odbyliśmy spotkanie z rodzinami. Nie było mowy o żadnych indywidualnych rozmowach, ponieważ nie istniało podejrzenie przestępstwa.
- Wiem, co mówię - upierała się Ann-Britt. - W kalendarzu miał odnotowane godziny spotkań. Wallander się zastanowił.

- Co by oznaczało, że Svedberg działał na własną rękę, bez porozumienia z nami.

- To do niego niepodobne - wtrącił Martinsson.

- Nie - przyznał Wallander. - I równie niezrozumiałe jak fakt, że bez uprzedzenia nie zjawił się w pracy.

- Łatwo to sprawdzić - powiedziała Ann-Britt.

- Sprawdź - rzucił Wallander. - I dowiedz się przy okazji, jakie stawiał pytania.

- To jakiś absurd - stwierdził Martinsson. - Od środy polowaliśmy na Svedberga w sprawie zebrania na temat zaginionych. Svedberga już nie ma, a my dalej mówimy o tym samym.

- Czy zaszło coś nowego? - zapytała Lisa Holgersson.

- Nie, ale jedna z matek jest coraz bardziej zaniepokojona. Dostała kolejną kartkę od córki.

- To chyba dobrze?

- Twierdzi, że to podróbka.

- Kto, u diabła, pisałby fałszywe pocztówki? - spytał

Hansson. - Rozumiem: czeki, ale pocztówki?

- Musimy rozdzielić te dwie sprawy - powiedział Wallander. - Zaczniemy od zaplanowania śledztwa w związku ze sprawcą lub sprawcami zabójstwa Svedberga

- Nic nie wskazuje na więcej niż jednego sprawcę - odezwał się Nyberg.

- Czy możemy mieć pewność?

- Nie.

Wallander oparł dłonie o stół.

- Niczego nie wiemy na pewno. Musimy działać na kilka frontów, bez z góry przyjętych założeń. Za kilka godzin śmierć Svedberga przestanie być tajemnicą. Do tego czasu śledztwo musi ruszyć pełną parą.

- Ta sprawa ma naturalnie priorytet - dodała Lisa Holgersson. - Wszystko inne odkładamy na bok.

Konferencja prasowa - przypomniał Wallander. - Załatwmy to za jednym zamachem.

- Zamordowano policjanta - powiedziała Lisa. - Powiemy prawdę. Są jakieś ślady?

- Nie ma - stanowczo zaprzeczył Wallander.

- Jakie szczegóły możemy ujawnić?

- Został zastrzelony z bliska. Znaleźliśmy narzędzie zbrodni. Może to ostatnie przemilczeć, ze względu na dobro śledztwa.

- Raczej nie - odparł Wallander i popatrzył na zebranych. Nikt nie oponował.

Lisa Holgersson wstała.

- Chciałabym, żebyś przy tym był. Najlepiej chyba, żeby byli wszyscy. W końcu zamordowano jednego z naszych kolegów.

Postanowili, że spotkają się na kwadrans przed rozpoczęciem konferencji prasowej. Lisa Holgersson wyszła z pokoju, świeczka zgasła od podmuchu powietrza. Ann-Britt zapaliła ją na nowo.

Raz jeszcze wszystko podsumowali i rozdzielili zadania. Śledztwo pomału zaczynało się toczyć. Mieli się już rozejść, kiedy zatrzymał ich Martinsson.

- Musimy się chyba zdecydować. Czy sprawę zaginionej trójki też odkładamy na bok?

Wallander nie był przekonany, ale wiedział, że musi podjąć decyzję.

- Tak - powiedział. - Odkładamy. W każdym razie na najbliźsze dni, a potem zobaczymy. Chyba że pytania, które za

dawał Svedberg, okazały się zaskakujące.

Było piętnaście po dziewiątej. Wallander przyniósł sobie kawę do pokoju. Zamknął drzwi, wyjął notes z szuflady i na pierwszej stronie u góry napisał jedno słowo:

Svedberg.

Pod nazwiskiem narysował krzyż i zaraz go przekreślił.

Postanowił zanotować myśli, które nachodziły go w nocy, ale nie mógł ruszyć z miejsca.

Odłożył pióro i podszedł do okna. Był piękny sierpniowy poranek. Powróciło uczucie, że w śmierci Svedberga coś się nie zgadzało. Nyberg miał wrażenie, że włamanie było sfingowane. Pytanie, w jakim celu? Przez kogo? Wolałby, żeby to było zwykłe włamanie, z fatalnym skutkiem. Żeby jak najszybciej udało się wykluczyć inne wersje. Człowiek, który zabija policjanta i porzuca broń, nie potrafi nad sobą panować. Takiego sprawcę łatwiej schwytać. W najlepszym razie odciski palców na broni zaprowadzą ich prosto do jakiegoś rejestru.

Wrócił do biurka i zanotował brak cennego teleskopu. Potem powziął dwie decyzje. Zaraz po konferencji prasowej odwiedzi kuzyna Svedberga, mieszkającego pod Hedeskogą. I raz jeszcze przeszuka mieszkanie. Poza tym była piwnica i ewentualnie strych.

Odszukał numer Sture Bjórklunda. Mężczyzna odebrał telefon i przedstawił się.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia - zaczął Wallander.

Głos Bjórklunda dochodził z daleka.

- Nawzajem. Podejrzewam, że znał pan mojego kuzyna lepiej ode mnie. Ylva dzwoniła do mnie o szóstej rano i powiedziała, co się stało.

- To będzie bez wątpienia nowina dla mediów - powiedział Wallander.

- Rozumiem. Prawdę mówiąc, już druga osoba w rodzinie padła ofiarą zabójstwa.

- Ach tak?

- W tysiąc osiemset czterdziestym siódmym roku, dokładnie: dwunastego kwietnia, brat prapradziadka Karla Everta został zabity siekierą w Eslöv. Sprawcą był gwardzista, niejaki Brun, zwolniony dyscyplinarnie za jakies wykroczenie. To był mord rabunkowy. Nasz krewny parał się sprzedażą bydła i miał w domu dużo gotówki.

- I co dalej? - spytał Wallander, starając się ukryć zniecierpliwienie.

- Komendant policji i jego pomocnik spisali się wzorowo. Schwytali go kilka dni później, przy przekraczaniu duńskiej granicy. Został skazany na śmierć i wyrok wykonano. Pierwszą rzeczą, którą po objęciu tronu zrobił Oskar I, było zatwierdzenie wyroków śmierci, których Karol XV nie chciał podpisać. Oskar I uczcił wstąpienie na tron wykonaniem czternastu wyroków.

Brunowi ścięto głowę w Malmö.

- Ciekawa historia.

- Zajmowałem się trochę genealogią rodziny. Zresztą historia Bruna i mordu w Eslöv była znana już wcześniej.

- Czy miałby pan czas spotkać się ze mną jeszcze dzisiaj? Sture Bjórklund stał się nieufny.

- Po co?

- Staramy się uzyskać jak najpełniejszy obraz Karla Everta. Miał dziwne uczucie, nazywając Svedberga po imieniu.

- Prawie go nie znałem. Poza tym po południu mam być w Kopenhadze.

- To ważne. Nie zajmę panu dużo czasu. Zapadła cisza. Wallander czekał.

- O której?

- Czy może być około drugiej?

- Zadzwoń do Kopenhagi i odwołam przyjazd.

Bjórklund wytłumaczył Wallanderowi, jak dojechać. Powi nien łatwo trafić.

Przez następne pół godziny Wallander robił notatki. Jego umysł intensywnie pracował. Starał się dociec, dlaczego od momentu, kiedy zobaczył na podłodze martwego Svedberga, miał wrażenie, że coś się nie zgadza. Nyberg odniósł to samo wrażenie. Może było to po prostu następstwem szoku wywołanego straszną i niewytłumaczalną śmiercią kolegi. Nie był pewien.

Tuż po dziesiątej poszedł po kawę do stołówki. Ludzie byli wstrząśnięci i przygnębieni. Zamienił kilka słów z paroma osobami z drogowki i z kancelarii. Po powrocie do pokoju zadzwonił na komórkę Nyberga.

- Gdzie jesteś? - zapytał.

- Jak myślisz? - odparł ze złością Nyberg. - W mieszkaniu Svedberga, rzecz jasna.

- Nie znalazłeś przypadkiem teleskopu?

- Nie.

- Co poza tym?

- Na broni jest sporo odcisków palców. Kilka z nich da się z łatwością zdjąć.

- Miejmy nadzieję, że mamy je w rejestrze. Coś jeszcze?

- Nic szczególnego.

- Jadę po obiedzie do Hedemory spotkać się z kuzynem Svedberga. A potem chciałbym dokładnie przeszukać mieszkanie.

- Do tego czasu skończymy. Zobaczymy się zresztą na konferencji prasowej.

Wallander nie przypominał sobie, żeby Nyberg kiedykolwiek brał udział w spotkaniach z prasą. Teraz pragnął zaznaczyć, że całe zajście osobiście go dotknęło.

- Znalazłeś jakieś klucze? - spytał po chwili.

- Od samochodu i od piwnicy.

- A na strych?

- Sprawdziłem to. Na strychu nie ma żadnych pomieszczeń. Jest tylko piwnica. Przekazę ci klucze po konferencji prasowej.

Wallander skończył rozmowę i udał się do pokoju Martins-sona.

- Gdzie jest samochód Svedberga? Jego audi.

Martinsson nie wiedział. Poszli zapytać Hanssona. On też

nie wiedział. Pokój Ann-Britt Hóglund był pusty. Martinsson spojrział na zegarek.

- Powinien stać na parkingu koło domu - powiedział. -

Do jedenastej zdążę go zlokalizować.

Wallander wrócił do siebie. Do recepcji zaczęły przychodzić kwiaty z kondolencjami. Ebba miała zaczerwienione oczy. Przemknął obok niej bez słowa.

Konferencja prasowa rozpoczęła się punkt jedenasta. Wspominał potem, że Lisa Holgersson z miejsca wprowadziła nastrój uroczystej powagi. Powiedział jej zresztą, że nikt by tej konferencji lepiej nie poprowadził. Lisa wystąpiła w mundurze, przed nią na stole stały dwa wielkie bukiety róż. Mówiła jasno i na temat. Przeszła od razu do rzeczy i tym razem głos jej nie zawiódł. Inspektor kryminalny Karl Evert Svedberg, ceniony kolega, został zamordowany w swoim mieszkaniu. Dotychczas nie udało się ustalić godziny ani motywu zabójstwa. Ślady wskazują na uzbrojonego włamywacza. Policja nie ma jeszcze żadnego tropu. Potem długo mówiła o policyjnej karierze Svedberga i o nim samym. Wallander uważał, że scharakteryzowała go trafnie i z taktem.

Pytań było niewiele. Na większość odpowiadał Wallander. Nyberg opisał narzędzie zbrodni, dubeltówkę marki Lambert Baron. Skończyli po półgodzinie. Lisa Holgersson udzieliła wywiadu gazecie „Sydnytt”, podczas gdy Wallander odpowiadał na pytania dziennikarzy z popołudniówek. Z trudem powściągnąwszy wściekłość, odmówił pozwania do zdjęć przed domem przy Lilia Norregatan.

O dwunastej Lisa Holgersson zaprosiła członków grupy dochodzeniowej do domu na skromny posiłek. Wallander i Holgersson opowiadali historie z okresu pracy ze Svedbergiem. Svedberg przyznał się kiedyś Wallanderowi, dlaczego został policjantem.

- Bał się ciemności - powiedział Wallander. - Sam mi opowiadał. Od dziecka nosił w sobie lęk, którego nie rozumiał i nie potrafił przezwyciężyć. Uważał, że jak zostanie policjantem, nauczy się nad nim panować. Nie udało się.

Wrócili do komendy około wpół do drugiej. Wallander jechał z Martinssonem.

- Ładnie przemawiała - odezwał się Martinsson.

- Lisa jest dobrym szefem - odparł Wallander. - Nie wie działaś?

Martinsson nie odpowiedział. Wallander przypomniał sobie:

- Znalazłeś audi?

- Parking dla mieszkańców jest na tyłach domu. Znalazłem i przeszukałem audi.

- W bagażniku nie było przypadkiem teleskopu?

- Tylko zapasowe koło i para kaloszy. A w schowku na rękawiczki spray przeciw owadom.

- Sierpień to miesiąc os - stwierdził ponuro Wallander.

Rozstali się przed komendą. Wallander dostał od Nyberga

klucze od mieszkania Svedberga. Ale zanim tam poszedł, musiał pojechać do Hedeskogi.

Wskazówki Sture Björklunda były bardzo precyzyjne. Dojechał do niewielkiej zagrody na skraju wsi. Przed domem rozpościerał się trawnik z fontanną na środku. Wszędzie stały gipsowe figurki na cokółach. Ku swemu zdziwieniu rozpoznał w nich diabły. Miały rozwarłe, budzące grozę paszcze.

Czego się właściwie spodziewał w ogrodzie profesora socjologii? Nie zdążył się zastanowić, bo w tym momencie na progu ukazał się mężczyzna w kaloszach, wytartej skórzanej kurtce i podniszczonym słomkowym kapeluszu na głowie. Był bardzo wysoki i szczupły. Przez podarty kapelusz widać było, że Sture Björklund i Svedberg mieli pewną wspólną cechę: obaj byli łąsi. Nie musiało to zresztą wynikać z pokrewieństwa. Poczul się zakłopotany. Nie tak wyobrażał sobie profesora Björklunda. Na opalonej twarzy widniał przynajmniej kilkudniowy zarost. Czy w Kopenhadze może wykładać nieogolony profesor? Przypomniał sobie, że jest początek sierpnia i na uczelniach wciąż trwają wakacje. Mógł mieć inne sprawy po drugiej stronie Sundu.

- Mam nadzieję, że nie sprawiam zbyt wiele kłopotu - po wiedział na powitanie Wallander.

Sture Björklund odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim, zabarwionym drwiną śmiechem.

- W piątki zwykłem odwiedzać pewną panią, która mieszka w Kopenhadze. Kochankę, jak to się mówi. Czy szwedzcy inspektorzy kryminalni na prowincji mieszkają kochanki?

- Raczej nie - odparł Wallander.

- To znakomite rozwiązanie podstawowych społecznych problemów - kontynuował Björklund.

- Każdy raz może być ostatnim. Żadnych zależności, żadnych nocnych dyskusji, które łatwo przeradzają się we wspólną wycieczkę do sklepu z meblami, by utrzymać pozory, że małżeństwo jest jakąś alternatywą.

Mężczyzna w słomkowym kapeluszu i jego ostry śmiech zaczynały działać Wallanderowi na nerwy.

- Morderstwo to jednak poważna sprawa - powiedział.

Sture Björklund przytaknął. Zdjął z głowy dziurawy kapelusz, jakby na znak żałoby.

- Wejdzmy do środka - zaprosił.

Wallander nigdy przedtem nie widział takiego domu. Z zewnątrz wyglądał jak zwykła skańska zagroda. Ale świat, w którym się znalazł, całkowicie go zaskoczył. Nie było żadnych ścian wewnętrznych. Całe wnętrze składało się z jednego obszernego pokoju, wysokiego aż po dach.

W kilku miejscach drewniane schody z żelaznymi poręczami tworzyły coś na kształt wież. Wśród gołych ścian stało parę mebli. Krótsza, zachodnia ściana zamieniona została w wielkie akwarium. Sture Björklund wskazał na masywny drewniany stół, a obok starą ławkę kościelną i drewniany stołek.

- Zawsze byłem zdania, że należy siedzieć na twardym
- zauważył. - Ponieważ to niewygodne, załatwia się każdą rzecz w jak najkrótszym czasie. Czy to jedzenie, myślenie, czy też rozmowa z policjantem.

Wallander usiadł na kościelnej ławce. Rzeczywiście była wyjątkowo niewygodna.

- Jeżeli dobrze zrozumiałem, jest pan profesorem na uniwersytecie w Kopenhadze? - zapytał.
- Mam tam wykłady z socjologii. Staram się do minimum ograniczyć ich ilość. Ważniejsza jest dla mnie praca naukowa, którą zajmuję się w domu.
- Mogę zapytać, czym się pan zajmuje?
- Stosunkiem ludzi do potworów.

Wallander wziął to za żart. Czekał na dalszy ciąg.

- Ludzie w średniowieczu mieli inne wyobrażenie o potworach niż ludzie w osiemnastym wieku. Z kolei moje wyobrażenie różni się od wytworów fantazji młodszego pokolenia. Pojęcie piekła - przybytku okropności - stale zmienia treść. To bardzo złożone i fascynujące zjawisko. Na dodatek zapewnia mi pewne korzyści finansowe, co też nie jest bez znaczenia.

- W jaki sposób?

- Jestem konsultantem amerykańskiego stowarzyszenia filmowego produkującego filmy grozy. Mogę stwierdzić bez przechwałek, że należę do najbardziej cenionych konsultantów na świecie w zakresie komercjalizacji potworności.

Wallander zaczął podejrzewać, że siedzący naprzeciwko facet jest pomyłony. W tej samej chwili Björklund sięgnął na stół po rysunek.

- Przeprowadzałem w Ystadzie wywiady z siedmiolatkami, żeby się dowiedzieć, jak sobie wyobrażają potwory. Tego stworzyłem na podstawie uzyskanych od nich informacji. Amerykanom bardzo się spodobał. Będzie grał główną rolę w rysunkowym serialu, który ma na celu straszenie siedmio- i ośmiolatków.

Wallander przyjrzał się rysunkowi. Odłożył go z niesmakiem.

- Co pan komisarz o tym sądzi?

- Proszę mi mówić Kurt.

- Co pan o tym sądzi?

- Obrzydliwy.

- Żyjemy w obrzydliwym świecie. Chodzi pan do teatru?

- Niezbyt często.

- Jedna z moich studentek, zdolna dziewczyna, przekopała się przez repertuar wybranych teatrów na świecie z ostatnich dwudziestu lat. Rezultat jest interesujący, choć raczej do przewidzenia. W świecie nękanym biedą i grabieżą teatry coraz częściej wystawiają sztuki o relacjach międzyludzkich. Czyli Szekspir się mylił. Jego maksyma nie pasuje do naszych potwornych czasów. Teatr nie jest już zwierciadłem świata.

Umilkł. Położył kapelusz na stole. Wallander poczuł woń potu.

- Właśnie postanowiłem wypowiedzieć abonament telefonyczny - ciągnął profesor. - Pięć lat temu pozbyłem się telewizora, teraz kolej na telefon.

- To chyba mało praktyczne?

Björklund spojrzał na niego z powagą.

- Chcę sam decydować, czy i kiedy kontaktować się ze światem. Komputer naturalnie zatrzymam. Ale z telefonem precz!

Wallander przytaknął i szybko wtrącił:

- Pański kuzyn, Karl Evert Svedberg, nie żyje. Został zamordowany. Poza Ylvą Brink jest pan jego jedynym krewnym. Kiedy się ostatnio widzieliście?

- Jakież trzy tygodnie temu.

- A dokładniej?

- W piątek, dziewiętnastego lipca, o szesnastej trzydzieści. Szybka i stanowcza odpowiedź zaskoczyła Wallandera.

- Jak może pan pamiętać godzinę?

- Byliśmy umówieni. Jechałem do przyjaciół w Szkocji, a Kalle miał pilnować domu. Mieszkał u mnie, kiedy wyjeżdżałem. W zasadzie tylko wtedy się spotykaliśmy. Przy wyjazdach i powrotach.

- Co to znaczy: pilnować domu?

- Mieszkać tutaj.

Odpowiedź go zdziwiła. Ale nie miał powodu przypuszczać, że Björklund mija się z prawdą.

- Od dawna tu przemieszkiwał?

- Przez ostatnie dziesięć lat. To był znakomity układ.

- Kiedy pan wrócił do domu? - spytał po chwili namysłu Wallander.

- Dwudziestego siódmego lipca. Kalle przywiózł mnie z lotniska. Pożegnaliśmy się i wrócił do Ystadu. Więcej go nie widziałem.

- Czy odniósł pan wrażenie, że był przemęczony?

Björklund znowu odrzucił głowę i wybuchnął swoim ostrym śmiechem.

- Biorę to za dowcip. Chociaż lekko niesmaczny, zważywszy, że Kalle nie żyje.

- To nie był dowcip.

Björklund się uśmiechnął.

- Każdy by się zmęczył zbyt namiętnym obcowaniem z kobietą.

Wallander zrobił wielkie oczy.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Że podczas mojej nieobecności Kalle spotykał się tu ze swoją panią. Mieliśmy taką umowę. Mieszkali tu, kiedy byłem w Szkocji lub gdziekolwiek indziej.

Wallander milczał. Wstrzymał oddech.

- Wygląda pan na zaskoczonego - odezwał się Björklund.

- Czy to była ta sama kobieta? Jak się nazywała?

- Louise.

- A na nazwisko?

- Nie wiem. Nigdy jej nie widziałem na oczy. Kalle był bardzo tajemniczy. Ściślej mówiąc, dyskretny.

Wallander był kompletnie zaskoczony. Nikt nie miał pojęcia, że Svedberg miał jakąś kobietę.

- Wie pan o niej coś więcej? - zapytał Wallander.

- Nic.

- Musiał przecież coś mówić?

- Nigdy. I ja nigdy nie pytałem. W naszej rodzinie nie jesteśmy ciekawscy.

Wallander nie miał więcej pytań. Najpierw musiał przetrwać to, co usłyszał od Björklunda. Wstał. Björklund popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- To wszystko?

- Tymczasem tak. Pewnie się jeszcze odezwę.

Wyszli na dwór. Było ciepło i niemal bezwietrznie.

- Nie domyśla się pan, kto go mógł zabić? - zapytał Wallander, podszedłszy już do samochodu.

- Przecież to włamanie? Któż może wiedzieć, kim jest czyhający za rogiem uzbrojony bandyta?

Pożegnali się. Wallander wsiadł do samochodu i zapuścił silnik. Björklund nachylił się do okna.

- Jest jedna rzecz - powiedział. - Louise zmieniała kolor włosów.

- Skąd pan wie?

- Po włosach w łazience. Jednego roku były czerwone, następnego czarne. Albo blond. Ciągłe zmieniała kolor.

- To była ta sama kobieta?

- Szczerze mówiąc, myślę, że Kalle był w niej bardzo zakochany.

Wallander skinął głową i odjechał. Była trzecia. Jedno jest pewne, myślał. Svedberg - nasz kolega i przyjaciel - nie żyje zaledwie od kilku dni, a już teraz wiemy o nim więcej, niż wiedzieliśmy za życia.

Dziesięć po trzeciej Wallander zaparkował na placu Stor-torget i udał się pieszo na Lilia Norregatan. W całym ciele czuł wzrastający niepokój.

Coś mu mówiło, że trzeba się śpieszyć.

7

Wallander zaczął od piwnicy.

Schody były strome. Jak gdyby prowadziły pod ziemię, poniżej normalnego poziomu piwnicy. Stał przed niebiesko-kasztanowymi drzwiami, otworzył kluczem, który dostał od Ny-berga, i wszedł do środka. Było ciemno i pachniało stęchlizną. Zapalił latarkę i oświetlił ścianę w poszukiwaniu wyłącznika. Znajdował się w wąskim przejściu, po obu stronach stały boksy ze stalowej siatki. Szwedzkie piwnice zawsze kojarzyły mu się z prymitywnymi więzieniami. Zamiast więźniów siedziały tam dobrze strzeżone stare kanapy, sprzęt narciarski i sterty walizek. Gdzieś tam widać było fragmenty oryginalnych murów z kilkusetletniej cegły. Niedawno Linda opowiadała mu o dziwnym gościu w restauracji na Kungsholmen. Nosił monokl i wyglądał jak z innej epoki. Zapytał ją, skąd pochodzi. Ponieważ mówiła skańskim dialektem, myślał, że jest z Sjöbo. Kiedy dowiedział się, że urodziła się w Malmö i dorastała w Ystadzie, zacytował słowa Strindberga, który pod koniec dziewiętnastego wieku nazwał Ystad „kryjówką piratów”. Tak jej się to spodobało, że zadzwoniła, żeby mu opowiedzieć.

Piwnica Svedberga była na samym końcu korytarza. Stalową siatkę boksów wzmocniono solidną zewnętrzną kratą. Dwie krzyżujące się żelazne sztaby zamykała gruba kłódka

Svedberg zabezpieczył piwnicę, pomyślał Wallander. Czy trzymał tam coś, z czym za żadne skarby nie chciał się rozstać? Sięgnął do kieszeni po gumowe rękawiczki, które wziął ze sobą.

Otworzył kłódkę odpowiednim kluczem. Dokładnie ją obejrzał. Wyglądała na nową. Zapalił światło. Było tu jak w każdej innej piwnicy. Pod ścianą stała nawet para starych nart zjazdowych. Zastanawiał się, co tam robią. Nie potrafił sobie wyobrazić Svedberga szusującego ze stoku. Po wizycie u Sture Björklunda zrozumiał jednak, że prawdziwe życie Svedberga było wielką niewiadomą dla wszystkich, którzy go znali. Zbliżył się do tajemnicy, pomyślał.

Jeszcze nie wiem, co zawiera. Rozejrzał się po ciasnym pomieszczeniu. Panował tu porządek i wszystko było na swoim miejscu. Inaczej niż w mieszkaniu. Wallander przejrzał kilka walizek i kartonów, leżały w nich przechodzone buty i kurtki - Svedberg był niewątpliwie zbieraczem. Systematycznie przekopywał się przez zawartość piwnicy. W jednej z walizek znalazł stare

albumy ze zdjęciami. Przysiadł na kufrze i oglądał poźółkłe fotografie. Postacie ludzi w skańskim krajobrazie. Pozują sztywno do fotografii, w odświętnych ubraniach, na tle letnich ogrodów. Daleki plan i niewyraźne twarze. Zbierają buraki na polu z furmankami w tle. Woźnice z batami podniesionymi w powitalnych gestach. W tle zwały chmur. Wilgotna i ciężka ziemia. Żadnych nazw miejscowości ani nazwisk. Wszystkie albumy były jednakowe. Ostatnie zdjęcia pochodziły przypuszczalnie z lat trzydziestych. Wallander ostrożnie odłożył albumy i szukał dalej. Dawno zmarli ludzie jakby na chwilę ożyli. Kolejna walizka była wypełniona starymi obrusami, jeszcze inna tygodnikami sprzed sześćdziesięciu lat. Wciśnięty w kąt, za rozpadającym się, pokrytym szarym filcem stolikiem do gry, stał karton z jasnobrązowym drewnianym cokołem w środku. Z początku nie wiedział, co to jest. Po chwili rozpoznał starą główkę perukarską. Spędził w piwnicy przeszło godzinę i nie znalazł nic szczególnego. Wyprostował się i rozejrzał naokoło. Właściwie szukał tego, czego brakowało; pustego miejsca po czymś. Albo wysokiej klasy teleskopu. Opuścił boks i zamknął drzwi na kłódkę.

Znów wyszedł na światło dzienne. Chciało mu się pić. W kawiarni po drugiej stronie placu wypił filiżankę kawy i wodę mineralną. Zastanawiał się, czy może zjeść ciastko z lukrem. Wiedział, że nie powinien, ale i tak je kupił. Dwadzieścia minut później był z powrotem na Lilia Norregatan. Wszedł na górę i stanął pod drzwiami mieszkania Svedberga. W domu panowała grobowa cisza. Wziął głęboki oddech. Na drzwiach wisiały policyjne tabliczki zakazujące wstępu. Oderwał kawałek taśmy, otworzył i wszedł do środka. Z ulicy dochodził hałaśliwy łomot betoniarki. Wszedł do salonu, bezwiednie zerkając na miejsce, gdzie wcześniej leżał Svedberg, i podszedł do okna. Odgłos maszyny odbijał się echem od ścian domu. Na dole wyładowywano materiały budowlane z ciężarówki.

Przyszła mu do głowy myśl. Wszedł na ulicę. Starszy mężczyzna z nagim torsem lał z gumowego węża wodę do betoniarki. Na widok Wallandera skinął głową. Od razu się domyślił, że ma przed sobą policjanta.

- To straszne, co się stało - zawołał, przekrzykując hałas.

- Muszę z panem porozmawiać - odpowiedział Wallander. Mężczyzna z węzem zawołał młodszego robotnika, który

w cieniu palił papierosa, i podał mu węża. Kiedy przeszli za róg domu, łomot betoniarki znacznie przycichł.

- Więc już pan wie, co się stało - odezwał się Wallander.

- Zastrzelono policjanta, niejakiego Svedberga.

- Zgadza się. Chciałbym wiedzieć, od kiedy tu pracujecie. Wygląda na to, że dopiero zaczęliście.

- Jesteśmy tu od poniedziałku. Remontujemy się.

- Kiedy przyjechała betoniarka? Mężczyzna się zastanowił.

- Chyba we wtorek - powiedział. - O jedenastej.

- I od tej pory pracuje?

- W zasadzie bez przerwy. Od siódmej do piątej, nieraz i dłużej.

- W tym samym miejscu?

-Tak.

- Miał pan więc oko na wchodzących i wychodzących?

Robotnik zrozumiał nagle, do czego zmierzają pytania Wallandera.

- Nie może pan naturalnie wiedzieć, kto tu mieszka, ale niektórych mógł pan widywać częściej.

- Nie wiem nawet, jak ten policjant wyglądał, jeśli o to

panu chodzi.

O tym Wallander nie pomyślał.

- Wyślę kogoś ze zdjęciem. Jak się pan nazywa?

- Nils Linnman. Jak ten od programu przyrodniczego.

Wallander pamiętał prowadzącego program, który latami szedł w telewizji.

- Nie zauważył pan niczego szczególnego, od czasu jak tu pracujecie? - zapytał, na próżno szukając w kieszeniach czegoś do pisania.

- Na przykład czego?

- Kogoś, kto wyglądał na zdenerwowanego. Kogoś, kto się śpieszył. Na ogół zwraca się uwagę na takie rzeczy.

Linnman się zastanawiał. Wallander czekał. Było ciągle ciepło. Musiał skorzystać z toalety.

- Nie - odparł wreszcie Linnman. - Nic takiego sobie nie przypominam, ale może Robban coś widział.

- Robban?

- Ten, który trzyma węża. Chociaż wątpię, żeby cokolwiek zauważył. Ma w głowie wyłącznie swój motor.

- Może go zapytajmy - zaproponował Wallander. - Jeśli coś się panu przypomni, proszę natychmiast się ze mną skontaktować.

Wyjątkowo miał przy sobie wizytówkę. Linnman włożył ją do kieszonki workowatego kombinezonu.

- Zawołam Robbana.

Rozmowa z młodszym robotnikiem była bardzo krótka. Nazywał się Robert Tarnberg. O zabójstwie policjanta ledwie słyszał, nic szczególnego nie zauważył. Wallander podejrzewał, że Tarnberg nie zwróciłby uwagi nawet na przechodzącego ulicą słonia. Nie zostawił mu wizytówki.

Wrócił do mieszkania. Miał przynajmniej sensowne wytłumaczenie, dlaczego nikt z mieszkańców nie słyszał strzałów. Z kuchni zadzwonił do komendy. Zastał tylko Ann-Britt. Poprosił, żeby przywiozła zdjęcie Svedberga i pokazała je robotnikom.

- Policjanci chodzą po sąsiednich domach - powiedziała.

- Od drzwi do drzwi. Ale najwyraźniej zapomnieli o robotnikach na ulicy.

Wallander wyszedł do przedsiionka. Stał bez ruchu, usiłując pozbyć się wszystkich nieistotnych myśli. Wiele lat wcześniej, kiedy przeniósł się z Malmö do Ystadu, tych właśnie słów użył Rydberg. „Wyrzuć wszystko, co nieistotne. Na miejscu przestępstwa zawsze pozostają ślady, cień wydarzeń. Tego musisz szukać”.

Wallander otworzył drzwi wejściowe. Coś było nie tak. W koszu pod lustrem leżały egzemplarze dziennika „Ystads Allehanda”, który prenumerował Svedberg. Ale przed drzwiami na wycieraczce nie było ani jednej gazety. Zastanowiło go to. Powinna być przynajmniej jedna, a może nawet dwie. Niewykluczone, że trzy. Ktoś je stąd zabrał. Wszedł do kuchni. Na kuchennym blacie leżały gazety - środowa i czwartkowa. Piątkowe wydanie było na stole. Wallander zadzwonił na komórkę Nyberga. Ten odebrał natychmiast.

Zaczął rozmowę od betoniarki. Nyberg się wahał.

- Dźwięk przenika do środka - powiedział. - Ludzie na ulicy z pewnością nie słyszeli strzału podczas pracy betoniarki. Ale dźwięk, który powstaje w środku, rozchodzi się w zupełnie inny sposób. Czytałem gdzieś o tym.

- Może trzeba oddać próbne strzały na miejscu, bez uprzedzania sąsiadów. Z betoniarką i bez. Nyberg się z nim zgodził.

- Właściwie dzwonię w sprawie gazety „Ystads Allehanda”

- ciągnął Wallander.

- Położyłem ją na stole w kuchni - poinformował Nyberg.
- Te, które leżały na kuchennym blacie, musiał położyć ktoś inny.

- Zdejmiemy odciski palców - powiedział Wallander. - Nie wiadomo, kto je tam zaniósł.

Nyberg zamilkł.

- Masz rację. Jak mogłem to, do cholery, przeoczyć?

- Nie będę ich ruszał - zapewnił Wallander.

- Jak długo tam jeszcze będziesz?

- Pewnie kilka godzin.

- Już jadę.

Wallander wyciągnął kuchenną szufladę. Dobrze pamiętał. Leżało w niej kilka ołówków i notes. Zapisał nazwiska Nilsa Linnmana i Roberta Tarnberga. Zapisał, że trzeba się skontaktować z roznosicielem gazet. Potem wrócił do przedsionka. Cienie i ślady. Stał nieruchomo i wodził naokoło wzrokiem. Na wieszaku wisiała skórzana kurtka, którą Svedberg nosił przez okrągły rok. Wallander obmacał kieszenie. Znalazł portfel. Nyberg spartaczył robotę, pomyślał. Wrócił do kuchni. Portfel był stary i wytarty, jak kurtka. Było w nim osiemset czterdzieści siedem koron, karta do bankomatu, karta do tankowania benzyny i kilka wizytówek z nadrukiem: Svedberg - inspektor kryminalny. Poza tym prawo jazdy i policyjna legitymacja. Na zdjęciu w prawie jazdy patrzył ponuro w obiektyw. Było najstarsze ze wszystkich i chyba zrobione latem. Łysina Svedberga, jak każdego lata, nosiła ślady słonecznego oparzenia. Louise powinna ci była powiedzieć, żebyś nosił czapkę, pomyślał Wallander. Kobiety nie lubią mężczyzn poparzonych słońcem. Uczepił się tej myśli. Svedberg miał zawsze nadmiernie opaloną łysinę. Jakby nie miał mu kto powiedzieć, że powinien chronić głowę. Louise jest i jej nie ma, myślał. Tylko dwie osoby potwierdzały jej istnienie: Svedberg i jego kuzyn. Twórca potworów, który jej nigdy nie widział. Tylko jej włosy. Wallander się skrzywił. To wszystko nie trzyma się kupy. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do szpitala. Ylva Brink miała być wieczorem. Zadzwonił na jej domowy numer - był zajęty. Odczekał chwilę i znowu wybrał numer. Ciągłe zajęte. Powrócił do zawartości portfela. Zdjęcie w legitymacji policyjnej było świeże. Svedberg miał tu bardziej zaokrąglone policzki, ale wyglądał równie ponuro. Wallander sprawdził wszystkie przegródki; poza kilkoma znaczkami nic tam nie było. Znalazł foliową torbę i włożył do niej portfel z zawartością. Po raz trzeci wrócił do przedsionka. Wyrzuć to, co nieistotne, szukaj śladów. Wallander wszedł do łazienki. Załatwił się. Myślał o tym, co Sture Björklund mówił o kolorowych włosach. Jedyne, co wiedział o Louise, kobiecie w życiu Svedberga. Farbowała włosy. Przeszedł do salonu i przystanął obok wywróconego krzesła. Potem się rozmyślił. Znadto się śpieszysz - powiedziałałby Rydberg. - Jak będziesz się śpieszył, to wystraszysz ślady. Wrócił do kuchni i zadzwonił do Ylvy. Tym razem odebrała.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział. - Wiem, że całą noc pracowałaś.

- I tak nie mogę spać.

- Mam dużo pytań. Z jednym nie chciałbym czekać.

Wallander opowiedział o wizycie u Sture Björklunda.

I o rzekomym istnieniu kobiety o imieniu Louise.

- Nigdy mi o tym nie mówił.

Odniosł wrażenie, że wiadomość ją poruszyła.

- Kto? Kalle czy Sture?

- Ani jeden, ani drugi.

- Zacznijmy od Sturego. Jakie są wasze stosunki? Dziwisz się, że nic ci nie mówił o tej kobiecie?

- Po prostu nie wierzę, że to prawda.
- Dlaczego miałby kłamać?
- Nie wiem.

Wallander uznał, że to nie jest rozmowa na telefon. Spojrzał na zegarek - była za dwadzieścia szósta. Potrzebował jeszcze co najmniej godzinę.

- Chyba lepiej będzie, jak się spotkamy - zasugerował. - Mam czas po siódmej.

- Może być w komendzie? To blisko szpitala, a ja znowu pracuję na noc.

Po rozmowie wrócił do salonu. Przystanął przy wywróconym, połamanym krześle. Rozejrzał się po pokoju. Usiłował wyobrazić sobie tragedię, która się tu rozegrała. Do Svedberga oddano strzał z przodu. Nyberg napomknął, że tor pocisku szedł lekko w górę. Jak gdyby strzelający trzymał broń na wysokości biodra lub klatki piersiowej. Ślad krwi znajdował się w górnej połowie ściany. Svedberg przewrócił się na lewą stronę. Prawdopodobnie pociągnął za sobą krzesło i poręcz złamała się przy upadku. A może właśnie wstawał? Albo już stał? To pytanie Wallander uważał za niezwykle istotne. Jeśli Svedberg siedział na krześle, to znaczy, że znał sprawcę. Gdyby przyłapał uzbrojonego złodzieja, toby nie siedział. Wallander podszedł do miejsca, gdzie przedtem leżała strzelba. Odwrócił się i na nowo obrzucił wzrokiem pokój. Strzał nie musiał paść akurat stąd, ale gdzieś w pobliżu. Stał bez ruchu i usiłował przywołać cienie i ślady. Narastało w nim uczucie, że coś jest nie tak. Czy Svedberg przyszedł do domu i zaskoczył złodzieja? Jeśli tamten szedł od strony przedsionka, to Svedberg w żadnym razie nie mógł wylądować w tym miejscu. A także jeśli wszedł do salonu przez sypialnię. Zapewne nie miał w ręku broni. Wtedy Svedberg przypuszczalnie by się na niego rzucił. Może i bał się ciemności, ale kiedy zachodziła potrzeba, nie cofał się przed użyciem siły.

Wallander nadal stał. Betoniarka nagle ucichła. Nasłuchiwał. Z ulicy dobiegały słabe dźwięki. Druga możliwość, pomyślał. Svedberg znał osobę, która do niego przyszła. I to na tyle dobrze, że broń nie wzbudziła w nim podejrzeń. Potem coś się zdarzyło. Sprawca zabija Svedberga i dewastuje pół mieszkania. Dlaczego? Czegoś szuka albo usiłuje sfingować włamanie.

Wallander pomyślał o brakującym teleskopie. Kto mógłby stwierdzić, czy brakuje czegoś innego? Ylva Brink? Wallander podszedł do okna i spojrzał na ulicę. Nils Linnman zamykał na klucz drzwi od baraku. Roberta Tarnberga już nie było. Kilka minut wcześniej słyszał silnik startującego motocykla. Drgnął na odgłos dzwonka do drzwi i poszedł otworzyć. W progu stała Ann-Britt

- Robotnicy już poszli - powiedział Wallander. - Przychodzisz za późno.

- Pokazałam im zdjęcie Svedberga - odparła. - Ale żaden z nich go nie rozpoznał. W każdym razie go sobie nie przypominali.

Usiedli w kuchni. Wallander opowiedział o spotkaniu ze Sture Björklundem. Słuchała uważnie.

- Jeżeli to prawda, wizerunek Svedberga całkowicie się zmienia - stwierdziła, kiedy skończył.

- Dlaczego tak długo to ukrywał? - zapytał Wallander.

- Może jest zameżna?

- Sekretny romans? I tylko wtedy, kiedy mieli dostęp do domu Björklunda? Kilka tygodni w roku? W tym mieszkaniu bywać nie mogła, bo ktoś by ją zauważył.

- Mogła czy nie, musimy ją odnaleźć.

- Przyszło mi na myśl jeszcze jedno - powiedział powoli Wallander. - Jeśli rzeczywiście Svedberg ją przed nami ukrywał, to może ukrywał również coś innego?

Widział, że zrozumiała jego tok myślenia.

- Sądziś, że to nie było włamanie?

- Mam wątpliwości. Zginął teleskop. Możliwe, że Ylva Brink będzie wiedziała, czy zginęło coś jeszcze. Ale to wszystko jakoś się nie składa. Nic tutaj nie jest oczywiste.

- Sprawdziliśmy konta bankowe - dodała Ann-Britt. - Nie znaleźliśmy ani wielkich pieniędzy, ani długów. Pożyczka w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy na audi. Ani mniej, ani więcej. W banku twierdzą, że Svedberg był wzorowym klientem.

- Nie powinno się źle mówić o zmarłych - wtrącił Wallander - ale miałem wrażenie, że był skąpy.

- Jak to?

- Na przykład, kiedy szliśmy razem coś zjeść. Naturalnie każdy płacił za siebie. Ale to zawsze ja zostawiałem napiwek.

Ann-Britt pokiwała głową.

- Ciekawe, jak każdy z nas inaczej odbiera drugiego czło-
wieka. Nigdy bym nie powiedziała, że Svedberg był skąpy.

Wallander poinformował ją o swoim odkryciu w związku z betoniarką. Właśnie kończył, kiedy usłyszeli dźwięk klucza w zamku. Przeszedł ich dreszcz zgrozy. Po chwili dobiegło ich znajome chrząkanie Nyberga.

- Przekłęte gazety - powiedział. - Jak mogłem o nich za-
pomnieć?

Włożył gazety do foliowej torby i zapieczętował ją.

- Co z odciskami palców? - zapytał Wallander.

- W poniedziałek. Najwcześniej.

- A eksperci sądowi?

- To działka Hanssona - wtrąciła Ann-Britt. - Ale oni szybko pracują.

Wallander poprosił Nyberga, żeby usiadł. Potem raz jeszcze opowiedział o istnieniu kobiety w
życiu Svedberga.

- To brzmi nieprawdopodobnie - zauważył nieufnie

Nyberg. - Nie było bardziej zatwardziałego kawalera niż Sved-
berg. A jego samotne piątkowe wieczory w saunie?

- Byłoby jeszcze bardziej nieprawdopodobne, gdyby profesor kopenhaskiego uniwersytetu
kłamał - powiedział Wallander. - Musimy zakładać, że mówi prawdę.

- Może Svedberg to wymyślił? Jeśli dobrze zrozumiałam, nikt nigdy nie widział jej na oczy?
Wallander zastanowił się nad słowami Ann-Britt. Czy Louise była tworem czystej fantazji?

- W łazience Björklunda leżały włosy. To nie jest twór fantazji.

- Po co ktoś miałby sobie wymyślać kobietę? - zapytał Nyberg.

- Ludzie samotni wymyślają różne rzeczy, żeby stworzyć namiastkę poczucia bliskości -
odparła Ann-Britt.

- Znalazłeś jakieś włosy w łazience? - spytał Wallander.

- Nie - odpowiedział Nyberg. - Ale przeszukam jeszcze raz.

- Chodźcie ze mną - poprosił Wallander, wstając.

Weszli do salonu, gdzie podzielił się z nimi swoimi wcześ-
niejszymi przemyśleniami.

- Próbuje wyciągnąć choćby prowizoryczne wnioski. Czy
raczej ustalić prowizoryczny punkt wyjścia. Jeśli przyjmiemy
wersję włamania, powstaje mnóstwo pytań. Jak sprawca
dostał się do środka? Dlaczego miał ze sobą broń? Kiedy zja-
wił się Svedberg? Czy zginęło coś poza teleskopem? Dłaczego
Svedberg w ogóle został zabity? Nie ma śladów walki,
a wszystko jest wywrócone do góry nogami. Trudno sobie
wyobrazić, żeby ganił się po całym mieszkaniu. To wszystko
nie trzyma się kupy. Zadaję sobie pytanie, co będzie, jeśli na
chwile pominiemy hipotezę włamania. Co wtedy widzimy?
Zemstę? Czyste szaleństwo? Obecność kobiety mogłaby sugie

rować zabójstwo z zazdrości. Ale czy kobieta strzeliła? Prosto w twarz? Trudno mi w to uwierzyć. Co więc pozostaje?

Nikt się nie odezwał. Wallander uznał milczenie za wymowne. Nie mieli żadnego punktu zaczepienia, który umożliwiłby roboczą hipotezę: włamanie, zabójstwo z zazdrości lub cokolwiek innego. Svedberg zginął w dramacie pozbawionym czytelnej intrygi. Punkt wyjścia gubił się w nieokreślonej ziemi niczyjej.

- Mogę już iść? - spytał Nyberg. - Mam do wieczora jeszcze sporo papierkowej roboty.
- Spotkamy się jutro rano na zebraniu grupy dochodzeniowej.
- O której?

Wallander nie wiedział. Jako prowadzący śledztwo musiał podjąć decyzję.

- Powiedzmy, o dziewiątej.

Nyberg wyszedł. Ann-Britt i Wallander zostali w salonie.

- Staralem się odtworzyć przebieg wydarzeń - powiedział.
- Co o tym sądzisz?

Miała bystre oko i zdolność metodycznego, analitycznego myślenia.

- Może zaczniemy od bałaganu panującego w mieszkaniu.
- I co wtedy?
- Mamy trzy możliwe wyjaśnienia. Włamywacz, który się śpieszy lub któremu puszczają nerwy. Albo ktoś, kto czegoś szuka. Oczywiście włamywacz też czegoś szuka. Ale nie wie z góry czego. Trzecia możliwość to wandalizm. Ktoś wywala wszystko z pólek tylko po to, żeby demolować.

Wallander uważnie śledził tok jej myśli.

- Jest jeszcze czwarta możliwość - dodał. - Człowiek, który wpadł w nieopanowany szał.

Spojrzeni na siebie. Oboje myśleli o tym samym. Zdarzyło się kilka razy, że Svedberg stracił panowanie nad sobą. Nie wiadomo skąd brały się jego napady wściekłości. Kiedyś niemal zdemolował swoje biuro.

- Niewykluczone, że zrobił to Svedberg - powiedział Wallander. - Zdarzało się to i przedtem. Powstaje wtedy istotne pytanie.

- Dlaczego?

- Otóż to, dlaczego?

- Byłam świadkiem, jak Svedberg ostatnio omal nie zdemolował biura. Powstrzymali go Hansson i Peters. Ale nie dowiedziałam się, jaki był powód.

- Szefem był wtedy Björk. Oskarżył Svedberga o przywłaszczenie materiału dowodowego.
- Co to był za materiał?
- Między innymi kilka cennych ikon z Łotwy. To była duża sprawa o paserstwo.
- Oskarżył go o kradzież?
- O niedbalstwo. Ale kiedy coś ginie, podejrzewa się kradzież.
- I co dalej?
- Svedberg poczuł się znieważony i zdemolował biuro.
- Ikony się znalazły?
- Nie, nigdy. Nie było naturalnie żadnych dowodów. Zresztą paser i tak został skazany.
- Więc Svedberg poczuł się znieważony?
- Tak.
- To do niczego nie prowadzi. Svedberg demoluje mieszkanie, a potem zostaje zastrzelony.
- Brakuje przebiegu akcji - stwierdził Wallander.
- Założmy, że była tu jeszcze jedna osoba - powiedziała nagle Ann-Britt.

- Możemy założyć cokolwiek - odparł. - To jedna z trudności. Nie wiemy, czy sprawca był sam, czy w pokoju znajdowało się więcej osób. Nie ma śladów.

Wyszli z salonu.

- Słyszałaś kiedyś, żeby Svedbergowi ktoś groził? - spytał w przedśionku.

- Nie.

- A komuś innemu?

- Wciąż odbieramy dziwne listy i telefony - odpowiedziała. - To wszystko jest zarejestrowane.

- Przejrzyj to, co przyszło ostatnio - zasugerował Wallander. - I porozmawiaj, proszę, z roznosicielem gazet. Może on lub ona coś zauważyli.

Ann-Britt robiła notatki.

- Gdzie jest ten przekłety teleskop? - spytał Wallander.

- Jak znaleźć kobietę o imieniu Louise? - dodała.

- Za chwilę mam rozmowę z Ylvą Brink - odpowiedział Wallander. - Tym razem ją przycisnę.

Otworzył drzwi.

- To na pewno nie była strzelba Svedberga - oznajmiła

Ann-Britt. - Nie miał pozwolenia na broń.

- To zawsze coś.

Ann-Britt zeszła na dół. Wallander zamknął drzwi i wrócił do kuchni. Wypił szklankę wody.

Poczuł, że wkrótce będzie musiał coś zjeść. Był zmęczony. Usiadł na krześle, oparł głowę o ścianę i zasnął.

Znajdował się wysoko w górach, roziskrzonych od ostrego słońca. Jechał na nartach. Podobne były do nart w piwnicy Svedberga. Zjeżdżał coraz szybciej w dół, w gęstą mgłę. Nagle otworzyła się przed nim przepaść.

Obudził się gwałtownie. Według zegara w kuchni spał jedenaście minut. Siedział bez ruchu i wsłuchiwał się w ciszę. Zabrzęczał telefon. Podniósł słuchawkę - dzwonił Martinsson.

- Domyślałem się, że tam będziesz - powiedział.

- Stało się coś?

- Znowu była Eva Hillström.

- Czego chciała?

- Jeśli nie zaczniemy działać, zwróci się do prasy. Była bardzo stanowcza.

- Wydaje mi się, że powziąłem dzisiaj złą decyzję - powiedział Wallander po namyśle. -

Zmienię to na jutrzejszym zebraniu.

- Co takiego?

- Svedberg jest oczywiście absolutnym priorytetem. Mimo to nie możemy zapominać o zaginionej młodzieży. Musimy znaleźć czas na jedno i drugie.

- Jakim cudem?

- Nie wiem. Ale nie pierwszy raz jesteśmy zawałeni robotą.

- Obiecałem Evie Hillström, że po rozmowie z tobą zadzwonię do niej

- Zadzwoni. Postaraj się ją uspokoić. Powiedz, że się tym zajmujemy.

- Będziesz tu jeszcze?

- Jestem w drodze. Ma przyjść Ylva Brink.

- Czy uda się wyjaśnić sprawę Svedberga?

Wallander wyczuł niepokój w głosie Martinssona.

- Tak - odpowiedział. - Na pewno. Ale czuję, że będzie ciężko.

Zakończyli rozmowę. Za oknem z furkotem przeleciały gołębie. Zaświtała mu pewna myśl.

Według Ann-Britt leżąca na podłodze strzelba nie należała do Svedberga. Ponieważ nie miał pozwolenia na broń. Był to logiczny wniosek. Ale rzeczywistość rzadko bywała logiczna. W Szwecji krąży przecież mnóstwo niezarejestrowanej broni. To stały problem policji. Dlaczego

również policjant nie miałby posiadać nielegalnej broni? I jakie to miało znaczenie, czy strzelba należała do Svedberga?

Wallander siedział nieruchomo. Powróciło to samo uczucie. Coś go ponaglało. Wstał szybko i wyszedł z mieszkania.

8

Istvan Kecskemeti przyjechał do Szwecji dokładnie czterdzieści lat temu. Był jednym z wielu węgierskich uchodźców, którzy zmuszeni byli opuścić Węgry po zdławieniu powstania. Miał czternaście lat, kiedy przybył do Skandynawii. Z rodzicami i trojgiem młodszego rodzeństwa dotarł do Trelleborga. Ojciec był inżynierem i niegdyś, w końcu lat dwudziestych, odwiedził fabrykę koncernu Separator pod Sztokholmem. Miał nadzieję znaleźć tam teraz pracę. Ale skończyło się na Trelleborgu. Schodząc z trapu na nabrzeże, doznał udaru mózgu. Upadł na wilgotny asfalt, i tak po raz drugi zetknął się ze szwedzką ziemią. Został pochowany na cmentarzu w Trelleborgu - rodzina zamieszkała w Skanii. Dzisiaj Istvan miał pięćdziesiąt cztery lata i od dawna był właścicielem jednej z pizzerii przy ulicy Hamngatan w Ystadzie.

Wallander od dawna znał historię życia Istvana. Od czasu do czasu stołował się u niego. Kiedy było mniej gości, Istvan chętnie przysiadł się do stolika i opowiadał o swoim życiu.

Było wpół do siódmej, kiedy Wallander wszedł do środka. Zostało mu pół godziny do spotkania z Ylvą Brink. W lokalu, tak jak przewidywał, nie było gości. W kuchni grało radio. Ktoś rozbijał mięso. Istvan pomachał mu z baru, gdzie kończył rozmawiać przez telefon. Wallander usiadł przy stoliku w kącie. Istvan podszedł do niego z poważnym wyrazem twarzy.

- Czy to prawda, że został zabity policjant?

- Niestety - odparł Wallander. - Karl Evert Svedberg. Znał go pan?

- Chyba nigdy tu nie był - odparł tamten z powagą. - Napije się pan piwa? Ja stawiam.

Wallander pokręcił przecząco głową.

- Muszę coś szybko zjeść. Coś odpowiedniego dla osoby z nadmiarem cukru we krwi.

Istvan się zawahał.

- Ma pan cukrzycę?

- Nie. Ale mam za dużo cukru we krwi.

- No to ma pan cukrzycę.

- To raczej przejściowe. Naprawdę się śpieszę.

- Kawalek mięsa usmażonego na oleju. I zielona sałata. Wystarczy?

- Znakomicie.

Istvan odszedł. Wallander zastanawiał się nad swoją reakcją. Cukrzyca nie była wstydliwą chorobą. Ale wiedział, dlaczego tak się zachował. Wstydział się nadwagi. Wolał udawać, że nie istnieje.

Jak zwykle zjadł za szybko i popił filiżanką kawy. Istvan był zajęty większym towarzystwem polskich turystów. Wallander był zadowolony, że nie musi odpowiadać na pytania o zabójstwo Svedberga. Uregulował rachunek i wyszedł. Było nadal ciepło. Na ulicach wyjątkowo dużo ludzi. Od czasu do czasu witał się skinieniem głowy z mijającymi go znajomymi. Zastanawiał się jak przeprowadzić rozmowę z Ylvą Brink. Był przekonany, że będzie szczerze odpowiadała na pytania i postara się wyczerpać pamięć. Najbardziej interesowała go kobieta o imieniu Louise. Może Ylva coś o niej słyszała?

Wallander przyszedł do komendy tuż po siódmej. Ylvy Brink jeszcze nie było. Poszedł prosto do biura Martinssona. Siedział tam Hansson.

- Jak leci? - spytał Wallander.

- Wpłynęło wyjątkowo mało informacji od osób prywatnych.

- A wstępny raport z Lundu?

- Jeszcze nie przyszedł - odparł Hansson. - Przed poniedziałkiem nie ma się czego spodziewać.

- Ważny jest moment śmierci - powiedział Wallander. - Mielibyśmy przynajmniej coś konkretnego.
- Zajrzałem do rejestru przestępstw - wtrącił Martinsson. - Nie znalazłem żadnego podobnego przypadku - ani zabójstwa, ani włamania.
- Nie ma pewności, że to włamanie - przypomniał Wallander.
- A cóżby innego?
- Nie wiem. Mam teraz spotkanie z Ylvą Brink. Do zobaczenia jutro o dziewiątej.
- Poszedł do pokoju. Na biurku leżała kartka od Lisy Hol-gersson. Prosiła o jak najszybszy kontakt. Zadzwoił. Nie było odpowiedzi. Z pewnym trudem udało mu się połączyć z recepcją. Ebby już nie było. Odłożył słuchawkę i udał się do pokoju dyżurnego.
- Lisa poszła do domu - poinformował go policjant dyżurujący przy telefonie.
- Wallander postanowił, że zadzwoni do niej wieczorem. Przystanął w recepcji i czekał. Po paru minutach zjawiała się Ylva Brink. Po drodze do biura spytał, czy napije się kawy. Podziękowała. Tym razem Wallander postanowił użyć magnetofonu. Zawsze kiedy go włączał, odnosił wrażenie, że ktoś trzeci podsłuchuje rozmowę. W dodatku nie mógł się skoncentrować. Tym razem chciał usłyszeć każde wypowiedziane słowo i spisać rozmowę z taśmy. Zapytał ją, czy ma coś przeciwko temu, że będzie nagrywał. Zaprzeczyła.
- To nie jest przesłuchanie, tylko rozmowa - dodał. Magnetofon ma lepszą pamięć.
- Taśma zaczęła się kręcić - było dziewiętnaście po siódmej.
- Piątek, dziewiąty sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku - rozpoczął Wallander. - Rozmowa z Ylvą Brink. Sprawa: Śmierć inspektora kryminalnego Karla Everta Svedberga. Podejrzenie zabójstwa.
- A cóżby innego? - zapytała.
- Policjanci posługują się czasem zbyt formalnym językiem - odpowiedział. Usłyszał, jak nienaturalnie to zabrzmiało.
- Minęło kilka godzin - kontynuował. - Miałaś czas się zastanowić. Zadać sobie pytanie, dlaczego do tego doszło. Dla wszystkich oprócz samego sprawcy morderstwo jest zawsze pozbawione sensu.
- Ciągle nie mogę uwierzyć, że to się stało. Kilka godzin temu rozmawiałam z mężem. Połączyłam się ze statkiem przez satelitę. Myślałam, że mówię od rzeczy. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że to się naprawdę wydarzyło.
- Żałuję, że nie możemy tej rozmowy odłożyć na później. Ale musimy jak najszybciej schwycić sprawcę. Morderca ma przewagę, która stale rośnie.
- Czekała na pierwsze pytanie.
- Czy widziałaś kiedyś tę kobietę Louise? Podobno Karl Evert przez wiele lat regularnie się z nią widywał.
- Nie.
- Nigdy o niej nie słyszałaś?
- Nie.
- Jaka była twoja reakcja, kiedy po raz pierwszy o niej wspomniałem?
- Że to nieprawda.
- A co uważasz teraz?
- Że to chyba prawda. Ale nie mieści mi się w głowie.
- Musiałaś w ciągu tych lat rozmawiać z nim o kobietach, o tym, dlaczego się nie żeni? Co mówił?

- Twierdził, że jest zatwardziałym kawalerem. I że mu z tym dobrze.
- Niczego nie zauważyłaś?

- Na przykład czego?
- Że się wykręcał albo że nie mówił prawdy.

- Zawsze mówił bardzo przekonująco. Wallander miał wrażenie, że się zawahała.
- O czym myślisz?

Zwlekała z odpowiedzią. Taśma się przewijała.

- Czasami się zastanawiałam, czy przypadkiem nie był inny.
- Chciałaś powiedzieć: czy nie był gejem? -Tak.
- Dlaczego tak myślałaś?
- To chyba nic dziwnego?

Wallander zdał sobie sprawę, że i jemu nieraz to przychodziło do głowy.

- Nie. Uważam, że to zupełnie naturalne.
- Kiedyś, sporo lat temu, zeszliśmy na ten temat podczas świątecznego obiadu. Mówiliśmy o wspólnym znajomym. Pamiętam jego gwałtowną reakcję.
- Na temat znajomego?
- Gejów jako takich. To było nieprzyjemne. Zawsze myślałam, że jest tolerancyjny.
- I co potem?
- Nic. Więcej do tego nie wracaliśmy.
- Nie wiesz, gdzie mamy szukać tej Louise?
- Nie.
- Skoro prawie nigdy nie ruszał się z Ystadu, powinna mieszkać w mieście lub w okolicy.

- Nie wiem. Spojrzała na zegarek.
- O której musisz być w pracy?
- Za pół godziny. Nie lubię się spóźniać.
- Jak Karl Evert. Był bardzo punktualny.

- Wiem. Jak to się mówi? Człowiek, według którego można regulować zegarek.
- Jaki on właściwie był?
- Już o to pytałeś.
- Pytam jeszcze raz. Jako człowiek?
- Dobry. Dobry człowiek. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Dobry człowiek, który potrafi się złościć. Ale rzadko. Był nieśmiały, obowiązkowy. Dla wielu nudny, nijaki. Trochę powolny, ale nie głupi.

Wallander uważał, że jej opis był bardzo trafny. Sam podobnie by scharakteryzował Svedberga.

- Kto był jego najlepszym przyjacielem? Jej odpowiedź go zaskoczyła.
- Myślę, że ty. -Ja?
- Tak mówił: „Kurt Wallander jest moim najlepszym przyjacielem”.

Wallander milczał. Tego się nie spodziewał. Uważał Svedberga za kolegę z pracy. Nie spotykali się prywatnie, nigdy nie rozmawiali na osobiste tematy. Przyjacielem był Rydberg, pomału zaprzyjaźniał się z Ann-Britt Hóglund. Ale nigdy Svedberg.

- Jestem szczerze zaskoczony - odezwał się w końcu. - Nie miałem zielonego pojęcia.
- Co nie zmienia faktu, że uważał cię za najlepszego przyjaciela.
- Jasne, że nie.

Wallander zrozumiał nagle, jaki Svedberg musiał być samotny. Przyjaźń sprowadzał do najmniejszego wspólnego mianownika. Wystarczyło, że nie byli nieprzyjaciółmi. Wpatrywał się w magnetofon. Z trudem ciągnął dalej.

- Czy miał innych przyjaciół, z którymi regularnie się spotykał?

- Należał do stowarzyszenia, którego członkowie studiują kulturę amerykańskich Indian. Przeważnie ze sobą korespondowali. Nazywa się chyba „Indian Science”. Ale nie jestem pewna.

- Sprawdzimy to. Czy jeszcze ktoś?

Chwilę się zastanowiła.

- Wspominał nieraz o emerytowanym dyrektorsze banku, który mieszka w mieście. Razem obserwowali gwiazdy.

- Jak się nazywa?

- Sundelius - powiedziała po chwili. - Bror Sundelius. Nigdy go nie poznałam.

Wallander wpisał nazwisko do notesu.

- Może ktoś jeszcze?

- Ja i mój mąż.

Wallander zmienił temat.

- Czy ostatnio nie zachowywał się inaczej niż zwykle? Może był niespokojny? Rozkojarzony?

- Nie. Oprócz tego, że był przepracowany.

- Ale nie mówił dlaczego?

- Nie.

- Nie dziwiło cię, że był przepracowany? - postawił kolejne pytanie.

- Ani trochę.

- Często ci mówił, jak się czuje?

- Tak, nie pomyślałam o tym. Miał jeszcze jedną cechę. Był hipochondrykiem. Trapił się najmniejszą dolegliwością. Zwykle przeziębienie brał za poważną wirusową infekcję. Strasznie się bał zarazków.

Wallander ujrzał przed sobą Svedberga. Jak ciągle myje ręce. Jak unika każdego, kto był przeziębiony.

Spojrzała ponownie na zegarek. Czas się kurczył.

- Czy miał w domu broń?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Czy chciałabyś jeszcze coś dodać? Coś ważnego?

- Ogromnie mi go żal. Może nie był jakąś niezwykłą osobą. Ale będzie mi go brakowało. Był najuczciwszym człowiekiem, jakiego znałam.

Wallander wyłączył magnetofon. Odprowadził Ylvę do recepcji.

- Co mam robić z pogrzebem? - zapytała bezradnie. - Sture uważa, że prochy trzeba rozsypać na wietrze. Bez żadnej ceremonii i bez księdza. Nie wiem, czego Kalle by sobie życzył.

- Nie zostawił testamentu?

- Nic nie wiem. Gdyby tak było, powiedziałaby mi.

- Miał skrytkę bankową?

- Nie.

- Wiedziałybyś o tym?

-Tak.

- My, jego koledzy, na pewno przyjdziemy na pogrzeb -

zapewnił Wallander. - Porozmawiam z Lisą Holgersson i po proszę, żeby się z tobą skontaktowała.

Ylva Brink wyszła. Wallander wrócił do biura. Pojawiło się kolejne nazwisko - Bror Sundelius, emerytowany dyrektor banku. Odszukał go w książce telefonicznej i zapisał numer. Mieszkał w centrum przy ulicy Vadergrand. Zastanawiał się nad rozmową z Ylvą Brink. Co takiego powiedziała, czego nie wiedział wcześniej? Kobieta imieniem Louise była starannie ukrywaną tajemnicą. Dobrze strzeżoną tajemnicą, pomyślał Wallander. Zanotował: Dlaczego przez tyle lat ktoś ukrywa związek z kobietą? Ylva Brink powiedziała, że z oburzeniem wyrażał się o homoseksualistach. Bał się zarazków. I od czasu do czasu spotykał się z emerytowanym

dyrektorem banku, by popatrzeć na nocne niebo. Odłożył długopis i odchylił się na krześle. Nic się nie zmieniło. W gruncie rzeczy Svedberg jest dalej taki sam jak za życia. Nowa jest tylko wiadomość o kobiecie imieniem Louise. W dalszym ciągu nie ma nic, co wyjaśniłoby przyczynę jego śmierci.

Nagle ujrzał przed sobą jasny i logiczny przebieg zdarzeń. Svedberg nie zjawiał się w pracy, ponieważ już nie żył. Przyłapał włamywacza, a ten go zastrzelił i uciekł, zabierając teleskop. Dramat był przypadkowy, banalny w swojej potworności.

Nie było innego wytłumaczenia.

Dziesięć po ósmej zadzwonił do Lisy Holgersson do domu. Okazało się, że chciała się z nim porozumieć w sprawie pogrzebu. Wallander skierował ją do Ylvy Brink, a następnie zreferował popołudniowe wydarzenia. Dodał, że jest coraz bardziej przekonany, iż Svedberg padł ofiarą brutalnego włamywacza. Kto wie, czy nie narkomana.

- Dzwonił komendant główny - powiedziała Lisa. - Z wyrazami ubolewania i zaniepokojenia.
- W tej kolejności?
- Na szczęście tak.

Umówili się na dziewiątą rano następnego dnia. Obiecał, że ją zawiadomi, jeśli przedtem zdarzy się coś ważnego.

Odłożył słuchawkę i zaraz potem zadzwonił do byłego dyrektora banku, Sundeliusa. Nikt nie odpowiadał. Nie bardzo wiedział, co dalej. Czuł wzrastające zniecierpliwienie. Wiedział, że musi czekać. Na orzeczenie sądowego lekarza, na wyniki technicznej ekspertyzy.

Usiadł przy stole, cofnął taśmę i odsłuchiwał rozmowę z Ylvą Brink. Zwrócił uwagę na to, co powiedziała pod koniec. Że Svedberg był na wskroś uczciwym człowiekiem.

- Szukam psa, tam gdzie nie został pogrzebany - powie
dział głośno do siebie. - Przecież szukamy bandyty i włamy
wacza.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Martinsson.

- W recepcji czekają dziennikarze - poinformował. - Mimo
późnej pory.

Wallander się skrzywił.

- Nie mamy nic nowego.

- Wystarczy stare. Byle coś dostali.

- Nie możesz ich spławić? Obiecać konferencję prasową, jak tylko coś będzie wiadomo?

- Są odgórne zalecenia, żeby dbać o dobre stosunki z prasą - odparł ironicznie Martinsson. -
Zapomniałeś?

Wallander nie zapomniał. Z centralnego zarządu policji napływały do poszczególnych obwodów zarządzenia w sprawie „intensyfikacji przepływu informacji między policją a mediami”. Dziennikarzy nie należy odprawiać z kwitkiem. Trzeba im poświęcać czas i obchodzić się z nimi jak z jajkiem.

Z trudem wstał z krzesła.

- Pójdę z nimi porozmawiać - powiedział.

Przekonanie dwóch dziennikarzy, że nie ma żadnych nowych wiadomości, zajęło mu dwadzieścia minut. Omal nie stracił panowania nad sobą, gdy zdał sobie sprawę, że mu nie ufają. Z góry zakładali, że nie mówi prawdy. Jakoś się opanował i doprowadził rozmowę do końca. Kiedy wyszli, wziął sobie kawę ze stołówki i wrócił do biura. Wykręcił raz jeszcze numer Sundeliusa. Nikt nie odpowiadał. Była za piętnaście dziesiąta. Termometr za oknem wskazywał piętnaście stopni. Ulicą przejechał samochód, z nastawionym na cały regulator radiem. Wallander nie mógł sobie znaleźć miejsca. Mimo że uznał zabójstwo Svedberga za konsekwencję banalnego włamania, nie pozbył się obaw. W tym kryło się coś innego.

I kim była owa Louise?

Zadzwonił telefon. Znowu dziennikarze, westchnął zrezygnowany. Ale dzwonił Sven Widen.

- Czekam na ciebie - powiedział. - Gdzie się podziewasz?
Wiem, że masz dużo na głowie. Przykro mi z powodu tego,
co się stało.

Wallander zaklął w duchu. Zupełnie zapomniał, że był z nim umówiony na wieczór. Sven Widen miał hodowlę koni w pobliżu ruin twierdzy Stjarnsund. Znali się z czasów młodości i łączyło ich zainteresowanie muzyką operową. Później ich drogi się rozeszły. Wallander został policjantem, a Sten Widen przejął po ojcu stadnię wyścigowych koni. Od paru lat znów się zaczęli dość regularnie widywać. Całkiem mu wyleciało z głowy, że był z nim umówiony.

- Powinienem być zadzwonić. Zapomniałem o całym świecie.
- Słyszałem w radiu o zamordowaniu waszego kolegi. To zabójstwo czy morderstwo?
- Nie wiadomo. Jeszcze za wcześnie. Ale miałem okropną noc.
- Możemy się zobaczyć innym razem - zaproponował Sten Widen.

Wallander podjął szybką decyzję.

- Przyjadę teraz - powiedział. - Będę za pół godziny.
- Nie musisz.
- Czuję, że muszę się stąd wyrwać.

Wyszedł z komendy, nikomu nie mówiąc. Zanim wyjechał z Ystadu, przejechał przez Mariagatan i wziął komórkę. Jechał na zachód E65 i skręcił w lewo za Skurupem. Minął ruiny twierdzy i skręcił w stronę stadniny Widena. Słyszał rzenie samotnego ogiera. Poza tym panowała cisza.

Sten Widen wyszedł mu na spotkanie. Zazwyczaj miał na sobie ubranie robocze. Tym razem włożył białą koszulę i miał wilgotne włosy. Podali sobie ręce, Wallander poczuł woń alkoholu. Wiedział, że Sten Widen pije, ale nigdy nie poruszał tego tematu.

- Piękny wieczór - zauważył Widen. - Sierpień przyniósł lato. A może odwrotnie? Lato przyszło z sierpniem. Kto kogo właściwie nosi?

Wallander poczuł ukłucie zazdrości. To było życie, o jakim kiedyś marzył. Na wsi, z psem i być może z Bajbą. Żadna z tych rzeczy się nie spełniła.

- Jak konie? - zapytał.
- Nie najlepiej. Minęły już złote osiemdziesiąte lata, kiedy każdy myślał, że go stać na konia. Dziś ludzie liczą się z groszem. Modlą się wieczorem, żeby nie stracić pracy.
- Sądziłem, że konie kupują ludzie bogaci. Im chyba nie grozi bezrobocie?
- Na ogół tak, ale jest ich mniej niż kiedyś. Tak samo jest zresztą z golfem. Zwykli zjadacze chleba wdrapują się na ogrodenie i wchodzą na trawnik bogaczy.

Ruszyli w stronę stajni. Dziewczyna w stroju do konnej jazdy prowadziła konia za uzdę.

- Jedyna, która została, to Sofia - wyjaśnił Widen. - Inne musiałem zwolnić.

Kilka lat wcześniej Widen miał romans z pracownicą stadniny. Miała chyba na imię Jenny, przypomniał sobie Wallander.

Widen zamienił parę słów z dziewczyną. Koń nazywał się Black Triangle. Zawsze go dziwiły te osobliwe imiona.

Weszli do stajni. Przystanęli przed boksem z klaczą.

- Nazywa się Dreamgirl Express - powiedział Widen. - Można powiedzieć, że żyje z niej. Gdyby nie ona, byłoby cienko. Właściciele koni narzekają na drożyznę. Mój rewizor dzwoni do mnie coraz częściej i o coraz wcześniejszej porze. Nie wiem, jak długo jeszcze pociągnę.

Wallander ostrożnie poklepał klacz po pysku.

- Do tej pory jakoś to było - stwierdził.

Widen pokręcił głową.

- Nie wiem, co będzie w przyszłości. Wiem jednak, że jeszcze ciągle mogę to wszystko sprzedać za całkiem przyzwoite pieniądze. I wtedy wyjadę.

- Dokąd?

- Spakuję walizkę, a potem porządnie się wyspię. Resztę postanowię, jak się obudzę. Ze stajni przeszli do części mieszkalno-biurowej. Zwykle panował tam nieopisany bałagan. Tym razem Wallander ze zdziwieniem zauważył, że było sprzątnięte.

- Kilka miesięcy temu zauważyłem, że sprzątanie jest rodzajem terapii - powiedział Widen, widząc jego zaskoczenie.

- Mnie to nie pomaga - odparł Wallander. - Bóg mi świadkiem, że próbowałem.

Sten Widen wskazał na stół z butelkami. Po chwili wahania Wallander skinął głową. Pomyślał, że doktor Góransson nie byłby zadowolony. Ale tym razem nie mógł się oprzeć.

Około północy Wallander był lekko podпиты. Siedzieli w ogrodzie za domem. Przez otwarte okno płynęła muzyka. Sten Widen zamknął oczy i jedną ręką dyrygował finał z Don Gioanniego. Wallander myślał o Bajbie. Samotny koń stał nieruchomo na pastwisku, spoglądając w ich stronę. Muzyka umilkła, zapanowała cisza.

- Marzenia młodości przemijają, uroki muzyki pozostają - stwierdził Widen. - Dziś trudno jest być młodym. Widzę to po dziewczynach, które pracują w stajni. O czym mogą marzyć, czego się spodziewać? Bez wykształcenia, bez wiary w siebie. Komu będą potrzebne, jak je zwolnię?

- Szwecja stała się bezlitosnym krajem - odparł Wallander. - Bezlitosnym i brutalnym.

- Jak ty, do cholery, wytrzymujesz w policji? - zapytał Widen.

- Nie wiem. Ale obawiam się społeczeństwa, w którym władzę przejmą prywatne armie ochroniarzy. Poza tym, jestem chyba nie najgorszym policjantem.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Wiem. Ale to jest moja odpowiedź.

Weszli do środka. Wieczór robił się wilgotny. Ustalili, że Wallander wróci taksówką, a Widen rano przywiezie mu samochód. Nie chciał zostać na noc.

- Pamiętasz, jak wybraliśmy się do Niemiec, żeby posłuchać Wagnera? - przypomniał Sten Widen. - Minęło już dwadzieścia pięć lat. Znalazłem niedawno kilka zdjęć z tamtego czasu. Chcesz obejrzeć?

- Chętnie.

- Trzymam je w skrytce. Są dla mnie bardzo cenne.

Wallander widział, jak Widen zdejmuje kawałek boazerii przy oknie. Pod spodem była nisza. Wyciągnął blaszane pudełko, w którym trzymał zdjęcia. Wallander ze zdumieniem rozpoznał na nich siebie. Zdjęcia były zrobione na postoju przy szosie do Lubeki. W ręce trzymał butelkę z piwem i wyglądał, jakby coś wrzeszczał do fotografa. Wszystkie były w tym samym stylu. Potrząsnął głową i zwrócił je Widenowi.

- Dobrze się bawiliśmy - podsumował Widen. - Lepiej niż kiedykolwiek później.

Wallander dolał sobie whisky. Widen miał rację. Później już nigdy tak dobrze się nie bawili. Koło pierwszej zadzwonili do Skurupu po taksówkę. Wallandera bolała głowa i było mu niedobrze. Czuł się bardzo zmęczony.

- Powinniśmy kiedyś powtórzyć tę podróż do Niemiec - zaproponował Sten Widen. Stali na podwórzu i czekali na taksówkę.

- Nie powtórzyć - odparł Wallander - lecz wybrać się w nową. Niestety, nie mam na sprzedaż gospodarstwa.

Wsiadł do taksówki i podał adres. Sten Widen patrzył za odjeżdżającym wozem. Wallander skulił się w kącie na tylnym siedzeniu i zapadł w sen.

Ocknął się, gdy mijali zjazd na Rydsgard. Coś wyrwało go ze snu. Z początku nie mógł sobie przypomnieć, co to było. Ale już po chwili wiedział. Sten Widen stał przy oknie i wyjmował kawałek boazerii.

Natychmiast oprzytomniał. Svedberg przez wiele lat strzegł swojej tajemnicy. Kobiety imieniem Louise. Jedyne, co Wallander znalazł w szufladach biurka, to kilka starych listów od rodziców.

Svedberg ma skrytkę, pomyślał. Tak jak Sten Widen.

Pochylił się ku kierowcy i zmienił adres z Mariagatan na Stortorget. Tuż po wpół do drugiej był na miejscu. Klucze do mieszkania Svedberga miał w kieszeni. Pamiętał, że w szafce łazienkowej widział proszki od bólu głowy.

Otworzył drzwi i nasłuchiwał, wstrzymując oddech. Wrzucił tabletki do szklanki z wodą. Z ulicy dochodziły pokrzykiwania młodzieży. Po chwili zapadła cisza. Odstawił szklankę i ruszył na poszukiwanie skrytki Svedberga. Znalazł ją za piętnaście trzecia rano, w sypialni pod komodą. W zagłębieniu, pod kawałkiem plastikowej wykładziny, leżała brązowa koperta. Wyjął ją i przeszedł do kuchni. Nie była zaklejona.

Podobnie jak Sten Widen, Svedberg uważał zdjęcia za coś cennego.

W kopercie były dwie fotografie.

Na pierwszej widniała twarz kobiety. Portret, przypuszczalnie wykonany przez fotografa.

Drugie zdjęcie przedstawiało kilkoro młodych ludzi, siedzących w cieniu drzewa. Unosili w górę kieliszki z winem, kierując je w stronę niewidocznego fotografa. W tej sielankowej scenie było coś szczególnego.

Młodzi ludzie byli przebrani. Mieli na sobie odświętne stroje z innej epoki.

Wallander włożył okulary.

Poczuł ucisk w żołądku.

Przypomniał sobie, że widział szkło powiększające w szufladzie biurka Svedberga. Znalazł je i przyjrzał się dokładnie fotografii.

W rysach młodych ludzi było coś znajomego. Szczególnie w rysach dziewczyny z przodu, z prawej strony.

Po chwili ją rozpoznał. Niedawno oglądał jej zdjęcie. Bez przebrania.

Dziewczyną z prawej strony była Astrid Hillström.

Wallander ostrożnie położył zdjęcie na stole.

Gdzieś w oddali zegar wybił trzecią.

9

W sobotę o szóstej rano Wallander nie chciał już dłużej czekać. Wcześniej, do głębi poruszony, krążył tam i z powrotem po mieszkaniu. Nie był w stanie myśleć, a niepokój nie pozwalał mu zasnąć. Na stole w kuchni leżały dwa zdjęcia, które kilka godzin wcześniej znalazł w mieszkaniu Svedberga. Paliły go w kieszeni, kiedy szedł na Mariagatan ulicami opustoszałego miasta. Dopiero kiedy zdjął kurtkę, uświadomił sobie, że po drodze padał drobny deszcz. Nawet go nie zauważył.

Zdjęcia, które znalazł w skrytce Svedberga, miały przełomowe znaczenie dla śledztwa.

Nieokreślony niepokój, który odczuwał od samego początku, przerodził się w gwałtowny lęk.

Zagadkowa sprawa młodych ludzi, podróżujących podobno gdzieś po Europie, łączyła się nagle z najbardziej ponurym śledztwem, jakie kiedykolwiek prowadziła ystadzka policja - zabójstwem kogoś z ich własnego kręgu. Od momentu, kiedy dokonał odkrycia w mieszkaniu Svedberga, targały nim spreczne myśli. Wiedział, że nastąpił przełom w śledztwie, nie wiedział jednak, w jakim zmierzało kierunku.

Co właściwie mówiły zdjęcia? Zdjęcie Louise było czarno--białe, a grupy młodych ludzi - kolorowe. Na odwrocie nie było wydrukowanej daty. Czyżby zostały wywołane w domu? A

może są jeszcze maszyny, które nie drukują daty wywołania na odwrocie? Format był standardowy. Usiłował odgadnąć, czy robił je zawodowy fotograf, czy amator. Wiedział, że zdjęcia wywołane w domu mają często nierówną powierzchnię. Miał wiele wątpliwości i zdawał sobie sprawę, że sam ich nie rozstrzygnie.

Starał się wczuć w nastrój panujący na zdjęciach. Czy zawierają jakąś informację o tych, którzy je zrobili? Przyjmował, że nie wykonała ich ta sama osoba. Czy zdjęcie Louise zrobił Svedberg? Z jej spojrzenia nie można było nic wyczytać. Zdjęcie młodych ludzi również niewiele mówiło. Kompozycja wydawała się dość przypadkowa. Chodziło raczej o to, żeby się wszyscy zmieścili w kadrze. Ktoś wziął aparat, zawołał i pstryknął. Przyszło mu na myśl, że było to jedno z serii zdjęć zrobionych przy tej samej okazji. Ale gdzie szukać pozostałych?

Najbardziej jednak niepokoił go fakt, że nie może w sensowny sposób połączyć obu wątków. Dowiedzieli się, że Svedberg, tuż przed urlopem, prowadził prywatne dochodzenie w sprawie zaginionych. Dlaczego? I dlaczego robił to potajemnie? Skąd się wzięło zdjęcie młodych ludzi wznoszących toast? Gdzie zostali sfotografowani?

Następną kwestią była twarz kobiety. Wydawało mu się niemal pewne, że to Louise. Wallander uważnie oglądał zdjęcie w świetle lampy. Miała około czterdziestki - była kilka

lat młodsza od Svedberga. Dziesięć lat wcześniej, kiedy się poznali, mogła mieć około trzydziestki, a Svedberg trzydzieści pięć. To by się zgadzało. Kobieta na zdjęciu miała proste, ciemne włosy, przycięte na pazia. Zdjęcie było czarno-białe, więc nie widział koloru oczu. Miała szczupłą twarz, wąski nos i zaciśnięte usta, na których rysował się cień uśmiechu.

Uśmiech Mony Lisy. Z tą różnicą, że w oczach kobiety nie było ani cienia uśmiechu. Zdjęcie może być po retuszu, pomyślał. Albo ma mocny makijaż.

W fotografii było coś nieuchwytnego. Twarz kobiety się wymykała. Utrwalona na kliszy, mimo to nieobecna.

Na odwrocie zdjęć nie było żadnych napisów. Nie miały śladów palców ani zagięć.

Znalazłem dwa nienaruszone zdjęcia, pomyślał Wallander. Bez śladów palców, jak nierozcięte strony książki.

Wytrzymał do szóstej. Później zadzwonił do Martinssona, który był rannym ptaszkiem.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

- Co innego, gdybyś zadzwonił o dziesiątej wieczór. Ale nie o szóstej rano. Właśnie wychodziłem popracować w ogródku.

Wallander opowiedział mu o fotografiach. Martinsson słuchał, nie przerywając.

- Musimy się jak najszybciej spotkać - zakończył Wallander. - Nie o dziewiątej, ale za godzinę.

- Rozmawiałeś z pozostałymi?

- Najpierw zadzwoniłem do ciebie.

- Kto ma się stawić?

- Wszyscy, włącznie z Nybergiem.

- Zadzwoń ty. Rano jest wściekły, a ja źle to znoszę przed poranną kawą.

Martinsson miał powiadomić Hanssona i Ann-Britt Hóg-lund, Wallander resztę. Zaczął od Nyberga.

Tak jak się spodziewał, był rozespany i opryskliwy.

- Zebranie będzie o siódmej, nie o dziewiątej - powiedział Wallander.

- Stało się coś? Czy to czysta złośliwość?

- O siódmej - powtórzył Wallander. - Jeśli wydaje ci się, że narady grupy dochodzeniowej zwoluje się z czystej złośliwości, powinienes się zwrócić do związków.

Wstawił wodę na kawę. Pożałował własnych słów. Zadzwonił do Lisy Holgersson, która obiecała, że przyjdzie. Wyszedł z kawą na balkon. Termometr zapowiadał kolejny ciepły dzień. Usłyszał brzęk w otworze na listy. Kluczyki od samochodu. Po takim wieczorze, pomyślał. Sten jest niesłychany.

Czuł się ociężały ze zmęczenia. Wyobraził sobie z niesmakiem małe wysepki białego cukru płynące w jego żyłach. Wyszedł z domu tuż po wpół do siódmej. Na schodach minął roznosiciela gazet, starszego mężczyznę, niejakiego Stefansso-na. Nogawki miał zapięte spinaczami.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział. - W drukarni była awaria.

- Dostarcza pan gazety na Lilia Norregatan? - spytał Wallander.

Stefansson od razu wiedział, o co chodzi.

- Tam, gdzie zabili policjanta?

- Tak.

- To rejon Selmy. Ona jest ze wszystkich najstarsza stażem. Zaczęła pracować w czterdziestym dziewiątym roku. Ile to już lat - czterdzieści dziewięć?

- Jak ma na nazwisko?

- Nylander.

Stefansson wyciągnął rękę z gazetą.

- Piszą o panu - powiedział.

- Proszę zostawić na górze - odparł Wallander. - I tak przed wieczorem nie zdążę przeczytać.

Wallander mógł pójść pieszo i zdążyłby na czas. Ale wziął samochód. Postanowił rozpocząć nowe życie o jeden dzień później.

Na parkingu natknął się na Ann-Britt Hóglund.

- Roznosicielka gazet w domu Svedberga nazywa się Selma Nylander - poinformował. - Czy już z nią rozmawiałaś?

- Należy do nielicznych, którzy nie mają w domu telefonu.

Wallander przypomniał sobie Sture Björklunda, który postanowił pozbyć się z domu telefonu. Czyżby to jakieś nowe, szersze zjawisko? Weszli do sali zebrań. Wallander zawrócił w drzwiach i poszedł przynieść sobie kawę. Przystanął w korytarzu. Zastanawiał się, jak poprowadzić zebranie. Zwykle

był dobrze przygotowany. Tym razem jedyne, co mu przychodziło do głowy, to zademonstrować posiadane zdjęcia i zainicjować dyskusję.

Zamknął za sobą drzwi i usiadł na swoim stałym miejscu. Krzesło Svedberga stało puste, nikt go nie zajął. Wyjął kopertę ze zdjęciami z wewnętrznej kieszeni kurtki. Pokrótce opowiedział o swoim odkryciu. Przemilczał fakt, że wpadł na trop, gdy podpity wracał taksówką od Stena Widena. Od czasu kiedy przed niemal sześciu laty, prowadząc po pijanemu, został zatrzymany przez patrol kolegów z pracy, unikał jakichkolwiek wzmianek o swoich alkoholowych ekscesach.

Miał przed sobą zdjęcia. Hansson wyciągał rzutnik.

- Jedna rzecz jest pewna - zaczął Wallander. - Dziewczyna z prawej, na pierwszym planie - to Astrid Hillstrom. Jedna z tych, którzy przepadli w wigilię świętego Jana.

Włożył zdjęcia do rzutnika. Przy stole panowała cisza. Wallander raz jeszcze przyglądał się fotografiom. Nie widział niczego szczególnego.

Pierwszy przerwał ciszę Martinsson.

- Trzeba przyznać, że Svedberg miał dobry gust. To piękna kobieta. Może ktoś z was ją rozpozna? Ystad jest w końcu małym miastem.

Nikt nie znał ani jej, ani nikogo z pozostałej trójki. Nie mieli wątpliwości, że dziewczyna z prawej strony to Astrid Hillstrom. Widzieli jej zdjęcie w teczce z aktami sprawy. Tyle tylko, że nie była przebrana.

- Czy to jakaś maskarada? - spytała Lisa Holgersson. -

Z jakiej epoki są te stroje?

- To siedemnasty wiek - stwierdził stanowczo Hansson. Wallander spojrzał na niego zdumiony.
- Po czym tak sądzisz?
- A może osiemnasty - Hansson wycofał się, zbity z tropu.

- Dla mnie raczej szesnasty - powiedziała Ann-Britt Hóglund. - Czasy Gustawa I Wazy. Tak się wtedy ubierano. Bufiaste rękawy i trykoty.

- Jesteś pewna? - zapytał Wallander.

- Nie, skądże. Tak mi się tylko wydaje.

- Odłóżmy tymczasem na bok domysły. Prawdę mówiąc, nie to jest najważniejsze. Właściwe pytanie brzmi: dlaczego się przebrali? Ale do tego jeszcze dojdziemy. - Rozejrzał się po zebranych i ciągnął dalej: - Mamy zdjęcie kobiety około czterdziestki i grupy młodych ludzi w przebraniu. Wśród nich Astrid Hillström, która zaginęła w noc świętojańską. Albo raczej podróżuje w tej chwili po Europie wraz z pozostałą dwójką. To nasz punkt wyjścia. Zdjęcia znalazłem w tajnej skrytce, w mieszkaniu zamordowanego Svedberga. Musimy się cofnąć do nocy świętojańskiej. Od tego zaczniemy.

Przewertowanie dostępnego materiału zajęło im z górą trzy godziny. Większość czasu spędzili na formułowaniu nowych pytań i wyznaczaniu konkretnych zadań, zmierzających do ich wyjaśnienia. Po dwóch godzinach Wallander zaproponował krótką przerwę. Wszyscy prócz Lisy Holgersson przynieśli sobie kawę. Grupa dochodzeniowa przystąpiła do działania. Piętnaście po dziesiątej Wallander uznał, że już dosyć.

Lisa Holgersson, jak zwykle podczas ich zebrań, przez większość czasu się nie odzywała. Wallander wiedział, że bardzo ceniła ich kompetencje. W pewnej chwili podniosła rękę na znak, że chce zabrać głos.

- Co właściwie mogło się im stać? - spytała. - Po tak długim czasie byłoby już wiadomo.

- Nie wiem - odparł Wallander. - Hipoteza wypadku opiera się na bardzo kruchym założeniu. Mianowicie, że podpisy na pocztówkach zostały sfalszowane. Dlaczego ktoś miałby je sfalszować?

- Żeby ukryć zbrodnię - odezwał się Nyberg.

W pokoju zapanowała cisza. Wallander spojrzał na Nyberga i powoli skinął głową.

- I to nie byle jaką - mówił dalej Nyberg. - Osoby, które znikają, przepadają jak kamień w wodę albo po jakimś czasie się odnajdują. Jeśli przyjmiemy, że ktoś sfalszował pocztówki, to zrobił to w jednym celu. Żeby jak najdłużej ukryć fakt, że nasza trójka: Boge, Norman i Hillström, nie żyje.

- To znaczy, że autor pocztówek wie, co się wydarzyło - zasugerowała Ann-Britt Hóglund.

- A nawet więcej - dodał Wallander. - To on jest mordercą. Potrafi naśladować ich podpisy. Zna ich nazwiska i adresy.

Wallander cofał się przed nasuwającymi się, nieuchronnymi wnioskami.

- Za sprawą kilku sfalszowanych pocztówek kryje się, być może, zabójstwo z premedytacją. Jeżeli tak jest, to nasza trójka padła ofiarą wyrachowanego i drobiazgowo zaplanowanego morderstwa.

Po tych słowach zapadła długa cisza. Wallander miał przygotowany dalszy ciąg, lecz czekał, czy ktoś inny zechce zabrać głos.

Z korytarza dochodził głośny śmiech. Nyberg wytarł nos. Hansson siedział ze spuszczoneym wzrokiem, a Martinsson bębnił palcami w stół. Ann-Britt Hóglund i Lisa Holgersson patrzyły na Wallandera. Moje dwie sojuszniczki, pomyślał.

- Jesteśmy skazani na spekulacje. Niektóre z nich będą niezwykle przykre i trudne do zaakceptowania. Chodzi mi o Svedberga. Wiemy, że miał w domu zdjęcie Astrid Hillström i jej przyjaciół. Wiemy, że potajemnie prowadził w ich sprawie śledztwo. Nie wiemy, czym się kierował. Młodzi ludzie nadal się nie odnaleźli, a Svedberg został zamordowany. Po dejrzeniu włamanie na tle rabunkowym, ale może włamał się ktoś, kto czegoś szukał. Na przykład tego zdjęcia. Nie można jednak całkowicie wykluczyć, że Svedberg był w jakiś sposób w to zamieszany.

Hansson cisnął pióro na stół.

- To nie do wiary! - powiedział z oburzeniem. - Zamordowano bestialsko jednego z naszych kolegów. Jesteśmy tu po to, żeby znaleźć sprawcę. Tymczasem się zastanawiamy, czy Svedberg nie był zamieszany w jeszcze straszniejszą zbrodnię.

- Musimy brać pod uwagę różne ewentualności - odparł Wallander.

- Masz rację - wtrącił Nyberg. - Nawet te nieprzyjemne. Od czasu wydarzeń w Belgii zaczynam wierzyć, że wszystko jest możliwe.

Wallander wiedział, że Nyberg ma słuszość. Makabryczne zabójstwa dzieci w Belgii odsłoniły powiązania policji z politykami. Nie znano jeszcze szczegółów, ale wszyscy spodziewali się ujawnienia wielu nowych, kompromitujących faktów.

Dał znak Nybergowi, żeby mówił dalej.

- Zastanawiam się, jaką w tym wszystkim rolę odgrywa kobieta, którą nazywamy Louise - ciągnął Nyberg.

- Nie wiem - odpowiedział Wallander. - Musimy utworzyć jak najszerszy front i szukać odpowiedzi na najważniejsze pytania. Między innymi na to.

W sali zebrania panował nastrój przygnębienia. Podzielili między siebie zadania. Było jasne, że będą musieli pracować na okrągło. Lisa Holgersson miała dopilnować, żeby przydzielono im dodatkowy personel.

Rozeszli się tuż po wpół do jedenastej. Mieli znów się spotkać wieczorem. Martinsson zatelefonował do żony, że nie pójdzie na proszoną kolację. Wallander dalej siedział. Był zbyt zmęczony, żeby pójść do toalety. Polowanie z nagonką, pomyślał. Każde dochodzenie jest jak oblawa.

Dał znak Ann-Britt Hóglund, żeby nie wychodziła. Poprosił o zamknięcie drzwi.

- Chcę usłyszeć twoją opinię - powiedział, kiedy usiadła.

- Bronię się przed własnymi myślami. Niektóre są bardzo nieprzyjemne.

- Jak wszyscy. Jeszcze kilka godzin temu Svedberg był brutalnie zamordowanym kolegą. Teraz wszystko się zmieniło. Może się okazać, że sam był zamieszany w zbrodnię.

- Wierzysz w to?

- Nie. Ale muszę brać pod uwagę również to, w co sam nie wierzę. Chociaż to dziwnie brzmi.

- Co mogło się stać?

- Chciałbym to usłyszeć od ciebie.

- Stwierdziliśmy powiązanie Svedberga z zaginionymi.

- Nie całkiem. Powiązanie Svedberga z Astrid Hillström. Na razie nic poza tym.

Skinęła głową.

- Masz rację. Svedberga z Astrid Hillström.

- Co jeszcze?

- Svedberg był kimś innym, niż sądziliśmy. Wallander nalegał.

- A co sądziliśmy? Zastanowiła się.

- Że był tym, za którego uchodził.

- A za jakiego uchodził?

- Bezpośredni, otwarty. Słowny.
- Czyli mógł być nieprzystępny, zamknięty i niesłowny?
- Niezupełnie. Ale w pewnym stopniu.
- Spotykał się potajemnie z kobietą, która, być może, miała na imię Louise. Mamy jej zdjęcie.
Wallander włączył projektor i wyświetlił zdjęcie kobiecej twarzy.
- W tej twarzy jest coś dziwnego. Nie potrafię tego określić.
Ann-Britt się zawahała. Wyglądało, że podzieliła jego wątpliwości.
- Coś z włosami - powiedziała z wahaniem. - Ale nie wiem co.
- Musimy ją odnaleźć - stwierdził Wallander. - I odnajdziemy.
Wyświetlił drugie zdjęcie i spojrzał na nią. Była niezdecydowana.
- Jestem niemal pewna, że to stroje, jakie się nosiło w szesnastym wieku. Mam w domu książkę o modzie w różnych epokach. Ale naturalnie, mogę się mylić.
- Co jeszcze widzisz?
- Beztroskich młodych ludzi. Podchmielonych i podochoconych.
Wallander pomyślał o zdjęciach u Stena Widena, ze wspólnej podróży do Niemiec. Stał na nich z butelką piwa w ręku i był zdrowo zalany.
Mieli podobny wyraz twarzy.
- Co jeszcze widzisz?
- Chłopak z lewej jakby coś krzyczał do fotografa.
- Gdzie się znajdują?
- Ciebie pada z lewej strony. Znajdują się na zewnątrz. W tle widać krzewy i kilka drzew.
- Siedzą na obrusie, na którym rozłożyli jedzenie. Są przebrani. Co to oznacza?
- Zabawę. Maskaradę.
- Widać, że impreza odbywa się latem. Z całego zdjęcia promieniuje ciepło. Może świętują wigilię świętego Jana. Ale nie w tym roku, bo na zdjęciu nie ma Leny Norman.
- Astrid Hillström wygląda nieco młodziej.
Wallander się z nią zgadzał.
- Mnie też się tak wydaje. To zdjęcie sprzed roku albo dwóch.
- Nie widać, żeby coś im groziło - zauważyła. - W ich wieku mieliśmy w sobie tę samą radość. Życie należało do nas, reszta się nie liczyła.
- Mam dziwne uczucie - powiedział Wallander. - Jeszcze nigdy nie rozpoczynałem dochodzenia w takich okolicznościach. Trop Svedberga jest na pewno ważny. Ale właściwie nie wiem, w którą stronę się obrócić. Igła kompasu kręci się w kółko.
- Na dodatek mamy stracha - dodała. - Bo może się okazać, że Svedberg jest zamieszany w coś, o czym wolelibyśmy nie wiedzieć.
- Ylva Brink powiedziała wczoraj rzecz, która mnie zaskoczyła. Twierdziła, że Svedberg uważał mnie za swojego najlepszego przyjaciela.
- Zdziwiło cię to? - zapytała.
- Przyznaję, że tak.
- W dodatku on cię podziwiał. Wszyscy o tym wiedzieli.
Wallander wyłączył projektor i włożył zdjęcia do koperty.
- Chyba że Svedberg był kimś innym, niż sądziliśmy.
Również w stosunku do mnie.
- To znaczy, że w rzeczywistości cię nienawidził.
Wallander się skrzywił.
- Nie przypuszczam. Ale nie mam pewności, że tak nie było.

Wyszli z pokoju. Ann-Britt wzięła zdjęcia dla Nyberga, żeby zabezpieczył odciski palców. Przedtem jednak poszła je skserować.

Wallander poszedł do toalety. Sikał długo, bezbarwnym strumieniem. W stołówce wypił prawie litr wody.

Podzielili się zadaniami. Wallander miał porozmawiać z Evą Hillstrom i odbyć kolejną wizytę u Sture Björklunda w Hedeskodze. Usiadł w pokoju i położył dłoń na słuchawce. Po chwili zmienił zdanie i postanowił pojechać do Ewy Hillstrom bez telefonicznej zapowiedzi. Ann-Britt zapukała do drzwi i przyniosła kopie zdjęć. Na powiększeniach rysy młodych ludzi były wyraźniejsze.

Wallander wyszedł z komendy o dwunastej w południe. Były dwadzieścia trzy stopnie. Zdjął kurtkę, zanim wszedł do samochodu.

Eva Hillstrom mieszkała przy ulicy Kórlinge, na wschodnim krańcu miasta. Zaparkował przed furką dużego domu z początku wieku, z rozległym ogrodem. Podeszedł do drzwi i zadzwonił. Eva Hillstrom otworzyła i wzdrygnęła się nerwowo na jego widok.

- Nic się nie stało - zapewnił szybko. Obawiał się, że kobieta uzna jego przyjście za potwierdzenie najgorszych przeżyć. - Mam tylko kilka dodatkowych pytań.

Wszedł do obszernego holu. Czuł ostry zapach środków czyszczących. Eva Hillstrom była w sportowym dresie i na bosaka. Patrzyła na niego niespokojnym wzrokiem.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział.

W odpowiedzi coś niewyraźnie mruknęła. Przeszli do dużego salonu. Sądząc po drogich meblach i obrazach, gospodarzom musiało się dobrze powodzić. Usiadł posłusznie na wskazanym miejscu.

- Napije się pan czegoś? - zapytała.

Pokręcił głową. Chciało mu się pić, ale prośba o szklanekę wody nie przechodziła mu przez usta.

Przysiadła na brzeżku krzesła. Wyglądała jak sprinterka czekająca na sygnał do startu. Wyjął z kieszeni kopie i podał jej zdjęcie kobiecej twarzy. Rzuciła na nie okiem i podniosła na niego zdziwiony wzrok.

- Kto to? - spytała.

- Nie rozpoznaje jej pani?

- Czy ona ma coś wspólnego z Astrid?

Mówiła agresywnym tonem. Wallander postanowił być bardzo stanowczy.

- Policjant jest zmuszony zadawać rutynowe pytania - wyjaśnił. - Pokazałem pani zdjęcie i pytam: czy poznaje pani tę twarz?

- Kto to jest?

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

- Nigdy jej nie widziałam na oczy.

- W porządku, to mi wystarczy

Chciała go o coś spytać, ale podsunął kolejne zdjęcie. Spojrzała na nie i poderwała się z krzesła, jakby nareszcie usłyszała sygnał do startu. Wyszła z pokoju i po minucie była z powrotem. W ręce trzymała zdjęcie.

- Kopie nigdy nie są tak samo dobre - powiedziała.

Wallander przyjrzał się fotografii. Tej samej, którą znalazł

u Svedberga i której kopię przyniósł ze sobą. Od razu poczuł, że jest blisko czegoś bardzo ważnego.

- Proszę powiedzieć coś o tym zdjęciu. Kogo przedstawia i gdzie zostało zrobione?

- Nie jestem pewna, ale gdzieś w Österlen. Może na wzgórzach koło Brósarpu. Dostałam je od Astrid.

- Kiedy zostało zrobione?

- W lipcu zeszłego roku. Magnus obchodził urodziny.

- Magnus?

Pokazała na zdjęcie. Był to chłopak, który coś krzyczał do nieznanego fotografa. Tym razem Wallander miał przy sobie notes.

- Jak Magnus ma na nazwisko?

- Hollmgren. Mieszka w Trelleborgu.

- A kim są pozostali?

Zanotował nazwiska i adresy. Nagle coś mu się przypomniało.

- Kto robił zdjęcie? - zapytał

- Astrid ma aparat z samowyzwalaczem.

- Czyli to ona robiła?

- Powiedziałam przecież, że aparat ma samowyzwalacz.

Wallander pytał dalej.

- To jest przyjęcie z okazji urodzin Magnusa. Dlaczego są przebrani?

- Taki mieli zwyczaj. Nie widzę w tym niczego dziwnego.

- Ja też nie. Ale muszę zadawać pytania.

Zapaliła papierosa. Wallander cały czas miał uczucie, że jest na granicy załamania nerwowego.

- Astrid miała wielu przyjaciół - stwierdził.

- Niewielu - odparła - ale dobrych.

Wskazała na drugą dziewczynę na zdjęciu.

- Isa też miała z nimi być w święto najkrótszej nocy. Ale zachorowała.

W pierwszej chwili Wallander nie rozumiał, o co chodzi. Potem pokazał na zdjęcie.

- Ta dziewczyna miała z nimi być w tym roku?

- Zachorowała.

- I dlatego byli tylko we trójkę? Bawili się we trójkę, a potem razem się wybrali w podróż po Europie?

-Tak.

Zajrzał do swoich notatek.

- Czy Isa Edengren mieszka w Skarby?

- Jej ojciec jest biznesmenem.

- Co mówiła na temat podróży?

- Nic nie było postanowione. Ona twierdzi, że na pewno wyjechali. Zawsze, gdy się spotykali, mieli przy sobie paszporty.

- Dostała jakąś pocztówkę?

- Nie.

- Uważa to za dziwne?

-Tak.

Eva Hillström zgasiła papierosa.

- Coś się stało - powiedziała. - Nie wiem co. Ale coś poważnego. Isa się myli. Nigdzie nie wyjechali. Są tutaj.

Miała łzy w oczach.

- Dlaczego nikt mi nie wierzy? - zapytała. - On jeden mnie słuchał. Ale teraz już mi nie pomoże.

Wallander wstrzymał oddech.

- On jeden pani słuchał - powtórzył powoli. - Czy dobrze zrozumiałem?

-Tak.

- Ma pani na myśli policjanta, który był tutaj w końcu czerwca?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Był tu wiele razy - powiedziała. - Nie tylko wtedy. W lipcu przychodził co tydzień. I wielokrotnie w sierpniu.

- Chodzi o policjanta nazwiskiem Svedberg?

- Dlaczego on nie żyje? - zapytała. - On jeden mi wierzył. I był równie zaniepokojony jak ja. Wallander milczał.

Nie miał nic do powiedzenia.

10

Wiatr był słaby.

Chwilami prawie niewyczuwalny. Od czasu do czasu delikatne podmuchy muskały mu twarz. Zaczął je liczyć, żeby zabić czas. To doznanie wpisze później na listę, na której notował wszystkie uroki życia. Życia człowieka szczęśliwego.

Przez wiele godzin stał ukryty pod wysokim drzewem. Lubił przychodzić przed czasem. Był ciepły sierpniowy wieczór.

Kiedy rano się obudził, wiedział, że nadszedł czas. Spał jak zwykle równo osiem godzin. Decyzja musiała zapaść podczas snu, w podświadomości. Dzisiaj odtworzy zdarzenie sprzed pięćdziesięciu jeden dni. Tym razem rozegra się ono na oczach wszystkich.

Wstał o piątej rano. W wolne dni nie zmieniał przyzwyczajeń. Wypił filiżankę herbaty, którą specjalnie sprowadzał z Szanghaju, zwinął czerwony dywan w salonie przed poranną gimnastyką. Po dwudziestu minutach zmierzył sobie puls, zanotował wynik w zeszycie treningowym i poszedł wziąć prysznic. O szóstej zasiadł do pracy przy biurku. Tego dnia miał przejrzeć obszerny raport, który zamówił w Ministerstwie Pracy. Zawierał wykaz środków zaradczych podejmowanych w celu ograniczenia wysokiego bezrobocia. Podkreślał tekst i robił notatki na marginesie. Nie znalazł żadnych rewelacji. Opracowanie opierało się na znanych mu wnioskach, opartych na analizie danych statystycznych.

Odłożył długopis i myślał o anonimowych autorach tego bezsensownego raportu. Takim jak oni nie grozi bezrobocie, pomyślał. Nigdy nie zaznają szczęścia, jakie daje poznanie sensu egzystencji, jej ukrytego znaczenia. Nie wiedzą, co naprawdę stanowi o wartości człowieka.

Czytał do dziesiątej, potem ubrał się i wyszedł po zakupy. Przyrządził obiad i po jedzeniu położył się, żeby odpocząć.

W sypialni miał wytłumione ściany. Kosztowało go to dużo pieniędzy. Ale było warto. Do pokoju nie docierały żadne odgłosy z ulicy. Kazał zamurować otwory okienne. Dopływ świeżego powietrza zapewniało bezszmerowe urządzenie klimatyzacyjne. Na ścianie wisiała podświetlona mapa. Widział na niej wędrówkę słońca dookoła kuli ziemskiej. Pokój był centrum jego świata. Tutaj mógł jasno myśleć. O tym, co było i co nastąpi.

Tu nie musiał się zastanawiać, kim jest, ani wątpić w to, że ma rację.

Ma rację, twierdząc, że sprawiedliwość nie istnieje.

Pamiętał konferencję, która odbywała się gdzieś w górach Jamtlandii. Pracował wtedy w firmie inżynierskiej. W drzwiach pokoju pojawił się nagle szef i kazał mu jechać. Ktoś zachorował. Oczywiście od razu się zgodził, mimo że wcześniej miał już zaplanowany weekend. Zgodził się, bo nie chciał dyskutować z szefem. Konferencja dotyczyła techniki cyfrowej. Przewodniczył jej starszy mężczyzna, który kiedyś pracował w Atvidabergu przy produkcji mechanicznych kas. Mówił o nowych czasach. Wszyscy uczestnicy pochyłali się nad notatkami.

Chyba ostatniego wieczoru wybrali się do sauny. Nie lubił kąpiele w saunie. Nie lubił przebywać nago wśród innych mężczyzn. Nie wiedział, jak się zachować. Czekał więc w barze, podczas gdy oni się pocili. Przyszli potem się napić. Ktoś zaczął opowiadać historyjkę o

wypróbowanych sposobach zwalniania pracowników. Wszyscy, oprócz niego, byli na kierowniczych stanowiskach. Opowiadali historyjki jedną po drugiej, aż w końcu zwrócili się do niego. Nie wiedział, co powiedzieć. Nigdy nikogo nie zwolnił. I nigdy nie przyszło mu do głowy, że sam mógłby stracić pracę. Skończył studia, znalazł się na swojej dziedzinie i spłacał pożyczkę zaciągniętą na naukę. Potrafił potakiwać.

Już później, gdy katastrofa stała się faktem, przypomniał sobie nagle jedną z tamtych opowieści. Niski, flakowaty facet z zakładu budowy maszyn w Torshalla opowiadał, jak zawołał do siebie długoletniego, starszego pracownika i powiedział:

- „Nie wiem, jak byśmy sobie dali radę bez pana w ciągu tych wszystkich lat”. To był znakomity sposób - oświadczył, śmiejąc się. - Staruszek był dumny i szczęśliwy, jego czujność osłabła. Potem już poszło łatwo. Powiedziałem tylko: „Od jutra jakoś będziemy sobie musieli poradzić”.

W ten sposób został zwolniony.

Często wspominał tę opowieść. Gdyby mógł, zabiłby tamtego faceta. Nie dość, że zwolnił z pracy starego pracownika, to jeszcze się tym chełpił.

Wyszedł z domu o trzeciej. Wsiadł do samochodu i pojechał na wschód. Zatrzymał się na parkingu w Nybrostrandzie i czekał, aż nikogo nie będzie w pobliżu. Wtedy szybko się przesiadł do jednego z zaparkowanych tam samochodów. Zanim wyjechał na główną szosę, włożył okulary i czapkę z daszkiem - naciągnął ją głęboko na oczy. Było ciepło. Mimo to nie opuszczał szyby. Miał wrażliwe zatoki. Nie chciał ryzykować, że się przeziębi.

Kiedy dojechał do rezerwatu, stwierdził, że ma szczęście. Nie było ani jednego samochodu. Nie musiał więc zakładać fałszywych tablic rejestracyjnych. Była sobota, minęła czwarta po południu. Nie przypuszczał, żeby pod wieczór zjawili się jacyś ludzie. Przez ostatnie trzy soboty obserwował wejście do rezerwatu. Wieczorami prawie nikogo nie było, a ci, którzy się tam znaleźli, opuszczali teren przed ósmą. Wyjął z bagażnika plastikową torbę z narzędziami. Miał ze sobą kanapki i termos z herbatą. Rozejrzał się, nasłuchując. Potem wszedł na ścieżkę i zniknął między drzewami.

Podmuch wiatru był słaby. Ale poczuł go - dwudziesty siódmy z kolei. Spojrzał na zegarek. Za trzy ósma. Od kiedy czekał ukryty za drzewem, nikt nie przeszedł ścieżką. Tuż po siódmej usłyszał szczekanie psa, i to wszystko. Wiedział, co to oznacza. W rezerwacie było pusto. Nikt mu nie przeszkodzi.

Dokładnie tak, jak przewidywał.

Jeszcze raz spojrzął na zegarek. Minuta po ósmej. Zaczeka jeszcze piętnaście minut.

O wyznaczonej godzinie ześlizgnął się w dół po zboczu i zniknął w gęstych zaroślach. Po kilku minutach był na miejscu. Zorientował się od razu, że nikt tamtędy nie przechodził. Między dwoma drzewami, które stanowiły naturalne wejście na polankę, przymocował nitkę. Ukłękął i sprawdził - była cała. Wyjął z torby składany szpadel i począł kopać. Metodycznie i niezbyt szybko, żeby się przypadkiem nie zgrzać, bo wtedy łatwiej się przeziębić. Co jakiś czas przerywał kopanie i nasłuchiwał. W dwadzieścia minut przekopał się przez zwartą darni, która stanowiła wierzchnią warstwę, i dotarł do plandeki. Zanim ją podniósł, roztarł pod nosem trochę mentolowej maści, a na twarz założył ochronną maseczkę. Ściągnął plandekę i włożył ją do torby. W dole leżały trzy plastikowe worki. Musiały być szczelne, bo nie czuł żadnego zapachu. Chwycił jeden z nich i zarzucił na plecy. Był silny i wysportowany. W niespełna dziesięć minut przeniósł wszystkie trzy worki na pierwotne miejsce. Potem z powrotem ułożył darni i udeptał ją, wyrównując powierzchnię. Co jakiś czas robił przerwę i nasłuchiwał.

Kiedy skończył, podszedł do drzewa, gdzie leżały worki. Wyciągnął z torby obrus, kieliszki i kilka foliowych torebek z zepsutymi resztkami jedzenia, które przechował w spizarni.

Potem otworzył worki i wyciągnął z nich ciała. Peruki były nieco pożółkłe. Plamy krwi zszarzały. Łamał i wykręcał zastygłe członki, aby ułożyć zwłoki w pozycji, w jakiej leżały w noc świętojańską. Wtedy, kiedy zrobił zdjęcie.

Na końcu wlał trochę wina do jednego z kieliszków.

Znowu nasłuchiwał. Wszędzie panowała cisza.

Zwinał worki i wcisnął je do torby. Zanim odszedł, wytarł resztki maści spod nosa i zdjął ochronną maskę. Po drodze do samochodu nie spotkał żywej duszy. Na parkingu też było pusto. Dojechał do Nybrostrandu i przesiadł się do pierwszego samochodu. Przed dziesiątą był z powrotem w Ystadzie. Minął miasto i pojechał dalej, w kierunku Trelleborga. Skręcił z szosy w drogę, która prowadziła nad wodę, i przystanął w osłoniętym miejscu. Włożył dwa worki do trzeciego i obciążył je kawałkami żelaznych rur, które wyjął z samochodu. Zatonęły natychmiast.

Wrócił do domu. Spalił w kominku ochronną maskę. Buty wrzucił do torby ze śmieciami. Słoik z maścią mentolową odstawił do szafki w łazience. Wszedł pod ciepły prysznic i przemył całe ciało środkiem dezynfekującym.

Po kąpieli napił się herbaty. Zauważył, że herbata w pudełku się kończy. Musi złożyć nowe zamówienie. Zapisał to na wiszącej w kuchni tablicy. Przez chwilę oglądał telewizję. Trafił na program o bezdomnych. Jak zwykle nie dowiedział się niczego nowego.

Około północy usiadł przy kuchennym stole. Położył przed sobą plik listów.

Czas zacząć robić plany na przyszłość.

Ostrożnie otworzył pierwszy list i zaczął czytać.

W sobotę, dziesiątego sierpnia, na krótko przed wpół do drugiej, Wallander wyszedł z willi Hillstrómów. Postanowił jechać prosto do Skarby, gdzie mieszkała Isa Edengren. Dziewczyna, która według Evy Hillstróm miała brać udział w świętojańskiej zabawie. Zapytał, dlaczego powiedziała o tym dopiero teraz. Dręczyło go poczucie winy, że tak późno zrozumiał powagę sytuacji.

Przystanął przy kawiarni opodal pętli autobusowej. Zamówił kanapkę i kawę. Za późno się zorientował, że ma nie jeść masła. Teraz usiłował zeszkrobać je nożem. Mężczyzna przy sąsiednim stoliku przyglądał mu się. Przypuszczalnie go rozpoznał. Teraz zaczęły krążyć pogłoski, że policjanci, zamiast zająć się szukaniem zabójcy swojego kolegi, przesiadują w kawiarniach, zeszkrobując masło z kanapek. Westchnął. Nigdy się nie uodpornił na pogłoski.

Wypił kawę, skorzystał z toalety i wyszedł. Postanowił jechać boczną drogą, przez Bjaresjö. Właśnie skręcał z głównej szosy, kiedy zadzwoniła komórka. Zatrzymał się na skraju szosy - dzwoniła Ann-Britt Hóglund.

- Widziałam się z rodzicami Leny Norman - poinformowałam. - Dowiedziałam się czegoś ważnego.

Wallander przycisnął mocniej słuchawkę do ucha.

- Wygląda na to, że na zabawie miała być jeszcze jedna osoba.

- Wiem. Właśnie jestem w drodze do jej domu.

- Do Isy Edengren?

- Tak. Eva Hillstrom pokazała mi oryginalne zdjęcie, którego kopię miał Svedberg. Córka zrobiła je w zeszłym roku aparatem z samowyzwalaczem.

- Svedberg jest cały czas krok przed nami - stwierdziła.

- W jakimś momencie go dogonimy - odpowiedział Wallander. - Co poza tym?

- Przychodzi nieco informacji od osób prywatnych. Nic ciekawego.

- Zrób mi przysługę - poprosił. - Zadzwoń do Ylvy Brink i zapytaj, jak duży był teleskop Svedberga. Nie pojmuję, gdzie mógł się podziać.

- Zrezygnowaliśmy już z koncepcji włamania?

- Z niczego nie rezygnujemy. Ale człowieka z teleskopem chyba dość łatwo zapamiętać.

- Czy to bardzo ważne, czy może poczekać? Jadę właśnie do Trelleborga na rozmowę z chłopakiem ze zdjęcia.

- Może poczekać. Kto zajmie się tym drugim?

- Martinsson i Hansson. Dałam im nazwisko. W tej chwili są w Simrishamn, u rodziny Boge.

Wallander był zadowolony.

- Dobrze będzie, jeśli dzisiaj ich wszystkich złapiemy. Wierzę, że będziemy mieli o wiele więcej informacji.

Zakończyli rozmowę. Kiedy Wallander znalazł się w Skarby, szukał drogi według wskazówek Evy Hillstrom. Dowiedział się od niej, że ojciec Isy Edengren jest właścicielem dużej posiadłości i kilku koparek. Skręcił w zadrzewioną aleję i zatrzymał samochód przed dwupiętrowym domem. Na podwórzu stało bmw. Zadzwoił do drzwi. Nikt nie otwierał. Zastukał mocniej i zadzwonił jeszcze raz. Czuł, że się poci. Zadzwoił po raz trzeci, a potem okrążył dom. Znalazł się w starym, zadbanym ogrodzie, wśród owocowych drzew. Opodał był basen i kilka foteli do opalania. Sprawiały wrażenie drogich. Na skraju ogrodu, na wpół schowana w krzewach i gałęziach drzew, stała altana. Wallander ruszył w tamtym kierunku. Zielone drzwi były uchylone. Zapukał - nie było odpowiedzi. Pchnął drzwi. Okienka były zasłonięte firankami. Oczy przez chwilę oswajały się z mrokiem.

Nagle zauważył zarys postaci na tapczanie. Czarne włosy wystawały spod naciągniętego na głowę koca. Plecy śpiącej osoby. Wallander zamknął ostrożnie drzwi i powtórnie zapukał. Żadnego odzewu.

Wszedł i zapalił światło. W pokoju zrobiło się jasno. Podszedł do leżącej postaci, chwycił ją za ramiona i potrząsnął. W dalszym ciągu żadnej reakcji. Zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Obrócił postać do siebie i ujrzał twarz Isy Edengren. Mówił do niej, potrząsał nią. Oddychała powoli i ciężko. Szarpnął ją mocno i podtrzymując, posadził na łóżku. Nie reagowała. Sięgnął do kieszeni po komórkę. Została na siedzeniu w samochodzie. Położył ją tam po rozmowie z Ann-Britt Hóglund. Pobiegł do samochodu po telefon i zadzwonił na numer pogotowia, podając adres domu.

- Podejrzewam chorobę albo próbę samobójstwa - poinformował. - Co mogę zrobić, zanim przyjdziecie?

- Proszę się starać, żeby nie przestała oddychać - usłyszał w odpowiedzi. - Jako policjant, wie pan chyba, co się robi.

Karetka przyjechała po szesnastu minutach. Wallander zdążył złapać Ann-Britt Hóglund, zanim jeszcze wyjechała do Trelleborga. Prosił, żeby udała się do szpitala na spotkanie z karetką. Sam zamierzał zostać w Skarby. Patrzył, jak karetka odjeżdża. Wrócił pod dom i nacisnął klamkę drzwi frontowych. Były zamknięte. Okrążył dom i spróbował otworzyć tylne drzwi. Były zamknięte na klucz. Usłyszał, jak od frontu podjeżdża samochód. Mężczyzna w sportowym dresie i gumowcach wysiadł z małego fiata.

- Widziałem pogotowie - powiedział.

W oczach miał niepokój. Wallander przedstawił się i powiedział, że Isa Edengren prawdopodobnie zachorowała. Resztę przemilczał.

- Gdzie są jej rodzice? - zapytał.

- Wyjechali - odparł tamten wymijająco.

- Wie pan dokąd? Trzeba ich zawiadomić.

- Może do Hiszpanii - powiedział mężczyzna. - Albo do Francji. Mają tam domy.

Wallander pomyślał o zamkniętych drzwiach.

- Domyślałem się, że Isa tu mieszka podczas ich nieobecności?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

- Jak mam to rozumieć?

- Ja się tam nie mieszam - powiedział mężczyzna i zaczął iść w stronę samochodu.

- To już się stało - stwierdził stanowczo Wallander. - Jak się pan nazywa?

- Erik Lundberg.

- Mieszka pan w sąsiedztwie?

Lundberg wskazał na sąsiednie gospodarstwo.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie: czy Isa tu mieszka, kiedy rodzice wyjeżdżają?
- Nie pozwalają jej.
- To znaczy?

- Musi spać w altanie, na tyłach domu.
- Nie wolno jej wchodzić do domu?
- Zdarzały się tu rozróby pod nieobecność rodziców.

Urządzała przyjęcia, poginęły jakieś rzeczy.

- Skąd pan to wszystko wie?

Odpowiedź wprawiła go w zdumienie.

- Złe ją traktują. Zeszłej zimy, jak wyjechali i zamknęli dom, było minus dziesięć stopni. W altanie nie ma ogrzewania. Przyszła kiedyś do nas, zupełnie przemarznięta i wzięliśmy ją do siebie. Wtedy trochę opowiadała. Nie mnie, tylko żonie.

- Wobec tego jedziemy do pana - powiedział Wallander.
- Chciałbym usłyszeć, co opowiadała.

Poprosił Lundberga, żeby już pojechał. Sam chciał się jeszcze rozejrzeć po altanie. Nie było śladu proszków nasennych ani listu. W torebce nie znalazł niczego szczególnego. Spojrzał po raz ostatni dokoła i poszedł do samochodu. Zadzwoił telefon.

- Jest już w szpitalu - zawiadomiła Ann-Britt Hóglund.
- Co mówią lekarze?
- Na razie niewiele.

Obiecała zadzwonić, jak tylko będzie coś wiedziała. Wallander wysikał się obok samochodu, zanim pojechał do zagrody Lundberga. Na schodach przed wejściem przywitał go nieufny pies. Gospodarz wyszedł i go przegonił. W przytulnej kuchni żona Lundberga zaparzała kawę. Miała na imię Barbro i mówiła dialektem z Góteborga.

- Jak ona się czuje? - spytała.
- W szpitalu jest policjantka. Zadzwoi, jak będzie coś wiadomo.
- Czy Isa próbowała odebrać sobie życie?
- Za wcześniej, żeby coś stwierdzić - odparł Wallander. - Ale nie mogłem jej dobudzić.

Usiadł przy stole, położył obok siebie telefon.

- Podejrzewam, że to nie pierwszy raz. W przeciwnym razie nie pytalibyście od razu, czy chciała sobie odebrać życie.
- To rodzina samobójców - powiedział niechętnie Lundberg. Przerwał natychmiast, jakby pożałował swoich słów.

Barbro Lundberg postawiła na stole dzbanek z kawą.

- Brat Isy umarł dwa lata temu - wyjaśniła. - Miał dopiero dziewiętnaście lat. Między Isą i Jórgenem był rok różnicy.
- Jak to się stało?

- Wszedł do wanny - poinformował Lundberg. - Przedtem napisał list do rodziców. Życzył im, żeby ich trafił szlag. Włączył opiekacz do kontaktu od golarki i wrzucił go do wanny.

Wallander słuchał z przykrością. Pamiętał to, choć niezbyt wyraźnie.

Nagle przypomniał sobie, że śledztwo w tamtej sprawie prowadził Svedberg. Uznał, że to było samobójstwo albo

nieszczęśliwy wypadek. Często trudno było odróżnić jedno od drugiego.

Na ławie kuchennej pod oknem leżała złożona gazeta. Na pierwszej stronie spostrzegł zdjęcie Svedberga. Rozłożył gazetę i pokazał zdjęcie.

- Na pewno czytaliście o zamordowanym policjancie - powiedział.

Zanim zdążył zadać pytanie, już padła odpowiedź:

- Był u nas jakiś miesiąc temu.
- U was czy u Edengrenów?
- Najpierw u nich, potem u nas. Tak jak pan.

- Czy rodzice byli w domu? -Tak.
- Więc rozmawiał z rodzicami Isy Edengren?

- Skąd mam wiedzieć, z kim rozmawiał? W każdym razie byli w domu.
- Dlaczego do was przyszedł? O co pytał?

Kobieta mówiąca śpiewnym dialektem z okolic Góteborga usiadła przy stole.

- Pytał o przyjęcia - powiedziała. - Przyjęcia, które urządziła Isa pod nieobecność rodziców. Zanim zaczęli zamykać przed nią dom.

- To jedyne, co go interesowało - dodał mężczyzna. Wallander wzmógł czujność. Nadarzała się okazja, by wreszcie wyjaśnić zagadkowe postępowanie Svedberga w lecie.

- Czy możecie sobie dokładnie przypomnieć, o co pytał?
- Miesiąc to dużo czasu - stwierdziła kobieta.

- Siedzieliście przy tym stole? -Tak.
- Domyślałam się, że piliście kawę? Kobieta się uśmiechnęła.
- Smakowało mu moje ciasto.
- To musiało być tuż po nocy świętojańskiej? - spytał ostrożnie.

Wymienili spojrzenia. Widać było, że próbują sobie przypomnieć.

- Raczej w pierwszych dniach lipca - odezwała się kobieta.
- Jestem tego pewna.
- Zjawił się więc na początku lipca. Najpierw u Eden-grenów. A potem u was.
- Isa go tu przyprowadziła. Była chora.
- Na co?
- Miała coś z żołądkiem. Cały tydzień przeleżała w łóżku, była bardzo blada.
- Czy Isa też była w kuchni?
- Pokazała mu tylko drogę. I wróciła do domu.

- Pytał o przyjęcia? -Tak.
- Jakie zadawał pytania?
- Czy wiemy, kto tam bywał. Naturalnie, nie wiedzieliśmy.
- Dlaczego naturalnie?

- To była młodzież. Przyjeżdżali samochodami z różnych stron. Potem odjeżdżali i tyle.
- O co jeszcze pytał?

- Czy odbywały się tu maskarady - przypomniał sobie mężczyzna.
- Tak powiedział?
- Tak.

Kobieta pokręciła głową.

- Wcale nie tak. Pytał, czy ci, którzy przyjeżdżali na przyjęcia, byli przebrani.

- A byli?

Patrzyli ze zdziwieniem na Wallandera.

- Skąd, na litość boską, mamy to wiedzieć? - zdenerwował się mężczyzna. - Nie byliśmy tam. Nie szpiegujemy zza firanek. Jeśli coś widzieliśmy, to przypadkiem.

- Może jednak coś widzieliście?

- Urządzali zabawy jesienią. Po ciemku nie widać, czy to przebierańcy, czy nie.

Wallander zastanawiał się w milczeniu.

- O co jeszcze pytał? - odezwał się po chwili.

- O nic więcej. Głównie siedział i drapał się piórem w czoło. Spędził tu może pół godziny.

Potem przeprosił nas i poszedł.

Zadzwoiła komórka. Odezwała się Ann-Britt Hóglund.

- Robią płukanie żołądka.

- Więc jednak próba samobójstwa?

- Rzadko kiedy połyka się przez pomyłkę taką ilość środków nasennych.

- Wyjdzie z tego?

- Na to wygląda.

- W takim razie możesz jechać do Trelleborga.

- Tak myślałam. Do zobaczenia później.

Zakończyli rozmowę. Czuł na sobie ich niespokojny wzrok.

- Wszystko będzie dobrze - pocieszył Lundbergów Wallander. - Muszę tylko skontaktować się z jej rodzicami.

- Mamy ich numery telefonów - powiedział, podnosząc się, mężczyzna.

- Prosimy, żeby dzwonić, gdyby był jakiś problem z domem - wyjaśniła kobieta. - O innych sprawach nie wspominali.

- Na przykład, gdyby Isa zachorowała?

Skinęła głową. Mężczyzna podał Wallanderowi kartkę z telefonicznymi numerami.

- Czy możemy ją odwiedzić w szpitalu? - spytała kobieta.

- Na pewno - odparł Wallander. - Tylko poczekajcie do jutra, tak będzie lepiej.

Mężczyzna odprowadził go do drzwi.

- Macie klucze do ich domu?

- Nigdy by nam nie powierzyli kluczy.

Wallander pożegnał się i pojechał z powrotem do Eden-grenów. Przez następne pół godziny dokładnie przeszukiwał altanę. Nie potrafił powiedzieć, czego szuka. Potem przysiadł na łóżku, na którym znalazł Isę Edengren.

Wszystko się powtarza, pomyślał. Svedberg odwiedza dziewczynę, która nie dotarła na świętojańską zabawę. I dlatego nie zaginęła. Svedberg wypytuje o przyjęcia i ludzi w kostiumach.

Teraz Isa Edengren usiłuje odebrać sobie życie, a Svedberg został zamordowany.

Wallander podniósł się i wyszedł z altany. Był niespokojny. Nie znalazł nic, co wskazałoby właściwy kierunek. Wszystkie tropy prowadziły wszędzie i nigdzie.

Wsiadł do samochodu i pojechał w kierunku Ystadu. Następnym krokiem była wizyta u Sture Bjórklunda.

Dochodziła czwarta, kiedy zajechał na podwórze. Zapukał do drzwi. Nikt nie otwierał. Sture Bjórklund przypuszczalnie pojechał do Kopenhagi. A może przebywał w USA, żeby przedstawić najnowsze wyniki badań nad potworami? Wallander dobijał się do drzwi. Nie czekał, czy ktoś otworzy, lecz przeszedł na tyły domu. Ogród był zapuszczony. W nieskoszonej trawie poniewierały się na wpół przegniłe ogrodowe meble. Podszedł do okna i zajrzał do środka. Poszedł dalej, aż do budynku gospodarczego, który służył jako skład. Nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Wszedł do środka i na próżno szukał kontaktu. Otworzył drzwi na oścież i zablokował je kawałkiem deski. Wewnątrz panował nieopisany bałagan. Już miał wychodzić, kiedy uwagę jego przyciągnął jakiś przedmiot w kącie, przykryty

plandeką. Przykucnął i delikatnie uniósł róg. Pod spodem stała jakaś maszyna. Ostrożnie zdjął przykrycie.

Była to rzeczywiście maszyna. A raczej jakiś przyrząd.

Wallander nigdy takiego nie widział.

Jednak od razu wiedział, co to takiego.

Teleskop.

11

Kiedy Wallander wyszedł na podwórze, poczuł, że lekko wieje. Odwrócił się plecami do wiatru, usiłując zebrać myśli. Ile osób może mieć w domu teleskop? Chyba niewiele. Co więcej, Ylva Brink z pewnością wiedziałaby, że kuzynów łączy wspólne zainteresowanie gwiazdami. Odnaleziony przez niego teleskop niewątpliwie należał do Svedberga. Było to jedyne możliwe wytłumaczenie.

Nasuwało się kolejne pytanie: dlaczego Sture Björklund nic nie powiedział? Czyżby miał coś do ukrycia? A może nie wiedział, że teleskop tam jest?

Wallander spojrzał na zegarek. Była za piętnaście piąta. Sobota, dziesiąty sierpnia. Na plecach czuł ciepły powiew. Jesień ciągle była daleko.

W drodze do samochodu nie opuszczał go niepokój. Trudno mu było uwierzyć, aby Sture Björklund zabił własnego kuzyna. Pragnął wyjaśnić jak najszybciej, czy miał coś do ukrycia. Z samochodu zadzwonił do komendy. Nie zastał ani Hanssona, ani Martinssona. Poprosił dyżurnego funkcjonariusza, żeby wysłał wóz do Hedeskog.

- Co się stało? - zapytał policjant.

- Potrzebuję ludzi do obserwacji - poinformował Wallander. - Odnotuj, że to w sprawie Svedberga.

- Wiadomo, kto go zastrzelił?

- Nie. To rutynowa czynność.

Poprosił o nieoznakowany wóz i uzgodnił miejsce spotkania.

Kiedy dotarł do umówionego skrzyżowania, samochód z Ystadu był na miejscu. Pokazał, gdzie mają zaparkować. Mieli go zawiadomić, jak tylko Björklund się zjawi.

Potem pojechał do Ystadu. Był bardzo głodny i miał sucho w ustach. Przystanął przy budce z hamburgerami przy Malmövägen i zamówił posiłek. Czekał, popijając wodę sodową. Jak zwykle zjadł zbyt łapczywie. Na drogę kupił litrową butelkę wody mineralnej.

Wiedział, że potrzebuje czasu na myślenie i że w komendzie nie będzie miał spokoju.

Wyjechał z miasta i zaparkował koło hotelu Saltsjöbaden. Zerwał się wiatr, ale udało mu się znaleźć osłonięte miejsce. Stały tam, nie wiedząc czemu, porzucone sanki. Usiadł na nich i przymknął oczy.

Gdzieś musi być punkt styczny, którego w tej chwili nie potrafię zidentyfikować, pomyślał.

Usiłował kolejno odtworzyć wszystko, co do tej pory się wydarzyło, i związane z tym przemyślenia. Mimo usilnych starań ciąg zdarzeń pozostał niewyraźny i zagmatwany. Zadawał sobie pytanie, jak postąpiłby Rydberg. Dopóki żył, Wallander mógł zawsze zwrócić się do niego o radę. Roztrząsali problemy, przechadzając się po plaży albo siedząc do późna w biurze. Tak długo, aż wpadli na jakiś trop. Ale Rydberg nie żył. Wallander na próżno usiłował usłyszeć w sobie jego głos.

Czasami miał uczucie, że Ann-Britt Hóglund staje się pomału jego nowym partnerem do rozmów. Potrafi słuchać nie

gorzej niż Rydberg i bez wahania porzuca dotychczasowy trop w momencie, kiedy natrafi na szczelinę w murze, gdzie można zrobić wyłom.

Może coś z tego będzie, pomyślał. Ann-Britt jest dobrą policjantką. Ale potrzebuje czasu.

Z trudem podniósł się z sanek i ruszył do samochodu. Jedna rzecz ciągle się w tym śledztwie powtarza, stwierdził.

Ludzie w przebraniu. W różnych sytuacjach.

Svedberg interesuje się przyjęciami, na które przychodzą ludzie przebrani w kostiumy. Ludzie na zdjęciach mają na sobie kostiumy.

Wszędzie są ludzie w przebraniu.

Około szóstej dotarł do komendy. Ann-Britt Hóglun powinna przed siódmą wrócić z Trelleborga. Hansson z Martinssonem poszli coś zjeść. Przypuszczał, że do domu Martinssona. On często Hanssona zapraszał, kiedy pracowali we dwójkę.

Zanosił się na długi wieczór. Jak tylko wszyscy się zbiorą, zamkną się w pokoju. Zdjął kurtkę i zadzwonił do szpitala. Z pewnym trudem udało mu się złapać lekarza, od którego usłyszał, że stan Isy Edengren jest stabilny i niebezpieczeństwo minęło.

Lekarz był jego znajomym. Poznali się jakiś czas temu.

- Powiedz mi coś, czego ci nie wolno mówić - poprosił Wallander. - Czy to było wołanie o pomoc, czy ona naprawdę chciała odebrać sobie życie?

- Słyszałem, że to ty ją znalazłeś. Czy to prawda? - spytał lekarz.

- Zgadza się.

- Odpowiem dyplomatycznie. Całe szczęście, że ją znalazłeś. I że nie stało się to dużo później. Wallander zrozumiał. Już miał odłożyć słuchawkę, kiedy coś mu przyszło do głowy.

- Nie wiesz, czy ktoś ją odwiedzał?

- Nie wolno jej przyjmować odwiedzin.

- Rozumiem. Ale chciałbym wiedzieć, czy ktoś się o nią pytał?

- Dowiem się.

Wallander czekał ze słuchawką przy uchu. Szukał w kieszeni karteczki, na której Lundberg zapisał mu numery telefonów do Francji i Hiszpanii.

Wrócił lekarz.

- Nikogo nie było i nikt nie dzwonił - oznajmił. - Kto skontaktuje się z rodzicami?

-My.

Wallander rozłączył się, a następnie wykręcił pierwszy numer, nie wiedząc, czy dzwoni do Francji, czy do Hiszpanii. Rozległ się sygnał. Policzył do piętnastu i odłożył słuchawkę. Wykręcił kolejny numer. Prawie natychmiast odezwał się kobiecy głos. Wallander się przedstawił. Była to Berit Edengren.

Wallander powiedział, co się stało. Słuchała w milczeniu. Wallander myślał o jej synu, Jórgenie, bracie Isy. Starał się jak najogólniej przedstawić całe zajście. Nie mógł jednak przemilczeć, że chodziło o próbę samobójstwa.

- Porozmawiam z mężem - odpowiedziała spokojnie. -

Musimy się naturalnie zastanowić nad ewentualnym powrotem do domu.

To się nazywa miłość do córki, pomyślał Wallander, czując, jak wzbiera w nim gniew.

- Mam nadzieję, że zrozumiała pani, że mogło się źle skończyć.

- Ale najwyraźniej się nie skończyło. I całe szczęście.

Wallander podał jej numer szpitala i nazwisko lekarza. Postanowił nie zadawać pytań na temat Svedberga. Ale potrzebne mu były informacje dotyczące zabawy, w której miała brać udział Isa.

- Isa nie jest zbyt rozmowna. Nie miałam pojęcia o żadnej świętojańskiej imprezie.

- Może rozmawiała z ojcem?

- Wątpię.

- Martin Boge, Lena Norman i Astrid Hillström - wymienił nazwiska Wallander. - Domyślam się, że zna ich pani?

- To przyjaciele Isy - odparła.

- Isa nie mówiła, dokąd się wybierają w noc świętojańską?

- Nie.
- To ważne pytanie. Musi się pani dobrze zastanowić. Może wymieniła jakieś miejsce?
- Pamięć mam dobrą. Nic nie mówiła.
- Czy Isa miała w domu maskaradowe stroje?
- Czy to rzeczywiście ma jakieś znaczenie?
- Tak. Proszę odpowiedzieć na pytanie.
- Nie zaglądam do jej szafy.
- Czy jest zapasowy klucz do domu?
- Leży w rynnie z prawej strony. Ale Isa o tym nie wie.
- W najbliższych dniach nie będzie jej potrzebny. - Wallander miał ostatnie pytanie. - Czy Isa mówiła, że zamierza wyjechać po święcie najkrótszej nocy?
- Nie.

- A powiedziałaaby, gdyby miała taki zamiar?
 - Tylko wtedy, gdyby potrzebowała pieniędzy. A zawsze potrzebowała.

Wallander z trudem się opanował.

- Na pewno się jeszcze odezwiemy - powiedział.
 Odłożył słuchawkę. W dalszym ciągu nie wiedział, czy rozmawiał z Francją, czy z Hiszpanią. Wyszedł do stołówki po kawę. W drodze powrotnej przypomniał sobie, że czeka go jeszcze jedna rozmowa.

Odszukał numer telefonu. Tym razem ktoś się zgłosił.

- Bror Sundelius?

- Przy telefonie.

Wallander usłyszał stanowczy głos starszego pana. Przedstawił się. Zanim zdążył coś powiedzieć, Sundelius wpadł mu w słowo:

- Czekałem na telefon z policji. Dziwię się, że zajęło to tyle czasu.

- Dzwoniłem, ale nikt nie odbierał. Dlaczego czekał pan na telefon od nas?

Sundelius odpowiedział bez wahania.

- Svedberg nie miał wielu bliskich przyjaciół. Ja byłem jednym z nich. Uważałem za oczywiste, że się zgłosicie.

- O czym mieliśmy z panem rozmawiać?

- To już sami lepiej wiecie.

Ma rację, pomyślał Wallander. Głowa emerytowanego dyrektora banku ciągle dobrze pracuje.

- Chciałbym się z panem spotkać. Tu albo u pana w domu. Najchętniej jutro przed południem - zaproponował.

- Kiedyś chodziłem do pracy. Teraz łączę po ścianach - odparł Sundelius. - Mam nieskończoną ilość czasu, z którego nie ma żadnego pożytku. Jestem do pańskiej dyspozycji od wpół do piątej rano. U mnie, na Vadergrand. Mam problemy z chodzeniem. A pan inspektor ile ma lat?

- Niedługo kończę pięćdziesiąt.

- No to ma pan lepsze nogi. W pana wieku trzeba się ruszać. W przeciwnym razie grożą kłopoty z sercem. Albo cukrzyca. - Wallander słuchał ze zdziwieniem. - Słyszysz mnie pan?

- Tak - powiedział Wallander. - Słyszę. Czy odpowiada panu dziewiąta rano?

Zebrali się w sali zebrania o wpół do ósmej. Lisa Holgersson przybyła tuż przed nimi. Była w towarzystwie prokuratora, który od jesieni miał zastępować przebywającego w Ugandzie Pera Akessona. Ten, po wielu latach wahań, zdecydował się w końcu na bezpłatny urlop. Obecnie już od ośmiu miesięcy pracował w Międzynarodowej Komisji do spraw uchodźców. Od czasu do czasu pisał do Wallandera. O swoim życiu w Ugandzie i o tym, jak zmienił się pod wpływem nowego otoczenia i nowej pracy.

Wallanderowi często go brakowało, chociaż nigdy nie byli bliskimi przyjaciółmi. Czasem zazdrościł mu wyjazdu. Czyżby on sam już do końca życia miał pozostać policjantem? Niebawem skończy pięćdziesiąt lat. Jego szanse na inną pracę malały z każdym dniem.

Prokurator nazywał się Thurnberg i przyszedł z Órebro. Stanowisko w Ystadzie objął zaledwie w połowie maja i dotychczas Wallander niewiele miał z nim do czynienia. Był bystry, wysportowany i parę lat od niego młodszy. Wallander ciągle nie miał pewności, co o nim myśleć. Niekiedy wydawał mu się zbyt arogancki.

Wallander zastukał w stół długopisem i rozejrzał się naokoło. Krzesło Svedberga dalej stało puste. Zastanawiał się,

kiedy ktoś na nim usiądzie. Ponieważ liczył się z tym, że Bjórklund w każdej chwili może wrócić z Kopenhagi, zaczął od swojego odkrycia i podzielił się przemyśleniami na ten temat.

- Tuż przed zebraniem rozmawialiśmy o czymś, co nas uderzyło - zaczął Martinsson. - Uważam, że to dziwne. Nie znaleźliśmy żadnych pamiętników. Pytałem innych kolegów i mówią to samo. Wygląda na to, że nikt z nich nie pisał pamiętnika. Nie mieli również kalendarzy.

- I coś jeszcze - dodał Hansson. - Nie ma żadnych listów.

- Ja też uważam, że to dziwne - odezwała się Ann-Britt Hóglund. - Zupełnie jakby zacierali za sobą ślady.

- Czy to dotyczy również tych, z którymi spotkaliście się dzisiaj? Tych z drugiego zdjęcia?

- Tak - odparł Martinsson. - W tej kwestii powinniśmy ich może trochę przycisnąć.

- Musimy zacząć od początku - powiedział Wallander. - Isa Edengren pomału wraca do życia. Za dzień, dwa będzie się już można z nią rozmówić. Zanim to nastąpi, musimy pamiętać o dwóch rzeczach. Że rzeczywiście usiłowała popełnić samobójstwo. I że jej brat, Jórge, odebrał sobie życie niespełna rok temu, zostawiając pożegnalny list, w którym, nie przebijając w słowach, życzył rodzicom, żeby ich trafił szlag.

Martinsson przeglądał swoje notatki. Zanim coś zdążył powiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Policjant w drzwiach skinął na Wallandera.

- Bjórklund wrócił do domu - zawiadomił.

Wallander wstał.

- Sam tam pojedę - oświadczył. - To przecież nie jest zatrzymanie. Będziemy kontynuować, jak wrócę.

Nyberg również się podniósł.

- Chciałbym jak najszybciej obejrzeć teleskop - oznajmił.

Pojechali do Hedeskogi samochodem Nyberga. Policyjny

wóz czekał przy skrzyżowaniu. Wallander wysiadł i podszedł do policjanta za kierownicą.

- Przyjechał dwadzieścia minut temu. Jeździ mazdą.

- To już wracajcie - polecił Wallander.

- Nie czekać?

- Nie trzeba.

Wallander wrócił do samochodu.

- Jest w domu. Nie ma wątpliwości.

Zaparkowali przed wjazdem do posiadłości Bjórklunda. Przez otwarte okno płynęła muzyka.

Południowoamerykańskie rytmy. Wallander zadzwonił do drzwi. Muzyka przycichła.

Bjórklund otworzył. Był w samych szortach.

- Mam kilka pytań, z którymi nie mogę czekać - oświadczył komisarz.

Po chwili zastanowienia Bjórklund się uśmiechnął.

- Teraz rozumiem - powiedział.

- Co takiego?

- Dlaczego na skrzyżowaniu stał samochód.

Wallander skinął głową.

- Próbowałem łapać pana w ciągu dnia. Nie mogę czekać z pytaniami.

Bjórklund ich wpuścił. Wallander przedstawił mu Nyberga.

- Kiedyś, w czasach młodości, chciałem zostać technikiem kryminalnym - powiedział Bjórklund. - Spędzanie życia na odczytywaniu śladów wydawało mi się kuszące.

- Nie taka to znów przygoda, jak się wydaje - odparł Nyberg.

Tamten spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Nie mówię o przygodzie. Mówię o spędzaniu życia na tropieniu śladów.

Przystanęli tuż przy wejściu do przestronnego pokoju. Wallander zauważył zdumienie Nyberga na widok mebli Bjórklunda.

- Przejdę od razu do rzeczy - zaczął Wallander. - W jednym z budynków gospodarczych znajduje się składzik.

W kącie, pod plandeką, stoi jakiś przyrząd, chyba teleskop.

Chciałbym wiedzieć, czy to ten sam, który zniknął z mieszkania Svedberga.

Bjórklund był nieporuszony.

- Teleskop? U mnie w domu?

-Tak.

Bjórklund cofnął się o krok, jakby chciał podkreślić dystans w stosunku do obu policjantów.

- Kto tu węszył?

- Mówiłem, że próbowałem pana złapać w ciągu dnia. Drzwi od składziku były otwarte.

Wszedłem do środka i znalazłem teleskop.

- Czy policjantom wolno wchodzić do cudzych mieszkań?

- Jeśli ma pan zastrzeżenia, może pan złożyć skargę do rzecznika praw obywatelskich.

Bjórklund rzucił mu długie, nieprzyjazne spojrzenie.

- Chyba to zrobię.

Nyberg był wściekły. - Skończcie już z tym, do cholery - powiedział.

- Mam rozumieć, że nie wiedział pan, że w składziku stoi teleskop?

- Nie.

- Zdaje pan sobie sprawę, że nie brzmi to zbyt wiarygodnie?

- Nie obchodzi mnie, jak to brzmi. O ile wiem, nie ma u mnie żadnego teleskopu.

- Zaraz tam pójdziemy - oświadczył Wallander. - Jeśli nas pan nie wpuści, to Nyberg zostanie na straży, a ja zwrócę się do prokuratora o nakaz przeszukania. Z pewnością go otrzymam.

- Jestem o coś podejrzanym?

Głos Bjórklunda brzmiał wrogo i niechętnie.

- Na razie proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

- Już odpowiedziałem.

- Więc nic pan nie wie o teleskopie? Czy mógł go tam postawić Svedberg?

- Po co miałby to robić?

- Pytanie brzmi, czy mógł go tam zrobić. To wszystko.

- Jasne, że mógł go tam postawić w lecie, kiedy mnie nie było. Nie chodzę, do licha, sprawdzać, co stoi w składziku.

Wallander był przekonany, że Bjórklund mówi prawdę. Ogarnęło go uczucie ulgi.

- Pójdziemy zobaczyć?

Bjórklund skinął głową i wsunął stopy w drewniaki. Tors miał goły. Otworzyli drzwi i zapalili światło. Wallander przytrzymał ich w drzwiach i zwrócił się do Bjórklunda.

- Widzi pan tu jakąś zmianę?

- Co takiego?

- To pana składzik. Pan wie najlepiej. Bjórklund rozejrzał się i wzruszył ramionami.

- Wygląda jak zawsze.

Wallander zaprowadził ich do kąta i uniósł plandekę. Björklund wyglądał na szczerze zaskoczonego.

- Nie mam pojęcia, skąd się tu wziął - powiedział z przekonaniem.

Nyberg przyklęknął, żeby lepiej widzieć. Skierował na teleskop silne światło latarki.

- Nie może być wątpliwości, do kogo należał - stwierdził, wskazując na małą metalową plaketkę z nazwiskiem Svedberga.

Gniew Björklunda minął. Spojrzał ze zdziwieniem na Wallandera.

- Nie rozumiem. Dlaczego Svedberg miałby u mnie ukryć teleskop?

- Wejźmy do domu - powiedział Wallander. - Nyberg niech jeszcze chwilę zostanie.

W drodze przez podwórko Björklund zaproponował Wallanderowi kawę. Komisarz podziękował. Opadł na tę samą twardą ławkę.

- Domyśla się pan, jak długo ten teleskop tam stoi?

Björklund starał się teraz udzielać wyczerpujących odpowiedzi.

- Mam fatalną pamięć do miejsc. I jeszcze gorszą do przedmiotów. Nie potrafię powiedzieć, kiedy się tam znalazł.

Wallander pomyślał, że przydałaby się pomoc Ylvy Brink. Może potrafiłaby sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała teleskop w mieszkaniu Svedberga.

- Wrócimy do tego później - powiedział. - Nyberg zbada teleskop jeszcze dziś wieczór. Potem zabierzemy go na komendę.

Raptem Björklund jakby się wyłączył. Coś mu chodziło po głowie.

- Przypuścimy, że wszystko odbyło się inaczej - zasugerował. - Że wstawił go tutaj ktoś inny?

- Wobec tego ten ktoś musiał wiedzieć, że pan i Karl Evert jesteście krewniakami - zauważył Wallander.

Björklund wyraźnie się zatroskał.

- O czym pan myśli? - spytał Wallander.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie - odparł niepewnie. - Ale raz miałem wrażenie, że ktoś tu był.

- Po czym się pan zorientował?

- Po niczym. To było tylko wrażenie.

- Musiał być jakiś powód.

- Właśnie usiłuję sobie przypomnieć.

Wallander czekał.

- To było kilka tygodni temu - powiedział po namyśle Björklund. Wracając z Kopenhagi i przyjechałem do domu przed południem. Było po deszczu. Na podwórzu przystanąłem, bo coś mnie tknęło. Z początku nie wiedziałem co. Po chwili zorientowałem się, że jedna z rzeźb zmieniła położenie.

- Jeden z potworów?

- To kopie średniowiecznych diabłów z katedry w Rouen.

- Tam, w składziku, mówił pan, że nie ma pan pamięci do rzeczy.

- To nie dotyczy moich rzeźb. Ktoś jedną przekreślił. Byłem zupełnie pewny, że podczas mojej nieobecności ktoś wszedł na podwórze.

- I to nie był Svedberg.

- Nie. Przyjeżdżał tylko wtedy, kiedy byliśmy umówieni.

- Co do tego nie może pan mieć pewności.

- Nie. Ale jestem o tym przekonany. Znałem go i on mnie znał.
Wallander skinął głową, zachęcając Bjórklunda, aby mówił dalej.

- Był tu ktoś obcy.

- Czy oprócz Svedberga nikt inny nie pilnował domu podczas krótkich wyjazdów?

- Poza listonoszem nikt tu nie przychodzi - odparł

Bjórklund z przekonaniem.

Wallander nie miał powodu, żeby mu nie wierzyć.

- Niepożądany gość - stwierdził. - I sądzi pan, że mógł postawić teleskop w składziku?

- To absurdalne.

- Kiedy to było?

- Kilka tygodni temu.

- A dokładnie?

Bjórklund przyniósł kieszonkowy kalendarzyk i zajrzał do niego.

- Nie było mnie czternastego i piętnastego lipca.

Wallander zanotował datę w pamięci. Zjawił się Nyberg z telefonem w dłoni.

- Dzwoniłem do Ystadu po torbę - poinformował. - Chcę jeszcze dziś wieczór popracować przy teleskopie. Możesz wziąć mój samochód. Podrzuci mnie z powrotem jakiś nocny patrol.

Nyberg odszedł. Bjórklund odprowadził Wallandera do drzwi.

- Musiał pan dużo myśleć - stwierdził komisarz. - O tym, co się stało.

- Nie pojmuję, że ktoś chciał zamordować mojego kuzyna. Trudno mi sobie wyobrazić coś bardziej bezsensownego.

- No właśnie. Kto chciał go zabić? I dlaczego?

Pożegnali się na podwórzu. Światło z okien oświetlało

posępne figurki diabłów. Wallander wrócił do Ystadu samochodem Nyberga.

Nadał nic nie rozumiał.

Tuż przed dziewiątą spotkali się ponownie, aby podsumować wyniki rozmów z młodymi ludźmi. Pierwszy zabrał głos Martinsson; od czasu do czasu jego relację uzupełniał Hansson. Wallander uważnie słuchał. Wiele razy prosił Martinssona o dodatkowe szczegóły. Potem przyszła kolej na Ann-Britt Hóglund. Wallander spisał nazwiska wszystkich osób, które obejmowało śledztwo. Koło jedenastej zrobili krótką przerwę. Wallander poszedł do toalety i wypił kilka szklanek wody. Kwadrans po jedenastej kontynuowali naradę.

- W gruncie rzeczy, pozostaje nam jedno do zrobienia - zaczął Wallander. - Musimy wszcząć poszukiwania Martina Boge, Leny Norman i Astrid Hillström. I jak najszybciej ich znaleźć.

Wszyscy się z tym zgodzili. Lisa Holgersson i Martinsson mieli się tym rano zająć.

Wallander wiedział, że wszyscy są zmęczeni. Ale nie chciał jeszcze kończyć.

- Widać, że ci młodzi coś ukrywają - mówił dalej. - Nie wyciągnęliście z nich nic poza tym, że się znali i przyjaźnili. Ale odnieśliście wrażenie, że nie mówią wszystkiego. Że łączy ich jakaś tajemnica. Czy dobrze zrozumiałem?

- Tak - odpowiedziała Ann-Britt Hóglund. - Jest coś, czego nie mówią.

- Nie widać, żeby się martwili - dodał Martinsson. - Są przekonani, że Boge, Norman i Hillström udali się w podróż.

- Mam nadzieję, że się nie mylą - powiedział Hansson. - To zaczyna być nieprzyjemne.

- Zgadzam się - przyznał Wallander.

Rzucił długopis na stół.

- Czym, do diabła, zajmował się Svedberg? Musimy to jak najszybciej ustalić. I kim jest ta kobieta?

- Sprawdziliśmy zdjęcie we wszystkich dostępnych rejestrach.

- To nie wystarczy - powiedział Wallander. - Musimy je opublikować. W końcu chodzi o zabójstwo policjanta. Zdjęcie musi się ukazać w prasie. Naturalnie nie jest o nic podejrzana. W każdym razie jeszcze nie.

- Kobieta, która strzela komuś w twarz, to wyjątkowo rzadki przypadek - zauważyła Ann-Britt Höglund.

Nikt tego nie skomentował.

Skończyli przed północą. Nazajutrz, mimo niedzieli, mieli pracować równie intensywnie. Wallandera czekała wizyta u Sundeliusa, byłego dyrektora banku. Stał z Martinssonem przed komendą.

- Musimy ich znaleźć - mówił Wallander. - Porozmawiamy z Isą Edengren. A tych, których dzisiaj przesłuchaliście, weź wiemy do komendy. Muszą wyjawić swoją tajemnicę.

Rozstali się. Wallander był bardzo zmęczony. Jego ostatnia myśl przed zaśnięciem dotyczyła Nyberga - czy nadal jest w składziku Björklunda.

Tuż przed świtem na Ystad spadł drobny deszcz. Potem chmury się rozproszyły. Zapowiadała się słoneczna i ciepła niedziela.

12

Rosemarie Leman i jej mąż, Mats, układali trasy niedzielnych pieszych wycieczek w zależności od pogody i pory roku. Tego ranka, w niedzielę jedenastego sierpnia, mieli zamiar jechać do Fyledalen. W końcu jednak zdecydowali się na rezerwat przyrody w Hagestadzie. Między innymi dlatego, że dawno tam nie byli. Wstawali wcześniej, więc tuż po siódmej wyszli z domu. Jak zwykle zaplanowali całodzienną wycieczkę. Do bagażnika włożyli dwa plecaki z niezbędnymi rzeczami. Na wszelki wypadek mieli ze sobą ubrania przeciwdeszczowe. Co prawda zapowiadał się słoneczny dzień, ale nigdy nie wiadomo. Ich życie było dokładnie zaprogramowane. Ona była nauczycielką, on inżynierem. Wszystko drobiazgowo planowali.

Zaparkowali przy wjeździe do rezerwatu. Dochodziła ósma. Wypili po filiżance kawy, włożyli plecaki i ruszyli w drogę. Piętnaście po ósmej zaczęli się rozglądać za miejscem na śniadanie. Z daleka słyszeli poszczekiwanie psów. Nie spotkali jeszcze człowieka. Było ciepło i niemal bezwietrznie. W powietrzu czuło się lato. Znaleźli odpowiednie miejsce, usiedli na rozłożonym kocu i zabrali się do jedzenia. W niedziele mieli zwyczaj rozmawiać o sprawach, na które w tygodniu nie mieli czasu. Tego dnia rozważali kupno nowego samochodu, bo stary zaczynał się psuć. Zastanawiali się, czy ich na to stać. W rezultacie doszli do wniosku, że lepiej będzie poczekać jeszcze kilka miesięcy.

Po jedzeniu Rosemarie Leman wyciągnęła się na kocu i przymknęła oczy. Mats Leman udał się za potrzebą. Wziął papier toaletowy, przeszedł na drugą stronę ścieżki i zaczął schodzić w dół, w kierunku gęstych zarośli. Zanim przykucnął, rozejrzał się wokół. Nikogo nie było. Później wyciągnęła się na kocu obok Rosemarie i zdrzemnęła pół godziny, myślała. Czekala go najprzyjemniejsza chwila dnia. Nagle coś mignęło w krzakach. Nie wiedział co. Jakaś plama odcinająca się na tle zieleni. Zazwyczaj nie był zbyt ciekawy, lecz tym razem nie mógł się powstrzymać i wyrzwał, rozchylając najbliższe krzaki. Tego, co zobaczył, nie zapomni do końca życia.

Rosemarie wyrwało ze snu czyjeś wołanie.

Jakiś krzyk.

Z początku nie wiedziała, o co chodzi. Po chwili uświadomiła sobie z przerażeniem, że to jej mąż woła na pomoc. Poderwała się na nogi i zobaczyła, że biegnie w jej stronę. Nie wiedziała, co się stało ani co zobaczył. Był trupio blady. Potykając się, dobiegł do koca i usiłował coś powiedzieć.

Po czym zemdlał.

Ystadzka policja została zaalarmowana pięć po dziewiątej. Policjant, który przyjął rozmowę, z początku nie wiedział, o co chodzi. Dzwoniący mężczyzna był w szoku i nie można było zrozumieć, co mówi. W końcu udało się go uspokoić i dowiedzieć się, co się wydarzyło. Po kilku minutach funkcjonariusz miał mniej więcej jasny obraz sytuacji. Niejaki Mats Leman twierdził, że w rezerwacie przyrody w Hagestadzie znalazł zwłoki. On i żona siedzieli teraz w samochodzie, poza granicą rezerwatu. Dzwonił z komórki. Mimo nieskładnej relacji policjant zorientował się, że to coś poważnego. Zapisał numer telefonu i nakazał im czekać na miejscu. Potem wszedł do pokoju Martinssona, którego chwilę wcześniej zauważył w korytarzu. Martinsson siedział przy komputerze. Policjant, stojąc w drzwiach, zrelacjonował rozmowę telefoniczną. Martinsson natychmiast zrozumiał, że sprawa jest poważna. Uderzyła go jedna rzecz. Poczł ucisk w dołku.

- Powiedział: trzy? Trzy martwe ciała?

- Tak mu się wydawało.

- Już jadę. Widziałeś Wallandera?

- Nie.

Martinsson przypomniał sobie, że Wallander miał rano kogoś odwiedzić. Jakiegoś dyrektora banku, Sundberga czy Sundeliusa.

Zadzwoił na komórkę komisarza.

Wallander poszedł pieszo z mieszkania przy Mariagatan na ulicę Vadergrand. Przystanął przed pięknym domem, który niezmiennie podziwiał, ilekroć przechodził obok. Zadzwoił do drzwi. Sundelius przyjął go w odprasowanym garniturze. Ledwie usiedli w salonie, zadzwoniła komórka. Wallander zauważył niechętnie spojrzenie Sundeliusa, gdy, przepaszając, wyciągał ją z kieszeni. Wysłuchał relacji Martinssona. Potem zadał to samo pytanie co Martinsson.

- Powiedział, że chodzi o trzy osoby?

- Tak mu się wydawało. Ale to niepotwierdzona informacja. Wallander poczuł ucisk w głowie.

- Wiesz, co to może oznaczać - powiedział po chwili.

- Tak - odparł Martinsson. - Pozostaje nadzieja, że człowiek, który dzwonił, miał halucynacje.

- Czy sprawiał takie wrażenie?

- Według dyżurnego, który przyjął rozmowę, nie.

Wallander spojrzął na zegar ścienny. Wskazywał dziewięć po dziewiątej.

- Podjedź po mnie na Vadergrand - poprosił. - Numer siedem.

- Czy mam zarządzić pełną mobilizację?

- Najpierw zorientujemy się, o co chodzi. Martinsson już wyruszał. Wallander wstał.

- Niestety, musimy odłożyć naszą rozmowę. Sundelius nie protestował.

- Domyślał się, że zdarzył się wypadek?

- Tak - odparł Wallander. - Wypadek drogowy. Tego nie mogłem przewidzieć, umawiając się na spotkanie. Odezwę się innym razem.

Sundelius odprowadził go do drzwi. Wallander wskoczył do samochodu Martinssona i postawił na dachu koguta.

- Złapałem Hanssona - poinformował Martinsson. - Będzie czekał na wiadomość.

Wskazał palcem na karteczkę przyczepioną do schowka.

- Numer telefonu człowieka, który dzwonił.

- Mamy nazwisko?

- Leman. Max albo Mats.

Wallander wybrał numer. Martinsson jechał szybko. W telefonie trzeszczało. Odebrała kobieta. Wallander nie był pewien, czy wybrał dobry numer.

- Kto przy telefonie?

- Rosemarie Leman.

- Tu policja. Jesteśmy w drodze.

- Musicie się pośpieszyć - powiedziała.

- Stało się coś jeszcze? Gdzie pani mąż?

- Wymiotuje. Musicie się pośpieszyć.

Podawała Wallanderowi dokładne wskazówki, jak trafić na miejsce.

- Proszę nigdzie nie dzwonić - polecił. - Może będziemy musieli się z panią kontaktować.

Skończył rozmawiać.

- Coś się stało - stwierdził. - To murowane.

Martinsson jeszcze bardziej przyśpieszył. Byli już w Nybrostrand.

- Wiesz, jak jechać? - zapytał Wallander. Martinsson skinął głową.

- Chodziliśmy tu kiedyś na spacer. Jak dzieci były małe. Zamilkł nagle, jak gdyby powiedział coś niewłaściwego.

Wallander wyglądał przez okno. Nie wiedział, co ich czeka. Spodziewał się najgorszego.

Kiedy dojechali do rezerwatu, naprzeciw nich wybiegła kobieta. Za nią widać było siedzącego na kamieniu mężczyznę, z głową ukrytą w dłoniach. Wallander wysiadł z samochodu. Kobieta była ogromnie zdenerwowana, coś krzyczała, wymachując rękami. Wallander ujął ją za ramiona i usiłował uspokoić. Mężczyzna dalej siedział na kamieniu. Na widok Wallandera i Martinssona podniósł wzrok. Wallander przykucnął obok.

- Co się stało? - zapytał.

Mężczyzna zrobił gest w stronę rezerwatu.

- Leżeli tam - wymamrotał. - Martwi. Już od dawna.

Wallander spojrzał na Martinssona. Potem zwrócił się do mężczyzny.

- Mówił pan o trzech osobach?

- Tak mi się zdaje.

Pozostało jedno pytanie. Najgorsze ze wszystkich.

- Zauważył pan, czy są młodzi? Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Zdaję sobie sprawę, że to musiał być straszny widok - powiedział Wallander. - Ale musi pan wskazać to miejsce.

- Nigdy tam nie pójde - oświadczył. - Nigdy.

- Wiem, gdzie to jest - odezwała się kobieta. Stała z tyłu za mężem, obejmując go za ramiona. Wallander się podniósł.

- Idziemy - powiedział.

Poprowadziła ich do rezerwatu. Było bardzo cicho. Wallanderowi się wydawało, że w oddali słyszy szum morza. Ale równie dobrze mogły to być jego niespokojne myśli. Szli prędko. Z trudem dotrzymywał im kroku. Pocił się pod koszulą. Musiał przystanąć, żeby się wysikać.

Przez ścieżkę przeskoczył zając. Myśli przelatywały Wallanderowi przez głowę. Nie wiedział, co go czeka. Ale na pewno czegoś takiego nigdy dotąd nie widział. Martwi ludzie różnili się od siebie nie mniej niż żywi. Każdy był jedyny w swoim rodzaju, jak w życiu. Nic się nie powtarzało, nic nigdy nie było takie samo. Podobnie jego niepokój. Ucisk w dołku był znajomy. Mimo to, każdy raz był pierwszy.

Kobieta nagle z wolna. Wallander odgadł, że są blisko. Po chwili znaleźli się przy kocu z rozłożonymi plecakami. Odwróciła się i drżąca ręką wskazała na zbocze po drugiej stronie ścieżki. Dotychczas pierwszy szedł Martinsson. Teraz przodem poszedł Wallander. Rosemarie Leman została przy plecakach. Wallander spojrział w dół. Widział tylko gęste zarośla. Zaczął pomału schodzić, tuż za nim szedł Martinsson. Doszli do krzewów i rozejrzeli się naokoło.

- Czyżby się pomyliła? - zdziwił się Martinsson.

Mówił cicho, jakby się bał, że ktoś usłyszy. Wallander nie odpowiadał. Jego uwagę zwróciło coś innego. Chwilę trwało, nim się zorientował. Poczul przykry zapach. Spojrzal na Martinssona, ale ten nie zareagował. Wallander zaczął się przedzierać przez krzaki. Nadal nic nie widział. Kawałek dalej

rosło kilka wysokich drzew. Zapach na chwilę znikł. Potem znów się pojawił. Tym razem był silniejszy.

- Co to za zapach? - zapytał Martinsson.

W tym samym momencie się domyślił. Wallander szedł powoli do przodu, Martinsson - tuż za nim. Nagle stanął jak wryty. Poczul, że Martinsson drgnął. Przed nim, z lewej strony, coś prześwitywało między krzakami. Zapach się nasilił. Popatrzyli na siebie, zatykając usta i nos ręką. Wallander czuł zbierające mdłości. Zatkanął nos i usiłował głęboko oddychać ustami.

- Zaczekaj tu - zwrócił się do Martinssona.

Martinsson słyszał, jak drży mu głos.

Zmusił się, żeby iść dalej. Odgarnął krzaki i zrobił parę kroków do przodu. Na rozpostartym obrusie z niebieskiego lnu leżały splecione ze sobą zwłoki trojga młodych ludzi. Byli w przebraniu i nosili peruki. Wszyscy zabici strzałem w czoło. Ciała były w stanie rozkładu.

Wallander zamknął oczy i przykucnął. Po chwili podniósł się i chwiejnym krokiem wrócił do Martinssona. Popychał go z powrotem na ścieżkę, jakby przed kimś uciekali.

- Nigdy w życiu nie widziałem czegoś tak koszmarnego - wyjąkał Wallander.

- Czy to oni?

- Na pewno.

Zamilkli. Wallander przypomniał sobie później, że słyszał śpiew ptaka na pobliskim drzewie.

Wszystko było jak w przedziwnym śnie i równocześnie przeraźliwie rzeczywiste. Z największym wysiłkiem woli wcielił się z powrotem w rolę policjanta. Wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do komendy. Po niespełna minucie usłyszał głos Ann-Britt Hóglund.

- Mówi Kurt.

- Nie miałeś być rano u dyrektora banku?

- Znaleźliśmy ich. Całą trójkę. Nie żyją. Słyszał, jak gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

- Boge i obie dziewczyny? - Tak.

- Nie żyją?

- Zastrzeleni.

- Na litość boską!

- Posłuchaj mnie. Zarządź pełną mobilizację. Jesteśmy w rezerwacie przyrody w Hagestadzie. Przy wjeździe będzie czekał Martinsson. Musi przyjechać Lisa. Potrzeba dużo ludzi do zabezpieczenia terenu.

- Kto zawiadomi rodziców?

Wallander poczul, jak cierpnie mu skóra. Trzeba naturalnie jak najszybciej zawiadomić rodziców. Muszą zidentyfikować swoje dzieci.

Nie był w stanie o tym myśleć.

- Nie żyją od dawna - stwierdził. - Sama rozumiesz, jak wyglądają. Nie żyją już może od miesiąca.

Zrozumiała.

- Muszę porozmawiać z Lisą. W żadnym razie nie wolno

tu ściągać rodziców.

Nic nie powiedziała. Skończyli rozmowę. Wallander stał, zapatrzony w telefon.

- Powinieneś czekać przy wjeździe - polecił. Martinsson wskazał głową Rosemarie Leman.

- Co z nią?

- Zanotuj to, co najważniejsze. Godzinę i adres. Odeślij ich do domu i każ milczeć.

- Nie możemy tego zrobić. Wallander wbił w niego wzrok.

- W tej chwili możemy zrobić wszystko.

Martinsson i Leman odeszli. Wallander został sam. Ptak nadal śpiewał. Kilka metrów dalej, skryci za gęstymi krzewami, leżeli młodzi ludzie. Komisarz czuł się straszliwie samotny. Usiadł na kamieniu obok ścieżki. Ptak przeleciał na dalsze drzewo.

Nie znaleźliśmy ich, pomyślał. Wcale nie wyruszyli w podróż po Europie. Byli tutaj. Martwi. Może zginęli już w noc świętojańską? Eva Hillström miała rację. Kartki pisał ktoś inny. Byli tu przez cały czas. W miejscu, gdzie spędzili świętojańską noc.

Pomyślał o Isie Edengren. Czy domyślała się, co się stało? Czy dlatego chciała odebrać sobie życie? Bo wiedziała, że tamci nie żyją? Tak samo jak ona by nie żyła, gdyby nie jej choroba. Coś się jednak nie zgadzało. Czy to możliwe, żeby przez miesiąc nikt nie natknął się na zwłoki? W rezerwacie przyrody, w czasie urlopów? Nawet jeśli miejsce, które wybrali, leżało na uboczu, ktoś powinien był zauważyć. Albo poczuć zapach.

Wallander nie rozumiał. Zresztą nie był w stanie myśleć. Był jak porażony. Kto zabił młodych ludzi, którzy postanowili razem spędzić świętojańską noc? To był potworny akt szaleństwa. A wokół niego spleciona sieć nieodgadnionych powiązań i jeszcze jeden zamordowany człowiek.

Svedberg. Co miał z tym wspólnego? W jaki sposób był zamieszany?

Wallander czuł pogłębiającą się bezsilność. Mimo że zaledwie przez kilka sekund przyglądał się zabitym, dostrzegł ślady kul na czołach. Ten, który trzymał broń, potrafił celować.

Svedberg najlepiej z nich wszystkich strzelał z pistoletu.

Ptak odleciał. Od czasu do czasu powiew wiatru poruszał liśćmi. Potem znów była cisza.

Svedberg był najlepszym strzelcem, pomyślał. Zmusił się do dokończenia myśli. Czy sprawca masakry mógł być Sved-berg? Dlaczego ta wersja nie miałaby być równie prawdopodobna jak każda inna? Czy istnieje w ogóle inna wersja?

Wallander wstał i ruszył z powrotem. Chciałby, żeby Ryd-berg znajdował się w zasięgu telefonu. Jednak Rydberg był martwy. Tak samo martwy jak ci ludzie.

Przystanął na środku ścieżki. Jak długo jeszcze wytrzyma? Od blisko trzydziestu lat był policjantem. Pamiętał, jak kiedyś patrolował ulice w Malmö, swoim rodzinnym mieście. Pijany mężczyzna dźgnął go nożem w okolicę serca. Od tej chwili jego życie się zmieniło. Jest czas rodzenia i czas umierania - powtarzał sobie. Na klatce piersiowej, z lewej strony, pozostała blizna. Żył. Ale jak długo jeszcze wytrzyma? Pomyślał o Akessonie w Ugandzie. Czasami się zastanawiał, czy on kiedyś wróci.

Na moment opanowało go uczucie silnego rozgoryczenia. Przez całe życie był policjantem i sądził, że przyczynia się do zapewnienia bezpieczeństwa obywatelom. Ale wokoło wszystko zmienia się na gorsze. Przemoc się nasila, jest coraz bardziej bezwzględna. Szwecja stała się krajem, gdzie wzrasta liczba zamkniętych drzwi.

Nieraz myślał o pęku kluczy. Z roku na rok przybywało kluczy i kodów. Rosła liczba zamków, które otwierał i zamykał. Wśród tych wszystkich kluczy powstawało społeczeństwo, w którym czuł się coraz bardziej obco. Był ogromnie zmęczony i przygnębiony. Nie wiedział, czy to smutek, czy przebyty wstrząs. Jednak dominującym uczuciem był zwykły strach.

Ktoś z rozmysłem wtargnął prosto w idyllę i zastrzelił młodych ludzi. Kilka dni wcześniej znalazł na podłodze martwego Svedberga. Oba zajścia jakoś się ze sobą łączyły, choć punkt styczny rysował się niejasno.

Kiedy tak stał na ścieżce, poczuł nagłą chęć ucieczki. Bał się, że nie wytrzyma presji. Niech go zastąpi ktoś inny. Mar-tinsson albo Hansson. On już się wypalił. Na dodatek ma cukrzycę. Znajduje się na równi pochyłej.

Nagle usłyszał zbliżającą się ekipę. Samochody, które przebijały się przez leśne dróżki, trzask łamanych gałęzi. Zjawili się nagle i otoczyli go półkolem. Musiał objąć komendę, czego najbardziej ze wszystkiego chciał uniknąć. Znał wielu z nich od dziesięciu, piętnastu lat. Lisa Holgersson była blada. Zastanawiał się, jak sam wygląda.

- Leżą tam - pokazał. - Zastrzeleni. Moim zdaniem, to młodzież, która zaginęła w noc świętojańską. Mimo że jeszcze nie są zidentyfikowani. Sądziłyśmy, a raczej mieliśmy nadzieję, że podróżują po Europie. Okazało się, że tak nie jest.

Zrobił małą przerwę.

- Musicie pamiętać, że przypuszczalnie leżą tu już od świętego Jana. Domyślcie się, jak wyglądają. W tej sytuacji zalecam wszystkim założenie maseczek ochronnych.

Spojrzał na Lisę Holgersson. Czy chce iść z nimi? Skinęła głową.

Wallander prowadził. Słysząc było jedynie trzask łamanych gałęzi i szelest liści. Ktoś jęknął, gdy poczuli zapach rozkładających się ciał. Lisa Holgersson schwyciła Wallandera za ramię.

Byli na miejscu. Wallander wiedział, że łatwiej znieść

widok makabrycznej zbrodni, kiedy się nie jest samemu. Tylko jeden młody policjant odwrócił się i wymiotował.

- Nie można tu wpuścić rodziców - odezwała się niepewnym głosem Lisa Holgersson. - To zbyt straszny widok.

Wallander zwrócił się do towarzyszącego im lekarza, który też był bardzo blady.

- Badanie musi się odbyć szybko. - Musimy zabrać ciała i doprowadzić je do porządku. Zanim dopuścimy do nich rodziców.

Lekarz pokręcił głową.

- Nie będę tu niczego dotykał - stwierdził. - Zadzwońię do Lundu.

Odszedł na bok i zadzwonił z telefonu Martinssona.

- Jednego możemy być pewni - Wallander zwrócił się do Lisy Holgersson. - Mamy już zamordowanego policjanta. A teraz troje młodych ludzi. Mamy zatem do rozwikłania cztery zabójstwa. Zrobi się wielki szum. Będą naciski, żeby w jak najkrótszym czasie osiągnąć widoczny rezultat. Musimy również ustosunkować się do faktu, że obie sprawy jakoś się łączą. Z pewnością rozumiesz, co to oznacza.

- Masz na myśli, że padnie podejrzenie, że to robota Sved-berga?

-Tak.

- Sądysz, że to on?

Nieoczekiwane pytanie zbiło go z tropu.

- Nie wiem - odparł. - Nic nie wskazuje, żeby Svedberg miał jakiś motyw. Te sprawy gdzieś się łączą. Ale brakuje najważniejszego ogniwa.

- Pytanie, ile mamy ujawnić?

- Niestety, nie ma to chyba większego znaczenia. I tak będą krążyły pogłoski.

Ann-Britt Hóglund przysłuchiwała się z boku. Wallander zauważył, że dygocze.

- Jest jeszcze jedna ważna kwestia - dodała. - Ze strony Evy Hillström popłyną w naszą stronę gwałtowne oskarżenia, że mijał czas, a my nic nie robiliśmy.

- Być może ma rację - zgodził się Wallander. - Skoro tak, musimy przyznać, że błędnie rozpoznaliśmy sytuację. Biorę to na siebie.

- Dlaczego akurat ty?

Pytanie zadała Lisa Holgersson.

- Ktoś musi - odpowiedział. - Nie ma znaczenia kto.

Nyberg podał mu gumowe rękawiczki. Zabrali się do roboty. Działali zgodnie z ustalonym porządkiem, krok po kroku przechodząc do kolejnych czynności.

Wallander podszedł do Nyberga, który instruował robiącego zdjęcia policjanta.

- Potrzebuję nagrania wideo - powiedział. - Z bliska i z daleka.

- Zgoda.

- Najlepiej zrobione przez kogoś, komu nie drży ręka.

- Śmierć zawsze łatwiej oglądać przez obiektyw - stwierdził Nyberg. - Ale na wszelki wypadek użyjemy statywu.

Wallander zebrał wokół siebie najbliższych współpracowników: Martinssona, Nyberga i Ann-Britt Hóglund. Złapał się na tym, że zaczął rozglądać się za Svedbergiem.

- Są w przebraniu - zauważył Hansson. - I noszą peruki.

- Osiemnasty wiek - oświadczyła Ann-Britt Hóglund. - Tym razem jestem pewna.

- Więc to się stało w noc świętojańską - powiedział Martinsson. - Blisko dwa miesiące temu.

- Tego nie wiemy - zaproponował Wallander. - Nie wiemy nawet, czy zbrodnię popełniono w tym miejscu.

Zdał sobie sprawę, jak absurdalnie to zabrzmiało. Niemniej trudno było zrozumieć, że nikt przez ten czas nie znalazł ciała. Krążył naokoło obrusa. Usiłował zobaczyć, co się wydarzyło. Powoli wchodził w ich świat.

Urządzili sobie zabawę. Mieli być w czwórkę. Jedna zachorowała. W dwóch dużych koszach przynieśli prowiant, wino i magnetofon.

Wallander przerwał i podszedł do rozmawiającego przez telefon Hanssona. Czekał, aż tamten skończy.

- Samochody - powiedział. - Te, którymi mieli jeździć po Europie. Gdzie się podziały? Jakoś musieli się tu dostać.

Hansson obiecał się tym zająć. Wallander powrócił do powolnej wędrówki naokoło obrusa ze zmarłymi. Rozkładają

obrus, jedzą i piją. Przykucnął. W koszu była pusta butelka po winie, dwie leżały na trawie. Trzy puste butelki.

Zanim zaskoczyła was śmierć, wypiliście trzy butelki wina. To znaczy, że byliście pijani.

Wallander podniósł się. Nyberg stał tuż obok.

- Trzeba sprawdzić, czy trochę wina nie poleło się na ziemię - powiedział. - Czy wszystko wypili. - Nyberg wskazał płamę na obrusie. - Tu coś się rozlało - mówił dalej. - To nie jest krew.

Wallander wrócił do swoich myśli.

Jecie i pijecie. Upijacie się. Macie ze sobą magnetofon, słuchacie muzyki. Ktoś się zjawia i zabija was, gdy leżycie spleceni w uścisku. Astrid Hillström wygląda, jakby spała. Zapewne było późno. Może wczesny świt.

Wallander przystanął.

Jego wzrok padł na stojący obok kosza kieliszek do wina. Raz jeszcze przykucnął, po czym przyklęknął. Zawołał fotografa, żeby zrobił zdjęcie z bliska. Kieliszek opierał się o kosz. Nóżkę podtrzymywał kawałek kamienia. Wallander rozejrzył się. Uniósł brzeg obrusa. Nigdzie nie było kamieni. Usiłował znaleźć jakieś wytłumaczenie. Zatrzymał przechodzącego Nyberga.

- Nóżkę od kieliszka podtrzymuje kamień. Jeśli znajdziesz jakiś podobny, to powiedz.

Nyberg robił notatki. Wallander nadal się przechadzał. Potem odszedł trochę dalej i rozejrzył się.

Rozłożyliście obrus u stóp drzewa. I wybraliście ustronne miejsce.

Wallander przecisnął się przez krzaki i stanął za drzewem. Skądś musiał nadejść. Nikt nie próbował uciekać. Leżycie na obrusie i odpoczywacie. Być może jedno z was śpi, a pozostała dwójka nie.

Wrócił i długo przyglądał się ofiarom.

Coś się nie zgadzało.

Po chwili zrozumiał, co to jest.

Scena, którą miał przed sobą, nie była prawdziwa. Była upozorowana.

13

W niedzielę, jedenastego sierpnia, gdy zapadł zmierzch, a polanę oświetlał posępny blask reflektorów, Wallander zrobił coś, co wszystkich zaskoczyło. Po prostu sobie poszedł. Zawiadomił tylko Ann-Britt Hóglund. Wywołał ją niepostrzeżenie na zdeptaną i rozjechaną przez policyjne pojazdy ścieżkę. Chciał pożyczyć jej samochód, bo swój zostawił na Mariagatan. Nie mówił, dokąd jedzie. Miał ze sobą komórkę i zawsze mogli go złapać. Oddalił się, a ona wróciła na miejsce zbrodni, gdzie wrzała praca. Ciało ofiar już nie było. Zostały wywiezione tuż po czwartej. Po jakimś czasie Martinsson zauważył nieobecność Wallandera i spytał, gdzie się podziewa. Hansson i Nyberg też się dziwili. Ann-Britt powiedziała, jak było. Że nie wie. Pożyczył od niej samochód. To wszystko.

Nie było się czemu dziwić. Po wielu godzinach spędzonych wśród makabrycznych pozostałości świętojańskiej zabawy Wallander miał po prostu dosyć. Żeby ogarnąć wzrokiem całość, musiał nabrać dystansu. Miał świadomość, że ciąży na nim ostateczna odpowiedzialność za śledztwa. A raczej śledztwo, jak je nazywał. Jeśli czegoś był pewien, to tego, że wszystko ma ze sobą związek: zwłoki w rezerwacie, Svedberg i zaginiony teleskop. Kiedy wynoszono ciała, było mu niemal słabo ze zmęczenia. Zmusił się jednak, by kilka następnych godzin poświęcić kolejnej próbie odtworzenia minionych wydarzeń. Potem poczuł, że dłużej nie wytrzyma. Nie była to bezładna ucieczka. Bardzo rzadko się zdarzało, żeby stracił wewnętrzny impet, nawet gdy był bardzo zmęczony i przybity. Maszerował szybko ścieżką w mroku. Chciał coś zobaczyć, ustawić przed sobą lustro. Przy wjeździe do rezerwatu czekało paru dziennikarzy. Szybko rozeszła się pogłoska, że w lesie, między drzewami, coś się wydarzyło.

Zbliżali się do niego z pytaniami. Zrobił odmowny gest ręką. Prasa zostanie poinformowana następnego dnia. Teraz nie mogą nic ujawnić. Ze względu na dobro śledztwa i inne powody, których nie może podać. To ostatnie było oczywistą nieprawdą. Ale wcale się tym nie przejął. Najważniejsze było odnalezienie osoby lub osób, które zabiły młodych ludzi. Jeśli się okaże, że Svedberg był w to w jakiś sposób zamieszany - to trudno. Musi skierować dochodzenie na właściwy tor. Niezależnie od tego, jak wygląda prawda.

Ruszył i zatrzymał się przy głównej drodze z Ystadu do Malmö, żeby sprawdzić, czy nie śledzi go któryś z napotkanych przy wjeździe do rezerwatu dziennikarzy.

Zaparkował przed domem Svedberga na Lilia Norregatan. Betoniarka wciąż stała. Od chwili kiedy Nyberg dał mu klucze, nosił je stale w kieszeni. Na drzwiach widniał napis ostrzegający, że nikt poza policją nie ma wstępu. Wallander zerwał taśmę z dziurki od klucza i otworzył drzwi. Przystanął w przedpokoju i nasłuchiwał jak za pierwszym razem, kiedy stał za nim Martinsson. Było duszno. Wszedł do kuchni i otworzył okno. Napił się wody z kranu. Przypomniawszy sobie, że nazajutrz ma wizytę u doktora Góranssona. Wiedział, że nie pójdzie. Od czasu kiedy usłyszał diagnozę, nie zmienił swoich nawyków. Jadł tak samo niezdrowo i nieregularnie jak przedtem. Prawie nie chodził pieszo. W tej sytuacji wszystko musi poczekać, nawet zdrowie.

Do salonu wpadało światło ulicznych latarni. Stał bez ruchu w półmroku. Opuścił miejsce zbrodni, gdyż musiał nabrać dystansu do tego, co się wydarzyło. Jednak już od rana nurtowała go pewna myśl, coś, nad czym wcześniej się nie zastanawiał. Ciągłe mówili o punkcie

stycznym. O tym, że Svedberg był w jakiś sposób zamieszany. Przyszła im do głowy najtrudniejsza ze wszystkich myśli - że może popełnił tę zbrodnię. Nagle Wallander uświadomił sobie, że nie wzięli pod uwagę innej ewentualności, chociaż właściwie narzucała się od samego początku. Svedberg wszczął własne dochodzenie. Zrobił to, nikogo nie informując.

Wiele wskazywało na to, że znaczną część urlopu poświęcił na tropienie śladów zaginionej młodzieży. Mogło to naturalnie oznaczać, że miał coś do ukrycia. Ale równie dobrze mogło być odwrotnie. Svedberg szedł jakimś tropem. Miał powody, by przypuszczać, że Boge, Norman i Hillström nie wyjechali w podróż po Europie. Podejrzał, że coś się stało. Gdzieś po drodze natknął się na nieznaną osobę. I potem, pewnego wieczoru lub nocy, został zamordowany. Wallander

zdawał sobie sprawę, że to nie tłumaczy, dlaczego Svedberg nic nie powiedział kolegom z pracy. Ale może miał jakieś nieznanne im powody?

Krzesło, z którego spadł Svedberg, nadal leżało na podłodze. Wallander przysiadł na sofie, nie zapalając światła. Wydarzenia dnia powracały jak seria następujących po sobie obrazów. Już w niecałą godzinę po odkryciu zwłok był przekonany, że coś jest nie tak. Potwierdziła to wstępna ekspertyza lekarza sądowego z Lundu. Nie mógł stwierdzić, jak dawno padły strzały.

Wykluczył jednak, że stało się to pięćdziesiąt dni temu. Wallander od razu zrozumiał, że mają przed sobą dwie ewentualności. Albo strzały nastąpiły później niż w noc świętojańską, albo ciała zostały ukryte i z tego powodu zachowały się lepiej niż na wolnym powietrzu. Nie można wykluczyć, że miejsce, gdzie odnaleziono ciała, nie było miejscem zbrodni. Wallanderowi i jego kolegom wydawało się mało prawdopodobne, że ktoś zamordował trzy osoby, następnie zabrał i ukrył zwłoki po to, by z powrotem przenieść je w to samo miejsce. Hansson sugerował, że młodzi pojechali jednak w podróż po Europie. Skrócili ją i wrócili wcześniej, nic nie mówiąc przyjaciółom ani rodzicom.

Wallander uważał to za możliwe, chociaż mało prawdopodobne. Brał pod uwagę wszystko. Notował własne spostrzeżenia, słuchał, co mają do powiedzenia inni, i czuł, jak coraz głębiej zapada się w gęstą mgłę.

Ciepły sierpniowy dzień niemiłosiernie się włókł. Przeczesywali miejsce zbrodni, chroniąc się za pancernym rutyną. Wallander przyglądał się, jak w porażającej ciszy wykonywali niezbędne czynności. Myślał, że w takim dniu są chwile, kiedy każdy z nich oddałby wszystko, żeby tylko nie być policjantem. Często robili przerwy i oddalali się od miejsca zbrodni. Na ścieżce ustawiono kilka kempingowych stołów i krzeseł. Tam pili kawę, która za każdym otwarciem termosu była coraz zimniejsza. Nie widział, żeby przez cały długi dzień cokolwiek wzięli do ust.

Najbardziej imponowała mu wytrzymałość Nyberga. Z ponurym uporem gmerał wśród przegniłych, cuchnących resztek jedzenia. Wydawał polecenia fotografowi i policjantowi obsługującemu kamerę wideo, pakował resztki w foliowe torebki i nanosił miejsca, w których je znaleziono, na szczegółowy plan sytuacyjny. Wallander wiedział, że Nyberg pała nienawiścią do osoby, przez którą musi się w tym grzebać. Wiedział również, że nie ma bardziej sumiennego człowieka niż Nyberg.

W pewnym momencie Wallander zorientował się, że Martinsson jest ledwie żywy ze zmęczenia. Wziął go na bok i polecił jechać do domu. Albo przynajmniej położyć się i chwilę odpocząć w samochodzie. Martinsson bez słowa pokręcił głową i poszedł w stronę rozpostartego obrusa, aby kontynuować oględziny. Z Ystadu nadjechały patrole z psami. Był wśród nich Edmundsson ze swoją Kall. Psy węszyły we wszystkich kierunkach. Za kilkoma krzakami zwietrzyły resztki odchodów. W innych miejscach leżały puszki po piwie i śmiecie. Wszystko zostało zebrane i oznaczone na planie Nyberga. Pod stojącym z boku drzewem Kall wskazała trop. Nic jednak nie znaleźli. W ciągu dnia Wallander wiele razy powracał do drzewa.

Nie było lepszego miejsca dla kogoś, kto z ukrycia chciał obserwować scenę na polanie. Poczul zimny dreszcz. Czyżby morderca stał w tym miejscu? Co widział?

Na krótko przed dwunastą Nyberg z Wallanderem dokonali oględzin leżącego w pobliżu obrusa radiomagnetofonu. W koszu znaleźli nieoznakowane kasety. W milczeniu patrzyli, jak Wallander naciska przycisk. Z taśmy popłynął ciemny, męski głos. Utwór, który wszyscy znali: Listy Fredmana, w wykonaniu Freda Akerstroma. Wallander spojrzał na Ann-Britt Hóglund. Miała rację. Stroje były z epoki Bellmana.

Ulicą przejechał samochód. Słychać było odgłosy telewizora, zapewne od sąsiadów z dołu. Wallander wypił w kuchni kolejną szklanekę wody. Usiadł przy kuchennym stole. Nadal nie zapalał światła.

Po południu odbył poważną rozmowę z Lisą Holgersson. Trzeba było poinformować rodziców. Zaproponował, że pojedzie z nią do Lundu. Postanowiła wziąć to na siebie. Widział, że mówi szczerze, więc nie nalegał. Stanowczo odradził jej jazdę w towarzystwie policyjnego kapelana lub lekarza.

- To będzie potworne - powiedział na zakończenie. - Gorsze, niż możesz sobie wyobrazić.

Wstał i przeszedł do gabinetu Svedberga. Rozejrzał się uważnie, po czym usiadł za biurkiem. Myślał o fotografiach, które przewijały się w dochodzeniu. Na przykład widokówki, które od początku wzbudziły podejrzenia Ewy Hillström. Wallander i pozostali nie wierzyli. Któż miałby pisać fałszywe kartki? Dzisiaj jej córka nie żyje. Widokówki wysyłał ktoś inny. Jechał do Paryża, Hamburga i Wiednia, i stamtąd wysyłał kartki, żeby zmylić trop. Pytanie, w jakim celu? Nawet jeśli młodzi ludzie nie zostali zabici w noc świętojańską, z pewnością już nie żyli, kiedy wysłano ostatnią kartkę z Wiednia. Po co ten fałszywy trop?

Wallander siedział w mroku, zapatrzony przed siebie. Boję się, pomyślał. Nigdy nie wierzyłem w zło. Żli ludzie nie istnieją, nikt nie rodzi się okrutny. Zło wynika z okoliczności. W tym wypadku mam zapewne do czynienia z zaćmionym umysłem.

Myślał o Svedbergu. Czy jeździł po Europie i wrzucał do skrzynek widokówki z podpisami Astrid Hillström i pozostałych? Myśl była absurda, ale nie mogli jej wykluczyć. Muszą dokładnie ustalić, kiedy znajdował się w Szwecji. Zresztą, ile czasu trwa lot do Paryża i z powrotem? Albo do Wiednia? Niemożliwe staje się możliwe. Svedberg był wytrawnym strzelcem.

Czyżby na dodatek był szalony?

Wallander wziął do ręki kalendarz Svedberga. Przejrzał go raz jeszcze. Powracała adnotacja z nazwiskiem Adamsson. Czy było to nazwisko kobiety ze zdjęcia, którą Björklund nazywał Louise? Louise Adamsson? Wrócił do kuchni. Szukał w książce telefonicznej. Louise Adamsson nie było. Może była zamężna. Może kryła się za kimś, kto nosi to samo nazwisko? Wrócił do gabinetu. Poprosi Martinssona o przewertowanie starych grafików i sprawdzenie, czym zajmował się Svedberg, kiedy w kalendarzu zapisane było nazwisko Adamsson.

Odchylił się na krześle. Było bardzo wygodne. Dużo bardziej niż krzesła w komendzie. Zerwał się gwałtownie. Nie

może tu przecież siedzieć i drzemać. Przeszedł do sypialni i zapalił górne światło. Otworzył drzwi od szafy. Rozsuwał ubrania Svedberga. Nic nie znalazł.

Zgasił światło i wrócił do salonu. Wszedł tu ktoś z bronią w rękę i wypalił Svedbergowi prosto w głowę. Strzelbę zostawił. Wallander usiłował wyobrazić sobie przebieg wydarzeń. Czy to był początek, czy koniec? A może nastąpi dalszy ciąg?

Nie miał siły o tym myśleć. Czy gdzieś w ciemności ktoś znowu szykuje się do bezsensownego zabijania?

Nie wiedział. Wszystko się wymykało, nigdzie nie mógł znaleźć punktu zaczepienia. Stał w miejscu, gdzie przedtem leżała strzelba. Wyobraził sobie Svedberga na krześle. Albo jak wstaje. Na ulicy huczała betoniarka. Dwa strzały, Svedberg przewraca się i umiera, zanim

dosięgnie podłogi. Nie słyszał rozmowy, podniesionych głosów. Tylko suchy trzask wystrzałów. Stał obok przewróconego krzesła.

Wpuściłeś do mieszkania kogoś znajomego. Nie masz powodu się bać. Albo ktoś otworzył własnym kluczem. Chyba że to był wytrych. W każdym razie nie łom, bo zostawiłby ślady. Miał ze sobą strzelbę. Jeśli to był mężczyzna. Albo trzymałeś w mieszkaniu niezarejestrowaną broń. Co więcej, naładowaną. Ten, kto przyszedł, musiał o tym wiedzieć. Liczba pytań jest nieskończona. W końcu jednak sprowadza się do dwóch podstawowych: kto i dlaczego? Jedno jedyne kto. I równie samotne dlaczego.

Wrócił do kuchni i zadzwonił do szpitala. Na szczęście trafił na tego samego lekarza.

- Isa Edengren czuje się dobrze. Zostanie wypisana jutro lub pojutrze.
- Coś mówiła?
- Niewiele. Chyba jest zadowolona, że ją znalazłeś.
- Wie, że to ja?
- Powiedzieliśmy jej.
- Jak zareagowała?
- Nie rozumiem pytania.
- Na to, że był u niej policjant?
- Nie mam pojęcia.
- Muszę z nią jak najszybciej porozmawiać.
- Przyjdź jutro.
- Wolę dzisiaj. Z tobą też muszę pogadać.
- To takie pilne?
- Owszem.
- Właśnie wychodziłem. Wolałbym odłożyć to na jutro.
- A ja wolałbym w ogóle nie odbywać tej rozmowy - odparł Wallander. - Muszę cię poprosić, żebyś zaczekał. Będę za dziesięć minut.
- Stało się coś?
- Tak. Nigdy nie zgadniesz.

Wypił kolejną szklanekę wody. Wyszedł z mieszkania i pojechał do szpitala. Było nadal ciepło, wiał lekki wiatr.

Lekarz czekał na oddziale, gdzie leżała Isa Edengren. Zaprowadził go do biura. Wallander zamknął za sobą drzwi. Postanowił od razu przystąpić do rzeczy. Powiedział o zwłokach młodych ludzi w rezerwacie i że Isa Edengren miała tam z nimi być. Zataił stroje i peruki. Lekarz bacznie słuchał.

- Kiedyś chciałem zostać lekarzem sądowym. Jak to słyszę, to cieszę się, że nic z tego nie wyszło - skomentował.
- Masz zupełną rację. To był okropny widok - odpowie dział Wallander.

Lekarz wstał.

- Przypuszczam, że chcesz do niej zajrzeć?
- Jeszcze jedno. Ta rozmowa ma, rzecz jasna, pozostać między nami.
- Lekarzy obowiązuje tajemnica zawodowa.
- Policjantów również. Dziwne, skąd się biorą wszystkie przecieki.

Wyszli na korytarz. Przed drzwiami do pokoju lekarz przystanął.

- Zobaczę, czy nie śpi.

Wallander czekał. Nie lubił szpitali. Chciał jak najszybciej wyjść. Przyszła mu do głowy myśl. Przypomniał sobie słowa Góranssona o bardzo prostej metodzie badania poziomu cukru we krwi. Lekarz wyszedł z pokoju.

- Nie śpi.

- Pozwolisz, że cię poproszę o coś zupełnie innego - powiedział Wallander. - Czy mógłbyś zbadać mi poziom cukru we krwi?

Lekarz spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego?

- Dlatego że jutro mam wizytę u twojego kolegi, który miał to zrobić. Ale nie zdążę do niego pójść.

- Masz cukrzycę?

- Nie. Mam za wysoki poziom cukru.

- No to masz cukrzycę.

- Możesz zbadać poziom cukru czy nie? Nie mam ze sobą karty pacjenta. Może da się zrobić wyjątek.

Lekarz zatrzymał przechodzącą pielęgniarkę.

- Mamy tu glukometr?

- Jasne, że tak.

Na plakietce widniało nazwisko „Brundin”.

- Możesz zmierzyć cukier panu Wallanderowi? Potem będzie rozmawiał z Isą Edengren.

Kiwnęła głową. Wallander podziękował lekarzowi. Ukłuła go w palec i naniosła kroplę krwi na pasek testowy urządzenia podobnego do walkmana.

- Piętnaście i pół - poinformowała. Trochę za dużo.

- Dużo jak diabli - powiedział Wallander. - To wszystko, co chciałem wiedzieć.

Przyjrzała mu się badawczo. Miała przyjazny wzrok.

- Trochę pan dużo waży.

Wallander pokiwał głową. Zrobiło mu się wstyd jak dziecku przyłapanemu na gorącym uczynku.

Wszedł do pokoju Isy Edengren. Spodziewał się, że będzie leżała w łóżku, tymczasem siedziała na krześle, owinięta kocem po szyję. Palila się tylko lampa przy łóżku. Z trudem rozróżniał jej rysy. Podszedł bliżej i spojrział jej w oczy. Patrzyła na niego jakby z lękiem. Wyciągnął rękę i przedstawił się. Usiadł obok niej na stołku.

Nadal nie wie, że troje jej bliskich przyjaciół nie żyje, pomyślał. Chyba, że w jakiś sposób się domyśliła. Czekala i czekała. Aż wreszcie miała już dosyć.

Przysunął bliżej stołek. Cały czas go obserwowała. Jak tylko wszedł do pokoju, pomyślał, że przypomina mu Lindę. Ona również usiłowała popełnić samobójstwo. Nie miała jeszcze wtedy piętnastu lat. Zrozumiał później, że to była główna przyczyna, dla której Mona postanowiła się z nim rozwieść.

Nigdy do końca tego nie rozumiał, mimo że w ostatnich latach często rozmawiał na ten temat z Lindą. Coś mu zawsze umykało. Zastanawiał się, czy tym razem potrafi zrozumieć, dlaczego siedząca obok niego dziewczyna usiłowała odebrać sobie życie.

- Wiesz, że to ja cię znalazłem - zaczął. - Ale nie wiesz, po co pojechałem do Skarby. Dlaczego poszedłem na tyły zamkniętego domu i wszedłem do altany, gdzie spałaś.

Przerwał, czekając, czy się odezwie. Patrzyła na niego w milczeniu.

- Miałaś być na świętojańskiej zabawie - ciągnął. - Z Martinem, Astrid i Leną. Tymczasem zachorowałaś. Rozbolał cię brzuch i zostałaś w domu. Czy tak?

Nie reagowała. Wallander się wahał. Jak ma powiedzieć, co się stało? Wiedział, że nazajutrz wszystko będzie w gazetach. Niezależnie od tego, jak postąpi, dziewczyna i tak dozna szoku. Powinienem był przyjechać z Ann-Britt, pomyślał. Lepiej by sobie poradziła.

- Po jakimś czasie do matki Astrid zaczęły przychodzić pocztówki. Podpisane przez całą trójkę. Albo tylko przez

Astrid. Z Hamburga, Paryża i Wiednia. Czy planowaliście jakąś podróż po świecie najkrótszej nocy? W tajemnicy przed wszystkimi?

Wreszcie odpowiedziała. Tak cicho, że Wallander z trudem słyszał słowa.

- Nie - wyszeptała. - Nic nie było postanowione.

Ścisnęło go w gardle. Głos miała kruchy, jakby za chwilę

miał pęknąć. Myślał: za chwilę się dowie, że ból brzucha uratował jej życie.

Najchętniej zadzwoniłby do lekarza z pytaniem, jak ma postąpić. W jaki sposób przekazać wiadomość. Coś go powstrzymywało, popychało w innym kierunku.

- Opowiedz mi o wieczorze świętojańskim - zaproponował.

- Dlaczego mam opowiadać?

Zdziwił się, że jej kruchy głos może brzmieć tak stanowczo. Pomyślał, że wszystko będzie zależało od sposobu zadawania pytań.

- Bo jestem ciekawy. Bo matka Astrid jest zaniepokojona.

- To była zwykła zabawa.

- Mieliście być przebrani. W stroje z epoki Bellmana. Nie spodziewała się, że on wie. Pytanie było ryzykowne.

Mogła się w sobie zamknąć. Z drugiej strony, może w ogóle nie będzie można z nią rozmawiać, kiedy się dowie, co spotkało jej przyjaciół.

- Czasami się przebieraliśmy.

- Dlaczego?

- Żeby było inaczej.

- Wkraczaliście w inną epokę? -Tak.

- Przebieraliście się zawsze w stroje z epoki Bellmana? W jej głosie usłyszał nutkę pogardy.

- Nigdy się nie powtarzaliśmy.

- Dlaczego?

Nie odpowiedziała. Zrozumiał, że to coś ważnego. Próbował cofnąć się o krok i podejść z innej strony.

- Czy rzeczywiście wiadomo, jak ubierali się ludzie w dwunastym wieku?

- Tak. Ale nigdy nie byliśmy w tamtych czasach.

- Jak wybieraliście epoki?

Również na to pytanie nie odpowiedziała. Wydawało mu się, że w jej przemilczeniach odnajduje pewną zasadę.

- Powiedz, co się stało w wieczór świętojański.

- Zachorowałam.

- Tak nagle?

- Objawy zatrucia przychodzą nagle.

- I co dalej?

- Martin po mnie przyjechał.

- Jak zareagował?

- Prawidłowo.

- To znaczy?

- Spytał, czy to prawda. Prawidłowo. Wallander nie zrozumiał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Albo się mówi prawdę, albo nie. Jak się mówi nieprawdę, zostaje się wykluczonym.

Nie odpowiada na pytanie, dlaczego się nie powtarzali, pomyślał. Ani jak wybierali różne epoki. Mówi, że odstępstwo od prawdy powoduje wykluczenie. Z czego?

- Traktowaliście waszą przyjaźń bardzo poważnie. Nie wol

no było kłamać. Groziło za to wykluczenie.
Spojrzała na niego ze szczerym zdziwieniem.

- Inaczej nie byłaby to przyjaźń.

Skinął głową.

- Naturalnie. Przyjaźń musi się opierać na wzajemnym zaufaniu.

- Jest coś innego?

- Nie wiem - odparł Wallander. - Może miłość.

Podciągnęła koc pod brodę.

- Co pomyślałaś, dowiedziawszy się, że wyruszyli w podróż po Europie? Nic ci nie mówiąc?

Długo na niego patrzyła, zanim odpowiedziała:

- Już mówiłam.

Dopiero po chwili zrozumiał, o czym mówiła.

- Pytał o to policjant, który odwiedził cię w lecie?

- A któż inny?

- Pamiętasz, kiedy do ciebie przyszedł?

- Pierwszego albo drugiego lipca.

- O co jeszcze pytał?

Raptem nachyliła się do niego. Wzdrygnął się zaskoczony.

- Wiem, że nie żyje. Nazywał się Svedberg. Czy przyszedł pan, żeby mi to zakomunikować?

- Niezupełnie - odpowiedział. - Chciałbym się dowiedzieć, o co cię jeszcze pytał.

- O nic więcej. Wallander zmarszczył czoło.

- Chyba zadawał jakieś inne pytania?

- Nie. Mam to na taśmie. Z początku nie zrozumiał.

- Nagrałaś rozmowę ze Svedbergiem na taśmę?

- W tajemnicy. Często to robię.

- Nagrałaś Svedberga, kiedy u ciebie był? - Tak.

- Gdzie jest ta taśma?

- W altanie. Tam gdzie pan mnie znalazł. Z błękitnym aniołem na okładce.

- Błękitny anioł?

- Sama robię okładki. Wallander pokiwał głową.

- Masz coś przeciwko temu, żebyśmy przywieźli taśmę?

- Nie, dlaczego?

Wallander zadzwonił do komendy. Zlecił dyżurnemu policjantowi wysłanie patrolu po kasetę i walkmana.

- Błękitny anioł? - powtórzył zdziwiony policjant.

- Błękitny anioł na okładce. To pilne.

Minęło dokładnie dwadzieścia dziewięć minut. W tym czasie Isa spędziła ponad kwadrans w łazience. Kiedy wyszła, zdziwiony Wallander stwierdził, że umyła włosy. Zupełnie nie pomyślał, że mogłaby ponownie targnąć się na swoje życie.

Do pokoju wszedł policjant z kasetą i walkmanem. Skinęła głową na znak, że to właściwa kasetka. Ze słuchawkami na uszach przewijała taśmę.

- Jest - powiedziała, podając Wallanderowi słuchawki. Rozległ się donośny głos Svedberga. Wzdrygnął się, jakby go ktoś dźgnął. Słyszał, jak Svedberg odchrząknął, zanim zadał pytanie. Jej odpowiedź była niedosłyszalna. Cofnął taśmę i przez słuchawki raz jeszcze.

Nie omylił się.

Miała rację, ale nie do końca. Svedberg rzeczywiście pytał o to samo. Ale niezupełnie. Była podstawowa różnica.

Co pomyślałaś, dowiedziawszy się, że wyruszyli w podróż po Europie, nic ci nie mówiąc?

Tak brzmiało pytanie Wallandera. Sposób, w jaki Svedberg sformułował pytanie, zasadniczo zmieniał jego wymowę.

Słuchał dobrze znajomego głosu:

Czy rzeczywiście uważasz, że wyruszyli w podróż po Europie?

Odsłuchał jeszcze raz. Isa nie odpowiedziała na pytanie. Zdjął słuchawki.

Svedberg wiedział, pomyślał.

Już pierwszego lub drugiego lipca.

Wiedział, że nie udali się w zagraniczną podróż.

14

Kontynuowali rozmowę. Na stole leżał walkman i kasetka z błękitnym aniołem na okładce, zawierająca ostatni ślad głosu Svedberga. Wallander zadawał dalsze pytania, mimo że trudno mu się było skupić. Wisiał nad nim przymus decyzji. Kto powie lisie Edengren, co stało się z jej przyjaciółmi? I kiedy? Miał niejasne poczucie, że ją zawiódł. Czy nie powinien był od razu powiedzieć całej prawdy? Było po dziewiątej, kiedy uznał, że nie pozostaje nic innego.

Wyszedł pod pretekstem, że chce się napić kawy. Zadzwoił do Martinssona. Usłyszał, że powoli zaczynają wracać do Ystadu. Wkrótce na miejscu pozostaną tylko technicy i straż.

Nyberg ze swoją ekipą będą pracować przez całą noc. Wallander powiedział, skąd dzwoni, i poprosił do telefonu Ann-Britt Hóglund. Przedstawił sytuację i poprosił o pomoc.

- Jestem u Isy Edengren. Ją też trzeba zawiadomić o ich śmierci. Nie wiem, jak zareaguje.

- W końcu jest w szpitalu. Co może się takiego stać?

Zaskoczył go jej chłód. Uświadomił sobie po chwili, że to reakcja obronna. Nie było nic gorszego niż ponure miejsce, gdzie spędziła cały sierpniowy dzień.

- Wolałbym, żebyś tu przyjechała - poprosił. - Nie chcę być sam. Dopiero co próbowała odebrać sobie życie.

Od pielęgniarki, która mierzyła mu poziom cukru, wziął nazwisko i domowy telefon lekarza.

Przy okazji zapytał

o wrażenie, jakie zrobiła na niej Isa Edengren.

- Osoby, które popełniają samobójstwo, często są bardzo silne psychicznie - powiedziała. - Oczywiście zdarzają się wyjątki, ale moim zdaniem Isa Edengren należy do tych pierwszych.

Spytał, gdzie może napić się kawy. Skierowała go do automatu przy głównym wejściu.

Wallander zatelefonował do lekarza. Odpowiedziało dziecko, potem żona, a na końcu lekarz.

- Za późno się zorientowałem - przyznał komisarz. - Musimy jej powiedzieć, co się stało.

Inaczej dowie się jutro.

I będzie z tym sama. Nie wiadomo, jak zareaguje.

Lekarz obiecał, że przyjedzie. Wallander udał się na poszukiwanie automatu do kawy. Kiedy go znalazł, zorientował się, że nie ma drobnych. Zwrócił się z prośbą do starszego pana z balkonikiem, który z trudem włókł za sobą nogi. Nie mógł mu rozmiąć, ale wręczył brakujące monety. Wallander stał z banknotem w ręku.

- Niedługo umrę - oznajmił mężczyzna. - Za jakieś trzy tygodnie. Na co mi pieniądze?

Powlókł się dalej. Był w znakomitym humorze. Wallander patrzył za nim ze zdumieniem.

Nacisnął na zły przycisk i dostał kawę z mlekiem, której prawie nigdy nie pił. Z kubkiem w ręku wrócił na oddział. Właśnie przyjechała Ann-Britt Hóglund. Błada, z podkrążonymi

oczami. Nie znaleźli tropu, który nadałby dochodzeniu konkretny bieg. Słyszał w jej głosie znużenie. Wszyscy jesteście zmęczeni, pomyślał. Zanim jeszcze zaczęliśmy zgłębiać otaczający nas koszmar.

Zreferował rozmowę z Isą Edengren. Ann-Britt się zdziwiła, usłyszawszy o taśmie z głosem Svedberga. Podzielił się z nią wnioskiem, który mu się nasunął. Svedberg wiedział, a w każdym razie podejrzewał, że młodzi wcale nie wyjechali ze Szwecji.

- Skąd mógł wiedzieć? - spytała. - Chyba że sam był w to zamieszany?

- Przynajmniej jedno się wyjaśniło - stwierdził. - Svedberg znajdował się w pobliżu wydarzeń. Ale nie wiedział wszystkiego. Gdyby tak było, nie musiałby zadawać pytań.

- W każdym razie nie on ich zabił - powiedziała. - Nikt zresztą chyba w to nie wierzył?

- Przyznaję, że przemknęło mi to przez myśl - odparł Wallander. - Teraz obraz sytuacji jest inny i możemy zrobić krok naprzód. Svedberg zadaje pytania już w kilka dni po nocy świętojańskiej. Czyli coś wie. Ale co?

- Wie, że nie żyją?

- Niekoniecznie. Na pewno wie tyle, ile my, zanim znaleźliśmy ciała.

- Czego się jednak obawia?

- Tu dochodzimy do istotnego punktu. Skąd się bierze niepokój Svedberga?

- Wie coś, czego my nie wiemy?

- W każdym razie coś podejrzewa. Albo przeczuwa. Podąża za tropem w tajemnicy przed nami. Idzie na urlop i rozpoczyna prywatne dochodzenie. Sprawnie i energicznie.

- Pytanie brzmi: co on wie?

- To właśnie musimy wyjaśnić. Nic innego.

- Ale to nie tłumaczy, dlaczego został zamordowany.

- Ani dlaczego coś przed nami ukrywał. Zmarszczyła brwi.

- Z jakiego powodu coś się zataja?

- Żeby nie wyszło na jaw. Żeby nie zostać zdemaskowanym.

- Być może istnieje ogniwo pośrednie.

- Przyszło mi to do głowy. Że zamieszane są jeszcze inne osoby.

- Louise?

- Być może. Nie wiem.

W głębi korytarza trzasnęły drzwi. W korytarzu pojawił się lekarz. Kiedy Wallander wszedł do pokoju, Isa dalej siedziała na krześle.

- Muszę ci coś powiedzieć - oznajmił, siadając obok niej.

- To będzie bardzo bolesne. Dlatego chcę, żeby był przy tym lekarz, który się tobą opiekuje. I moja koleżanka, Ann-Britt.

Widać było, że się wystraszyła, ale nie mógł się już wycofać. Weszła pozostała dwójka. Wallander opisał wydarzenia. Odnaleziono jej przyjaciół. Niestety nie żyją. Zostali zamordowani. Wiedział, że reakcja może być natychmiastowa. Albo spóźniona.

- Wolimy powiedzieć ci teraz. Żebyś nie musiała dowiadywać się z gazet.

Nie zareagowała.

- Wiem, że ci ciężko - dodał. - Ale muszę ci zadać pytania. Czy domyślasz się, kto to mógł zrobić?

- Nie.

Głos miała słaby, ale wyraźny.

- Czy ktoś wiedział o waszym spotkaniu? - pytał dalej.

- Nigdy nie mówimy osobom z zewnątrz.

Zabrzmiało to jak punkt regulaminu. Może zresztą tak było.

- Nikt oprócz ciebie nie wiedział?

- Nikt.

- Nie pojechałaś z nimi, bo zachorowałaś. Wiedziałaś, gdzie będą?

- W rezerwacie.

- Mieliście się przebrać?

-Tak.

- I nikt nic nie wiedział? Wszystko trzymaliście w tajemnicy?

-Tak.

- Dlaczego to była tajemnica?

Nie odpowiadała.

Znowu wkroczyłem na zakazany teren, pomyślał. Wtedy nie odpowiada. Miała jednak rację. Nikt nie wiedział o ich spotkaniu.

Nie zadawał więcej pytań.

- Pójdziemy już - powiedział. - Jeżeli coś ci się przypomni, personel wie, gdzie mnie szukać. Poza tym chcę, żebyś wiedziała, że rozmawiałem z twoją mamą.

Wzdrygnęła się.

- Po co? Co ona ma ze mną wspólnego? - zapytała ostrym głosem.

Wallanderowi zrobiło się nieprzyjemnie.

- Musiałem - odparł. - Byłaś nieprzytomna. W takim przypadku mam obowiązek zawiadomić rodzinę.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, może zaprotestować, ale dała za wygraną. Wybuchnęła płaczem. Lekarz dał sygnał do wyjścia. Na korytarzu Wallander uświadomił sobie, że jest cały mokry.

- Za każdym razem jest gorzej - stwierdził. - Nie daję już rady.

Wyszli ze szpitala. Wieczór był ciepły. Dał Ann-Britt kluczyki od samochodu.

- Jadłeś coś? - spytała.

Pokręcił głową.

Podjechała na Malmövägen, do kiosku z hamburgerami, gdzie niedawno jadł. W milczeniu czekali, aż ostatni członek klubu sportowego z Yadstenu złoży zamówienie. Jedli, siedząc w samochodzie. Wallander poczuł, jak bardzo był głodny. Jadł bez przyjemności.

- Jutro już wszyscy będą wiedzieli - powiedziała. - I co dalej?

- W najlepszym razie zdobędziemy cenne informacje. W najgorszym - uznają, że do niczego się nie nadajemy.

- Masz na myśli Evę Hillström?

- Nie jestem pewien, co mam na myśli. Ale cztery osoby nie żyją. Zamordowane. Z różnej broni.

- Jakiego człowieka szukamy?

- Zabijanie jest aktem szaleństwa - odparł po namyśle. -Ktoś traci kontrolę. Ale w tym wszystkim jest coś świadomego. Sądzę, że człowiek pomyśli dwa razy, zanim zamorduje policjanta. Pamiętam, co powiedziała dziewczyna w szpitalu. Że nikt nie wiedział, gdzie mają się spotkać. A jednak ktoś wiedział. Nie wierzę, żeby to było przypadkowe morderstwo.

- Szukamy kogoś, kto wiedział, że umawiają się ze sobą w tajemnicy przed wszystkimi?

- Co więcej, kogoś, kogo Svedberg podejrzewał.

Zamilkli. To nie ma sensu, myślał Wallander. Przegapiliśmy coś bardzo istotnego. Nie mogę tego dostrzec.

- Jutro jest poniedziałek - odezwała się. - Zdjęcie Louise ukaże się w prasie. Przypuszczalnie przyjdą wyniki od lekarzy sądowych z Lundu. I informacje od osób prywatnych.

- Mam za mało cierpliwości - powiedział Wallander. - To moja wada. I z biegiem lat mam jej coraz mniej.

Dotarli do komendy około wpół do jedenastej. Wallandera zdziwiła nieobecność dziennikarzy. Był przekonany, że pogłoska o zwłokach w rezerwacie już się rozeszła. Rozebrał się u siebie i poszedł do stołówki. Zmęczeni koledzy w milczeniu pochyłali się nad kawą, resztkami pizzy. Czuł, że powinien im dodać otuchy. Ale jak podnieść na duchu ludzi, którzy tego letniego dnia znaleźli w lesie zwłoki zamordowanych ludzi? I mają jeszcze w świeżej pamięci mord dokonany na koledze?

Nic nie powiedział. Skinął tylko głową. Żeby wiedzieli, że jest z nimi. Hansson podniósł na niego znużony wzrok.

- Kiedy zaczynamy?

Wallander zerknął na zegarek.

- O wpół do jedenastej. Czy jest Martinsson?

- Za chwilę będzie.

- A Lisa?

- Jest w biurze. Miała ciężką przeprawę w Lundzie. Z wszystkimi rodzicami. Para za parą identyfikowała swoje dzieci. Eva Hillström była podobno sama.

Wallander słuchał w milczeniu. Potem udał się wprost do biura Lisy Holgersson. Drzwi były uchylone. Siedziała nieruchomo za biurkiem. Miała wilgotne oczy. Zapukał i pchnął drzwi. Skinęła głową, żeby wszedł.

- Mam nadzieję, że nie żałujesz, że pojechałeś?

- Czego mam żałować? Miałeś zupełną rację, to było potworne. Po prostu brakuje słów.

Rodzice, którzy w letni dzień identyfikują swoje martwe dzieci. Ci, którzy przygotowali ciała, zrobili świetną robotę. Ale i tak trudno było ukryć, że już od dłuższego czasu nie żyją.

- Hansson mówił, że Eva Hillström przyszła sama.

- Była najbardziej opanowana ze wszystkich. Chyba się tego spodziewała.

- Będzie nas oskarżała, może i słusznie. Za to, że nie podjęliśmy żadnych kroków.

- Ty też tak uważasz?

- Nie. Ale nie wiem, ile jest warte moje zdanie. Gdybyśmy mieli więcej ludzi, wszystko wyglądałoby inaczej. I gdyby nie okres urlopów. Powody się zawsze znajdują. Ale to, co się ostatecznie liczy, to rozpacz matki wobec faktu, że sprawdziły się jej najgorsze przeczucia.

- Chciałam poruszyć z tobą ważną sprawę. Potrzebujemy pomocy z zewnątrz. Jak najszybciej.

Wallander był zbyt wyczerpany, by protestować. W głębi duszy się z nią nie zgadzał. Zawsze się wydawało, że więcej policjantów szybciej osiągnie wyznaczony cel. Ale z doświadczenia wiedział, że jest inaczej. Najlepsze rezultaty osiągała mała, wewnętrznie spójna grupa operacyjna.

- Co o tym sądzisz?

Wallander wzruszył ramionami.

- Znasz moje zdanie. Ale nie będę oponował, jeśli zdecydujesz się ściągnąć posiłki.

- Może przedyskutujemy to dzisiaj?

- Wszyscy są wykończeni. Niczego sensownego z nich nie wyciągniesz. Poczekaj do jutra - poradził.

Była za kwadrans jedenasta. Razem poszli do sali zebrania. W korytarzu spotkali Martinssona. Miał zablocone nogawki.

- Co się stało? - spytał Wallander.

- Próbowałem iść na skróty - odparł ponuro Martinsson. - Przez las. Źle stąpałem. Mam w biurze zapasowe spodnie, zaraz przyjdę.

Wallander wszedł do toalety i napił się wody. Zobaczył swoją twarz w lustrze i odwrócił wzrok.

Za dziesięć jedenasta zamknęli za sobą drzwi. Krzesło Svedberga nadal stało puste. Nyberg przyjechał prosto z miejsca zbrodni. Napotkał wzrok Wallandera i pokręcił przecząco głową. Żadnych nowych śladów.

Wallander zreferował przebieg wizyty w szpitalu. Miał ze sobą magnetofon i kasetę. Niechętnie i z oporami przysłuchiwali się głosowi Svedberga. Kiedy później Wallander przedstawił swój komentarz, ogólne znużenie jakby na chwilę opadło. Svedberg się czegoś domyślał. Powstawało pytanie, czy z tego właśnie powodu został zamordowany.

Wallander odsunął magnetofon i oparł dłonie na stole. Otworzył usta i z początku nie wiedział, co powiedzieć. Dopiero po dłuższej chwili odnalazł wątek.

Omówienie skończyli późno w nocy. Przez ten czas udało im się pokonać zarówno zmęczenie, jak i niechęć.

Nagonkę, pomyślał, można urządzić zarówno w krajobrazie wewnętrznym, jak i na zewnątrz. Zamiast gęstych zarośli przeczesujemy własne spostrzeżenia. Ale proces jest podobny.

Tuż po dwunastej zrobili przerwę. Kiedy wrócili na miejsca, Martinsson przez nieuwagę usiadł na krześle Svedberga. Zauważył pomyłkę i natychmiast się przesiadł. Wallander poszedł się wysikać i napić wody. Czuł suchość w ustach i bolała go głowa. Zaciśnął zęby i dalej prowadził zebranie. W przerwie poszedł zadzwonić do szpitala. Długo trwało, zanim podeszła pielęgniarka. Ta sama, która wcześniej ukłuła go w palec.

- Dziewczyna śpi - oznajmiła. - Prosiła o środek nasenny. Rzecz jasna, nie mogliśmy jej dać. Ale chyba i tak zasnęła.

- Czy dzwoniли rodzice? Matka?

- Tylko jakiś mężczyzna. Przedstawił się jako sąsiad.

- Lundberg.

- Zgadza się.

- Reakcja nastąpi pewnie jutro - powiedział Wallander.

- Co się właściwie stało?

Nie miał powodu przed nią tego ukrywać.

- Trudno uwierzyć, że to prawda - odezwała się po długim milczeniu. - Jak coś takiego może się zdarzyć?

- Nie wiem - odparł szczerze. - Rozumiem tyle, co każdy inny.

Wrócił do sali zebrań. Nadeszła pora na podsumowanie.

- Nie wiem, dlaczego do tego doszło - rozpoczął. - Tak samo jak wy nie rozumiem szaleńca, który z zimną krwią za bija bawiącą się młodzież. Wobec tego, że nie znam motywu, nie znam też potencjalnego zabójcy. Jedyne, co widzę, to następstwo zdarzeń. To samo, co wy. Nie jest zupełnie wyrażne, ma pewne luki. Ale to wszystko, czym dysponujemy.

Jeszcze raz je omówię. Poprawiajcie mnie, jeśli będę się mylił.

Uzupełniajcie, jeśli o czymś zapomnę.

Nalał sobie szklankę wody mineralnej i ciągnął dalej:

- Dwudziestego pierwszego czerwca pod wieczór trójka młodych ludzi przybywa do rezerwatu przyrody w Hagestadszie. Prawdopodobnie byli dwoma samochodami, po których zresztą zaginął ślad. To jedna z pilnych rzeczy do wyjaśnienia. Według Isy Edengren, która zachorowała - co zapewne ura towało jej życie - miejsce było z góry ustalone. Urządzają coś w rodzaju maskarady. Zresztą nie pierwszy raz. Byłoby dobre wiedzieć coś więcej o tych zabawach. Odnoszę wrażenie,

że byli silnie ze sobą związani. Może nie tylko więzami przy jaźni. Urządzają przyjęcie, jak za czasów Bellmana. Noszą kostiumy i peruki. Słuchają taśmy z Listami Fredmana. Nie wiemy, czy ktoś ich śledził. Miejsce, które wybrali, jest dobrze ukryte. Nagle coś się dzieje. Pojawia się człowiek, który ich zabija. Strzałem w czoło. Nie wiadomo jeszcze, jakiej użył broni. Wszystko wskazuje na to, że działał planowo i zdecydowanie. Znajdujemy ich pięćdziesiąt jeden dni później. Tak wygląda prawdopodobny przebieg wydarzeń. Zanim jednak dowiemy się, od jak dawna nie żyją, nie możemy wykluczyć innych wersji. Na przykład, że stało się to później niż w noc świętojańską. Bez względu na to, kiedy zostali zamordowani, możemy przyjąć, że morderca posiadał pewne informacje. Trudno sobie wyobrazić, żeby potrójne morderstwo było dziełem przypadku. Nie możemy, rzecz jasna, wykluczyć szaleńca. W tej chwili niczego nie możemy wykluczyć. Lecz wiele wskazuje na to, że zabójstwo było częścią z góry ułożonego planu. Którego nie potrafię sobie wyobrazić. Dlaczego ktoś miałby zabić młodych, pełnych radości ludzi? Z jakiego powodu? Nie wiem. Nigdy chyba nie spotkałem się z czymś podobnym.

Umilkł. Jeszcze nie skończył. Czekał na pytania, ale nikt się nie zgłosił. Ciągnął dalej:

- Jest jeszcze jedno. Nie wiemy, czy to nastąpiło na początku, na końcu czy w środku wydarzeń. Być może przebiegało równoległe z nimi. Chodzi o zabójstwo Svedberga. W jego mieszkaniu znajdujemy zdjęcie, na którym jest jedna z zamordowanych dziewczyn. Svedberg podejmuje śledztwo, jak tylko Eva Hillström i pozostali rodzice zaczynają się niepokoić. Nie wiemy dlaczego prowadzi samotne dochodzenie. Mamy jednak punkt styczny i od niego musimy zacząć. Musimy pracować równocześnie w kilku kierunkach.

Odłożył długopis i odchylił się na krześle. Bolały go plecy. Spojrzał na Nyberga.

- Być może wyprzedzam fakty - powiedział. - Ale zarówno Nyberg, jak i ja odnieśliśmy wrażenie, że miejsce zbrodni jest spreparowane.

- Nie rozumiem, jak mogli tam leżeć przez pięćdziesiąt jeden dni i nikt ich nie zauważył - odezwał się zmęczonym głosem Hansson. - W lecie tam się roi od ludzi.

- Ja też nie rozumiem - odparł Wallander. - Istnieją trzy możliwości. Pierwsza - że mylimy się w punkcie wyjścia i zabójstwo miało miejsce później niż w noc świętojańską. W czasie innej zabawy. Druga - że dokonano go nie w tym miejscu, gdzie leżały zwłoki. Trzecia - że zbrodnię popełniono tam, gdzie znaleźliśmy ciała. Zabrano je stamtąd, a potem położono z powrotem.

- Kto robi coś takiego? I w jakim celu?

- A jednak sądzę, że tak to się odbyło - odezwał się Nyberg.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego. Nyberg rzadko bywał tak stanowczy we wstępnej fazie śledztwa.

- Odniosłem to samo wrażenie, co Kurt - oświadczył. -

Że to jest w jakiś sposób upozorowane. Jakby fotograf ustawił ich do zdjęcia. Poza tym zastanowiło mnie kilka rzeczy.

Wallander czekał w napięciu. Tymczasem Nyberg jakby stracił wątek.

- Słuchamy - powiedział Wallander.

Nyberg potrząsnął głową.

- Zgadza się, że to nie ma sensu. Po co usuwać ciała? I kłaść je z powrotem w tym samym miejscu?

- Przyczyn może być kilka - stwierdził Wallander. - Opóźnić wykrycie zbrodni. Zyskać na czasie, żeby nie wpaść.

- Zdążyć wysłać pewną ilość pocztówek - dodał Martins-son.

Wallander skinął głową.

- Musimy posuwać się krok po kroku. Wszystkie sugestie są słuszne. Mniej lub bardziej.

- Kieliszki - powiedział powoli Nyberg. - W dwóch były jeszcze resztki wina. W jednym lekki osad, w drugim trochę więcej. Już dawno powinno było wyparować. Najbardziej zdziwiło mnie jednak to, czego nie było. Muszek i innych żyjatek. A powinny być. Wszyscy wiemy, jak wygląda kieliszek z winem, który przez całą noc stał na dworze. Rano mnóstwo w nim martwych owadów. W tych kieliszkach nie było nic.

- Jak to wytłumaczyć?

- Kiedy Lemman natrafił na zwłoki, nie mogły tam leżeć dłużej niż kilka godzin.

- Ile?

- Tego nie wiem.

- Przeczą temu resztki jedzenia - zaproponował Martinsson. - Zgniły kurczak, spleśniała sałata, zjełczałe masło, wyschnięty i stwardniały chleb. Jedzenie się tak szybko nie psuje, nie w ciągu kilku godzin.

Nyberg spojrzał na niego.

- Czy to nie przemawia za naszą wersją? Że wszystko było upozorowane? Ustawia się kieliszki i na dno nalewa się trochę wina. Zepsutą żywność można przynieść. I rozłożyć na talerzach.

Nyberg odzyskał poprzednią pewność siebie.

- Większość tych rzeczy jesteśmy w stanie stwierdzić.

Możemy dokładnie określić, jak długo wino w kieliszkach było wystawione na działanie powietrza. Moim zdaniem, gdyby Lemmanowie wybrali się na spacer przedwczoraj rano, to nic by nie znaleźli.

W pokoju zapadła cisza. Wallander uświadomił sobie, że Nyberg wybiegał myślami dalej niż on. Jemu nie przyszło do głowy, że w momencie kiedy odkryto zwłoki, leżały tam niespełna doba. To by znaczyło, że sprawca jest gdzieś w pobliżu. Wersja Nyberga zdecydowanie podważała udział Svedberga w popełnieniu przestępstwa. Mógł ich zabić i ukryć ciała. Ale nie mógł wyciągnąć ich z ukrycia.

- Skąd masz tę pewność? - spytał Wallander. - A może zwyczajnie się mylisz?

- Wątpię. Mogę się mylić co do pory, ale w zasadzie przebieg wydarzeń wyglądał tak, jak mówię.

- To ciągle nie wyjaśnia, czy miejsce, gdzie ich znaleziono, jest miejscem dokonania zabójstwa.

- Jeszcze nie zakończyliśmy oględzin - przyznał Nyberg. - Ale wygląda na to, że krew wsiąkała w podłogę pod obrusem.

- Uważasz, że tam ich zastrzelono? I stamtąd przeniesiono zwłoki?

- Tak uważam.

- Pytanie, dokąd je przeniesiono.

Wiedzieli, że to niezwykle ważne pytanie. Zaczynali dostrzegać kierunek, w jakim poruszał się sprawca. Nie wiedząc nic o nim samym, przeczuwali jego posunięcia. To był duży krok naprzód.

- Mówimy o jednej osobie. Naturalnie mogło być ich więcej. Tym bardziej, jeśli przyjmujemy, że ciała noszono w tę i z powrotem.

- Może używamy niewłaściwego słowa - wtrąciła Ann-Britt Hóglund. - Być może zamiast: przenosić, powinniśmy mówić: ukryć?

Wallander miał to na końcu języka.

- Miejsce nie leży zbyt głęboko w lesie - powiedział. Co prawda da się tam dojechać, ale wjazd jest zabroniony. Zwróciłoby to uwagę. Wniosek jest prosty. Ciało ukryto na terenie rezerwatu. Może nawet w pobliżu miejsca zbrodni.

- Psy niczego nie wywęszyły - przypominał Hansson. - Może to nie ma większego znaczenia. Wallander powziął decyzję.

- Nie możemy czekać na wyniki wszystkich technicznych ekspertyz. Jak tylko się przejaśni, zaczniemy szukać miejsca, w którym ukryto zwłoki. Jeżeli rozumiemy prawidłowo, to leży ono gdzieś w pobliżu.

Było już po pierwszej. Wallander wiedział, że potrzebują przynajmniej paru godzin snu. Wkrótce znów będą na nogach.

Wyszedł ostatni. Zaniósł papiery do siebie i włożył kurtkę. Na dworze było nadal ciepło i bezwietrznie. Wciągnął powietrze do płuc. Rano był umówiony na wizytę u doktora Góranssona. Nie pójdzie. Miał stanowczo za wysoki poziom cukru. Piętnaście i pół. Ale czy teraz jest czas myśleć o własnym zdrowiu?

Szedł przez opustoszałe miasto w kierunku domu. Podczas długiego zebrania nie poruszyli jednej rzeczy. Wallander podejrzewał, że niepokoila nie tylko jego.

Wyczuwali sprawcę i jego posunięcia. Ale nie mieli pojęcia, co myślał. I co nim powodowało. Nie mogli przewidzieć, czy znów zaatakuje.

15

Tej nocy Wallander się nie położył. Gdy stojąc przed domem sięgał do kieszeni po klucze od mieszkania, poczuł nagły niepokój. Gdzieś w mroku kryje się sprawca. Co go popycha do zbrodni? Jakie ma dalsze zamiary? Wallander stał z kluczami w ręku. Nagle podjął decyzję. Schował klucze do

kieszeni kurtki i ruszył w stronę samochodu. Wyjeżdżając z opustoszałego miasta, nastawił taśmę z muzyką operową. Zaraz ją jednak wyłączył. Noc była spokojna. Opuścił szybę i poczuł na twarzy powiew ciepłego powietrza. Niepokój przychodził i odchodził. Wallander próbował przekonać sam siebie, że sprawca powtórnie nie uderzy. Nie mógł się jednak odprężyć. Sprawca pozostanie w ciemnościach, dopóki go nie schwytają. Muszą go schwycić. Inaczej będzie go stale nachodził w snach. Podobnie jak inni, którym udało się wymknąć. Przypomniał sobie wydarzenie z początku lat osiemdziesiątych, wkrótce po tym, jak z Moną i Lindą przeprowadzili się z Malmö do Ystadu. Późnym wieczorem zadzwonił do niego Rydberg, że na polu w okolicy Borrie znaleziono martwą dziewczynę. Na czole miała ranę zadaną tępym narzędziem, co wykluczało śmierć z przyczyn naturalnych. Udali się tam w nocy, był listopad i płatki śniegu wirowały w powietrzu. Nie było wątpliwości, że to morderstwo. Przyjechała autobusem z Ystadu, gdzie była w kinie, wysiadła na przystanku i szła do domu skrótem, przez pole. Ponieważ nie zjawiała się o ustalonej porze, ojciec wziął latarkę i ruszył w kierunku drogi. Znalazł ją na polu. Śledztwo w tej sprawie trwało latami. Zapisano tysiące stron w skoroszytach. Nigdy nie udało się schwycić sprawcy. Nie dotarli nawet do cienia motywu. Jedyne ślad, jaki mieli, to połamany spinacz do bielizny. Leżał obok zwłok dziewczyny i nosił ślady krwi. To wszystko. Nigdy nie wyjaśnili tego morderstwa. Rydberg wielokrotnie powracał do dziewczyny w rozmowach z Wallanderem. Dzielił się z nim jakąś nową myślą. Wallander wiedział, że Rydberg nieraz w wolne dni siedział w komendzie i studiował wybrane partie materiału dochodzeniowego. Do końca szukał rozwiązania. Pod koniec życia - kiedy umierał na raka - raz jeszcze podjął temat zamordowanej dziewczyny. Wallander zrozumiał, że zwraca się do niego z prośbą, żeby nie zapomniał. Żeby przejął pałeczkę, kiedy jego zabraknie. Od tej pory Kurt ani razu nie był w archiwum, żeby odszukać stare teczki. Rzadko o niej myślał. Ale

nie zapomniał. Czasami zjawiała się w snach. Zawsze w ten sam sposób. Pochylał się nad nią, podczas gdy w tle majaczyła sylwetka Rydberga. Dziewczyna patrzy na niego, ale nie może wydobyć głosu - jest sparaliżowana.

Wallander zjechał z głównej drogi. Nie chce, żeby jeszcze trzy osoby straszyły mnie po nocach, pomyślał. A czwarty Svedberg. Musimy odnaleźć tego czy tych, którzy to zrobili.

Zatrzymał się przed rezerwatem. Zauważył zaparkowany radiowóz. W policjancie idącym w jego stronę ze zdziwieniem rozpoznał Edmundssona.

- Gdzie pies? - zapytał.

- W domu - odparł Edmundsson. - Po co ma spać w samochodzie?

Wallander skinął głową.

- Wszystko w porządku?

- Jest tylko Nyberg. I kilku kolegów.

- Nyberg?

- Przed chwilą przyjechał.

Jego też gna niepokój, pomyślał Wallander. Właściwie nie powinienem się dziwić.

- Ciepło jak na sierpień - powiedział Edmundsson.

- Nie ma obawy, jesień jest w drodze - odparł Wallander. - I może nadejść zniecka.

Zapalił latarkę, przeszedł pod zabezpieczającą taśmą i ruszył w głąb rezerwatu.

Mężczyzna od dawna krył się za zasłoną ciemności. Zjawił się, gdy tylko się ściemniło.

Przyszedł od strony morza, żeby nikt go nie zauważył. Z piaszczystego brzegu wspiał się na wydmy i zniknął w zaroślach. Chcąc ominąć ewentualne patrole z psami, zatoczył duże koło i zatrzymał się dopiero przy głównej ścieżce, prowadzącej w głąb rezerwatu. Stamtąd z łatwością mógł wydostać się na drogę, w razie gdyby jakiś pies zaczął szczekać lub zwietrzył niebezpieczeństwo. Był spokojny. Nikt go się nie spodziewał.

Stał pod osłoną mroku, obserwując poruszających się po ścieżce policjantów. Wśród nich dwie kobiety. Przejechało wiele samochodów. Większość opuściła rezerwat wkrótce po dziesiątej.

Napił się wtedy herbaty z termosu. Zamówienie

z Szanghaju zostało zrealizowane. Jutro odbierze paczkę na poczcie. Kiedy wypił herbatę i schował termos do plecaka, zaczął powoli podchodzić do miejsca, w którym ich zastrzelił. Był teraz pewien, że na terenie nie ma psów. Z daleka widział w lesie niesamowite światło reflektorów. Miał wrażenie, że znajduje się w teatrze, na przedstawieniu zamkniętym dla publiczności. Kusiło go, żeby zakraść się blisko i usłyszeć, co mówią policjanci. Zobaczyć ich twarze. Opanował się. Jak zawsze. Zawsze potrafił się opanować i dzięki temu miał pewność, że ujdzie cało.

Cienie tańczyły w światłach reflektorów.

Policjanci przybrali postać olbrzymów. Wiedział, że to złudzenie. Poruszali się po omacku, jak ślepe zwierzęta w niezrozumiałym świecie. W świecie, który on stworzył. Pozwolił sobie na krótką chwilę satysfakcji. Wiedział jednak, że pycha jest zdradliwa. Usypia czujność.

Powrócił na miejsce przy głównej ścieżce. Już miał odchodzić, kiedy ujrzał idącego samotnie mężczyznę. Ziemię omiatało światło latarki. Przez krótką chwilę oświetliło jego twarz.

Rozpoznał go. Widział go kiedyś na zdjęciu w gazecie. Wiedział, że nazywa się Nyberg i jest ekspertem technicznym. Uśmiechnął się do siebie w ciemności. Nyberg nigdy nie ogarnie całości. Może rozpozna poszczególne elementy, ale nigdy nie odnajdzie ukrytego wzoru.

Włożył plecak i już miał przeciąć ścieżkę, kiedy znowu usłyszał kroki. Cofnął się w mrok. Ciężko stąpając, przechodził postawny mężczyzna. Znow doznał pokusy, żeby wyskoczyć, przemknąć jak nocne zwierzę i na powrót zniknąć, wchłonięty przez ciemności.

Nagle mężczyzna przystanął. Skierował promień latarki na zarośla okalające ścieżkę. Przez moment, porażony panicznym strachem, pomyślał, że został schwytany. Że wpadł. Zaraz potem snop światła zniknął. Mężczyzna ruszył dalej. Raz jeszcze przystanął i poświecił do tyłu. Nagle zgasił latarkę i przez moment stał bez ruchu. Potem zaświecił i poszedł przed siebie.

Przez długą chwilę leżał za krzakami. Serce mu waliło. Dlaczego mężczyzna przystanął? Nie mógł nic słyszeć. Nie było żadnych śladów.

Nie miał pewności, jak długo leżał. Tym razem jego wewnętrzny zegar go zawiódł. Może godzinę, może dłużej. Wreszcie podniósł się, przeciął ścieżkę i udał się w kierunku morskiego brzegu.

Nadszedł świt.

Wallander z daleka dostrzegł blask reflektorów spomiędzy drzew. Doszedł go poirytowany i znużony głos Nyberga. Na ścieżce policjant palił papierosa.

Wallander raz jeszcze przystanął, nasłuchując. Skąd wzięło się to uczucie? Może z rozmyślań w samochodzie? Sprawca, który czai się gdzieś w ciemnościach, nieuchwytny cień. Wydawało mu się, że coś usłyszał. Przystanął i ogarnął go gwałtowny lęk. Po chwili zrozumiał, że to przywidzenie. Zatrzymał się powtórnie, zgasił latarkę i nasłuchiwał. Ale słyhać było jedynie szum morza.

Podszedł przywitać się z policjantem. Na jego widok policjant usiłował zduśnić papierosa. Wallander zrobił przyzwalający ruch ręką. Stali na skraju światła padającego z reflektorów. Policjant był młody. Nazywał się Bernt Svensson, był wysoki i miał rude włosy. Wallander mało go znał. Pamiętał, że spotkał go w ubiegłym roku w Sztokholmie, gdzie miał odczyt w Wyższej Szkole Policyjnej.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Wydaje mi się, że jest tu gdzieś lis - odpowiedział Svensson.

- Lis?

- Widziałem cień. Większy od kota.

- W Skanii nie ma lisów. Padły od zarazy.

- A jednak to był lis. Wallander skinął głową.

- Niech będzie. Powiedzmy, że to lis.

Wallander wkroczył w strefę światła i ostrożnie zszedł na dół po zboczu.

Nyberg stał i patrzył na drzewo, pod którym przedtem leżały ciała młodych ludzi. Nie było już niebieskiego obrusa. Skrzywił się na widok Wallandera.

- Co tu robisz? - zapytał. - Powinieneś spać. Ktoś musi mieć siłę.

- Wiem. Czasami się nie da.

- Wszyscy powinni spać - powiedział Nyberg. Głos mu się łamał ze zmęczenia. Był wyraźnie poruszony. - Wszyscy powinni spać - powtórzył. - I to nie powinno się zdarzać.

Stali w milczeniu, spoglądając na policjanta w kombinezonie, który miniaturową łopatką dłubał w ziemi obok pnia.

- Od czterdziestu lat jestem w policji - odezwał się raptem Nyberg. - Za dwa lata mogę przejść na emeryturę.

- I co będziesz robił?

- Może łąził po ścianach. W każdym razie nie będę stał w lesie, patrząc na rozkładające się zwłoki młodych ludzi.

Wallander przypomniał sobie słowa dyrektora banku, Sun-deliusa. Przedtem chodziłem do pracy. Teraz łążę po ścianach.

- Coś sobie wymyślisz - powiedział pocieszającym tonem.

Nyberg zamruczał niedosłyszalnie w odpowiedzi. Wallander ziewnął. Usiłował strząsnąć z siebie zmęczenie.

- W gruncie rzeczy przyszedłem tu, żeby obmyślić następne posunięcie.

- Myślisz o kopaniu?

- Jeśli nasze rozumowanie jest prawidłowe, musimy zrobić następny krok. Gdzie jest miejsce, które najlepiej nadaje się na zakopanie ciała?

- Ciągłe nie wiemy, czy działał sam - zauważył Nyberg.
 - Myślę, że tak. Dwie osoby jakoś mi do tej masakry nie pasują. Możemy przyjąć, że to mężczyzna. Z tego prostego powodu, że kobiety bardzo rzadko strzelają komuś prosto w głowę. Zwłaszcza młodym ludziom.
 - Zapomniałeś, co było w ubiegłym roku?
Uwaga Nyberga była słuszna. Rok wcześniej mieli przypadek, kiedy ofiarą zabójstwa padło wiele osób. Wówczas sprawcą okazała się kobieta. Niemniej Wallander trwał przy swoim zdaniu.
 - Kogo właściwie szukamy? Samotnego szaleńca?
 - Być może. Ale to nic pewnego.
 - Zawsze to jakiś punkt wyjścia.
 - No właśnie. Jest sam. Ma trzy ciała, które musi schować. Co myśli? Jak postępuje?
 - Ze względów praktycznych szuka jak najbliżej. Prawdopodobnie musi dźwigać. Chyba że ma ze sobą taczki. Ale to rzucaloby się w oczy. Myślę, że nasz człowiek jest ostrożny.
 - Jest jeszcze czynnik czasu - dodał Wallander. - Znajduje się na terenie otwartego rezerwatu. Jest lato. Ludzie mogą tu przebywać nawet w nocy.
 - Czyli zakopuje ich w pobliżu?
 - Jeżeli w ogóle zakopał - odpowiedział Wallander. - Zastanawiam się, czy jest inna możliwość.
 - Mógł ich podciągnąć na linie na czubek drzewa. Ale wtedy ciała byłyby jeszcze bardziej pokiereszowane.
- Wallanderowi przyszła do głowy pewna myśl.
- Czy na zwłokach widać było ślady pozostawione przez zwierzęta? Na przykład ptaki?
 - Nie zauważyłem. Dokładnie ustalą to dopiero patolodzy.
 - To by potwierdzało naszą teorię, że ciała były zakopane. Ale w ziemi ryją zwierzęta. To znaczy, że nie tylko były schowane, ale i zabezpieczone. W skrzyniach albo plastikowych workach.
 - Nie znam się na tym, jak temperatura wpływa na proces rozkładu - powiedział Nyberg. - Ale wiem, że zwłoki przechowywane w zamknięciu reagują inaczej niż złożone bezpośrednio w ziemi. Mogły więc leżeć dłużej, niż przypuszczaliśmy.
- Wallander czuł, że zbliżają się do konkluzji o przełomowym znaczeniu.
- Jaki z tego wniosek? - zapytał.
 - Na pewno nie wybierał drogi pod górę - odparł Nyberg, wskazując ręką na zbocze.
 - Ani nie przechodził bez potrzeby przez ścieżkę.
- Stanęli plecami do zbocza i patrzyli w ciemność za reflektorami. W świetle reflektorów tańczyły owady.
- Po lewej teren opada w dół - zauważył Nyberg. - Zaraz potem idzie stromo pod górę. Sądzę, że to nie tam. Wzniesienie zaczyna się za blisko.
 - Na wprost?
 - Tam jest płasko. Gęste krzewy. Zarośla.
 - A w prawo?
 - Najpierw zarośla. Niezbyt gęste. Potem teren, który zimą bywa podmokły. I znowu zarośla.
 - W takim razie na wprost albo na prawo.
 - Na prawo. Zapomniałem o jednej rzeczy. Idąc prosto, dochodzi się do ścieżki. Ale nie to jest najważniejsze.
- Nyberg przywołał policjanta w kombinezonie, który grzebał w ziemi u stóp drzewa.
- Powiedz, co widziałeś, jak poszedłeś prosto - zwrócił się do niego.
 - Mnóstwo grzybów. Wallander zrozumiał.
 - Miejsce, które przyciąga ludzi? Nawet latem? Nyberg skinął głową.

- Sam zbieram grzyby i często zaglądam do swoich miejsc, nawet poza sezonem.

Policjant w kombinezonie powrócił do drzewa.

- Więc zacznijmy z prawej - polecił Wallander. - Jak tylko zrobi się jasno. W miejscu, gdzie ziemia wygląda na naruszoną.

- Jeśli się nie mylimy, to ciała leżały właśnie tam.

Wallander nie miał sił odpowiedzieć, padał ze zmęczenia.

Postanowił przespać się kilka godzin w samochodzie. Nyberg odprowadził go do ścieżki.

- Wydawało mi się po drodze, że ktoś się czai w ciemnościach - powiedział Wallander. - Z kolei Svensson był przekonany, że widział lisa.

- Normalni ludzie mają koszmary we śnie - odparł Nyberg. - A my na jawie.

- Nie wiadomo, czy on znów nie zaatakuje. To mi nie daje spokoju - stwierdził Wallander.

- Przynajmniej wiemy, że nie atakował wcześniej - powiedział Nyberg po namyśle. - Takie morderstwo, a raczej egzekucja, zdarza się u nas po raz pierwszy.

- Martinsson powinien to przekazać za granicę. Może zdarzyło się gdzie indziej.

- Boisz się, że się powtórzy?

- A ty nie?

- Ja się zawsze boję. Ale tym razem mam przeczucie, że to, co się stało tutaj, zdarza się tylko raz.

- Miejmy nadzieję, że masz rację - zakończył Wallander.

- Do zobaczenia za kilka godzin.

W powrotnej drodze nie powróciło uczucie, że ktoś się czai w ciemnościach. Skulił się na tylnym siedzeniu samochodu i natychmiast zasnął.

Kiedy się obudził, był jasny dzień. Ktoś pukał w okno auta. Za szybą zobaczył twarz Ann-Britt Hóglund. Rozespany i obolały wygramolił się z auta.

- Która godzina?

- Po siódmej.

- No to zaspąłem. Pewnie już szukają miejsca do kopania.

- Tak - przyznała. - Dlatego przyszedłam cię obudzić. Hans-son jest w drodze.

Szli szybko ścieżką.

- Nie cierpię spania w samochodzie - powiedział Wallander.

- Nie mówiąc o wstawaniu bez mycia. Obrzydliwość. Za stary jestem na to. Jak można w ogóle myśleć bez porannej kawy?

- Jest kawa. Jeśli nie policyjna, to moja prywatna, z termosu. Jak chcesz, możesz nawet dostać kanapkę.

Wallander przyspieszył. Mimo to szła szybciej od niego. Irytowało go to. Minęli miejsce, gdzie Wallanderowi wydawało się, że ktoś się schował. Przystanął i rozejrzał się naokoło. Zdał sobie nagle sprawę, że jest to znakomity punkt obserwacyjny dla kogoś, kto chciałby śledzić ruch na ścieżce. Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nie chciało mu się teraz wyjaśniać.

- Zrób mi przysługę - poprosił. - Powiedz Edmundssonowi, żeby się tu przeszedł z psem.

Dwadzieścia metrów w głąb po obu stronach ścieżki.

- Dlaczego?

- Bo tak postanowiłem. Niech to na razie wystarczy.

- Czego ma szukać pies?

- Nie wiem. Czegoś, czego nie powinno tu być.

Więcej nie pytała. Zaczął żałować, że nie wyjaśnił, o co chodzi. Teraz już było za późno. Szli dalej. Podała mu gazetę.

Na pierwszej stronie było zdjęcie kobiety, którą nazywali Louise. Nie zatrzymując się, przeczytał nagłówek.

- Kto się tym zajmuje?
- Martinsson nadzoruje i porządkuje informacje napływające z zewnątrz.
- To ważny odcinek.
- Martinsson jest dokładny.
- Nie zawsze.

Słyszał swój nieprzyjemny, poirytowany głos. Nie powinien na niej wyładowywać swojego zmęczenia. Ale nikogo innego nie było pod ręką. Później jej wytłumaczę, pomyślał zrezygnowany. Jak już będzie po wszystkim.

W tym samym momencie dostrzegł biegnącego w ich stronę mężczyznę. Natychmiast zareagował.

- Nie zabezpieczyli terenu? Nikt oprócz policji nie ma prawa tu przebywać.

Stanął na środku ścieżki. Z naprzeciwka biegł mężczyzna około trzydziestki. Na uszach miał słuchawki. Usiłował ominąć Wallandera, lecz ten wyciągnął ramię, żeby go zatrzymać. Potem wszystko potoczyło się szybko. Biegacz, sądząc, że został napadnięty, odwrócił się i trzasnął Wallandera pięścią. Cios był silny i niespodziewany. Wallander upadł na ścieżkę. Oprzytomniał po kilku sekundach. Ann-Britt powaliła mężczyznę na ziemię i właśnie wykręcała mu rękę do tyłu. Słuchawki, nadal podłączone do magnetofonu, leżały na ścieżce koło Wallandera. Ze zdziwieniem stwierdził, że mężczyzna słuchał muzyki operowej. W tej samej chwili na ścieżce zjawili się kilku umundurowanych policjantów. Wezwwała ich Ann-Britt. Dobiegli do nich i założyli mężczyźnie kajdanki. Wallander podniósł się ostrożnie z ziemi. Bolała go szczęka i przygryzł sobie policzek. Ale zęby miał całe. Spojrzał na mężczyznę, który go uderzył.

- Rezerwat jest zamknięty. Chyba widział pan zakaz wstępu?
- Zamknięty?

Mężczyzna był autentycznie zdziwiony.

- Zanotujcie nazwisko - nakazał Wallander. - I pilnujcie, żeby to się nie powtórzyło.
- Złożę skargę - powiedział oburzony mężczyzna.

Wallander stał tyłem i palcem dotykał bojącego miejsca. Powoli się odwrócił.

- Nazwisko?
- Hagroth.
- Imię?
- Nils.
- Skargę? Na co?

- Nadmierne użycie siły. Biegam sobie po lesie, nikomu nie przeszkadzając, i zostaję znienacka zaatakowany.

- Błąd - odparował Wallander. - To ja zostałem zaatakowany, nie pan. Jako policjant, próbowałem pana zatrzymać, ponieważ teren jest zamknięty.

Biegacz usiłował protestować. Wallander podniósł rękę.

- Za to grozi rok więzienia. Napaść na policjanta na służbie. Poważna rzecz. Plus odmowa wykonania polecenia. Wstęp na teren był zabroniony. To więcej niż rok. Trzy lata. I nie ma co liczyć na wyrok w zawieszeniu. Był pan karany?

- Naturalnie, że nie.

- No to trzy lata. Ale będę wspaniałomyślny. Radzę zapomnieć o wszystkim i więcej się tu nie pokazywać.

Mężczyzna usiłował protestować. Wallander znów mu przerwał.

- Ma pan dziesięć sekund na podjęcie decyzji.

Mężczyzna skinął głową.

- Zdejmijcie kajdanki - polecił Wallander. - Odprowadźcie go do wyjścia i zanotujcie adres.

Wallander ruszył dalej. Bolał go policzek. Ale cios odegnał zmęczenie.

- W życiu nie dostałby za to trzech lat - zauważyła Ann-Britt.
- Nie wie o tym. I nie sędzę, żeby sprawdzał, czy mówiłem prawdę.
- Tego właśnie pragnie uniknąć komendant główny - powiedziała z ironią. - Bo powoduje spadek zaufania obywateli do policji.
- To nic w porównaniu z tym, jak spadnie, jeśli nie znajdziemy mordercy Martina Boge, Leny Norman i Astrid Hillström. I naszego kolegi.

Kiedy dotarli na miejsce zbrodni, Waliander, z kubkiem kawy w ręku, odszukał Nyberga, który organizował poszukiwania. Nyberg był w złym humorze. Miał nastroszone włosy i przekrwione oczy.

- Właściwie nie ja powinienem się tym zajmować - po wiedział opryskliwie. - Gdzie, do cholery, podziali się wszyscy inni? I dlaczego masz krew na twarzy?

Waliander poczuł krew w kącie ust.

- Wdałem się w bójkę z biegaczem - wyjaśnił. - Hansson jest w drodze.

- Bójkę z biegaczem?

- Nie ma o czym mówić - skwitował Wallander.

Pokrótkie zrelacjonował Ann-Britt Hóglund, do jakich wniosków doszli nocą z Nybergiem.

- Zajmij się tym - polecił. - Szukamy miejsca, w którym przypuszczalnie zakopano trzy ciała. Wpadliśmy na pomysł, gdzie trzeba szukać.

Dochodziło wpół do ósmej. Niebo było bezchmurne. Wszystko dobrze, póki nie pada, pomyślał Waliander. Ślady są suche.

Hansson gramolił się w dół po zboczu. Był równie wykończony jak pozostali.

- Wiesz, jaka będzie pogoda?

Hansson słuchał po drodze radia.

- Nie będzie padać. Ani jutro, ani pojutrze.

Waliander szybko ocenił sytuację. Na miejscu była Ann-Britt i Hansson. Nic tu po nim. Martinsson kierował pracą na komendzie. On sam może się zająć innymi sprawami.

- Masz krew na policzku - zauważył Hansson.

Waliander nie odpowiedział. Z komórki zadzwonił do Martinssona.

- Jadę do komendy - poinformował. - Wystarczy, że jest tutaj Ann-Britt i Hansson.

- Macie coś?

- Jeszcze za wcześnie. Czy można już dzwonić do Lundu?

- Spróbuję teraz.

- Zrób to. I powiedz, że nam się śpieszy. Potrzebny jest przede wszystkim czas zgonu.

Przydałoby się też ustalić, w jakiej kolejności zginęli.

- Czy to ważne?

- Nie wiem, czy ważne. Ale niewykluczone, że sprawca zamierzał zabić tylko jedną osobę z trójki.

Martinsson przyrzekł natychmiast zadzwonić do Lundu. Wallander wsunął telefon do kieszeni.

- Jadę do Ystadu - rzucił. - Dajcie znać, jak tylko coś będzie.

W powrotnej drodze natknął się na Edmundssona z psem. Ann-Britt musiała natychmiast zadzwonić - nawet nie wiedział kiedy. A Edmundsson równie szybko zareagował.

- Czy pies przyleciał samolotem? - spytał Wallander.

- Kolega go przywiózł. Czego szukamy? Wallander wyjaśnił.

- Czyli niczego konkretnego?

- Tego, czego tu nie powinno być. Niczego innego. Jak

pies coś wywęszy, zgłoś się do Nyberga. Kiedy skończysz, pójdziesz pomóc pozostałym. Szukają miejsca do kopania. Edmundsson zbladł.

- Myślicie, że jest więcej trupów?

Targnął nim niepokój. Zupełnie mu to nie przyszło do głowy. Uznał jednak, że ryzyko jest minimalne.

- Nie, ale może jest dół, w którym zostali schowani.

- W jakim celu?

Wallander nie odpowiedział. Poszedł dalej ścieżką. Edmundsson ma całkowitą rację, pomyślał. W jakim celu? Dlaczego sprawca miałby chować zwłoki? I z powrotem je wyciągać? Krążyliśmy wokół tego pytania, próbując na nie odpowiedzieć. Być może jest ważniejsze, niż nam się wydaje.

Wsiadł do samochodu. Bolała go szczęka. Już miał ruszać, kiedy zadzwonił telefon. Dzwonił Martinsson.

Wyniki z Lundu, pomyślał Wallander. Czuł wzrastające napięcie.

- Co powiedzieli?

- Kto?

- Nie dzwoniłeś do Lundu?

- Nie zdążyłem. Dostałem telefon. Dlatego dzwonię.

Martinsson miał zatroskany głos.

Tylko nie to, pomyślał Wallander. Tylko nie jeszcze jedna ofiara. Nie damy rady.

- Dzwonili ze szpitala - powiedział Martinsson. - Wygląda na to, że Isa Edengren uciekła.

Zegar w samochodzie wskazywał trzy minuty po ósmej. Był poniedziałek, dwunasty sierpnia.

16

Pojechał prosto do szpitala. Jechał o wiele za szybko. Martinsson na niego czekał. Wallander zaparkował byle jak i zostawił samochód w niedozwolonym miejscu.

- Co się stało?

Martinsson miał w ręku notes.

- Nikt nie potrafi powiedzieć. Ale musiała wyjść o świcie. Nikt nie widział, jak wychodziła.

- Czy dzwoniła do kogoś? Może ktoś po nią przyjechał?

- Trudno się czegoś dowiedzieć. Na oddziale leży dużo pacjentów. W nocy personel jest okrojony. Ale musiała wyjść przed szóstą, bo o czwartej ktoś do niej zaglądał i jeszcze spała.

- Raczej udawała, że śpi - wtrącił Wallander. - Czekala. A później uciekła.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Myślisz, że znów będzie próbowała odebrać sobie życie?

- Możliwe. Ale zastanówmy się. Dowiaduje się od nas, co spotkało jej przyjaciół, i ucieka na łeb na szyję ze szpitala. Co to oznacza?

- Że się boi?

- No właśnie. Pytanie czego.

Wallander znał tylko jedno miejsce, gdzie mogli jej szukać.

Dom w Skarby. Martinsson przyjechał z komendy swoim samochodem. Wallander chciał, żeby z nim jechał. Chociażby dla towarzystwa.

W Skarby zatrzymali się najpierw przed domem Lundberga. Mężczyzna majstrował coś na podwórzu przy traktorze.

Zdziwił się na widok dwóch podjeżdżających samochodów. Wallander przedstawił Martinssona i przystąpił do rzeczy.

- Dzwonił pan wczoraj do szpitala. Usłyszał pan, że Isa czuje się względnie dobrze. Dziś rano zniknęła. Po prostu się ulotniła. Między czwartą a szóstą rano. Czy pan ją widział? O której pan wstaje?

- Wcześniej. Ja i żona wstajemy o wpół do piątej.

- Isy tu nie było?

- Nie.

- Słyszał pan rano jakiś samochód?

Odpowiedział szybko i stanowczo.

- Ake Nilsson, który mieszka trochę dalej, przejeżdża tuż po piątej. Trzy razy w tygodniu pracuje w rzeźni. Poza tym nic nie jechało.

W drzwiach stanęła żona Lundberga. Usłyszała koniec rozmowy.

- Isy tu nie było - oznajmiła. - Ani żadnego samochodu.

- Znacie jakieś miejsce, gdzie ona może być? - spytał Martinsson.

- Nie znamy.

- Macie nas zawiadomić, jeśli się odezwie. Musimy wiedzieć, gdzie jest. Jasne?

- Ona do nas nie dzwoni - powiedziała kobieta.

Wallander był już w drodze do samochodu. Podjechali do

zagrody Edengrenów. Sięgnął do rynnicy. Klucze rzeczywiście tam były. Poszedł z

Martinssonem do altany. Wszystko wyglądało tak jak ostatnim razem. Wrócili pod dom i

Wallander otworzył drzwi. W środku dom sprawiał wrażenie jeszcze większego. Zimne,

wytworne wnętrze. Odnosił wrażenie, że jest w muzeum. Niewiele było śladów mieszkających

tam ludzi. Przeszli przez pokoje na parterze. Weszli na piętro. W jednej sypialni z wisiał z sufitu

duży model samolotu. Na stole stał komputer. Był przykryty swetrem. Wallander odgadł, że to

pokój Jórgena, brata Isy, który odebrał sobie życie. Wszedł do łazienki. Przy lustrze było

gniazdko. Niechętnie wskazał je Martinssonowi. Przypomnił mu, w jaki sposób brat Isy zginął.

- Rzadko się raczej zdarza, żeby ktoś sobie odebrał życie

za pomocą tosterka - stwierdził Martinsson.

Wallander wyszedł z łazienki. Obok była następna sypialnia. Od razu się domyślił, że to pokój Isy.

- Musimy dokładnie przeszukać pokój - powiedział.

- Czego szukamy?

- Nie wiem. Wiem tylko, że Isa miała być w rezerwacji. Próbowano popełnić samobójstwo. I uciekła. Obaj podejrzewamy, że jest wystraszona.

Wallander usiadł przy biurku. W tym czasie Martinsson przeszukiwał komodę i dużą szafę z ubraniami, ciągnącą się wzdłuż całej ściany. Szuflady biurka nie były zamknięte na klucz.

Kiedy je otworzył, zrozumiał dlaczego. Były prawie puste. Zmarszczył brwi. Czemu nic w nich

nie było? Kilka spinek do włosów, połamanych długopisów i zagranicznych monet. To

wszystko. Czyżby ktoś je opróżnił? Isa lub ktoś inny? Podniósł zieloną podkładkę do pisania.

Znalazł niezdarnie namalowaną akwarelę. W dolnym prawym rogu był napis „IE95”. Obrazek

przedstawiał wybrzeże morskie. Morze i skały. Odłożył go w to samo miejsce. Na półce koło

łóżka stały rzędy książek. Przejechał palcem po grzbietach, przeglądając tytuły. Poznawał te,

które czytała Linda. Pomacał z tyłu, za książkami. Znalazł dwie, które się przewróciły. Albo

były schowane. Wyciągnął je. Obie były po angielsku. Pierwsza nosiła tytuł: Journey to the

Unknown. Autorem był Timothy Neil. Druga: How to Cast Yourself in the Play of Life Rebeki

Stanford. Miały podobne okładki. Zdobiły je wirujące w przestrzeni geometryczne znaki, cyfry

i litery. Wallander powrócił do biurka. Książki nosiły ślady częstego czytania. Rozlatywały się.

Stronice miały pozaginane rogi. Włożył okulary i przeczytał tekst na obwolucie. Timothy Neil

zalecał, żeby w życiu kierować się duchową mapą, która przy odpowiednim treningu ukazuje

się we śnie. Wallander skrzywił się i sięgnął po następną książkę. Rebeka Stanford pisała o „rozpadzie chronologii”. Zainteresowało go to. Książka opisywała, jak w grupie przyjaciół można się nauczyć panować nad czasem, poruszając się między minionymi i przyszłymi epokami. Autorka uznała, że jest to właściwy sposób na życie „w czasach wzrastającego bezsensu i dezorientacji”.

- Słyszałeś o pisarce Rebecce Stanford? - zapytał stojącego na krześle Martinssona.

Ten zszedł z krzesła i przyjrzał się okładce. Pokręcił głową.

- To pewnie książka dla młodzieży - skomentował. - Lepiej zapytaj Linde.

Wallander pokiwał głową. Martinsson miał naturalnie rację. Zapyta Linde, ona dużo czyta. W czasie wspólnych wakacji na Gotlandii przeglądał książki, które miała ze sobą. Nie było tam autora, którego nazwisko by mu coś mówiło.

Martinsson wrócił do szafy. Wallander dalej przeszukiwał półkę przy łóżku. Było tam kilka albumów ze zdjęciami. Usiadł przy stole i zaczął oglądać zdjęcia Isy z bratem. Zaczynały już tracić kolor. Zdjęcia robione w domu i na zewnątrz. Na jednym z nich stoi Isa z bratem, a między nimi śniegowy bałwan. Stoją sztywno. Na twarzach nie widać zadowolenia ani uśmiechu. Dalej były zdjęcia samej Isy. Fotografie z lat szkolnych. Isa z przyjaciółmi w Kopenhadze. Znowu pojawia się Jórge. Teraz już starszy. Piętnaście lat, ponury wyraz twarzy. Trudno zgadnąć, czy to melancholia, czy tylko poza. Ze zdjęcia promieniuje aura przyszłego samobójstwa, pomyślał z nieprzyjemnym uczuciem. Czy Jórge o tym wiedział? Isa się uśmiecha. On jest ponury. Fotografia na tle morskiego pejzażu. Morze i skały. Wallander spojrział na akwarelę. Ten sam krajobraz. Na stronie jest rok i miejsce. „Barnsö 1989”. Dalej przerzucał kartki. Żadnych zdjęć rodziców. Isa i Jórge. Przyjaciele. Krajobraz. Morze i szkielet. Rodziców nie było.

- Gdzie leży Barnsö? - spytał Wallander.

- Czy to nie ta wyspa z prognozy pogody dla żeglugi, którą podają w radiu?

Wallander nie wiedział. Przerzucił kolejny album. Zdjęcia z późniejszych lat. W dalszym ciągu bez rodziców. W ogóle nie było dorosłych. Z jednym wyjątkiem. Lundberg, stojący przed swoim domem. Widać traktor. Jest lato. Śmieją się. Wallander był przekonany, że zdjęcie robiła Isa. Potem znowu zdjęcia morza i skał. Na jednym z nich Isa stoi na skale, która ledwie wystaje ponad powierzchnię wody.

Długo przyglądał się tej fotografii.

Zupełnie jakby szła po wodzie. Ciekawe, kto robił zdjęcie.

Martinsson nagle gwizdnął.

- Mam tu coś dla ciebie - powiedział.

Wallander szybko wstał z biurka.

Martinsson trzymał w ręku perukę. Podobną do tych, które nosili Boge, Norman i Hillström. Miała przyczepioną karteczkę. Wallander zdjął ostrożnie gumkę do włosów, która ją przytrzymywała.

- „Wypożyczalnia Kostiumów Holmsteda” - odczytał. -

„Kopenhaga”. Adres i numer telefonu.

Odwrócił kartkę. Peruka została wypożyczona dwudziestego ósmego czerwca. Termin zwrotu upłynął dwudziestego ósmego czerwca.

- Dzwonimy? - zapytał Martinsson.

- Może powinniśmy od razu pojechać. Ale przedtem zadzwoń.

- Lepiej ty zadzwoń - poprosił Martinsson. - Duńczycy nigdy nie rozumieją, co mówię.

- To ty ich nie rozumiesz - powiedział spokojnie Wallander. - Bo nieuważnie słuchasz.

- Spróbuję zlokalizować Barnsö. Do czego ci to potrzebne?

- Sam się zastanawiam - odparł Wallander, wykręcając numer do Kopenhagi.

Odebrała kobieta. Wallander przedstawił się i powiedział, że chodzi o perukę, która nie została oddana na czas.

- Wypożyczała ją Isa Edengren. Ze Skarby w Szwecji.

- Chwileczkę, zaraz sprawdzę - odpowiedziała.

Wallander czekał. Martinsson wyszedł z pokoju. Słyszał,

jak pyta kogoś o numer morskiej służby ratowniczej. Kobieta wróciła.

- Isa Edengren u nas nie figuruje - poinformowała. - Ani tego dnia, ani wcześniej.

- Proszę poszukać innego nazwiska - poprosił Wallander.

- Jestem sama w sklepie i mam klientów - odpowiedziała kobieta. - Czy to nie może poczekać?

- Nie. Inaczej będę zmuszony skontaktować się z duńską policją.

Nie oponowała. Podał jej pozostałe nazwiska i czekał. Martinsson był poirytowany.

Rozmawiał z kimś, kto uparcie odsyłał go gdzie indziej. Kobieta wróciła.

- Zgadza się - powiedziała. - Dziewiętnastego czerwca Lena Norman zapłaciła za wypożyczenie peruk. I kilka kostiumów. Termin zwrotu upłynął dwudziestego ósmego czerwca. Do tej pory nic nie dostaliśmy. Właśnie mieliśmy wysłać upomnienie.

- Pamięta ją pani? Czy przyszła sama?

- Tego dnia pracował tu kolega. Pan Sørensen.

- Czy mogę z nim mówić?

- Jest na urlopie do końca sierpnia.

- Gdzie teraz jest?

- Na Antarktydzie.

- Gdzie?

- W drodze na biegun południowy. Będzie zwiedzał dawne miejsca połowu wielorybów.

Ojciec pana Sørensen był łowcą wielorybów. Chyba nawet harpunnikiem.

- Nie ma nikogo, kto mógłby zidentyfikować Lenę Norman? Powiedzieć, czy była sama?

- Niestety, nie. Chcielibyśmy dostać wszystko z powrotem. Muszą naturalnie zapłacić za zwłokę.

- To potrwa. W tej chwili sprawa jest na policji.

- Stało się coś?

- Coś bardzo poważnego. Odezwę się za jakiś czas. A Sørensen niech się zgłosi na policję w Ystadzie, jak tylko wróci.

- Powtórzę mu. Ma prosić Wallandera?

- Kurta Wallandera.

Położył telefon na biurku. Lena Norman była w Kopenhadze. Nie wiemy, czy sama, czy z kimś. Martinsson wszedł do pokoju.

- Wyspa Barnsó leży w Östergötlandzie - oświadczył. -

A dokładnie w archipelagu Gryt. Jest jeszcze druga, u wybrzeża Norlandii. Ale to raczej łowisko niż szkier.

Wallander streścił rozmowę z wypożyczalnią w Kopenhadze.

- Trzeba będzie porozmawiać z rodzicami Leny Norman - stwierdził Martinsson.

- Wolałbym parę dni odczekać - odparł Wallander. - Ale chyba się nie da.

Myśl, że muszą zakłócić spokój zrozpaczonym rodzicom, była nieprzyjemna. Chwilę milczeli.

Drzwi na parterze się otworzyły. Przyszło im równocześnie do głowy, że może to Isa Edengren. Ale kiedy wyszli na schody, okazało się, że na dole stoi Lundberg w kombinezonie. Na ich widok zrzucił z nóg gumowce i wszedł na górę.

- Czy Isa się odezwała? - zapytał Wallander.

- Nie. Nie chciałbym przeszkadzać. Chodzi o to, co pan powiedział u mnie na podwórzu. Że dzwoniłem, żeby zapytać, jak Isa się czuje.

- To normalne, że chciał pan wiedzieć, jak się czuje.

Lundberg patrzył strapiiony na Wallandera.

- Tylko że ja nie dzwoniłem. Ani ja, ani żona. Nie dzwoniśmy do szpitala. Chociaż powinniśmy byli to zrobić. Wallander i Martinsson spojrzeli po sobie.

- Nie dzwonił pan?

- Nie.

- Ani żona?

- Ona też nie.

- Czy mógł dzwonić jakiś inny Lundberg?

- Nie znam innego.

Wallander spojrział uważnie na mężczyznę przed sobą. Nie miał powodu mu nie wierzyć. Zatem do szpitala dzwonił kto inny. Ktoś, kto wiedział, że Isa ma bliskie stosunki z Lundbergami. I że wylądowała w szpitalu. Ale czego chciał się dowiedzieć? Czy Isa lepiej się czuje? Czy też, że nie żyje?

- Nie rozumiem, po co ktoś dzwonił, podając się za mnie - powiedział Lundberg.

- Kto wiedział, że Isa was odwiedzała, kiedy miała problemy z rodzicami? - spytał Wallander.

- Wszyscy we wsi wiedzieli, że do nas przychodzi - odparł Lundberg. - Ale nie wiem, kto mógł dzwonić i podać moje nazwisko.

- Musieli widzieć pogotowie. Nikt do was nie dzwonił, żeby zapytać, co się stało?

- Karin Persson. Mieszka dalej, w pobliżu głównej drogi. Ciekawska z niej. Wszystko musi wiedzieć. Ale nie ma męskiego głosu.

- Ktoś jeszcze?

- Ake Nilsson przystanął po drodze do domu. Miał dla nas kotlety. Opowiedzieliśmy mu. Ale nie znał Isy, więc to nie on.

- To wszystko?

- Przyjechał listonosz z przesyłką. Okazało się, że wygraliśmy trzysta koron w Lotto. Pytał, czy Edengrenowie są w domu. Powiedzieliśmy, że Isa jest w szpitalu. Ale po co miałby dzwonić?

- I już nikt więcej?

- Nie.

- Dobrze, żeśmy to wyjaśnili - zakończył Wallander, dając wyraźnie do zrozumienia, że wszystko zostało powiedziane. Lundberg zszedł po schodach, wsunął stopy w gumki i zniknął.

- Byłem w nocy w rezerwacie - powiedział Wallander. - W pewnej chwili wydawało mi się, że tam ktoś stoi. Przyczajony w ciemnościach. Ktoś, kto nas obserwuje. To było z pewnością złudzenie. Chociaż teraz nie jestem już taki pewny. Prosiłem rano Edmundssona, żeby przeczesał ten teren z psem. Czyżby ktoś nas śledził?

- Wiem, co powiedziałby Svedberg.

Wallander spojrział ze zdziwieniem na Martinssona.

- Co by powiedział?

- Pamiętam pewną noc, chyba wiosną osiemdziesiątego ósmego roku. Było to podczas obserwacji terminalu promowego w związku z dużą aferą przemytniczą, może pamiętasz. Siedzieliśmy w samochodzie i Svedberg zabawiał mnie historiami o Indianach, żeby odegnąć sen. Między innymi o tym, jak szukają śladów. I jak się upewniają, czy ktoś nie idzie ich tropem. Przystają. Wiedzą, kiedy trzeba zastygnąć w nieruchomej pozycji albo ukryć się i przyczaić.

- No, co by powiedział Svedberg?

- Że od czasu do czasu powinniśmy przystanąć i obejrzeć się za siebie.

- I co zobaczymy?

- Kogoś, kto nie powinien tam być.

- Jednym słowem, należy obserwować ten dom - powiedział po namyśle Wallander. - Gdyby komuś przyszło do głowy to, co nam. Przeszukać pokój Isy. O to ci chodzi?

- Mniej więcej.

- Nie ma mniej więcej. Tak czy nie?

- Powtarzam tylko opinię Svedberga.

Wallander poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Z trudem nad sobą panował. Powinien przeprosić Martinssona, tak, jak wcześniej, na ścieżce, powinien był porozmawiać z Ann-Britt Hóglund. Ale nic nie powiedział. Wrócili do pokoju Isy. Peruka leżała na stole, obok telefonu Wallandera. Przykleknął i zajrzał pod łóżko. Pusto. Przy wstawaniu zakreśliło mu się nagle w głowie. Złapał się Martinssona.

- Źle się czujesz?

Wallander pokręcił głową.

- Minęły już czasy, kiedy mogłem być na nogach przez kilka kolejnych nocy. Ciebie też to czeka.

- Powinniśmy zwrócić się do Lisy o dodatkowy personel.

- Wspominała o tym - odpowiedział Wallander. - Powiedziałem, że do tego wrócimy. Jest tu jeszcze coś do oglądania?

- Raczej nie. W szafie nic szczególnego nie ma.

- Niczego nie brakuje? Jest wszystko, co powinno być w szafie młodej kobiety?

- Tak mi się zdaje.

- No, to chodźmy.

Kiedy wyszli na podwórze, dochodziło wpół do dziesiątej. Wallander spojrzał na niebo. Nic nie zapowiadało deszczu.

- Muszę się porozumieć z rodzicami Isy - powiedział. - Pozostali niech się skontaktują z rodziną Boge, Normanów i Hillstrómów. Boję się myśleć, co będzie, jak jej nie znajdziemy. Może oni coś wiedzą. Albo ci ze zdjęcia, które znaleźliśmy u Svedberga.

- Myślisz, że coś się stało?

- Nie wiem.

Poszli do samochodów. Wallander myślał o rozmowie z Lundbergiem. Ktoś dzwonił do szpitala. Ale kto? Zdawało mu się, że Lundberg powiedział coś istotnego, co mu umknęło. Postanowił o tym nie myśleć. Jestem zmęczony, pomyślał. Nie słucham, co ludzie mówią, i potem sobie wmawiam, że coś przeoczyłem.

Przyjechali do komendy i Martinsson poszedł do siebie.

- Dzwoniła Mona - rzuciła w jego stronę Ebba z recepcji. Stanął jak wryty.

- W jakiej sprawie?

- Tego mi nie mówiła.

Dała mu kartkę z telefonem Mony w Malmö. Wallander znał go na pamięć. Ale troskliwość Ebby nie znała granic. Zasypała go mnóstwem wiadomości.

- Głównie dzwonią dziennikarze - pocieszyła go. - Nimi nie musisz się przejmować.

Wallander przyniósł sobie kawę do pokoju. Ledwo zdjął kurtkę, zadzwonił Hansson.

- Nic nowego - oznajmił. - Ciagle nic. Chciałem, żebyś wiedział.

- Dobrze by było, żeby ktoś z was przyjechał do komendy. Albo ty, albo Ann-Britt. Sami z Martinssonem sobie nie poradzimy. Wiesz może, kto odpowiada za poszukiwania samochodów?

- Ja. Pracuję nad tym. Stało się coś?

- Isa Edengren uciekła ze szpitala. Niepokoję się tym.

- Kogo z nas wolisz?

Wallander wołał, żeby przyjechała Ann-Britt. Była lepsza niż Hansson. Ale tego nie mógł powiedzieć.

- Wszystko jedno. Któraś z was.

Wyłączył się i zaraz potem wybrał numer Mony w Malmö. Za każdym razem, kiedy dzwoniła, a nie zdarzało się to zbyt często, bał się, że coś się stało Lindzie.

Odebrała po dwóch sygnałach. Jak zawsze, kiedy słyszał jej głos, odczuwał powiew smutku. Czasami uważał, że to z biegiem lat słabnie. Ale nie był przekonany.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - zaczęła. - Jak się masz?

- To nie ja dzwoniłem - odpowiedział. - U mnie wszystko w porządku.

- Masz zmęczony głos.

- Bo jestem zmęczony. Czytałaś na pewno, że jeden z naszych kolegów nie żyje. Svedberg. Pamiętasz go?

- Ledwo.

- Po co dzwoniłaś?

- Żeby ci powiedzieć, że wychodzę za mąż.

Wallander zamilkł. Przez chwilę miał ochotę cisnąć słuchawkę. Ale siedział bez ruchu, oniemiały.

- Jesteś tam?

- Tak - powiedział. - Jestem.

- No więc wychodzę powtórnie za mąż.

- Za kogo?

- Za Clasa-Henrika. A za kogo bym miała wyjść?

- Zamierzasz się wydać za golfiarza?

- Nie bądź niemądry.

- Przepraszam. Czy Linda wie?

- Najpierw dzwonię do ciebie.

- Nie wiem, co powiedzieć. Może powinienem gratulować?

- Na przykład. Nie musimy rozmawiać dłużej, niż to konieczne. Chciałam tylko, żebyś wiedział.

- Ale ja, do diabła, nie chcę nic wiedzieć! O twoim życiu i twoim cholernym golfiarzu!

Ogarnęła go nagła wściekłość. Nie wiedzieć czemu. Może ze zmęczenia, może z uczucia niewypowiedzianego zawodu, że Mona opuszcza go na zawsze. Raz już to przeżył, kiedy oświadczyła, że chce się z nim rozwieść. A teraz, kiedy powtórnie wychodzi za mąż, znowu odczuwa to samo.

Cisnął słuchawkę z taką siłą, że aż rozwalił telefon. W tej samej chwili w drzwiach pojawił się Martinsson. Drgnął na odgłos trzasku. Wallander wyrwał aparat i wrzucił do kosza na śmieci. Martinsson przyglądał mu się niepewnie, jakby się bał, że Wallander na nim wyładuje złość. Rozłożył ręce i zabierał się do wyjścia.

- Czego chciałeś?

- Mogę zaczekać.

- To prywatna wściekłość - wytłumaczył się Wallander. - Mów, o co chodzi.

- Jadę do domu Normanów. Zacznę od nich. Może Lille-mor Norman coś wie na temat Isy.

Wallander kiwnął głową.

- Jedź tu Hansson albo Ann-Britt. Niech zajmą się pozostałymi.

Martinsson skinął głową. Wahał się, stojąc w drzwiach.

- Musisz mieć nowy telefon - powiedział. - Załatwię to.

Wallander nie odpowiedział. Machnął ręką, żeby wyszedł.

Nie wiedział, jak długo siedział beczynn timer. Raz jeszcze

uzmysłowił sobie, że Mona jest nadal najbliższą mu kobietą. Wyszedł z pokoju, kiedy w

drzwiach zjawił się policjant z aparatem telefonicznym w ręku. Wallander zdezorientowany

przystanął w korytarzu. Po chwili zdał sobie sprawę, że stoi przed pokojem Svedberga. Drzwi

były lekko uchylone. Pchnął je nogą. Wpadające przez okno słońce oświetlało grubą warstwę kurzu na biurku. Wszedł i zamknął za sobą drzwi. Niepewnie usiadł na krześle Svedberga. Ann-Britt przewerto-wała wszystkie papiery. Była dokładna. Przeglądanie ich jeszcze raz byłoby stratą czasu. Przyszło mu na myśl, że tak jak wszyscy, Svedberg miał szafkę w piwnicy. Miał nadzieję, że Ann-Britt o tym pomyślała. Nic na ten temat nie mówiła. Poszedł do recepcji i spytał Ebbę o klucze.

- Zapasowe klucze wiszą tutaj - powiedziała niechętnie.

Wziął klucze i zabierał się do odejścia, kiedy go zatrzymała.

- Kiedy pogrzeb? - spytała.

- Nie wiem.

- Będzie ciężko.

- W każdym razie nie będzie wdowy i płaczącego drobiazgu. Ale jasne, że będzie ciężko.

Zszedł po schodach i odnalazł szafkę Svedberga. Otwierał ją, nie bardzo wiedząc, czego szuka. Nie spodziewał się niczego znaleźć. W środku było parę ręczników, mydelniczka i szampon. Svedberg co piątek chodził do sauny. I para starych pantofli gimnastycznych. Przejechał ręką po górnej półce. Wyciągnął plastikową teczkę z papierami. Włożył okulary i zaczął je przeglądać. Było tam ponaglenie w związku z przeglądem samochodu, niewyraźnie zapisane karteczki, wyglądające na listy zakupów, oraz kilka biletów kolejowych i autobusowych. Svedberg pojechał rannym pociągiem do Norrkópingu dziewiętnastego lipca. Wrócił do Ystadu dwudziestego drugiego lipca. Bilet był zużyty. Nadruk na biletach autobusowych był rozmazany. Bezskutecznie usiłował go od-cyfrować pod lampą. Zamknął szafę i zabrał ze sobą teczkę.

W pokoju próbował coś dojrzeć przez szkło powiększające. Odczytał tylko cenę i napis „Zarząd transportu w Ostgöta”. Zmarszczył czoło i odłożył bilet na stół. Po co Svedberg jechał do Norrkópingu? Nie było go przez trzy dni, w środku urlopu. Zadzwoił do Ylvy Brink. Na szczęście była w domu. Nie potrafiła wytłumaczyć wyjazdu Svedberga do Östergötlandu. Nie miał tam żadnych krewnych.

- Może tam mieszka ta Louise? Wiadomo już, kto to jest? - spytała.

- Jeszcze nie - odpowiedział Wallander. - Ale może masz rację.

Poszedł przynieść sobie kawę. Myślał o rozmowie z Moną. Nie mógł zrozumieć, jak mogła wyjść za męża za tego małego, chuderlawego golfiarza, który żył z importu sardynek do Szwecji. Wrócił do siebie. Przed nim, na stole, leżały bilety. Nagle zeszywniał. Ręka z kubkiem kawy zawisła w powietrzu.

Powinien był o tym pomyśleć. Jak nazywała się wyspa w albumie Isy? I co powiedział Martinsson? Że wyspa Barnso leży gdzieś w skierach Östergötlandu.

Odstawił gwałtownie kubek. Kawa prysnęła. Zadzwoił z nowego aparatu do Martinssona.

- Gdzie jesteś? - spytał

- Piję kawę z Leną Norman. Za chwilę przyjdzie jej mąż.

Słyszał po jego głosie, że nie była to łatwa wizyta.

- Chciałbym, żebyś ją o coś zapytał - poprosił. - Poczekam przy telefonie. Czy zna wyspę Barnso. I czy ma to jakiś związek z Isą.

- Tylko tyle?

- Tak. Ale raz-dwa.

Wallander czekał. W drzwiach stała Ann-Britt. Hansson najwyraźniej zrozumiał, kogo Wallander chce mieć przy sobie. Wskazała na kubek od kawy i zniknęła.

Martinsson wrócił.

- No, tego się nie spodziewałeś. Ona twierdzi, że Edengre-nowie oprócz domów w Hiszpanii i Francji mają dom na Barnso.

- Dobrze - powiedział Wallander. - Nareszcie coś się połączyło.

- To nie koniec - dodał Martinsson. - Lena była tam wiele razy. I pozostali przyjaciele. Boge i Hillström.

- Znam jeszcze kogoś, kto tam był - oznajmił Wallander.

- Kto taki?

- Svedberg. Od dziewiętnastego do dwudziestego drugiego lipca.

- Niech to diabli! Skąd wiesz?

- Powiem ci, jak wrócisz. Teraz rób, co masz robić.

Wallander odłożył słuchawkę. Tym razem ostrożnie. Znow

weszła Ann-Britt. Od razu zauważyła, że coś się stało.

17

Wallander miał rację. Ann-Britt nie pomyślała o tym, żeby zejść do piwnicy. Odczuwał pewną satysfakcję na myśl, że popełniła błąd. Uważał ją za dobrą policjantkę. Ale i ona nie była nieomylna.

Pokrótce omówili wydarzenia. Isa Edengren zniknęła. Wallander był zdania, że poszukiwanie jej powinno mieć priorytet.

Ann-Britt próbowała wyciągnąć z niego, czym się kieruje. Wallander nie potrafił tego wyjaśnić. Jednak fakty mówiły za siebie: Isa miała być na świętojańskiej zabawie. Z nieznanego im powodu usiłowała odebrać sobie życie. A teraz uciekła.

- Jest jeszcze jedna ewentualność - powiedziała Ann-Britt. - Bardzo nieprzyjemna i mało prawdopodobna.

- Że to Isa zabiła swoich przyjaciół? Przyszło mi to na myśl. Ale wiadomo, że tego wieczoru była chora.

- Jeśli to było wtedy. To nie jest pewne.

Wallander musiał przyznać jej rację.

- Tym bardziej trzeba ją jak najszybciej odnaleźć. Pamiętaj, że mamy jeszcze mężczyznę, który podawał się za Lundberga.

Ann-Britt poszła skontaktować się z rodziną Boge i Normanów oraz z młodymi ludźmi, których zdjęcia znaleźli u Svedberga. Wallander przypomniał, żeby zapytała o wyspę Barnso. Jak tylko wyszła, zadzwonił Nyberg. Wallander miał pewność, że znaleźli miejsce, gdzie były ukryte ciała.

- Jeszcze nie - odparł Nyberg. - To zajmie trochę czasu.

Dzwonię w zupełnie innej sprawie. Chodzi o broń znalezioną w mieszkaniu Svedberga. Dostałem odpowiedź.

Wallander wziął notes.

- Rejestry broni są skuteczne - ciągnął Nyberg. - Broń, z której zabito Svedberga, została skradziona przed dwoma laty. W Ludvice.

- W Ludvice?

- Kradzież zgłoszono na policji w Ludvice dziewiętnastego lutego dziewięćdziesiątego czwartego roku. Zgłoszenie przyjął niejaki Wester. Od mężczyzny o nazwisku Hans-Ake Hammarlund. Jest zapalonym myśliwym i zgodnie z przepisami całą broń trzyma pod kluczem. Osiemnastego lutego udał się do Falun w interesach. W nocy z osiemnastego na dziewiętnastego lutego ktoś włamał się do jego domu. Żona spała na piętrze i nic nie słyszała. Hammarlund wykrył kradzież po powrocie z Falun i tego samego dnia złożył doniesienie. Skradziona strzelba to Lambert Baron, produkcji hiszpańskiej. Numer rejestracyjny się zgadza. Broni nie odnaleziono. Nikogo nie zatrzymano.

- Zginęło coś jeszcze?

- Złodziej zostawił bardzo cenny sztucer na łosie, ale ukradł dwa pistolety. A raczej jeden pistolet i jeden rewolwer. Nie wiadomo jakiej marki. Raport Westera pozostawia wiele do

życzenia. Nie wiadomo, na przykład, jak złodziej dostał się do domu. Ale rozumiesz, co to znaczy?

- Że jeden z nich mógł zostać użyty w rezerwacie? Musimy to szybko sprawdzić.

- Ludvika leży w Dalarnie - powiedział Nyberg. - Daleko. Ale broń może pojawić się wszędzie.

- Wątpię, żeby Svedberg sam ukradł broń, z której został zabity.

- Kradziona broń przechodzi przez wiele rąk, zanim do kogoś trafi - ciągnął Nyberg. - Najpierw zostaje sprzedana, potem ktoś jej używa i znów po jakimś czasie sprzedaje. Zanim wylądowała w mieszkaniu Svedberga, mogła mieć wielu właścicieli.

- Tak czy owak, to ważna informacja. Ale ciągle żeglujemy we mgle.

- Tu jest piękna pogoda - powiedział Nyberg. - I co z tego, kiedy trzeba szukać jakiegoś cholernego grobu.

- Na emeryturze będziesz miał spokój - pocieszył go Wallander. - Ty, ja i wszyscy, którzy muszą się w tym babrać.

Nyberg miał dopilnować, żeby sprawa identyfikacji skradzionej broni i amunicji była priorytetowa. Wallander zabierał się właśnie do notatek, kiedy odezwał się telefon. Dzwonił doktor Góransson.

- Nie zjawił się pan dziś rano - powiedział z wyrzutem.

- Przykro mi - odparł Wallander. - Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

- Domyślam się, że ma pan mnóstwo roboty. Wszystko to jest okropne. Odechciewa się czytania gazet. Pracowałem kilka lat w szpitalu w Dallas. Tytuły w „Ystads Allehanda” zaczynają przypominać prasę w Teksasie.

- Pracujemy przez okrągłą dobę - powiedział Wallander. - Nie ma rady.

- Musi pan, mimo wszystko, zająć się swoim zdrowiem. Zaniedbana cukrzyca w połączeniu z wysokim ciśnieniem to nie żarty - odparł Góransson.

Wallander opowiedział mu o nocy w szpitalu i o badaniu cukru.

- To tylko dowodzi, że powinien pan zrobić porządne badania. Wątroby, nerek i trzustki. I nie ma co odkładać.

Wallander zrozumiał, że się nie wykręci. Umówili się, że przyjdzie do kliniki nazajutrz o ósmej rano. Miał być na czczo i przynieść ze sobą próbkę rannego moczu.

Wallander odłożył słuchawkę i odsunął notes. Nagle do niego dotarło, że latami zaniedbywał zdrowie. Właściwie zaczęło się wtedy, kiedy Mona zażądała rozwodu i wyprowadziła się z domu. Blisko siedem lat temu. Przez chwilę miał ochotę zwalić winę na nią. Wiedział jednak, że sam do tego doprowadził.

Wstał i podszedł do okna. Był ciepły sierpniowy dzień. Góransson miał rację. Musi poważnie zająć się zdrowiem, jeśli chce żyć następnych dziesięć lat. Dlaczego daje sobie akurat dziesięć lat?

Powrócił do stołu i przez chwilę wpatrywał się w pustą kartkę w notesie. Potem odszukał numery Edengrenów w Hiszpanii i we Francji. Sprawdził kierunkowe w książce telefonicznej i zorientował się, że matka Isy Edengren jest w Hiszpanii. Wybrał numer i czekał. Odebrał mężczyzna. Wallander się przedstawił.

- Słyszałem, że pan dzwonił. Jestem ojcem Isy.

Mówił takim tonem, jakby tego żałował. Wallander się zdenerwował.

- Domyślam się, że zamierzają państwo przyjechać, żeby się zająć Isą - powiedział.

- Chyba nie. Wygląda na to, że niebezpieczeństwo minęło.

- Skąd pan wie?

- Dzwoniłem do szpitala.

- Nie przedstawił się pan przypadkiem jako Lundberg?

- W jakim celu?

- Tak tylko pytam.

- Czy policja nie ma nic innego do roboty, tylko zadawać idiotyczne pytania?
- Jasne, że ma - odparł Wallander, nie ukrywając złości. - Możemy na przykład poprosić hiszpańską policję, żeby wysłała was najbliższym samolotem do Szwecji.

Była to oczywiście nieprawda. Ale Wallander miał dość rodziców Isy Edengren. Ich całkowitej obojętności na los córki, pomimo że już wcześniej stracili syna. Nie pojmował takiego stosunku do własnych dzieci.

- Obraża mnie pan.

- Troje przyjaciół Isy zostało zamordowanych - powiedział Wallander. - Isa miała z nimi być, kiedy to się stało. To sprawa o morderstwo i ma pan odpowiadać na moje pytania. W przeciwnym razie skontaktuję się z hiszpańską policją. Zrozumiano?

- Co się właściwie stało? - spytał niepewnie mężczyzna.

- O ile mi wiadomo, na hiszpańskim wybrzeżu jest szwedzka prasa. Chyba potraficie czytać?

- O co panu chodzi, do cholery?

- O to, co pan słyszy. Macie dom na wyspie Barnso. Czy Isa ma do niego klucze? Czy tam również nie ma wstępu?

- Ma klucze.

- Jest tam telefon?

- Używamy komórki.

- Czy Isa ma własną komórkę?

- A któż dzisiaj nie ma?

- Jaki ma numer?

- Nie wiem. Zresztą chyba nie ma komórki.

- To jak w końcu? Ma komórkę czy nie?

- Nigdy mnie nie prosiła o pieniądze na komórkę. Za co miałyby kupić? Nie pracuje, nic nie robi.

- Czy mogła pojechać na Barnso? Czy jeździ tam?

- Myślałem, że jest w szpitalu.

- Uciekła.

- Dlaczego?

- Nie wiadomo. Czy mogła pojechać na Barnso?

- Naturalnie.

- Jak się tam dostać?

- Łodzią z przystani w Fyrudden. Nie ma połączenia lądem.

- Czy Isa ma dostęp do łodzi?

- Nasza łódź jest w konserwacji.

- Są tam jacyś sąsiedzi?

- Nikogo nie ma. To jedyny dom na wyspie.

Wallander robił notatki. Nie przychodziło mu do głowy więcej pytań.

- Ma pan czekać pod tym numerem. Czy nie zna pan jakiegoś innego miejsca, gdzie Isa mogłaby przebywać?

- Nic mi nie przychodzi do głowy.

- Proszę dzwonić, jak tylko się panu coś przypomni.

Zostawił mu numer telefonu do komendy w Ystadzie i do swojej komórki. Zakończył rozmowę. Miał spocone dłonie.

Po dłuższym przeszukiwaniu szuflad i półek znalazł atlas samochodowy. Odnalazł wyspy na wybrzeżu Ostergötlandu i miejscowość Fyrudden. Wyspy Barnso nie było. Musiała być bardzo mała. W recepcji poprosił o sprawdzenie ewentualnego numeru komórki Isy Edengren. Potem się zorientował, że

mogą go znać jej przyjaciele. Zadzwoił do Martinssona, który nadal był u Normanów. Nie zazdrościł mu. Dowiedział się, że nikt z rodziców nie zna numeru Isy. Poprosił Martinssona, żeby skontaktował się z jej przyjaciółmi. Odpowiedź przyszła po dwudziestu minutach. Nic nie wiedzieli o komórce.

Minęło południe. Wallander był głodny i bolała go głowa. Zamówił telefonicznie pizzę. Pół godziny później jadł przy biurku. Nyberg ciągle nie dzwonił. Zastanawiał się, czy pojechać do rezerwatu. Ale jego obecność nic nie zmieni. Nyberg da sobie radę. Wyrzucił kartony po pizzy i poszedł do toalety umyć ręce. Opuścił komendę i ruszył w kierunku wieży ciśnień. Tam, w cieniu, usiłował pochwycić nękającą go myśl.

Miał uczucie, że w wydarzeniach istnieje pewna prawidłowość. Powtarzające się elementy. Nie potrafił tego wychwycić. Stopniowo uwalniał się jednak od najgorszego z podejrzeń - że Svedberg był sprawcą trzech zabójstw. Svedberg należał do ścigających, tak jak on. Gdzieś przed sobą wyczuwał obecność Svedberga. Jeszcze go nie dogonił.

Svedberg nie mógł być mordercą, gdyż sam padł ofiarą zabójstwa. Spadł mu kamień z serca, lecz zaraz pojawił się inny lęk. Ktoś depta im po piętach, ktoś dobrze poinformowany.

Wallander wiedział, że rozumuje prawidłowo, chociaż nie wszystko się ze sobą łączyło. Człowiek, który zabił Svedberga i troje młodych ludzi, posiadał niezbędne informacje. Świętojańska zabawa została zaplanowana w najgłębszej tajemnicy, a mimo to ktoś się o niej dowiedział. Ten ktoś zrozumiał również, że Svedberg jest na jego tropie.

Svedberg musiał podejść za blisko, pomyślał. Nie zdawał sobie sprawy, że wstąpił na zakazany teren. Dlatego zginął. To jedyne wytłumaczenie.

Do tego momentu wszystko wydawało się jasne. Ale dalej obraz się zaciemniał. Dlaczego teleskop stał w szopie Björklunda? Dlaczego ktoś wysyłał pocztówki z różnych krajów Europy? Po co ta zwłoka?

Muszę odnaleźć Isę, pomyślał, i zmusić ją do mówienia. O tym, czego może sama sobie nie uświadamia. I muszę odnaleźć trop Svedberga. Wpadł na ślad, którego nie potrafimy odnaleźć. A może od początku wiedział coś, czego my nie wiemy?

Wallander myślał o Louise. Tajemniczej kobiecie Svedberga.

W twarzy na zdjęciu było coś dziwnego. Nie wiedział co. Nie dawało mu to spokoju. Ale zdawał sobie sprawę, że musi być cierpliwy.

Kiedy tak siedział, oparty plecami o kamienną ścianę wieży, przyszło mu na myśl, że między Svedbergiem i młodymi ludźmi istniało pewne podobieństwo. I on, i oni strzegli tajemnicy. Może tam tkwił głęboko ukryty punkt styczny?

Podniósł się z trawy i ruszył z powrotem do komendy. Był cały obolały po nocy spędzonej na tylnym siedzeniu samochodu.

Najbardziej bał się tego, że sprawca znowu zaatakuje. Nie mógł się pozbyć tej myśli.

Przystanął na parkingu przed komendą. Nagle zobaczył jasno plan działania. Pojedzie na Barnsö szukać Isy Edengren. Od czegoś trzeba zacząć. A to jest najważniejsze.

Czuł, że musi się śpieszyć. W komendzie złapał Martinssona, który właśnie wrócił od Normanów.

- Stało się coś? - zapytał zdziwiony Martinsson.

- Stanowczo za mało. Dlaczego nie ma wyników z laboratorium? Będziemy bezsilni, dopóki nie poznamy godziny śmierci. Dlaczego nie otrzymujemy żadnych sensownych informacji? Gdzie są zaginione samochody? Musimy porozmawiać. Zbierzmy się jak najszybciej.

O czwartej udało im się złapać Ann-Britt Hóglund. Była po rozmowie z Evą Hillström i rodzicami Martina Boge w Simris-hamnie. Czekając na nią, zadzwonili do młodych ludzi ze zdjęcia, które miał Svedberg. Okazało się, że każdy był kiedyś u Isy na Barnsö. Martinsson zdążył się połączyć z laboratorium medycyny sądowej w Lundzie. W dalszym ciągu nie było wyników. Wallander przejrzał listę z informacjami od ewentualnych świadków. Na zlecenie Martinssona zajmował się tym młody aplikant. Nikt nic nie zauważył ani na Lilia Norregatan,

ani w rezerwacie. Najdziwniejsze było jednak, że nikt nie rozpoznał kobiety, którą nazywali Louise. Wallander poruszył to podczas zebrania z kolegami. Włożył zdjęcie do projektora.

- Ktoś przecież musi ją znać - powiedział. - Przynajmniej z widzenia.

Nikt się nie odezwał.

- Fotografia dopiero co ukazała się w gazetach - odparł po chwili Martinsson.

To wyjaśnienie nie zadowoliło Wallandera. Co innego, kiedy ludzie mają sobie przypomnieć jakieś wydarzenie. To może potrwać. Ale tu chodzi o twarz.

- Może to cudzoziemka? - zgadywała Ann-Britt Hóglund.

- Wystarczy, że mieszka w Danii. Kto tam czyta skańską prasę?

W wydaniach ogólnokrajowych ukaze się dopiero jutro.

- Masz rację - zgodził się Wallander. Przyszedł mu na myśl Sture Björklund, który dojeżdżał z Hedeskogi do Kopenhagi.

- Skontaktujemy się z duńską policją.

Przyglądali się uważnie podświetlonemu zdjęciu.

- Nie mogę pozbyć się uczucia, że w tym zdjęciu jest coś szczególnego. Nie potrafię tego określić.

Nikt tego nie skomentował. Wallander wyłączył projektor.

- Postanowiłem pojechać jutro do Östergötlandu - oznajmił. - Możliwe, że Isa tam się ukryła. Trzeba ją znaleźć i skłonić do mówienia.

- Co takiego może nam powiedzieć? Nie było jej przecież, kiedy to się stało.

Wątpliwości Martinssona były uzasadnione. Wallander nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. W jego rozumowaniu wszędzie były luki i więcej domysłów niż wyraźnych punktów zaczepienia.

- W pewnym sensie jest jednak świadkiem - powiedział.

- Zakładamy przecież, że zbrodnia nie jest przypadkowa. Za taką mogłaby ostatecznie uchodzić śmierć Svedberga. Nato miast zabójstwo młodzieży było dobrze przygotowane. Mimo że trzymali wszystko w tajemnicy, ktoś z zewnątrz miał dostęp do najważniejszych informacji. Co ustalili, kiedy i do kąd się mieli udać, może nawet o której godzinie. Ktoś wysłał ich sekret lub w inny sposób dowiedział się o ich planach. Jeśli okaże się, że nasze podejrzenia są słuszne i że przez jakiś czas leżeli zakopani w ziemi - w pobliżu miejsca zbrodni - sprawa będzie jasna. Dół się sam nie wykopał. Isa uczestniczyła w fazie planowania. Zachorowała w ostatniej chwili. Nie wątpię, że była chora. Gdyby mogła, z pewnością by pojechała. Choroba zapewne uratowała jej życie. Jest zatem osobą, która może nas naprowadzić na brakujące ogniwo. W jakimś momencie ta czwórka napotkała na drodze człowieka, który postanowił ich zabić. Nie zwrócili na to uwagi. Tak się to musiało odbyć.

- Sądysz, że Svedberg doszedł do podobnych wniosków?

- Tak. Ale musiał wiedzieć coś więcej. Albo czegoś się domyślać. Coś podejrzawać. Nie wiemy, w jakim momencie podejrzenie przybrało realny kształt. Dlaczego robił tajemnicę ze swego dochodzenia? Musiało to być coś ważnego. Poświęcił cały urlop. Nigdy wcześniej nie wykorzystywał go za jednym razem.

- Brakuje nam motywu - odezwała się Ann-Britt Hóglund.

- Zemsta, nienawiść, zazdrość. Nic nie pasuje. Kto miałby się mścić na tych młodych ludziach? Kto mógł ich nienawidzić albo im zazdrościć? Nigdy nie byłam świadkiem tak bestial

skiej zbrodni. To gorsze niż przypadek tego biedaka, który się wcielił w Indianina.

- Mógł specjalnie wybrać tę okazję - stwierdził Wallander.

- Chwilę największej radości. Chociaż to brzmi strasznie. Wigilia świętego Jana i Wigilia Bożego Narodzenia to dni, kiedy szczególnie doskwiera samotność.

- W takim razie mamy do czynienia z szaleńcem - powiedział Martinsson z nieukrywanym niesmakiem.

- Szaleniec, który ma jasny plan działania. Niewykluczone, że tak jest. Spróbujmy jednak odnaleźć w tym wszystkim wspólny mianownik. Morderca zdobył skądś informacje. Miał wgląd w ich życie. Tego szukamy. Prędzej czy później znajdziemy punkt styczny. Może nawet gdzieś już nam mignął. I przeleciał niezauważony.

- Jednym słowem, to Isa ma prowadzić dochodzenie - podsumowała Ann-Britt Hóglund. - Ona jako straż przednia, a my z tyłu, jej śladem.

- Coś w tym rodzaju. Musimy pamiętać, że Isa chciała się zabić. Pytanie dlaczego. Nie wiemy, czy sprawca czegoś nie knuje, dowiedziawszy się, że przeżyła.

- Rzekomy Lundberg ze szpitala? - spytał Martinsson.

Wallander skinął głową.

- Ktoś z was musi pomówić z osobą, która odebrała telefon w szpitalu. Jaki miał głos? Jakim mówił dialektem? Czy był stary, czy młody? To wszystko ma znaczenie.

Martinsson obiecał się tym zająć. Następną godziną zeszła na sprawach organizacyjnych. Na chwilę przerwała im Lisa Holgersson. Przyniosła wiadomość o dacie pogrzebu Svedberga. Miał się odbyć w nadchodzący wtorek. Rozmawiała z Ylvą Brink i Sture Björklundem. Była blada i wycieńczona. Wallander wiedział, że przez większość czasu opędzała się od dziennikarzy. Nie zazdrościł jej.

- Czy ktoś z was wie, jaką Svedberg lubił muzykę? - za pytała. - Ylva Brink nie potrafiła powiedzieć.

Wallander nie wiedział. Nic z tego, co znał, nie pasowało mu do Svedberga. Ann-Britt pośpieszyła z odpowiedzią.

- Lubił rocka. Rozmawialiśmy o tym. Jego ulubionym piosenkarzem był Buddy Holly. Dawno już nie żyje, zginął w katastrofie samolotowej.

Wallander pamiętał nazwisko z czasów młodości.

- Czy to nie ten od Peggy Sue? - zapytał.

- Tak, ten sam. Choć to może się niezbyt nadaje na pogrzeb.

- Cudna jest ziemia - zaproponował Martinsson. - To jest pewniak. Czy ona taka cudna jak w tym psalmie, to inna sprawa. Jak pomyśle, w co wdepnęliśmy.

Wallander naszkicował sytuację Lisie Holgersson, zanim wyszła.

- Bardzo bym chciała wiedzieć w dniu pogrzebu, co się stało i dlaczego - powiedziała.

- Wątpię, żebyśmy zdążyli - odparł Wallander. - Wszyscy byśmy chcieli.

Była piąta, kiedy skończyli zebranie. Zadzwoiła Ebba z recepcji.

- Tylko nie dziennikarze - powiedział Wallander.

- Nie, to Nyberg. Coś ważnego.

Wallander poczuł napięcie. Pozostali spostrzegli jego reakcję. Coś zachrząściło w słuchawce i doszedł go głos Nyberga.

- Chyba mieliśmy rację.

- Trafiłeś na miejsce?

- Tak wygląda. W tej chwili robimy zdjęcia. I zabezpieczamy ślady.

- Kierunek był dobry?

- Około osiemdziesięciu metrów od polany, na której ich znaleźliśmy. Idealne miejsce. W gęstych zaroślach. Nikt, kto przechodzi, nie będzie się tam pchał.

- Kiedy zaczniecie kopać?

- Chciałem zapytać, czy nie chcesz przedtem rzucić okiem.

- Już jadę.

Wallander odłożył słuchawkę.

Postanowili, że pojedzie sam. Mieli dużo innych pilnych zadań.

Wallander postawił na dachu koguta i pojechał do rezerwatu. Zaparkował przy samym miejscu zbrodni. Czekał na niego jeden z techników.

Nyberg zabezpieczył teren o powierzchni około trzydziestu metrów kwadratowych. Wallander od razu stwierdził, że miejsce było dobrze wybrane. Dokładnie tam, gdzie myśleli. Przykucnął obok Nyberga. Kilku policjantów w kombinezonach i z łopatami w rękach czekało na instrukcje.

- W tym miejscu ktoś kopał - powiedział Nyberg, wska-
zując ręką. - Ktoś wyciął darń i potem ułożył z powrotem.

Jak popatrzysz pod liśćmi, to zobaczysz rozrzuconą ziemię.

Po zasypaniu dołu było jej zbyt dużo.

Wallander przeciągnął dłonią po darni.

- Wygląda na precyzyjną robotę - stwierdził.

Nyberg przytaknął.

- Geometryczny wzór - zauważył. - Nie żadna fuszerka.

Nigdy byśmy nie znaleźli tego miejsca, gdyby nie przekonanie,
że musi gdzieś być. I to w pobliżu.

Wallander się podniósł.

- Kopiemy - zdecydował. - Nie ma co czekać.

Praca posuwała się powoli. Nyberg kierował policjantami. Był wieczór, kiedy zdjęli pierwszą warstwę darni. Teren

oświetlono reflektorami. Pod darnią ziemia była spulchniona. Minęła dziewiąta, kiedy dokopali się do prostokątnego otworu. Przyjechała Lisa Holgersson i Ann-Britt Hóglund. W milczeniu przyglądały się ich pracy. Kiedy Nyberg polecił zakończyć kopanie, Wallander nie miał już wątpliwości, że otwór, który miał przed oczami, jest grobem. Otoczyli półkolem dół.

- Jest wystarczająco duży - zauważył Nyberg.

- Tak - potwierdził Wallander. - Wystarczająco. Zmieściłyby się nawet cztery ciała.

Przeszedł go dreszcz. Po raz pierwszy od początku śledztwa udało im się znaleźć trop nieznanego sprawcy. Ich przypuszczenia okazały się słuszne.

Nyberg przyklęknął nad dołem.

- Nic tu nie ma - powiedział. - Możliwe, że ciała leżały
w szczelnych workach. A gdyby na dodatek były przykryte plas-
tykową płachtą, to nawet pies Edmundssona nic by nie
wywęszył. Na wszelki wypadek przerzucimy każdą grudkę ziemi.

Wallander wrócił na ścieżkę w towarzystwie Lisy Holgersson i Ann-Britt Hóglund.

- O co temu człowiekowi chodzi? - spytała Lisa Holgersson, pełna obrzydzenia i lęku.

- Nie wiem - odparł Wallander. - Ale przynajmniej jedna osoba przeżyła.

- Isa Edengren?

Wallander nie odpowiedział. Nie było potrzeby. Wszyscy wiedzieli, że to grób dla czterech osób.

We wtorek trzynastego sierpnia Wallander wyjechał z Ystadu o piątej rano. Postanowił jechać przez Kalmar, wzdłuż wybrzeża. Tuż za Sólvesborgiem przypomniał sobie obietnicę daną

doktorowi Goranssonowi. Zjechał na pobocze i zadzwonił do Martinssona. Minęło wpół do siódmej, nadal było ciepło i pogodnie. Wallander poprosił Martinssona o odwołanie wizyty.

- Wytłumacz, że wypadł mi nagle służbowy wyjazd.

- Coś ci dolega? - spytał Martinsson.

- To tylko okresowe badania - odparł Wallander. Pomyślał, że Martinsson nie rozumie, dlaczego on sam nie

dzwoni do Góranssona. Nie potrafił wytłumaczyć własnego zachowania. Dlaczego nie chce się przyznać, że ma cukrzycę, która jest przecież powszechną chorobą?

Tuż przed Brómsebro poczuł się zmęczony i musiał zrobić przerwę. Zjechał z szosy i zatrzymał się przy kamieniu upamiętniającym zawarcie traktatu pokojowego między Szwecją a Danią. Wysikał się w cieniu drzewa. Potem usiadł za kierownicą, zamknął oczy i zapadł w sen.

Śniły mu się różne postacie w najdziwniejszych konstelacjach. Ciągłe padał deszcz. Wallander szukał Ann-Britt Hóglund. Nie mógł jej znaleźć. Nagle pojawił się jego ojciec. Była też Linda, ale ledwo ją rozpoznał. Cały czas padało.

Powoli się budził. Wiedział, gdzie się znajduje. Zanim jeszcze otworzył oczy, wiedział, gdzie jest. Słońce świeciło mu w twarz. Był spocony i chciało mu się pić. Spojrzał na zegarek. Ze zdziwieniem stwierdził, że spał ponad pół godziny. Nie czuł się wypoczęty. Bolało go ciało.

Wyjechał na szosę i po przejechaniu dwudziestu kilometrów wstąpił do przydrożnej kawiarni.

Zjadł śniadanie i zaopatrzył się w dwie litrowe butelki wody mineralnej. Około dziewiątej minął Kalmar. Zadzwoniła Ann-Britt, która przyrzekła przygotować grunt pod jego przyjazd do Östergötlandu.

- Rozmawiałam z komisariatem w Valdemarsvik - oznajmiła. - Udawałam, że proszę o osobistą przysługę.

- Słusznie - odpowiedział Wallander. - Koledzy policjanci nie lubią, żeby się zbyt kręcić po ich terenie.

- A już na pewno nie ty - zaśmiała się.

Wiedział, że miała rację. Nie chciał mieć u siebie policji spoza Ystadu.

- Jak się dostać na Barnsó? - zapytał.

- Zależy od tego, gdzie jesteś. Daleko masz jeszcze?

- Przed chwilą minąłem Kalmar. Mam sto kilometrów do Vasterviku. I potem jeszcze ze sto.

- To już za późno.

- Za późno na co?

- Kolega w Valdemarsviku radził, żeby się zabrać statkiem pocztowym. Odpływa z Fyrudden między jedenastą a wpół do dwunastej.

- Nie ma innego połączenia?

- Na pewno coś jest. Będziesz musiał się rozejrzeć na przystani.

- Może się wyrobię. Czy mogłabyś zawiadomić pocztę, że jestem w drodze? Gdzie sortują listy? W Norrkópingu?

- Patrzę na mapę - powiedziała. - Chyba w Grycie. Jeśli mają tam pocztę.

- Gdzie to jest?

- Między Valdemarsvikiem i Fyruddenem. Nie masz mapy?

- Niestety, została w biurze.

- Oddzwonię za chwilę. Najlepiej popłynąć statkiem pocztowym. Kolega twierdzi, że to najpopularniejszy sposób przeprawy, jak ktoś nie ma własnej łodzi i nikt po niego nie wypływa.

- Rozumiesz prawidłowo - powiedział z uznaniem Wallander. - Myślisz, że Isa Edengren zabrała się statkiem?

- Wpadło mi to do głowy.

- Czy mogła zdążyć na jedenastą? Jeśli wyszła ze szpitala przed szóstą?

- Całkiem możliwe. Gdyby miała samochód. Ma prawo jazdy. A ze szpitala mogła się wymknąć tuż po czwartej.

Umówili się na telefon. Wallander przyspieszył. Ruch na szosie gęstniał. Na drogach było dużo samochodów z przyczepami kempingowymi. Uświadomił sobie, że nadal trwa sezon letnich urlopów. Przez chwilę się wahał, czy nie wystawić na dach koguta. Zamiast tego zwiększył szybkość. Ann-Britt oddzwoniła po dwudziestu minutach.

- Miałam rację. Sortowanie listów odbywa się w Grycie. Udało mi się złapać człowieka, który doręcza pocztę na wyspy. Był bardzo miły.

- Jak się nazywa?

- Nie dosłyszałam. Ale będzie na ciebie czekał, pod warunkiem że zdążysz przed dwunastą. Jeśli nie, może cię zabrać po południu. Wtedy pewnie będzie drożej.

- Mam zamiar wystawić rachunek za tę podróż - powiedział Wallander. - Myślę, że chyba do dwunastej zdążę.

- Na przystani jest parking - ciągnęła. - Statek pocztowy cumuje tuż obok.

- Masz jego telefon?

Zjechał z drogi i zanotował numer. W tej samej chwili przejechał tir, który właśnie z trudem wyprzedził.

Było za dziewiętnaście dwunasta, kiedy Wallander zjeżdżał w kierunku przystani w Fyruddenie. Zaparkował i udał się na pomost. Wiał słaby wiatr. Port był wypełniony łodziami. Mężczyzna około pięćdziesiątki kończył ładować ostatnie kartony na dużą łódź motorową z nadbudówką. Wallander nie tak wyobrażał sobie statek pocztowy. Może brakowało mu powiewającej na wietrze flagi z logo poczty. Mężczyzna spojrzął na Wallandera.

- Czy to pan płynie na Barnsów?

- Zgadza się.

Mężczyzna wyszedł na brzeg i wyciągnął rękę.

- Lennart Westin.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Nic nie szkodzi.

- Jest jedna sprawa - powiedział Wallander. - Nie wiem, czy osoba, która dzwoniła, powiedziała, że muszę się jakoś dostać z powrotem. Po południu lub wieczorem.

- Nie zostaje pan na noc?

Wallander poczuł się nieswojo. Nie był pewien, czy Ann-Britt uprzedziła, że jest z policji.

- Muszę coś wyjaśnić - powiedział, wyjmując legitymację.

- Jestem inspektorem kryminalnym z Ystadu. Prowadzimy żmudne i przykre dochodzenie.

Westin od razu wiedział, o co chodzi.

- W sprawie młodzieży, o której pisali w gazetach? I za mordowanego policjanta?

Wallander skinął głową.

- Zdawało mi się, że ich rozpoznaję - powiedział ostrożnie

Westin. - Na zdjęciu w gazecie, w każdym razie kogoś z nich.

Mam wrażenie, że płynęli ze mną jakiś rok temu.

- Razem z Isą?

- Otóż to. Razem z nią. To było chyba późną jesienią, dwa lata temu. Strasznie wiało z południowego zachodu. Myślałem, że nie da się przybić do pomostu na Barnsów. Jak wieje z tamtej strony, to może być ciężko. Ale dopłynęliśmy do brzegu. Jedna walizka wpadła z pomostu do wody. Musieliśmy ją wyciągać bosakiem. Dlatego ich pamiętam. Na tyle, na ile można polegać na pamięci.

- Sądzę, że dobrze pan pamięta - powiedział Wallander. - Czy widział pan może niedawno Isę? Dziś albo wczoraj?

- Nie.

- Czy zwykle płynie z panem?

- Jeśli rodzice są na wyspie, to sami ją odbierają. Jak nie, to zabiera się ze mną.
- Czyli teraz jej nie ma?
- Jeśli płynęła dziś lub wczoraj, to nie ze mną.
- W takim razie z kim?

Westin wzruszył ramionami.

- Zawsze mógł ją podrzucić ktoś z sąsiedniej wyspy. Isa wie, do kogo się zwrócić. Myślę jednak, że przede wszystkim porozumiałaby się ze mną.

Westin spojrział na zegarek. Wallander pobiegł do samochodu po niewielką torbę z rzeczami. Wszedł na pokład. Westin wskazał na mapę.

- Mogę płynąć prosto na Barnsó - powiedział. - Ale musiałbym nałożyć drogi. Czy bardzo się panu śpieszy? Jeśli nie, to po drodze załatwię trzy inne wyspy. Za godzinę będzie pan na miejscu.

- W porządku.

- Kiedy mam pana zabrać z powrotem?

Wallander się zastanowił. Isy prawdopodobnie nie ma na wyspie. Był zawiedziony. Może przynajmniej przeszuka dom. Inaczej cała wyprawa pójdzie na marne. Potrzebował kilku godzin.

- Nie musimy się teraz umawiać - powiedział Westin.

Podał mu kartkę z numerem telefonu. - Proszę zadzwonić.

Mogę pana odebrać wieczorem. Mieszkam na pobliskiej wyspie - wskazał palcem na mapie.

- Dam znać - odparł Wallander.

Westin uruchomił oba silniki i odcumował łódź. Na podłodze leżały paczki z gazetami, poczta i pudełko z kasą. Mimo swojej wielkości stateczek był zwrotny. Być może dzięki sprawności doświadczonego przewoźnika. Po wypłynięciu z portu ruszyli pełną parą. Przód statku powoli unosił się w górę i potem znowu opadł.

- Długo już pan tak pracuje? - zapytał Wallander. Usiłował przekrzyczeć huk motorów.

- Stanowczo za długo - odkrzyknął Westin. - Przeszło dwadzieścia pięć lat.

- A zimą? Kiedy zamarza?

- Używamy hydrokoptera.

Wallander poczuł, że spływa z niego ustawiczne zmęczenie. Szybka jazda i widok morza wprawiły go w zadziwiająco dobry nastrój. Kiedy ostatnio tak dobrze się czuł? Może z Lindą na Gotlandii? Nie wątpił, że doręczanie poczty mieszkańcom archipelagu było uciążliwym zajęciem. Teraz jednak jesienne wichury i ciemności wydawały się odległe.

Westin patrzył na niego spod przymrużonych powiek. Jakby zgadywał jego myśli.

- Jak to jest być policjantem? Może to coś dla mnie?

W innych okolicznościach Wallander natychmiast zacząłby zachwalać swój zawód. Teraz, gdy siedział z Westi-nem, a łódź mknęła po niemal gładkiej powierzchni wody, jego reakcja była inna.

- Czasami mam wątpliwości - krzyknął. - Ale jak się ma prawie pięćdziesiąt lat, na peronie zaczyna być pusto.

Większość pociągów już odjechała.

- Ja skończyłem pięćdziesiątkę wiosną - poinformował Westin. - Tutejsi mieszkańcy urządzili mi przyjęcie.

- Ilu z nich pan zna?

- Wszystkich. Przyjęcie było duże.

Westin zmienił kurs i zwolnił. U podnóża wysokiej skały widać było czerwony hangar na wodzie i pomost spoczywający na starych kesonach.

- Wyspa Batmansó - ciągnął Westin. - Kiedyś, jak byłem mały, mieszkało tu dziewięć rodzin. Ponad trzydzieści osób.

W lecie dużo tu letników. Z nadejściem jesieni zostaje tylko jeden człowiek. Nazywa się Zetterquist, ma dziewięćdziesiąt trzy lata. Jeszcze sobie radzi zimą. Potrójny wdowiec. Takich jak on teraz ze świecą szukać. Może zostali zakazani przez Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej?

Wallander wybuchnął śmiechem na ten nieoczekiwany komentarz.

- Był rybakim?

- Kim on nie był. Kiedyś nawet pilotem portowym.

- Zna pan tu wszystkich? I oni pana?

- Tak to już jest. Jeśli się kiedyś nie zjawi na pomoście, to pójde do niego zobaczyć, czy nie jest chory. Albo czy się nie przewrócił. Wiejski listonosz - czy to na morzu, czy na lądzie - wie wszystko o mieszkańcach. Co robią, dokąd idą i kiedy wracają. Chcąc nie chcąc.

Przybił miękko do pomostu. Zarzucił cumę rufową i wystawił kartony. Zebrało się trochę ludzi. Wziął paczki z pocztą i ruszył w kierunku małej czerwonej budki. Wallander wyszedł na pomost. Leżała tam góra kamiennych ciężarków do sieci. W powietrzu czuło się chłód.

Westin wrócił po kilku minutach. Odbili od brzegu. Płynęli przez urozmaicony krajobraz szkieł. Przybijali z pocztą jeszcze dwa razy.

Teraz zbliżali się do Barnsö. Wallander sprawdził na mapie, że znajdowali się w zatoce Vikfjard. Wyspa Barnsö leżała zupełnie samotnie, jakby poza nawiasem wyspiarskiej wspólnoty.

- Zna pan oczywiście całą rodzinę Edengrenów - stwierdził Wallander, gdy powoli zbliżali się do pomostu.

- Całą to może nie. Z rodzicami niewiele miałem do czynienia. Jeśli mam być szczery, to uważam, że trochę zadzierają nosa. Ale Isa i Jórge często ze mną pływali.

- Wie pan pewnie, że Jórge nie żyje? - spytał ostrożnie Wallander.

- Słyszałem, że zginął za kierownicą - odparł Westin. - Od jego ojca. Płynęli kiedyś ze mną, jak im nawaliła łódź.

- To tragiczne, kiedy umierają dzieci - zauważył Wallander.

- Zawsze myślałem, że prędzej Isie może się coś przytrafić.

- Dlaczego?

- Prowadzi dość niebezpieczny tryb życia. Jeśli można wierzyć w to, co mówi.

- Zwierzała się panu? Czyżby obok posługi pocztowej pełnił pan i duszpasterską?

- Tego by tylko brakowało - odciął się Westin. - Mam syna w wieku Isy. Kilka lat temu chodzili ze sobą. Potem się to skończyło, jak to bywa w tym wieku.

Statek dobił do pomostu. Wallander wziął torbę i wyszedł na brzeg.

- Będę dzwonił - powiedział. - Po południu.

- O szóstej jem kolację - uprzedził Westin. - Może być przed albo po.

Wallander stał na pomoście, dopóki statek nie zniknął za cyplem. Myślał o tym, co Westin powiedział o śmierci Jórge-na. Rodzice nie podali prawdziwego powodu śmierci. Opiekacz do chleba w wannie zamienił się w wypadek samochodowy.

Wyspa była pokryta soczystą zielenią. Opoдал pomostu stał na wodzie hangar i tuż przy brzegu domek dla gości. Kształt miał podobny do altany w Skarby, gdzie Wallander znalazł nieprzytomną dziewczynę. Na brzegu, na kobyłkach, leżała przewrócona do góry dnem stara łódź. Czuło się słaby zapach smoły. Zbocze prowadzące do domu porośnięte było wysokimi dębami. Czerwony dwupiętrowy dom był stary, ale zadbane. Wallander wszedł na podwórze. Nasłuchiwał i rozglądał się naokoło. W zatoce widać było płynącą żaglówkę, z daleka dochodził słabnący dźwięk silnika. Wallander się poccił. Postawił torbę na ziemi, zdjął kurtkę i powiesił na metalowej poręczy frontowych schodów. Zasłony były spuszczone. Wszedł po schodach i zastukał do drzwi. Czekał. Zastukał mocniej. Nikt nie otwierał. Przekręcił gałkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Przez chwilę się wahał. Obszedł dom dookoła. Miał wrażenie,

że powtarza się wizyta w Skarby. Z tyłu były drzewa owocowe. Jabłonie, śliwy i czereśnie. Ogrodowe meble leżały złożone pod plastikową wiatą.

Z domu biegła ścieżka w głąb wyspy, w gęstwinę zieleni. Wallander ruszył w tamtym kierunku. Przeszedł jakieś sto metrów i obejrzał się za siebie. Domu już nie było widać. Otaczały go zarośla i drzewa. Kręta ścieżka prowadziła dalej w las. Odpędził od twarzy natrętą osę. Przechodził obok starej studni i piwnicy ziemnej. W skale, nad wejściem do piwnicy, wyryto liczbę „1897” - pewnie rok jej zbudowania. W drzwiach był klucz. Wallander otworzył drzwi. W środku było ciemno i chłodno. Pachniało ziemniakami. Zaczekał, aż zacznie coś rozróżniać w ciemności, i wszedł do środka. Pusto. Zamknął drzwi i ruszył dalej ścieżką. Biegła pod górę. Z lewej widział prześwitującą przez zieleń wodę. Zorientował się po słońcu, że kieruje się prosto na północ. Pokonał jakieś pół kilometra i szedł dalej. W lewo odchodziła wąska dróżka. Poszedł dalej prosto. Jeszcze kilkaset metrów i ścieżka się urywała. Wyrosły przed nim gładkie, błyszczące głazy, które przechodziły w skały. Dalej było otwarte morze. Wyspa się kończyła. Wszedł na skały. Nad głową skrzecząca mewa kołysała się na wietrze. Przysiadł na kamieniu i otarł pot z czoła. Żałował, że nie wziął z torby butelki z wodą. Odplynał myślami daleko od Svedberga i pozostałych.

Po chwili wstał i wrócił tą samą drogą. Skręcił w wąską boczną ścieżkę. Kończyła się malutkim naturalnym portem. Kilka pokrytych rdzą żelaznych pierścieni wystawało ze skały. Powierzchnia wody była gładka jak lustro. W morzu przeglądały się wysokie drzewa. Zawrócił w kierunku domu. Upewnił się, że miał włączoną komórkę. Potem wysikał się pod dębem. Usiadł na schodach z butelką wody. Miał zupełnie sucho w ustach. Kiedy odstawił butelkę, coś raptem przykuło jego uwagę. Rozejrzył się. Wokół była cisza. Nic się nie zmieniło. Zmarszczył czoło. Odezwał się wewnętrzny alarm. Wpatrywał się w torbę na pierwszym stopniu schodów. Był pewien, że postawił ją o stopień wyżej. Zszedł w dół po schodach i usiłował przywołać tamten moment. Pamiętał, że najpierw postawił torbę. Potem zdjął kurtkę i powiesił ją na poręczy. Na końcu postawił torbę na drugim stopniu.

Ktoś przestawił jego czarną torbę. Rozejrzył się uważnie naokoło, patrząc na drzewa i zarośla. Potem obrzucił spojrzeniem dom. Zasłony były wciąż opuszczone. Wszedł po schodach i sprawdził drzwi. Pomyślał o pomocy, do którego przybił Westin. O hangarze i altanie, podobnej do altany w Skarby. Zszedł ze schodów i ruszył w kierunku pomostu. Czarne drzwi od hangaru zamknięte były na drewnianą zasuwkę. Otworzył je. W środku był pusty basen. Cumy wskazywały, że trzymają tu dużą łódź. Na ścianach wisiały sieci i podrywki. Wyszedł i zaryglował drzwi. Część altany wychodziła w wodę. Na końcu wisiała złożona drabinka, po której się schodziło do kąpieli. Stał bez ruchu i patrzył na domek. Potem podszedł do drzwi i przekręcił gałkę. Było zamknięte. Lekko zastukał.

- Isa - powiedział. - Wiem, że tam jesteś.

Cofnął się o kilka kroków i czekał.

Kiedy otworzyła drzwi, z początku jej nie poznał. Długie włosy zawiązała w węzeł. Nosiła

czarny sportowy dres. Czuł na sobie jej nieprzyjazny wzrok. A może tylko załęknioty?

- Skąd pan wiedział, że tu jestem? Głos miała zachrypnięty, była napięta.

- Nie wiedziałem. Dopóki nie dowiedziałem się od ciebie.

- Ja nic nie mówiłam. I nie mógł mnie pan zobaczyć.

- Policjanci mają zły nawyk zwracania uwagi na szczegóły.

Na przykład, że ktoś ruszył torbę, a potem postawił ją w in

nym miejscu.

Wbiła w niego wzrok, jakby nie wiedziała, o czym mówi. Zauważył, że jest na bosaka.

- Chce mi się jeść - powiedziała.

- Mnie też.

- W domu jest jedzenie. - Ruszyła w tamtą stronę. - Po co pan tu przyjechał?

- Musieliśmy cię szukać, ponieważ zniknęłaś ze szpitala.

- Dlaczego?

- Nie muszę ci chyba przypominać, co się stało?

Szła w milczeniu. Wallander przyglądał się jej z boku. Była bardzo blada. Policzki miała zapadnięte jak u starego człowieka.

- Jak się tu dostałaś? - spytał.

- Zadzwoiłam do Lage, na wyspę Wettersó.

- Dlaczego nie płynęłaś z Westinem?

- Myślałam, że będziecie się o mnie wypytywać.

- Nie chciałaś, żebyśmy wiedzieli?

Nie odpowiedziała. Otworzyła drzwi kluczem. Przeszła od okna do okna, podciągając zasłony. Robiła to niedbale i byle jak, jakby chciała zniszczyć to, co ją otaczało. Wallander wszedł za nią do kuchni. Otworzyła kuchenne drzwi i podłączyła butlę z gazem. Wallander zauważył już wcześniej, że w domu nie było elektryczności. Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Jedna z niewielu rzeczy, jakie potrafię, to gotować - oświadczyła.

Wskazała na dużą zamrażarkę i lodówkę - obie na gaz.

- Pełno tu żarcia - powiedziała z pogardą w głosie. - Rodzice tak chcą. Płacą człowiekowi, żeby wymieniał butle z gazem. Ma tu być jedzenie, gdyby nagle zachciało im się przyjechać na parę dni. Czego zresztą nigdy nie robią.

- Twoi rodzice muszą mieć dużo pieniędzy. Czy rzeczywiście można się tak wzbogacić na gospodarstwie rolnym i wynajmowaniu koparek?

Prychnęła w odpowiedzi.

- Mama jest idiotką - powiedziała. - Głupia i ograniczona. To nie jej wina. Ale ojciec nie jest głupi. Jest bezzwzględny.

- Mów dalej.

- Nie teraz. Przy jedzeniu.

Wallander zrozumiał, że ma wyjść z kuchni. Wyszedł przed dom i zadzwonił do Ystadu.

Złapał Ann-Britt na komórce.

- Miałem rację. Isa Edengren jest tutaj, tak jak przypuszczaliśmy.

- Ty przypuszczałaś - poprawiła go. - Prawdę mówiąc, nie byliśmy przekonani.

- Czasem i mnie się coś uda. Myślę, że wrócimy do Ystadu dziś wieczór lub w nocy.

- Rozmawiałaś z nią?

- Jeszcze nie.

Zdała mu sprawę z aktualnej sytuacji. Zgłosiło się kilka osób, które twierdzą, że rozpoznały Louise na zdjęciu. Sprawdzali teraz ich wiarygodność. Miała zadzwonić później.

Wallander wrócił do domu. Długo przyglądał się pięknemu modelowi starego żaglowca.

Dochodził go zapach jedzenia.

Był bardzo głodny. Nie jadł od czasu, gdy zatrzymał się przy drodze. Układał sobie w głowie pytania do Isy. Czego musi się dowiedzieć przede wszystkim?

Ciągle powracał do punktu wyjścia. Musi wyciągnąć z niej coś, co może wiedzieć, nie zdając sobie sprawy.

Nakryła do stołu na oszklonej werandzie ciągnącej się wzdłuż bocznej ściany domu. Spytała, co chce pić. Pił wodę, ona wino. Wallander miał nadzieję, że się nie upije. Bo nic nie będzie z rozmowy, na którą liczył. Ale wypila tylko jeden kieliszek. Jedli w milczeniu. Po jedzeniu zrobiła kawę. Pokręciła głową, kiedy chciał sprzątnąć ze stołu. W rogu werandy stała mała sofa i fotele. Przez okno widać było pomost. Samotna żagłówka przepłynęła powoli ze zwisającymi żaglami.

- Pięknie tu - zauważył. - Zupełnie nie znam tej części Szwecji.

- Kupili dom blisko trzydzieści lat temu - zaczęła mówić.

- Twierdzą, że tu mnie splodzili. Urodziłam się w lutym. Na wet się zgadza. Kupili od starszego małżeństwa, które mieszkało tu całe życie. Nie wiem, jak ojciec się dowiedział. Ale przyjechał tu pewnego dnia z walizką pełną stukoronowych banknotów. Z pewnością zrobiło to na nich wrażenie, co nie znaczy, że była to oszałamiająca suma. Staruszkowie nigdy wcześniej nie widzieli na oczy tyle pieniędzy. Przekonanie ich zajęło kilka miesięcy. Potem podpisali umowę. Suma miała pozostać tajna. Ale ojciec na pewno dał za to grosze.

- Sądziś, że ich oszukał?

- Sądzę, że zawsze był draniem.

- To, że tanio kupił, nie znaczy, że musi być draniem. Ma głowę do interesów.

- Mój ojciec robi interesy na całym świecie. Zajmował się przemysłem diamentów i kości słoniowej w Afryce. Nikt dokładnie nie wie, co robił. Teraz czasami podejmuje w Skarby Rosjan. Nikt mi nie wmówi, że to są legalne interesy.

- O ile mi wiadomo, nigdy nie miał do czynienia z policją

- stwierdził Wallander.

- Jest sprytny - wyjaśniła. - I wytrwały. Wiele mu można zarzucić, ale nie lenstwo. Ludzie bez skrupułów nie mają czasu na odpoczynek.

Wallander postawił na stole filiżankę z kawą.

- Zostawmy twego ojca - zaproponował. - Lepiej porozmawiajmy o tobie. Po to tu przyjechałem. Podróż była długa. Wieczorem pojedziemy z powrotem.

- Skąd pan wie, że pojedę?

Długo na nią patrzył, zanim odpowiedział.

- Zamordowano troje twoich najbliższych przyjaciół. Gdyby nie to, że zachorowałaś, byłabyś tam z nimi. I ty, i ja rozumiemy, co to oznacza.

Skuliła się w krześle. Widać było, że się boi.

- Nie wiemy, dlaczego to się wydarzyło, i dlatego musimy zachować ostrożność.

Nareszcie zrozumiała, co chciał powiedzieć.

- Czy coś mi grozi?

- Musimy się z tym liczyć. Nie znamy motywu. Bierzymy pod uwagę wszystkie możliwości.

- Dlaczego ktoś miałby mnie zabić?

- A dlaczego chciał zabić twoich przyjaciół? Martina, Astrid i Lenę?

Potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem tego.

Wallander przysunął się do niej z krzesłem.

- Ty jedna możesz nam pomóc - powiedział. - Musimy złapać tego, kto to zrobił. Ale żeby móc go złapać, musimy znać powód. Mamy tylko ciebie. Tylko ty możesz nam pomóc.

- Przecież to wszystko jest niezrozumiałe.

- Musisz się zastanowić - powiedział Wallander. - Cofnij się w czasie. Kto i dlaczego chciał was zabić jako grupę? Co was łączyło? Gdzieś jest odpowiedź. Musi być.

Szybko zmienił temat. Zaczęła go wreszcie słuchać. Chciał skorzystać z okazji.

- Musisz odpowiadać na pytania - ciągnął dalej. - I mówić prawdę. Widzę, kiedy kłamiesz. Nie chcę tego.

- Dlaczego miałabym kłamać?

- Kiedy cię znalazłem, byłaś umierająca - powiedział. - Dlaczego chciałaś się zabić? Czy wiedziałaś już, co spotkało twoich przyjaciół?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Skąd miałam wiedzieć? Wiedziałam tyle, co inni. Wierzył, że mówiła prawdę.

- Dlaczego chciałaś odebrać sobie życie?

- Nie chciałam dłużej żyć. Czy jest jakiś inny powód? Rodzice zniszczyli mi życie. Tak samo jak życie Jórgena. Po prostu nie chciałam dłużej żyć.

Wallander czekał. Miał nadzieję na dalszy ciąg, ale ten nie nastąpił. Wrócił do wydarzeń w rezerwacie. Przez blisko trzy godziny przemierzał z Isą szlaki minionych wydarzeń, prowadząc ją za rękę. Nie było najmniejszego kamienia na drodze, pod który by nie zajrzał, i to po kilka razy. Cofał się najdalej jak mógł. Kiedy poznała Lenę Norman? Rok, miesiąc, dzień? W jakich okolicznościach? Dlaczego się zaprzyjaźniły? Jak zaprzyjaźniła się z Martinem Boge? Kiedy odpowiadała, że nie pamięta albo nie jest pewna, przystawał i zaczynał od nowa. Niepewność i niepamięć zawsze można pokonać. Wymaga to wyłącznie cierpliwości. Przez cały czas nalegał, żeby sobie przypomniawszy, czy nie było jeszcze kogoś. Kogoś, kogo przeoczyła. - Cień w narożniku - mówił. - Nie było żadnego cienia w narożniku? Kogoś, o kim zapomniawszy? Czy wydarzyło się coś zaskakującego, nieoczekiwanego? - Po jakimś czasie zaczęła śledzić tok jego myśli.

Było po piątej, kiedy zdecydowali, że będą nocować na wyspie. Wallander zawiadomił Westina. Obiecał odebrać ich nazajutrz. O Isę w ogóle nie zapytał. Wallander odniósł wrażenie, że wiedział o jej pobycie na Barnsö. Poszli na spacer i po drodze kontynuowali rozmowę. Od czasu do czasu Isa przerywała, pokazując miejsca, gdzie bawiła się jako dziecko. Doszli aż do wychodzących w morze skał. Ku jego zdumieniu, pokazała mu załomek w skale, gdzie któregoś lata straciła dziewictwo. Nie powiedziała z kim.

Zmierzchało już, kiedy wrócili do domu. Isa pozapalała lampy. Wallander zadzwonił do Ystadu i rozmawiał z Martinssonem. Nie było nic nowego. W dalszym ciągu nie udało się zidentyfikować Louise.

Poinformował go, że na noc zostanie na Barnsö, a nazajutrz wróci z Isą do Ystadu.

Kontynuowali rozmowę, robiąc od czasu do czasu przerwy na herbatę z kanapką. Albo żeby odpocząć. Wychodził na zewnątrz i sikał w ciemności. W panującej dookoła ciszy słychać było jedynie szum drzew. Potem znów podejmowali rozmowę. Stopniowo zaczynał rozumieć ich zabawy. Gry fabularne. Stroje, przyjęcia, przenoszenie się z jednej epoki do drugiej. Doszli wreszcie do przyjęcia, które się okazało ostatnie. Wallander poruszał się bardzo powoli. Czy ktoś był wtajemniczony w ich plany? Nikt? To niemożliwe. Ktoś musiał wiedzieć.

- Zaczniemy od początku. Jeszcze raz. Kiedy postanowiliście odtworzyć przyjęcie z czasów Bellmana?

Było wpół do drugiej, kiedy przerwali. Wallanderowi z wyczerpania zbierało się na mdłości. Nie znalazł tropu, na który liczył. Będą musieli kontynuować następnego dnia. Czekająca ich długa podróż samochodem do Ystadu. Jeszcze ciągle się nie poddawał.

Isa zaprowadziła go do sypialni na drugim piętrze. Sama spała na parterze. Wręczyła mu lampę naftową i życzyła dobrej nocy. Pościelił sobie i uchylił okno. Za oknem była nieprzenikniona noc.

Położył się i zdmuchnął płomień lampy. Z kuchni dochodziło postukiwanie. Potem odgłos zamykanych drzwi. I cisza.

Zasnął natychmiast.

Żadne z nich nie słyszało, kiedy późnym wieczorem łódź z wygaszonymi światłami przepłynęła zatokę Vikfjarden. Ani kiedy bezszelestnie, z wyłączonym silnikiem, wpłynęła do naturalnego portu po zachodniej stronie Barnsö.

Była gdzieś blisko. W sen wdarł się jej krzyk. Otworzył oczy i nie wiedział, gdzie jest. Wokół panowała ciemność. Czuł w powietrzu zapach lampy naftowej. Więc to nie była Linda. Serce waliło mu w piersiach. Przez uchylone okno słychać było lekki szum drzew. Poza tym cisza. Nasłuchiwał. Krzyk się nie powtórzył. Może mu się przyśniło? Ostrożnie usiadł na łóżku. Po ciemku szukał zapalek. Żadnego dźwięku. Zapalił lampę i pośpiesznie się ubrał. Wkładał właśnie drugi but, kiedy usłyszał stuk. Początkowo sądził, że to z zewnątrz. Coś waliło o ścianę domu. Tak jakby sznurek do bielizny obijał się o rynnę. Wstał i z butem w ręku podszedł do drzwi. Ostrożnie je uchylił. Dźwięk stał się wyraźniejszy. Dochodził z kuchni. Teraz zrozumiał. Drzwi od kuchennego wyjścia trzaskały o futrynę. Strach powrócił ze wzmożoną siłą. To nie było złudzenie ani sen. Krzyk był prawdziwy.

Zamiast włożyć drugi but, zrzucił ten, który miał na nodze. Wszedł na schody z lampą w ręku. W połowie schodów przystanął i nasłuchiwał. Płomień lampy rzucał migoczący cień na ścianę. Drżała mu ręka. Wiedział, że nie ma czym się bronić. Jednocześnie starał się zebrać myśli. Na wyspie z pewnością nie ma się czego obawiać. Poza nimi nikogo tu nie było. Coś mu się musiało przyśnić. Może to krzyk nocnego ptaka za oknem. Była też inna możliwość. Że to Isa Edengren miała zły sen, a nie on.

Dotarł na parter. Sypialnia Isy znajdowała się obok kuchni. Znowu przystanął i nadstawił uszu. Zastukał do drzwi. Nie odpowiadała. Wyteżył słuch. Jest za cicho, pomyślał. Nacisnął klamkę - zamknięte. Teraz już się nie wahał. Łomotał do drzwi i szarpał za klamkę. Wszedł do kuchni. Drzwi do ogrodu były uchylone. Zamknął je i zaczął przetrząsać szuflady w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia. Znalazł gruby śrubokręt i wyważył drzwi. Łóżko było puste. Okno otwarte i niezablokowane. Zachodził w głowę, co się mogło stać. Przypomniawszy sobie, że w kuchni widział dużą latarkę. Przyniósł ją razem z młotkiem, który również znalazł w szufladzie. Otworzył tylne drzwi i poświecił latarką.

Dopiero gdy wyszedł z domu, zorientował się, że jest na bosaka. W pobliżu przeleciał ptak. Wiatr potrząsał koronami drzew. Zawołał Isę - nikt nie odpowiadał. Podszedł do okna i poświecił na ziemię. Ujrzał ślady stóp. Zbyt niewyraźne, by można po nich iść. Raz jeszcze oświetlił latarką ciemności i krzyknął jej imię. Bez skutku. Waliło mu serce. Ogarnął go strach. Wrócił do kuchennych drzwi i poświecił na zamek. Tak jak przypuszczał, zamek był wyłamany. Ogarnęło go przerażenie. Odwrócił się, podnosząc młotek do góry. Nikogo za nim nie było. Wszedł z powrotem do domu. Telefon leżał na stoliku obok jego łóżka. Próbował odtworzyć przebieg wydarzeń. Ktoś włamał się kuchennymi drzwiami. Isa się obudziła. Słyszając, że ktoś próbuje wejść do jej sypialni, uciekła przez okno. Żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło mu do głowy. Spojrzał na zegarek. Była za kwadrans trzecia. Wybrał domowy numer Martinssona. Martinsson odebrał po drugim sygnale. Wallander wiedział, że ma aparat koło łóżka.

- Mówi Kurt. Przepraszam, że cię budzę.

- Co się dzieje?

Martinsson jeszcze się nie rozbudził.

- Wstań - powiedział Wallander. - Przemyj twarz. Zadzwoń za trzy minuty.

Martinsson usiłował protestować. Wallander się wyłączył i spojrział na zegarek. Zadzwoił dokładnie trzy minuty później. Obawiał się, że bateria się skończy. Nie miał ze sobą zapasowej.

- Posłuchaj uważnie - powiedział. - Nie mogę długo rozmawiać. Może wyciągnąć baterię. Masz kartkę i ołówek?

Martinsson był teraz zupełnie przytomny.

- Już piszę.

- Coś tu się stało. Nie wiem co. Ale obudził mnie krzyk Isy. Teraz nie ma jej w domu. Drzwi od strony ogrodu mają wyłamany zamek. Ktoś tu jest oprócz nas. Ten ktoś jej szuka. Być może nie wie, że ja tu jestem. Boję się o nią. Grób w rezerwacie wykopany był na cztery osoby.

- Co mam robić?

- Dowiedz się o numer straży przybrzeżnej w Fyrudden. I czekaj na mój telefon.

- Co zamierzasz?

- Szukać jej.

- Jeśli na wyspie jest bandyta, to może być niebezpieczne. Musisz ściągnąć posiłki.

- Niby skąd? Z Norrkópingu? To będzie za długo trwało.

- Nie możesz przecież sam przeczesać całej wyspy.

- Nie jest taka duża. Kończę, bo muszę oszczędzać baterię.

- Zrobię, o co prosisz. Bądź ostrożny.

Wallander włożył buty i wsunął telefon do kieszeni. Zatknął młotek za pas i wyszedł z domu. Skierował się najpierw do pomostu. Poświecił na czarną powierzchnię wody. Żadnej łodzi. Nie przestawał wołać Isy. Hangar i altana były puste. Pobiegł z powrotem do ścieżki na tyłach domu. W silnym świetle latarki krzewy i drzewa lśniły białym blaskiem. Ziemna piwnica była pusta.

Wołając, szedł przed siebie. Przystanął w miejscu, gdzie ścieżka się rozgałęziała i wąska odnoga prowadziła do naturalnego portu. Nie wiedział, w którą stronę się kierować. Poświecił na ziemię. Nie było śladów. Poszedł w stronę północnego cypla. Zziajany wszedł na skały. Zimny wiatr od morza sieknął go w twarz. Skierował snop światła na pobliskie skały. Ujrzał parę połyskujących oczu. Małutkie zwierzątko czmychnęło w skalną szczelinę. Norka. Dotarł do urwistego brzegu, oświetlając po drodze załamki skał. Nawoływał. Zawrócił z powrotem na ścieżkę.

Coś go zatrzymało. Nasłuchiwał. Fale z pluskiem uderzały o brzeg. Wyłowił jakiś inny dźwięk. Z początku nie był pewien. Po chwili uświadomił sobie, że to dźwięk silnika. Dochodził od zachodu. Naturalny port, pomyślał, powinienem był pójść tamtą ścieżką. Puścił się biegiem, stanął tuż przy brzegu. Ostrożnie przecisnął się przez zarośla, kierując światło latarki na wodę. Nic nie było widać. Odgłos silnika ucichł. Przed chwilą odpłynęła łódź, pomyślał. Chwycił go strach. Co się stało z Isą? Szedł ścieżką i zastanawiał się, jak ma dalej szukać. Czy straż przybrzeżna ma psy? Mimo że wyspa była mała, musiałby szukać do późnego rana. Usiłował wyobrazić sobie jej postępowanie. W panice uciekła przez okno. Ten, kto włamywał się do sypialni, blokowal drogę na górę, do jego pokoju. Wskoczyła przez okno i pobiegła prosto w ciemność. Nawet nie miała ze sobą latarki. Wallander doszedł do miejsca, gdzie obie ścieżki się spotykały.

Nagle go olśniło. Podczas spaceru po wyspie opowiadała o miejscu, gdzie jako dziecko bawiła się z bratem. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie się znajdowali, kiedy wskazała na najwyższy punkt na wyspie. Było to gdzieś w pobliżu domu, między ziemną piwnicą a miejscem, w którym stał w tej chwili. Pamiętał, że ścieżka prowadziła między dwoma krzakami jałowca. Tam przystanęła i pokazała wzniesienie. Przyśpieszył kroku. Doszedł do krzaków jałowca. Poświecił w stronę zbocza. Zszedł ze ścieżki. Poważone drzewa i chaszczce tarasowały drogę. Poruszał się powoli. Wszędzie leżały rozrzucone gałęzi. Świecił w szpary między nimi. Zbliżał się do skalnej ściany. Przez wysokie kępy paproci dostrzegł nagle głęboką skalną szczelinę. Ostrożnie podszedł bliżej, odchylił paprocie i poświecił latarką do środka.

Siedziała skulona, opierając się o ścianę. W samej koszuli nocnej. Głowę miała przechyloną na ramię, rękami obejmowała podciągnięte kolana. Zdawało się, że śpi. Ale od razu wiedział, że nie żyje. Zabita strzałem w głowę. Wallander osunął się na ziemię. Krew uderzyła mu do głowy. Zdawało mu się, że umiera. I było mu wszystko jedno. Wszystko na próżno. Nie udało mu się jej uchronić. Nawet miejsce, gdzie bawiła się jako dziecko, nie udzieliło jej schronienia. Nie słyszał strzału. Broń musiała mieć tłumik.

Wstał i oparł się o drzewo. Z kieszeni na piersi wypadł mu telefon. Podniósł go i słaniając się, wrócił do domu. Zadzwoił do Martinssona.

- Przyszedłem za późno - oznajmił.

- Za późno na co?

- Isa nie żyje. Zastrzelona, tak jak tamci.

Wydawało się, że Martinsson nie rozumie. Wallander powtórzył.

- Boże drogi. Kto ją zabił?

- Człowiek z łodzi. Dzwon na policję w Norrkópingu. Muszą zarządzić mobilizację. Zawiadom straż przybrzeżną.

Martinsson przyrzekł się wszystkim zająć.

- Obudź pozostałych - kontynuował. - I Lisę Holgersson.

Kończy mi się bateria. Zadzwoię, jak nadejdzie pomoc.

Zakończyli rozmowę. Wallander siedział w kuchni na krześle. Światło latarki padało na makatkę wiszącą na ścianie. „Nie ma jak w domu” - głosiły wyhaftowane litery. Po chwili zmusił się do wstania i poszedł wziąć koc z sypialni Isy. Znowu wyruszył w ciemność. Kiedy dotarł do otworu w skale, otulił ją kocem.

Usiadł na kamieniu, obok kępy paproci, która zasłaniała szczelinę. Było dwadzieścia po trzeciej.

O świcie zerwał się wiatr. Wallander usłyszał zbliżającą się łódź straży przybrzeżnej i zszedł w dół na pomost. Policjanci mieli ścięte twarze i niechętny wzrok. Rozumiał ich. Co policjant ze Skanii ma do roboty na ich wyspie? Co innego, gdyby był letnikiem. Zaprowadził ich do szczeliny w skale. Gdy zdejmowali koc, odwrócił głowę. W tym momencie policjant z Norrkópingu podszedł do niego i zażądał policyjnej legitymacji. Wallander nie posiadał się ze złości. Zupełnie stracił panowanie. Wyszarpnął portfel z wewnętrznej kieszeni, cisnął legitymację pod nogi policjanta i odszedł. Nagła złość natychmiast mu przeszła i na jej miejsce pojawiło się obojętne zmęczenie. Usiadł na schodach przed domem, z butelką wody w ręku.

W tej pozycji zastał go Harry Lundström. Był świadkiem wybuchu Wallandera. Żądanie legitymacji uważał za grubą nietakt. Widzieli przecież, że mają przed sobą kolegę po fachu. Zaalarmowała ich komenda z Ystadu. Dostali konkretną wiadomość. Na wyspie Barnsö znajduje się komisarz Kurt Wallander z wydziału zabójstw. Znalazł tam martwą dziewczynę. Prosi o posiłki.

Harry Lundström miał pięćdziesiąt siedem lat. Pochodził z Norrkópingu i wszyscy, poza nim samym, uważali go za najlepszego policjanta w wydziale kryminalnym miejskiej komendy. Rozumiał dobrze wybuch Wallandera. Nie wiedział, co zaszło na Barnsö. Z przyczyn oczywistych informacja z Ystadu była niepełna. Domyślał się, że ma to związek z zamordowaniem policjanta i trójki młodych ludzi. Poza tym niewiele wiedział.

Harry Lundström potrafił się wczuć w sytuację. Rozumiał, co przeżył Wallander na widok przycupniętej w skalnym otworze dziewczyny w nocnej koszuli. Z kulą w czole.

Odczekał kilka minut, a potem ruszył za Wallanderem. Przysiadł obok niego na schodach.

- Porządnie się wygłupił z tym legitymowaniem - powie dział.

Wyciągnął do niego rękę i przedstawił się. Wallander od razu poczuł do niego zaufanie.

- Ty odpowiadasz za akcję? Harry Lundström skinął głową.

- Wejdźmy do środka - zaproponował Wallander. Usiadł w salonie. Wallander pożyczył od niego komórkę

i zadzwonił do Martinssona, prosząc go o jak najszybsze zawiadomienie rodziców Isy. Potem przez blisko godzinę wprowadzał Lundströma w okoliczności śmierci dziewczyny. Lundström słuchał, nie notując. Od czasu do czasu policjanci wchodzili i przerywali pytaniami. Lundström

kierował działaniami, wydając proste i konkretne instrukcje. Kiedy Wallander skończył, zadał tylko kilka pytań. Wallander pomyślał, że sam zadawałby podobne.

Była już siódma. Widział przez okno kołyszącą się przy pomoście łódź straży przybrzeżnej.

- Muszę pójść na górę - oznajmił Lundstróm. - Możesz tu zostać, jeśli chcesz. Dosyć się napatrzyłeś.

Silnie wiało. Wallander dygotał.

- Jesienny wiatr - stwierdził Lundstróm. - Pogoda się zmienia.

- Nie znam tych okolic - powiedział Wallander. - Bardzo tu pięknie.

- W młodości grałem w piłkę ręczną - odrzekł Lundstróm. - Miałem na ścianie kolorowe zdjęcie drużyny z Ystadu. Ale prawie nie znam Skanii.

Byli na ścieżce. Z daleka dochodziło szczekanie psa.

- Poleciłem przeczesać wyspę - wyjaśnił Lundstróm. Na wypadek, gdyby sprawca gdzieś tu był.

- Przyplłynął łodzią - powiedział Wallander. - Przybił do brzegu po zachodniej stronie.

- Gdybyśmy wcześniej wiedzieli, obstawilibyśmy pobliskie porty - stwierdził Lundstróm. -

Teraz już za późno.

- Ktoś mógł coś zauważyć - podsunął Wallander.

- Pracujemy nad tym - odparł Lundstróm. - Przyszło mi do głowy, że ktoś może zwrócił uwagę na łódź, która w środku nocy przybija gdzieś do pomostu.

Wallander czekał, podczas gdy Lundstróm poszedł pod skałę porozmawiać z kolegami. Na chwilę zniknął za krzakami paproci. Wallanderowi zbierało się na mdłości. Chciał jak najszybciej wydostać się z wyspy. Miał dojmujące poczucie winy. Powinni byli opuścić wyspę poprzedniego wieczoru. Mógł przewidzieć, że pozostanie na noc grozi niebezpieczeństwem. Najwyraźniej mieli do czynienia ze sprawcą, który o wszystkim wiedział. Błędem było również pozwolić jej spać na dole.

Zdawał sobie sprawę, że samooskarżenia nie mają sensu. Ale nie mógł się powstrzymać.

Lundstróm wyłonił się zza paproci. Z przeciwnej strony nadszedł policjant z psem. Lundstróm go zatrzymał.

- Masz coś?

- Na wyspie nikogo nie ma - odparł policjant. - Złapała trop w kierunku zatoki po zachodniej stronie. Ale tam się skończył.

Lundstróm spojrział na Wallandera.

- Miałeś rację - przyznał. - Przyplłynął i odpłynął łodzią.

Zawrócili w stronę domu. Wallander myślał o słowach Lundstróma.

- Łódź jest ważna. Skąd ją miał?

- Też się zastanawiam. Wątpię, żeby to był ktoś z okolicy.

Powstaje pytanie, skąd miał łódź.

- Ukradł - odparł Wallander. Lundstróm przystanął na ścieżce.

- A jak tu trafił? W środku nocy?

- Może znał Barnsó. Poza tym są mapy.

- Myślisz, że kiedyś tu był?

- Niewykluczone. Lundstróm ruszył dalej.

- Ukradł albo „pożyczył” łódź - powiedział. - I to gdzieś w pobliżu. Mamy do wyboru trzy porty: Fyrudden, Snackvarp lub Gryt. Chyba że zwinął łódkę z prywatnego pomostu.

- Nie miał dużo czasu - zauważył Wallander. - Isa uciekła ze szpitala wczoraj rano.

- Najłatwiej znaleźć złodziei, którzy się śpieszą - stwierdził Lundstróm.

Doszli do pomostu. Lundström zamienił kilka słów z policjantem, który poprawiał cumę. Potem stali za hangarem, osłonięci przed wiatrem.

- Właściwie nie masz co tu siedzieć - zasugerował

Lundström. - Pewnie z chęcią pojechałbyś do domu.

Wallander poczuł nagle, że musi się wygadać.

- To nie powinno było się zdarzyć. Czuję się winny. Należało wyjechać wczoraj. A teraz Isa nie żyje.

- Sam postąpiłbym podobnie - powiedział Lundberg. - Uciekła tutaj. I tu ci się udało nawiązać z nią kontakt. Nie mogłeś wiedzieć, co się stanie.

Wallander potrząsnął głową.

- Powinienem być zdawać sobie sprawę, że grozi jej nie bezpieczeństwo.

Wrócili do domu. Lundström przyrzekł osobiście dopilnować, żeby współpraca między Ystadem i Norrköpिंगiem przebiegała bez tarć.

- Ten i ów będzie pewnie narzekał, że nie zostaliśmy po informowani o twoim przyjeździe. Postaram się ich uciszyć.

Wallander poszedł po torbę. Zeszli na pomost. Łódź straży przybrzeżnej miała go odstawić na ład. Lundström patrzył za nimi z pomostu. Wallander pomachał ręką na pożegnanie.

Wrzucił torbę do samochodu i poszedł zapłacić za parking. Kiedy wyszedł na nabrzeże, łódź Westina właśnie wchodziła do portu. Wallander przystanął na falochronie i czekał. Westin wyszedł na brzeg. Miał poważny wyraz twarzy.

- Pewnie już pan słyszał - powiedział Wallander.

- Isa nie żyje.

- To się stało w nocy. Obudził mnie jej krzyk. Ale było za późno.

Westin przyglądał mu się wyczekująco.

- Nie stałoby się tak, gdybyście wrócili wczoraj?

Zaczyna się, pomyślał Wallander. Pierwsze oskarżenie.

Właściwie nie mam nic na swoją obronę. Wyciągnął portfel.

- Ile jestem winien za wczoraj?

- Nic - odparł Westin i zawrócił do łodzi.

W tej samej chwili Wallander przypomniał sobie, że ma pytanie.

- Chwileczkę - powiedział.

Westin przystanął i odwrócił się.

- Gdzieś między dziewiętnastym a dwudziestym drugim lipca miał pan pasażera na Barnsö.

- W lipcu codziennie wożę ludzi.

- Chodzi o policjanta. Nazywał się Karl Evert Svedberg. Jego skański akcent był silniejszy od mojego. Może go pan pamiętać?

- Był w mundurze?

- Wątpię.

- Jak wyglądał?

- Prawie łysy. Mojego wzrostu. Mocno zbudowany. Ale nie tęgi.

Westin się zastanowił.

- Między dziewiętnastym a dwudziestym drugim lipca?

- Prawdopodobnie płynął dziewiętnastego po południu lub wieczorem. Nie wiem, kiedy wracał. Ale najpóźniej dwudziestego drugiego.

- Muszę sprawdzić - powiedział Westin. - Mogę mieć zapisane.

Podeszli do statku. Westin wyciągnął spod mapy notes. Wyszedł z kokpitu.

- Tu nie ma - stwierdził. - Wydaje mi się, że pamiętam, ale było dużo ludzi. Mogę go mylić z kim innym.

- Ma pan faks? Mogę przefaksować zdjęcie.

- Faks jest na poczcie.

Wallanderowi przyszło coś do głowy.

- Mógł go pan widzieć na zdjęciu. Albo w telewizji. To ten, którego zamordowano kilka dni temu w Ystadzie.

Westin zmarszczył czoło.

- Coś na ten temat słyszałem. Ale zdjęcia nie pamiętam.

- W takim razie przefaksujemy - zdecydował Wallander. - Poproszę o numer.

Westin zanotował numer w kalendarzyku i wyrwał kartkę.

- Nie przypomina pan sobie, czy Isa w tym czasie była na Barnsö?

- Nie. Ale tego lata dość długo tu siedziała.

- Więc mogła być?

-Tak.

Wallander wyjechał z portu. Zatrzymał się w Valdemarsvi-ku, żeby nabrać benzyny. Potem jechał dalej wzdłuż wybrzeża. Niebo było bezchmurne. Opuścił szybę. Przed Vaster-vikiem poczuł, że musi zrobić przerwę, żeby coś zjeść i odpocząć. Tuż przed zjazdem na Vastervik wstąpił do baru przy szosie. Zamówił omlet, wodę mineralną i kawę. Kobieta przyjmująca zamówienie uśmiechnęła się.

- W pana wieku nie powinno się zarywać nocy - odezwała się przyjaźnie.

Wallander spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Aż tak widać?

Pochyliła się i wyciągnęła torebkę spod lady. Wyłowiła z niej lusterko i podała Wallanderowi. Miała rację. Był blady, miał podkrążone oczy i potargane włosy.

- Ma pani rację - przyznał. - Zjem omlet i zdrzemnę się chwilę w samochodzie.

Wyszedł na zewnątrz i usiadł w cieniu parasola. Podała mu tacę z jedzeniem.

- Mam pokój na zapleczu, za kuchnią. Jest tam łóżko. Może pan z niego skorzystać - zaproponowała.

Odeszła, nie czekając na odpowiedź. Popatrzył za nią ze zdziwieniem.

Po jedzeniu podszedł do drzwi prowadzących do kuchni. Były otwarte.

- Czy oferta jest nadal aktualna? - spytał.

- Nie mam zwyczaju zmieniać zdania.

Zaprowadziła go do pokoju z łóżkiem. Było to zwykłe po lowe łóżko, przykryte narzutą.

- Lepsze to niż tylne siedzenie w samochodzie - stwierdziła. - Chociaż policjanci potrafią spać, gdzie popadnie.

- Skąd pani wie, że jestem policjantem?

- Zobaczyłam legitymację w portfelu. Przy płaceniu. Mąż był policjantem. Poznaje legitymację.

- Nazywam się Kurt. Kurt Wallander.

- Erika. Przyjemnych snów.

Wallander położył się. Był cały obolały. W głowie miał pustkę. Pomyślał, że powinien zadzwonić do Ystadu i uprzedzić, że jest w drodze. Nie był w stanie. Przymknął oczy i zapadł w sen.

Kiedy się obudził, nie wiedział, gdzie jest. Spojrzał na zegarek. Była siódma. Poderwał się gwałtownie. Spał ponad pięć godzin. Zaklął i chwycił za telefon. Zadzwonił do Ystadu. Martinsson nie odpowiadał. Zadzwonił do Hanssona.

- Gdzie się, do cholery, podziewasz? Szukaliśmy cię cały dzień. Dlaczego masz wyłączony telefon?

- Widocznie bateria nawala. Stało się coś?

- Zastanawialiśmy się, co się z tobą dzieje, nic więcej.
- Przyjadę jak najszybciej. Około jedenastej powinienem być na miejscu.
Szybko zakończył rozmowę. Erika pojawiła się w drzwiach. Drgnął na jej widok.
- Potrzebny był panu sen.
- Wystarczyłaby godzina. Zapomniałem poprosić, żeby mnie pani obudziła.
- Jest kawa. Ale nic ciepłego do jedzenia. Kuchnia już zamknięta.
- Czekala pani, aż się obudzę?
- Zawsze tu jest coś do roboty.
Weszli do pustej sali. Postawiła przed nim kawę i talerz z kanapkami. Usiadła naprzeciwko.
- Słyszałam w radiu o dziewczynie zamordowanej na archipelagu. I policjancie ze Skanii, który ją znalazł. To pan?
- Tak. Ale nie chciałbym o tym mówić. Więc pani mąż był policjantem?
- Mieszkaliśmy w Kalmarze. Po rozwodzie przeniosłam się tutaj i kupiłam kawiarnię.
Opowiadała o trudnych początkach, kiedy nie szło najlepiej. Ale teraz jakby ruszyło.
Wallander słuchał. Ale przede wszystkim się jej przyglądał. Najchętniej by jej dotknął, żeby powrócić do otaczającej rzeczywistości.
Został jeszcze pół godziny. Potem zapłacił i ruszył do samochodu. Odprowadziła go.
- Naprawdę nie wiem, jak dziękować - powiedział.
- Czy zawsze trzeba dziękować? - spytała. - Proszę jechać ostrożnie.
Około jedenastej był w Ystadzie. Pojechał prosto do komendy. Koledzy pracowali pełną parą.
Zebrał wszystkich w największej sali. Był również Nyberg i Lisa Holgersson. Po drodze z Vasterviku Wallander ponownie przeanalizował wszystkie wydarzenia, poczynając od nocy, kiedy się obudził, nękany niepokojem o Svedberga. Nie opuszczało go poczucie, że zawiódł Isę Edengren. Narastała w nim złość. Z wściekłości dociskał gaz. W pewnym momencie przekroczył sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.
Był wściekły nie tylko z powodu bezsensownej zbrodni. Dręczyło go poczucie klęski. Nadal nie wiedzieli, w którą stronę się zwrócić. Teraz doszło jeszcze zabójstwo Isy. Na jego oczach.
Wallander zrelacjonował wydarzenia na wyspie. Potem odpowiadał na pytania i wysłuchał sprawozdania z sytuacji w Ystadzie. Zrobili krótkie podsumowanie. Minęła północ.
- Jutro zaczniemy wszystko od początku - zakończył. -
Zacniemy od początku i będziemy się posuwać do przodu.
Prędzej czy później schwytemy tego obłąkańca. Musimy go schwytać. Teraz najlepiej będzie, jak pójdziemy spać. Czekaj nas jeszcze więcej pracy niż dotychczas.
Wallander umilkł. Martinsson chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.
Po zebraniu Wallander pierwszy wyszedł z sali. Zamknął się w swoim biurze. Wszyscy zrozumieli, że chce być sam.
Usiadł w fotelu i myślał o tym, czego nie powiedział na zebraniu. Zostawił to na następny dzień.
Isa Edengren nie żyła. Czy to znaczyło, że morderca zrobił swoje? A jeśli znów zaatakuje? Ani Wallander, ani nikt inny nie znali odpowiedzi.

* * *

CZEŚĆ II

20

W czwartek rano, piętnastego sierpnia, Wallander zjawił się wreszcie u doktora Góranssona. Lekarz przyjął go od razu, chociaż nie był umówiony. Pomimo zmęczenia i źle przespanej nocy nie wziął rano samochodu. Wiedział, że zawsze znajdzie się pretekst, by uniknąć ruchu.

Dzisiejszy dzień był tak samo nieodpowiedni jak wszystkie inne. Równie dobrze mógł więc zacząć od dzisiaj.

Pogoda była nadal piękna i bezwietrzna. Szedł przez miasto, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio był tak ciepły sierpień. Nie udało mu się przytrzymać tej myśli. Trwające śledztwo całkowicie go pochłaniało. Nie tylko w dzień, ale i w nocy.

Śniła mu się wyspa Barnsó. Znowu słyszał krzyk. Obudził się mokry od potu, z sercem kołującym w piersi. Długo nie mógł zasnąć.

Usiadł na chwilę przy kuchennym stole. Do świtu było jeszcze daleko. Nigdy wcześniej nie doświadczał takiego uczucia bezsilności. Nie było to wyłącznie zmęczenie, wywołane białymi wysepkami cukru pływającymi w jego krwiobiegu. Było to również uczucie, że czas go przegonił. Czyżby już był za stary? Przecież jeszcze nie miał pięćdziesiątki.

Zastanawiał się, czy to nie strach przed ciężarem odpowiedzialności. Jak gdyby, nie wiedząc kiedy, przekroczył jakiś najwyższy punkt i od tego miejsca szedł w dół. Tam w dole czekał na niego tylko lęk. Był gotów się poddać. Zwrócić się do Lisy Holgersson o wyznaczenie kogoś innego na jego miejsce.

Pozostawała kwestia kogo. Największą szansę ma Martins-son lub Hansson. Ale według niego żaden z nich nie da sobie rady. W tej sytuacji muszą się zwrócić do kogoś z zewnątrz. Czyli zakwestionować kompetencje istniejącej grupy. W takich warunkach nie ma mowy o współpracy.

Wallander nie mógł się zdecydować. Być może szedł do lekarza z nadzieją, że ten podejmie za niego decyzję. Uzna go za chorego i natychmiast pošle na zwolnienie.

Lecz doktor Góransson nie miał takiego zamiaru. Stwierdził raz jeszcze zbyt wysoki poziom cukru, ponadto ślady cukru w moczu i niepokojąco wysokie ciśnienie. Przepisał mu leki i stanowczo zalecił radykalną zmianę w sposobie odżywiania.

- Musimy zwalczać objawy na kilku różnych frontach jednocześnie - powiedział. - Wszystkie są ze sobą powiązane. Ale niewiele mogę zrobić bez współpracy z pana strony.

Dostał numer telefonu do dietetyka. Wyszedł z przychodni, trzymając receptę w ręku. Było po ósmej. Powinien od razu pójść do komendy. Ale czuł, że to za wcześnie. Wszedł do kawiarni przy Stortorgcie i wypił kawę. Tym razem powstrzymał się od słodkiej bułeczki.

Co dalej? - myślał. Odpowiadam za rozwikłanie najbardziej brutalnego mordu, jaki od wielu lat zdarzył się w Szwecji. Oczy wszystkich policjantów są na mnie skierowane, bo jedną z ofiar był policjant. Prasa i media depczą mi po piętach. Rodzice młodych ludzi prawdopodobnie będą nas oskarżać. Wszyscy się spodziewają, że w ciągu kilku dni, a jeszcze lepiej kilku godzin, nie tylko schwytam sprawcę, ale dostarczę niezbitych dowodów, które zadowolą najbardziej zatwardziałego prokuratora. Niestety, rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Nie mam nic. Z samego rana zbiorę moich kolegów i zaczniemy wszystko od początku. Mimo że początku nie da się już odtworzyć. Wszyscy wiemy, jak jest. Nie mamy najmniejszej nadziei na zwrot w śledztwie. Wokół nas jest pustka.

Dopił kawę. Przy stoliku obok siedział mężczyzna i czytał gazetę. Wallander widział wielkie tytuły. Szybko opuścił kawiarnię. Było ciągle dość wcześnie. Zanim pójdzie do komendy, załatwi jeszcze jedną sprawę. Poszedł na Vadergrand i zadzwonił do drzwi dyrektora Sundeliusa. Nie był pewien, czy Sundelius przyjmuje niezapowiedziane wizyty. Ale z pewnością już jest na nogach.

Drzwi się otworzyły. Mimo że było dopiero wpół do dziewiątej, Sundelius miał na sobie garnitur. Węzeł krawata był nieskazitelny. Wpuścił Wallandera do środka i poszedł do kuchni po kawę.

- Mam zawsze ciepłą wodę - powiedział. - Na wypadek niespodziewanej wizyty. Ostatnia zdarzyła się rok temu. Ale nigdy nie wiadomo.

Wallander usiadł na sofie i przysunął sobie filiżankę. Sundelius usiadł naprzeciwko.

- Ostatnim razem nie dokończyliśmy rozmowy - zaczął Wallander.
- Jest pan najzupełniej usprawiedliwiony - odparł Sundelius. - Jakich my ludzi właściwie wpuszczamy do tego kraju?

Pytanie zaskoczyło Wallandera.

- Nie ma żadnych dowodów na to, że sprawca jest imigrantem - powiedział. - Czemu pan tak sądzi?

- To chyba jasne - stwierdził Sundelius. - Jaki Szwed mógłby dokonać czegoś podobnego?

Wallander doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, kierując rozmowę na inne tory. Sundelius był typem człowieka o zdecydowanych i ustalonych poglądach. Komisarz nie mógł się jednak powstrzymać.

- Nic nie wskazuje, że sprawcą jest imigrant. Wróćmy jednak do Karla Everta. Dość dobrze się znaliście?

- Dla mnie był zawsze „Kalle”.

- Jak dawno się znaliście?

- Jakiego dnia zginął?

- Jeszcze nie wiemy - powiedział zdziwiony Wallander. - Bo co?

- Wtedy powiedziałbym dokładnie. A tak tylko w przybliżeniu. Do chwili jego tragicznej śmierci znaliśmy się dziewiętnaście lat, siedem miesięcy i około piętnastu dni. Przez całe życie prowadzę dokładne notatki. Jedyne, czego nie będę w stanie zapisać, to dokładnej godziny mojego zgonu. Chyba

że postanowię odebrać sobie życie. Ale na razie to nie wchodzi w rachubę. Adwokat wyznaczony do zabezpieczenia masy spadkowej ma dopilnować, by moje kalendarze zostały spalone. Mają wartość wyłącznie dla mnie. Dla nikogo innego.

Wallander zauważył, że Sundelius należy do tych licznych starych ludzi, którzy stanowczo mają zbyt mało okazji do rozmowy. Inaczej niż jego ojciec.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, łączyło was wspólne zainteresowanie gwiazdami?

- Zgadza się.

- Nie mówi pan skańskim dialektem. Skąd pan pochodzi?

- Przyjechałem z Vadsteny dwunastego maja pięćdziesiątego dziewiątego roku. Czternastego przyjechały moje rzeczy. Miałem zostać kilka lat. Ale zostałem o wiele dłużej.

Wallander obrzucił spojrzeniem półki i komody. Nie zauważył rodzinnych fotografii.

Sundelius nie nosił obrączki.

- Jest pan żonaty?

- Nie.

- Rozwiedziony?

- Jestem kawalerem.

- Jak Svedberg?

- Tak.

Wallander postanowił przystąpić do rzeczy. W kieszeni koszuli miał ciągle zdjęcie Louise. Położył je przed Sundeliusem.

- Widział pan kiedyś tę kobietę?

Sundelius przetarł okulary chusteczką. Przyglądał się uważnie fotografii.

- Czy to jest zdjęcie, które kilka dni temu ukazało się w prasie?

- Owszem.

- Z prośbą, żeby zgłaszali się ci, którzy ją rozpoznają?

Wallander skinął głową. Sundelius odłożył zdjęcie na stół.

- Czyli powinienem być zgłosić się na policję, gdybym coś o niej wiedział?

- Zna pan ją?

- Nie. Mam dobrą pamięć do twarzy. To niezbędna cecha bankowca:

Wallander nie mógł się powstrzymać przed małą dygresją. Zaciekawilo go, dlaczego bankowcy muszą mieć dobrą pamięć do twarzy.

W odpowiedzi znowu zalał go potok słów.

- Za czasów mojej młodości był to jedyny sposób oceny zdolności kredytowej klienta - mówił Sundelius. - Zanim społeczeństwo zamieniło się w jeden wielki, wszechogarniający rejestr obywateli. Dzielimy czas na przed i po Chrystusie. Ale właściwie powinniśmy go dzielić na przed i po NIP-ie. Czy człowiek, który stoi przede mną, jest uczciwy? Czy mówi prawdę? Ma czyste intencje? Czy stoi i łże mi w twarz? Pamiętam pewnego urzędnika w Vadstene, który nigdy nie za sięgał informacji o zdolności kredytowej klienta. Nawet później, gdy łatwiej było je zdobyć i zaostrzyły się przepisy dotyczące udzielania kredytów. Niezależnie od wysokości pożyczki koncentrował się na twarzy klienta. Nie zdarzyło mu się omylić. Odmawiał draniom. Przyznawał pożyczki uczciwym i pracowitym. Bez wahania. Nikt nie mógł przewidzieć, kto będzie miał pecha. Nawet on.

Wallander kiwnął głową i przystąpił do rzeczy.

- Ta kobieta była w jakiś sposób związana z Kallem. Wiemy z pewnego źródła, że przyjaźnili się od jakichś dziesięciu lat. Może słowo „przyjaźnili” nie jest zupełnie ścisłe. Mieli romans. Kalle był kawalerem. Ale najwyraźniej przez wiele lat miał romans z tą kobietą.

Sundelius zamarł. Ręka z filiżanką zatrzymała się w pół drogi do ust.

- To nie jest sprawdzona informacja - powiedział. - To kłamstwo.

- Pod jakim względem?

- Pod każdym. Kalle nie miał narzeczonej.

- Wiemy, że trzymał to w wielkiej tajemnicy.

- To nie może być prawda.

Sundelius był absolutnie przekonany. W jego głosie Wallander wyczuł jakby coś więcej. Z początku nie wiedział co. Była to nuta wzburzenia. Panował nad sobą. Ale nie do końca.

- Chciałbym wyjaśnić pewną rzecz - zwrócił się do niego

Wallander. - Żaden z nas, kolegów, nic nie wiedział o kobiecie w jego życiu. Wiedział tylko jeden człowiek. Wiele osób jest zaskoczonych.

- Kto o niej wiedział?

- Wolałbym na razie nie mówić.

Sundelius spojrzał na Wallandera. W jego wzroku było coś zawziętego i nieobecnego. Był wzburzony. Komisarz miał co do tego pewność. To nie było złudzenie.

- Zostawmy na chwilę tę nieznajomą - zaproponował Wallander. - Jak się poznaliście?

Sundelius nagle się zmienił. Odpowiadał niechętnie i nerwowo. Wallander nieoczekiwanie wmanewrował go w sytuację, której się zupełnie nie spodziewał.

- Poznaliśmy się u wspólnych przyjaciół w Malmö.

- Czy to jest pierwsza notatka w kalendarzu?

- Nie rozumiem, jakie znaczenie dla policji mają moje zapiski w kalendarzach.

Teraz jest nieprzyjemny, pomyślał Wallander. Zdjęcie nieznanej kobiety wszystko zmieniło. Ostrożnie pytał dalej.

- I potem zaczęliście się widywać?

Sundelius zorientował się, że jego irytacja była widoczna. Znow odpowiadał sensownie i spokojnie. Wallander czuł jednak, że myślami jest gdzie indziej.

- Patrzyliśmy razem na gwiazdy. Nic więcej.

- Gdzie?

- Na wsi. Po ciemku. Głównie jesienią. Między innymi w Fylledalen.

- Kiedy skontaktowałem się z panem, był pan zdziwiony, że się tak późno zgłaszam. Uważał pan, że to dziwne. Zważywszy, że Kalle nie miał wielu bliskich przyjaciół.

- Pamiętam, co mówiłem.

- Tymczasem wasza znajomość ograniczała się do wspólnej obserwacji gwiazd. Od czasu do czasu. Czy to wszystko?

- Żaden z nas się specjalnie nie narzucał.

- Trudno mi przyjąć, że tak wygląda bliska przyjaźń. I że zakładał pan, że my, jego koledzy, powinniśmy o tym wiedzieć.

- Było tak, jak mówię.

Nie, pomyślał Wallander. Tak nie było. Ale jak było, nie wiem.

- Kiedy się widzieliście po raz ostatni?

- W połowie lipca. Dokładnie szesnastego.

- Obserwowaliście gwiazdy?

- Pojechaliśmy do Österlen. Niebo było bardzo czyste. Chociaż lato nie jest najlepszym okresem.

- Jak się zachowywał?

- Nie rozumiem pytania - powiedział Sundelius.

- Czy jak zwykle? Czy mówił coś szczególnego?

- Był jak zawsze. Zresztą gwiazdy ogląda się w milczeniu. W każdym razie my mieliśmy taki zwyczaj.

- A potem?

- Więcej się nie widzieliśmy.

- Umawialiście się jakoś?

- Powiedział, że na kilka dni wyjeżdża. I że ma dużo roboty. Mieliśmy się skontaktować na początku sierpnia. Jak pójdzie na urlop.

Wallander wstrzymał oddech. Trzy dni później Svedberg pojechał na Barnsó. Z tego, co mówił Sundelius, wynika, że miał to zaplanowane. Poza tym zwierzał się, że ma dużo roboty. I twierdził, że idzie na urlop na początku sierpnia, gdy, na dobrą sprawę, miał już połowę urlopu za sobą.

Svedberg kłamał, pomyślał Wallander. Trzymał urlop w tajemnicy przed swoim przyjacielem. Nam, z kolei, nie wspominał o swoich podejrzeniach. Komisarz po raz pierwszy poczuł, że znajduje się w pobliżu właściwej drogi. Nadal jednak nie potrafił jej zidentyfikować.

Svedberg okłamywał Sundeliusa, a ten z kolei okłamywał Wallandera. W tym wszystkim gdzieś kryje się prawda, myślał Wallander. Tylko jak do niej dotrzeć?

Podziękował za kawę. Sundelius odprowadził go do wyjścia.

- Na pewno się jeszcze spotkamy - zapowiedział Wallander na pożegnanie.

Sundelius już przyszedł do siebie.

- Byłbym wdzięczny za informację o dacie pogrzebu.

Wallander obiecał go zawiadomić. Wyszedł na Vadergrand

i stamtąd poszedł na ławkę naprzeciwko kawiarni Backhasten.

Przyglądał się kaczkom pływającym w stawie. Myślał o rozmowie z Sundeliusem. Wyłowił w niej dwa krytyczne momenty. Pierwszy, kiedy pokazał mu zdjęcie; drugi, kiedy przyłapał go na

kłamstwie. Wzburzenie Sundeliusa nie było wywołane fotografią nieznaną kobiety, lecz wzmianką Wallandera o trwającym od dziesięciu lat romansie.

Czyżby to było takie proste? Nie jeden wieloletni romans, lecz dwa? Ten drugi między Svedbergiem i Sundeliusem? Czy było ziarno prawdy w pogłoskach, że Svedberg jest gejem? Wallander wziął w rękę garść żwiru i przesypywał go przez palce. Mimo wszystko miał wątpliwości. Fotografia przedstawiała kobietę. Sture Björkman był bardzo pewny swego. Louise istniała w życiu Svedberga od wielu lat. Zadawał sobie pytanie, dlaczego nikt poza Sture Björkmanem nie wiedział o istnieniu kobiety.

Otrzeptał ręce i wstał. Przypomniawszy sobie o recepcie w kieszeni i po drodze wstąpił do apteki. Odebrał to, co przepisał mu Góransson. Szedł dalej, w kierunku komendy. Gdy wyjmował z kieszeni receptę, zauważył, że miał wyłączoną komórkę. Przyśpieszył kroku. Rozmowa z Sundeliusem dodała mu energii. Obraz sytuacji nie stał się może jaśniejszy, ale nabrał głębi.

Kiedy wszedł do budynku komendy, Ebba oznajmiła, że wszyscy go szukają. Poprosił, żeby przekazała informację o zebraniu za pół godziny. W drodze do pokoju wpadł na Hanssona.

- Właśnie cię szukałem. Przyszły wyniki z Lundu.

- Czy eksperci ustalili godzinę śmierci?

- Na to wygląda.

- Chcę to zobaczyć.

Poszli do pokoju Hanssona. Przechodząc obok pokoju Svedberga, Wallander ze zdziwieniem stwierdził, że z drzwi zniknęła tabliczka z nazwiskiem. Zaskoczyło go to i rozzłościło.

- Kto zdjął tabliczkę z nazwiskiem?

- Nie wiem.

- Nie mogli, do jasnej cholery, zaczekać do pogrzebu?

- Pogrzeb jest we wtorek - poinformował Hansson. - Lisa mówi, że będzie minister sprawiedliwości.

Wallander znał ją z częstych wystąpień w telewizji. Robiła wrażenie stanowczej i pewnej siebie. Nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć jej nazwiska. Hansson szybko zgarnął ze stołu kupony totolotka i wyjął papiery z Laboratorium Medycyny Sądowej w Lundzie. Wallander czekał oparty o ścianę, podczas gdy Hansson przerzucał kartki.

- Mam - powiedział.

- Zacznijmy od Svedberga.

- Został trafiony dwoma strzałami z przodu. Śmierć nastąpiła natychmiast.

- Kiedy to się stało? - spytał zniecierpliwiony Wallander. - Opuść wszystko, co nie jest ważne.

Interesuje mnie czas zgonu.

- W chwili kiedy go znaleźliście z Martinssonem, nie żył najwyżej od dwudziestu czterech godzin. I najmniej od dziesięciu.

- Są pewni? Czy zmienia zdanie?

- Całkiem pewni. Są też pewni, że Svedberg był trzeźwy w chwili śmierci.

- Czy ktoś miał wątpliwości?

- Czytam, co jest napisane. Ostatni posiłek, który prawdopodobnie zjadł na kilka godzin przed śmiercią, to zsiadłe mleko.

- To by znaczyło, że zmarł przed południem.

Hansson się zgodził. Wszyscy wiedzieli, że Svedberg pił rano zsiadłe mleko. Nieraz, gdy byli zmuszeni pracować w nocy, Svedberg wstawiał do lodówki karton ze zsiadłym mlekiem.

- No, to już wiemy.

- Jeszcze daleko do końca - ciągnął Hansson. - Chcesz posłuchać szczegółów?

- Resztę mogę sam przeczytać - odparł Wallander. - Co piszą o trojgu młodych?

- Trudno im sprecyzować moment śmierci.

- To już wiemy. Jakie są ich wnioski?

- Tylko prowizoryczne. Wykonają dokładniejsze badania. Nie wykluczają, że mogli zostać zabici już dwudziestego pierwszego czerwca. W świąteczną noc. Z jednym zastrzeżeniem.

- Że od tego czasu zwłoki nie znajdowały się na wolnym powietrzu?

- Właśnie. Ale nie są przekonani.

- A ja tak. Nareszcie możemy zrobić wykres czasu. Zaczniemy od tego zebranie.

- Nie mogę znaleźć samochodów - poskarżył się Hansson. - Ten z rezerwatu musiał je gdzieś wywieźć.

- Może też są zakopane - powiedział Wallander. - Trzeba je znaleźć. I to jak najszybciej.

Poszedł do swojego pokoju i przeczytał tekst na opakowaniu leku. „Amaryl - tabletki na cukrzycę. Przyjmować przed posiłkiem”. Wallander zastanawiał się, kiedy będzie miał czas zjeść. Westchnął i skierował się do stołówki. Na półmisku znalazł trochę sucharków. Zjadł kilka, po czym połknął tabletki. Wychodząc, omal nie zderzył się z Nybergiem.

- Słyszałem, że przyszły wyniki z Lundu - powiedział

Nyberg.

Wallander w skrócie zrelacjonował to, co przekazał mu Hansson.

- Czyli mieliśmy rację - skomentował Nyberg. - Mamy do czynienia ze sprawcą, który zabija trzy osoby, zakopuje ciała w innym miejscu, a później je na nowo odkopuje.

- Mamy do czynienia z kimś, kto ma czas oraz zdolność i potrzebę planowania - dodał

Wallander. - Ta informacja to duży krok do przodu.

Wallander wrócił do pokoju po papiery i udał się do sali zebrań. Martinsson już zamykał drzwi, kiedy zjawiała się Lisa Holgersson w towarzystwie prokuratora Thurnberga. Wallander uświadomił sobie, że do tej pory nie zdał mu sprawozdania ze śledztwa. Thurnberg - wyraźnie niezadowolony - usiadł przy stole, jak najdalej od Wallandera. Lisa Holgersson zabrała głos i poinformowała, że pogrzeb Svedberga odbędzie się we wtorek, dwudziestego sierpnia, o drugiej. Spojrzała na Wallandera.

- Będą mowy - powiedziała. - Minister sprawiedliwości, szef policji i ja. Dobrze by było, gdyby ktoś z was powiedział kilka słów. Myślałam o Kurcie. Najdłużej tu pracuje.

- Nie potrafię wygłosić mowy - odparł niechętnie. - W kościele, nad trumną Svedberga, nie wyduszę z siebie ani słowa.

- Mowa na pożegnanie Bjórka była dobra - przypomniał

Martinsson. - Jasne, że ktoś z nas musi coś powiedzieć. Naj

lepiej ty.

Wallander czuł, że nie będzie w stanie. Nie cierpiał pogrzebów.

- Nie chodzi o to, że nie chcę - powiedział błagalnie. - Jak chcecie, napiszę mowę. Ale nie potrafię jej wygłosić.

- Ja to zrobię - zaproponowała Ann-Britt Hóglund. - Jeżeli napiszesz. Nie można zmuszać kogoś do przemawiania na pogrzebie. Wzruszenie może być zbyt silne. Biorę to na siebie. Jeśli nikt nie ma zastrzeżeń.

Wallander wiedział, że ani Hansson, ani Martinsson nie byli za takim rozwiązaniem. Ale milczeli. Decyzja zapadła.

Wallander szybko przeszedł do bieżących spraw, żeby nie myśleć o nadchodzącym pogrzebie. Thurnberg siedział sztywno u szczytu stołu, twarz miał bez wyrazu. Jego obecność denerwowała Wallandera. Była w nim jakaś pogarda, a może wrogość.

Zaczęli od ogólnego obrazu sytuacji. Wallander pokrótce zrelacjonował spotkanie z Sundeliusem. Ani słowem nie wspomniał o przemianie, jaka zaszła w emerytowanym dyrektorze banku na wiadomość o dziesięcioletnim romansie Svedberga z nieznaną kobietą.

Do policji napływał nieprzerwany strumień informacji. Jednak nikt dotąd nie rozpoznał kobiety na zdjęciu. Wszyscy w grupie dochodzeniowej uważali to za dziwne. Postanowili opublikować zdjęcie w Danii i przesłać do Interpolu. Po dwóch godzinach doszli do protokołu medycyny sądowej. Wallander zaproponował piętnastominutową przerwę i wywietrzyli pokój.

Thurnberg wstał i pośpiesznie wyszedł. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem. Lisa Holgersson ociągała się z wyjściem.

- Wygląda na niezadowolonego - powiedział Wallander, mając na myśli Thurnberga.

- Bo jest - odpowiedziała. - Musisz chyba z nim porozmawiać. Uważa, że śledztwo postępuje za wolno.

- Tak szybko, jak tylko się da.

- Co z posiłkami?

- Musimy to przedyskutować. Jeśli o mnie chodzi, to wiem, że nie mam nic przeciwko temu.

Widział, że przyjęła to z ulgą. Poszedł przynieść sobie kawę. Potem wrócili na miejsca.

Thurnberg siedział na tym samym krześle, z twarzą bez wyrazu.

Omawiali protokół biegłych lekarzy. Wallander zapisał na tablicy różne kombinacje czasowe.

- Kiedy znaleźliśmy Svedberga, nie żył najwyżej od dwu dziesiętu czterech godzin. Wszystko wskazuje na to, że zabójstwa dokonano rano. W każdym razie przed południem. Jeśli chodzi o młodych ludzi, to nasze wstępne wnioski okazały się nad wyraz trafne. Nie wyjaśniają motywu ani nie wskazują zabójcy. Ale odsłaniają wiele ważnych momentów.

Usiadł za stołem i mówił dalej:

- Młodzi ludzie zorganizowali zabawę w tajemnicy przed wszystkimi. Wybrali odosobnione miejsce, żeby nikt im nie przeszkodził. Ktoś jednak znał ich plan. Był świetnie poinformowany i miał dostatecznie dużo czasu na przygotowania.

Nadal nie mamy motywu zabójstwa w rezerwacie, ale morderca nie daje za wygraną, dopóki nie wytropi czwartej, brakującej osoby. Zabija Isę Edengren. Wie, że pojechała na Barnsö. Potrafi poruszać się wśród wysp archipelagu. Jest to istotny punkt zaczepienia. Ten ktoś znał ich plany. Poszukujemy kogoś dobrze poinformowanego.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

- Powstaje pytanie, gdzie szukać osoby posiadającej informacje - kontynuował Wallander. - Musimy od tego zacząć. Prędzej czy później dojdziemy do punktu, w którym pojawi się Svedberg.

- On już tam jest - dodał Hansson. - Zaczął przecież dochodzenie w kilka dni po święcie letniej nocy.

- Powiedziałbym więcej - odparł Wallander. - Sądzę, że Svedberg miał konkretne podejrzenia. Pytanie, na które nigdy nie poznamy odpowiedzi, brzmi: czy Svedberg wiedział, kto zabił młodych ludzi? Albo zamierzał ich zabić?

- Dlaczego tak długo czekał, zanim zabił Isę Edengren? - spytał Martinsson. - Miał ponad miesiąc.

- Nie wiadomo - odparł Wallander. - W dodatku nietrudno ją było zlokalizować.

- I jeszcze jedno. Dlaczego właściwie odkopuje ciała? Czyżby chciał zostać zdemaskowany?

- To chyba jedyne wyjaśnienie - stwierdził Wallander. - Od razu powstają kolejne pytania. Co właściwie powoduje sprawcę? Co on miał wspólnego ze Svedbergiem?

Wallander obrzucił spojrzeniem salę.

Svedberg wiedział, co się wydarzyło, kiedy młodzi ludzie nie wrócili, myślał. Co więcej,

Svedberg wiedział, kto był mordercą. Albo kogoś o to posądzal.

I dlatego został zamordowany.

Nie ma innego wytłumaczenia.

To prowadzi nas do najważniejszego pytania. Dlaczego nam nie powiedział o swoich podejrzeniach?

21

Tuż po drugiej Wallander zadał Martinssonowi pytanie związane z informacją, która nadeszła do komendy. Pochodziła od sklepikarza z S61 vesborgu, który w wigilię świętojańską po południu zatrzymał się w rezerwacie w Hagestadzie. Jechał na przyjęcie w Falsterbo i zorientował się, że jeśli nie zrobi przerwy, przybędzie dużo za wcześnie. Wydawało mu się, że przy wjeździe do rezerwatu stały zaparkowane dwa samochody. Wallander chciał się dowiedzieć, czy nie zauważył czegoś więcej.

Zadał więc Martinssonowi pytanie, po czym stracił przytomność.

Stało się to zupełnie nieoczekiwanie. Siedział, machając ołówkiem w kierunku Martinssona, a w następnej chwili osunął się na krzesło, ze zwieszoną głową. W pierwszym momencie nikt nie zrozumiał, co zaszło. Pierwsza zareagowała Lisa Holgersson, tuż potem Ann-Britt Hóglund, a za nią reszta. Hans-son wyznał później, że sądził, iż Wallander dostał udaru mózgu i umarł. Komisarz nie dowiedział się, co myśleli lub czego obawiali się pozostali. Odsunęli krzesło i położywszy go na

podłodze, rozpięli mu kołnierzyk od koszuli i zmierzili puls. W tym czasie ktoś chwycił za telefon i wezwał pogotowie. Za nim przyjechało, Wallander odzyskał przytomność. Kiedy pomagali mu wstać z podłogi, domyślił się, że omdlenie spowodował gwałtowny spadek poziomu cukru we krwi. Dali mu wody i kilka kostek cukru z talerzyka na stole. Znowu poczuł się normalnie. Patrzyli na niego zatroskani. Powinien pojechać do szpitala albo przynajmniej poleżeć w domu. Ale Wallander nie chciał jechać ani do szpitala, ani do domu. Wytłumaczył omdlenie niedospaniem i kontynuował zebranie z energią, której nie mogli się oprzeć.

Thurnberg był jedynym, który nie okazał niepokoju. Właściwie w ogóle nie zareagował. Nie ruszając się zza stołu, patrzył, jak kładą Wallandera na podłodze. Twarz miał, jak zwykle, bez wyrazu.

Podczas przerwy Wallander poszedł zadzwonić do Góran-ssona. Opowiedział o chwilowym omdleniu. Góransson nie był specjalnie zaskoczony.

- Będzie pan musiał żyć z taką huśtawką - powiedział. - Dopóki cukier nie ustabilizuje się na niższym poziomie. Jeśli omdlenie się powtórzy, będziemy może zmuszeni odstawić lek.

Następnym razem, kiedy się panu zakręci w głowie, proszę mieć przy sobie jabłko.

Od tej pory Wallander miał zawsze w kieszeni kilka kostek cukru, jakby za chwilę miał karmić konia. W dalszym ciągu nie zwierzył się nikomu ze swojej cukrzycy.

Zebranie ciągnęło się aż do piątej po południu. Omówili bardzo szczegółowo wszystkie aspekty dochodzenia. Wallander wyraźnie czuł u kolegów nowy przypływ energii.

Zdecydowali, że zwrócą się o posiłki do Malmö. Wallander wiedział, że mimo to oś dochodzenia będzie stanowiła grupa skupiona wokół niego.

Po zakończeniu zebrania Thurnberg został na miejscu. Wallander zrozumiał, że chce z nim porozmawiać. Myślał z zalem o Perze Akesonie, przebywającym gdzieś pod afrykańskim niebem. Usiadł na drugim końcu stołu, na miejscu Ann-Britt Hóglund.

- Już od dosyć dawna czekam na raport - zaczął Thurnberg.

Miał wysoki, łamiący się głos.

- Powinien pan go otrzymać - powiedział Wallander uprzejmie. - Ale sytuacja zmieniła się radykalnie w ciągu ostatnich dni.

Thurnberg jakby nie słyszał.

- Mam nadzieję, że w przyszłości będę informowany na bieżąco, bez upominania się - ciągnął dalej. - Prokurator ge

neralny wykazuje szczególne zainteresowanie, kiedy ginie policjant na służbie.

Wallander nie miał nic do dodania. Czekał, co nastąpi.

- Obecne śledztwo nie jest dostatecznie skuteczne i nie ma odpowiedniego zasięgu - oświadczył Thurnberg, wskazując kartkę, na której zanotował w punktach swoje uwagi.

Wallander czuł się jak uczeń, który nie zaliczył przedmiotu.

- Jeżeli uwagi są słuszne, zastosujemy się do nich - zapewnił.

Starał się odpowiadać spokojnie i uprzejmie. Czuł jednak, że wzbiera w nim złość. Co sobie właściwie wyobrażał zastępcą z Örebro? Ile mógł mieć lat? Najwyżej trzydzieści trzy.

- Jutro powinna być gotowa lista zastrzeżeń co do sposobu prowadzenia śledztwa - powiedział Thurnberg. - Spodziewam się od pana pisemnej odpowiedzi.

Wallander spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Czy pańskim zdaniem powinniśmy ze sobą korespondować? Podczas gdy sprawca pięciu brutalnych mordów chodzi na wolności?

- Moim zdaniem dotychczasowe śledztwo nie przebiegało we właściwy sposób.

Wallander walnął pięścią w stół i poderwał się, przewracając krzesło.

- Nie ma idealnych dochodzeń - ryknął. - Nikt mi nie będzie mówił, że ja i moi koledzy nie zrobiliśmy wszystkiego, co w naszej mocy.

Twarz Thurnberga - do tej pory bez wyrazu - zmieniła się. Zrobiła się kredowobiała.

- Może pan wysłać swoje pisemko. Zastosujemy się do słusznej krytyki. Ale proszę się nie spodziewać ode mnie listu.

Wallander wyszedł z sali, trzaskając drzwiami. Ann-Britt, która właśnie szła do siebie, odwróciła się na trzask drzwi.

- Co jest? - zapytała.

- Cholerny prokurator. Tylko zrzędzi.

- Z powodu?

- Jesteśmy nieskuteczni. Nie prowadzimy śledztwa dostatecznie szeroko. Jak mieliśmy inaczej pracować?

- Pewnie chce pokazać, kto tu rządzi.

- W takim razie zwrócił się do niewłaściwej osoby.

Wallander wszedł do jej pokoju i usiadł ciężko na krześle dla interesantów.

- Co się stało? - spytała. - Tam w sali, kiedy zemdlałeś?

- Fatalnie sypiam - odpowiedział wymijająco. - Ale czuję się dobrze.

Doznał tego samego uczucia co latem, podczas pobytu z Lindą na Gotlandii. Ona też mu nie wierzy. Martinsson stanął w drzwiach.

- Przeszkadzam? - zapytał.

- Dobrze, że jesteś. Musimy porozmawiać. Gdzie Hansson?

- Szuka samochodów. Przecież nie zapadły się pod ziemię.

- Powinien tu być. Przekażcie mu koniecznie, o czym była mowa na zebraniu.

Skinął na Martinssona, żeby zamknął drzwi. Zrelacjonował swoje wrażenia z rozmowy z Sundeliussem. Przyznał, że przyszło mu do głowy, że Svedberg mimo wszystko był gejem.

- Sam fakt nie ma naturalnie znaczenia - podkreślił. - Policjanci mogą mieć dowolne preferencje seksualne. Jeśli poruszam to w małym kręgu, to dlatego że chcę uniknąć niepotrzebnych pogłosek. Ponieważ sam Svedberg nigdy nie mówił o swoich skłonnościach seksualnych, nie ma powodu, żeby je nagłaśniać po jego śmierci.

- W tej sytuacji sprawa z kobietą się komplikuje - zauważył Martinsson.

- Może był mężczyzną o podwójnych zainteresowaniach. Ciekawe, co ewentualnie wie Sundelius. Odniosłem wrażenie, że nie mówi wszystkiego. Musimy więc dążyć głębiej w życiu

Sundeliusa. I Svedberga. Czy jest więcej tajemnic? To samo z młodymi ludźmi. Gdzieś musi być wspólny punkt. Człowiek, który ciągle jest cieniem, ale gdzieś istnieje naprawdę.

- Chodzi mi po głowie, że kilka lat temu Svedberg został zaskarżony do rzecznika praw obywatelskich. Nie pamiętam, z jakiej okazji.

- Trzeba to sprawdzić - przyznał Wallander. - To i wszystko inne. Proponuję, żebyśmy się podzielili. Ja wezmę Svedberga i Sundeliusa. Poza tym muszę jeszcze raz przesłuchać Björklunda. On jeden znał tę kobietę.

- Aż trudno uwierzyć, że nikt jej nie rozpoznał.

- Powiedziałbym więcej - dodał Wallander. - To niemożliwe. Jeszcze jedna rzecz, którą trzeba wyjaśnić.

- Czy nie zbyt łatwo odpuściliśmy sobie tego profesora socjologii? - podsunął Martinsson. - W końcu to u niego znaleźliśmy teleskop Svedberga.

- Dopóki nie ma podejrzanego, wszystkie poszlaki mają tę samą wartość - powiedział Wallander. - To stara prawda, w której jest trochę racji.

Wstał zza biurka.

- Nie zapomnijcie poinformować Hanssona - przypomniał i wyszedł z pokoju.

Minęło w pół do szóstej. Nie licząc kilku sucharków, od rana nie miał nic w ustach. Odstraszała go myśl o przygotowywaniu posiłku w domu. Zamiast tego pojechał do chińskiej restauracji przy Stortorget. Pił piwo, czekając na jedzenie. Potem jeszcze jedno. Jak zwykle zjadł za szybko. Już miał zamówić deser, ale się powstrzymał. Pojechał do domu. Był ciepły wieczór. Otworzył drzwi balkonowe. Trzy razy próbował dodzwonić się do Lindy. Ciągle było zajęte. Był zbyt zmęczony, aby myśleć. Włączył telewizor i ściszył dźwięk. Położył się na kanapie i gapił się w sufit. Około dziewiątej zadzwonił telefon. Dzwoniła Lisa Holgersson.

- Zdaje się, że mamy problem. Po waszej sprzeczce przy szedł do mnie Thurnberg.

Wallander się skrzywił. Domyślał się, co nastąpi.

- Thurnberg był na pewno zdenerwowany, bo na niego nakrzyczałem. Walnąłem pięścią w stół i tym podobne.

- Jest gorzej, niż myślisz. Kwestionuje twoją zdolność do prowadzenia śledztwa. Uważa, że nie dajesz sobie rady.

Był zaskoczony. Nie przypuszczał, że Thurnberg posunie się tak daleko.

Pomyślał, że powinien być zły. Zamiast tego się zląkł. To, że sam coraz częściej miał wątpliwości, czy jest w stanie prowadzić operacje śledcze - to jedno. Ale nigdy nie powstało mu w głowie, że ktoś z zewnątrz może zakwestionować jego kompetencje jako szefa.

- Jakie są merytoryczne zarzuty Thurnberga?

- Przede wszystkim formalne. Fakt, że nie był regularnie i na bieżąco informowany o przebiegu śledztwa, uważa za rażące uchybienie.

Wallander zaprotestował. Czy mogli zrobić coś więcej?

- Przekazuję ci tylko, co mówił. Jest zdania, że popełniłeś błąd, nie kontaktując się z policją w Norrköpingu przed wyjazdem do Östergötlandu. Podważa zresztą sens całej podróży.

- Przecież znalazłem Isę?

- Uważa, że równie dobrze mogła to zrobić policja z Norrköpingu. A ty powinieneś być zostać na miejscu i kierować śledztwem. Jak wyczułam, pośrednio sugeruje, że miałyby szansę przeżyć.

- To przecież absurdalne - zaprotestował Wallander. - Mam nadzieję, że mu to powiedziałaś?

- Jest jeszcze jedna kwestia - kontynuowała. - Stan twego zdrowia.

- Nie jestem chory.
- Nie da się ukryć, że zemdlałeś na jego oczach. I moich. W trakcie zebrania.
- To może się przytrafić każdemu, kto jest chwilowo przeciążony.
- Powtarzam tylko jego słowa.
- A co ty mu powiedziałaś?
- Że z tobą porozmawiam.

Nagle doszło do niego, że nie jest wcale pewien, co ona myśli. Czy rzeczywiście trzyma jego stronę? Opadło go silne uczucie zwątpienia.

- Już ze mną porozmawiałaś - powiedział. - Teraz chciał bym usłyszeć, co sama o tym sądzisz.

-A ty?

- Że Thurnberg jest małym wrednym podskakiewiczem, który nie lubi ani mnie, ani pozostałych. Nie ukrywam, że z wzajemnością. Na sprawę patrzy wyłącznie pod kątem własnej kariery.

- To niezbyt rzeczowa opinia.

- Ale prawdziwa. Uważam, że postąpiłem słusznie, jadąc na Barnsó. Tutejsze śledztwo postępowało zgodnie z planem. Nie istniał najmniejszy powód, żeby zawiadamić policję w Norrkópingu. Nie było przestępstwa. Nikt nie mógł przewidzieć, że do niego dojdzie. Był natomiast istotny powód, żeby sprawy nie rozgłaszać. Mogłoby to jeszcze bardziej wystraszyć Isę Edengren.

- Przypuszczam, że Thurnberg zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę - przyznała. - Zgadzam się zresztą z tobą, że jest arogancki. Najbardziej przejął się chyba twoim stanem zdrowia.

- Wątpię, żeby z wyjątkiem siebie samego kimkolwiek się przejmował. Przrzekam, że w dniu, kiedy nie będę w stanie kierować grupą operacyjną, sam cię zawiadomię.

- Thurnberg będzie musiał się tym zadowolić. Ale w przyszłości musi otrzymywać należną mu informację.

- Trudno mi będzie po tym z nim współpracować - powiedział Wallander. - Dużo mogę znieść. Ale nie to, że ktoś knuje za moimi plecami.

- Nic nie knuł. To naturalne, że przyszedł do mnie, jeżeli z tobą nie mógł się dogadać.

- Nikt mnie nie zmusi, żebym go lubił.

- On tego nie wymaga. Ale z pewnością zareaguje, w momencie gdy dopatrzy się słabego punktu w pracy grupy dochodzeniowej.

- Co chcesz przez to powiedzieć, do diabła?

Złość przyszła znikąd. Wallander nie potrafił się opanować.

- Nie musisz się na mnie złościć.

- Mamy do rozwikłania pięć morderstw - stwierdził Wallander. - Zaplanowanych i popełnionych z zimną krwią. Nie

znamy żadnego motywu. Nie wiemy, czy sprawca znów nie zaatakuje. Jednym z zabitych był nasz bliski kolega. W tej sytuacji musimy się liczyć z tym, że czasami ten i ów traci panowanie nad sobą. To śledztwo, a nie proszona herbatka. Zaśmiała się.

- Oryginalne porównanie, w tym kontekście.

- Chciałbym, żebyśmy się zrozumieli. Nic więcej.

- A ja chciałam przekazać ci wiadomość jak najszybciej.

- Rozumiem i dziękuję.

Po skończonej rozmowie wrócił na kanapę. Nie opuszczała go podejrzliwość. W myślach planował, jak się odegrać na Thurnbergu. Bronił się przed zarzutami i jednocześnie się nad sobą litował. Odczuwał strach na myśl, że mogą mu odebrać prowadzenie śledztwa. Kierowanie trudnym dochodzeniem często wymagało niemal nadludzkiego wysiłku. Ale degradacja była gorsza od wszystkiego.

Wallander czuł, że musi z kimś porozmawiać. Z kimś, kto dałby mu moralne wsparcie. Było piętnaście po dziewiątej. Do kogo może zadzwonić? Do Martinssona czy do Ann-Britt Hóglund? Najchętniej skontaktowałby się z Rydbergiem.

Ale Rydberg leżał w grobie i nie mógł mu nic powiedzieć. Wallander był zresztą pewien, że zareagowałby podobnie na prokuratora Thurnberga.

Przyszedł mu na myśl Nyberg. Prawie nigdy nie rozmawiali na tematy osobiste. Ale Wallander wiedział, że Nyberg go zrozumie. W dodatku miał niewyparzony język i choleryczny temperament, co w tej sytuacji było tylko zaletą. Najważniejsze - Nyberg nie ukrywał, że uważa go za zdolnego policjanta. Nie chciałby chyba pracować z kimś innym.

Wallander wybrał numer Nyberga. Tamten jak zwykle odpowiedział zirytowanym głosem.

Często mówili o tym z Martinssonem, że nie zdarzyło się, żeby Nyberg uprzejmie się odezwał.

- Musimy porozmawiać - zaczął Wallander.

- Stało się coś?

- Nie w sprawie dochodzenia. Ale musimy się spotkać.

- Nie można zaczekać do jutra?

- Nie.

- Za kwadrans mogę być w komendzie.

- Wolałbym nie. Spotkajmy się gdzie indziej. Może pójdziemy na piwo?

- Do knajpy? Co się właściwie dzieje?

- Masz jakiś pomysł, dokąd pójść?

- Nigdy nie chodzę do restauracji - powiedział niechętnie Nyberg. - W każdym razie nie w Ystadzie.

- Jest mała restauracja na Stortorget. Koło antykwariatu. Spotkajmy się tam - zaproponował Wallander.

- Mam włożyć garnitur i krawat?

- Niekoniecznie.

Nyberg obiecał przyjść w ciągu pół godziny. Wallander zmienił koszulę i wyszedł z domu. Nie wziął samochodu, przeszedł się do centrum pieszo. W restauracji było mało ludzi. Dowiedział się, że zamykają o jedenastej. Poczul głód. Zajrzał do karty i zdziwił się na widok cen. Kogo było dzisiaj stać na restaurację? Czuł jednak, że z chęcią zaprosi Nyberga na coś do zjedzenia.

Nyberg zjawił się dokładnie po półgodzinie. Był w garniturze i w krawacie. Włosy, które zwykle sterczały na wszystkie strony, zaczesał na mokro. Ubranie miał podniszczone i trochę za obszerne. Usiadł naprzeciw Wallandera.

- Nie wiedziałem, że tu jest knajpa - powiedział.

- Dość niedawno otwarta - odparł Wallander. - Jakies pięć lat temu. Zapraszam cię na coś.

- Nie jestem głodny - stwierdził Nyberg.

- Mają tu dania barowe - nalegał Wallander.

- Wybierz sam - powiedział Nyberg i odsunął kartę.

Pili piwo, czekając na jedzenie. Wallander zreferował rozmowę telefoniczną z Lisą Holgersson. Ze szczegółami. Plus to co myślał, ale czego nie powiedział w rozmowie.

- Właściwie nie ma się czym zbytnio przejmować - skomentował Nyberg, kiedy Wallander skończył. - Ale rozumiem, że się zdenerwowałeś. Wewnętrzne tarcia na pewno nie mogą w wyjaśnieniu zbrodni.

Wallander chciał go wyczuć, udając że przyjmuje punkt widzenia Thurnberga.

- Może on ma rację? Może ktoś powinien mnie zastąpić?

- Kto taki?

- Martinsson.

Nyberg spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Chyba nie mówisz serio?

- No to Hansson.

- Może za dziesięć lat. Ale to jest najtrudniejsze śledztwo, z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia. Nie można w tej sytuacji osłabiać grupy dochodzeniowej.

Przyniesiono jedzenie. Wallander dalej mówił o Thurnber-gu. Nyberg odpowiadał półsłówkami i więcej nie komentował. Wallander zdał sobie w końcu sprawę, że przesadził. Nyberg miał rację. Nie było o czym mówić. Nyberg z pewnością poprze go, jeśli się to okaże konieczne. Kilka lat wcześniej Wallander, z własnej inicjatywy, poruszył z Lisą Holgersson ekstremalne warunki pracy Nyberga. Było to krótko po tym, jak zastąpiła Bjórka. Po tej rozmowie sytuacja Nyberga się polepszyła. Nigdy o tym nie mówili. Ale Nyberg wiedział. Nyberg miał rację. Szkoda czasu i energii na rozprawianie o Thurnbergu. Lepiej je zużyć na coś ważniejszego.

Po jedzeniu zamówili piwo. Kelnerka oznajmiła, że to ostatnie zamówienie. Wallander zaproponował Nybergowi kawę. Odmówił.

- Piję ponad dwadzieścia filiżanek kawy dziennie - wyjaśnił. - Żeby móc pracować. I żeby to wszystko wytrzymać.

- Bez kawy praca policjanta nie byłaby możliwa - przyznał Wallander.

- Ani żadna inna.

W milczeniu zastanawiali się nad rolą kawy w życiu. Goście przy sąsiednim stoliku podnieśli się i wyszli.

- Chyba nigdy nie spotkałem się z czymś takim jak ta zbrodnia - odezwał się nagle Nyberg.

- Ja też nie. Brutalna i bez sensu. Nie mogę się doszukać motywu.

- Być może on zabija dla samej frajdy zabijania - powiedział Nyberg. - Planuje i inscenizuje straszliwe zbrodnie.

- Niewykluczone, że masz rację - zgodził się Wallander. - Ale w jaki sposób Svedberg tak szybko wpadł na jego trop? Nie mogę tego zrozumieć.

- Jest tylko jedno sensowne wytłumaczenie. Że Svedberg wiedział, kto się za tym kryje. Albo kogoś podejrzewał. Tym większej wagi nabiera pytanie, dlaczego nikomu nie powiedział. Może jest najważniejsze.

- Czy to był ktoś, kogo znaleźliśmy?

- Niekoniecznie. Jest i inna ewentualność, że Svedberg nie znał sprawcy. Nawet nikogo nie podejrzewał. Ale bał się, że to ktoś, kogo zna.

Wallander przyznał mu rację. Podejrzenie i obawa nie musi w tym przypadku oznaczać tego samego.

- To by wyjaśniało, dlaczego potajemnie prowadził dochodzenie - kontynuował Nyberg. - Obawiał się, że to ktoś, kogo zna. Może ktoś, z kim jest blisko. Ale nie wiedział na pewno. Chciał mieć pewność, zanim się z nami podzieli. Albo chciał zatuszować całą sprawę, jeżeli podejrzenie okazałoby się uzaśniane.

Wallander patrzył z uwagą na Nyberga. Ujrzał nagle ukryty dotąd przebieg wydarzeń.

- Przyjmijmy pewną hipotezę - powiedział. - Svedberg dowiedział się o zaginięciu młodych ludzi. Po kilku dniach potajemnie rozpoczął prywatne śledztwo. Prowadził je przez cały urlop. Dopóki nie został zabity. Przypuśćmy, że powodowała nim obawa, która zapewne brała się z podejrzenia. Załóżmy nawet, że wiedział, kto kryje się za zaginięciem. Ale nie musiał wcale wiedzieć, że oni nie żyją.

- Wątpię, żeby wiedział - wtrącił Nyberg. - Musiałby wtedy się do nas zwrócić. Svedberg na pewno nie robiłby z tego tajemnicy.

Wallander przytaknął. Nyberg miał rację.

- Czyli nie wiedział, że nie żyją. Ale był w strachu. Z określonego powodu. Przypuśćmy, że zdobył pewność. Doszło do konfrontacji. I co się stało?

- Został zamordowany.
- Sprawca zatarł ślady. Z początku wyglądało to na włamanie. Brakowało teleskopu. Odnaleźliśmy go później w szopie Sture Björklunda.
- Drzwi - powiedział Nyberg. - Jestem przekonany, że ten, kto zamordował Svedberga, został wpuszczony do mieszkania. Może nawet miał własne klucze.
- Zatem Svedberg go znał. Ten ktoś bywał u niego wcześniej.
- W dodatku wiedział, że Svedberg ma kuzyna, Björklunda. Usiłował odwrócić naszą uwagę, ukrywając teleskop u Björklunda w szopie.
Podeszła kelnerka z rachunkiem. Wallander nie chciał przerywać rozmowy.
- Czy istnieje jakiś wspólny mianownik? W zasadzie mamy tylko dwie osoby: Brora Sundeliusa i nieznaną kobietę o imieniu Louise.
Nyberg pokręcił głową.
- Tych morderstw nie popełniła kobieta - stwierdził. - Mimo że ostatnio też tak uważaliśmy i nie mieliśmy racji.
- Z pewnością nie jest to robota Sundeliusa - uzupełnił Wallander. - Choruje na nogi. Głowę ma w porządku. Ale zdrowie nie najlepsze.
- W takim razie to ktoś, kogo nie znamy. Svedberg musiał mieć inne bliskie osoby.
- Czas się cofnąć. Od jutra zacznę badać przeszłość Svedberga.
- Chyba słusznie - zgodził się Nyberg. - A tymczasem przyjdą wyniki badań technicznych. Między innymi odciski palców. Myślę, że jutro będziemy już więcej wiedzieli.
- Broń też jest ważna - dodał Wallander. - Pistolet i rewolwer.
- Wester z Ludviki jest bardzo uprzejmy - powiedział Nyberg. - Robi, co może, żeby mi pomóc.
Wallander sięgnął po rachunek. Nyberg chciał go podzielić na pół.
- Może wpisać w koszty reprezentacji? - zaproponował Wallander.
- Wątpię, żeby to przeszło.
Wallander sięgnął po portfel. Nie mógł znaleźć. Natychmiast ujrzał go przed sobą. W kuchni, na stole.
- W dalszym ciągu cię zapraszam. Niestety, zostawiłem w domu portfel.
Nyberg wyciągnął portfel z wewnętrznej kieszeni. Miał przy sobie dwieście koron. Rachunek opiewał na dwa razy tyle.
- Za rogiem jest bankomat - podsunął Wallander.
- Nie używam tego rodzaju kart - powiedział stanowczo Nyberg.
Kelnerka zgasiła i zapaliła światło, potem podeszła do stołu. Byli ostatnimi gośćmi. Nyberg wyciągnął policyjną legitymację. Oglądała ją nieufnie.
- Nie udzielamy kredytów - oświadczyła.
- Jesteśmy z policji - zaprotestował Wallander. - Po prostu zapomniałem z domu portfela.
- Nie udzielamy kredytów - powtórzyła kelnerka. - Jeżeli nie zapłacicie, muszę to zgłosić.
- Gdzie zgłosić?
- Na policję.
Wallander się zachnął. Nyberg go powstrzymał.
- To może być interesujące.
- Zapłacicie czy nie? - spytała kelnerka.
- Najlepiej będzie, jeśli pani zadzwoni na policję - odparł uprzejmie Wallander.
Kelnerka poszła zatelefonować. Przedtem zamknęła na klucz drzwi wyjściowe. Po chwili wróciła do stołu.
- Policja już jedzie - zakomunikowała. - Nie wolno wam wyjść.

Po pięciu minutach przed restauracją przystanął policyjny wóz. Weszli dwaj funkcjonariusze. Jednym z nich był Edmundsson. Wlepił oczy w Wallandera i Nyberga.

- Mamy mały problem - wyjaśnił Wallander. - Zapomniałem w domu portfela. Nyberg ma za mało gotówki. Pani, która obsługuje, nie udziela kredytów. Legitymacja Nyberga nie zrobiła na niej większego wrażenia.

Edmundsson zrozumiał. Wybuchnął śmiechem.

- Ile wynosi rachunek? - zapytał.

- Czteryście koron.

Wyciągnął portfel i zapłacił.

- To nie moja wina - tłumaczyła się kelnerka. - Szef zabronił udzielania kredytu.

- Kto jest właścicielem? - zapytał Nyberg.

- Nazywa się Fredriksson. Alf Fredriksson.

- Duży i gruby? Mieszka w Svarte?

Kelnerka przytaknęła.

- Znam go - stwierdził Nyberg. - Miły facet. Proszę go pozdrowić od Nyberga i Wallandera.

Kiedy wyszli na ulicę, radiowozu już nie było.

- Dziwny ten sierpień. Już piętnasty i ciągle jeszcze ciepło.

Rozstali się na rogu Hamngatan.

- Nie wiemy, czy znowu nie zaatakuje - powiedział Wallander. - To jest najgorsze.

- Dlatego musimy go schwycić - odparł Nyberg. - Najszybciej, jak się da.

Wallander powoli szedł do domu. Rozmowa z Nybergiem dużo mu dała. Mimo to, nie był w dobrym nastroju. Nie chciał się przed sobą przyznać, że przygnębiła go reakcja Thurnberga i rozmowa z Lisą Holgersson. Może był niesprawiedliwy dla prokuratora? Może to on miał rację, że ktoś inny powinien przejąć śledztwo?

W domu zaparzył sobie kawę i usiadł przy kuchennym stole. Termometr za oknem wskazywał dziewiętnaście stopni. Położył przed sobą notes i pióro. Szukał okularów. Znalazł jedną parę pod kanapą.

Z filiżanką kawy w ręku obszedł kilka razy dookoła stół w kuchni, jakby chciał wprowadzić się we właściwy nastrój przed przystąpieniem do zadania.

Robił to po raz pierwszy.

Miał napisać mowę na pogrzeb zamordowanego kolegi.

Już żałował, że wziął to na siebie.

Jak opisać uczucie, jakiego doznał tydzień temu, patrząc na swojego kolegę z odstrzeloną twarzą?

W końcu usiadł i zaczął pisać. Wrócił pamięcią do dnia, kiedy po raz pierwszy zetknął się ze Svedbergiem. Ponad dwadzieścia lat temu. Już wtedy Svedberg był łysy.

Napisał połowę. Potem wszystko podarł i zaczął od początku.

Skończył po pierwszej w nocy. Tym razem był zadowolony.

Wyszedł na balkon. Miasto było ciche. Nadal było bardzo ciepło. Myślał o rozmowie z Nybergiem. Myśli wędrowały. Nagle ujrzał przed sobą Isę Edengren skuloną w grocie, w której, będąc dzieckiem, mogła się schronić. Ale potem już nie.

Wallander wszedł do mieszkania. Drzwi balkonowe zostawił otwarte.

Nie mógł się pozbyć jednej myśli.

Że mężczyzna przebywający gdzieś w ciemności znowu zaatakuje.

Przyszło dużo paczek. Listy polecane i przekazy pieniężne z zagranicy. Zanim wszystko zaksięgował, była prawie druga.

W poprzednim życiu byłby zirytowany, gdyby praca zajęła mu więcej czasu, niż się spodziewał. Teraz się nie przejmował. Wielka zmiana, która w nim nastąpiła, spowodowała, że stał się niewrażliwy na upływ czasu. Zrozumiał, że nie istnieje coś takiego jak czas przeszły. Ani przyszły. Tym samym nie można tracić czasu. Ani na nim zyskać. Liczy się jedynie działanie.

Odstawił pocztową torbę i skrzynkę z kasą. Wziął prysznic i przebrał się. Nie jadł od rana, od czasu kiedy pojechał do rozdzielni sortować listy. Ale nie czuł głodu.

Pamiętał to z dzieciństwa. Nigdy nie był głodny, kiedy bardzo na coś czekał.

Przeszedł do wytłumionego pokoju i zapalił wszystkie światła. Zanim rano wyszedł, starannie zaścielił łóżko. Rozłożył koperty na ciemnoniebieskiej narzucie. Usiadł po turecku pośrodku łóżka. Listy czytał już wcześniej. To był pierwszy krok. Wybrać te, które przyciągały. Otworzyć ostrożnie, nie niszcząc koperty. Skopiować. Następnie przeczytać. Nie wiedział dokładnie, ile listów otworzył, skopiował i przeczytał w minionym roku. Ale musiało ich być ze dwieście. Większość była bez znaczenia. Nic niemówiące, nudne. Dopóki nie otworzył pierwszego listu od Leny Norman do Martina Boge.

Przerwał wspomnienia. Już po wszystkim. Nie musiał o tym więcej myśleć. Ostatnia faza była trudna i męcząca. Najpierw długa podróż samochodem do Óstergötlandu. Potem skradał się po ciemku, z latarką, w poszukiwaniu odpowiedniej łodzi. Na tyle dużej, żeby mógł nią popłynąć na małą wyspę w samym środku zatoki.

Wszystko to było uciążliwe. A on nie lubił trudności. Trudność oznaczała opór. Starał się tego unikać.

Patrzył na rozłożone na łóżku listy.

Pomysł, żeby wybrać parę, która zamierzała się pobrać, przyszedł mu do głowy dopiero w maju. Zupełnym przypadkiem. Jak wiele innych rzeczy w życiu. W poprzednich latach - kiedy był inżynierem - w jego życiu nie było miejsca na przypadek. Teraz się to zmieniło. Zbieg okoliczności jawił się w życiu człowieka jako nieprzerwany strumień nieoczekiwanych możliwości. Mógł sobie wybierać, co chciał. Albo też nie.

Mały spinacz na skrzynce na listy, który oznaczał prośbę o kontakt, nic mu nie mówił. Kiedy zapukał do drzwi i wszedł do kuchni, leżało w niej ponad sto zaproszeń na ślub. Kobieta, która go wpuściła, wychodziła za mąż. Nie pamiętał, jak się nazywała. Ale pamiętał jej radość i to go rozwścieczyło. Zabrał listy, żeby je nadać. Gdyby nie to, że zajęty był skomplikowanymi przygotowaniami do zaplanowanego na noc świętojańską przyjęcia, być może włączyłby się do ślubnej imprezy, na którą opiewały zaproszenia.

Jednak przypadki, które napotykał, dawały mu ciągle nową szansę. Wszystkich sześć kopert zawierało zaproszenia na ślub. Wcześniej czytał ich listy. Poznał tych, którzy mieli się pobrać. Wiedział, gdzie mieszkają, jak wyglądają i gdzie wezmą ślub.

Teraz pozostawało najważniejsze.

Miał wybrać parę, którą uzna za najszcześniejszą.

Przeglądał koperty, jedną za drugą. Przypominał sobie, jak wyglądali, ich listy do siebie i do przyjaciół. Zwlekał z decyzją, rozkoszując się chwilą. Panował. W wytłumionym pokoju znalazł schronienie przed wszystkim, co w poprzednim życiu sprawiało mu ból.

Wyobcowaniem, brakiem zrozumienia. Tu, w środku, był nawet w stanie myśleć o wielkiej katastrofie. O dniu, w którym stał się niepotrzebny i został wykluczony.

Teraz już nic nie było trudne. Prawie nic. Jeszcze ciągle nie mógł znieść myśli, że przez ponad dwa lata się poniżał. Odpowiadał na ogłoszenia, wysyłał dokumenty i odbywał niezliczoną ilość rozmów kwalifikacyjnych.

A potem uwolnił się jednym szarpnięciem. Odciął od wszystkiego, co było wcześniej. Stał się kimś innym.

Wiedział, że dopisało mu szczęście. Dzisiaj już nie mógłby zostać zastępcą listonosza. Zamrożono etaty. Zwalniano ludzi. Widział to, kiedy jeździł po okolicznych miasteczkach. Ludzie siedzieli w domach i czekali na listy. Coraz więcej było wykluczonych. Nie wiedzieli, że mogą się wyłamać i poczuć wolni.

Ostatecznie zdecydował się na parę, która wyprawiała wesele w sobotę, siedemnastego sierpnia, w pobliżu Kópinge-bro. Zaprosili dużo gości. Nie pamiętał już, ile przygotowali zaproszeń. Byli oboje w domu, kiedy przyszedł je odebrać. Ich szczęście nie miało granic. Tym razem z trudem zachował spokój. Miał ochotę z miejsca ich zabić. Ale jak zwykle się opanował. Pogratulował im. I nikt nie zauważył, co naprawdę myślał.

Najważniejsza z ludzkich umiejętności - sztuka panowania nad sobą.

To będzie pamiętny dzień. Tak jak wigilia najdłuższego dnia roku.

Nikt nie zrozumiał. Nikt się nie domyślił. A on raz jeszcze udowodnił, że potrafi ująć całość.

Odłożył listy i wyciągnął się na łóżku. Myślał o wszystkich listach, które ludzie w tej chwili piszą. Listach, które wpadną w jego ręce, kiedy będzie opróżniał pocztową skrzynkę. I które wybierze, otworzy i przeczyta.

Strumień przypadków nadal będzie płynął w jego stronę.

Wystarczyło wyciągnąć rękę.

W piątek rano Wallander na serio przystąpił do analizowania życia Svedberga. Krótco po siódmej zjawił się w komendzie i zabrał się do roboty z uczuciem silnej niechęci. Nie wiedział, czego szuka, ale wiedział, że chciałby znaleźć punkt w życiu Svedberga, który doprowadziłby go do przyczyny, dla której został zamordowany. Było to jak szukanie śladów życia w człowieku, który już zmarł.

Zanim jednak podjął tę żmudną i niewdzięczną pracę, zapukał do drzwi Ann-Britt Hóglund. Mimo wczesnej pory, była już na miejscu. Wręczył jej tekst napisany poprzedniej nocy, z prośbą o wnikliwą lekturę i komentarz. To w końcu ona miała wygłosić mowę, nie on. Kiedy wyszedł z pokoju, pomyślał, że może powinien być z nią porozmawiać o Thurn-bergu. Ale dał spokój. Dowie się od kogoś innego. W komendzie pogłoski szybko się rozchodzą.

Pierwszym krokiem w życiu Svedberga był telefon do Ylvy Brink. Właśnie wróciła do domu po nocy spędzonej w szpitalu. Spytał, czy nie zamierza się położyć. Może zadzwonić później. Ale trzymała go przy telefonie. Mówiła, że źle sypia. We śnie nachodziły ją myśli o Svedbergu. Miała nadzieję, że to się zmieni po powrocie męża w następnym tygodniu. Nie mógł być na pogrzebie, nie dostał wolnego.

- Zacznę sypiać, jak wróci - powiedziała. - Od czasu kiedy to się stało, jestem wystraszona.

Wallander rozumiał. Prosił, żeby mu opowiedziała o życiu Svedberga. O rodzicach i okresie dorastania. Właściwie wolałby ją mieć naprzeciwko siebie, a nie przy telefonie. Zastanawiał się, czy nie poprosić, żeby przyjechała. Mogli wysłać po nią wóz. Poprzestał w końcu na rozmowie telefonicznej. Notował bez przerwy, zapisywał stronę po stronie swym niewyraźnym pismem. W drzwiach dwa razy pojawił się Martins-son, raz Nyberg. Rozmowa trwała blisko godzinę. Ale tak naprawdę się zainteresował, dopiero gdy doszła do okresu sprzed dwudziestu lat. Przerzywał tylko wtedy, kiedy mówiła za szybko lub kiedy chciał, żeby powtórzyła jakieś nazwisko. Rozmawiając, uświadomił sobie, że Ylva musiała rozmyślać o życiu Svedberga, przywoływać wspomnienia, być może szukać wytłumaczenia tego, co się wydarzyło. Kiedy skończyli rozmawiać, miał spocony policzek. Poszedł się umyć do toalety. Potem szybko przejrzał notatki i zanotował nazwiska osób, z którymi chciał się skontaktować. Najbardziej interesujący wydawał mu się Jan Soderblom. Według Ylvy Brink, Svedberg kolegował się z nim w okresie, kiedy odbywał służbę wojskową, i potem, kiedy został policjantem. Przeszali się widywać, kiedy Soderblom się ożenił i przeprowadził. Nie wiedziała, czy do Landskrony, czy do Malmö. Zainteresował go również fakt, że Söderblom również został policjantem. Właśnie miał dzwonić do komendy w Malmö, kiedy w drzwiach stanął Nyberg. Widać było po nim, że coś się stało.

- Nareszcie się ruszyło - powiedział, machając wydrukami z faksu. - Możemy zacząć od broni. Pistolet skradziony w Ludvice mógł być bronią, której użyto w rezerwacie.

- „Mógł być”?

- Załóżmy, że ten sam.

- Dobrze - przyznał Wallander. - To nam było potrzebne.

- No i odciski palców - kontynuował Nyberg. - Na strzelbie mamy wyraźny odcisk prawego kciuka. W rezerwacie zabezpieczyliśmy również odcisk kciuka na kieliszku.

- Ten sam kciuk? - Tak.

- Mamy go u nas?

- Nie w szwedzkim rejestrze. Ale zanim się poddamy, ten kciuk przemierzy cały świat.

- Więc to ten sam człowiek - stwierdził powoli Wallander. - Zawsze to już coś.

- Na teleskopie znalezionym u Björklunda nie było odcisków palców. Poza odciskami Svedberga.

- Czyżby on sam schował teleskop?

- Niekoniecznie. Ten, kto to zrobił, mógł mieć rękawiczki.

- Wspomniałeś o kciuku na strzelbie - powiedział Wallander. - Czy tego kciuka nie było w innych miejscach w mieszkaniu Svedberga? Musimy dojść do tego, kto spowodował ten bajzel. Czy sprawca, czy sam Svedberg? A może jeden i drugi?

- Musimy jeszcze trochę poczekać. Ale siedzą nad tym.

Wallander podniósł się i oparł o ścianę. Czuł, że jest coś więcej.

- Jaki to typ broni?

- Marka nazywa się Astra Constable. W kraju jest trochę tych pistoletów. Są popularne w Niemczech.

- Skradziony w Ludvice? I nigdy nie znaleziono podejrzanego?

- Wielokrotnie rozmawiałem o tym z Westerem. Mówi dialektem z Dalarny, więc nie zawsze wszystko rozumiem.

Wysłał mi wszystkie dokumenty dotyczące sprawy. Policja umorzyła śledztwo. Nie mieli żadnego tropu. Stwierdzili jedynie, że podobna kradzież miała miejsce kilka dni wcześniej w Orsie. Ale tam też nie schwytali sprawcy.

- Broń łatwo przehandlować.

- Przeszukujemy rozmaite rejestry, żeby sprawdzić, czy pistolet nie został użyty w innych okolicznościach. Napad na bank czy coś w tym rodzaju. To byłby jakiś ślad.

- W każdym razie możemy wykluczyć, że Svedberg dokonał włamania w Ludvice i w Orsie - powiedział Wallander. - Albo kupił broń, albo nie należała do niego.

- Na strzelbie nie było odcisków palców Svedberga. To może coś oznaczać. Ale nie musi.

- I tak zrobiliśmy duży krok do przodu - stwierdził Wallander. - Mamy tego samego sprawcę.

- Może powinniśmy wysłać papierek do prokuratora - zaproponował z uśmiechem Nyberg. - Ucieszy się.

- Albo będzie rozczarowany, że nie zasługujemy na złą opinię, którą nam wyrobił. Ale jasne, że dostanie raport.

Nyberg wyszedł z pokoju. Wallander chwycił za telefon i zadzwonił do Malmö. Pracował tam rzeczywiście policjant Jan Soderblom. Był inspektorem kryminalnym i zajmował się głównie przestępstwami dotyczącymi własności. Okazało się, że jest na urlopie. Wallander dowiedział się, że przebywa na jakiejś greckiej wyspie i wraca w środę, w następnym tygodniu. Wallander zostawił wiadomość, że jak najszybciej musi się z nim skontaktować. Zapisał sobie domowy numer Soderbloma. Właśnie odkładał słuchawkę, kiedy do drzwi zapukała Ann-Britt Hóglund. Trzymała w ręku jego przemówienie.

- Już przeczytałam - powiedziała. - Uważam, że jest szczerze i wzruszające. Obie te rzeczy są nierozłączne. Nikt nie płacze, słuchając pustej mowy na temat wieczności i światła zwyciężającego ciemność.

- Nie za długie? - zaniepokoił się Wallander.

- Czytałam sobie na głos. Zajęło mi niecałe pięć minut. Nie znam się na mowach pogrzebowych. Ale uważam, że jest dobra.

Zanim wyszła, Wallander opowiedział jej o wiadomościach od Nyberga.

- To naprawdę duży krok naprzód - przyznała. - Gdybyśmy jeszcze mogli znaleźć tego lub tych, którzy ukradli broń.

- To będzie trudne. Ale naturalnie nie trzeba się poddawać. Zastanawiam się właśnie, czy nie opublikować zdjęć broni. Pistoletu i strzelby.

- Konferencja prasowa jest o jedenastej. Do Lisy bez ustanku wydzwanają media. Może wtedy poruszymy kwestię broni. Co mamy do stracenia, jeśli połączymy oba morderstwa

- Svedberga i młodych ludzi? Będzie z tego afera, jakiej ten kraj dawno nie widział.

- Masz rację - przyznał Wallander. Przyjdę o jedenastej.

Przystanąła w drzwiach.

- Kobieta. Tajemnicza Louise, której nikt nie widział. Rozmawiałam przed chwilą z Martinssonem. Przychodzi dużo informacji. Ale ciągle nie jest zidentyfikowana.

- To dziwne. A właściwie niepojęte. Mieliśmy spróbować z Danią.

- Dlaczego nie z Europą?

- Dobrze. Ale zacznijmy od Danii. Teraz. W tej chwili.

- Jadę do Lundu przeszukać pokój Leny Norman w akademiku. Mogę poprosić Hanssona.

- Nie Hanssona - zaproponował Wallander. - Ciągle jeszcze szuka zaginionych samochodów.

Musimy znaleźć kogoś innego.

- Potrzebujemy posiłków - stwierdziła Ann-Britt Hóglund.

- I to szybko. Według Lisy ludzie z Malmö będą tu po południu.

- Brakuje Svedberga - dodał Wallander. - Po prostu. Nie przyzwyczailiśmy się jeszcze do tego, że go nie ma.

Przez dłuższą chwilę milczeli. Potem zniknęła za drzwiami.

Wallander otworzył okno. Nadal było ciepło. Wiał lekki wiatr. Odezwał się telefon. Dzwoniła Ebba. Miała zmęczony głos. Wallander pomyślał, że w ciągu ostatnich lat wyraźnie się zestarzała. Kiedyś zawsze podtrzymywała ich na duchu. Teraz często była przygnębiona. Zdarzało się, że zapominała przekazać informacje. Za rok przechodzi na emeryturę. Trudno to sobie wyobrazić.

- Dzwoni jakiś Larsson z policji w Valdemarsviku - poinformowała. - Wszyscy są zajęci. Możesz przyjąć rozmowę?

Larsson był aspirantem, mówił dialektem z Östergötlandu.

- Harry Lundström powiedział, że chce pan wiedzieć, czy z Grytu nie zginęła jakaś łódź. Tej nocy, kiedy na Barnsö została zastrzelona dziewczyna.

- Zgadza się.

- Jest jedna, która pasuje. Zginęła w Snackvarpie. Właściciel nie wie dokładnie kiedy, bo nie było go w domu. Wczoraj została odnaleziona w zatoce, zaraz na południe od Snackvar-pu.

Sześciometrowa łódź z konsolą sterowniczą.

Wallander nie czuł się pewnie w tej dziedzinie.

- Czy jest wystarczająco duża, żeby dopłynąć do Barnsö?

- Jak nie dmucha, to dopłynie aż na Gotlandię.

- Dałoby się zdjąć jakieś odciski palców? - spytał komisarz po namyśle.

- Już to zrobiłem - odparł policjant. - Na kierownicy było trochę oleju. Mamy kilka wyraźnych palców. Są już w drodze do was, prawdopodobnie przez Norrköping. To działka Harry'ego.

- Jest dojazd do miejsca, gdzie znaleziono łódź? - zapytał Wallander.
- Stała w szuwarach. Dziesięć minut pieszo od Snackvar-pu. Żwirową drogą.
- To ważna informacja.
- Co poza tym? Złapiecie mordercę?
- Na pewno. Trochę to musi potrwać.
- Nigdy nie widziałem tej dziewczyny. Ale kilka lat temu miałem do czynienia z Edengrenem.
- Z jakiej okazji?
- Kłusownictwo. Zarzucał sieci i przynęty na węgorze na cudzych wodach.
- Myślałem, że łowić można wszędzie?
- Tam jest podział łowisk. Ale on się tym nie przejmował. Szczerze mówiąc, to zarozumiały cham. Ale teraz mi go szkoda. Z powodu córki.
- To wszystko? Kłusownictwo?
- O ile mi wiadomo, tak.

Wallander podziękował za telefon. Następnie zadzwonił do Harry'ego Lundstróma do Norrkópingu. Podano mu numer komórki.

Złapał go w samochodzie, w okolicy Vikbolandu. Wallander zawiadomił go o zidentyfikowaniu broni, którą się posłużono w rezerwacie. Wkrótce mieli się dowiedzieć, czy ta sama broń została użyta na Barnsö. Lundström zakomunikował, że nie udało się zabezpieczyć śladów na wyspie. Był przekonany, że sprawca posłużył się łodzią skradzioną w Snackvarpie.

- Ludzie w archipelagu się niepokoją. Musicie znaleźć tego, kto to zrobił.
- Jasne - przyznał Wallander. - Musimy go znaleźć. I znajdziemy.

Po skończonej rozmowie przyniósł sobie kawę. Było wpół do dziesiątej. Uderzyła go pewna myśl. Wrócił do pokoju i odszukał numer Lundbergów w Skarby. Odebrała żona. Uświadomił sobie, że nie rozmawiał z nimi od czasu, kiedy zamordowano Isę. Zaczął od złożenia wyrazów współczucia.

- Erik ciągle leży. Nie ma siły wstać. Mówi o sprzedaży domu i przeprowadzce. Jak można coś takiego zrobić dziecku?

Więc Isa była dla nich jak własna córka, pomyślał Wallander. Mogłem się tego domyślić. Niewiele się od niego dowiedziała. Mimo to czuł, że nie oskarża go o to, co się stało.

- Dzwonię, żeby zapytać, czy wrócili rodzice.
- Wrócili wczoraj wieczorem.

- Chciałem się tylko upewnić - powiedział Wallander. Raz jeszcze złożył wyrazy współczucia i zakończył rozmowę.

Postanowił udać się do Skarby zaraz po konferencji prasowej. Najchętniej pojechałby teraz, ale było za mało czasu. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Thurnberga. Nie wspominając o tym, co usłyszał poprzedniego wieczoru, zreferował wyniki technicznej ekspertyzy. Prokurator wysłuchał go w milczeniu. Najważniejsze, że teraz mogą się skoncentrować tylko na jednym sprawie, oznajmił na zakończenie Wallander. Thurnberg domagał się pisemnego raportu. Komisarz przyrzekł, że go dostanie.

- O jedenastej jest konferencja prasowa - przypomniał Wallander. - Uważam, że powinniśmy ujawnić posiadane informacje. I opublikować zdjęcia odnalezionej broni.
- Czy mamy już zdjęcia?
- Przyjdą najpóźniej jutro.

Thurnberg nie zgłaszał zastrzeżeń. Miał być obecny na konferencji. Rozmowa była krótka i oficjalna. Wallander poczuł, że się spocił.

Spotkanie z prasą odbyło się w największej sali. Wallander już dawno nie widział takiego zainteresowania mediów. Jak zawsze, kiedy wchodził na podium, był podenerwowany. Ku jego zdziwieniu, pierwszy zabrał głos Thurnberg. Nigdy wcześniej się nie zdarzyło, żeby prokurator występował na początku. Per Akesson zawsze pozostawiał to Wallanderowi lub szefowi policji. Stwierdził, że Thurnberg dobrze sobie radzi z dziennikarzami. Nowe czasy, pomyślał

Wallander. Sam nie wiedział, czy złośliwie, czy z nutą zazdrości. Uważnie słuchał prokuratora i musiał przyznać, że potrafi mówić.

Później przyszła jego kolej. Zapisał sobie kilka punktów na kartce papieru. Teraz, naturalnie, nie mógł jej znaleźć. Mówił o broni. O tropie z Ludviki, powiązaniu z włamaniem w Or-sie i że w dalszym ciągu czekają na potwierdzenie, czy ta sama broń została użyta na Barnsó, w óstergotlandzkim archipelagu. Nagle, nie wiadomo dlaczego, przyszedł mu na myśl Westin, z którym płynął na wyspę pocztowym statkiem. Powiedział również o skradzionej łodzi. Kiedy skończył, zaczęły się pytania. Było ich wiele. Na większość odpowiadał Thurnberg. Od czasu do czasu Wallander robił krótki wtęt. Martins-son słuchał, stojąc w głębi sali.

Na końcu poprosiła o głos dziennikarka jednej z popołudniówek. Wallander jej nie znał.

- Rozumiem, że policja nie ma żadnego tropu - zwróciła się bezpośrednio do Wallandera.

- Mamy wiele tropów - odpowiedział. - Ale nie twierdzą, że jesteśmy bliscy schwytania sprawcy.

- Z tego, co słyszę, wynika, że policja jeszcze nic nie działała. Poza tym zastanawiam się, czy nie istnieje ryzyko, że

sprawca znów zaatakuje. Jest chyba jasne, że mamy do czynienia z szaleńcem.

- Nie potrafię powiedzieć - odparł Wallander. - Dlatego szukamy w różnych kierunkach i dopuszczamy wszelkie ewentualności.

- To brzmi jak strategia. Ale równie dobrze może być wyrazem bezradności.

Wallander rzucił wzrokiem na Thurnberga, który niedostrzegalnym skinieniem głowy dał mu znak, żeby kontynuował.

- Policja nigdy nie jest bezradna - powiedział Wallander. - Gdyby tak było, nie byłibyśmy policjantami.

- Ale zgadza się pan, że poszukujecie szaleńca?

- Nie.

- A kogóż innego?

- Jeszcze nie wiemy.

- Czy sądzi pan, że schwytacie tego, który to zrobił?

- Bez wątpienia.

- Czy on znów zaatakuje?

- Tego nie wiemy.

Zapanowała chwilowa cisza. Korzystając z niej, Wallander wstał z krzesła. Odczytano to jako znak, że konferencja jest zakończona. Wallander domyślał się, że Thurnberg chciał ją zakończyć bardziej formalnie. Ale zanim prokurator zdążył z nim porozmawiać, Wallander już wyszedł z sali. W recepcji czekała telewizja, żeby przeprowadzić wywiad. Komisarz skierował ich do Thurnberga. Ebba doniosła mu później, że z przyjemnością udzielał wywiadów przed kamerami.

Wallander poszedł do pokoju po kurtkę. Chciał coś zjeść, zanim pojedzie do Skarby. Ciągłe myślał o tym, dlaczego podczas konferencji przypomniał mu się Westin. To musiało coś znaczyć. Usiadł za biurkiem i usiłował przywołać myśl. Nie przychodziła. Dał za wygraną. Kiedy włożył kurtkę, w kieszeni coś zabrzęczało. Dzwonił Hansson.

- Znalazłem samochody. Leny Norman i Bogego. Toyota rocznik dziewięćdziesiąty pierwszy i o rok starsze volvo. Na parkingu przy Sandhammaren. Już rozmawiałem z Nybergiem. Jest w drodze.

- Ja też.

Wyjeżdżając z Ystadu, Wallander zatrzymał się przy kiosku z kielbaskami, żeby coś przegryźć. Jak zwykle kupił litrową butlę wody mineralnej. Naturalnie zapomniał zażyć lekarstwo przepisane przez Góranssona. Nie miał go przy sobie. Wściekły zawrócił na Mariagatan. W przedpokoju leżała poczta. Kartka od Lindy, która odwiedzała przyjaciół w Hudviksvallu, i list od siostry, Kristiny. Wallander zaniósł pocztę do kuchni. Na odwrocie koperty był adres hotelu

w Kemi. Wiedział, że Kemi leży w północnej Finlandii. Zastanawiał się, co siostra tam robi. Odłożył to na później. Zażył lekarstwo i popił wodą. Kiedy wychodził z kuchni, jego wzrok padł na korespondencję na stole. Powróciła myśl o Westinie. Teraz ją pochwycił.

Było to coś, co Westin powiedział, kiedy płynęli łodzią na Barnsö. Co pracowało w podświadomości Wallandera, a teraz wypłynęło na powierzchnię.

Na próżno usiłował przywołać rozmowę w warkocie silnika. Westin powiedział coś ważnego. Ale wtedy nie zwrócił na to uwagi. Postanowił do niego zadzwonić. Ale najpierw chciał obejrzeć odnalezione auta.

Kiedy Wallander wysiadł z samochodu, Nyberg był już na miejscu. Toyota i Volvo stały zaparkowane obok siebie. Teren odgrodzono policyjną taśmą. Ktoś robił zdjęcia. Drzwi i bagażniki były otwarte. Wallander podszedł do Nyberga, który wyciągał torbę z samochodu.

- Dzięki za wczoraj.

- W siedemdziesiątym trzecim roku odwiedził mnie stary przyjaciel ze Sztokholmu - powiedział Nyberg. - Jednego wieczoru poszliśmy do knajpy. Od tamtej pory nie jadłem poza domem.

Wallander przypomniał sobie, że jeszcze nie oddał pieniędzy Edmundssonowi.

- W każdym razie było przyjemnie.

- Już się rozeszło, że przyłapali nas, bo nie chcieliśmy zapłacić rachunku - rzucił Nyberg.

- Byle to nie dotarło do Thurnberga. Bo jeszcze uwierzy. Wallander podszedł do Hanssona, który coś notował.

- Nie ma wątpliwości, że to nasze samochody?

- Toyota należy do Leny Norman. Volvo do Martina Boge.

- Jak długo tu stoją?

- Trudno powiedzieć. W lipcu na parkingu jest ciągły ruch samochodów. Dopiero w sierpniu, kiedy ruch maleje, widać te, które tylko stoją.

- Można jakoś ustalić, czy są tu od nocy świętojańskiej?

- Musisz zapytać Nyberga.

Wallander wrócił do Nyberga, który stał, wpatrując się w toyotę.

- Najważniejsze są odciski palców - stwierdził Wallander. - Ktoś przyprowadził samochody z rezerwatu.

- Ten, kto zastawił odciski na kierownicy łodzi, mógł również zostawić pamiątkę na kierownicy samochodu.

- Miejmy nadzieję.

- To oznacza, że sprawca jest przekonany, że jego odcisków nie ma w żadnym rejestrze. Ani w kraju, ani poza granicami.

- Myślałem o tym - powiedział Wallander. - Miejmy nadzieję, że się mylisz.

Wallander nie był już potrzebny. Kiedy mijał zjazd w stronę domu ojca, nie mógł się powstrzymać, żeby nie skrócić. Przy podjeździe stała tabliczka, że dom jest na sprzedaż. Na jej widok poczuł się nieswojo.

Właśnie dojechał do Ystadu, kiedy zadzwoniła komórka.

Była to Ann-Britt Hóglund.

- Jestem w Lundzie - poinformowała. - W mieszkaniu Leny Norman. Myślę, że powinienes przyjechać.

- A co takiego?

- Zobaczysz, jak przyjedziesz. Wydaje mi się, że to coś ważnego.

Wallander zanotował adres i ruszył w drogę.

Dom leżał na skraju Lundu. Miał cztery piętra i należał do zespołu pięciu budynków. Kiedyś, wiele lat temu, kiedy był w Lundzie z Lindą, pokazała mu je, mówiąc, że są to mieszkania studenckie. Gdyby kiedyś studiowała w Lundzie, mieszkałaby w takim domu. Przeszły go ciarki na myśl, że to Linda mogłaby teraz leżeć w rezerwacie.

Nie musiał szukać wejścia. Przed jednym z domów stał zaparkowany radiowóz. Wallander włożył komórkę do kieszeni i wysiadł. Na trawniku przed domem opalała się kobieta. Wallander chętnie by się koło niej położył i chwilę zdrzemnął. Zalewały go ciężkie fale zmęczenia. W sieni stał policjant i ziewał. Wallander pomachał legitymacją. Policjant obojętnie wskazał na schody.

- Na samej górze. Nie ma windy.

Znowu ziewnął. Wallander poczuł nagłą ochotę, żeby przywołać go do porządku. Był jego przełożonym, przybył z innego miasta. Ścigali sprawcę pięciu morderstw. A ten ziewa i ledwie się wita.

Ale nic nie powiedział. Wszedł na schody. Dom wydawał się opuszczony, tylko z jednego mieszkania dochodziła głośna, ostra muzyka. Był sierpień. Jesienny semestr jeszcze się nie rozpoczął. Drzwi do mieszkania Leny były uchylone. Wallander nacisnął dzwonek.

Wpuściła go Ann-Britt. Na próżno usiłował wyczytać coś z jej twarzy.

- Chyba zbyt dramatycznie mówiłam przez telefon - tłu maczyła się. - Ale wkrótce zrozumiesz, dlaczego chciałam, żebyś przyjechał.

Wszedł za nią do mieszkania. Było długo niewietrzone. Czuł charakterystyczne suche powietrze, które wielokrotnie napotkał w niewietrzonych betonowych domach. Czytał kiedyś w amerykańskiej gazecie policyjnej o nowych metodach FBI, które pozwalały dokładnie określić, jak długo mieszkanie nie było wietrzone. Zastanawiał się, czy Nyberg znał tę technikę.

Raz jeszcze, na myśl o Nybergu, przypomniał sobie, że musi oddać pieniądze, które pożyczył od Edmundssona.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi i ciasnej kuchni. Pokój dzienny służył jednocześnie jako pokój do pracy. Przez okna wpadało słońce. W nieruchomym powietrzu wolno wirowały cząsteczki kurzu. Ann-Britt podeszła do ściany. Poszedł za nią. Wisiały tam liczne zdjęcia. Włożył okulary i przyjrzał

się im z bliska. Od razu poznał Lenę Norman. Ubrana - jak sądził - w dziewiętnastowieczny strój, bierze udział w jakiejś zabawie. Na tym samym zdjęciu był Martin Boge. Stali w ogrodach zamkowych, na tle fasady zamku z czerwonej cegły. Następne zdjęcie i kolejna zabawa w innym otoczeniu. Znowu rozpoznał Lenę Norman. Była też Astrid Hillström. Tym razem są we wnętrzu. Na wpół ubrane. Domyślił się, że scena miała przedstawiać dom publiczny. Ani Lena Norman, ani Astrid Hillström nie były przekonujące w swoich rolach. Wallander wyprostował się i rzucił okiem na ścianę.

- Bawią się, odgrywając role.

- W tym jest coś więcej - powiedziała Ann-Britt i podeszła do biurka pod oknem. Było zavalone teczkami i plastikowymi okładkami. - Przekopałam się przez to niezbyt dokładnie. Ale to, co zobaczyłam, zaniepokoiło mnie.

Wallander powstrzymał ją gestem dłoni.

- Zaczekaj chwilę. Muszę się napić wody. I skorzystać z toalety.

- Mój ojciec miał cukrzycę - oświadczyła zniecierpliwiona. Wallander przystanął.

- Dlaczego to mówisz?

- Czasem myślę, że ty też na to chorujesz. Stale pijesz i biegasz do toalety.

Przez moment Wallander miał ochotę przerwać milczenie i powiedzieć prawdę. Zamiast tego zamruczał coś niewyraźnie i wyszedł do kuchni. W toalecie nie ustawał szum wody przelewającej się ze zbiornika.

- Coś jest nie tak z pływakiem - stwierdził. - Ale to nie nasz problem.

Spojrzała na niego, jakby w dalszym ciągu czekała, że powie, jak jest naprawdę.

- Boisz się czegoś - zauważył. - Dlaczego?

- Powiem ci, czego się dowiedziałam. Na pewno jest dużo więcej. Trzeba tylko systematycznie wszystko przejrzeć.

Wallander usiadł na krześle przy biurku. Ann-Britt stała.

- Przebierają się - ciągnęła. - Urządzą zabawy. Sięgają do minionych epok. Niekiedy wybiegają w przyszłość. Ale rzadko. Niewątpliwie jest to trudniejsze. Nikt nie wie, jak ludzie będą się ubierać za tysiąc lat. Ani za pięćdziesiąt. To wszystko już o nich wiemy z rozmów z przyjaciółmi. A ty od Isy Edengren. Wiemy również, że wypożyczali stroje w Kopenhadze. Ale za tym wszystkim kryje się coś głębszego.

Wzięła do ręki jedną z teczek. Okładkę pokrywały geometryczne znaki.

- Wygląda na to, że byli członkami jakiejś sekty - mówiła dalej. - Z korzeniami w Ameryce. W Minneapolis znajduje się coś w rodzaju głównego oddziału. Taka współczesna wersja Łoży Wolnomularskiej. Albo Ku Klux Klanu. Albo coś jeszcze innego. W tej teczce jest regulamin - przerażająca lektura. Coś w rodzaju listów z pogroźkami, jakie czasami przynoszą nam ludzie, którzy przerwali list łańcuszkowy albo piramidę. Tego, kto złamie tajemnicę, spotka straszliwa kara - najpewniej śmierć. Płacą składkę do centrali i za to otrzymują wskazówki, jak urządzać zabawy. Jak strzec tajemnicy. Do tego dochodzi również pewien wymiar duchowy. Jeśli dobrze zrozumiałam, to ludzie poruszający się w czasie będą mogli w momencie śmierci wybrać czas, w którym pragną ponownie się narodzić. To bardzo nieprzyjemna lektura. Wynika z niej, że Lena Norman była kimś w rodzaju przywódcy szwedzkiej komórki.

Wallander słuchał bardzo uważnie. Ann-Britt miała ewidentny powód, żeby go ściągnąć do Lundu.

- Czy ten ruch ma jakąś nazwę?

- Nie wiem, jak to przetłumaczyć. W USA nazywają się „Divine Movers”. Samo zachowanie tajemnicy jest formą praktyki religijnej. Niepłacenie składek do głównego oddziału równa się naruszeniu podstawowych zasad wiary. Wszystko to niesłychanie mętne.

- Jak zwykle, kiedy w grę wchodzi sekta.

Wallander przerzucał kartki. Wszędzie było pełno geometrycznych znaków. A także wizerunków bożków i storturowanych, poćwiartowanych ludzkich ciał. Z niesmakiem odłożył teczkę.

- Sądysz, że to, co nastąpiło w rezerwacie, było przejawem działania okrutnego wymiaru sprawiedliwości? Że złamali tajemnicę? I dlatego zginęli?

- W naszych czasach nie można tego wykluczyć.

Wallander wiedział, że ona ma rację. Nie tak dawno w Szwajcarii grupa ludzi popełniła zbiorowe samobójstwo. W jakiś czas później ta sama sekta we Francji powtórnie złożyła w ofierze ludzkie istnienia. W miarę, jak czasy stawały się coraz cięższe, w Europie w szybkim tempie wzrastała liczba sekt. Nie omijało to i Szwecji. Nie dalej jak w maju Martinsson brał udział w konferencji w Sztokholmie, gdzie dyskutowano o policyjnych aspektach tego

zjawiska. Do sekt trudno było dotrzeć. Ich członkowie nie gromadzili się dzisiaj wokół pojedynczych, zaburzonych przywódców. Były to dobrze zorganizowane przedsiębiorstwa, z zastępem adwokatów i skomputeryzowaną księgowością. Członkowie dobrowolnie zaciągali pożyczki, by opłacać składki, na które w rzeczywistości nie było ich stać. Psychiczny szantaż, który często uprawiały sekty, nie był dostatecznym powodem, żeby ich działalność uznać za przestępczą. Kiedy Martinsson wrócił z konferencji, oznajmił Wallanderowi, że trzeba by stworzyć całkiem nowe ustawodawstwo, aby dobrać się do tych, którzy manipulują cudzą psychiką, korzystając z narastającej społecznej bezradności.

Wallander zapamiętał swoją odpowiedź. Mówił, że okultyzm, religijne mrzonki i negowanie rzeczywistości zawsze pojawiały się w okresach ekonomicznych kryzysów. Wiele lat wcześniej, siedząc na balkonie u Rydberga, rozmawiali o słynnej w latach trzydziestych bandzie z Sali. Tam element mistyczny reprezentował Magiczny Krąg. Zgadzała się co do tego, że banda z Sali była możliwa właśnie w latach trzydziestych. A nie dziesięć lat wcześniej czy później.

Być może wkraczamy w czasy przypominające lata trzydzieste, pomyślał. Tylko jeszcze bardziej bezwzględne.

- To bardzo ważne odkrycie. Będziemy potrzebowali wsparcia. Zarząd Komendy Głównej ma specjalistów od nowych sekt. Jeśli chodzi o „Divine Movers”, potrzebna nam będzie pomoc z USA. Przede wszystkim jednak należy zmusić zamieszanych w to młodych ludzi do mówienia. Nawet gdyby mieli złamać swoją dobrze strzeżoną tajemnicę.

- Muszą składać przysięgę - powiedziała, kartkując papiery. - Potem trzeba zjeść kawałek surowej końskiej wątroby.

- Przed kim składali tę przysięgę?

- Tu w Szwecji chyba przed Leną Norman.

Wallander pokręcił głową.

- Przecież ona nie żyje. Ona - przywódca grupy - miała złamać tajemnicę? Ma jakiegoś następcę?

- Nie wiem. Może znajdziemy coś więcej w papierach. Po dokładnym przeczytaniu.

Wallander wstał i wyrzwał przez okno. Samotna kobieta w dalszym ciągu opalała się na trawie przy wejściu. Pomyślał raptem o kobiecie, którą spotkał w kawiarni w Vasterviku. Szukał w pamięci jej imienia. Erika. Wspomnienie wywołało w nim nieokreśloną tęsknotę.

- Może nie powinniśmy za bardzo się tego czepiać - powiedział z roztargnieniem. - Nie zapomnijmy o innych hipotezach.

- Jakich?

Nie odpowiedział. Oboje wiedzieli, że innych nie było. Szukali pojedynczego szaleńca. Jak zawsze, kiedy brakowało śladów.

- Jakoś nie widzę w tym wszystkim Svedberga - kontynuował. - Svedberg jako członek dziwacznej sekty, wierzącej w reinkarnację? Svedberg, który się przebiera, składa przysięgę i zjada surową końską wątrobę? W żaden sposób nie mogę sobie tego wyobrazić. Nawet jeżeli okazał się inny niż człowiek, którego znaliśmy.

- Nie musiał w tym bezpośrednio uczestniczyć - wtrąciła Ann-Britt Hóglund. - Mógł znać kogoś, kto w tym był.

Wallander zaczął raptem myśleć o Westinie, pływającym listonoszu. Szukał tego, co Westin powiedział w czasie rejsu łodzią. Nadal nie mógł znaleźć.

Poprosił, żeby powtórzyła, co przed chwilą powiedziała.

- To całkiem możliwe - stwierdził po zastanowieniu. - Svedberg jest gdzieś na peryferiach. Jego droga krzyżuje się z kimś, kto ma powiązanie z sektą. Tajemnica zostaje złamana. Przybywa

patrol śmierci. Svedberg jest sam w terenie i szuka tropu. Jest niespokojny. Boi się, że jego przecucia się sprawdzą. A potem jego drogę ktoś przecina jeszcze raz. I wtedy ginie.

- To nie brzmi zbyt prawdopodobnie.

- Równie mało prawdopodobnie jak to, że zamordowano czworo młodych ludzi i jednego policjanta.

- Gdzie można dostać końską wątrobę? Może powinniśmy się skontaktować ze skańskimi rzeźnikami?

- Właściwie potrzebna jest nam tylko jedna informacja. Jak we wszystkich skomplikowanych dochodzeniach. Jedno, jedyne pytanie, które domaga się odpowiedzi, a ta z kolei porusza lawinę kolejnych wydarzeń.

- Kto stał za drzwiami Svedberga?

Skinął głową.

- Właśnie to. Nic poza tym. Odpowiedź na nie to odpowiedź na wszystko. Może oprócz motywu. Ale do motywu można dojść od końca.

Wrócił do stołu i usiadł.

- Czy już pytałaś Duńczyków o naszą słynną Louise?

- Zdjęcie zostanie wysłane jutro. Najwyraźniej jednak napisano już dość dużo o całej sprawie. Nie tylko w Danii, lecz w całej Europie. I w Stanach. Dziś w nocy Lisę obudził ktoś z gazety w Teksasie.

- Kiedyś dzwonił do mnie - powiedział sarkastycznie Wallander. - „Expressen” za piętnaście trzecia, „Aftonbladet” w pół do czwartej. Albo na odwrót. I potem już ciurkiem.

Wstał z krzesła.

- Musimy dokładnie przeczesać mieszkanie. Piwnicę i strych. Co do mnie, to chyba jestem bardziej potrzebny w Ystadzie. Trzeba jeszcze dziś powiadomić o sekcje Interpol i Amerykanów. Martinsson będzie zachwycony.

- Jego marzeniem jest zostać federalnym agentem w Ameryce. A nie kryminalnym asystentem w Ystadzie.

- Wszyscy mamy marzenia - zauważył Wallander, niezręcznie próbując bronić Martinssona. Zaczął zbierać teczki i papiery ze stołu. Ann-Britt przyniosła z kuchni reklamówkę. Wyszli do ciasnego przedpokoju.

- Nie opuszcza mnie uczucie, że coś przeoczyłem - wyznał Wallander. - Mówimy o poszukiwaniu punktu, gdzie krzyżują się drogi. Punktu styczego. Mam wrażenie, że jest tuż-tuż. I nie mogę go zidentyfikować. Ma coś wspólnego z tym, co powiedział Westin.

- Westin?

- Płynąłem z nim na Barnsó. Doręcza pocztę na szkiery. Staliśmy w kokpicie. Nie mogę sobie przypomnieć, co to było.

- Dlaczego do niego nie zadzwonisz?

- Nie będzie pamiętał, co powiedział.

- Może uda się odtworzyć rozmowę? Na sam dźwięk jego głosu może ci się przypomnieć to, co uciekło.

- Być może masz rację - zgodził się Wallander bez przekonania. - Zadzwonię do niego. Przypomniał sobie nagle o innym głosie, który pojawił się w śledztwie.

- Co jest właściwie z Lundbergiem? A raczej z człowiekiem, który się za niego podawał? Tym, który dzwonił do szpitala i pytał, jak Isa się czuje?

- Przekazałam to Martinssonowi. Zamieniliśmy się niektórymi zadaniami. Już nie pamiętam, co to było. Zajęłam się czymś, na co on nie miał czasu. Obiecał porozmawiać z pielęgniarką w szpitalu.

Wyczuł w jej głosie krytykę. Mieli za dużo roboty. Piętrzyły się niewykonane zadania.

- Dziś mają przyjechać ludzie z Malmö - przypomniał. -Może już są w Ystadzie i zapoznają się z sytuacją.

- Długo tak nie pociągniemy - stwierdziła. - Nie ma czasu pomyśleć, przyjrzeć się szczegółom, sprawdzić, czy się czegoś nie pominęło. Co to za praca, gdzie chodzi tylko o to, żeby możliwie jak najsprawniej odwalić swoją robotę? Kto chce tak pracować?

- Nikt - odparł Wallander, wziął reklamówki i zszedł po schodach.

Kobieta sprzed wejścia zniknęła. Wallander jechał w kierunku Ystadu. Raz jeszcze przebiegł w myślach wszystkie wydarzenia. Co oznaczało odkrycie w mieszkaniu Leny Norman? Czy ich zabawy odwoływały się do czegoś, co sięgało dużo głębiej, niż dotąd przypuszczali?

Wrócił myślą do okresu sprzed paru lat, kiedy Linda przechodziła coś w rodzaju religijnego kryzysu. Było to bezpośrednio po jego rozwodzie z Moną. Linda była równie zagubiona jak on. Wieczorami stał pod jej drzwiami, wsłuchując

się w stłumione mamrotanie, które brał za modlitwę. W jej pokoju znalazł książki, które opisywały działalność scjentolo-gów. Wtedy przeląkł się naprawdę. Usiłował z nią rozmawiać, ale na próżno. W końcu zajęła się nią Mona. Nie wiedział, jak do tego doszło. Ale pewnego dnia mamrotanie za drzwiami ucichło. Linda wróciła do swoich zainteresowań i postanowiła się nauczyć zawodu tapicera.

Wstrząsnął nim dreszcz grozy. Działalność wielu sekt powstałych w ostatnich dziesięcioleciach kierowała się twardymi zasadami biznesu. Religia i okultyzm stały się towarem. Pamiętał, jak jego ojciec z pogardą wyrażał się o łowcach dusz. O tych fałszywych prorokach, zastawiających sidła na nieszczęsne ofiary.

Czyżby odpowiedź na ich pytania znajdowała się w materiałach zapakowanych w reklamówki? Docisnął mocniej gaz. Musiał się śpieszyć.

Pierwsze, co zrobił po powrocie do komendy, to zwrócił Edmundssonowi pożyczone poprzedniego wieczoru pieniądze. Później udał się do sali zebrania, gdzie Martinsson wprowadzał w trwające śledztwo trzech policjantów przydzielonych z Malmö. Wallander znał jednego z nich. Nazywał się Rytter, miał około sześćdziesiątki i był inspektorem kryminalnym. Dwóch pozostałych - młodszych - widział po raz pierwszy. Wallander przywitał się i wyszedł. Ponieważ między USA i Szwecją było przynajmniej sześć godzin różnicy, prosił Martinssona, żeby skontaktował się z nim pod wieczór. W swoim pokoju zabrał się od razu do gruntownego przestudiowania zawartości plastikowych teczek i skoroszytów, znalezionych w mieszkaniu Leny Norman. Większość tekstów była napisana po angielsku. Musiał często zaglądać do słownika. Ta uciążliwa praca przyprawiła go o tępy ból głowy. Doszedł mniej więcej do połowy, kiedy do drzwi zapukał Martinsson. Minęła jedenasta. Martinsson był błądy i miał podkrążone oczy. Wallander zastanawiał się, jak sam wygląda.

- Jak leci? - zapytał.

- To zdolni policjanci. Szczególnie ten starszy, Rytter -odparł Martinsson.

- Szybko odczuwamy ich obecność - Wallander próbował dodać mu otuchy. - Odciążą nas.

Martinsson zmęczonym ruchem ściągnął krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli.

- Mam dla ciebie zadanie - powiedział Wallander.

Zreferował szczegółowo, co odkryli w mieszkaniu Leny Norman. Martinsson powoli się ożywił. Poczuł przypływ świeżej energii na myśl, że wkrótce skontaktuje się z amerykańskimi kolegami.

- Musimy uzyskać obraz organizacji - zakończył Wallander. - Trzeba naturalnie opisać tutejsze zajścia. Śmierć Svedberga i młodych ludzi. Opisz szczegółowo, jak wyglądało miejsce zbrodni. Weź od Nyberga plan sytuacyjny. Nas interesuje przede wszystkim, czy to im coś przypomina. Czy mieli u siebie coś podobnego? Trzeba jak najszybciej nawiązać kontakt.

Resztę możemy uzupełnić w ciągu jutrzejszego dnia. Musimy również skontaktować się z policją w Europie. Sekta działa zapewne nie tylko w Szwecji i Stanach.

Martinsson spojrział na zegarek.

- To nie najlepsza pora na kontakt z nimi. Ale spróbuję.

Wallander wstał i zaczął zbierać papiery. Wyszli razem, że by skopiować papiery, których jeszcze nie zdążył przeczytać.

- Po narkotykach, najbardziej boję się sekt - odezwał się raptem Martinsson. - Ze względu na dzieci. Że zostaną wciągnięte do religijnego koszmaru, z którego nie będą mogły się wyplątać. A ja nie będę mógł do nich dotrzeć.

- Był czas, kiedy martwiłem się o Lindę - odparł Wallander. - Właśnie z tego powodu.

Nie powiedział nic więcej. Martinsson nie pytał. Kopiarka się zatrzymała. Martinsson włożył świeży papier. Wallander pomyślał o Svedbergu.

- Svedberg został zaskarżony do rzecznika praw obywatelskich. Ostatnio o tym mówiliśmy. Znalazłeś coś na ten temat?

Martinsson spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Nie dostałeś dokumentów?

- Jakich dokumentów?

- Kopii skargi do rzecznika. Wysłali do nas pocztą, razem z decyzją.

- Nic nie dostałem.

- Powinna leżeć u ciebie w pokoju.

Wallander poszedł do pokoju, zostawiając Martinssona przy kopiarce. Zajrzał pod wszystkie teczki na stole. Od rzecznika nic nie było. Wszedł Martinsson z górą skopiowanych papierów.

- Znalazłeś?

- Nic nie ma.

Martinsson rzucił papiery na stół Wallandera.

- Papiery mają dziwną skłonność do znikania. To się skończy, kiedy wszyscy będą mieli komputery.

- To już nie dla mnie - stwierdził Wallander, który nadal nieufnie odnosił się do komputerów.

- We wrześniu mają próbnie wprowadzić KSD - powiedział Martinsson. - Będziesz musiał się tego nauczyć.

Wallander wiedział, że KSD oznacza komputerowy system dochodzeniowy. Nie wiedział jednak, co się za tym kryje. Zakładano, że dzięki komputeryzacji policja będzie w stanie oszczędzić co najmniej pół miliona godzin i poświęcić je na co innego. Z drugiej strony Wallander zastanawiał się, ile czasu pójdzie na marne z powodu takich jak on, którzy prawdopodobnie nigdy w pełni nie opanują nowego systemu.

Wallander wpatrywał się ponuro w kosz na papiery stojący obok biurka. Odczytał słowo „PRZYMDOK” na kartce, którą przed chwilą wyrzucił.

- „PRZYMDOK” - powtórzył głośno. - Czy to ma coś wspólnego z nowym systemem?

- Znasz to? - spytał przyjemnie zaskoczony Martinsson. - System dokumentacji środków przymusu i metod zatrzymania?

- Coś niecoś słyszałem - odparł wymijająco Wallander.

- Jak już się zacznie, to cię nauczę - przyrzekł Martinsson i wyszedł.

Po pięciu minutach był z powrotem, w rękę trzymał kilka stronic.

- Leżały u mnie - powiedział. - Nieporozumienie. Ludzie nie słuchają.

Wyszedł, żeby jak najszybciej nawiązać kontakt z amerykańską policją. Wallander przypuszczał, że odbywa się to

•}m

k

przez Interpol. A może Szwecja ma bezpośredni kontakt z FBI? Był bardzo słabo zorientowany w dziedzinie międzynarodowej współpracy policji, mimo że w ostatnich latach sam miał do czynienia z policją południowoafrykańską i lotewską. Zaczął czytać skargę skierowaną do rzecznika praw obywatelskich przeciwko Svedbergowi. Nosiła datę dziewiętnastego września 1985 roku. Przeszło dziesięć lat temu. Skargę złożył niejaki Stig Stridh, zamieszkały w Ystadzie. Pisana była na maszynie, w której nie działał klawisz z literą „e”. Stig Stridh donosił, co następuje: dwudziestego czwartego sierpnia wieczorem został pobity w domu przez brata. Brat, który okresowo pił, przyszedł z prośbą o pieniądze. Kiedy spotkał się z odmową, stracił panowanie nad sobą i go zaatakował. Wybił Stridhowi dwa zęby i podbił mu lewe oko. Następnie zdemolował salon i ukradł aparat fotograficzny. Po jego wyjściu Stridh zadzwonił na policję. Do mieszkania przyjechali dwaj policjanci, jeden z nich miał na nazwisko Andersson. Spisali protokół. Potem Stridh udał się do szpitala, gdzie go opatrzone. Kiedy pisał skargę do rzecznika, był już po wizycie u dentysty, który miał mu wstawić dwa nowe zęby. Dwudziestego szóstego sierpnia został wezwany do komendy na rozmowę z asystentem Karlem Evertem Svedbergiem. Svedberg oznajmił, że nie będzie dochodzenia, bo brak dowodów przeciwko bratu. Zdenerwowany Stig Stridh stanowczo zaprotestował. Ukradziono aparat, pokój był zdemolowany. Obaj policjanci stwierdzili, że był pobity. Svedberg w dalszym ciągu obstawał przy swoim. Według Stridha Svedberg był nieprzyjemny i bardziej straszył, niż ostrzegał, że koszty sprawy wytoczonej bratu mogą być wysokie. Po powrocie do domu Stridh napisał list do komendanta Bjórka w Ystadzie, w którym skarżył się na potraktowanie w komendzie. Kilka dni później Svedberg zjawił się u niego w domu i znów go postraszył. Wtedy Stridh się zląkł. Po rozmowie z przyjaciółmi postanowił złożyć skargę na asystenta Svedberga do rzecznika praw obywatelskich. Na tym zakończył.

Wallander czytał ze wzrastającym zdziwieniem. Nie rozumiał, jak Svedberg mógł komuś grozić. Nie dało się wytłumaczyć jego reakcji. Istniały wszelkie przesłanki, aby wszcząć postępowanie i postawić brata przed sądem. Przerzucał dalsze kartki. Znalazł odpowiedź Svedberga z datą: czwarty listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Była bardzo zwięzła. Svedberg twierdził, że działał zgodnie z regulaminem. Zaprzeczał stanowczo, jakoby straszył Stridha i w jakikolwiek sposób działał wbrew panującym w policji dobrym obyczajom.

Na końcu była decyzja rzecznika. Nie widział powodu do interwencji i oddalił skargę.

Wallander odłożył papiery. Zmarszczył czoło. Wstał i poszedł do Martinssona, który pisał na komputerze.

- Pamiętasz coś z tej historii ze Stridhem, która skończyła się skargą do rzecznika? - zapytał.

- Pamiętam, że Svedberg nie chciał o tym mówić - odpowiedział Martinsson po namyśle. -

Ulżyło mu, rzecz jasna, kiedy rzecznik oddalił skargę.

- Jeżeli Stridh mówi prawdę, to postępowanie Svedberga jest niezrozumiałe.

- On twierdził, że było odwrotnie.

- Musimy jutro znaleźć tamte papiery. Raport z dwudziestego czwartego sierpnia wieczorem.

- Czy warto na to tracić czas?

- Nie wiem. Jeden z policjantów, który był wtedy w mieszkaniu Stridha, nazywał się Andersson.

- Hugo Andersson.

- Co się z nim dzieje?

- Odszedł z policji i został szefem ochrony. Chyba w osiemdziesiątym ósmym roku. Na pewno można się dowiedzieć, gdzie jest teraz.

- Stridh nic nie wspomina o drugim policjancie. Ale jego nazwisko musi być w wieczornym raporcie. Pytanie, kto jeszcze może coś pamiętać?

- Może Bjórk?

- Pogadam z nim. Ale zacznę od Stridha. Jeśli jeszcze żyje.
- Nie rozumiem, czemu to takie ważne. Sprawa u rzecznika sprzed jedenastu lat, która nie miała żadnych następstw?

- Postępowania Svedberga nie da się wytłumaczyć - upierał się Wallander. - Umorzył postępowanie, które powinien był przeprowadzić. Groził. To wszystko jest niezrozumiałe. Dokładnie tego szukamy: nieznanymi cech Svedberga.

Martinsson się zgodził. Teraz rozumiał.

- Poproszę o pomoc kogoś z Malmö - powiedział Wallander.

Wrócił do swojego pokoju. Minęła północ. Nie pojechał do rodziców Isy Edengren. Było już za późno. Usiadł za biurkiem i szukał w książce telefonicznej numeru Stiga Stridha. Bez skutku. Już miał dzwonić do biura numerów, ale zabrakło mu energii. Zrobi to jutro. Teraz musi iść spać. Wziął kurtkę i wyszedł z komendy. Wiał słaby wiatr. Ale dalej było ciepło. Sięgnął po kluczyki od samochodu i otworzył drzwi. Nagle drgnął i spojrzał za siebie.

Nie wiedział, co go wystraszyło. Nasłuchiwał, próbując przebić wzrokiem ciemności panujące na parkingu, gdzie nie docierało światło latarni.

Nikogo oczywiście nie było. Wsiadł do samochodu.

Strach jest we mnie, pomyślał. Boję się, że ten ktoś jest w pobliżu.

Ktokolwiek to jest, jest dobrze poinformowany.

Strach jest we mnie. Strach, że znowu zaatakuję.

24

W sobotę rano, siedemnastego sierpnia, Wallandera obudził deszcz zacinający w szyby okna sypialni. Zegar na nocnym stoliku wskazywał wpół do siódmej. Słuchał spadających kropli. Białe światło brzasku sączyło się przez szczelinę w firance. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio padało. Musiało to być, zanim z Martinssonem znaleźli martwego Svedberga. Od tej nocy minęło już osiem dni. Niewymierny czas. Ani długi, ani krótki. Poszedł do ubikacji. Napił się wody w kuchni i wrócił do łóżka. Nie opuszczał go strach z poprzedniego wieczoru. Był równie silny i bez określonej przyczyny.

Piętnaście po siódmej był już wyprysznicowany i ubrany. Na śniadanie wypił kawę i zjadł pomidora. Deszcz już ustał. Termometr wskazywał piętnaście stopni. Chmury się rozprasały. Postanowił załatwić kilka telefonów z domu. Najpierw do Westina, a potem do biura numerów, żeby dostać telefon Stridha. Odszukał kartkę z numerem Westina. Miał nadzieję, że w sobotę nie rozwozi poczty. Mimo to pewnie już nie śpi. Wziął kawę do salonu i wybrał pierwszy z trzech numerów, które mu podał. Po trzecim sygnale odpowiedziała kobieta. Wallander się przedstawił, przepaszając, że dzwoni z samego rana.

- Zawolałam go - odparła. - Piłuje drewno.

Zdawało mu się, że z oddali dochodzi dźwięk piły tarczowej. Dźwięk ucichł. Teraz słyszał dziecięce głosy. Po chwili Westin podszedł do telefonu.

- Piłuje pan drewno - stwierdził Wallander.

- Może się ochłodzić prędej, niż nam się wydaje - powiedział Westin. - Co słychać? Staram się czytać gazety i oglądać telewizję. Częściej niż zwykle. Czy wiecie, kto to zrobił?

- Jeszcze nie. Potrzebujemy więcej czasu. Ale prędej czy później schwytemy sprawcę.

Westin milczał. Najwyraźniej przejrzał Wallandera. Jego optymizm był pusty w środku. A mimo to nieodzowny. Policjant pesymista niezwykle rzadko potrafi rozwikłać bardziej skomplikowane przestępstwa.

- Pamięta pan naszą rozmowę w drodze na Barnsö? - spytał Wallander.

- Którą z nich? - odparł Westin. - Zdaje mi się, że rozmawialiśmy przy wszystkich pomostach.

- Jedna rozmowa była dłuższa niż inne. Chyba pierwsza.

Nagle Wallander sobie przypomniał. Westin zwolnił. Było

to w drodze do pierwszego pomostu. A może drugiego. Wyspa miała podobną nazwę do Barnsó.

- To był pierwszy albo drugi pomost - podsunął Wallander. - Jak się nazywają wyspy?
- Haró albo Batmansó.
- Batmansó. Mieszka tam stary człowiek.
- Zetterqvist.

Wracała mu pamięć. Szczegóły nabierały konturów.

- Dopływaliśmy do pomostu. Mówił pan o Zetterqviście, który sam sobie zimą daje radę. Pamięta pan coś jeszcze?

Westin się zaśmiał. Jego śmiech był przyjazny.

- Mogłem powiedzieć cokolwiek.
 - Zdaję sobie sprawę, że to dziwnie brzmi - przyznał Wallander. - Ale to dla mnie ważne.
- Westin zorientował się, że Wallander mówi serio.

- Chyba pan pytał, jak mi się pracuje na statku.

- Zadam panu to samo pytanie: Jak się pracuje na statku pocztowym w archipelagu? Co pan na to odpowie?

- Ta praca pozostawia dużo swobody. Ale bywa uciążliwa. I nie wiem, jak długo jeszcze poczta będzie mnie trzymać. Wkrótce może znikną resztki usług dla ludności archipelagu. Zetterqvist wyznał mi kiedyś, że chciałby z góry zamówić dla siebie transport na cmentarz. Obawiał się, że inaczej będzie leżał w domu.

- Tego pan nie mówił. Bobym zapamiętał. Spróbujmy jeszcze raz: Jak się pracuje na statku pocztowym w archipelagu?

- O ile pamiętam, nic więcej nie mówiłem - powiedział z wahaniem Westin.

Wallander był przekonany, że mówił jeszcze coś. Zwykłe, codzienne zdanie. Coś w związku z rozwożeniem poczty i żywności na wyspy archipelagu.

- Pamiętam, że dopływaliśmy do pomostu - powtórzył Wallander. - Z niewielką prędkością. Wspomniał pan Zetterqvista. A potem coś jeszcze.

- Może mówiłem, że mam wszystkich na oku. Na przykład, jak kogoś nie ma na pomoście. Idę wtedy zajrzeć, czy coś się nie stało.

Prawie już ciepło, pomyślał Wallander. Ale powiedziałeś coś więcej, Lennarcie Westinie. Jestem tego pewien.

- Niczego innego sobie nie przypominam - stwierdził Westin.

- Nie poddawajmy się. Jeszcze nie. Proszę spróbować.

Ale Westin niczego innego nie pamiętał. Wallanderowi nie udało się więcej z niego wyciągnąć. Ani wypełnić luki, w której mogła znajdować się potrzebna mu informacja.

- Proszę jeszcze próbować - powtórzył Wallander. - I gdyby się panu coś przypomniało, proszę do mnie zadzwonić.

- Nie jestem ciekawski, ale dlaczego to takie ważne?

- Nie wiem - odpowiedział Wallander. - Wyjaśnię panu, jak będę wiedział. Przyrzekam.

Po skończonej rozmowie ogarnęło go nagłe uczucie zwątpienia. Nie tylko dlatego, że nie potrafił niczego wydobyć z Westina. Zapewne tylko sobie wmawiał, że brakujące słowa miały jakiegokolwiek znaczenie. Miał wielką ochotę się wycofać, poprosić Lisę Holgersson, żeby wyznaczyła kogoś innego na jego miejsce. Ale potem przypominał sobie Thurnberga. I powracała chęć walki. Zadzwoił do informacji po numer telefonu do Stiga Stridha. Nie było go w książce telefonicznej. Ale numer nie był zastrzeżony. Wallander zanotował numer i nowy

adres. Stig Stridh przeprowadził się na ulicę Cardell-gatan. Wybrał numer. Naliczył dziewięć sygnałów, zanim ktoś odebrał. Usłyszał starszy, rozwlekły głos.

- Stridh.

- Moje nazwisko Wallander, jestem z policji.

Odpowiedź Stridha zabrzmiała jak splunięcie.

- To nie ja zastrzeliłem Svedberga. Chociaż może powinienem to zrobić.

Wallander się oburzył. Stridh mógłby się pohamować, nawet jeśli Svedberg niewłaściwie postąpił.

- Dziesięć lat temu napisał pan skargę do rzecznika praw obywatelskich. Skarga nie została rozpatrzona.

- To było kompletne nieporozumienie - powiedział Stridh.

- Svedberga powinni byli zwolnić z pracy.

- Nie dzwonię po to, żeby dyskutować o decyzji rzecznika

- przerwał ostro Wallander. - Dzwonię, bo chcę usłyszeć od pana, co właściwie się wtedy stało.

- O czym tu gadać? Mój brat był zalany.

- Jak on się nazywa?

- Nisse.

- Czy mieszka w Ystadzie?

- Umarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Z powodów, które nikogo nie powinny dziwić.

Zapił się na śmierć.

Przez chwilę Wallander nie wiedział, co powiedzieć. Kontakt ze Stigiem Stridhem miał być krokiem wstępnym. Po nim miało nastąpić spotkanie z bratem, głównym bohaterem zajścia, w czasie którego Svedberg tak niezrozumiale się zachował.

- Przykro mi, że nie żyje - powiedział Wallander.

- Gównu panu przykro. Ale to nie ma znaczenia. Mnie też nie jest przykro. Przynajmniej mój salon jest cały. I nikt mi nie przyłazi o każdej porze dnia i nocy, żeby domagać się pieniędzy. W każdym razie nie tak często.

- O czym pan mówi?

- Nisse zostawił wdowę. Czy jak to nazwać.

- Albo jest wdowa, albo nie.

- Ona się za taką uważa. Ale nigdy nie byli małżeństwem.

- Mieli dzieci?

- Ona tak. Ale wspólnych nie mieli. I tym lepiej. Jedno z jej dzieci odsiaduje wyrok.

- Za co?

- Napad na bank.

- Jak on się nazywa?

- To jest ona. Ma na imię Stella.

- Czyżby pasierbica brata napadła na bank?

- A co w tym dziwnego?

- W naszym kraju kobieta obrabowująca bank to rzadkie zjawisko. Gdzie miał miejsce napad?

- W Sundsvallu. Oddała dużo strzałów w sufit.

Wallander coś sobie niejasno przypominał. Szukał czegoś do pisania.

- Musimy porozmawiać dokładniej. Albo w komendzie, albo u pana w domu - zaproponował.

- O czym mamy rozmawiać?

- Dowie się pan, jak się spotkamy.

- Jest pan prawie tak samo nieprzyjemny jak Svedberg.

Wallander poczuł wzbierającą irytację. Opanował się jednak.

- Mogę wysłać po pana radiowóz. Ale możemy również przeprowadzić rozmowę u pana w domu.

- Teraz? O wpół do ósmej rano, w sobotę?

- Ma pan jakąś pracę?

- Jestem na rencie.

- Mieszka pan na Cardellgatan - stwierdził Wallander. Będę tam za pół godziny.

- Czy policjanci mają rzeczywiście prawo nachodzić ludzi o każdej porze?

- Tak - odpowiedział Wallander. - Jeżeli zachodzi taka potrzeba. Mamy prawo budzić ludzi w nocy, jeśli uznamy to za konieczne.

Stridh zaczął protestować. Wallander odłożył słuchawkę.

Potem zjadł jeszcze jednego pomidora. Zmienił pościel w łóżku i pozbierał rozrzuconą po całym mieszkaniu brudną bieliznę. Myślamy błędził po wyspie, gdzie Lennart Westin piłował drewno. Po kawiarni Eryki. Dawno już nie spał tak dobrze jak w jej małym pokoiku. Pamiętał, kiedy równie dobrze sypiał. Wtedy kiedy Bajba odwiedzała go w Ystadzie. Albo gdy on sam jechał do Rygi.

Za pięć ósma opuścił mieszkanie. Nie wziął samochodu. Po drodze przystawał przed witrynami agencji mieszkaniowych. Znalazł zdjęcie domu ojca w Lóderupie. Doznał uczucia nostalgii, może smutku. Miał wyrzuty sumienia. Powinien był kupić ten dom, chociażby po to, żeby móc ofiarować go Lindzie. Wiedział, że jest za późno. Nigdy już tego nie zrobi.

Dziesięć po ósmej zadzwonił do drzwi Stridha przy Cardellgatan. Drzwi otworzyły się dopiero po trzecim dzwonku.

Stridh miał około sześćdziesiątki, był nieogolony. Koszula wylaziła mu z otwartego rozporoka, czuć było od niego wermutem.

- Chciałbym zobaczyć policyjny znaczek - oświadczył niechętnie.

- Ma pan pewnie na myśli legitymację - poprawił go Wallander, pokazując swoją kartę.

Weszli do mieszkania, w którym było równie nieposprzą-tane jak u Wallandera. Dwa koty przyglądały mu się nieufnie. Wallander natychmiast spostrzegł, że Stridh jest graczem.

Wszędzie poniewierały się stare programy gonitw. W przepelnionym koszu na papiery leżały poprzedziane kupony totolotka. Firanki w salonie były zaciągnięte, ekran telewizora wyświetlał telewizyjną gazetę.

- Nie proponuję kawy - powiedział Stridh. - Liczę, że rozmowa będzie krótka.

Wallander odsunął kota i usiadł na jednym z niewielu krzeseł wolnych od gazet i kuponów. Pamiętał, żeby wziąć ze sobą pióro i notes. Stridh na chwilę zniknął w kuchni. Wallander słyszał brzęk kapsła uderzającego o blat zlewozmywaka. Po chwili Stridh był z powrotem.

Wallander zadawał pytania. Stridh odpowiadał niechętnie i opieszale. Trwało to w nieskończoność. Cierpliwość Wallandera była na granicy wyczerpania. Zastanawiał się, czy Sved-berg podobnie reagował dziesięć lat wcześniej. Za dziesięć dziewiąta uzyskał wreszcie pewien obraz postaci Stiga Stridha i jego brata. Stig pracował kiedyś w koncernie rolniczo-spożywczym Lantmannen. Krótco po pięćdziesiątych urodzinach wypadł mu dysk. Długie okresy zwolnień chorobowych, zakończone operacją, spowodowały, że przeszedł na rentę inwalidzką. Był niegdyś żonaty i miał dwóch dorosłych synów, z których jeden mieszkał w Malmö, a drugi w Laholmie. Jego młodszy o trzy lata brat, Nils, wcześniej wpadł w alkoholizm. Zamierzał zostać wojskowym, ale wyrzucili go z wojska za powtarzające się ekscesy spowodowane nieumiarkowanym pićciem. Z początku Stig starał się okazywać mu wyrozumiałość. Z biegiem lat ich stosunki się pogarszały - między innymi dlatego, że Nils natarczywie domagał się pożyczek, których nigdy nie zwracał. Ostateczne zerwanie nastąpiło po wydarzeniu sprzed jedenastu lat. Później brat zaczął chorować na wątrobę, a po kolejnych kilku latach już nie żył. Wallander stwierdził, że został pochowany na tym samym cmentarzu co jego ojciec i Rydberg.

Jeśli chodzi o prywatne życie Nissego Stridha, dowiedział się, że przez wiele lat żył z kobietą, niejaką Rutą Lundin, w - delikatnie mówiąc - burzliwym związku. Ona również była nałogową pijaczką i nieraz zjawiała się po pieniądze u brata swego zmarłego męża. Wymyślała mu, kiedy odmawiał - wyjaśnił Stig Stridh. Ale nie demolowała mieszkania. I nie kradła. Z wcześniejszego związku miała syna i córkę. Syn wyszedł na ludzi - był sternikiem na promie na Alandię. Gorzej z córką. Odsiadywała wyrok w więzieniu dla kobiet w Hinsebergu za dwa napady z bronią na bank. Wallander zanotował adres Ruty Lundin. Mieszkała niedaleko, w czynszowej kamienicy na Malmövagen. Podczas rozmowy dwa razy dzwonił telefon. Wallander słyszał, jak Stridh mówił o koniach i rozmaitych wariantach obstawiania. Po każdej rozmowie telefonicznej znikał w kuchni. Słychać było brzęk kapsla na kuchennym blacie.

W końcu dotarli do okresu, który był powodem wizyty Wallandera - wydarzeń sprzed jedenastu lat.

- Nie musi pan szczegółowo opowiadać - powiedział komisarz. - Interesuje mnie wyłącznie jedno. Jak pan sądzi, dlaczego Svedberg umorzył postępowanie?

- Twierdził, że z braku dowodów. Co było oczywistą bzdurą.

- To już wiemy i nie musimy powtarzać. Pytanie brzmi: dlaczego według pana to zrobił?

- Bo był idiotą.

Wallander spodziewał się, że odpowiedzi będą go irytowały. Musiał zresztą przyznać, że zaciekłość Stridha była uzasadniona. Svedberg postąpił w sposób co najmniej dziwny. Czy da się to jakoś wytłumaczyć?

- Svedberg nie był idiotą - zaprzeczył Wallander. - I dlatego musi być jakieś wyjaśnienie. Czy zetknął się pan z nim wcześniej?

- Kiedy miałem się z nim zetknąć?

- Proszę odpowiadać na pytania - przywołał go do porządku Wallander.

- Nigdy wcześniej nie widziałem go na oczy.

- Czy miał pan kiedyś do czynienia z wymiarem sprawiedliwości?

- Nie.

Za szybko odpowiedział, pomyślał Wallander. Za szybko i nieprawdę.

- Ma pan mówić prawdę - rozkazał ostrym tonem. - W przeciwnym razie wyłącza pan za chwilę na komendzie.

Stridh potraktował to serio.

- Handlowałem trochę samochodami. W latach sześćdziesiątych. Była jakaś drobna afera w związku z samochodem, który rzekomo był skradziony. Nic poza tym.

Wallander postanowił mu uwierzyć.

- Czy Svedberg mógł kiedyś, przy innej okazji, poznać pańskiego brata? - pytał dalej.

- Całkiem możliwe. Tyle razy siedział za pijaństwo.

- Czy miał pan wrażenie, że tak było? Że Svedberg miał z nim jakieś wcześniejsze kontakty?

- Jedyne wrażenie, jakie miałem, to ból szczęki.

Stridh szeroko otworzył usta i postukał palcem w dwa zęby w górnej szczęce.

- Tu - powiedział. - Tu mnie bolało.

- Nie wątpię - odparł Wallander. - Ale teraz rozmawiamy o pańskim bracie. I Svedbergu. Czy pana brat kiedyś o nim wspominał?

- Nigdy. Pamiętałbym.

- Czy miał na sumieniu inne przestępstwa?

- Z pewnością tak. Ale siedział tylko za pijaństwo.

Wallander czuł, że Stridh mówi prawdę. Rzeczywiście nie wiedział, czy między jego bratem a Svedbergiem mogło istnieć jakieś wcześniejsze powiązanie.

To nie ma sensu, pomyślał. Wałę głową w mur. To do niczego nie prowadzi.
Zakończył rozmowę. Postanowił spotkać się z Rutą Lundin.

- Sądzi pan, że wdowa jest w domu?

- Jest, na pewno. Ale nie mogę dać głowy, że jest trzeźwa. Wallander wstał. Chciał jak najszybciej wyjść z dusznego mieszkania.

- Miałem rację - stwierdził Stridh w drodze do przedpokoju.

- Co do czego?

- Że Svedberg był idiotą. Ponieważ nie ma innego wytłumaczenia.

Wallander odwrócił się raptownie i pogroził mu palcem.

- Ktoś do niego strzelił - powiedział. - Prosto w twarz.

Z myśliwskiej strzelby. Svedberg był dobrym policjantem.

Między innymi dzięki niemu tacy jak ty mogą spokojnie żyć.

Nie wiem, co się stało wtedy, jedenaście lat temu. Wiem na

tomiast dwie rzeczy. Że Svedberg był dobrym policjantem.

I moim przyjacielem.

Stridh nic już więcej nie mówił. Wychodząc, Wallander trzasnął drzwiami tak, że zatrzęsły się ściany.

Na ulicy wciągnął głęboko powietrze, przewietrzając płuca po zatechłym zapachu mieszkania. Było piętnaście po dziewiątej. Zadzwoił do komendy i złapał Hanssona. Powiedział, że będzie najpóźniej o wpół do jedenastej. Szedł wzdłuż Malmövägen do domu Ruty Lundin. Po wizycie u Stridha bał się, co zastanie u niej w mieszkaniu.

Czekała go niespodzianka. Drzwi otworzyła mu blada, ale trzeźwa kobieta. Mieszkanie było posprzątane i wywietrzone. Rut Lundin była drobna i chuda. Jej uśmiech odsłaniał żółte zęby. Wallander usiłował sobie wyobrazić, jak to jest mieć córkę, która odsiaduje wyrok za napad na bank. Nie potrafił. Ale wyobrażał sobie jej ból.

Usiedli przy stole w kuchni. Zapropozowała mu kawę. Poprosił i od razu przystąpił do rzeczy. Co zapamiętała z wydarzeń sprzed dziesięciu lat? Co mówił mąż? Czy kiedykolwiek słyszała o policjancie Svedbergu?

- Mówi pan o tym zastrzelonym? -Tak.

- Słyszałam o nim tylko raz.

- Proszę opowiedzieć, jak to było, kiedy Stig został pobity.

- Nils przyszedł do domu w środku nocy i mnie obudził. Bał się. Myślał, że zabił brata. Można powiedzieć, że był jednocześnie pijany i trzeźwy. Miał wtedy swój najgorszy okres. Pił ostro od wielu tygodni. Bywał wtedy bardzo agresywny. Ale nigdy w stosunku do mnie. Kiedy tamtej nocy przyszedł do domu, zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił. I był w strachu.

- Brat powiedział, że ukradł mu aparat fotograficzny.

- Wyrzucił go po drodze. Nie wiem, czy ktoś znalazł.

- Co było dalej, kiedy wrócił do domu?

- Mówił o ucieczce. Twierdził, że zna kogoś, kto może zmienić jego wygląd. Był bardzo wzburzony.

- Ale nie uciekł?

- Nie było powodu. Zastanawiałam się naturalnie, co powinnam zrobić. W końcu doszłam do wniosku, że jest tylko jedno wyjście, a mianowicie zadzwonić do Stiga. I zadzwoniłam.

- Zadzwoiła pani do niego w środku nocy?

- Pomyślałam, że jeśli odbierze, to znaczy, że żyje. No i żył. Nils się po tym uspokoił. Rano, kiedy się obudziłam,

Nilsa już nie było. Myślałam, że poszedł po alkohol. Ale kiedy po jakimś czasie wrócił, był zupełnie trzeźwy. I w dobrym humorze. Powiedział, że nie musimy się martwić tym, co zaszło

w nocy. Rozmawiał z policją. Nie zostanie oskarżony. Nie będzie żadnych konsekwencji. Wallander zmarszczył czoło.

- Czy mówił, z jakimi policjantami miał kontakt? Czy wspomniał przy tej okazji Svedberga?

- Niczego takiego nie pamiętam. Powiedział „policja”. Bez nazwisk.

- I był pewien, że nie będzie dalszych następstw?

- Nils lubił się czasem przechwalać. Zagłuszał tym silne uczucie niepewności. Poczucie niższości, które towarzyszy większości alkoholików. „Ma się te kontakty”, mówił. „Dobrze mieć na każdego haka”.

- Jak pani to sobie tłumaczyła?

- Wcale sobie nie tłumaczyłam. Myślałam, że ta nocna historia nie była może taka straszna. Poczulałam naturalnie ulgę.

- Czyli nie wie pani, czy kiedykolwiek zetknął się ze Svedbergiem? Albo z innym policjantem, o którym by pani słyszała przy innej okazji?

- Nie.

- Co było później?

- Nic. Nils znowu zaczął chlać. I ja też.

- Czy w dalszym ciągu usiłował pożyczać pieniądze od brata?

Raptem zrozumiała, skąd się u niej wziął.

- Rozmawiał pan ze Stigiem, prawda? Dlatego pan do mnie przyszedł?

-Tak.

- Pewnie nie miał nic miłego do powiedzenia o swoim bracie. Ani o mnie.

- Ani o Svedbergu. Może pani słyszała, że skarżył się na niego do rzecznika. Ale skargę oddalono.

- Słyszałam.

- Więc Nils dalej pożyczał od niego pieniądze?

- A dlaczego miał nie pożyczać? Stig był i nadal jest bogaty. Ja też od niego biore, jak mam okresy picia.

- Co znaczy: bogaty? Czy można się dorobić na pracy w Krajowym Związku Producentów Żywności? Albo na rencie inwalidzkiej?

- Stig zgarnął milionowe wygrane na gonitwach konnych, ale jest skąpy. Oszczędza. Ciuła. W jego problemy z kręgosłupem to ja za bardzo nie wierzę.

- Powróćmy do tamtej nocy i waszej rozmowy - powiedział Wallander. - Nils przyszedł do domu. Był wzburzony, myśląc, że zabił brata. Zastanawiał się, czy nie uciec. Jeśli dobrze zrozumiałem, to twierdził, że zna kogoś, kto może zmienić jego wygląd. Co miał na myśli?

- Nisse znał wielu ludzi.

- Ktoś, kto potrafi zmieniać innym wygląd, powinien być lekarzem.

Przyglądała mu się z filiżanką kawy w ręku.

- Co pan właściwie wie o alkoholikach?

- Że jest ich dużo.

Odstawiła filiżankę na tacę.

- Jest nas dużo. I jesteśmy różni. Tłoczemy się przed sklepami monopolowymi. Widać nas w parkach, gdzie siedzimy z psami i z alkoholem w reklamówkach. Proletariackie mo czymordy, lepiej ich nie zauważać. Ilu ludzi wie, że na ławkach siedzą byli lekarze? Adwokaci? A czemu nie policjanci? Alkohol wytrącił ich z kolein. Teraz cała ich tożsamość wylądowała w reklamówce. Ale za tym kryje się coś innego. W pewnym sensie alkoholicy tworzą zbiorowość, w której nie obowiązują społeczne podziały. Dzielą się tylko na dwie grupy. Na tych, którzy mają alkohol. I tych, którzy go już wypili i jeszcze nie skombinowali następnego.

- Nils mógł więc znać lekarza?

- Jasne, że tak. Znał adwokatów, biznesmenów i dyrektorów banku. Niektórzy pili potajemnie. Potrafili utrzymać się w pracy. Czasami nikt nawet nie podejrzewał, że są alkoholikami. Niektórym udawało się z tym skończyć. Chociaż tych nie było wielu.

- Pamięta pani nazwiska tych ludzi?

- Niektórych. Z pewnością nie wszystkich.

- Chciałbym od pani dostać listę nazwisk.

- Wielu z nich miało tylko przezwiska.

- Proszę zapisać to, co pani pamięta.

- Potrzebuję trochę czasu. Wallander dopił ostatni łyk kawy.

- Mogę wrócić po południu - powiedział.

- Ale nie później niż o szóstej. Nie wytrzymam dłużej bez picia.

Spojrzała mu prosto w oczy. Wallander obiecał wrócić na czas. Podziękował za kawę i wstał zza stołu.

- Ciekawa jestem, czy potrafi pan zrozumieć, że może brakować takiego człowieka, jak Nisse - powiedziała powoli. - Pił przez całe życie. Nigdy nie zrobił nic pożytecznego. Same z nim były kłopoty. A jednak mi go brak.

- Sądzę, że potrafię to zrozumieć - odparł Wallander. - W człowieku zawsze jest jakaś cząstka, którą znają tylko nieliczni.

Widać było, że te słowa sprawiły jej przyjemność. Tak niewiele potrzeba, myślał, wychodząc na ulicę. Żeby zamiast ją potępić, wykazać coś w rodzaju zrozumienia. Dla niej to wielka różnica.

Poszedł w kierunku komendy. Powietrze było ciepłe, bez wiatru. W kiosku naprzeciwko szpitala wzrok przyciągały krzykliwe tytuły gazet: „Policja kolaboruje ze zorganizowaną przestępczością”. Szedł dalej. Czy posunął się do przodu? Co właściwie działał w ciągu przedpołudnia? Niewiele. Lennart Westin piłował drewno na swojej wyspie. Nie udało im się odnaleźć tego, czego Wallander szukał. Tego, czego istnienia nawet nie był pewien. Rozmowa ze Stigiem Stridhem doprowadziła go do Rut Lundin. Rut usiłuje sporządzić listę osób, z którymi spotykał się jej mąż. Wallander przystanął na chodniku. Ogarnęło go uczucie, że jest na fałszywym tropie. Czy przypadkiem nie prowadzi całego śledztwa w ślepy zaułek? Ale czy istnieje inna droga? Rozmyślał o tym w drodze do komendy. Wiedział, że na wiele pytań nadal nie mają odpowiedzi, a wiele teorii czeka na potwierdzenie. Nie wolno mu było tracić cierpliwości.

Kiedy przyszedł na miejsce, wszyscy najbliżsi współpracownicy już byli na miejscu. Obecni byli również trzej policjanci

z Malmö. Wallander skorzystał z okazji i tuż po jedenastej zwołał zebranie. Zaczął od relacji o próbie wyjaśnienia skargi na Svedberga, która przed jedenastoma laty wpłynęła do rzecznika praw obywatelskich. Martinsson uzupełnił informacją, że Hugo Andersson, policjant, który tamtego wieczoru był u Stridha, pracował w szkole w Varnamo jako woźny. Towarzyszący mu wtedy drugi policjant nazywał się Holmström i był dzielnicowym w Malmö. Wallander miał się z nimi skontaktować, zanim pojedzie do rodziców Isy Edengren.

Po naradzie Wallander i Hansson podzielili się pizzą. Tego dnia usiłował liczyć, ile razy pije wodę i korzysta z toalety. Ale dawno już stracił rachubę.

Z pewnym trudem udało mu się złapać Hugo Anderssona i Haralda Holmströma. Rezultat był mizerny. Żaden z nich nie pamiętał niczego, co mogłoby wyjaśnić rolę Svedberga w całym zajściu. Obaj uznali za dziwne, że Nisse Stridh uniknął oskarżenia. Ale to było dawno, szczegóły się zatarły. Wallander czuł, że nie chcą źle mówić o zmarłym koledze. Jeśli w ogóle było coś złego do powiedzenia. Z pomocą Martinssona zdobył raport spisany w czasie interwencji. Tam też nie znaleźli niczego nowego.

O czwartej zadzwonił do Bjórka, swojego byłego szefa, obecnie mieszkającego w Malmö. Po porcji plotek i wyrazach szczerego współczucia z powodu sytuacji, w jakiej znajdował się Wallander i jego koledzy, przez dłuższy czas rozmawiali o Svedbergu. Björk wybierała się na pogrzeb. Wallandera to zdziwiło, chociaż nie bardzo wiedział dlaczego. Na temat skargi do rzecznika Björk nie miał nic do powiedzenia. Nie pamiętał, dlaczego Svedberg umorzył postępowanie. Ponieważ jednak rzecznik nie podjął żadnych kroków, wszystko odbyło się zgodnie z przepisami.

O wpół do piątej Wallander wyszedł z komendy, by udać się do Skarby. Przedtem miał wstąpić do Rut Lundin i odebrać listę nazwisk, którą - miał nadzieję - przygotowała. Otworzyła natychmiast, jakby czekała na niego w przedpokoju. Widać było, że wypła. Wsunęła mu w dłoń zapisaną kartkę. Tyle zapamiętał. Nic więcej. Zrozumiał, że nie chce go wpuścić. Podziękował tylko i odszedł.

Przystanął na chodniku w cieniu drzewa i czytał jej dziecinnie zaokrąglone pismo. W środku listy od razu zauważył znajome nazwisko.

Bror Sundelius.

Wallander wstrzymał oddech.

Nareszcie coś się z czymś połączyło. Svedberg, Bror Sundelius, Nisse Stridh. Dalej już nie zdążył pomyśleć. Odezwał się telefon w kieszeni kurtki.

Dzwonił Martinsson. Głos mu drżał.

- Znowu się stało - powiedział. - Znowu się stało.

Była sobota, siedemnastego sierpnia. Za dziewięć minut piąta.

25

Wiedział, że ryzykuje.

Wcześniej się tego wystrzegął. Ryzyko było dla ludzi marnych. On przez całe życie uczył się, jak ująć cało. A jednak nie mógł się powstrzymać, żeby nie wystawić się na próbę. Przezorność jest jak struna. Gdy się długo na niej nie gra, łatwo pęka.

Ryzyko istniało, ale w jego kalkulacjach wydawało się minimalne. Tak minimalne, że prawie go nie było.

Cel, który wybrał, był doprawdy nęcący. Kiedy brał od nich zaproszenia na ślub, z trudem udało mu się opanować. Ich szczęście było tak wielkie, że spadło na niego jak cios. Jakby specjalnie chcieli go poniżyć.

Później przeczytał najważniejszy list. Kiedy się zorientował, że między ślubem w kościele a wieczornym przyjęciem młoda para w towarzystwie fotografa pojedzie na plażę zrobić ślubne zdjęcia - podjął decyzję. Fotograf bardzo dokładnie przedstawił swoją ofertę. Narysował mapkę wybranego przez siebie miejsca. Państwo młodzi się zgodzili. Mieli się fotografować o czwartej. Jeśli dopisze pogoda.

Udał się w opisane miejsce. Fotograf oznaczył je tak precyzyjnie, że nie mogło być mowy o pomyłce. Plaża była rozległa. Tuż obok znajdował się duży kemping. W pierwszej chwili wykonanie powziętego zamiaru wydało mu się niemożliwe. Kiedy jednak dotarł do wyznaczonego miejsca, zorientował się, że ryzyko zauważenia go jest bardzo niewielkie. Znajdował się między wysokimi wydmami. Na plażę przyjdą oczywiście inni ludzie. Ale podczas robienia zdjęć z pewnością będą trzymać się z daleka.

Najtrudniej było wymyślić sposób, żeby do nich podejść. Łatwiej później się wymknie. Do miejsca, gdzie zostawi samochód, jest niespełna dwieście metrów. Jeśli mu się nie powiedzie i zaczną go gonić, użyje broni. Ktoś może również zapamiętać samochód. Przygotuje więc trzy różne auta, które będzie potem kolejno zmieniał.

Kiedy po raz pierwszy opuszczał plażę, nie wiedział jeszcze, skąd nadejdzie. Za drugim razem dostrzegł możliwość, która mu wcześniej nie przyszła do głowy. Byłoby to wejście godne tej komedii szczęścia, którą on przekształcił w tragedię.

Nagle wszystko było już gotowe. Czas naglił. Trzeba ukraść i rozmieścić samochody. W ostatnią noc wykopać dołek, przykryć go plastikiem i cienką warstwą piasku. Tam będzie leżała broń. I ręcznik.

Jedynie, czego nie mógł przewidzieć, to pogoda. Ale tegoroczny sierpień był dotychczas piękny.

Wczesnym rankiem w sobotę, siedemnastego sierpnia, wyszedł na balkon. Deszcz powoli ustawał. Na pewno przejdzie do popołudnia. Wszystko pójdzie po jego myśli. Powrócił do wytłumionego pokoju, położył się na łóżku i raz jeszcze przebiegł w myślach wydarzenia, które miały nastąpić tego samego popołudnia.

O drugiej wzięli ślub w kościele, gdzie dziewięć lat wcześniej ona przystępowała do konfirmacji. Tamten pastor już nie żył. Ale mężczyzna, za którego wychodziła, miał w rodzinie pastora, który zgodził się udzielić im ślubu. Wszystko odbyło się zgodnie z planem, kościół był wypełniony rodziną i przyjaciółmi, a po ślubnych zdjęciach czekało ich huczne przyjęcie. Fotograf robił zdjęcia w kościele. W myślach miał już zaplanowane najważniejsze ujęcia - te na plaży. Wcześniej korzystał już kilka razy z tamtego miejsca. Ale nigdy jeszcze nie miał takiej pogody jak tego dnia.

Przyjechali na plażę około czwartej. Na kempingu, wśród namiotów i przyczep, kręciło się dużo ludzi. Na plaży bawiły się dzieci. W morzu pływał samotny mężczyzna. Zaparkowali samochód i poszli do wybranego miejsca. Panna młoda zdjęła buty i podciągnęła suknię, żeby się nie potknąć. Welon owineła dookoła szyi. Fotograf w kilka minut ustawił statyw i zamontował ekran odbijający światło oraz zmiękczający cienie. Nikt im nie przeszkadzał. Z daleka słychać było bawiące się dzieci i radio z kempingu. Samotny pływak był nadal w wodzie. Blżej brzegu.

Wszystko było gotowe. Fotograf stanął za aparatem. Pan młody trzymał w ręku kieszonkowe lusterko, w którym przeglądała się panna młoda, poprawiając welon. Pływak wychodził z wody. Jego ręcznik leżał na piasku. Usiadł obok ręcznika, plecami do nich. W lusterku wydawało się, że kopie dołek.

Wszystko było gotowe. Fotograf pokazywał, jak mają się ustawić. Rozważali, czy się uśmiechać, czy zachować powagę. Fotograf zaproponował różne warianty. Było dopiero dziewięć po czwartej. Mieli dużo czasu.

Kiedy zrobili pierwsze zdjęcie, człowiek z ręcznikiem nagle wstał i zaczął iść wzdłuż brzegu. Fotograf szykował się do następnego zdjęcia. Wtedy panna młoda zauważyła, że mężczyzna raptem zmienił kierunek. Fotograf miał właśnie pstryknąć, kiedy podniosła rękę. Najlepiej będzie poczekać, aż mężczyzna przejdzie. Szedł teraz prosto w ich stronę. Z przodu jedną ręką przytrzymał ręcznik. Fotograf skinął głową z uśmiechem, po czym odwrócił się do młodej pary. Mężczyzna odwzajemnił uśmiech. Jednocześnie unióś owinięty wokół broni ręcznik i strzelił mu w kark. Potem zrobił kilka szybkich kroków do przodu i zastrzelił młodą parę. Jedynie, co było słychać, to kilka suchych trzasków. Rozejrzał się dookoła. Nikogo nie było, nikt niczego nie zauważył.

Później przeszedł spokojnie przez najbliższą wydmy. Teraz nikt z kempingu nie mógł go zobaczyć. Pobiegł do samochodu, wsiadł i odjechał.

Wszystko trwało nie więcej niż dwie minuty. Czuł zimno. To dodatkowe ryzyko - mógł się przeziębć. Ale pokusa była zbyt silna. Wynurzył się z wody z uczuciem, że jest niezwyciężony.

Przed samym wjazdem do Ystadu zatrzymał się i wciągnął na siebie sportowy dres, który leżał na tylnym siedzeniu.

Potem pozostało już tylko czekać.

Zanim ktoś odkrył, co się stało, upłynęło więcej czasu, niż przypuszczał. Może było to bawiące się na plaży dziecko? A może mieszkaniec kempingu, który wybrał się na spacer? W swoim czasie dowie się z gazet.

Z daleka usłyszał syreny radiowozów. Zbliżały się szybko. Za trzy piąta przejechały koło niego z dużą prędkością. Wśród nich karetka pogotowia. Miał ochotę im pomachać. Ale się opanował. Raz jeszcze dokonał tego, co postanowił. I udało mu się ująć spokojnie i z godnością.

Wallander stał w cieniu drzewa pod domem Rut Lundin, kiedy zajechali po niego z wyciem syren. Pierwsze meldunki były sprzeczne i chaotyczne. Rozmowa z Martinssonem się przerwała. Policjanci, których po niego odkomenderowano, wiedzieli jedynie, że mają jechać do Nybrostrandu. W policyjnym radiu usłyszał, że chodzi o zabójstwo. Nie udało mu się powtórnie nawiązać łączności z Martinssonem. Usiadł na tylnym siedzeniu. Słyszał echo jego słów. „Znowu się stało”.

To, czego się obawiał. Zamknął oczy i starał się spokojnie oddychać. Wycie syren rozsadzało mu głowę. Samochód pędził. Kiedy dotarli do Nybrostrandu, skręcili w prawo na drogę niewiele szerszą od pieszej ścieżki. Przed sobą ujrzął samochód, z którego wysiadali Martinsson i Ann-Britt Hóglund. Otworzył drzwi, zanim samochód zdążył zahamować. Zobaczył płaczącą kobietę z twarzą ukrytą w dłoniach. Była w szortach i koszulce z napisem wzywającym do głosowania za wstąpieniem Szwecji do NATO.

- Co się stało? - zapytał.

Wzburzeni kempingowicze dawali znaki, wymachując rękami w ich stronę. Pobiegli na wydmy. Wallander był pierwszy na miejscu. Zatrzymał się jak wryty. Od nowa przeżywał koszmar. Przez chwilę nie wiedział, na co patrzy. Zaraz potem zobaczył przed sobą troje martwych ludzi. Na statywie stał aparat fotograficzny.

- Młoda para - gdzieś z boku usłyszał głos Ann-Britt Hóglund. Wallander podszedł bliżej i przykucnął. Cała trójka była zastrzelona. Pannę młodą i pana młodego kule trafiły prosto w czoło. Krew zabarwiła na czerwono biały welon. Ostrożnie dotknął jej nagiego ramienia. Było jeszcze ciepłe. Podniósł się powoli, z nadzieją, że nie dostanie zawrotu głowy. Na miejscu był już Hansson i Nyberg. Podszedł do nich.

- To znowu on. I to przed chwilą. Czy są jakieś ślady? Kto ich znalazł?

Wokół niego wszyscy stali jak porażeni. Jakby się spodziewali, że on wyjaśni, co się wydarzyło. Albo że zna odpowiedź na postawione pytania.

- Musimy się zabrać do roboty - wrzasnął. - To stało się zupełnie niedawno. Musimy go teraz zgarnąć.

Chwilowe porażenie puściło. Po paru minutach Wallander miał już obraz sytuacji. Para młoda przybyła w towarzystwie fotografa. Zniknęli za wydmy. Jedno z dzieci bawiących się na plaży oddaliło się za potrzebą. Natknęło się na martwe ciała i z krzykiem pobiegło na kemping. Nikt nie słyszał strzałów. Nikt nie widział, żeby ktoś opuszczał to miejsce. Wielu świadków stanowczo twierdziło, że młoda para przyszła tylko z fotografem. Hansson i Ann-Britt starali się jak najprędzej połączyć w sensowną całość chaotyczne i sprzeczne informacje. Martinsson kierował zabezpieczaniem terenu. Wallander z Nybergiem robili szybkie podsumowanie. Co dwie minuty pytał, dlaczego jeszcze nie ma patrolu z psem. Kiedy zjawił się wreszcie Edmundsson z Kall, Hansson i Ann-Britt Hóglund, mimo panującego wokół chaosu podjęli próbę odtworzenia przebiegu wypadków.

- Kilkoro dzieci widziało kąpiącego się mężczyznę - powiedział Hansson. - Wyszedł z wody i usiadł na piasku. Potem zniknął.

- Zniknął? - Wallander z trudem ukrywał zniecierpliwienie.

- Kobieta, która rozwieszała pranie obok przyczepy kem pingowej, widziała nadchodzącą młodą parę. Zdawało jej się, że widziała pływającego mężczyznę. Potem nagle zniknął. Wallander potrząsnął głową.

- Co to ma znaczyć? Że utonął? Zagrzebał się w piachu? Hansson wskazał w kierunku brzegu, na wprost miejsca, gdzie leżały ciała.

- Tam siedział. Według dzieciaka. Można mu chyba wierzyć. Widać, że jest spostrzegawczy.

Zeszli na plażę. Hansson pobiegł po ciemnowłosego chłopca, który stał opodal z ojcem. Wallander kazał im zatoczyć koło, żeby nie zdeptali śladów, co by utrudniało pracę psa. W piasku odkryto ślad po siedzącym człowieku. Były też resztki niezasypanego dołka i strzępek plastikowej płachty. Wallander przywołał Edmundssona i Nyberga.

- Ten plastik coś mi przypomina - stwierdził Wallander. Nyberg skinął głową.

- To może być ten sam rodzaj co kawałki znalezione w rezerwacie.

Wallander zwrócił się do Edmundssona.

- Daj jej to do powąchania. Zobaczymy, czy złapie trop.

Odeszli na bok. Pies był podekscytowany. Powąchał kawałek plastiku i zaraz zaczął ciągnąć do wydmy. Potem skręcił w lewo. Wallander z Hanssonem szli w pewnej odległości za nim. Pies był nadal pełen zapachu. Doszli do bocznej drogi. Pies przystanął. Ślad się urwał. Hansson potrząsnął głową.

- Samochód - stwierdził Martinsson.

- Ktoś mógł go zauważyć - powiedział Wallander. - Wyślij wszystkich policjantów, którzy są na miejscu. Niech pytają o mężczyznę w kąpielówkach, z pasiastym ręcznikiem i o samochód. Zaparkowany samochód. Odjechał jakąś godzinę temu.

Wallander pobiegł z powrotem na miejsce zbrodni. Technik zabezpieczał ślady stóp na wilgotnym piasku. Edmundsson z psem ciągle szukali.

- Kąpiący się mężczyzna - zwrócił się Wallander do Ann-Britt Hóglund. - Kąpiący się mężczyzna, który znika.

Hansson zakończył właśnie rozmowę z jakąś kobietą. Wallander zamachał na niego.

- Widziało go więcej osób - powiedział Hansson.

- Kąpiącego się mężczyznę?

- Był w wodzie, kiedy zjawiała się młoda para. Potem wyszedł na brzeg. Ktoś twierdzi, że jakby budował zamek z piasku. Potem wstał i zniknął.

- Nikogo innego nie zauważono? Nikogo, kto siedział za nimi?

- Jakiś facet, zresztą porządnie zawiązany, zapewnia, że wzdłuż brzegu jechało dwóch zamaskowanych rowerzystów. Ale o nim możemy chyba zapomnieć.

- Zróbmy więc prowizoryczne podsumowanie. Czy wiemy, kim są zamordowani?

- Mężczyzna leżący obok aparatu miał w kieszeni zaproszenie - powiedziała Ann-Britt Hóglund. Podała je Wallanderowi, który przeżywał istne katusze; chciało mu się krzyknąć i uciekać, gdzie pieprz rośnie.

- Malin Skander i Torbjörn Werner - odczytał. - Pobrali się dzisiaj o drugiej.

Hansson miał łzy w oczach. Ann-Britt wbiła wzrok w ziemię.

- Byli małżeństwem przez dwie godziny - stwierdził Wallander. - Potem przyszli tu na zdjęcia. Czy wiemy już, jak się nazywa fotograf?

- Nazwisko jest wewnątrz torby od aparatu - odparł Hansson. - Nazywał się Rolf Haag i był właścicielem zakładu fotograficznego w Malmö.

- Musimy odszukać rodziny - kontynuował Wallander. - Za chwilę będzie się tu roilo od innych fotografów.

- Czy nie powinniśmy postawić zapór drogowych? - spytał Martinsson, który dołączył do grupy.

- Zapory? W jakim celu? Czy wiemy, jaki to samochód? Co mamy blokować? Szukać faceta w kąpielówkach? Mimo że wiemy, kiedy to się stało, nie znajdziemy go dzięki zaporom. Na to już za późno.

- Chcę tylko, żebyśmy zgarnęli tego skurwysyna.

- Wszyscy tego chcemy - zgodził się Wallander. - Dlatego zbierzmy dotychczasowe informacje. Jedyne nasze trop to mężczyzna pływający w morzu. Musimy wyjść z założenia, że to

ten człowiek. Jego działanie charakteryzują dwie rzeczy: jest dobrze poinformowany i dokładnie planuje.

- Miałby na nich czekać, pływając w morzu? - spytał z po wątpiewaniem Hansson.

Wallander usiłował wyobrazić sobie przebieg wydarzeń.

- Wie, że nowożeńcy będą się fotografowali w tym miejscu - powiedział. - Na zaproszeniach jest napisane, że weselna kolacja zaczyna się o piątej. Daje mu to ramy czasowe. Zdjęcia mają robić w tym miejscu o czwartej. Czas oczekiwania wykorzystuje na kąpiel. Zaparkował samochód niedaleko. W miejscu, które umożliwia dojście do wody bez przechodzenia obok kempingu.

- A broń miał ze sobą w wodzie?

Hansson był wyraźnie nieufny. Natomiast Wallander coraz jaśniej widział całe wydarzenie.

- Musimy się trzymać punktu wyjścia - powtórzył. - Wie my, że jest dobrze poinformowany i wszystko planuje. Czeką w wodzie na młodą parę i fotografa. Człowiek, który się kąpie, nie ma nic na sobie. Mokra włosy zmieniają jego wygląd. Na kąpiącego się człowieka nikt nie zwraca uwagi. Wszyscy go zauważają i zapamiętują. Ale nikt nie potrafi opisać.

To ostatnie wszyscy potwierdzili. Do tej pory żaden ze świadków nie potrafił opisać jego twarzy.

- Pojawia się młoda para - ciągnął dalej Wallander. - Razem z fotografem. Mężczyzna wychodzi z wody i siada na piasku.

- Ma ręcznik - dodała Ann-Britt Hóglund. - Pasiasty ręcznik. Wiele osób to zapamiętało.

- To dobrze - stwierdził Wallander. - Wszystkie szczegóły są ważne. Siada na pasiastym ręczniku. Mamy świadka, który zapewnia, że coś robi. Co takiego?

- Kopie w piasku - odparł Hansson.

Wallander zrozumiał, że jego intuicja była trafna. Widział pierwszy, niewyraźny wzór. Mężczyzna postępował według własnych reguł. Często je zmieniał. Ale Wallander zaczynał je rozpoznawać.

- Nie kopie, żeby zbudować zamek z piasku. Zakopuje ka wałek plastiku, który przykrywał broń - wyjaśnił.

Teraz wszyscy śledzili jego rozumowanie. Wallander ostrożnie posuwał się naprzód.

- Broń umieścił tam wcześniej. Teraz musi tylko czekać na właściwy moment. Kiedy nowożeńcy i fotograf będą zajęci i nikogo nie będzie w pobliżu. Wtedy wstaje. Broń ma przy puszczalnie schowaną pod ręcznikiem. Nikt na niego nie zwraca uwagi. Jest samotnie kąpiącym się mężczyzną, który wychodzi z wody. Potem oddaje trzy strzały. Ofiary giną na miejscu. Musiał użyć tłumika. Po oddaniu strzałów przechodzi

przez wydmy i odjeżdża samochodem. Wszystko trwa nie dłużej niż kilka minut. Nie wiemy, dokąd się stamtąd udał.

Nyberg dołączył do grupy.

- Wiemy o nim tylko to, co uczynił - zakończył Wallander. - Ale w tych czynach odnajdziemy wspólne elementy.

- Wiem o nim jeszcze coś - uzupełnił Nyberg. - Żuje tytoń. Wypluł go obok wykopanego dołka. Chciał go chyba zagrzebać. Ale psy wykopały. Teraz to zabezpieczamy. Ślina może nam dużo powiedzieć o człowieku.

Wallander spostrzegł nadchodzącą Lisę Holgersson. Za nią szedł Thurnberg. Mignął mu przed oczami obraz Pera Akessona siedzącego w jakimś egzotycznym rajku, z dala od makabrycznych śladów pozostawionych przez szaleńca. Poczł ukłucie zazdrości. Uważał, że nadszedł moment, żeby zrezygnować z kierowania śledztwem. Poniósł porażkę. Mimo że robił, co w jego mocy, porażka była faktem. Nie znaleźli sprawcy, który zamordował ich kolegę, troje młodych ludzi w rezerwacie, samotną dziewczynę skuloną w skalnej grocie na wyspie ostergótlandzkiego archipelagu, a teraz parę nowożeńców i fotografa.

Pozostawało mu tylko jedno. Poprosić Lisę Holgersson o wyznaczenie kogoś innego na jego miejsce. Zresztą Thurnberg z pewnością ściągnie kogoś z centrali do kierowania śledztwem.

Nie czuł się na siłach poinformować ich o tym, co się stało. Pozostawił to innym. Sam szedł do Nyberga, który stał obok statywu.

- Zrobił jedno zdjęcie - stwierdził Nyberg. - Jedno jedyne.

To wszystko. Postaramy się jak najszybciej je skopiować.

- Byli małżeństwem przez dwie godziny - powtórzył Wallander.

- Ten szaleniec najwyraźniej nie lubi szczęśliwych ludzi. Albo celem jego życia jest zamiana radości w ból.

Wallander w roztargnieniu wysłuchiwał ostatnich komentarzy Nyberga. Nie odezwał się. Po plaży, tuż przy brzegu, chodził Edmundsson z Kall. Drugi patrol z psem znajdował się nieco bliżej wydmy. Za ogrodzonym terenem zebrało się już dużo gapiów. Wallander śledził wzrokiem statek daleko na horyzoncie - płynął na zachód, za kilka godzin przepłynie cieśninę Sund i wypłynie na otwarte morze.

W dalszym ciągu to, co się stało, nie docierało do niego w pełni. Miał złe przeczucie, ale jednak żywił nadzieję. „Dobry policjant ma zawsze nadzieję - mawiał często Rydberg. - Dobry policjant ma nadzieję, że nie dojdzie do morderstwa. Że sprawca spudłuje, celując do niewinnej ofiary. Dobry policjant liczy również na to, że metody wykrycia przestępstwa zadowolą prokuratora, a sądowi umożliwią wymierzenie kary. Dobry policjant ma przede wszystkim nadzieję, że przestępczość będzie się zmniejszała. Zarazem jednak wątpi, że tak się stanie. Dopóki społeczeństwo będzie trwało w obecnym kształcie. Dopóki siłą napędową mechanizmu społecznego będzie niesprawiedliwość”.

Zwykł mawiać coś jeszcze - przypominał sobie Wallander. „Zwalczanie przestępczości to zawsze kwestia przetrzymania. Kto zniesie więcej i przez dłuższy czas”.

Lisa Holgersson i Thurnberg stali obok niego. Drgnął, wyrwany z głębokiego zamyślenia.

- Trzeba było ustawić zapory drogowe - odezwał się Thurnberg.

Nawet nie skinął głową na przywitanie. Wallander obrzucił go spojrzeniem. W tym samym momencie podjął dwie decyzje. Nie zrezygnuje dobrowolnie z kierowania śledztwem. Będzie mówił, co uważa. I to od zaraz.

- Nie - odpowiedział. - Wcale nie trzeba było ustawiać zapór. Mógł pan oczywiście wydać takie dyspozycje. Ale wy łącznie na własną odpowiedzialność. Na moją pomoc nie miał by pan co liczyć.

Thurnberg nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Na chwilę zbiła go z pantałyku.

Za bardzo się nakręcił, stwierdził z satysfakcją Wallander. Tak bardzo, że aż pękła mu sprężyna.

Odwrócił się demonstracyjnie plecami do Thurnberga. Lisa Holgersson była bledsza niż zwykle. W jej lęku widział swój własny.

- Czy to ten sam człowiek? - zapytała.

- Tak. Nie ma wątpliwości.

- Ale młoda para? Dlaczego?

To była pierwsza rzecz, jaka i jemu przyszła do głowy. Ale odpowiedź mogła być tylko jedna.

- Nowożeńcy to też ludzie w przebraniu.

- Więc o to mu chodzi?

- Nie wiem.

- Bo cóż innego?

Wallander milczał. Sam nie wiedział. Chociaż na wnioski było za wcześnie, czuł, że zawaliły się fundamenty, które z tak wielkim trudem wznosił.

Miał przed oczami szaleńca. Szaleńca, który nie był szaleńcem. Który zabił już osiem osób. Wśród nich policjanta.

- Nigdy w życiu nie byłam świadkiem czegoś równie potwornego - oświadczyła Lisa.

- Szwecja była kiedyś znana ze swoich wynalazców - powiedział Wallander. - Potem staliśmy się znani jako państwo opiekuńcze. Był okres, kiedy przyczepiono nam etykietkę tak zwanego szwedzkiego grzechu. Być może tym razem będzie o nas głośno z powodu mordercy, jakiego nikt przedtem nie widział.

Zaraz pożałował swoich słów. Porównania nie miały sensu, moment był nieodpowiedni i cała sytuacja niezręczna.

- Rodziny. Jak zawiadomić rodzinę i przyjaciół młodej pary, która kilka godzin temu wyszła z kościoła, że nowożeńcy nie żyją? - spytała Lisa.

- Nie wiem - odpowiedział Wallander. - Jestem tak samo bezradny jak ty. Nie wiemy nawet, czy fotograf ma rodzinę.

- Słyszałam, że brali ślub w pobliżu?

- W Kópingebro. Niebawem rozpocznie się ślubne przyjęcie.

Spojrzała na niego. Wiedział, co znaczy ten wzrok.

- Proponuję, żeby Martinsson zajął się rodziną fotografa - powiedział. - Ty i ja pojedziemy do Kópingebro.

Thurnberg stał i rozmawiał przez telefon. Wallander zastanawiał się, z kim mówi. Zebrał na chwilę swoich współpracowników. Hansson miał go zastąpić, dopóki nie wróci.

- Odpowiadaj na wszystkie pytania Thurnberga - polecił. - Gdyby się zaczął szarogęsić, to łapcie mnie na komórcę.

- Dlaczego prokurator miałby się wtrącać w pracę policji na miejscu przestępstwa?

Pytanie Hanssona było uzasadnione. Ale Wallander nie odpowiedział, tylko wziął Ann-Britt na stronę.

- Nie wiem, jak długo to potrwa. Ale chciałbym, żebyś do mojego powrotu zastanowiła się nad sytuacją. Jak od tego momentu powinniśmy prowadzić śledztwo. W sposób niekonwencjonalny? Tak jak zwykle? Nie ma dwóch takich samych śledztw. Czym to ma się różnić od innych? Jak to, co się stało dzisiaj, rzutuje na wszystko inne? Czy coś się wyjaśniło? Czy istnieje jakiś trop, który jest ważniejszy od innych? Czy wręcz przeciwnie?

- Nie wiem, czy potrafię - powiedziała. - To twoja praca.

- Nie moja. Nasza. Ja w tej chwili jadę zawiadomić rodzinę młodej pary, która parę godzin temu powiedziała: tak. Nie będę w stanie myśleć o niczym innym. Dlatego musisz myśleć za mnie.

- Nadal nie wiem, czy potrafię.

- W każdym razie możesz spróbować.

Ruszył do samochodu, gdzie czekała na niego Lisa Holgersson.

Odjechali w milczeniu. Wallander patrzył przez okno na przesuający się krajobraz. W oddali gromadziły się burzowe chmury. Zanim nadejdzie wieczór, burza dotrze do Skanii.

W sobotę, siedemnastego sierpnia, zaczęło padać o dziesiątej wieczorem. Wallander był już z powrotem na miejscu zbrodni. Spotkanie z rodziną zamordowanych, uczucie, że wdarli się do pełnej szczęścia sali, szerząc naokoło śmierć i zniszczenie, zniósł gorzej niż kiedykolwiek.

Mimo że na

przestrzeni lat wiele razy był zmuszony zawiadamiać o śmierci bliskich. Lisa Holgersson zachowywała się dziwnie biernie, tak jakby nie była w stanie powtórzyć tego, co mówiła tydzień wcześniej. Może policjant ma do przekazania w swoim życiu określoną liczbę wiadomości o śmierci, myślał Wallander. W takim razie ja już doszedłem do tej granicy. Nie da się jej przesunąć.

Czuli się, jak gdyby uczestniczyli w makabrycznym przedstawieniu. Nierzeczywista oprawa: trio akordeonowe, sala przyjęć w pensjonacie, zapach jedzenia dochodzący z kuchni. Grupki ludzi, oczekiwanie. I nagle na podwórzu zajeżdża policyjny radiowóz.

Poczuł ulgę, kiedy wreszcie mógł odjechać do Nybrostran-du. Lisa Holgersson wróciła do Ystadu. Wallander wiele razy rozmawiał z Hanssonem przez telefon. Nic szczególnego się tam nie wydarzyło. Hansson zdążył się dowiedzieć, że fotograf, Rolf Haag, nie miał rodziny. Martinsson złożył wizytę w domu opieki, gdzie przebywał leciwy ojciec Haaga. Wiadomość o śmierci syna przekazała siostra oddziałowa, po uprzednim zapewnieniu Martinssona, że starzec już dawno zapomniał, że kiedyś miał syna Rolfa, który był fotografem.

Nyberg zorientował się, że nadciąga deszcz. W pośpiechu zarządził rozpięcie plastikowej płachty nad miejscem, gdzie znaleziono ciała, i w tym punkcie plaży, gdzie na pasiastym ręczniku siedział mężczyzna. Kiedy Wallander przyjechał z powrotem, za ogrodzeniem w dalszym ciągu stało dużo gapiów. Krążyli wokół niego dziennikarze, próbując wyciągnąć jakiś komentarz. Ale pokręcił tylko głową i szybko poszedł dalej. Hansson złożył raport, podczas gdy Martinsson wraz z policjantami z Malmö przesłuchiwali ewentualnych świadków z kempingu. Dotychczas nie zgłosił się nikt, kto by zauważył zaparkowany przy bocznej drodze samochód. Jedyne zdjęcie, które zdążył zrobić Rolf Haag, zostało wywołane. Para młoda śmiała się prosto do kamery. Wallander przyglądał się zdjęciu. Przypomniał mu się niewyraźnie jakiś komentarz Nyberga.

- Co ty mówiłeś? - zapytał. - Kiedy staliśmy koło statywu? Zwróciłeś wtedy uwagę, że zdążył zrobić jedno zdjęcie.

- A mówiłem coś?

- Dodałeś jakiś komentarz. Nyberg się zastanowił.

- Mówiłem chyba, że ten psychopata nie lubi szczęśliwych ludzi.

- Co miałeś na myśli?

- Nie można powiedzieć, żeby Svedberg był człowiekiem kipiącym od radości życia. Ale ci młodzi w rezerwacie. W ich zabawie musiało być mnóstwo radości.

Wallander bardziej odgadywał, niż rozumiał myśl Nyberga. Raz jeszcze rzucił okiem na fotografię.

Zwrócił ją Nybergowi i skinął na Ann-Britt Hóglund. Usiedli w pustym radiowozie.

- Gdzie się podział Thurnberg? - zapytał Wallander.

- Dość szybko się stąd zabrał.

- Mówił coś?

- Nic nie słyszałam.

Rozpadało się na dobre. Krople deszczu bębniły w dach.

- Były chwile, kiedy nie chciałem dłużej odpowiadać za dochodzenie - przyznał. - Mamy ośmiu nieboszczyków. I nie posunęliśmy się ani o krok do przodu.

- Co to zmieni, jeżeli zrzucisz odpowiedzialność na kogoś innego? Zresztą na kogo?
- Być może chciałem się jej tylko pozbyć.
- Ale zmieniłeś zdanie?
- Tak.

Już zamierzał powrócić do rozmowy, którą prowadzili, zanim pojechał do Kópingebro, kiedy usłyszał stukanie w szybę. Zjawił się Martinsson. Przemoczony, usiadł na przednim siedzeniu.

- Chciałem cię uprzedzić, że jakiś gość złożył na ciebie doniesienie.

Wallander patrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Na mnie? Z jakiego powodu?

- Rzekome pobicie.

Zatroskany Martinsson drapał się w czoło.

- Pamiętasz tego biegacza w rezerwacie? Nilsa Hagrotha?

- Nie miał tam nic do roboty.

?«i

A

- Tak czy owak, złożył doniesienie o pobiciu. Thurnberg się o tym dowiedział i potraktował skargę bardzo poważnie.

Wallandera zamurowało.

- Chciałem cię tylko uprzedzić - powiedział Martinsson.

- Nic poza tym.

Deszcz bębnił o szyby. Martinsson się ulotnił. W oddali blask reflektora oświetlał miejsce, gdzie kilka godzin wcześniej zamordowano młodą parę. Była jedenasta wieczorem.

26

Deszcz ustał tuż po dwunastej.

Błyskało się daleko, w kierunku Bornholmu. Ale do Skanii burza nie dotarła. Kiedy spadły już ostatnie krople, Wallander wyszedł z kręgu światła i ruszył w stronę brzegu, gdzie panował mrok. Za ogrodzeniem nadal stali ludzie, ale w tym miejscu plaża była pusta. Odwrócił się i spojrzał w górę, w kierunku płonących reflektorów. Ciała zostały zabrane. Nyberg i jego ludzie dalej pracowali.

Wallander poszedł na brzeg, bo czuł, że musi zebrać myśli. Przemyśleć wszystko, co się do tej pory wydarzyło, i podjąć decyzję co do dalszych kroków.

Powietrze po deszczu pachniało świeżością. Zniknął zapach zgniłych wodorostów. Sucha i ciepła pogoda trwała od dwóch tygodni. Deszcz już minął, ale ciepło pozostało. Znowu było bezwietrznie. Fale poruszały się niemal niedostrzegalnie. Wallander wysikał się do wody. Oczami wyobraźni widział wysepki cukru, powstające w jego żyłach. Coś na kształt małych gór lodowych. Czuł stale suchość w ustach, czasami tracił ostrość widzenia - domyślał się, że to podnosi się poziom glukozy.

W tej chwili nic na to nie mógł poradzić. Ale później, jak już dopadną mordercę, pójdzie na zwolnienie i zajmie się swoim zdrowiem.

Jeżeli wcześniej nie dostanie zawału i nie padnie.

Przypomniał sobie wydarzenie sprzed pięciu lat, kiedy w nocy obudził go gwałtowny ból w piersiach. Myślał, że dostał ataku serca. W szpitalu tego nie potwierdzili. Ale lekarz uważał ten incydent za ostrzeżenie. On sam zrobił wszystko, żeby o tym zapomnieć.

Patrzył na wodę. Zdawało mu się, że widzi w oddali błady odbłask świateł statku.

A potem z trudem wszedł w skórę policjanta.

Idąc powoli brzegiem pograżonej w ciemności plaży, myślał o wszystkim, co się wydarzyło.

Tak jak po plaży, i w myślach ostrożnie posuwał się do przodu, bojąc się o czymś zapomnieć i

zboczyć z kierunku wyznaczonego przez wewnętrzny kompas. Budował i burzył kolejne konstrukcje myślowe. Wyobrażał sobie, że skrada się po tropie sprawcy. Starał się go wyczuć w pobliżu. Rydberg nigdy nie wątpił, że morderca zostawia po sobie niewidzialne ślady. Odciski palców, których trzeba się domyślać.

Często one decydowały.

Wallander miał przekonanie, że człowiek, który wynurzył się z wody, mężczyzna z pasiastym rękoniem, był tym, którego szukali. Nie mieli nikogo innego. To on znajdował się w rezerwacie, przypuszczalnie za drzewem, które spostrzegł Wallander. Najpierw był tam, a potem w mieszkaniu Svedberga. Teraz zaś wynurzył się z wody. Ukrył broń w dołku na plaży. Przyjechał samochodem.

To wszystko już omawiali w grupie. Uważał za ważne poinformowanie o sytuacji ewentualnych świadków.

Mężczyzna, który wyłonił się z morza, musiał przynajmniej raz być tam wcześniej. A może i więcej. Siedział w tym samym miejscu i grzebał w piachu. Być może w nocy. Ale niewykluczone, że w dzień. Potrzebny im rysopis. Jakiego był wzrostu? Czy chodził w jakiś szczególny sposób? Wszystko miało znaczenie.

Gdzieś jest, myślał Wallander. Zewnętrzne dochodzenie trzeba spiąć z wewnętrznym. Jeżeli nie znajdziemy go na ulicy, to pojawi się w końcu w materiale dochodzeniowym.

Gdzieś jest.

Wallander usiłował posłużyć się najprostszą, najbardziej podstawową logiką. Wiedzieli, że mają do czynienia z tym samym sprawcą. Nic nie przemawiało za tym, że było ich więcej. Ponadto wiedzieli, że jest dobrze poinformowany. O swoich ofiarach, ich życiu, ich przyzwyczajeniach. Szczególnie o ich tajemnicach. Wallander już wydał dyspozycje policji w Malmö, żeby przeszukali zakład fotograficzny Rolfa Haaga. W jakich okolicznościach zwróciła się do niego para młoda? W jaki sposób ustalili miejsce na zdjęcia? Gdzieś znajdował się umykający punkt, który mógłby otworzyć im drogę. Szukali nadwątlonego miejsca w murze. Tam zrobiliby wyłom.

Wiedzieli, że sprawca posiadał niezwykle dokładne informacje. W jaki sposób je zdobył? I co nim powoduje? Widzieli również uderzające podobieństwo obu morderstw: dotknęły ludzi w przebraniach. Czy istniały inne cechy wspólne? Do tego musieli dotrzeć. Jak można powiązać Torbjórna Wenera i Malin Skander z, dajmy na to, Astrid Hillström? Jeszcze nie wiedzieli.

Lecz niebawem się dowiedzą.

Wallander czuł, że jest już blisko. Tuż obok wielkiej tajemnicy. Ale nie potrafił jej rozgryźć. Jeszcze nie. Wytłumaczenie może być proste, pomyślał. Tak proste, że nie mogą na nie wpaść. To tak jak szukanie okularów, które siedzą na nosie.

Powoli szedł z powrotem. Z daleka świeciły reflektory. Próbował podążać śladem Svedberga. Kogo wpuścił do mieszkania? Kim była Louise? Kto pisał pocztówki z różnych miejsc w Europie? Co takiego wiedział, Svedberg? Dlaczego do mnie nie przyszedłeś, mimo że, jak mówi Ylva Brink, uważałeś mnie za najbliższego przyjaciela?

Znowu przystanął. Pytanie, które zadał, stało się raptem ważniejsze, niż przypuszczał. Jaki był tak naprawdę powód, dla którego Svedberg nic nie mówił? Przychodziło mu do głowy tylko jedno wyjaśnienie. Svedberg miał nadzieję, że się myli. Lęk przed wykryciem strasznej prawdy powodował, że milczał jak grób.

Była jeszcze inna możliwość.

Svedberg się nie mylił. Jego lęk okazał się uzasadniony. I dlatego został zamordowany.

Wallander był już blisko odgradzonego terenu. Nadal stały tam gromadki ludzi oglądających epilog ponurej sztuki, jedyne, co zdążyli zobaczyć.

Kiedy Wallander dotarł do wydmy, Nyberg kończył robić notatki.

- Mamy ślady stóp - poinformował. - A raczej odciski stóp. Bo człowiek, który strzelał, był boso.

- Co jeszcze widzisz?

Nyberg wsunął notes do kieszeni.

- Pierwszy został zabity fotograf - odpowiedział. - Nie ma żadnych wątpliwości. Kula trafiła go ukośnie w kark. To oznacza, że częściowo był odwrócony plecami do strzelającego. Gdyby pierwszy strzał osiągnął młodą parę, fotograf naturalnie by się odwrócił. Wtedy strzał trafiłby go z przodu.

- A potem?

- Trudno powiedzieć. Przypuszczam, że następny był pan młody. Mężczyzna stanowi większe fizyczne zagrożenie. Na końcu dziewczyna.

- Coś jeszcze?

- Nic, czego byśmy nie wiedzieli. Ten, kto strzela, doskonale włada bronią.

- Nie drży mu ręka?

- Nie sędzę.

- Masz więc przed oczami spokojnego i zdeterminowanego sprawcę?

Nyberg obrzucił go ponurym spojrzeniem.

- Mam przed oczami zimnego i wyrachowanego psycho patę.

Nyberg nie miał więcej nic ważnego do przekazania. Wallander poszedł do czekającego radiowozu i kazał się zawieźć do Ystadu. Nie był już potrzebny.

Kiedy przybył do komendy, w centrali alarmowej urywały się telefony. Jeden z dyżurnych policjantów pomachał do niego. Wallander czekał, aż zakończy rozmowę. Policjant obiecał wysłać jak najszybciej patrol do Svarte, gdzie zauważono nietrzeźwego kierowcę. Wallander wiedział, że w ciągu najbliższej doby nie zjawi się tam żaden wóz.

- Dzwonili z policji z Kopenhagi. Jakiś Kjaer. Albo Kraemp - poinformował Wallandera dyżurny.

- W jakiej sprawie?

- Chciał z tobą rozmawiać. Chyba chodzi o zdjęcie, które do nich wysłaliśmy.

Wallander wziął kartkę z nazwiskiem i telefonem. Nie zdejmując kurtki, usiadł przy biurku i zadzwonił do Danii. Telefon do Ystadu był tuż przed północą. Może Kjaer albo Kraemp jeszcze pracuje.

Dodzwonił się do centrali, przedstawił się i czekał.

- Mówi Kjaer.

Wallander spodziewał się mężczyzny. Kjaer była kobietą.

- Tu Kurt Wallander z Ystadu. Dzwoniła pani.

- Dobry wieczór. Dzwoniłam w sprawie zdjęcia tej kobiety. Louise. Odezwały się dwie osoby. Obie ją rozpoznały.

Wallander walnął pięścią w stół.

- Nareszcie.

- Rozmawiałam z jednym z nich. Wzbudza zaufanie. Nazywa się Anton Bakke i jest szefem działu informacyjnego w firmie produkującej meble biurowe.

- Zna ją?

- Nie. Ale jest pewien, że ją widział. W Kopenhadze. W barze, tuż koło Hovedbangarden. Widział ją wiele razy.

- Musimy złapać kontakt z tą kobietą.

- Coś przeskrobała?

- Nie wiemy. Ale pojawia się w sprawie o morderstwo, która zatacza coraz szersze kręgi. Dlatego przesłaliśmy zdjęcie.

- Doszło coś do mnie. Młodzi ludzie w parku. I policjant. Wallander dodał jeszcze ostatnie zajścia.

- Przypuszcza pan, że ta kobieta jest w to zaplątana?
- Niekoniecznie. Ale muszę z nią porozmawiać.

- Zdarza się, że Bakke zagląda do baru kilka razy w tygodniu. Mniej więcej co drugi raz ona tam jest.

- Czy przychodzi sama?
- Bakke nie potrafił powiedzieć. Wydawało mu się, że była z kimś.
- Pytała pani, kiedy ostatnio ją widział?
- Wtedy, kiedy ostatnio tam był. W połowie czerwca.
- Mówiła pani, że odezwały się dwie osoby?
- Drugi to kierowca taksówki. Twierdził, że wioził ją kilka tygodni temu w Kopenhadze.
- Kierowca taksówki może się łatwo mylić.
- Pamiętał ją, bo mówiła po szwedzku.
- Przyjechał po nią pod jakiś adres?
- Zatrzymała go w nocy na ulicy. Właściwie wczesnym rankiem. O wpół do piątej. Jechała na pierwszy wodolot do Malmö.

Wallander usiłował podjąć jakąś decyzję. Kobieta ze zdjęcia w mieszkaniu Svedberga była ważną postacią. Ale na ile ważną? Zdecydował, że musi jak najszybciej do niej dotrzeć. Nie było co czekać.

- Nie możemy się do was zwracać, żebyście ją zatrzymali - powiedział. Ale moglibyście ją przetrzymać, dopóki ktoś od nas nie przyjedzie. Na razie musimy z nią pomówić. Zobaczymy, co z tego wyniknie.
- Postaramy się pomóc. Znajdziemy jakiś wiarygodny powód.
- Chcę wiedzieć, kiedy następnym razem zjawi się w barze. Jak się to miejsce nazywa?
- „Amigo”.
- Jaką ma opinię?

- O ile wiem, dobrą. Mimo że leży na Istedgade. Wallander wiedział, że to ulica w centrum Kopenhagi.

- Jestem wdzięczny za pomoc.

- Jak tylko się pokaże, damy natychmiast znać. Może popytać pracowników baru, czy znają jej adres?

- Lepiej nie - powiedział Wallander. - Boję się, że zniknie.
- Mówił pan przecież, że nie jest o nic podejrzana.
- Nie jest. Ale mogę się mylić.

Kjaer zrozumiała. Komisarz zanotował jej nazwisko i numery telefonów. Na imię miała Lone. Wallander odłożył słuchawkę. Było wpół do drugiej. Podniósł się z trudem i poszedł do toalety. Napił się wody w stołówce.

Na półmisku leżało kilka wyschniętych kanapek. Wziął jedną do ust. Z korytarza dochodził głos Martinssona. Rozmawiał z policjantem z Malmö. Weszli do stołówki, gdzie stał Wallander, żując kanapkę.

- Jak leci? - zapytał.
- Nikogo nie zauważyli. Tylko mężczyznę, który wyszedł z wody.
- Mamy rysopis?
- Musimy najpierw uporządkować informacje.
- Gdzie są pozostali?
- Hansson jeszcze tam siedzi. Ann-Britt Hóglund musiała pojechać do domu. Córka dostała torsji.
- Dzwoniła duńska policja. Znaleźli Louise.

- Na pewno?

- Tak wygląda.

Wallander nalał sobie kawy. Martinsson czekał na dalszy ciąg.

- Zatrzymali ją?

- Nie mają powodu. Rozpoznał ją kierowca taksówki i gość z baru. Opublikowanie zdjęcia przyniosło efekt.

- Rzeczywiście nazywa się Louise?

- Jeszcze nie wiemy.

Wallander ziewał. Martinsson również. Policjant z Malmö przecierał zmęczone oczy.

- Usiądźmy - zaproponował Wallander.

- Daj nam piętnaście minut, żeby się zebrać. Zresztą Hansson jest chyba w drodze. Jeśli będzie trzeba, zadzwonimy do Ann-Britt do domu.

Wallander poszedł z kawą do pokoju. Był ciągle w kurtce. Siadając, rozlał nieco kawy na rękaw. Odstawił z hałasem kubek, zdarł z siebie kurtkę i cisnął ją w kąt. Rozprawilem się w ten sposób z mordercą, którego nie potrafimy złapać, pomyślał.

Przysunął sobie notes, którego strony zapełniały ludziki i nieregularne zapiski. Na czystej kartce zanotował trzy pytania:

Skąd czerpie informacje?

Jaki ma motyw?

Dlaczego Svedberg?

Oparł się wygodnie. Spojrzał na to, co napisał. Nie był zadowolony. Pochylił się nad kartką i dopisał:

Dlaczego teleskop Svedberga stał w domu jego kuzyna?

Dlaczego atakuje ludzi w przebraniu?

Dlaczego Isa Edengren?

Uciekający punkt. Jaki?

Teraz było jaśniej. Ale ciągle czegoś brakowało. Za trzecim razem napisał:

Louise jeździ do Kopenhagi. Mówi po szwedzku.

Tajemna sekta?

Bror Sundelius.

Co powiedział Lennart Westin w kabinie?

Na końcu podsumował sytuację. Z morza wynurza się mężczyzna, któremu nie drży ręka. Jest wprawnym strzelcem.

Wallander podszedł do ściany i spojrział na mapę Skanii. Najpierw Hagestad. Teraz Nybrostrand. A pomiędzy nimi Ystad. Obszar był bardzo ograniczony. Niewiele to mówiło. Wallander wziął notes i ruszył do sali zebrania. Zmęczone i zniechęcone twarze. Zmięte ubrania i ociężałe ciała. A sprawca, być może, spokojnie śpi, przyszło mu do głowy. Podczas gdy my po omacku szukamy jego śladów.

Zebrali się na krótkie omówienie. Nikt nie zaobserwował samochodu, który dałoby się powiązać z zajściem. Jedyнным podejrzanym był mężczyzna na plaży, co można było uznać za duży sukces. Nikt nie mógł się ukryć tam, gdzie robili zdjęcia. Ani nadejść od strony, gdzie przypuszczalnie stał samochód. W czasie kiedy młoda para z fotografem zbliżała się do plaży, przechodziły tamtędy dwie różne osoby. Nikogo nie zauważyły.

Nie udało się natomiast uzyskać rysopisu mordercy. Usiłowali połączyć ze sobą zebrane informacje. Ale całość pozostawała nieostra. Mężczyzna, którego szukali, wymykał się. Martinsson dzwonił wiele razy do Ann-Britt Hóglund i konferował z nią przez telefon.

Wreszcie utknęli w miejscu. Wallander sprawdził swoje notatki.

- Wszystko to składa się na wyjątkowo nieprecyzyjny rysopis - stwierdził. - Czy jest krótko ostrzyżony, czy łyсы? Opinie się różniły. Nawet jeśli ma włosy, to nie wiadomo, jakiego koloru.

Wszyscy są zgodni co do tego, że nie miał okrągłej twarzy. Raczej pociągłą. Ciekawe, że dwaj świadkowie, niezależnie od siebie, użyli sformułowania „końska twarz”. Poza tym wszyscy stwierdzają, że mężczyzna, który wyłonił się z wody, nie był opalony. Był normalnego wzrostu. Tu też panuje zgodna opinia. Ale to oznacza wyłącznie, że nie był karłem ani człowiekiem nieprzeciętnie wysokim. Nie był chyba gruby. Nie poruszał się w jakiś charakterystyczny sposób. Nie znamy, rzecz jasna, koloru jego oczu. Nikt go nie widział z bliska. Pewien mężczyzna z psem przechodził w odległości mniej więcej pięciu metrów. To najbliższa odległość, jaką udało się ustalić. Największa rozbieżność panuje co do wieku. Według świadków mógł mieć od dwudziestu do sześćdziesięciu lat. Nieznaczna większość uważa, że miał trzydzieści pięć-czterdzieści pięć lat. Nikt jednak nie potrafił uzasadnić swego wrażenia.

Wallander odsunął notes.

- Jednym słowem, nie mamy rysopisu - oświadczył. - Wie my, że to mężczyzna. Bez widocznej ułomności. Nie jest opalony. Wszystkie inne informacje są sprzeczne.

W pokoju panowała ponura cisza. Wallander zrozumiał, że musi dodać im otuchy.

- Trzeba przyznać, że jak na tak krótki czas, liczba danych jest imponująca. Na tej podstawie uzyskamy jutro pełniejszy obraz. Najważniejsze, że mamy właściwego człowieka. Nie waham się uznać tego za przełom w dochodzeniu - podsumował.

Następnie krótko zrelacjonował rozmowę z Lone Kjaer z Kopenhagi. Kobieta, której zdjęcie znaleźli w mieszkaniu Svedberga, nadal nie była zidentyfikowana. Ale została zlokalizowana.

Na tym zakończył. Była za dwadzieścia trzecia. Pośpiesznie się rozeszli. Każdy poszedł do swoich spraw. Został tylko Martinsson. Twarz miał szarą z braku snu.

- Przychodzą materiały z Interpolu i FBI - powiedział. -

O organizacji „Divine Movers”. To jakaś frakcja innej sekty o równie dziwacznej nazwie: „Córy Jezusa”. Z kolei ta ma podobno korzenie w ruchu rastafarian, świecie greckich bogów i mnóstwie innych rzeczy. Założycielem był ksiądz z Urugwaju, który dostał pomieszania zmysłów. W szpitalu dla psychicznie chorych doznał objawienia, a gdy po jakimś czasie uznano go za wyleczonego - wyszedł ze szpitala i założył sektę.

- Interesuje nas kwestia przemocy - przerwał niecierpliwie Wallander. - Czy zdarzyło się, że ktoś z członków sekty został zamordowany?

- W dotychczasowych materiałach niczego na ten temat nie ma. Ale uprzedzili, że przyślą więcej. Z Waszyngtonu i z Brukseli. Miałem zamiar przejrzeć to po zebraniu.

- Masz iść do domu i się wyspać - rozkazał Wallander.

- Myślałem, że to ważne?

- Owszem. Ale wszystkiego naraz nie zrobimy. Teraz musimy się skoncentrować na Nybrostrandzie, miejscu gdzie byliśmy blisko tego szaleńca.

- Zmieniłeś zdanie?

- Dlaczego pytasz?

- Mówisz o „szaleńcu”?

- Człowiek, który morduje, jest zawsze szaleńcem. Ale może być również wyrachowany i tchórzliwy. Może być taki sam jak ty lub ja.

Martinsson skinął głową, nie mógł powstrzymać ziewnięcia.

- W takim razie jadę do domu - powiedział. - Dlaczego w ogóle zostałem policjantem?

Wallander nie odpowiedział. Przyniósł sobie kolejną kawę, mimo że bolał go żołądek. Podniósł z podłogi kurtkę i przez chwilę stał bez ruchu. Co dalej? Był zbyt zmęczony, żeby myśleć. I chyba zbyt zmęczony, żeby zasnąć.

Usiadł na krześle. Nagle zauważył, że koło telefonu leży wiadomość. Linda prosi o telefon. Może knajpa, w której pracuje, jest jeszcze otwarta? Dał sobie jednak spokój. Nie czuł się na siłach dzwonić.

Spod papierów wystawała kopia zdjęcia Louise. Obejrzał je raz jeszcze. Powróciło wrażenie, że w zdjęciu jest coś dziwnego, ale nie umiał tego określić. W roztargnieniu wsunął je do kieszeni kurtki i wyciągnął nogi na biurku.

Przymknął oczy, żeby odpoczęły od światła.

Zasnął niemal natychmiast.

Obudził się gwałtownie, nie wiedząc, gdzie jest. We śnie zdjął nogi z biurka. Czuł silny skurcz w łydce. Była za dziewięć minut czwarta - spał prawie godzinę. Całe ciało miał obolałe. Długo siedział nieruchomo, bez jednej myśli, po czym udał się do toalety i opłukał twarz. Szukał szczoteczki do zębów w szufladzie biurka. Bez powodzenia.

Męczyło go, że nie jest w stanie podjąć decyzji. Powinien chociaż parę godzin się przespać. A potem wykapać i przebrać. Ciągłe niezdecydowany opuścił budynek komendy.

Wiał lekki, ciepły wietrzyk. Szedł przez opustoszałe miasto. Kiedy dotarł na Mariagatan, postanowił, że sen musi poczekać. Była czwarta. Za godzinę zadzwoni do drzwi Brora Sundeliusa. Dyrektor banku szczegółowo opisał swoje poranne przyzwyczajenia. O piątej był na nogach i ubrany. Wallander w dalszym ciągu uważał, że między skargą do rzecznika sprzed dziesięciu lat, Svedbergiem i Brorem Sundeliusem istnieje związek, który, być może, ułatwi im dotarcie do tajemnicy Svedberga.

Ta decyzja pociągnęła za sobą następną. Wsiadł do samochodu i pojechał do Nybrostrandu. O czwartej nie będzie tam ludzi. Prócz policjantów na służbie. Często, będąc sam na miejscu przestępstwa, potrafił dostrzec nowe szczegóły.

Jazda do Nybrostrandu zajęła mu kilka minut. Tym razem wokół odgrodzonego terenu było spokojnie. Poniżej, na plaży, stał zaparkowany radiowóz. Policjant spał za kierownicą. Drugi stał na zewnątrz, paląc papierosa. Wallander podszedł się przywitać. Był to ten sam policjant, który pilnował wjazdu do rezerwatu przyrody. Coś się ciągle powtarzało.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Jeszcze przed chwilą kręcili się ciekawscy. Nie wiem, czego się tu spodziewają.

- Dreszczyku emocji na widok niepojętej potworności, połączonego z poczuciem, że sami są poza niebezpieczeństwem - odparł Wallander.

Przeszedł przez taśmę zabezpieczającą i skierował się na miejsce morderstwa. Zdeptaną trawę oświetlał samotny reflektor. Wallander zatrzymał się na miejscu, gdzie przedtem stał fotograf. Potem powoli się odwrócił i ruszył w stronę dołka w piasku.

Człowiek z pasiastym ręcznikiem wszystko wiedział, myślał Wallander. Nie tylko jest dobrze poinformowany. Zna najdrobniejsze szczegóły. Jak gdyby ustalał je razem z nimi.

Czy była taka możliwość? Rolf Haag z pewnością ma asystenta, myślał Wallander. On wiedział, gdzie się odbędzie sesja fotograficzna z młodą parą. Ale czy asystent mógł wiedzieć o zabawie w rezerwacie? I o istnieniu Barnsó? I co go łączyło ze Svedbergiem?

Wallander odgonił tę myśl. Ale postanowił do niej jeszcze wrócić. Znów poszedł w stronę wydm. Głowił się nad motywem. Wszyscy młodzi ludzie byli tak czy inaczej przebrani. Ale nie Svedberg. To logiczne, ponieważ Svedberg nie był celem mordercy. Nie był częścią jego planu. Po prostu znalazł się za blisko. Przekroczył niewidzialną granicę.

Przyszło mu nagle do głowy, że podobnie jest z Rolfem Haagem. Również stanął na drodze mordercy. Ofiar więc było sześć. Sześcioro pełnych radości młodych ludzi, w różnych

przebraniach. Przypomnił sobie słowa Nyberga: „Ten szaleniec nie lubi szczęśliwych ludzi”. Dotychczas się zgadza. Istnieje wspólna płaszczyzna. Ale to za mało.

Skierował się do bocznej drogi, gdzie musiał stać samochód. To również tamten starannie zaplanował. W pobliżu nie było domów, żadnych potencjalnych świadków.

Wrócił tą samą drogą. Policjant dalej stał i palił.

- Myślałem o tym, o czym mówiliśmy - powiedział, wdeptując kolejny niedopałek w piach. - O wszystkich ciekawskich. Może gdybym nie był policjantem, też bym tam stał.

- Całkiem możliwe - odparł Wallander.

- Widzi się różne dziwne typy. Niektórzy udają, że ich to nie interesuje. Ale potrafią wystawać godzinami. Dziś wieczór wśród tych, którzy stali do końca, była kobieta. Musiała już tu być, zanim przyszedłem na służbę.

Wallander słuchał z roztargnieniem. Czekał, aż będzie piąta. Mógł równie dobrze poczekać tutaj.

- Z początku myślałem, że to ktoś znajomy - mówił policjant. - Jakbym ją już gdzieś widział. Ale nie, omyliłem się.

Słowa policjanta z wolna przenikały do świadomości Wallandera. Obrzucił go pytającym wzrokiem.

- Co powiedziałaś?

- Ta kobieta, która tam sterczała. Zdawało mi się, że już ją gdzieś widziałem.

- Że już ją gdzieś widziałeś?

- Myślałem, że to może jakaś krewna.

- To co w końcu? Znajoma czy ktoś, kogo może kiedyś widziałeś?

- Było w niej coś znajomego. Dałbym głowę.

Wallander uznał, że nie ma nic do stracenia. Wyciągnął

z kieszeni kurtki fotografię Louise. Było jeszcze ciemno. Policjant poświecił latarką.

- Spójrz na to zdjęcie.

Popatrzył. Najpierw na zdjęcie, potem na Wallandera.

- Tak, to ona. Skąd wiedziałeś? Wallander wstrzymał oddech.

- Jesteś pewny?

- Absolutnie. Byłem pewny, że już ją gdzieś widziałem. Wallander zaklął w duchu. Bardziej rozgarnięty policjant

wylegitymowałby ją i postarał się zatrzymać. Może zresztą jestem niesprawiedliwy, pomyślał. Za ogrodzeniem kręciło się dużo ludzi. A on ją rozpoznał i zapamiętał.

- Gdzie stała?

Policjant poświecił w kierunku plaży.

- Jak długo tu była?

- Kilka godzin.

- Sama?

- Tak - odparł po namyśle. Wydawał się przekonany.

- I poszła ostatnia?

- W każdym razie jedna z ostatnich.

- W jakim kierunku?

- W stronę kempingu.

- To znaczy, że mieszka w namiocie? Albo w przyczepie?

- Nie wiem dokładnie, w którą stronę poszła, ale nie wyglądała na kogoś z kempingu.

- Dlaczego tak uważasz? Jak wyglądała?

- Była ubrana w niebieski kostium czy coś w tym rodzaju. Ci z kempingu chodzą na ogół w dresie.

- Daj znać, jeśli się znowu pokaże. I przekaz to następnej zmianie. Macie jej zdjęcie w samochodzie?

- Obudzę kolegę i zapytam.

- Nie trzeba.

Wallander dał mu zdjęcie, które trzymał w ręku, i odszedł. Zbliżała się piąta. Zmęczenie powoli mijało.

Czuł, że jest już blisko.

Kobieta, którą nazywali Louise, nie była osobą, której poszukiwali.

Ale wiedziała, kim jest sprawca.

27

Wallander zaparkował niedaleko ulicy Vadergrand. Było piętnaście po piątej.

Wysiadł z samochodu. Był spokojny niedzielny poranek. Przed nimi kolejny piękny sierpniowy dzień. Skręcił w Vadergrand. Drzwi frontowe były otwarte. Wszedł na pierwsze piętro i zadzwonił do drzwi Sundeliusa. Miał nadzieję, że nie zmieniał swych zwyczajów w niedziele. Drzwi się otworzyły. Sundelius przyglądał mu się ze zdziwieniem. Miał na sobie ciemne ubranie i starannie zawiązany krawat.

- Niespodziewana pora na niespodziewaną wizytę - stwierdził i wpuścił go do środka.

Wallander wszedł do przedpokoju.

- Przykro mi, że nachodzę pana w niedzielę rano - przeprosił Wallander. - Jeśli pan woli, mogę przyjść innym razem.

- Jak już poprzednio mówiłem, mam zawsze gotową kawę na wypadek nieoczekiwanej wizyty. Dotyczy to również niedzielnych poranków.

Sundelius podał mu wieszak. Wallander powiesił kurtkę. Wyjął z jej kieszeni telefon.

- Jaka jest szansa, że znów ktoś zadzwoni?

- O tej porze niewielka.

Weszli do salonu. Wallander usiadł na tym samym miejscu, co poprzednio. Sundelius zniknął w kuchni. Po kilku minutach wrócił z kawą.

- Właściwie dziwi mnie, że przyszedł pan teraz - powie dział Sundelius. - Z uwagi na to, co stało się wczoraj w Nybrostrandzie.

Wallander rzucił okiem na stół. Nie było porannej gazety. Sundelius odczytał jego myśli.

- Zaczynam dzień od telefonicznego serwisu wiadomości

- wyjaśnił. - W Nybrostrandzie znaleziono troje martwych ludzi. Prawdopodobnie jest to ten sam sprawca, który popełnił potrójne morderstwo w Hagestadzie. Czy policja podejrzewa, że osobnik ten wpada w szal w związku z cyfrą trzy?

Wallander pomyślał o Isie Edengren i Svedbergu.

- Niezupełnie.

- Czy to, co słyszałem, się zgadza?

-Tak.

Sundelius oparł się wygodnie i założył nogę na nogę.

- O piątej siedemnaście rano zjawia się u mnie policjant.

I do tej pory nie wręczył mi nakazu zatrzymania. Ciekawe, w jakiej sprawie przyszedł.

Sundelius jest apodyktyczny i mówi to, na co ma ochotę, pomyślał Wallander. Nie potrafił powiedzieć, czy się zgrywa.

- Czy jest jakiś powód, żeby pana zatrzymać?

- Naturalnie, że nie. To był żart.

Wallander przystąpił od razu do rzeczy.

- Parę lat temu umarł w Ystadzie mężczyzna o nazwisku Nils Stridh. Mówili na niego Nisse. Znał go pan?

Przez chwilę na twarzy Sundeliusa odmalowało się zdziwienie i może coś jeszcze. Wallander spodziewał się tej reakcji.

- Nie wiem. Znałem w życiu wielu ludzi. Proszę powiedzieć coś więcej.

- Nils Stridh był alkoholikiem. Nigdy w życiu nie pracował. Miał brata, Stiga Stridha. Żył z kobietą o nazwisku Rut Lundin.

Sundelius już przyszedł do siebie. Odpowiedź zabrzmiała stanowczo.

- Przypominam sobie niejakiego Nilsa Stridha, który przyszedł do banku w sprawie kredytu. Odmówiono mu. Wtedy zażądał rozmowy ze mną. Wy tłumaczyłem mu, dlaczego kredytu dostać nie może. Więcej go nie widziałem. Jeżeli to ten sam człowiek.

- Kiedy to było?

Sundelius się zastanawiał. Wallander nie był pewien, czy rzeczywiście nie pamiętał.

- Chyba z początkiem lat osiemdziesiątych. Nie powiem panu dokładnie.

- Zatem był to jedyny kontakt, jaki pan kiedykolwiek miał z Nilsem Stridhem?

- Tak. Jeżeli mówimy o tym samym człowieku.

- Załóżmy, że tak. Nazwisko Stridh nie jest zbyt popularne. Nigdy już go pan nie spotkał? Nie pokazał się więcej w banku?

- Nigdy nie domagał się rozmowy ze mną. Nie wiem, czy był w banku.

- Spójrzmy na to z innej strony - powiedział Wallander. - Mam informację, która jest sprzeczna z tym, co usłyszałem od pana. Z której wynika coś przeciwnego. Że pan bardzo dobrze znał Stridha. Mimo że bez wątplenia nie jesteście dobraną parą.

Sundelius nie zareagował. Wallander wyczuł jednak, że był poruszony.

- Kto twierdzi coś podobnego?

- Rut Lundin. Ona uchodzi za wdowę po Nilsie, chociaż nigdy nie byli małżeństwem.

- Więc ona twierdzi, że byłem dobrym znajomym jej męża? Bezrobotnego alkoholika?

- Może nie znajomym. Ale że mieliście bliski kontakt.

- To zwykła insynuacja. Spotkałem Nilsa Stridha jeden jedyny raz. Pamiętam, że był uparty i nieprzyjemny. Zapewne nietrzeźwy. Byłem zmuszony mu odmówić, wyjaśniawszy uprzednio zasady udzielania kredytów.

- I nigdy więcej nie miał pan z nim do czynienia?

- Już panu mówiłem. Teraz ja mam pytanie. Dlaczego przychodzi pan tutaj o piątej rano po to, żeby rozmawiać o rzeczach nieistotnych lub niezgodnych z prawdą? Myślałem, że będziemy mówić o Karlu Evercie.

- Właśnie to robimy - oświadczył Wallander. - Nils Stridh, jak sam pan zauważył, był dość uciążliwym człowiekiem. Kiedyś pobił własnego brata. Zdemolował mu mieszkanie. Wtedy również poszło o pieniądze. Brat nie chciał spełnić jego żądań, tak samo jak pan kilka lat wcześniej. Zgłosił pobicie na policję. I wtedy wkracza do akcji Svedberg. Sprawa o pobicie łąduje u niego. Ale on umarza śledztwo. Stig Stridh składa na niego skargę do rzecznika praw obywatelskich. Ten z kolei nie dopatruje się w postępowaniu Svedberga służbowego przewinienia i oddala skargę. Dzisiaj, po ponad dziesięciu latach, ja odgrzebuje tę sprawę. Przesłuchuję Stiga Stridha i Rut Lundin. Od niej dostaję pańskie nazwisko jako jednego z najbliższych przyjaciół Nilsa Stridha.

- To kompletne nieporozumienie.

- Dlaczego miałyby mówić nieprawdę? O czymś, co łatwo sprawdzić?

- O to proszę ją zapytać.

- Czy Svedberg wspominał o tym wydarzeniu?

- Nigdy.

Odpowiedź nastąpiła tak szybko, że Wallander jeszcze bardziej zaostrzył uwagę. Sundelius miał się teraz na baczności. Obwarował się. Wallander ostrożnie posuwał się do przodu.

- Czy na pewno pan dobrze pamięta? To było dawno temu.
- Svedberg nigdy słowem nie wspomniał o żadnej skardze do rzecznika.
- Czy rozmawiał z panem na temat pracy?
- Zdarzało się. Ale bardzo uważał, żeby nie ujawniać tajemnic zawodowych.
- Czy mówił coś o mnie?
- Dlaczego pan pyta?
- Może z ciekawości.
- Wspominał o panu przy różnych okazjach. Zawsze bardzo pochlebnie.

Wallander dopił resztkę kawy i podziękował za dolewkę.

- Zatem stanowczo zaprzecza pan, że spotkał pan Nilsa Stridha więcej niż jeden raz, w banku?

-Tak.

Wallander zrozumiał, że więcej z niego nie wydobydzie. Sundelius wznosił naokoło siebie niewidzialną barierę. Komisarz był przekonany, że nie mówi prawdy. Musi się dowiedzieć dlaczego.

- Przyrzekłem zawiadomić pana o pogrzebie - powiedział. - Odbędzie się w ten wtorek. O drugiej.
- Widziałem nekrolog - odparł Sundelius.

Wallander nie zauważył nekrologu. Już wstawał, kiedy przyszło mu do głowy ostatnie pytanie.

- Czy Svedberg mógł mieć wrogów?
- Nic o tym nie wiem.
- Czy nigdy nie odniósł pan wrażenia, że coś go niepokoi? Że czegoś się boi?
- Nie. Był bardzo zrównoważonym człowiekiem. To był warunek naszej znajomości.

Wallander wahał się, czy zdradzić się ze swoimi myślami. Zdecydował, że tak.

- Zlokalizowaliśmy kobietę, z którą Svedberg był w związku.

Cień niepokoju znów przemknął przez twarz Sundeliusa.

Wallander spodziewał się takiej reakcji.

- Czy ona się jakoś nazywa?
- Przypuszczamy, że ma na imię Louise.
- A dalej?
- Nie wiemy.

Wallander się podniósł. Nogi miał ciężkie ze zmęczenia. Sundelius odprowadził go do drzwi. Stojąc w przedpokoju z kurtką w ręku, komisarz zadał jeszcze jedno pytanie.

- Adamsson? Czy mówi panu coś to nazwisko?
- Znam tylko jednego Adamssona - odparł Sundelius. - Mieszka w Svarte i jest homeopatą. Sven-Erik Adamsson.

- Czy Svedberg go znał?
- Byliśmy u niego wiele razy.
- W jakim celu?
- Obaj interesowaliśmy się medycyną naturalną.

Jakie to proste, pomyślał Wallander. Trudno podać w wątpliwość takie wyjaśnienie. Jednak nie był przekonany. Nie zauważył w mieszkaniu Svedberga homeopatycznych leków.

Kiedy Wallander znalazł się na ulicy, wydawało mu się, że Sundelius obserwuje go przez okno. Nie odwrócił się. Był przekonany, że Sundelius nie mówi prawdy, coś przed nim ukrywa. Wsiadł do samochodu i próbował odtworzyć przeprowadzoną rozmowę. Miał w głowie płataninę myśli. Nie mógł się skupić. Pojechał do domu na Mariagatan i wyciągnął się na łóżku. Nastawił budzik na godzinę później.

Ostry sygnał telefonu wyrwał go ze snu. Wzdrygnął się i usiadł na łóżku, po czym poczłapał do kuchni. Dzwonił Lennart Westin. Z domu na wyspie.

- Może obudziłem? - spytał przepraszająco.

- Ale skąd - skłamał Wallander. - Właśnie brałem prysznic i siedzę w ręczniku. Mogę oddzwonić za parę minut?

- W porządku. Jestem w domu.

Na stole leżał długopis. Nie miał pod ręką kartki. Nawet kawałka gazety. Zapisał numer bezpośrednio na blacie.

Siedział chwilę z głową opartą na rękach. Ból rozsadzał mu czaszkę. Czuł jeszcze większe zmęczenie niż przedtem. Polał twarz zimną wodą, odszukał tabletkę od bólu głowy i nastawił kawę. Wystarczyło na jedną filiżankę. Kawa się skończyła. Minął blisko kwadrans, zanim oddzwonił do Lennarta Westina. Zegar na ścianie w kuchni wskazywał dziewięć po ósmej. Westin podniósł słuchawkę.

- Chyba pan jednak spał - stwierdził. - Ale obiecałem zadzwonić, jak mi się coś ważnego przypomni.

- Pracujemy prawie na okrągło - wyjaśnił Wallander. - Mamy za mało snu. Ale dobrze, że pan dzwoni.

- Właściwie mam dwie rzeczy. Pierwsza dotyczy policjanta, który ze mną płynął. Tego, który został zastrzelony. Dziś rano, kiedy się obudziłem, przypomniałem sobie coś, co powiedział. Wallander przeprosił go i poszedł do salonu po notes.

- Pytał, czy miałem niedawno pasażerkę na Barnsö.

- Był ktoś taki?

- Owszem.

- Kto?

- Nazywa się Linnea Vederfeldt i mieszka w Gusumie.

- W jakim celu tam płynęła?

- Matka Isy zamówiła u niej nowe firanki do domu. Vederfeldt jest jej przyjaciółką z lat dziecińczych. Jechała na wyspę wziąć potrzebne wymiary. Miałem ją odebrać po rozwiezieniu poczty.

- Powiedział pan to Svedbergowi?

- W gruncie rzeczy uważałem, że to nie jego sprawa. Trochę się wykręcałem.

- Co on na to?

- Nalegał. W końcu powiedziałem, że to przyjaciółka matki. Wtedy stracił zainteresowanie.

- Pytał jeszcze o coś?

- Więcej nie pamiętam. Ale zdenerwował się, jak powiedziałem, że miałem na pokładzie pasażerkę. To sobie przypominam. Nie rozumiem, jak mogło mi wylecieć z głowy.

- Jak się zdenerwował?

- Nie wiem, jak to opisać. Może się zląkł.

Wallander przytaknął w duchu. Svedberg myślał, że to Louise, pomyślał. I tego się przeląkł.

- A ta druga rzecz? Mówił pan, że są dwie.

- Miałem naprawdę dobrą noc. Rano sobie przypomniałem, o czym jeszcze rozmawialiśmy na łodzi. Zanim dobiliśmy do pierwszego pomostu. Powiedziałem, że listonosz wszystko wie o ludziach. Chcąc nie chcąc. Pamięta pan?

-Tak.

- Nic ważniejszego nie mam.

- To było ważne. Dziękuję za telefon.

- Powinien pan tu kiedyś przyjechać jesienią - powiedział Westin. - Kiedy w zatokach panuje cisza.

- Mam to potraktować jako zaproszenie?

- Może pan to potraktować dowolnie - odparł, śmiejąc się, Westin. - Ale ja zwykle dotrzymuję słowa.

Rozmowa była skończona. Wallander zabrał kawę i wolno przeszedł do salonu.

On również przypomniał sobie rozmowę w kokpicie. O tym, jak to jest rozwozić pocztę w archipelagu.

Raptem zrozumiał, czego przez cały czas szukał. Przeczucie go nie myliło.

Szukali sprawcy, który drobiazgowo planował swoje potworne zbrodnie. Plan mógł się udać jedynie pod warunkiem, że zdobędzie niezbędną informację o wybranych ofiarach, i to bez ich wiedzy.

Na przykład mając dostęp do cudzej poczty i możliwość zapoznania się z treścią zaklejonych listów.

Wallander zastygł w bezruchu pośrodku salonu. W rękę trzymał kubek z kawą.

Czyżby to było tak proste? Tak przerażająco proste? Kto mógł mieć dostęp do tego rodzaju informacji? Odpowiedź podsunął mu Lennart Westin. Wiejski listonosz. Nieważne, czy na lądzie, czy na morzu.

Listonosz, który otwiera i czyta cudze listy. A później zakleja koperty i wysyła do adresatów, nie zostawiając śladów.

Coś tu się jednak nie zgadzało. To było zbyt proste, zbyt nieprawdopodobne, żeby mogło być prawdziwe.

Uświadomił sobie, że po raz pierwszy pojawiła się szansa rozwiązania głównego problemu, z którym się zmagali: w jaki sposób sprawca zdobywał informacje.

Była jeszcze sprawa pocztówek z podrobionymi podpisami, wysyłanych z różnych miejsc w Europie.

Zmęczenie ustąpiło. Myśli płynęły jedna za drugą. Wydarzenia, dotąd rozproszone, zaczynały się ze sobą łączyć i tworzyć pewien wzór.

Czuł, że wpadł na trop prawdopodobnego rozwiązania. Ale zdawał sobie sprawę, że koncepcja ma zbyt dużo słabych punktów. Na przykład fakt, że ofiary mieszkały w różnych rejonach pocztowych. Czyżby to był ktoś, kto pracuje w sortowni listów? A nie listonosz, który rozwozi pocztę?

Siedział na sofie z kubkiem kawy w rękę, rozważając wszystkie za i przeciw. Cała ta historia okaże się najpewniej ślepym zaułkiem. Nie mógł się jednak pozbyć uczucia, że mogłaby mieć duże znaczenie dla śledztwa.

Istnieje rozwiązanie zagadki dostępu do informacji.

Wziął prysznic i ubrał się. Piętnaście po dziewiątej wszedł do budynku komendy. Czuł nagłą potrzebę przedyskutowania ostatnich przemyśleń. W biurze zastał osobę, z którą najlepiej mu się rozmawiało.

- Jak dzieci? - zapytał.

- Dzieci zawsze chorują w najbardziej nieodpowiednim momencie. Można by to nazwać pierwszym prawem Hóglun-dów.

Wallander usiadł na krześle dla interesantów. Patrzyła na niego zza biurka.

- Mam nadzieję, że nie wyglądam tak jak ty. Nie gniewaj się. Czy ty w ogóle spałeś tej nocy? - zapytała.

- Kilka godzin.

- Mąż wyjeżdża za cztery dni do Dubaju. Sądzisz, że do tego czasu wyjdziemy z tego piekła?

- Nie.

- No to nie wiem, co będzie - powiedziała, rozkładając ręce.

- Będiesz pracować tyle, ile będziesz mogła. To proste.

- Nie - odparła. - To nie jest takie proste. Ale mężczyźni tego nie rozumieją.

Wallander nie miał ochoty na rozmowę o kłopotach z zapewnieniem opieki dzieciom na czas jej pracy. Podjął temat wydarzeń minionej nocy. Powiedział o policjancie, który rozpoznał Louise. I o rozmowie z Lone Kjaer kilka godzin wcześniej.

- Więc Louise naprawdę istnieje? Zaczęłam już ją brać za ducha.

- Który ma coś wspólnego z sektą zwaną „Divine Movers”. Nie jestem pewien, czy ma na imię Louise. Ale jestem przekonany, że istnieje. I wykazuje zainteresowanie śledztwem.

- Czy to ona jest sprawcą?

- Nie możemy tego zupełnie wykluczyć. Chyba że robi to, co Svedberg.

- Idzie za czyimś tropem?

- Coś w tym rodzaju. Każdy, kto ma służbę na miejscu przestępstwa, musi mieć szeroko otwarte oczy. Na wypadek, gdyby ona się znowu zjawiała.

Wallander przeszedł do rozmowy telefonicznej z Westi-nem i wniosków, jakie mu się nasunęły. Słuchała go uważnie. Widział, że ma wątpliwości.

- Na pewno warto to sprawdzić - powiedziała, kiedy skończył. - Obawiam się jednak, że ta koncepcja ma dużo słabych punktów. Po pierwsze: czy ludzie jeszcze w ogóle piszą listy?

- Traktuję ją raczej jako częściową odpowiedź na nasze pytania. Może nas zresztą zainspiruje do dalszych przemyśleń. Bardziej dostosowanych do faktów, którymi rozporządzamy.

- Czy w dochodzeniu pojawił się już wiejski listonosz?

- Nawet dwaj - odparł Wallander. - Jeśli liczyć Westina. Pamiętam, że Erik Lundberg, sąsiad Isy Edengren, mówił, że listonosz zaglądał tego samego dnia, kiedy zabrali Isę. Dowiedział się, że pojechała do szpitala.

- Może porównać jego głos z głosem mężczyzny, który dzwonił do szpitala? - zaproponowała.

Minęła chwila, zanim Wallander zrozumiał.

- Masz na myśli mężczyznę, który się podawał za Lund-berga?

- Listonosz wiedział, że ona jest w szpitalu. I wiedział, że Lundberg też wie.

Wallander był zbity z tropu. Czyżby jego konstrukcja myślowa miała jakiś sens? Był jednak zbyt zmęczony, żeby polegać na swojej opinii.

Przeszedł do spotkania z Brorem Sundeliusem. Mówił, że odniósł wrażenie, jakby Sundelius nie mówił wszystkiego. Poza tym mówił nieprawdę.

- Zatem znowu pojawia się Svedberg.

- Zupełnie jakby ktoś miał na niego haka - zasugerował Wallander. - Trzeba przyznać, że Svedberg zachował się dziwnie. Powinien był przeprowadzić wstępne postępowanie w sprawie pobicia Stiga przez brata. To oczywiste. Nie zrobił tego. Na dodatek groził Stigowi i robił wszystko, żeby Nils przypadkiem nie stanął przed sądem. Miał szczęście, że rzecznik nie podjął żadnych kroków. Narażał się na poważne ostrzeżenie.

- To chyba niepodobne do Svedberga, żeby komuś groził?

- Podejrzewam, że coś się za tym kryje. Svedberg postąpił wbrew regulaminowi. To nie pasuje do jego osobowości. Musiał czuć jakąś presję.

- Ze strony Nilsa Stridha?

- Nie widzę innego wytłumaczenia.

Zastanawiali się w milczeniu.

- Czyżby szantaż? - powiedziała wreszcie. - Ale jakiego haka na Svedberga miał Stridh?

- Tego musimy się dowiedzieć.

- Powinniśmy przycisnąć Sundeliusa.

- Zgadzam się - odpowiedział Wallander. - Jak tylko będziemy mieli trochę czasu.

Minęła dziesiąta. Martinsson, Hansson i trzech policjanci z Malmö już przyszli. Nyberg był w dalszym ciągu na miejscu zbrodni. Lisa Holgersson zabarykadowała się w pokoju i organizowała kontakty z mediami. Thurnberg trzymał się z boku. Raz tylko mignął Wallanderowi w korytarzu. W sali odpraw na chwilę zapanowała wesołość. Ktoś puścił w

obieg kopię zażalenia na Wallandera. „Użycie przemocy w celu powalenia na ziemię spokojnie biegnącego osobnika płci męskiej” - to zdanie wzbudziło największe rozbawienie. Gorzej bawił się Wallander. Nie dlatego, że obawiał się jakichś następstw, lecz że w grupie osłabła koncentracja.

Nie chciał tracić czasu. Pokrótko omówili przypadające na każdego zadania i rozeszli się. Zadań było wiele. Wallander i Ann-Britt Hóglund jechali do Kópingebro na rozmowę z rodzicami Malin Skander. W tym samym czasie Martinsson i Hansson mieli się skontaktować z najbliższą rodziną Torbjórna Wenera. Wallander zasnął, jak tylko wsiadł do samochodu Ann-Britt. Pozwoliła mu spać.

Obudził się w chwili, kiedy dojechali do gospodarstwa, tuż za Kópingebro. Mimo pięknej pogody w obejściu panowała cisza. Drzwi i okna były pozamykane. Kiedy zbliżali się do domu, zza węgła wyszedł wysoki i mocno zbudowany mężczyzna w średnim wieku. Ubrany był w ciemny garnitur. Oczy miał zaczerwienione. Przedstawił się. Był to Lars Skander, ojciec panny młodej.

- Jestem do dyspozycji - powiedział. - Żona nie jest w stanie rozmawiać.

- Proszę przyjąć moje kondolencje. Przykro mi, że tej rozmowy nie można odłożyć na później - odparł Wallander.

- Naturalnie, że nie - zgodził się Lars Skander, nie kryjąc goryczy i smutku. - Musicie przecież schwytać tego szaleńca. - Utkwił w nich błagalny wzrok. - Kto mógł zrobić coś podobnego? Kto mógł zamordować dwoje młodych ludzi pozujących do ślubnej fotografii?

Wallander obawiał się, że mężczyzna się załamie. Ale Ann-Britt szybko opanowała sytuację.

- Zadamy panu tylko niezbędne pytania. Jeżeli mamy złapać tego, kto to zrobił, musimy dowiedzieć się paru rzeczy.

- Usiądźmy w ogrodzie. W domu nie wiem, co ze sobą zrobić.

Przeszli wokół domu. Pod starą czereśnią stało kilka ogrodowych mebli.

Lars Skander był weterynarzem. Urodził się w Hassleholm i po dyplomie osiadł w okolicach Ystadu. Mieli z żoną troje dzieci - dwie córki i syna. Malin była najmłodsza. Pozostali założyli już rodziny i wyprowadzili się z domu. Malin i Torbjorn znali się od szkolnych czasów. Nigdy nie było wątpliwości, że tych dwoje kiedyś będzie parą. Torbjorn dopiero co przejął gospodarstwo ojca. Wprowadzili się tam z początkiem lata. Z różnych praktycznych względów ślub został przesunięty na sierpień.

Do tej pory wszystkie pytania zadawała Ann-Britt Hóglund. Wallander zauważył, że była taktowna i delikatna.

Nadeszła jego kolej.

- Muszę zadać kilka pytań - zaczął. - Czy przychodzi panu na myśl ktoś, kto mógł się dopuścić zbrodni? Czy oni mieli jakichś wrogów?

Lars Skander patrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Dlaczego Malin i Torbjorn mieliby mieć wrogów? Ze wszystkimi dobrze żyli. Trudno sobie wyobrazić spokojniejszych ludzi.

- To jest bardzo ważne. Proszę się dobrze zastanowić, zanim pan odpowie.

- Już się zastanowiłem. Nikt taki nie istnieje.

Informacja, myślał Wallander. Ciągłe wracamy do tego samego. W jaki sposób sprawca zdobywa informację? Pytał dalej:

- Kiedy ustalili datę ślubu?

- Dokładnie nie pamiętam. Gdzieś w maju. Najpóźniej w pierwszym tygodniu czerwca.

- Kiedy postanowili, że zrobią sobie zdjęcia w Nybrostran-dzie?

- Nie wiem. Torbjorn i Rolf Haag znali się od bardzo dawna. Pewnie zaplanowali to we trójkę.

- Wiedział pan, że to będzie tamto miejsce? Kiedy po raz pierwszy pan o tym usłyszał?

- Torbjorn i Malin szczegółowo zaplanowali cały ślub. Zależało im na tym, żeby wszystko zgrać. Dlatego przypuszczam, że sprawę zdjęć omawiali na końcu.

- Czyli jakieś dwa miesiące temu? -Tak.

- Kto o tym wiedział, że mieli się fotografować na plaży? Odpowiedź była nieoczekiwana.

- Prawie nikt.

- Jak to?

- Chcieli mieć kilka godzin spokoju. Między ślubem a wieczornym przyjęciem. Dlatego wiedzieli tylko oni i fotograf. To miała być ich potajemna, dwugodzinna podróż poślubna.

Wallander i Ann-Britt Hóglund wymienili spojrzenia.

- To niezwykle ważna wiadomość. Czy to znaczy, że i pan o tym nie wiedział?

- Ani ja, ani żona. Jestem przekonany, że to samo dotyczy rodziców Torbjórna.

- Proszę to jeszcze raz powtórzyć - powiedział Wallander. - Muszę być pewny, że dobrze zrozumiałem. Poza Malin i Torbjórnem o zdjęciach wiedział tylko fotograf?

- Zgadza się.

- A miejsce zostało wybrane gdzieś w maju. Najpóźniej w czerwcu?

- Z początku mieli się fotografować tutaj, przy głazach w Ale - powiedział Lars Skander. - Tak było ustalone. Potem miejsce zmienili.

Wallander zmarszczył czoło. Nie był pewny, czy wszystko dokładnie zrozumiał.

- Więc jednak wiedział pan, gdzie będą się fotografować?

- Tak, ale to była pierwsza wersja. Potem ją zmienili. Doszli do wniosku, że głazy w Ale są zbyt oklepane. Po prostu nie ma pary, która by tam nie jechała.

Wallander gwałtownie zaczerpnął powietrza.

- Kiedy zmienili miejsce?

- Kilka tygodni temu.

- I nowe trzymali w tajemnicy?

-Tak.

Wallander spoglądał w milczeniu na Larsa Skandera, po czym odwrócił się do Ann-Britt Hóglund. Wiedział, że myślą o tym samym. Kilka tygodni wcześniej młodzi zmienili plany. Trzymali to dla siebie. Tych kilka tygodni wystarczyło, żeby ktoś przebił się przez mur pilnie strzeżonej tajemnicy.

- Zadzwoń do Martinssona - rzucił Wallander. - Poproś, żeby rodzice Wenera to potwierdzili.

Wstała i odeszła na bok, żeby zadzwonić. Tak blisko jeszcze nie byliśmy, pomyślał Wallander. Odwrócił się do Larsa Skandera i pytał dalej:

- Na pewno nie potrafi pan wskazać nikogo z zewnątrz, kto mógłby wiedzieć o miejscu na plaży?

- Nie.

Wallander przebiegał w myślach różne ewentualności. Nadal nie wiedzieli, czy Roif Haag miał pomocnika. Nie można było do końca wykluczyć, że ktoś z najbliższego kręgu przyjaciół znał nowe miejsce. A tego Lars Skander nie mógł wiedzieć.

W tej samej chwili otworzyło się nagle okno na piętrze.

Wychyliła się kobieta i zaczęła krzyczeć.

28

Wallander będzie później wspominał kobietę w oknie i to, co nastąpiło, jako coś nierealnego. Było bezwietrznie, jeden z najcieplejszych dni sierpnia. Ogród tonął w intensywnej zieleni. Ann-Britt stała pod gruszą z telefonem przy uchu, on sam siedział na białym ogrodowym krześle naprzeciwko Larsa Skandera. Zarówno on, jak i Ann-Britt od razu poczuli, że jest za

późno. Kobieta, która otworzyła okno, zamierzała wyskoczyć. Prosto na kamienną posadzkę, która szerokim pasem biegła naokoło domu. Może by i przeżyła, nie było specjalnie wysoko. Wyglądało jednak na to, że zamierza się rzucić głową naprzód. Nie było szans, żeby ją powstrzymać.

Przez moment panowała całkowita cisza, jak gdyby wszystko zastygło. Zaraz potem Ann-Britt Hóglund rzuciła słuchawkę i biegiem ruszyła do okna. Wallander z całej siły krzyknął coś, czego później nie pamiętał. Lars Skander wstał powoli, jakby nie rozumiejąc, co się dzieje. Kobieta w oknie - matka zamordowanej panny młodej - nie przestawała krzyczeć. Jej rozpacz przecięła sierpniowy dzień jak diament szkło.

Później, kiedy wspominali to wydarzenie, byli zgodni co do tego, że najbardziej wstrząsnął nimi tamten krzyk.

Ann-Britt biegiem okrążyła dom, podczas gdy Wallander stanął pod oknem z rozłożonymi ramionami. U jego boku, jak zjawa, wyrósł nagle Lars Skander, ze wzrokiem bezsilnie skierowanym w górę, gdzie z okna zwisała nieszczęsna kobieta.

Nagle Ann-Britt wyrosła z tyłu za kobietą i jednym szarpnięciem wciągnęła ją do pokoju. Wszystko ucichło.

Kobieta przestała krzyczeć. Kiedy weszli do pokoju, Ann-Britt siedziała na podłodze, trzymając ją w objęciach. Wallander zszedł na dół i zadzwonił po karetkę pogotowia. Karetka przyjechała i odjechała. Wrócili na tyły domu. Ann-Britt podniosła z trawy telefon. Wallander usiadł na ogrodowym krześle.

- Miałam Martinssona na linii, kiedy otworzyło się okno.

Musiał się zdziwić - powiedziała Ann-Britt Hóglund.

- Zadzwon jeszcze raz - zaproponował Wallander.

Usiadła naprzeciwko. Nad nimi krążyła brzęcząca osa.

Svedberg panicznie bał się os.

Teraz już nie żył.

Dlatego właśnie siedzieli w ogrodzie Larsa Skandera. Wiele innych osób również nie żyło. Stanowczo zbyt wiele.

- Powiem ci, co naprawdę myślę. Boję się, że on znów zaatakuje. Ze strachem czekam na chwilę, kiedy ktoś zadzwoni i powie, że znów się stało. Gorączkowo szukam jakiegoś znaku, że ten koszmar niebawem się skończy i nie będziemy się więcej pochylać nad ciałami zastrzelonych ludzi. Ale go nie znajduję.

- Ten lęk odczuwa każdy z nas - odparła. - Chociaż nic nie mówimy.

Oboje wiedzieli, że motorem ich działania był strach. I tak pozostanie, dopóki nie schwytają właściwej osoby.

- O mało nie wyskoczyła - stwierdziła Ann-Britt. - Nikt z nas nie może sobie wyobrazić, co w tej chwili przeżywa.

Ann-Britt zadzwoniła do Martinssona. Dziwił się, co się stało. Wallander przesunął się z krzesłem do cienia. Zbierał myśli. Decyzję o fotografowaniu w Nybrostrandzie młodzie podjęli kilka tygodni temu. Kto miał dostęp do informacji?

Poczuł wzrastające zniecierpliwienie. Dlaczego jeszcze się nie dowiedzieli, czy Rolf Haag miał jakiegoś pomocnika?

Ann-Britt zakończyła rozmowę z Martinssonem. Przesunęła się z krzesłem do cienia.

- Ma oddzwonić. Mówi, że rodzice Wenera są bardzo starzy. Nie bardzo potrafi ocenić, gdzie kończy się rozpacz, a zaczyna skleroza.

- Czy Rolf Haag miał pomocnika? - spytał Wallander. - To następna istotna kwestia. Policja z Malmö miała się tym zająć. Od kogo się można dowiedzieć?

- Pamiętasz Bircha z Lundu, z którym współpracowaliśmy w ubiegłym roku?

- Jak mógłbym go zapomnieć?

Birch był policjantem dawnego pokroju. Kontakt z nim sprawiał Wallanderowi prawdziwą przyjemność.

- Przeniósł się do Malmö - ciągnęła dalej. - Chyba on miał się tym zająć.

- W takim razie na pewno to zrobił - stwierdził Wallander.

Sięgnął do kieszeni po telefon i zadzwonił na policję w Malmö. Miał szczęście. Zastał Bircha w biurze. Zamienili kilka słów na powitanie. Birch wiedział, o co chodzi.

- Zostawiłem wiadomość w Ystadzie. Jeszcze nie dotarła?

- Na razie nie.

- To ci ją przekażę. Rolf Haag miał zakład w pobliżu placu Nobla. Pracował głównie tam. Ale w ostatnich latach wydał dwa albumy ze zdjęciami z podróży. Jeden z Erytrei, drugi z Wysp Azorskich.

- Muszę ci przerwać - powiedział Wallander. - Najpierw chcę wiedzieć, czy miał pomocnika.

- Tak, miał.

Wallander dał znak Ann-Britt, że potrzebuje pióra. W kieszonce koszuli znalazł stary paragon, na którym mógł zanotować nazwisko.

- Wiesz, jak się nazywa?

- Zdarza się, że fotografowie zatrudniają do pomocy kobiety. Nie wiem, czy to działa również w drugą stronę.

- Jak się nazywa?

- Maria Hjortberg.

- Rozmawiałeś z nią?

- Nie mogłem jej złapać. W piątek pojechała do domu rodziców do Hudviksvallu. Gdzieś w głębokim lesie. Nie ma tam telefonu, a komórkę zostawiła w biurze. Rozmawiałem z dziewczyną, z którą mieszka. Twierdzi, że Maria od czasu do czasu chce się uwolnić od cudów techniki. Być w lesie i nie odbierać telefonów. Dziś wieczór wraca do Malmö. Jej samolot ląduje na Sturupie piętnaście po siódmej. Zamierzałem osobiście po nią wyjechać. Raczej nie mamy powodu przypuszczać, że zamordowała swojego pracodawcę albo młodą parę.

Wallander usłyszał coś, czego nie chciał słyszeć. Czuł wzrastające zniecierpliwienie i irytację - cechy złego policjanta.

- Musimy się dowiedzieć, czy ktoś z zewnątrz znał miejsce, gdzie miała się odbyć sesja. Zdaje się, że mało kto był poinformowany.

- Wczoraj wieczorem przeszukałem zakład - powiedział Birch. - Zajęło mi to pół nocy. Wpadł mi w ręce list z dwudziestego ósmego czerwca, od Torbjórna Wenera do Haaga. Z potwierdzeniem miejsca i godziny.

- Skąd był nadany?

- Jest datowany w Ystadzie.

- Masz go gdzieś?

- Leży w moim pokoju na półce.

- Nie ma koperty? Ani stempla z poczty?

- W zakładzie fotograficznym stał plastikowy worek z papierami. Może koperta jest w środku? Jeśli nie, to została wyrzucona. Minęło już dobrych kilka tygodni.

- Ta koperta jest mi bardzo potrzebna. Jeśli można ją znaleźć.

- Dlaczego to takie ważne? Jeżeli list jest datowany w Ystadzie, to chyba możemy założyć, że stamtąd został wysłany?

- Interesuje mnie głównie, czy jest ślad, że koperta została otwarta więcej niż jeden raz.

Musimy ją znaleźć, żeby przeprowadzić ekspertyzę w laboratorium.

Birch więcej nie pytał. Przyrzekł natychmiast udać się do zakładu.

- Pracujesz nad ryzykowną teorią - ostrzegł.

- Na razie nie mam innej - odparł Wallander. - Być może szukam potwierdzenia, że koperta była otwarta tylko raz. Jeśli tak, to dam sobie spokój. Ciągle jednak pozostanie pytanie, w jaki sposób sprawca zdobywał potrzebne mu informacje.

Birch przyrzekł się odezwać, jeżeli będzie miał coś nowego.

Wrócili do Ystadu około dwunastej. Wallander poszedł do domu i usmażył kilka jajek. Potem uciął sobie półgodzinną drzemkę. Dziesięć po pierwszej był już w komendzie.

Przejrzał nowe wiadomości telefoniczne, a potem za jednym zamachem spisał dotychczasowy przebieg wydarzeń. Powód był prosty. Próbował ustalić minimum informacji, które musiał posiadać sprawca. Czytając swoje zapiski, odniósł wrażenie, że chyba zbyt pośpiesznie porzucił teorię o otwieraniu listów. Udał się do recepcji i zapytał dziewczynę, która zastępowała Ebbę w soboty i niedziele, czy nie wie, gdzie sortuje się pocztę dla okręgu ystadzkiego. Nie wiedziała.

- Może udałoby ci się dowiedzieć - poprosił Wallander.

- W niedzielę?

- Dla nas to dzień jak każdy inny.

- Ale chyba nie dla poczty.

Wzbierała w nim złość, ale się opanował.

- O ile wiem, w niedzielę też się opróżnia skrzynki - po wiedział. - Przynajmniej raz. To znaczy, że na poczcie pracują ludzie nawet w niedzielę.

Przyrzekła to sprawdzić. Wallander szybko wrócił do siebie - miał uczucie, że jej przeszkadza. Właśnie zamykał za sobą drzwi, kiedy coś sobie przypomniał. Stwierdzili z Ann-Britt, że w dochodzeniu pojawia się dwóch listonoszy. Teraz przypomniał sobie jeszcze jednego. Usiadł za biurkiem i starał się pochwycić wspomnienie. Co takiego powiedział Sture Björklund? Odnosił wrażenie, że ktoś był w jego obejściu. Ktoś obcy. Sąsiedzi nie zagłądali - wiedzieli, że chce mieć spokój. Regularnie przychodził jedynie listonosz.

Listonosz, który stawia w przybudówce teleskop Svedberga, myślał Wallander. To nonsens. Gorzej, szaleństwo. Coś, co przychodzi do głowy z czystej desperacji.

Wydał pomruk niezadowolenia i zabrał się do raportów, z którymi do tej pory nie miał czasu się zapoznać. Ledwie zaczął, gdy w drzwiach pojawił się Martinsson. Wallander upuścił papiery.

- Jak poszło? - zapytał.

- Ann-Britt mówiła mi o kobiecie, która chciała wyskoczyć przez okno. U nas nic takiego się nie zdarzyło. Rodzice Torbjórna Wenera są na to za starzy. Co nie znaczy, że ich tragedia jest mniejsza. Torbjörn właśnie przejął gospodarstwo i starzy mogli się wycofać. Ciągłość była zapewniona, przyszło młode pokolenie. Ich drugi syn zginął kilka lat temu w wypadku samochodowym. Teraz nie mają nikogo.

- Tego morderca nie bierze pod uwagę - stwierdził Wallander.

Martinsson stanął przy oknie. Wallander widział, że jest poruszony. Zastanawiał się, jak długo Martinsson wytrzyma. Kiedyś, powodowany najlepszymi intencjami, został policjantem. Było to w czasach, kiedy zawód policjanta nie uchodził wśród młodych ludzi za specjalnie atrakcyjny. Potem nastął okres, kiedy na zawód policjanta patrzono z pogardą. Lecz Martinsson był wierny początkowej decyzji. Każde społeczeństwo ma taką policję, na jaką zasługuje. Chciał być dobrym policjantem. Jednak w ostatnich latach Wallander widział, jak narastały w nim wątpliwości i kruszyły się dawne przekonania. Dziś Wallander nie był pewien, czy Martinsson wytrwa do emerytury.

Martinsson dalej stał przy oknie. Odwrócił się do Wallandera.

- On znowu zaatakuje.

- Nie wiemy. Ale ryzyko istnieje.

- Dlaczego miałby tego nie zrobić? Nienawidzi ludzi i zabija dla samego zabijania. Nie ma innego motywu.

- Coś takiego zdarza się niezwykle rzadko. Sęk w tym, że nie wpadliśmy na to, co go napędza. Na motyw.

- Sądzę, że się mylisz - powiedział Martinsson z naciskiem. Jego słowa zabrzmiały jak oskarżenie.

- W czym?

- Jeszcze kilka lat temu zgodziłbym się z tobą. Nie ma przemocy bez przyczyny. Ale to już przeszłość. Zanim zdążyliśmy się zorientować, w kraju zaszły zmiany. Przemoc stała się czymś naturalnym. Przekroczyliśmy niewidzialną barierę. Całe pokolenie młodzieży traci grunt pod nogami. Nikt już ich nie uczy, jak odróżniać dobro od zła. Samo pojęcie dobra i zła zniknęło. Każdy ustanawia własne prawa. Jaki jest sens bycia policjantem?

- Sam musisz sobie na to odpowiedzieć.

- Właśnie próbuję to zrobić.

Martinsson usiadł na podniszczonym krześle dla interesantów.

- Wiesz, co stało się ze Szwecją? Jest krajem bezprawia. Kto by w to uwierzył jeszcze piętnaście, dwadzieścia lat temu? Że w Szwecji będzie bezprawie?

- Jeszcze nie jest tak źle - pocieszył go Wallander. - Nie zgadzam się z tobą. Ale zgadzam się, że zmierzamy w niebezpiecznym kierunku. I dlatego jest ważne, bardziej niż kiedykolwiek, by tacy jak ty i ja stawiali opór.

- Zawsze tak uważałem. Teraz jednak mam poczucie, że jesteśmy na straconych pozycjach.

- W tym kraju nie ma policjanta, który od czasu do czasu nie miałby tego poczucia - zgodził się Wallander. - Ale to nie wpływa na moje nastawienie. Musimy stawiać opór. Tak jak usiłujemy stawiać opór temu szaleńcowi. Ścigamy go i nie dajemy za wygraną. W końcu go wytropimy i schwytamy.

- Mój syn wbił sobie do głowy, że zostanie policjantem. Pyta mnie, jak to jest. Nie potrafię mu odpowiedzieć.

- Przyślij go do mnie - zaproponował Wallander. - Ja mu wytłumaczę.

- Ma jedenaście lat.

- To dobry wiek, żeby zrozumieć niektóre rzeczy.

- Powiem mu.

Wallander skorzystał z okazji, żeby powrócić do tematu śledztwa.

- Co rodzice Wenera wiedzieli o ślubnych zdjęciach?

- Tylko tyle, że miały być zrobione po ślubie, a przed przyjęciem.

Wallander uderzył dłońmi w stół.

- To oznacza przełom. Teraz trzeba tylko podkręcić tempo pracy.

- Już teraz padamy z nóg. Jak masz zamiar tego dokonać?

- Musimy zapomnieć o zmęczeniu - stwierdził Wallander, podnosząc się. - O trzeciej chcę się ze wszystkimi spotkać. Włącznie z Thurnbergiem. Załatw to.

Martinsson kiwnął głową. Odwrócił się w drzwiach.

- Mówisz poważnie, że porozmawiasz z moim synem?

- Jak już będzie po wszystkim - odparł Wallander. - Wtedy odpowiem na każde pytanie.

Pozwolę mu nawet zmierzyć czapkę od munduru.

- Masz mundur? - spytał zdziwiony Martinsson.

- Na pewno gdzieś mam. Ale nie wiem gdzie.

Wallander powrócił do raportów. Odezwał się telefon.

Dziewczyna z recepcji poinformowała, że pocztę do rejonów pozamiejskich sortuje się w rozdzielni w Ystadzie, znajdującej się przy ulicy Mejerigatan, tuż za szpitalem. Wallander podziękował i zanotował numer. W rozdzielni nikt się nie zgłaszał. Może po prostu nie

odbierali telefonu. Zastanawiał się, czy tam pojechać. Zdecydował, że zaczeka. Powinien się do tego przygotować.

Wallander szedł na popołudniowe zebranie grupy dochodzeniowej z uczuciem, że dojdzie do starcia między nim a prokuratorem Thurnbergiem. Nie wiedział, dlaczego tak uważał. Poza niefortunnym zajściem w Nybrostrand, nie miał powodu, żeby uskarżać się na postępowanie Thurnberga. Nadal nie był pewien, jakie będą następstwa zażalenia, które złożył na niego Nils Hagroth. Mimo to wydawało mu się, że pomiędzy nim a Thurnbergiem panuje coś w rodzaju stanu wojennego.

Po skończonym zebraniu Wallander musiał przyznać, że się omylił. Thurnberg go zadziwił - wspierał Wallandera za każdym razem, gdy grupa dochodzeniowa wykazywała objawy niezdecydowania czy braku jednomyślności. Zrozumiał, że zbyt pośpiesznie ocenił Thurnberga. Może arogancja, która go tak u niego razila, to tylko wyraz braku pewności?

Wallander rozpoczął zebranie od stwierdzenia, że stoją w obliczu przełomu. Powinni skoncentrować się na jednym, zasadniczym pytaniu: kto mógł wiedzieć, gdzie i kiedy mieli robić ślubne zdjęcia? Po zakończeniu zebrania całą energię mieli skierować na tę kwestię, a wszystko inne odłożyć na bok.

Popłynął strumień obiekcji. Przede wszystkim od Hansso-na, który był zdania, że Wallander grubo przesadził. Rodzice Wenera byli starzy. Ich pamięć szwankowała i nawet jeśli coś wcześniej wiedzieli, mogli zapomnieć. Zarówno Malin Skander, jak i Torbjörn Werner mieli wielu bliskich przyjaciół. Ktoś z nich mógł wiedzieć o zdjęciach. Nawet przyjąwszy, że Wallander ma rację, nie można wszystkiego postawić na jedną kartę.

W tym momencie Thurnberg włączył się do rozmowy. Mówił jasno i zwięźle, podkreślając, że na tym etapie śledztwa decyzja Wallandera jest słuszna. W ciągu najbliższych dni, a raczej godzin, powinni się skoncentrować na tym umykającym punkcie: kto wiedział, gdzie i kiedy mieli robić zdjęcia?

Po tych słowach Thurnberg znowu zamknął się w swojej skorupie. Dyskusja umilkła. Jej kres położyło poparcie, jakiego Wallanderowi udzielił prokurator. Pozostały czas spędzili na planowaniu i przydzielaniu zadań. Kto miał kogo przesłuchiwać? W jakiej kolejności? Wallander postanowił rozmówić się z pomocnicą fotografa, która za kilka godzin miała wylądować na Sturupie.

Kolejne zebranie ustalili jeszcze na ten sam wieczór. Chyba że popołudniowe przesłuchania przyniosą jakieś sensacje. Wtedy spotkają się wcześniej.

Pod koniec Wallander wystąpił z krótkim podsumowaniem.

- Być może zbliżamy się do przełomu w śledztwie - rozpoczął. - Miejmy nadzieję, że tak jest naprawdę. Istnieje pewna okoliczność, o której rzadko wspominamy. Jak wszyscy wiemy, sprawca może uderzyć powtórnie. Dziś, jutro, w przyszłym tygodniu. Nie wiemy. Dlatego nie wiemy również, ile mamy czasu. O ile w ogóle go mamy.

Po zebraniu, gdy już się rozchodzili, Wallander pomyślał, że powinien coś powiedzieć Thurnbergowi. Ale nie bardzo wiedział co, więc dał spokój.

Minęło w pół do piątej. Asystentka Rolfa Haaga miała lądować za dwie godziny. Wallander bezskutecznie próbował dodzwonić się do Bircha.

Wtedy zrobił coś, czego nigdy wcześniej nie robił. Zamknął na klucz drzwi od pokoju i wyciągnął się na podłodze, ze starą teczką pod głową zamiast poduszki. Zanim zdążył zasnąć, usłyszał pukanie do drzwi. Nie odpowiedział. Musi się zdrzemnąć, bo inaczej padnie. W szufladzie biurka miał stary budzik. Nie wiedział po co. Ale teraz się przydał.

Znów śnił mu się ojciec. Rozbiegane obrazy z dzieciństwa. Szybkie klatki z życia. Podróż do Rzymu. Nagłe pojawienie się Martinssona na Schodach Hiszpańskich. Wyglądał jak małe dziecko. Wallander do niego wołał. Ale Martinsson nie słyszał. Więcej nie pamiętał. Sen gdzieś uleciał.

Z trudem podniósł się z podłogi. Strzyknęło mu w krzyżu. Otworzył drzwi i poczłapał do toalety. Nie cierpiał tego obezwładniającego zmęczenia. Przytłaczało go ciężarem, który z wiekiem coraz gorzej znosił. Przemył twarz zimną wodą i długo sikał. Unikał swojego odbicia w lustrze.

Piętnaście po szóstej wyjechał z Ystadu w kierunku Sturu-pu. Niebo było bezchmurne, wiał lekki wiatr. Niecałe pół godziny później zaparkował pod żółtym budynkiem terminalu. Ruszył do hali przylotów, gdzie od razu spostrzegł roslą postać Bircha, stojącego pod ścianą ze skrzyżowanymi ramionami. Na widok Wallandera jego ponurą twarz rozjaśnił uśmiech zaskoczenia.

- Ty tutaj? - spytał.

- Pomyślałem, że będzie ci różniej czekać ze mną.

- Samolot przylatuje o czasie - powiedział Birch. - Zdążymy jeszcze napić się kawy.

Udali się do kawiarni.

- Przekopałem się przez plastikowe worki z papierami -informował Birch. - Jest tam dużo różnych kopert. Ale nie ta, której szukasz.

- To śledztwo idzie jak z kamienia - stwierdził Wallander. - Zdziwiłbym się, gdyby się znalazła.

Birch wziął kawę z francuskim ciastkiem, Wallander z trudem powstrzymał się od słodyczy.

- Zadzwoń natomiast do jednego z naszych ekspertów

- kontynuował Birch, podczas gdy czekali na rachunek. - Jest pomysły i z wyobraźnią. Duża z niego korzyść na miejscu przestępstwa. Hakan Tobiasson. Słyszałeś o nim? - Wallander pokręcił głową. - Odbyłem z nim długą rozmowę. Siedział na łódce w Sundzie i łowił ryby, ale miał ze sobą telefon. Złowił dwie sztuki podczas rozmowy. Zapomniałem zapytać, co to były za ryby.

Z głośnika szedł komunikat o przylocie. Spóźniony samolot z Marbelli.

- Hakan zna różne sposoby na otwieranie listów. Kiedyś trzymało się list nad parą i otwierało drutem dziewiarskim.

Dzisiejsze metody są dużo bardziej zaawansowane. Twierdził, że na poczekaniu otworzy każdy list i nic nie zauważy.

- Przydałaby się ta koperta - powiedział Wallander.

Birch otarł usta i spojrział na niego.

- Nie bardzo rozumiem, o co chodzi. Dziwi mnie, że w ogóle tu przyjechałeś. Maria Hjortberg musi być dla ciebie ważną osobą.

Wallander wyjaśnił, co się zdarzyło w ciągu ostatniej doby. Właśnie kończył, kiedy samolot, na który czekali, przykołował do hali przylotów. Pojawili się pierwsi pasażerowie. Ku zdziwieniu Wallandera, Birch wyciągnął z wewnętrznej kieszeni tekturkę, na której drukowanymi literami napisał: Maria Hjortberg. Stał pośrodku korytarza z ręką wyciągniętą w górę.

Maria Hjortberg okazała się niezwykle piękną kobietą. Miała wyraziste oczy i długie, ciemnobrązowe włosy. Przez ramię miała przewieszony plecak. Wallander pomyślał, że zapewne nie wie o śmierci Rolfa Haaga. Birch właśnie jej o tym mówił. Potrząsała z niedowierzaniem głową. Birch wziął od niej plecak i podszedł, żeby przedstawić Wallandera.

- Czy ktoś na panią czeka? - zapytał Birch.

- Miałam jechać autobusem.

- Podrzucimy panią. Niestety, musimy od razu porozmawiać, nie możemy z tym czekać. Albo na komendzie, albo w zakładzie fotograficznym.

- Czy to prawda? - zapytała. - Rolf naprawdę nie żyje?

- Niestety, tak. Bardzo mi przykro - powiedział Birch. - Jak długo pani u niego pracowała?
- Nie tak długo. Od kwietnia.

To znaczy, że tak ciężko tego nie przeżyje, pomyślał Wallander. O ile nie miała z nim romansu. Wolą ją jechać do zakładu.

- Niech lepiej jedzie z tobą - zaproponował Wallander. - Muszę załatwić kilka telefonów.

- Nie radziłbym. Nie podczas jazdy samochodem - odparł Birch.

Wallander chciał porozmawiać z Nybergiem. Kiedy skręcił na główną szosę do Malmö, zmienił zdanie. W tej chwili liczyło się tylko to, co miała do powiedzenia Maria Hjortberg.

Dwie godziny później Wallander zdał sobie sprawę, że Maria Hjortberg nie może im pomóc. Siedzieli w studiu, otaczały ich papierowe tła fotograficzne i statywy do reflektorów. Nie miała pojęcia, że Rolf Haag był umówiony na zdjęcia w Nyb-rostrandzie. Mówił, że w sobotę będzie na ślubie. Zrozumiała z tego, że był zaproszony jako gość. Pojechała do Hudviksvall w piątek po południu. W poniedziałek mieli się przygotować do sesji zdjęć w nowo otwartym banku w Trelleborgu. Nigdy nie słyszała o Malin Skander ani Torbjörnne Wernerze. Razem wertowali księgę zamówień. W sobotę, siedemnastego sierpnia nie było żadnego zapisu. Czysta strona. Poprzedniego wieczoru Birch wszedł do zakładu, posługując się kluczami znalezionymi w kieszeni Haaga, i przejrzał korespondencję. Pokazał jej i Wallanderowi znaleziony przez siebie list. Widziała go po raz pierwszy.

- Otwierał wszystkie listy sam - powiedziała. - Pomagałam przy fotografowaniu i w późniejszej obróbce zdjęć. To wszystko.

- Czy ktoś inny mógł widzieć list? - zapytał Wallander. - Kto oprócz was tu bywał? Może sprzątaczką lub woźny?

- Sami tu sprzątamy, a klienci nigdy nie wchodzi do biura.

- Więc tylko Rolf i pani tu wchodziliście?

- Właściwie ja też nie. Nie miałam tam nic do roboty.

- Czy nie było tu ostatnio włamania?

- Nie.

- Przeszukałem worki z papierami - poinformował Birch. - I nie znalazłem koperty od tego listu.

- Śmieci zabierają w poniedziałki. Rolf bardzo pilnował porządku.

Wallander spojrział na Bircha. Nie było powodu, żeby jej nie wierzyć. Zrozumieli, że niczego więcej się nie dowiedzą.

- Czy Rolf miał wrogów? - zapytał.

- Dlaczego miałby mieć wrogów?

- Czy może ostatnio był niespokojny? Nie zauważyła pani nic niezwykłego?

- Był taki jak zwykle.

- Jakie były wasze stosunki?

Zrozumiała, co miał na myśli. Ale nie poczuła się dotknięta.

- Nic nas nie łączyło - odparła. - Dobrze nam się razem pracowało. Dużo się od niego nauczyłam. Mam nadzieję, że też zostanę fotografem.

- Kto był najbliższą osobą Rolfa? Miał przyjaciółkę?

- Był raczej samotnikiem. Zresztą nic nie wiem o jego prywatnym życiu. Sam nigdy na ten temat nie mówił. Nie słyszałam, żeby miał przyjaciółkę.

- Przeszukamy jego mieszkanie - powiedział Birch. - Nie przypuszczam, żeby to coś zmieniło.

- Co mam jutro zrobić? - spytała. - Teraz, kiedy Rolf nie żyje?

Ani Birch, ani Wallander nie potrafili udzielić jej odpowiedzi. Birch przyrzekł odwiedzić ją do domu. Wallander wracał do Ystad. Rozstali się na ulicy przed zakładem.

- Ciągle nic nie rozumiem - stwierdziła. - Przez dwa dni mieszkałam sama, w środku lasu. I wracam do domu do cze goś takiego.

Zacząła płakać. Birch objął ją opiekuńczym ramieniem.

- Odwiozę ją do domu. Zadzwońisz?

- Dam znać z Ystadu - odparł Wallander. - Gdzie będziesz?

- Jeszcze dziś wieczór pójdę do jego mieszkania.

Wallander sprawdził, czy ma numer komórki Bircha, i ruszył do samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Birch i Maria Hjortberg odjechali. Było wpół do jedenastej.

Właśnie otwierał samochód, kiedy w kieszeni zabręczało. Odebrał telefon.

- Czy to Kurt Wallander?

- Zgadza się.

- Tu Lenę Kjaer. Chciałam tylko powiedzieć, że kobieta, którą nazywamy Louise, w tej chwili jest w „Amigo”. Co mamy robić?

Wallander podjął natychmiastową decyzję.

- Jestem akurat w Malmö. Zaraz przyjadę. Jeśli wyjdzie z baru, to nie spuszczaście jej z oka.

- Wodolot jest o jedenastej. Będzie w Kopenhadze za piętnaście dwunasta. Będę czekać przy wyjściu ze statku.

- Nie zgubcie jej - poprosił Wallander. - Jest mi potrzebna.

- Będziemy ją mieć na oku. Obiecuję.

Wallander zaparkował w porcie.

Punktualnie o jedenastej „Lóparen” odbił od brzegu i popłynął w kierunku Kopenhagi.

Wallander siedział na górnym pokładzie i wpatrywał się w mrok. Szukał telefonu w kieszeni. Przypomniawsobie, że został w samochodzie.

Raptem przyszło mu na myśl, że może zapomniał wyłączyć światła. Zapytał napotkaną hostesę, czy może zatelefonować.

- Niestety, telefon nie działa - odparła.

Wallander kiwnął głową. Lenę Kjaer z pewnością ma komórkę.

Wpatrywał się w mrok. Czuł wzrastające napięcie.

29

Wallander dostrzegł ją, jak tylko zszedł z pomostu. Nosila skórzaną kurtkę i miała krótkie, jasne włosy. Była młodsza i niższa, niż się spodziewał. Od razu poznał, że to policjantka. Jak zwykle nie potrafił wyjaśnić po czym. Ale rzadko mu się zdarzało, żeby wśród innych ludzi nie rozpoznał policjanta.

Przywitali się.

- Louise siedzi w barze - powiedziała.

- Jeśli rzeczywiście ma na imię Louise - odpowiedział Wallander.

- Co właściwie masz jej do zarzucenia?

Wallander zastanawiał się nad tym podczas rejsu wodolotem. Nie było żadnych podstaw do oskarżenia. Nie była podejrzana o związek z przestępstwami. Zależało mu tylko, żeby się z nią rozmówić. Pytań miał aż za wiele.

- Sądzę, że ma dużo ważnych informacji. Najważniejsze, żeby nam nie zniknęła z oczu.

- Podejrzewasz, że będzie próbowała zniknąć?

Wallander uzmysłowił sobie, że pytanie jest uzasadnione.

Louise mogła nie wiedzieć o tym, że jej szukali. Ani o tym, że jej zdjęcie ukazało się w prasie. To, że nikt jej nie rozpoznał, mogło po prostu wynikać z faktu, że rzadko się pokazywała.

Rozmawiając, minęli kontrolę celną i znaleźli się na ulicy. Stał tam radiowóz z kierowcą.

Usiedli z tyłu i pojechali.

- Bar nie jest najlepszym miejscem na rozmowę - stwierdził Wallander.

- Masz do dyspozycji moje biuro.

Jechali w milczeniu. Wallander myślał o swoim ostatnim pobycie w Kopenhadze. Był wtedy w Operze Królewskiej na przedstawieniu Toski. Sam. Po przedstawieniu poszedł do baru i miał niezłe w czubie, kiedy wreszcie wsiadł na ostatni wodolot do Malmö.

Już miał poprosić ją o komórkę, kiedy samochód zahamował. Lone Kjaer rozmawiała krótko przez radiotelefon.

- Siedzi w barze - oświadczyła, pokazując palcem przez szybę. - Po drugiej stronie ulicy. Chcesz, żebym zaczekała?

- Możemy równie dobrze wejść razem.

Nad drzwiami zwiślał zepsuty neon, widać było tylko litery „igo”. Wallander czuł wzrastające napięcie. Nareszcie miał spotkać kobietę, o której tak wiele myślał, od czasu gdy znalazł jej zdjęcie w tajnej skrytce pod podłogą.

Otworzyli drzwi, rozsunęli kotarę i weszli do środka. W dusznym i zadymionym barze świeciło czerwone światło. Było dużo ludzi. Natknęli się na wychodzącego mężczyznę.

- W głębi, przy barze - rzucił w stronę Lone Kjaer.

Wallander usłyszał. Podczas gdy Lone Kjaer czekała przy drzwiach, przepychał się przez zatłoczony bar.

W tej chwili ją zauważył.

Siedziała przy barze, w samym końcu sali. Włosy miała dokładnie takie jak na zdjęciu. Wallander stał bez ruchu i przyglądał się. Wyglądało na to, że jest sama, chociaż z obu stron siedzieli ludzie. Piła wino. W pewnej chwili podniosła wzrok znad kieliszka i spojrzała w jego stronę. Skrył się za stojącym pośrodku baru postawnym mężczyzną, ze szklanką piwa w ręku. Kiedy wychylił się zza jego pleców, znów popijała wino. Wallander odwrócił się, skinął głową w stronę Lone Kjaer i dalej torował sobie drogę w ścisaku.

Miał szczęście. Mężczyzna, który siedział obok niej z lewej strony, podniósł się i zwolnił miejsce. Wallander wślizgnął się na wolny stół. Rzuciła na niego okiem i powróciła do swego kieliszka.

- Przypuszczam, że ma pani na imię Louise - powiedział Wallander. - Jestem z policji w Ystadzie i nazywam się Kurt Wallander. Przyjechałem do Kopenhagi, bo mam z panią do porozmawiania.

Widać było, że się spięła. Zaraz się jednak rozluźniła i z uśmiechem spojrzała na niego.

- Proszę bardzo - powiedziała. - Tylko przedtem skorzystaj tam z toalety. Właśnie się tam wybierałam.

Wstała i udała się w głąb baru. Wallander potrząsnął głową na widok podchodzącego barmana. Nie mówi po skańsku, pomyślał. Ale to Szwedka.

Lone Kjaer siedziała teraz przy barze, trochę dalej. Dał jej znak, że wszystko jest pod kontrolą. Na ścianie baru wisiał zegar z reklamą firmy whisky, o której Wallander nigdy nie słyszał. Minęły cztery minuty. Wallander rzucił okiem na wejście do toalety. Wychodził stamtąd mężczyzna, tuż za nim następny. Czekając, układał sobie pierwsze pytanie. Miał w czym wybierać.

Zorientował się nagle, że minęło już siedem minut. Coś było nie tak. Podniósł się i ruszył w stronę toalet. Lone Kjaer zauważyła, że nagle wstał z miejsca. Po chwili stanęła przy nim.

- Wejść do damskiej toalety - poprosił.

- Po co? Jeszcze nie wychodziła. Gdyby wychodziła z baru, musiałabym ją zauważyć.

- Coś tu jest nie tak - stwierdził Wallander. - Chcę, żebyś weszła.

Lone Kjaer zniknęła za drzwiami. Wallander czekał. Wiedział, że przecucie go nie myli. Lone Kjaer wyszła szybkim krokiem.

- Nie ma jej tam.

- Jasna cholera - zaklął Wallander. - Jest tam jakieś okno?

Nie czekając na odpowiedź, szarpnął drzwi i wpadł do

środku. Dwie kobiety poprawiały makijaż przed lustrem. Ledwie je zauważył.

Louise nie było. Wybiegł na zewnątrz.

- Musi tam być - powiedziała zaskoczona Lone Kjaer. - Inaczej bym ją zauważyła.

- Ale nie ma - odparł Wallander.

Przebił się do wyjścia przez ciągle gęstniejący tłum. Mężczyzna pilnujący wejścia wyglądał na zapaśnika.

- Zapytaj go - rzucił Wallander. - Kobieta z ciemnymi włosami do ramion. Czy widział, jak wychodziła? Jakies dziesięć minut temu?

Zapytała. Zapaśnik potrząsnął głową.

- Czy widziałby ją? - nalegał Wallander. - Zapytaj. Zapaśnik odpowiedział coś, czego Wallander nie zrozumiał.

- Jest pewien - zawołała, przekrzykując hałas. Wallander zaczął się przepychać z powrotem. Teraz szukał

w środku. W głębi duszy już wiedział, że jej nie ma. W końcu dał za wygraną.

- Tu jej nie ma - powiedział. - Możemy iść.

Podszedł do baru. Kieliszek zniknął. Zwrócił się do barmana.

- Gdzie jest kieliszek, który tu stał? - zapytał.

- Już go umyłem.

Wallander spojrzał na blat i skinął na Lone Kjaer.

- Wątpię, czy coś z tego będzie - powiedział - ale może dałoby się zdjąć jakieś odciski palców.

- Pierwszy raz zabezpieczam pół metra blatu w barze - odparła. - Ale dopilnuję tego.

Trochę trwało, zanim barman zrozumiał, o co chodzi. Kiedy skończyła tłumaczyć, skontaktowała się z technikiem, który miał zabezpieczyć ewentualne ślady.

Wallander wyszedł na ulicę.

Był kompletnie mokry. Na dodatek wściekły, że dał się tak nabrać. Ten uśmiech. „Chętnie z panem porozmawiam, tylko najpierw pójdę na chwilę do toalety”. Nie poznał się na niej.

Lone Kjaer wyszła po dziesięciu minutach.

- Nie rozumiem, jak ona to zrobiła. Nie mogłam jej nie zauważyć.

W głowie Wallandera zaczynał powstawać obraz całości. Powoli uświadamiał sobie, co się wydarzyło. Miał tylko jedno wytłumaczenie. Było tak nieoczekiwane, że potrzebował czasu, żeby zrozumieć jego konsekwencje.

- Muszę się zastanowić - powiedział. - Czy możemy pojechać do biura?

W drodze do komendy Wallander się nie odzywał. Lone o nic nie pytała. Pojechali na trzecie piętro. Zaproponowała mu kawę, podziękował.

- Nie pojmuję, jak mogła wyjść niezauważona - po wtórzyła.

- Ona wcale nie wyszła - odpowiedział Wallander. - Louise jest w środku.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- W środku? To co my tu robimy?

Wallander powoli potrząsnął głową. Wyrzucał sobie brak przytomności umysłu. Już za pierwszym razem, kiedy oglądał zdjęcie znalezione u Svedberga, miał uczucie, że w jej uczesaniu jest coś dziwnego.

Powinienem być się zorientować, pomyślał, że to była peruka.

Powtórzyła pytanie.

- Louise była jeszcze przed chwilą w barze - oświadczył.

- Z tego prostego powodu, że Louise jest kimś zupełnie in

nym. Louise jest mężczyzną. Zapaśnik przy drzwiach powiedział nam, że w ciągu ostatnich kilku minut z baru wyszło trzech mężczyzn. Jednym z nich była Louise. Z peruką w kieszeni i bez makijażu.

Widział, że mu nie wierzy. Nie miał ochoty wdawać się w szczegóły. Najważniejsze, że on rozumie.

Mimo to uważał, że Lone należy się wyjaśnienie. Minęła północ, a ona dalej mu pomagała.

- Kilka lat temu byłem na Karaibach - powiedział. - To było w bardzo ciężkim okresie mojego życia. Pewnego wieczoru siedziałem w barze i konwersowałem z niezwykle piękną kobietą. Siedziałem blisko niej, wyraźnie widziałem jej twarz. Ale zorientowałem się dopiero, kiedy się przyznała.

- Do czego?

- Że jest mężczyzną.

Wallander widział, że Lone powoli się przekonuje.

- W toalecie zdjęła perukę i zmyła makijaż - mówił dalej. - Przypuszczam, że zmieniła również ubranie. Nikt z nas niczego nie zauważył. Czekaliśmy przecież na kobietę. Po co mieliśmy się przyglądać przechodzącemu mężczyźnie?

- O ile wiem, „Amigo” nie jest barem transwestytów.

- Może bywał tam, żeby odgrywać rolę kobiety - powiedział w zadumie Wallander. - Nie po to, żeby przebywać w towarzystwie podobnych do siebie.

- Jakie to ma znaczenie dla twojego śledztwa?

- Nie wiem. Z pewnością duże. Ale w tej chwili nie potrafię tego ocenić.

Spojrzała na zegarek.

- Ostatni statek do Malmö już odpłynął. Następny jest za piętnaście piąta rano.

- Przenocuję w hotelu - powiedział Wallander.

- Możesz się przespać u mnie na kanapie - zaproponowała. - Mój mąż jest kelnerem. Mniej więcej o tej porze wraca do domu. Zwykle robimy sobie wtedy kanapki.

Wyszli z komendy. Wallander nie wiedział, dokąd go wiezie. Jej mąż, Torben, przyszedł do domu tuż przed nimi. Był sympatyczny i równie niski jak żona. W kuchni zjedli kanapki i popili piwem. Pościeliła Wallanderowi w salonie. Uparł się, że chce płynąć pierwszym statkiem do Malmö. Obiecała obudzić go na czas.

Wallander spał niespokojnie. W nocy wstał i podszedł do okna. Patrzył na wyludnioną ulicę.

W nocy wszystkie ulice są

podobne, pomyślał. Wydaje się, że ktoś nadejdzie. Ale panuje pustka.

Louise była mężczyzną. Od razu zauważył, że ma jakieś dziwne włosy. Powód był prosty, aż banalny. Nosila perukę. Przypomniał sobie perukarską główkę w piwnicy Svedberga. Powinien był przejrzeć tę tajemnicę we wcześniejszej fazie śledztwa.

Louise to mężczyzna. Nazywał się Louise, kiedy zmieniał tożsamość. Nie wiedzą, jak się nazywa mężczyzna. Ani jak wygląda.

Narastało w nim nieprzyjemne uczucie. Ofiary były w przebraniach. Tak jak Louise. Kiedy Wallander się przedstawił, natychmiast wzięła nogi za pas.

To on, pomyślał Wallander. To musi być on. Nie ma innego wytłumaczenia. Miałem sprawcę w zasięgu ręki. Ale nie potrafiłem rozpoznać go pod przebraniem i zniknął. Teraz już wie, że znajdujemy się w pobliżu. Ale zdaje sobie sprawę, że nic o nim nie wiemy. Nic.

Wallander wrócił do łóżka. Od czasu do czasu zapadał w drzemkę. Niecierpliwie czekał, aż wybije czwarta.

Kiedy Lone Kjaer weszła, żeby go obudzić, był już ubrany i składał pościel. Spojrzała na niego uważnie.

- Nikt nie staje się lepszym policjantem od niespania.

- Zawsze miałem kłopoty ze snem - odpowiedział. - Jeszcze zanim zostałem policjantem.

Wypili kawę w kuchni. Przez otwarte drzwi dochodziło chrapanie Torbena.

- Postaram się dowiedzieć czegoś więcej o Louise, która okazała się kimś innym - obiecała.

Podziękował za pomoc, której mu udzieliła, i za tę, którą obiecywała na przyszłość. Zadzwoiła po taksówkę.

- Czy to on? - zapytała. - Ten, którego szukacie?

- Tak - odparł Wallander. - To musi być on. Nie ma innego sensownego wytłumaczenia.

Za dwadzieścia piąta był w portowym terminalu. W hali odjazdów było dużo ludzi. Zdziwiło go to. Kto tak wcześniej płynie do Malmö? Kupił bilet i czekał. Właśnie zapadał w drzemkę, kiedy pasażerowie zaczęli wchodzić na pokład.

Usiadł przy oknie i zasnął, zanim jeszcze statek odpłynął od nadbrzeża. Obudził się, gdy przybili do Malmö.

Dopiero gdy przeszedł przez cło, uświadomił sobie, że popełnił poważny błąd.

Louise była mężczyzną mówiącym po szwedzku. Z wizytą w Kopenhadze, tak jak i on. Może zdążył jeszcze wczoraj na ostatni statek do Malmö.

Ale równie dobrze mógł być wśród pasażerów porannego promu. Ale co miałem zrobić? - myślał Wallander. Krążyć po statku w poszukiwaniu kobiety, która się zamieniła w mężczyznę? Zawiadomić policję w Malmö, żeby sprawdzała każdego, kto schodzi ze statku? Przede wszystkim powinien był na to wpaść.

Był na to zbyt zmęczony. Obezwładniało go zmęczenie, zbyt wysoki poziom cukru i nieustanny brak snu.

Wyszedł z terminalu. Pasażerowie statku rozeszli się w różne strony. Nic już nie mógł działać.

Ruszył do samochodu. Komórka leżała na fotelu. Tak jak przypuszczał, zapomniał wyłączyć światła. Próbował uruchomić silnik, ale akumulator odmówił posłuszeństwa. Stuknął się pięścią w czoło. Miał ochotę zostawić samochód i przenocować w hotelu „Savoy”. Rozmyślił się jednak i zadzwonił do Bircha. Miał nadzieję, że go nie obudzi. Birch właśnie pił kawę.

- Gdzieżeś się wczoraj podziewał? Myślałem, że się odezwiesz.

Wallander wyjaśnił, co się wydarzyło.

- Tak blisko. Rzeczywiście byłeś tak blisko? - zapytał Birch.

- Dałem się wykiwać. Trzeba było pilnować drzwi do toalety.

- Łatwo teraz powiedzieć - odparł Birch. - Jesteś z powrotem w Malmö? Musisz być skonany.

- Co gorsza, nie mogę uruchomić samochodu.

- Już jadę - zapewnił Birch. - Mam w domu kable. Gdzie jesteś?

Wallander wytłumaczył, gdzie jest.

Birch przyjechał w dziewiętnaście minut. Wallander zdążył się jeszcze kilka minut zdrzemnąć.

- Byłem w mieszkaniu Haaga - relacjonował Birch. - Bardzo spartańskie wnętrze. Na ścianach wiszą wielkie zdjęcia motyli. Nie znalazłem niczego, co mogłoby nas bezpośrednio zainteresować.

- Zginął przypadkiem, bo akurat tam był - stwierdził Wallander. - Jestem przekonany, że mordercy chodziło o młodą parę.

- To ten, którego wczoraj widziałeś? Przebrany za kobietę?

- Tak sędzę.

- Masz zdjęcie - powiedział Birch. - Masz twarz. Usuń włosy. Możesz mieć więcej, niż myślisz.

- Od tego musimy zacząć - odparł Wallander. - Być może ktoś rozpozna Louise, już nie jako kobietę.

Birch popatrzył badawczo na Wallandera.

- Najpierw spróbuj się kilka godzin przespać. Inaczej niedługo padniesz.

Podłączyli kable i uruchomili silnik. Było za pięć wpół do siódmej.

- Przeszukamy jeszcze zakład i mieszkanie - obiecał Birch. - Będziemy w kontakcie.

- Dam ci znać, jak sprawy się mają - odpowiedział Wallander.

Opuścił Malmö. Już przy zjeździe na Jagersro zatrzymał się na poboczu i wybrał numer do Martinssona.

- Usiłowałem się do ciebie dodzwonić - narzekał Martins-son. - Wczoraj wieczorem miała być narada. Ale twój telefon jest wiecznie wyłączony. Albo po prostu nie ma połączenia.

- Byłem w Danii - odparł Wallander. - Zbierz grupę dochodzeniową na ósmą.

- Stało się coś?

- Tak. Porozmawiamy później.

Jechał do Ystadu. Ciągłe była piękna sierpniowa pogoda. Niebo bez chmurki i cisza w powietrzu. Czuł się mniej zmęczony. Głowa znów zaczynała pracować. Raz po raz powracał myślą do spotkania z Louise. Usiłował domyślić się twarzy pod warstwą makijażu. Chwilami miał wrażenie, że jakby coś widział.

Była za dwadzieścia ósma, kiedy dojechał do Ystadu. W recepcji siedziała kichająca Ebba.

- Przeziębiona? - zapytał. - W sierpniu?

- Stare baby miewają alergię - odparła z ironią. Obrzuciła go surowym spojrzeniem. - Nie spałeś w nocy?

- Byłem w Kopenhadze. Tam się tak dużo nie śpi.

Nie dała się zbyć żartem.

- Jak nie zaczniesz dbać o zdrowie, to źle skończysz.

Zobaczysz.

Nie odpowiedział. Czasem się złościł, że potrafi go przejrzeć na wylot. I na dodatek ma rację. Wysepki cukru w krwi piętrzyły się coraz wyżej.

Przyniósł sobie kawę do pokoju.

Ktoś położył mu na stole list z naklejoną na kopercie karteczką, żeby zapoznał się z jego treścią. Rzucił okiem na zegarek i otworzył kopertę.

List był od Matsa Ekholma. Kilka lat wcześniej Wallander współpracował z nim w sprawie obłąkańca, który mordował, a następnie skalpował swoje ofiary. Mats Ekholm był psychologiem. Pomagał Wallanderowi, budując profil psychologiczny sprawcy. Miał na celu ustalenie motywu, którym się kierował, skalpując swe ofiary. W zasadzie dobrze im się współpracowało. Później, kiedy już schwytali mordercę, Wallander zadawał sobie pytanie, ile właściwie warta była jego pomoc. Nie udało mu się uzgodnić z samym sobą ostatecznej odpowiedzi. Ekholm się jednak przydał, chociażby jako partner do dyskusji.

Wallander czytał list. Ekholm napisał go z własnej inicjatywy. Nikt się do niego nie zwracał o pomoc, nikt formalnie nie wystąpił z prośbą o jego uwagi. Wallander zdał sobie sprawę, że Ekholm dokładnie zapoznał się z wydarzeniami. Koniec listu przynosił jednoznaczną opinię. Wallander poczuł znajomy ucisk w dołku.

Istnieją przesłanki, które pozwalają przypuszczać, że sprawca przypuszczalnie znowu uderzy. Dotychczasowy obraz zdecydowanie przemawia za tym, że nie był to ostatni raz. Nie da się wyróżnić specyficznego momentu w czasie. Symboliczna pełnia księżyca, która wyzwała przemoc, w jego przypadku może nastąpić w każdej chwili. To, że zabija ludzi w przebraniach, można interpretować rozmaicie. W moim przekonaniu oznacza to, że pragnie rzucić z siebie odpowiedzialność. Zabija role, a nie ludzi, którzy się pod nimi kryją. Mogę się naturalnie mylić. Zadaję sobie również pytanie, czy w tym obrazie nie istnieje jeszcze dodatkowy element. Motyw, którego nie mogę zgłębić. Coś, co łączy tych ludzi poza tym, że są przebrani w odświętne, osiemnastowieczne stroje lub noszą ślubne ubrania. Co do charakterystyki sprawcy, sądzę, że obaj wyciągamy podobne wnioski. Nie ryzykuje. Przypuszczalnie prowadzi tak

zwany normalny tryb życia w zupełnie zwyczajnym otoczeniu. Może znakomicie wykonywać swą pracę. Może mieć rodzinę, przyjaciół i wszystko, co mieści się w pojęciu normalności. Niewykluczone, że nigdy wcześniej nie popełnił przestępstwa. W każdym razie z użyciem przemocy. Coś się musiało wydarzyć. Jak niespodziewany wybuch wulkanu, którego nikt, a zwłaszcza on nie mógł przewidzieć.

Wallander odłożył list. Na papierze listowym widniało kilka numerów telefonu do Ekholma. Wybrał numer do pracy. Ktoś odpowiedział, że Ekholm jeszcze nie przyszedł. Wallander zostawił nazwisko z prośbą, żeby Ekholm się odezwał.

Była za trzy minuty ósma.

Wallander myślał o tym, czego Ekholm nie wiedział. Że ich sprawca również się przebierał i maskował. Podobnie jak jego ofiary.

Jeżeli to on. Wallander miał przed oczami spotkanie w Kopenhadze. Był coraz bardziej przekonany, że ubiegłego wieczoru zobaczył sprawcę.

Myślał o Isie Edengren. Skulonej w grocie za paprociami. Przeszły go ciarki.

Podniósł się. Koledzy z pewnością na niego czekają. Miał zreferować wydarzenia poprzedniego wieczoru. Jak odnalazł sprawcę, a ten wszedł do toalety i zniknął.

Kobieta, która rozwiała się jak dym. I powróciła jako mężczyzna. Louise już nie było. Istniał tylko nieznany mężczyzna, który zdjął perukę i zniknął bez śladu. Mężczyzna, który zabił ośmioro ludzi i być może przygotowywał się do dalszych mordów.

Wallander przystanął w drzwiach od swojego pokoju. Ekholm podsunął mu jeszcze inną myśl. Czy tych ludzi łączyło coś więcej niż sam fakt, że byli zamaskowani?

Przecucie mówiło mu, że Ekholm ma rację. Pozostawało pytanie, jak dotrzeć do tego punktu styczności.

Co mam powiedzieć? - myślał Wallander. Jak znaleźć właściwy trop w nierozpoznanym terenie? Czas nagli i nie zdążymy wszystkiego pomyśleć, prześledzić wszystkich śladów, rozpatrzyć wszystkich wariantów. Skąd wiadomo, która myśl jest właściwa?

Pytanie zawisło w powietrzu. Wallander wszedł do ubikacji, chciał mu się pić i miał pełny pęcherz.

Gapił się na swoje odbicie w lustrze. Twarz miał bladą i napuchniętą, worki pod oczami. Po raz pierwszy w życiu zrobiło mu się niedobrze na własny widok.

Muszę złapać tego sprawcę, pomyślał. Wtedy pójdę wreszcie na zwolnienie i zajmę się swoim zdrowiem.

Napił się wody z plastikowego kubka. Znowu powróciło pytanie: skąd wiadomo, która myśl jest właściwa? Odpowiedź była prosta. Nie wiadomo. Kierowanie się intuicją przypominało grę w ruletkę. Czarne prowadzi w ślepy zaułek, czerwone w dobrym kierunku. A czas to szybko topniejący kapitał.

Nie mieli żadnego marginesu. Potrzebowali czegoś, czym każdy pogardzał, co każdy negował i na co każdy liczył. Szczęścia. Polegało ono na tym, że myśl, za którą się poszło, okazała się słuszna i trop nie wiedzie donikąd.

Było osiem minut po ósmej. Wallander wyszedł z toalety.

Wszyscy już czekali na miejscu. Wszedł jak spóźniony ucz-niak lub roztargniony nauczyciel. Thurnberg wodził palcem po nienagannym węzle krawata, Lisa Holgersson uśmiechała się swym niespokojnym, rozbieganym uśmiechem. Koledzy z grupy mieli zmęczone twarze.

Wallander usiadł i opowiedział, jak było. Siedział tuż obok sprawcy i pozwolił mu zbiec. Spokojnie i rzeczowo relacjonował przebieg wydarzeń. Spotkanie z Birchem i Marią Hjortberg, niespodziewany telefon od Lone Kjaer, podróż do Kopenhagi, bar na ulicy na tyłach Hovedbangarden, Louise pochyloną nad kieliszkiem wina, jej uśmiech i zgodę na rozmowę z Wallanderem. Tylko najpierw musiała pójść do toalety.

- I tam zdjęła perukę - ciągnął. - Zresztą tę samą, którą ma na zdjęciu. Zmyła makijaż. Ponieważ ona, a raczej on jest

człowiekiem przewidującym, prawdopodobnie liczył się z ryzykiem nakrycia. Miał pewnie przy sobie jakiś krem, którym łatwo zmył makijaż. A kiedy wychodził z baru, nie zauważyłem go, gdyż czekałem na kobietę.

- A ubranie? - spytała Ann-Britt Hóglund.

- Miała coś w rodzaju spódnico-spodni - odpowiedział Wallander. - Płaskie buty. Gdybym się dokładnie przyjrzał, może bym i wpadł na to, że to mężczyzna. Ale nie przy barze.

Nie było więcej pytań.

- Osobiście nie mam wątpliwości - odezwał się Wallander po chwili milczenia. - On jest osobą, której szukamy. Jeśli nie, to dlaczego znika? Dlaczego ucieka?

- Nie przyszło ci do głowy, że dziś rano był na tym samym statku? - spytał Hansson.

- Przyszło - odparł Wallander. - Ale niestety zbyt późno.

Powinni mnie skrytykować, pomyślał. Za to i wiele innych

rzeczy w tym śledztwie. Na dobrą sprawę, zauważyłem, że ma perukę, kiedy po raz pierwszy miałem zdjęcie w ręku. Gdybym wtedy się zorientował, że była przebrana, wszystko potoczyłoby się inaczej. To jej szukaliśmy. Louise, która okazała się mężczyzną. Wszystkie inne tropy mogłyby wtedy zaczekać. Ale nie zobaczyłem tego, co rzuciło mi się w oczy na samym początku.

Wallander nalał sobie szklankę wody mineralnej i mówił dalej:

- Dostałem list od Matsa Ekholma. Pamiętacie może psychologa, który przed kilku laty pomagał nam schwytać chłopaka, który skalpował ludzi. Niepytany, podzielił się ze mną własnymi przemyśleniami. Uważa, iż istnieje ryzyko, że ten człowiek znów zaatakuje. Ponieważ nie wiemy, jak i gdzie szukać, możemy w każdej chwili się tego spodziewać. Nie mamy więc ani chwili do stracenia.

- Czy mężczyzna w peruce pojawił się w materiale śledztwa? - spytał policjant z Malmö.

- Nie wiemy. W tej chwili musimy się tym zająć. Cofnąć do początku. Przejrzeć cały dotychczasowy materiał. Być może go znajdziemy.

- Zdjęcie - powiedział Martinsson. - Mogę je retuszować na komputerze; zdjęć perukę i odtworzyć twarz mężczyzny.

- To jest najważniejsze zadanie. Od tego zaczniemy po wyjściu z pokoju. Peruka i odpowiedni makijaż mogą zmienić twarz. Ale tylko do pewnego stopnia.

Wallander poczuł w pokoju nowy przypływ energii. Nie miał zamiaru niepotrzebnie przedłużać zebrania. Lisa Holger-sson zorientowała się, że Wallander chce już zakończyć zebranie, i podniosła rękę.

- Chcę tylko przypomnieć to, o czym wszyscy na pewno wiedzą. Pogrzeb Svedberga jest jutro o drugiej. Z uwagi na obecny stan dochodzenia musimy przełożyć uroczystość na ko mendzie, którą planowaliśmy zorganizować po pogrzebie.

Nie było komentarzy. Wszyscy się śpieszyli. Nikt już nie pytał, co będzie dalej.

Wallander poszedł do pokoju po kurtkę. Czekala go nie-cierpiąca zwłoki wizyta. Chciał pójść za myślą i tropem, które, jak sądził, okażą się błędne. Wiedział, że nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby się okazało, że miał rację. Nie zabierze mu to dużo czasu, zaledwie godzinę. Wydawało mu się, nie wiadomo dlaczego, że ma godzinę w zapasie.

Wychodził już z pokoju, kiedy zjawił się Thurnberg.

- Czy mamy tu kogoś od fotografii? - spytał. - Od retuszu?

- Tym się może zająć Martinsson. Zna się na tym. Jeśli będzie miał najmniejsze wątpliwości co do swoich czy naszych technicznych możliwości, przekaże to tam, gdzie znajdują się lepiej.

Thurnberg skinął głową.

- Chciałem się tylko upewnić.

Widać było, że Thurnberg chce jeszcze coś powiedzieć.

- Moim zdaniem, nie powinien pan się oskarżać o to, że on zdjął przebranie i umknął. Nie mógł pan tego przewidzieć. Nikt nie może mieć o to pretensji.

Wallander czuł, że Thurnberg jest szczerzy. Kto wie, czy nie wyciąga do niego ręki na zgodę. Tak to też potraktował.

- Zawsze chętnie przyjmuję uwagi - powiedział. - W tym dochodzeniu nic nie jest proste.

- Na pewno się odezwę, jak mi coś przyjdzie do głowy - odparł Thurnberg.

Zakończyli rozmowę. Wallander pośpiesznie opuścił komendę. Przez moment się wahał, czy wziąć samochód. Postanowił się przejść. Droga do centrum była krótka. Ruch był jedynym sposobem na zwalczanie niedoboru snu.

Droga do czerwonego budynku rozdzielni zajęła mu dziesięć minut. Przy pomoście ładowano worki do kilku żółtych pocztowych furgonetek. Wallander nigdy tam wcześniej nie był.

Wejście, które odnalazł, było zamknięte. Nacisnął na dzwonek i drzwi się otworzyły.

Przywitał go młody mężczyzna po trzydziestce, naczelnik poczty. Nazywał się Kjell Albinsson. Od razu wzbudził w nim zaufanie.

Albinsson zaprowadził go do biura. Na szafce pod ścianą szumiał wentylator.

Wallander wyjął kartkę papieru i długopis. Zastanawiał się, jak zacząć.

„Jak często się zdarza, że listonosze czytają cudze listy?” Takie pytanie nie wchodziło w rachubę. Przynosiło ujmę całej grupie zawodowej. Wallander pomyślał o Westinie. Poczulby się osobiście dotknięty.

Postanowił zacząć po kolei.

Była za siedemnaście minut jedenasta. Poniedziałek, dziewiętnasty sierpnia.

30

Na ścianie w pokoju Albinssona wisiała mapa.

Wallander zaczął od niej. Pytał, jak wyglądają rejony poszczególnych listonoszy. Albinsson był naturalnie ciekaw, skąd się wzięło zainteresowanie policji. Wallander był bliski wyjawienia, jak jest naprawdę. Że podejrzewa jednego z listonoszy w rejonie Ystadu o to, iż nie tylko roznosi pocztę, ale również popełnia seryjne morderstwa. Uświadomił sobie, że takie postawienie sprawy nie miałyby sensu. Co więcej, było nieściste. Nic nie przemawiało za tym, że mężczyzna, którym

okazała się Louise, pracował na poczcie. Wiele natomiast przemawiało przeciwko temu.

Choćby to, że listonosze często zaczynają pracę bardzo wcześnie rano. Nie mogli więc spędzać nocy w barach w centrum Kopenhagi, tym bardziej w powszednie dni. Dlatego odpowiedział wymijająco. Nie ujawnił nawet, że istnieje związek z zabójstwem Svedberga oraz młodych ludzi w Hagestad i Nybrostrand. Odpowiedź, choć ogólnikowa, zabrzmiała dobitnie, tak by Albinsson zrozumiał, że nie może się spodziewać bliższych wyjaśnień.

Albinsson z zapalem wodził palcem po mapie. Wallander od czasu do czasu notował.

- Ilu jest wszystkich listonoszy? - zapytał, kiedy Albinsson odszedł od mapy i usiadł przy biurku.

- Razem jest ośmiu.

- Czy macie listę nazwisk? A może fotografie?

- Poczta działa dzisiaj w warunkach rynkowych - odpowiedział Albinsson. - Wydaliśmy kolorową broszurę o naszych listonoszach i ich pracy.

Albinsson wyszedł z pokoju. Wallander pomyślał, że tym razem naprawdę ma szczęście. Zdjęcia listonoszy natychmiast pozwolą mu stwierdzić, że mężczyzna z Kopenhagi nie jest pracownikiem poczty.

Gdzieś w głębi miał jednak nadzieję, iż za jednym zamachem uda się zidentyfikować sprawcę. Albinsson powrócił z broszurą. Wallander zaklął, na próżno szukając okularów.

- Może moje się nadadzą - zaproponował Albinsson. - Ile

ma pan dioptrii?

- Nie wiem dokładnie. Dziesięć i pół.

Albinsson popatrzył ze zdziwieniem.

- To by znaczyło, że jest pan ślepy - powiedział. - Ma pan na myśli półtorej. Ja mam dwie. Powinno być dobrze.

Wallander włożył okulary. Pomogło. Kolorowa broszura była elegancka. Może dlatego ciągle drożeje poczta, pomyślał. Przypomniał sobie, co opowiadał Westin, kiedy płynęli na Barnsö. O poczcie elektronicznej, która w ciągu kilku lat ma zastąpić połowę listów przesyłanych dzisiaj zwykłą pocztą. Co wtedy stanie się z pocztą? Ani Westin, ani Wallander nie potrafili powiedzieć. Teraz zastanawiał się, jaką funkcję spełnia tego rodzaju broszura, prócz tego że akurat dziś bardzo mu się przyda. Był to rozkładany folder. A w nim zdjęcia ośmiu listonoszy. Cztery kobiety i czterech mężczyzn. Przyglądał się uważnie twarzom mężczyzn. Żaden z nich ani trochę nie przypominał Louise. Przez chwilę zawahał się na widok podobizny niejakiego Larsa-Górana Berga. Ale to nie mógł być on. Następnie oglądał twarze kobiet. Jedna z nich była znajoma. Ta, która przez wszystkie lata dostarczała pocztę do domu ojca w Lóderupie.

- Mogę ją zatrzymać? - spytał.

- Mogę panu dać więcej.

- Jedna zupełnie wystarczy.

- Czy dostał pan odpowiedź na pytania?

- Niezupełnie. Mam jeszcze kilka innych. Jeśli dobrze rozumiem, tu się sortuje listy. Czy robią to listonosze?

-Tak.

- Zatem nie ma tu innych pracowników?

- Oprócz mnie jest jeszcze jeden człowiek. Sunę Boman. Jest teraz w pracy. Chce pan się z nim zobaczyć? Zawołać go?

Wallander był ciekaw, czy Boman może być człowiekiem, którego szukał. Co będzie, jeśli istotnie okaże się mężczyzną z poprzedniego wieczoru, przebranym za kobietę? - pomyślał.

- Chodźmy lepiej do niego - powiedział.

Weszli do hali, w której sortowano listy. Mężczyzna pochylony nad pocztowym workiem właśnie kończył go zawiązywać. Już z daleka Wallander przekonał się, że to nie on. Sunę Boman z pewnością ważył ponad sto kilo. Na dodatek miał blisko dwa metry wzrostu.

Wallander się przywitał. Boman wbił w niego wzrok.

- Czemu nie złapaliście jeszcze tego szaleńca?

- Pracujemy nad tym - odparł Wallander.

- Już dawno powinien siedzieć.

- Niestety, nie zawsze idzie tak, jak by się chciało.

Wallander i Albinsson wrócili z powrotem do biura.

- Bywa nieraz humorzasty - powiedział przeprasząc Albinsson.

- A kto nie bywa? - odparł Wallander. - W dodatku ma rację. Każdy chce tylko jednego - żebyśmy wreszcie schwytali sprawcę.

Wallander usiadł na krześle i zastanawiał się, czy ma jeszcze jakieś pytania. Nie znalazł rozwiązania w rozdzielni listów. Zresztą na to nie liczył. Oddał Albinssonowi okulary.

- To chyba wszystko. Nie będę więcej przeszkadzał. Chyba że jeszcze ktoś tu pracuje.

- Mamy oczywiście kierowców - poinformował Albinsson. - Ale oni nie mają nic wspólnego z sortowaniem ani doręczaniem poczty.

- Nie mają przypadkiem osobnej broszury?

- Niestety, nie.

Wallander wstał. Nie miał więcej pytań.

- Czego właściwie chce się pan dowiedzieć? - spytał Albinsson.

- Tak jak powiedziałem. Rutynowy sprawdzian.

Albinsson potrząsnął głową.

- Może to pan opowiadać komu innemu. Nie mnie. Dlaczego pierwszy policjant w mieście miałby tu przyjeżdżać i zadawać rutynowe pytania w trakcie dochodzenia w sprawie morderstwa waszego kolegi, młodych ludzi w rezerwacie i pary nowożeńców? Jest pan tutaj w związku z tymi zabójstwami.

- To nie zmienia postaci rzeczy, że to rutynowy sprawdzian - odparł Wallander.

- Nie wierzę panu - odparł Albinsson. - Sądzę, że czegoś pan szuka.

- Powiedziałem tyle, ile mogłem. I chyba mam jeszcze parę pytań.

Znow usiadł.

- Pocztowy worek wygląda inaczej niż dziesięć lub dwadzieścia lat temu, nieprawda? Kto jeszcze dziś wysyła listy zwykłą pocztą?

- Ma pan rację, zmiany są duże. A za kilka lat będą jeszcze większe. Poczta staje się przeżytkiem. Zamiast listów wysyła się faksy i mejle.

- Przypuszczam, że radykalnie zmniejszyła się ilość listów prywatnych.

- Nie aż tak, jak by się wydawało. Ciągle jeszcze wiele ludzi nie ufa faksom i poczcie elektronicznej. Strzegą swojej prywatności. Dlatego wolą zaklejoną kopertę.

- Więc worki nie są wypełnione wyłącznie reklamami i urzędowymi listami?

- Bynajmniej.

Wallander skinął głową. Podnieśli się jednocześnie.

- Czy dostał pan odpowiedź na pytania?

- Sądzę, że tak. Dziękuję za pomoc.

Albinsson więcej nie pytał. Pożegnali się przy drzwiach wyjściowych. Wallander wyszedł na słońce. Co za osobliwy sierpień, pomyślał. Ciepło nie daje za wygraną. Gdzie podział się ustawiczny wiatr?

Wracał do komendy. Zastanawiał się, czy na pogrzeb Sved-berga ma włożyć mundur. I nad tym, czy Ann-Britt nie żałowała, że podjęła się wygłosić mowę. Której, na dodatek, sama nie napisała.

Kiedy zjawił się w recepcji, Ebba przekazała mu, że Lisa Holgersson chciała z nim rozmawiać. Zauważył, że Ebba jest przygnębiona.

- Jak ty się właściwie miewasz? - zapytał. - Nigdy nie mamy czasu pogadać.

- Miewam się, jak się miewam - odparła.

Wallander przypomniał sobie, że ojciec używał tych samych słów, kiedy mówił o dokuczliwej starości.

- Jak tylko to się skończy, pogadamy - obiecał.

Kiwnęła głową.

Wallander miał wrażenie, że coś jej doskwiera. Ale nie miał czasu zapytać. Wszedł do Lisy Holgersson. Jak zwykle miała otwarte drzwi.

- To decydujący przełom - pochwaliła, kiedy zasiadł w wygodnym krześle dla gości. -

Thurnberg jest pod wrażeniem.

- Pod wrażeniem czego?

- Musisz go sam zapytać. Tak czy owak, zasługujesz na swoją opinię.

Wallander się zdumiał.

- Czy jest aż tak zła?

- Raczej przeciwnie.

Wallander rozłożył ramiona. Nie chciał mówić o swoich osiągnięciach, gdyż uważał je za absolutnie niewystarczające.

- Szef głównego zarządu policji będzie na pogrzebie - relacjonowała. - Również minister sprawiedliwości. Ładują na Sturupie o jedenastej. Jadę ich odebrać. Oboje zażyczyli sobie posłuchać sprawozdania. Powiedzmy, o wpół do dwunastej. W dużej sali narad. Ty, ja i Thurnberg.

- Nie możesz ty złożyć sprawozdania? Albo Martinsson? On mówi dużo lepiej niż ja.

- To ty kierujesz śledztwem - powiedziała. - Przeznaczaliśmy na to najwyżej pół godziny. Potem będzie lunch i bezpośrednio po pogrzebie wracają do Sztokholmu.

- Czy ktoś z nich będzie przemawiał?

- Oboje.

- Boję się tego pogrzebu. To jednak co innego, gdy zmarły został brutalnie zamordowany.

- Myślisz o twoim starym przyjacielu, Rydbergu?

-Tak.

Odezwał się telefon. Przez chwilę słuchała, a potem poprosiła kogoś o zadzwonienie później.

- Co będzie z muzyką?

- Powiedzieliśmy kantorowi, żeby sam coś wybrał. Na pewno będzie dobrze. Co zwykle grają? Bacha i Buxtehudego?

No i naturalnie Cudna jest ziemia.

Wallander zbierał się do wyjścia.

- Mam nadzieję, że skorzystasz z okazji, kiedy będzie tu szef głównego zarządu policji i minister sprawiedliwości - powiedział.

- Z jakiej okazji?

- Żeby im uświadomić, że tak dłużej nie może być. Jeszcze trochę cię i będę twierdził, że to nie kampania oszczędności, lecz konspiracja. Przy tej ilości przestępstw.

- Co, do licha, chcesz przez to powiedzieć?

- To, co słyszysz. Konspiracja. Mająca na celu uniemożliwienie policji wypełniania jej obowiązków. Powiedz im to. Że jeszcze nie jesteśmy na tym etapie. Ale już niewiele brakuje. Potrząsnęła głową.

- Niezupełnie się z tobą zgadzam.

- Wiesz, że mam rację. Każdy, kto pracuje w policji, widzi, że wszystko wymyka się z rąk.

- Dlaczego sam tego nie powiesz?

- Może powinienem. Ale przede wszystkim chciałbym schwytać tego sprawcę.

- Nie ty - poprawiła. - My.

Wallander poszedł do pokoju Martinssona. Siedziała tam Ann-Britt Hóglund. Wspólnie oglądali zdjęcie na ekranie komputera - twarz Louise. Martinsson wymazał włosy.

- To program stworzony przez FBI - poinformował. - Teraz możemy dopasować setki rozmaitych fryzur, wąsy i brody.

Można nawet dodać pryszczę na twarzy.

- Pryszczę nie zauważyłem - odparł Wallander. - Na prawdę interesujące jest to, co miał pod peruką.

- Zdołałam trochę informacji na ten temat - wtrąciła Ann-Britt Hóglund. - Zadzwoniłam do perukarza w Sztokholmie i spytałam, ile własnych włosów można schować pod perukę. Okazało się, że bardzo trudno jednoznacznie na to odpowiedzieć.

- Zatem może mieć bujną czuprynę.

- Ten program robi jeszcze inne rzeczy - dodał Martinsson. - Możemy zmieniać uszy i spłaszczać nosy.

- Podobieństwo do zdjęcia jest wystarczająco duże. Nie potrzebujemy nic zmieniać.

- Kolor oczu? - spytał Martinsson.

- Niebieskie - odpowiedział Wallander po namyśle.

- Widziałeś jej zęby?

- Nie jej zęby. Jego zęby.
- Widziałeś je?
- Niezbyt wyraźnie. Ale chyba były białe i zadbane.
- Psychopaci są często pedantycznie czysti - stwierdził Martinsson.
- Nie wiemy, czy to psychopata - odparł Wallander.

Martinsson wprowadził do komputera informację o oczach i zębach.

- W jakim była wieku? - spytała Ann-Britt Hóglund.
- Nie ona - poprawił Wallander. - On.
- No, przecież widziałeś kobietę. Dopiero potem zorientowałeś się, że to mężczyzna. Ma rację, pomyślał Wallander. Widział kobietę. Tym się musi kierować, oceniając jej wiek.
- Trudno ocenić wiek kobiety, która jest mocno umalowana - powiedział. - Ale zdjęcie, które mamy, jest chyba dość świeże. Moim zdaniem, ma około czterdziestki.
- Jakiego była wzrostu? - zapytał Martinsson. - Nadal była kobietą, gdy szła od baru w kierunku toalety.

Wallander usiłował sobie przypomnieć.

- Nie jestem pewien - odpowiedział. - Ale chyba była dość wysoka. Między sto siedemdziesiąt a sto siedemdziesiąt pięć centymetrów.

Martinsson stukał w klawiaturę.

- A ciało? - spytał. - Czy miała sztuczne piersi?
- Okazało się, że Wallander nie poczynił zbyt szczegółowych spostrzeżeń.

- Nie potrafię powiedzieć.

Ann-Britt spojrzała na niego z lekkim uśmiechem.

- Jak wynika z wszystkich dostępnych badań, mężczyzna najpierw zwraca uwagę na biust kobiety - powiedziała. - Czy jest mały, czy duży. Ponoć potem patrzy na nogi. I pupę.

Martinsson zarechotał od komputera. Wallander czuł absurd sytuacji. Miał oceniać kobietę, która była mężczyzną. Którą mimo to traktowali jak kobietę. Dopóki Martinsson nie wprowadzi potrzebnych mu danych do komputera.

- Miała na sobie kurtkę - wyjaśnił. - Być może moje obserwacje są nietypowe, ale nie zauważyłem specjalnie obfitego biustu. W dodatku blat baru był wysoki. No i nie widziałem, jak wygląda z tyłu. Jak tylko odeszła od baru, zasłonili ją inni ludzie. W barze był tłum.

- Mamy i tak sporo danych - pocieszył go Martinsson. - Teraz trzeba by dopasować włosy, jakie ewentualnie miał pod peruką.

- Istnieją niewątpliwie setki wariantów - stwierdził Wallander. - Pytanie, czy nie lepiej rozesłać samą twarz. Opublikować w prasie. I mieć nadzieję, że ktoś rozpozna go po samej twarzy, bez peruki, która fałszuje jego płęć.

- Według badań przeprowadzonych przez FBI, to prawie niemożliwe.

- Zróbmy to, mimo wszystko - upierał się Wallander.

Przyszła mu nagle do głowy kolejna myśl.

- Czy ktoś wreszcie skontaktował się z pielęgniarką? Tą, która przyjęła telefon od mężczyzny podającego się za Erika Lundberga?

- Ja - odparła Ann-Britt Hóglund. - Właściwie to była działka Hanssona. Ale w końcu wypadło na mnie.

- Czy coś pamiętała?

- Niewiele. Mówił skańskim dialektem.

- Brzmiał autentycznie?

Spojrzała ze zdziwieniem.

- Właśnie, że nie. Pielęgniarka zwróciła uwagę, że mówił jakimś dziwnym dialektem. Ale nie potrafiła powiedzieć dla czego.

- Ktoś mógł go naśladować? -Tak.

- Jaki miał głos? Wysoki czy niski?

- Niski.

Wallander wrócił myślami do „Amigo”. Louise uśmiechnęła się do niego. A potem powiedziała, że idzie do toalety. I miała niski głos. Ukryty za tym wyższym, którym się posługiwała.

- W takim razie to on dzwonił - stwierdził Wallander. - To raczej pewne. Mimo że nie mamy żadnego dowodu.

Wallander poczuł, że musi porozmawiać z najbliższymi współpracownikami - Ann-Britt i Martinssonem. Nawet Hans-son nie należał do ścisłego kręgu.

- Zróbmy wspólne podsumowanie. Tylko nasza trójka. W małym pokoju narad.

- Powinienem nad tym posiedzieć - odparł Martinsson. - To dość skomplikowana robota.

- To nie potrwa długo.

Martinsson wstał. Udali się wszyscy do najmniejszego pokoju zebrań i zamknęli za sobą drzwi. Wallander zrelacjonował swoją wizytę w rozdzielni listów.

- Nie robiłem sobie żadnych nadziei. Chciałem się tylko upewnić.

- To nie ma wpływu na nasz punkt wyjścia - powiedział Martinsson. - Że szukamy osoby dobrze poinformowanej. Zdumiewająco dobrze poinformowanej, która ma dostęp do najpilniej strzeżonych tajemnic obcych ludzi.

- Do tej pory nic nie wskazuje na to, że ktoś z zewnątrz wiedział, kiedy i gdzie miała się odbyć sesja zdjęć ślubnych - zauważyła Ann-Britt Hóglund.

- Na tym właśnie powinniśmy się skoncentrować - powiedział Wallander. - To śledztwo jest niesłychanie rozległe i rozgałęzia się w różnych kierunkach. Teraz jednak zarysowuje się jakieś centrum. Mamy sprawcę, którego coś łączy z ofiarami. Przebiera się. Ponadto wdziera się w świat, który - przynajmniej częściowo - jest tajemnicą. W jaki sposób to robi? Gdzie się znajduje? Jak zdobywa informacje?

Wrócił do swojej wizyty w rozdzielni listów.

- Znalazłem tylko jeden wspólny mianownik. Isa Edengren i Sture Björklund mają tego samego listonosza. Poza tym naliczyłem trzech innych. I jednego, który nie pracuje w rejonie Ystadu. Czyli ta teoria odpada. Podejrzewać spisek listonoszy byłoby absurdem. I bez tego tkwimy w bezsensie.

- Czy nie za bardzo się pośpieszyliśmy? - zapytał Martinsson. - Przypuścimy, że mężczyzna przebrany za kobietę znajduje się gdzieś na marginesie śledztwa. Nie mamy żadnej pewności, że on jest sprawcą.

Wallander musiał uznać zastrzeżenia Martinssona.

- Masz rację - przyznał. - Przyjrzyjmy się wobec tego bliżej czterem listonoszom, o których wspomniałem. I jedne mu, który powinien być z rejonu Simrishamnu. Poczta ułatwiła nam zadanie, dostarczając broszurę reklamową.

Zapisałi nazwiska i podzielili się.

- Nie ma co sobie robić specjalnych nadziei - zauważył Wallander. - Ale może się zdarzyć, że uda się zabezpieczyć odciski palców na barze. Niestety, kieliszek został umyty.

Próbowali podejść do hipotetycznej istoty sprawy z różnych stron. Co przeoczyli? Jakie istniały możliwości

dostępu do informacji? Otwieranie listów, podsłuchiwanie rozmów telefonicznych? Te dwie. A poza tym? Przedyskutowali wszystkie ewentualności, od plotek do szantażu, od poczty elektronicznej do faksu. Ale nie znaleźli niczego, co mogłoby wypełnić ten najistotniejszy punkt treścią. Wallander poczuł powracający z całą siłą niepokój. Przypomniał sobie list od Matsa Ekholma.

- Nie mamy żadnego modelu. Mamy przebrania i sekrety. Nic więcej.

- Przyszła informacja o sekcje „Divine Movers” - powiedział Martinsson. - Nie znaleziono tam oznak przemocy. Są natomiast na bakier z urzędem podatkowym. Ale to dotyczy większości sekt religijnych w krajach zachodniej Europy.

- Co będzie, jeśli wykreślimy przebrania? - spytała Ann-Britt Hóglund. - Jeśli je pominiemy, jako coś zewnętrznego? Co nam pozostanie?

- Młodzi ludzie - odparł Wallander. - Pełni radości młodzi ludzie. Którzy się bawią lub żenią. - Nie wliczasz Haaga?

- Nie, on nie pasuje do całości.

- A Isa Edengren?

- Miała być na zabawie.

- Ale jednak obraz się zmienia - przyznała Ann-Britt Hóglund. - Dochodzi nowy czynnik. Nie dał jej ujść cało. Gdzie jest motyw? Jaki? Nienawiść czy zemsta? Nie mamy żadnych punktów styecznych między młodą parą a tamtymi. No i jest jeszcze Svedberg. Jaki on miał trop?

- Na ostatnie pytanie mamy chyba odpowiedź - zauważył Wallander. - W każdym razie tymczasową. Svedberg znał mężczyznę przebranego za kobietę. Coś wzbudziło w nim podejrzenie. W trakcie letniego dochodzenia jego podejrzenie się potwierdziło. Z tego powodu został zamordowany. Za dużo wiedział. Zanim zdążył podzielić się z nami swoją wiedzą, już nie żył.

- Co to właściwie oznacza? - spytał Martinsson. - Svedberg mówił krewniakowi, że spotyka się z kobietą. Okazuje się, że jest to w rzeczywistości mężczyzna. Ten fakt przez te wszystkie lata Svedberg musiał chyba zauważyć. O co tu właściwie chodzi? O transwestytów? Czy Svedberg był homoseksualistą?

- Można to różnie interpretować - odparł Wallander. - Wątpię, żeby Svedberg miał skłonność do przebierania się w damskie stroje. Ale mógł naturalnie być homoseksualistą. Mimo że nikt z nas nie miał o tym pojęcia.

- Jest w tym śledztwie osoba, która wydaje mi się coraz ważniejsza - powiedziała Ann-Britt Hóglund.

Wallander domyślał się, kogo miała na myśli. Brora Sundeliusa. Emerytowanego dyrektora banku.

- Też mi to przyszło na myśl - odparł. - Sądzę, że mamy wszelkie powody, aby wyznaczyć jeszcze jedno centrum. Nie jako alternatywę, ale jako dopełnienie. Będą w nim osoby i wydarzenia związane ze skargą do rzecznika praw obywatelskich sprzed jedenastu lat. Wiemy dobrze, jak dziwnie zachował się Svedberg. Możemy spokojnie założyć, że był ofiarą jakiegoś szantażu. Chyba że miał inne powody, żeby zatuszować coś, w co zamieszany był Stridh.

- Jeśli Bror Sundelius też miał zboczone skłonności, to wszystko się wyjaśnia - dodał Martinsson.

Wallanderowi nie podobał się jego sposób mówienia. Brzmiała w nim źle skrywana pogarda.

- Nie sądzą, żeby homoseksualizm uchodził za zboczoną skłonność - powiedział. - Tak się uważało w latach pięćdziesiątych, ale nie dzisiaj. To, że ludzie w dalszym ciągu nieraz się z tym ukrywają, jest zupełnie inną sprawą.

Martinsson wyczuł dezaprobatę Wallandera, ale nic nie powiedział.

- Mamy więc pytanie, co łączyło Sundeliusa, Stridha i Svedberga - mówił dalej Wallander. - Trzech mężczyzn,

których nazwiska zaczynają się na S. Dyrektor banku, zapija
czony złodziejasek i policjant.

- Ciekawe, czy Louise też była w to zaplątana.

- Musimy go inaczej nazwać - zdecydował, krzywiąc się, Wallander. - Louise zniknęła raz na
zawsze w damskiej toalecie w Kopenhadze. Nazywanie go Louise miesza nam tylko w głowie.

- Louis - zaproponował Martinsson. - Bardzo proste.

Zgodzili się. Louise została tymczasowo przemianowana i zmieniła płeć. Teraz poszukiwali
mężczyzny o imieniu Louis.

- Stridh nie żyje - ciągnął Wallander. - Z grobu nie wydostaniemy świadectwa. Natomiast Rut
Lundin może mieć coś do dodania. Chociaż, szczerze mówiąc, wątpię. Sądzę, że mówiła
prawdę. Nie mogła wiedzieć o wszystkich machinacjach Stridha.

- Czyli pozostaje Sundelius?

Wallander spojrział na Martinssona i skinął głową.

- On jest ważny - przyznał. - Na tyle, że powinniśmy specjalnie się nim zająć. Zbadać bliżej, co
to właściwie za człowiek.

- Dlaczego go nie wezwiemy? - spytał Martinsson.

- W jakiej sprawie?

- Jest istotny dla śledztwa, to wystarczy.

- Zanim go wezwiemy, musimy przynajmniej wiedzieć, o co go chcemy pytać.

Postanowili, że Martinsson poświęci trochę czasu Sunde-liusowi. Wallander wyszedł z pokoju
i poszedł do siebie. Na korytarzu spotkał Edmundssona.

- Niczego nie znaleźliśmy w rezerwacie. W tym miejscu,
o którym pan mówił.

Wallander przypomniał sobie dopiero po chwili.

- Niczego?

- Ktoś stał koło drzewa i wypluł tytoń - odpowiedział Edmundsson. - Nic poza tym.

Wallander spojrział bacznie na niego.

- Mam nadzieję, że zabezpieczyłeś ten tytoń. Lub przeka
załeś Nybergowi.

- Jak najbardziej - odparł Edmundsson ku jego zdziwieniu.

Szedł dalej korytarzem. Miał więc rację. Miejsce, w którym

odniósł wrażenie, że jest obserwowany, stanowiło najlepszy punkt obserwacyjny ścieżki.

Morderca tam był. I wypluł tytoń, tak samo jak na plaży. Później tkwił za ogrodzeniem w
Nybrostrandzie. Tym razem w przebraniu.

Depcze nam po piętach, pomyślał Wallander. Trzyma się w pobliżu. Zawsze o krok przed nami
lub o krok za nami. Być może chce się zorientować, co wiemy. Albo udowodnić sobie, że nie
potrafimy go znaleźć.

Zaświtała mu pewna myśl. Zadzwoił do Martinssona.

- Czy nie było sygnałów, że ktoś wykazuje szczególne zainteresowanie śledztwem?

- Któż to miałby być? Poza dziennikarzami, którzy ryją w poszukiwaniu informacji?

- Przekaż ludziom, żeby zwrócili na to uwagę. Czy ktoś dziwnie się zachowuje. Czy może
jakoś się wyróżnia. Nie umiem tego lepiej określić.

Martinsson obiecał. Wallander zakończył rozmowę.

Wybiła dwunasta. Wallander poczuł nagle, że jest mu słabo z głodu. Wyszedł z komendy i
udał się do restauracji w centrum. O wpół do drugiej był z powrotem. Odwiesił kurtkę i
otworzył broszurę, którą dostał w rozdzielni listów.

Pierwszy listonosz, z którym chciał złapać kontakt, nazywał się Olov Andersson.

Wallander podniósł słuchawkę i wybrał numer. Zastanawiał się, jak długo jeszcze starczy mu
sił.

Wkrótce po jedenastej był z powrotem w Ystadzie.

Ponieważ nie chciał się narażać na spotkanie z policjantem, który wytropił go w Kopenhadze, wybrał drogę przez Helsingor. Pojechał pociągiem i potem wsiadł na prom. W Helsingborgu wziął taksówkę do Malmö, gdzie zaparkował. Niespodziewany spadek po krewniaku dał mu finansowy luz. Zanim wszedł na parking, dłuższy czas go obserwował. Nie miał wątpliwości, że ujdzie cało. Podobnie jak nie wątpił w to poprzedniego wieczoru w kopenhaskim barze. To był wielki triumf. Nie spodziewał się, że na stolku obok niego usiądzie policjant. Ale nie stracił zimnej krwi. Już dawno przewidział taką sytuację i wiedział, jak postąpić.

Spokojnie poszedł do damskiej toalety, zdjął perukę, zatknął ją z tyłu za pasek, usunął makijaż kremem, który zawsze miał przy sobie. A potem wyszedł jednocześnie z innym mężczyzną. Nadal jeszcze potrafił ujdź cało.

Kiedy upewnił się, że parking nie jest pod obserwacją, wsiadł do samochodu i pojechał do Ystadu. W domu długo

brał prysznic, zanim wślizgnął się pod kołdrę w dźwięko-szczelnym pokoju. Miał dużo do myślenia. Nie wiedział, jak policjant o nazwisku Wallander wpadł na jego trop. Gdzieś musiał pozostawić ślad. Był bardziej zirytowany niż zaniepokojony. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło mu do głowy, to że Svedberg, mimo wszystko, miał w mieszkaniu jego zdjęcie. Zdjęcie Louise, którego nie odnalazł, chociaż przewrócił wszystko do góry nogami. Jeśli tak, to nic mu nie grozi. Policjant zjawiał się na rozmowę z kobietą. Nic nie wskazywało na to, że wiedział lub podejrzewał, że Louise nie istniała i była tylko przebraniem. Teraz, naturalnie, już się domyślił.

Odczuwał podniecenie na myśl, że tak łatwo się wymknął. Pałał chęcią dalszych działań. Istniała jednak pewna przeszkoda. Nie miał na oku żadnej ofiary. Zgodnie z pierwotnym planem miał teraz odczekać. Może nawet rok. Dokładnie zaplanować następne posunięcie, tak żeby prześcignąć samego siebie. Miał odczekać tak długo, aż zaczną o nim zapominać i pomyślą, że zniknął na zawsze. Wtedy znów się ukaze.

A jednak zetknięcie z policjantem go zirytowało. Nie mógł znieść myśli, że minie cały rok, zanim powtórnie będzie mógł zaatakować.

Popołudnie spędził w łóżku, analizując powstałą sytuację. Rozważał wiele rozmaitych wariantów działania. Kilka razy był już bliski rezygnacji.

Wreszcie wpadł na rozwiązanie, które go zadowoliło. Co prawda, nie do końca, gdyż odbiegało od pierwotnego planu. Ale w obecnej sytuacji nie miał wyboru. Poza tym, pomysł był bardzo nęcący. Im dłużej o nim myślał, tym bardziej mu się podobał. Był wręcz genialny. Stworzy obraz, jakiego nikt się nie spodziewa, i zagadkę, której nikt nie rozwiąże. Niewidzialny klucz do zagadki ciśnie w mrok, gdzie przepadnie na zawsze.

Późnym popołudniem podjął decyzję. Wybór padł na komisarza policji Wallandera. Nie miał dużo czasu. Nazajutrz ma się odbyć pogrzeb Svedberga. Ten dzień wykorzysta na przygotowania. Uśmiechnął się na myśl, że Svedberg będzie mu pośrednio pomagał. Podczas uroczystości pogrzebowej mieszkanie policjanta będzie puste. Svedberg często wspominał, że Wallander jest rozwiedziony i większość czasu spędza samotnie.

Nie musi czekać dłużej niż do środy.

Na myśl o tym ogarnęło go podniecenie.

Zastrzeli policjanta. A potem go przebierze. To będzie niezwykle przebranie.

31

Poniedziałek był straconym dniem.

Była to pierwsza myśl, która przyszła mu do głowy, kiedy obudził się we wtorek rano. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuł się wyspany. Już o dziewiątej wieczór wyszedł z komendy. Zarządził prywatny odwrót. Po prostu dłużej nie wytrzymał. Pojechał prosto na Mariagatan, zjadł w kuchni kilka kawałków czerstwego pieczywa i poszedł się położyć. Pamiętał tylko, że zgasił światło.

Była szósta rano. Leżał bez ruchu w łóżku. Przez szczelinę w firance widział niebieskie niebo. Poniedziałek był straconym dniem, pomyślał raz jeszcze. Nie posunęli się ani trochę do przodu. Przesłuchał dwóch listonoszy. Byli sympatyczni i udzielali wyczerpujących odpowiedzi, ale niczego ważnego się nie dowiedział. Śledztwo utknęło w martwym punkcie. Wallander konferował z grupą dochodzeniową około szóstej wieczorem. Wszyscy byli po rozmowach z przydzielonymi listonoszami. Nie bardzo wiedzieli, jakie zadawać pytania i czego się spodziewać po odpowiedziach. Wallander był zmuszony przyznać, że trop był fałszywy. Zawiodła go intuicja. Zresztą nie tylko rozmowy z listonoszami okazały się niewypałem. Od Lone Kjaer z Kopenhagi dostał wiadomość, że nie udało się zabezpieczyć odcisków palców w barze „Amigo”. Sprawdzili nawet barowy stółek, bez skutku. Wallander specjalnie na to nie liczył. Ale w głębi duszy miał nadzieję. Porównanie odcisku palca z tym, co do tej pory zdobyli, pozwoliłoby niewątpliwie na identyfikację sprawcy: mężczyzny, który przebiera się za kobietę. Na razie wciąż istniała niewielka, niemniej niepokojąca ewentualność, że popełnili błąd

i człowiek w ciemnej peruce był tylko krokiem do celu, a nie samym celem.

Martinsson z uporem ślęczał nad portretami pamięciowymi. Miał na stole mnóstwo wariantów fryzur i prosił o opinie. Wallanderowi przypomniało się, jak w dzieciństwie wycinali z pism ludzkie figurki. Nie pamiętał, czy można było zmieniać im fryzury.

Trudność polegała na tym, że nikt nie miał najmniejszego pojęcia, jaką fryzurę wybrać. Wallander posłał kilku policjantów ze zdjęciem samej twarzy do mieszkańców domu Svedberga przy Lilia Norregatan. Wszyscy potrząsali przecząco głowami. Nikt nie rozpoznawał twarzy na zdjęciu.

Długo dyskutowali na temat opublikowania fotografii w prasie. Zdaniem Wallandera, stanowczo zbyt długo. Wezwał Thurnberga, gdyż zależało mu na jego poparciu. Zdania były bardzo podzielone. Wallander nalegał, żeby opublikować zdjęcie. Przekonywał, że może się znaleźć ktoś, kto rozpozna twarz pozbawioną mylącej peruki. Wystarczy jedna osoba. Thurnberg długo się nie odzywał, jakby nie miał ochoty zabierać głosu. W końcu włączył się do rozmowy i w pełni poparł Wallandera. Zdjęcie miało pójść do prasy. I to jak najszybciej.

Postanowili zaczekać do środy, dzień po pogrzebie. Zdjęcie miało się ukazać na widocznym miejscu, we wszystkich szwedzkich mediach.

- Ludzie przepadają za portretami pamięciowymi - powiedział Wallander. - Podobieństwo nie ma znaczenia. Pokazywanie ludziom niekompletnej głowy w nadziei, że ją ktoś rozpozna, graniczy z magią.

Poniedziałkowe popołudnie upłynęło pod znakiem gorączkowej działalności. Hansson, który poza Martinssonem najlepiej opanował nową technikę, szukał Brora Sundeliusa w komputerowych rejestrach policji. Naturalnie nic nie znalazł. W świecie komputerów Sundelius miał nieposzlakowaną opinię. Postanowili, że Wallander przeprowadzi z nim kolejną rozmowę w środę, dzień po pogrzebie Svedberga. Trzeba go mocniej przycisnąć. Wallander przypomniał, że Sundelius ma być na pogrzebie.

W poniedziałek po południu, w dniu, który Wallander uznał za stracony, zaszło coś jeszcze. Tuż po czwartej odezwał się telefon. Dzwonił dziennikarz jednego z większych krajowych dzienników, że odezwała się do niego Eva Hillström. Rodzice zamordowanych zwrócili się do prasy z krytyką dotychczasowej pracy policji. Byli zdania, że śledztwo posuwa się za wolno. Twierdzili również, że nie otrzymali należytej informacji. Dziennikarz ostrzegał Wallandera. Zapowiadała się miazdząca krytyka. Eva Hillström wielokrotnie wymieniała go jako kierującego śledztwem. A raczej tego, który nim źle pokierował. Artykuł miał się ukazać nazajutrz, na widocznym miejscu. Dziennikarz chciał dać komisarzowi możliwość odparcia zarzutów. Ku własnemu zdziwieniu, Wallander stanowczo odmówił. Nie będzie nic wyjaśniał, dopóki nie pozna wypowiedzi rodziców. Nie zgodził się na odczytanie słów Evy Hillström

przez telefon ani na przesłanie ich faksem. Dowie się wszystkiego z prasy i jeśli uzna za konieczne, sam się odezwie do redakcji. Koniec, kropka.

Po rozmowie poczuł ucisk w żołądku. Pojawił się obok ciągłego uczucia niepokoju, że sprawca znów zaatakuje. Tym razem stawką było jego dobre imię. Usiłował rozliczyć się przed sobą z dotychczasowych działań i doszedł do wniosku, że zrobili wszystko, co w ich mocy. To, że do tej pory nie schwytali sprawcy, nie było wynikiem opieszałości, braku zainteresowania czy nieefektywnej pracy. Przyczyną była złożoność dochodzenia. Od początku mieli za mało wskazówek. Z pewnością popełniali błędy. Nie istnieje śledztwo doskonałe; nawet Eva Hillström musi się z tym liczyć.

Po zaimprovizowanym zebraniu o szóstej, gdy ostatecznie porzucili trop listonoszy i Wallander obejrzał już zmęczonym wzrokiem zdjęcia Martinssona - zreferował rozmowę z dziennikarzem. Thurnberg był zatroskany. Decyzję Wallandera uważał za niesłuszną. Był zdania, że powinien być odpowiedzieć na zarzuty, które mają ukazać się w prasie.

- To kwestia wyboru - tłumaczył Wallander. - Wszystkiego zrobić się nie zdąży. W tej chwili mamy tyle na głowie, że nawet odpowiedź na krytykę musi zaczekać.

- Jutro przyjeżdża szef głównego zarządu policji razem z ministrem sprawiedliwości - powiedział Thurnberg. - Nie dobrze się składa, że tego samego dnia ukaże się w porannej gazecie artykuł krytykujący naszą pracę.

Do Wallandera dotarł nagle prawdziwy powód zmartwienia Thurnberga.

- Nie musi się pan obawiać o swoją reputację - uspokoił go.

- O ile dobrze zrozumiałem, Eva Hillström i pozostali rodzice mają zastrzeżenia wobec policji, a nie wobec prokuratury.

Thurnberg nic nie odpowiedział. Wkrótce potem zakończyli pracę. Przed wyjściem Ann-Britt Hóglund poinformowała Wallandera, że Thurnberg wypytywał ją przed zebraniem o zajście w rezerwacie, kiedy to Wallander miał rzekomo pobić biegacza Nilsa Hagrotha.

Wtedy dopadło go nagle zniechęcenie. Czy to się nigdy nie skończy? Mieli się zajmować skargą Nilsa Hagrotha, jakby nie dość mieli problemów? W tym momencie poniedziałek zaczął mu się jawić jako stracony dzień, mimo że intensywnie pracowali.

Było wpół do siódmej. Wallander wstał z łóżka. Z niechęcią myślał o nadchodzącym dniu. Na drzwiach szafy wisiał mundur. Między spotkaniem z szefem zarządu policji i ministrem sprawiedliwości a pogrzebem nie zdąży wrócić do domu, żeby się przebrać. Włożył mundur i przejrzał się w lustrze. Spodnie podejrzanie cisnęły go w pasie. Nie zapiął górnego guzika. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miał na sobie mundur. Nie był pewny. Ale musiało to być wiele lat temu.

W drodze do komendy zatrzymał się przy kiosku i kupił gazetę. Dziennikarz nie przesadził. Artykuł był obszerny. Ze zdjęciami. Zarzuty Ewy Hillström i pozostałych rodziców ujęto w trzech punktach. Po pierwsze, policja stanowczo za późno zareagowała na zaginięcie ich dzieci. Po drugie, mieli wrażenie, że śledztwo prowadzone jest w sposób nieefektywny. Po trzecie, uważali, że informacje, jakie otrzymywali, pozostawiały bardzo wiele do życzenia.

Komendant główny nie będzie zadowolony, pomyślał Wallander. Niezależnie od tego, co powiem ja czy ktokolwiek

inny. Zarzuty, może z wyjątkiem tego, że zbyt późno zareagowaliśmy, nie mają żadnych podstaw. Lecz to, że krytyka się w ogóle ukazała, rzuca cień na reputację policji.

Tuż przed ósmą zirytowany Wallander z niechęcią przekraczał próg komendy.

Zapowiadał się długi i przygnębiający dzień. Mimo że sierpniowa pogoda nadal była piękna i ciepła.

Tuż przed wpół do dwunastej Lisa Holgersson zadzwoniła z samochodu. Byli w drodze ze Sturupu, pięć minut od komendy. Wallander poszedł do recepcji na spotkanie. Thurnberg już tam był. Zamienili parę słów, nie wspominając ani słowem o porannym artykule.

Nadjechał samochód. Komendant główny był w mundurze, minister sprawiedliwości w ciemnym kostiumie. Przywitani się. W gabinecie Lisy Holgersson podano kawę. Przed wejściem do pokoju odciągnęła Wallandera na bok.

- Przeczytali w samolocie - powiedziała. - Komendant główny jest bardzo niezadowolony. - A minister?

- Jest bardziej ostrożna. Zanim się wypowie, chce się upewnić, ile w tym prawdy.

- Czy mam coś na ten temat mówić?

- Tylko wtedy, jeśli sami zaczną.

Usiedli przy kawie. Wallander przyjął wyrazy współczucia z powodu śmierci Svedberga. Potem przyszła kolej na sprawozdanie. Kilka godzin wcześniej zrobił sobie notatki. Teraz nie mógł odnaleźć kartki. Wiedział, że miał ją w ręku, kiedy opuszczał pokój. Musiała zostać w toalecie.

Nie chciał po nią wracać. Pamiętał, o czym miał mówić. Najważniejsze, że wpadli już na trop. Zidentyfikowali prawdopodobnego sprawcę. Coś się zaczynało dziać. Skończyło się dreptanie w miejscu.

- Cała sprawa jest bardzo nieprzyjemna - stwierdził komendant główny, kiedy Wallander umilkł. - Nieprzyjemna i poważna. Zamordowano policjanta i młodych ludzi. Wzrasta zagrożenie. Spodziewam się szybkiego rozwiązania. Nic nie mogło sprawić mi większej przyjemności niż wiadomość, że w śledztwie nastąpił przełom.

Wallander czuł, że komendant główny jest autentycznie zatroskany. To nie było powierzchowne zapewnienie, ale wyraz szczerych uczuć.

- Społeczeństwo nigdy nie będzie w stanie ochronić się przed szaleńcami - powiedziała minister sprawiedliwości. - Seryjne morderstwa zdarzają się na całym świecie, zarówno w demokracjach, jak i dyktaturach.

- Jest jeszcze jedna rzecz - dodał Wallander. - Szaleńcy nigdy nie zachowują się w ten sam sposób. Nie można ich zaklasyfikować do jakiejś grupy. Zjawiają się znikąd, na ogół są niekarani i często znikają bez śladu, pochłonięci przez mrok.

- Komisariaty dzielnicowe - wtrącił komendant główny. - Od tego trzeba zacząć.

Wallander nie bardzo chwycił związek między szaleńcami a komisariatami dzielnicowymi. Nic jednak nie powiedział. Więcej nie poruszali tematu nieustannych reorganizacji, których projekty rodziły się w komendzie głównej. Minister sprawiedliwości zadała kilka pytań Thurnbergowi. Spotkanie dobiegło końca. Wychodząc na obiad, komendant główny zauważył w teczce brak niektórych papierów.

- Mam tymczasowe sekretarki - powiedział ponuro. - Za wsze jest coś nie tak. Ledwie się dowiem, jak się nazywają, już odchodzą.

Zrobili krótką rundę po komendzie. Wallander trzymał się z tyłu. Minister sprawiedliwości dołączyła do niego.

- Słyszałam, że złożono na pana doniesienie. Czy jest coś na rzeczy?

- Nie ma się czym przejmować - odparł Wallander. - Ten człowiek znajdował się na zabezpieczonym terenie. To nie było pobicie.

- Tak też sądziłam - powiedziała minister.

W recepcji komendant główny zapytał Wallandera o doniesienie.

- To bardzo niefortunne. Zwłaszcza w obecnej sytuacji.

- To zawsze jest niefortunne. Mogę tylko powtórzyć to, co powiedziałem pani minister. To nie było pobicie.

- A co?

- Po prostu znajdował się na terenie zamkniętym.

- Przywiązujemy wielką wagę do tego, żeby policja była dobrze postrzegana przez ludność i media.

- Po rozpatrzeniu doniesienia przez prokuratora prześlę notkę do prasy - odparł Wallander.

- Chciałbym otrzymać kopię, zanim pójdzie do mediów - powiedział komendant główny.

Wallander przyrzekł ją wysłać. Odrzucił zaproszenie na obiad i udał się do pokoju Ann-Britt - był pusty. Komisarz wrócił do siebie. W komendzie panował smętny nastrój. Ebba siedziała w recepcji ubrana na czarno. Wallander zadzwonił do Ann-Britt Hóglund na domowy numer.

- Jak tam mowa? - zapytał, kiedy podniosła słuchawkę.

- Boję się, że się zdenerwuję i zacznę się jąkać albo że nie będę mogła wydobyć głosu.

- Dasz sobie świetnie radę - uspokoił ją Wallander. - Lepiej niż ktokolwiek.

Po zakończeniu rozmowy dalej siedział przy biurku. Chodziła mu po głowie niewyraźna myśl, której nie mógł pochwycić. Jakies zdanie ministra sprawiedliwości lub szefa zarządu policji?

Nie potrafił sobie przypomnieć.

O drugiej w kościele Sankta Maria przy placu Stortorget było pełno ludzi. Jakiś czas przedtem Wallander pomagał wносить trumnę. Była biała, ze skromną dekoracją z róż. Na kilka minut przed uderzeniem w dzwony przywitał się z Ylvą Brink.

- Sture nie przyjedzie - powiedziała. - Nie uznaje po grzebów.

- Wiem. Uważa, że popioły powinno się rozsypywać w naj bliższym dostępnym miejscu.

Wallander obszedł wnętrze kościoła, przyglądając się zebranym. Louise już się nie pokaże, pomyślał. Mimo to szukał jej twarzy w tłumie. A raczej twarzy mężczyzny, Louisa. Nie widział go. Natknął się na Brora Sundeliusa. Przywitali się i Sundelius spytał o stan śledztwa.

- Nastąpił przełom - odparł Wallander. - Nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Obyście go złapali - powiedział Sundelius.

Wallander czuł, że jego rozmówca jest szczery. Zabójstwo

Svedberga nim wstrząsnęło. Przyszło mu nagle do głowy, że Sundelius może wiedzieć to samo co Svedberg. Być może prześladował go podobny lęk?

Myśl ta utwierdziła go w przekonaniu, że trzeba Sundeliusa ponownie przesłuchać. To jedno z pilniejszych zadań.

Biły dzwony. Organista grał Bacha, pastor był dobrym mówcą. Wallander siedział na samym przodzie, z potęgującym się uczuciem strachu. Strachu przed własną śmiercią. Zastanawiał się, dlaczego przeżywa takie męki na pogrzebach. Minister sprawiedliwości mówiła o demokracji i praworządności, komendant główny o wstrząsie wywołanym tragicznym zgonem. Wallander się zastanawiał, czy uda mu się wpleść termin „dzielnicowy komisariat” do mowy pogrzebowej. Pomyślał, że jest niesprawiedliwy. Nie miał powodu, aby wątpić w szczere zamiary szefa zarządu policji. Nadeszła kolej Ann-Britt Hóglund. Wallander nigdy wcześniej nie widział jej w mundurze. Mówiła donośnym, jasnym głosem. Stwierdził, ku swemu zdziwieniu, że jest w stanie wysłuchać słów, które sam napisał. Potem znów była muzyka, pożegnanie przy trumnie i sztandary. Przez ujęte w ołowiane ramy szyby z osobliwym uporem świeciło sierpniowe słońce.

Dopiero pod koniec, tuż przed ostatnim psalmem, Wallander pochwycił myśl, która kołatała mu się gdzieś w tyle głowy. Było to coś, co powiedział komendant główny, kiedy szukał papierów w teczce. Coś o tymczasowych pracownikach. Którzy zjawiali się i znikali. I których nazwisk nie pamiętał.

Z początku nie mógł zrozumieć, dlaczego myśl nie daje mu spokoju. Olsniło go w samym środku psalmu.

Listonosze też muszą mieć zastępców.

Pogubił się w śpiewaniu. Myśl lekko go zirytowała.

Kiedy po przebytych katuszach wyszedł z kościoła, wciąż nie mógł się jej pozbyć. Postanowił zatelefonować do Albinssona z rozdzielni poczty, żeby wyjaśnić sprawę.

Po piątej Wallander wrócił do komendy. Minister i komendant główny odjechali na lotnisko. Wallander poszedł do domu. Zdjął przyciasny mundur. Odszukał numer rozdzielni. Nikt się nie zgłaszał. Zanim wybrał domowy numer Albinssona, wziął prysznic i przebrał się. Włożył okulary i kartkował książkę telefoniczną. Kjell Albinsson mieszkał w Rydsgardzie. Wallander wybrał numer. Odezwała się żona Albinssona i poinformowała, że mąż właśnie rozgrywa mecz piłki nożnej w drużynie pocztowców. Nie wiedziała, gdzie odbywa się ten mecz. Wallander poprosił o telefon. Podał domowy numer.

Potem przyrządził obiad. Pomidorową zupę z puszki i chrupki chleb. Po obiedzie wyciągnął się na łóżku. Mimo dobrze przespanej nocy czuł się zmęczony. Pogrzeb ściał go z nóg.

Obudził go dźwięk telefonu. Było wpół do ósmej. Dzwonił Kjell Albinsson.

- Jak mecz? - spytał Wallander.

- Mogło być lepiej. Graliśmy z prywatną rzeźnią. Mają ostrych zawodników. Ale to dobry trening. Rozgrywki się jeszcze nie rozpoczęły.

- Dobry sposób na zachowanie formy.

- Albo na połamanie kości.

Wallander od razu przystąpił do rzeczy.

- Podczas ostatniej rozmowy zapomniałem o coś zapytać. Zatrudniacie ludzi na zastępstwa?

- Zdarza się. Czasem krótsze, czasem dłuższe.

- Co to za ludzie?

- Przy obecnym bezrobociu mamy, rzecz jasna, wielu chętnych. Najchętniej jednak zatrudniamy osoby z doświadczeniem. Mamy zresztą szczęście. Regularnie pracują u nas dwie osoby.

- Jakie? W broszurze ich nie było.

- Pewnie dlatego zapomniałem o nich wspomnieć. Jedna to kobieta, Lena Stivell. Przedtem była zatrudniona na stałe, potem na część etatu, aż w końcu przeszła na zastępstwa.

- Czy druga to również kobieta?

- Nie, nazywa się Ake Larstam. Kiedyś był inżynierem, ale się przekwalifikował.

- Na listonosza?

- To nie takie rzadkie, jak może się wydawać. Praca daje dużo swobody i kontakt z ludźmi.

- Czy teraz pracuje?

- Skończyło mu się zastępstwo jakiś tydzień temu. Nie wiem, co robi w tej chwili.

- Może pan o nim coś bliższego powiedzieć?

- Jest dosyć zamknięty. Ale bardzo sumienny. Ma czterdzieści cztery lata. Mieszka w Ystadzie, na Harmonigatan osiemnaście, o ile się nie mylę.

- Coś więcej?

- To chyba wszystko. Wallander chwilę myślał.

- Czy zastępcy pracują we wszystkich rejonach?

- Na tym polega cały dowcip. Poczta musi funkcjonować, nawet w przypadku, gdy ktoś jest przeziębiony.

- Gdzie ostatnio pracował Larstam?

- W rejonie na zachód od Ystadu.

Znowu pudło, pomyślał Wallander. Tam się nic nie wydarzyło. Tam nie mieszkała młoda para ani nie było świętojańskiej zabawy.

- To chyba wszystko - powiedział. - Dziękuję, że pan odzwonił.

Wallander zakończył rozmowę. Postanowił pójść do komendy. Grupa dochodzeniowa nie planowała wieczornego zebrania. Skorzysta z okazji i zapozna się bliżej z częścią materiału, którego jeszcze nie zdążył przejrzeć.

Odezwwał się telefon. Znowu dzwonił Albinsson.

- Wprowadziłem pana w błąd. Pomyliłem Lenę z Ake - powiedział. - To Lena doręczała pocztę na zachód od Ystadu.

- A Ake Larstam?

- To właśnie pokręciłem. Ostatnie zastępstwo miał w Nyb-rostrandzie.

- Kiedy to było?

- Kilka tygodni w lipcu. .

- Czy pamięta pan, gdzie pracował przedtem?

- Miał długie zastępstwo w rejonie Rógli. Musiało to być od marca do czerwca.

- Dobrze, że pan zadzwonił - powiedział Wallander.

Odłożył słuchawkę. Zastępujący listonosza Larstam rozwoził pocztę w rejonie, gdzie mieszkali Torbjörn Werner i Malin Skander. Wiosną obsługiwał rejon, w którym między innymi leżało Skarby, gdzie mieszkała Isa Edengren.

Wallander miał uczucie, że poluje na zbiegi okoliczności. Mimo to znów zajrzał do książki telefonicznej, szukając nazwiska Larstam. Nie było takiego nazwiska. W informacji dowiedział się, że numer jest zastrzeżony.

Ubrał się i poszedł do komendy. Wetknął głowę do pokoju dyżurnego, pytając, czy jest ktoś z sekcji kryminalnej. Zdziwił się, kiedy usłyszał, że Ann-Britt jest u siebie. Zajrzał do pokoju. Siedziała, szperając w stosie dokumentów.

- Myślałem, że nikogo nie ma - powiedział.

Miała jeszcze na sobie mundur. Wallander już wcześniej pochwalił ją za dobrze wygłoszoną mowę.

- Mam opiekunkę do dzieci - odparła. - Postanowiłam skorzystać z okazji. Jest masa dokumentów, których nie zdążyłam przejrzeć.

- To tak jak ja. Dlatego tu jestem.

Usiadł na krześle dla interesantów. Odsunęła stertę papierów, domyślając się, że chce z nią porozmawiać.

Wallander opowiedział o koncepcji, która przyszła mu do głowy pod wpływem słów komendanta głównego, i o wyniku rozmowy z Albinssonem.

- Z twego opisu on nie wygląda na seryjnego mordercę.

- A kto wygląda? Ważne, że mamy człowieka, który poruszał się na terenie, gdzie mieszkało kilka zamordowanych osób.

- Więc co mamy robić?

- Przyszedłem tylko, żeby opowiedzieć, czego się dowiedziałem.

- Rozmawialiśmy już ze stałymi doręczycielami. Czy chcesz, żebyśmy teraz przesłuchali zastępców?

- Lenę Stigell możemy sobie odpuścić.

Spojrzała na zegarek.

- Możemy się przejść - powiedziała. - Przewietrzymy się.

Pójdziemy na ulicę Harmonigatan i zadzwonimy do drzwi Larstama. Nie jest jeszcze tak późno.

- Nie przyszło mi to do głowy. Ale to dobry pomysł.

Wyszli z komendy. W dziesięć minut znaleźli się na Harmonigatan, w zachodniej części miasta.

- Ciągłe do mnie nie dociera, że Svedberg nie żyje - powiedziała nagle Ann-Britt. - Na każdym zebraniu czekam, że się pojawi.

- Nikt do tej pory nie zajął jego krzesła. I długo potrwa, zanim ktoś na nim usiądzie.

Weszli na Harmonigatan. Pod numerem osiemnaście znajdował się dość stary, trzypiętrowy dom. Każde mieszkanie miało domofon. Larstam mieszkał na ostatnim piętrze. Wallander nacisnął przycisk domofonu. Czekali. Zadzwoił jeszcze raz.

- Ake Larstama nie ma w domu - stwierdziła Ann-Britt.

Wallander przeszedł na drugą stronę ulicy i spojrzał do góry na okna mieszkania. W dwóch z nich paliło się światło. Wrócił i spróbował pchnąć drzwi wejściowe. Ku ich zdziwieniu, były otwarte. Weszli do środka. W domu nie było windy. Weszli po szerokich schodach. Wallander zadzwonił do drzwi. W mieszkaniu rozległ się dźwięk dzwonka. Żadnej reakcji. Wallander zadzwonił jeszcze raz. Trzy długie dzwonki. Ann-Britt schyliła się i otworzyła otwór na listy.

- Nic nie słyhać. Ale pali się światło.

Wallander zadzwonił kolejny raz. Potem zaczął walić w drzwi.

- Musimy spróbować jutro - powiedziała.

Wallandera ogarnęło nagłe uczucie, że coś jest nie w porządku. Spostrzegła to błyskawicznie.

- O czym myślisz?

- Nie wiem. Ale coś jest nie tak.

- Prawdopodobnie nie ma go w domu. Co powiedział czło wiek w rozdzielni listów? Że nie ma teraz pracy. Być może wyjechał? Proste i logiczne wyjaśnienie.

- Chyba masz rację - odparł Wallander bez przekonania.

Ruszyła w kierunku schodów.

- Spróbujemy jutro.

- Chyba że wejdziemy sami. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie mówisz chyba poważnie? Mamy się włamać? Czy on jest o coś podejrzanym?

- Tak mi przyszło do głowy. Skoro już tu jesteśmy.

Stanowczo pokręciła głową.

- Nie mogę się na to zgodzić. To wbrew wszystkiemu, cze go mnie uczono.

Wallander wzruszył ramionami.

- Masz rację. Spróbujemy jutro.

Wrócili do komendy. W drodze powrotnej omawiali plan pracy na najbliższe dni. Rozstali się w recepcji. Wallander usiadł w pokoju i przejrzał czekającą na niego stertę dokumentów. Tuż przed jedenastą udało mu się dodzwonić do restauracji w Sztokholmie, gdzie zwykle było zajęte. Linda miała mało czasu. Umówili się, że zadzwoni do niego nazajutrz przed południem.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Postanowiłaś już, dokąd wyjeżdżasz?

- Jeszcze nie. Ale już niedługo.

Rozmowa z Lindą natchnęła go nową energią. Znowu wrócił do sterty papierów. O wpół do dwunastej w drzwiach stanęła Ann-Britt.

- Idę do domu - powiedziała. - Jest kilka szczegółów, które chciałabym omówić ze wszystkimi.

- Pogadamy jutro.

- Postaram się być przed ósmą. Możemy zacząć od powtórnej wizyty u Larstama.

- Pójdziemy, kiedy będziesz chciała.

Wyszła. Wallander odczekał pięć minut. Potem wyjął z szuflady pęk wytrychów i opuścił biuro.

Podjął tę decyzję, kiedy stali na klatce schodowej. Nie chciała być przy wyważaniu drzwi, więc robi to sam.

Na myśl o Ake Larstamie odczuwał niepokój. Chciał się przekonać dlaczego.

Poszedł z powrotem na Harmonigatan. Było dziewięć minut do północy. Zerwał się słaby wschodni wiatr. Wallander poczuł powiew jesiennego chłodu. Może to koniec fali upałów. Nacisnął przycisk domofonu. W oknach nadal świeciło się światło. W tych samych oknach, zanotował w myśli. Nie doczekawszy się odpowiedzi, pchnął drzwi i wszedł po schodach. Miał uczucie, jakby na nowo znalazł się w punkcie wyjścia, kiedy to w towarzystwie Martinssona wchodzili do mieszkania Svedberga. Wzdrygnął się. Poczul się nieswojo. Nasłuchiwał pod drzwiami. Zupełna cisza. Ostrożnie uchylił otwór na listy. Wpadł promień światła. Zadzwoił do drzwi. Długimi dzwonekami. Odczekał i znów zadzwonił. Po pięciu minutach sięgnął po wytrychy.

Dopiero wtedy przyjrzał się dokładnie zamkowi. Zatkąło go. Nigdy wcześniej nie widział czegoś tak skomplikowanego.

Ake Larstam zamyka się na cztery spusty.

Wallander zrozumiał, że wytrychem nic nie zdziała. Równocześnie nabrał pewności, że nie ma co zwlekać.

Po chwilowym wahaniu wyjął komórkę i zadzwonił do Nyberga.

Usłyszał rozdrażniony głos. Było jasne, że go obudził.

- Potrzebna mi pomoc - powiedział.
- Czyżby znowu coś się stało? - jęknął Nyberg.
- Nikt nie zginął - uspokoił go Wallander. - Potrzebny mi jesteś do wyłamania zamka.
- Do tego nie jest konieczny technik kryminalny.
- W tym przypadku tak.

Nyberg burknął coś pod nosem. Był już rozbudzony. Wallander opisał zamek. Podał adres. Nyberg obiecał przyjechać. Wallander po cichu zszedł po schodach. Wolał zaczekać na ulicy. Wyjaśnić Nybergowi, w czym rzecz. Nyberg bywał głośny. Wallander nie chciał ryzykować. Miał świadomość, że postępuje nie tak, jak powinien.

Nyberg przyjechał po dziesięciu minutach. Wallander domyślał się, że pod kurtką ma górę od piżamy. Tak jak przewidział, Nyberg z miejsca zaczął głośno protestować.

- Nie możesz się włamywać do ludzi, bo ci się tak podoba.
- Chcę, żebyś tylko otworzył drzwi. Potem możesz iść do domu. Biorę na siebie całą odpowiedzialność. Nikomu nie wspomnę, że tu byłeś.

Nyberg dalej był niezadowolony. Wallander nalegał. W końcu udało mu się podprowadzić Nyberga do drzwi. Uważnie oglądał zamek.

- Nikt ci nie uwierzy - powiedział. - Nikt nie uwierzy, że sam wyłamałeś ten zamek.

Potem zaczął pracować.

Była za dziesięć pierwsza, gdy drzwi wreszcie ustąpiły.

32

Pierwsze, co go uderzyło, to zapach.

Wszedł do przedsionka i stanął bez ruchu, uważnie nasłuchując. Wtedy do niego dotarł.

Intensywny zapach.

Po chwili zrozumiał, że to zapach stęchłego powietrza w niewietrzoną mieszkanie.

Dał znak Nybergowi, żeby wszedł. Nyberg niechętnie przekroczył próg przedsionka i przymknął drzwi. Wallander kazał mu poczekać, a sam ruszył w głąb mieszkania. Składało się z trzech pokoi i małej kuchni. Było czyste i zadbane. Kontrast między porządkiem a panującym w mieszkaniu zaduchem był ogromny.

Drzwi do jednego z pokoi różniły się od pozostałych. Widać było, że są wykonane na zamówienie. Kiedy Wallander je otworzył, okazały się bardzo grube. Przypominały drzwi w studiach radiowych, gdzie kilka razy udzielał wywiadów. Wallander wszedł do środka. Pokój był bardzo dziwny. Nie miał okien. Stało w nim tylko łóżko i lampa. Nic więcej. Łóżko było zasłane i przykryte narzutą. Wallander spostrzegł, że wcześniej ktoś na nim leżał. Po chwili

zrozumiał, dlaczego pokój tak wygląda - był dźwiękoszczelny. Ulicą przejeżdżał samochód. Wallander zamknął drzwi. Dźwięk silnika stał się niesłyszalny. Zaintrygowany Wallander wyszedł z sypialni i jeszcze raz przeszedł przez pozostałe pomieszczenia. Szukał zdjęcia mieszkającego tu mężczyzny. W wymuskany salonie stały półeczki z porcelanowymi figurkami i rozmaitymi bibelotami. Nie było ani jednego zdjęcia. Wallander stał w salonie. Ogarnęło go przykre uczucie. Ale innego rodzaju. Uczucie, że bezprawnie do kogoś wtargnął. Włamał się do mieszkania, do którego nie miał prawa wstępu. Poza dusznym powietrzem, wewnątrz sprawiało schludne i przyjemne wrażenie. Coś go jednak trzymało.

Podszedł do Nyberga, który ciągle stał w przedpokoju.

- Pięć minut - powiedział. - Ani chwili dłużej.

Nyberg nie zareagował. Wallander poszedł w głąb mieszkania. Szukał szaf. Znalazł trzy różne i kolejno je otwierał. W dwóch pierwszych znalazł wyłącznie męską garderobę. Miał już zamykać trzecią szafę, kiedy coś zwróciło jego uwagę. Odsunął na bok kilka wieszaków z koszulami. W kącie szafy było zagłębienie. Włożył tam rękę i wyciągnął wieszak. Wisiała na nim czerwona suknia. Stał z wieszakiem w ręku. Czujnie nasłuchiwał. Wyteżył uwagę. Zabrał się teraz do szuflad. Prze-patrywał wszystkie zakamarki i wsuwał dłonie pod starannie poukładaną męską bieliznę. Miał poczucie, że musi się śpieszyć, że czas nagli. Znów znalazł to, czego szukał. Głęboko ukrytą damską bieliznę. Powrócił do szafy i poruszając się na czworakach, natrafił na buty. Przez cały czas uważał, żeby nie zostawić śladów. Nyberg wszedł do salonu. Widać było, że jest wściekły.

- Minął blisko kwadrans - syknął. - Co my tu właściwie robimy?

Wallander nie odpowiadał. Szukał stołu do pracy. Zamiast stołu była zamknięta na klucz sekretera. Przyproceedził Nyberga, który natychmiast zaczął protestować.

Wallander przerwał mu i zaserwował najkrótsze wyjaśnienie, na jakie go było stać:

- W tym mieszkaniu mieszka Louise. Kobieta ze zdjęcia, które znaleźliśmy u Svedberga. Kobieta z Kopenhagi. Kobieta, która nie istnieje. Mieszka tutaj.

- Mogłeś od razu powiedzieć.

- Nie wiedziałem. Dopiero teraz wiem. Możesz otworzyć sekreterę? Tak, żeby nie było śladów?

Nyberg wkrótce otworzył zamek. Opuścili blat.

Wallander często rozmyślał o tym, że praca policjanta składa się z oczekiwań, które się nie spełniają. Później nie potrafił wytłumaczyć, czego się spodziewał w momencie, kiedy otwierał sekreterę. Ale z pewnością nie tego, co ujrzał. Była to plastikowa teczka z wycinkami z prasy. Zawierała między innymi nekrolog Svedberga. Wallander widział go pierwszy raz. Nyberg stał za nim.

- Musisz to zobaczyć - powiedział Wallander. - Zrozumiesz, dlaczego tu jesteśmy.

Nyberg podszedł bliżej. Stęzał. Spojrzeli po sobie.

- Mamy do wyboru dwie drogi - stwierdził Wallander. - Albo stąd wychodzimy i bierzemy dom pod obserwację, albo wykonamy kilka telefonów i z miejsca przewracamy mieszkanie do góry nogami.

- On zabił osiem osób - przypomniał Nyberg. - Jest uzbrojony. I niebezpieczny.

Wallanderowi nawet nie powstało w głowie, że mogli znajdować się w niebezpieczeństwie. Błyskawicznie podjęli decyzję. Mobilizacja. Nyberg zamknął sekreterę. Wallander zauważył w kuchni kilka brudnych szklanek. Zawinał jedną z nich w papierowy ręcznik i wsadził do kieszeni. Już miał opuścić kuchnię, kiedy dostrzegł kuchenne wyjście. Podszedł do drzwi i zobaczył, że są uchylone.

Ogarnął go paniczny strach. Czekał, że ktoś wyskoczy na niego stamtąd, z bronią w ręku. Nic takiego nie nastąpiło. Po chwili ostrożnie pchnął drzwi. Kuchenne schody były puste. Nyberg właśnie opuszczał mieszkanie głównym wyjściem. Wallander poszedł za nim. Nasłuchiwali na klatce schodowej. Naokoło panowała cisza. Nyberg delikatnie zamknął drzwi. Latarką poświecił na futrynę.

- Jest trochę rys - stwierdził. Ale ledwo widoczne. Chyba że ktoś ich będzie szukał.

Wallander myślał o kuchennych drzwiach. Były uchylone. Tymczasem zatrzymał te myśli dla siebie.

Wyszli na opustoszałą ulicę. Nyberg zaparkował samochód pod teatrem. W milczeniu jechali do komendy. Było wpół do drugiej.

- Kogo wezwiemy? - zapytał Nyberg, kiedy weszli do recepcji.

- Wszystkich - odparł Wallander. - Włącznie z Thurnbergiem i Lisą Holgersson.

- Zarządzisz obserwację domu?

- Tak, trzeba wysłać nieoznakowane auta i ludzi, którzy rozumieją wagę sytuacji.

Zadecydujemy, kogo posłać, jak wszyscy się stawiają.

Podzielili się czynnościami. Wallander pobiegł korytarzem do swego pokoju. Najpierw zadzwonił do Martinssona. Jego pragnął ściągnąć przede wszystkim.

Przez najbliższych dziesięć minut dzwonił do rozespanych ludzi, którzy szybko przytomnieli, gdy zorientowali się, w czym rzecz. Martinsson przybył pierwszy. Potem Ann-Britt Hóglund i kolejno cała reszta.

- Mam szczęście - powiedziała Ann-Britt. - Przyjechała mama.

- Wróciłem na Harmonigatan - przyznał się Wallander. - Czuję, że nie wolno nam czekać.

Czternaście po drugiej wszyscy już byli. Wallander rozejrzał się naokoło. Zastanawiał się, kiedy Thurnberg zdążył zawiązać nienaganny węzeł krawata. Potem pośpiesznie zreferował wydarzenia.

- Skąd ci przyszło do głowy, żeby tam iść w środku nocy? - spytał Hansson.

- Nie polegam na intuicji - odparł Wallander. - Ale tym razem się sprawdziła.

Opadło z niego całe zmęczenie. Rozpoczęły się łowy. Grupę dochodzeniową przekształci w myśliwych, którzy nie spoczną, dopóki nie schwytają sprawcy.

- Nie wiemy, gdzie on przebywa - powiedział. - Drzwi kuchenne były uchylone. Zdążył umknąć, zanim sforsowaliśmy zamki. W popłochu. Już wie, że depczemy mu po piętach.

- To znaczy, że raczej nie wróci - stwierdził Martinsson.

- Nie wiadomo. Będziemy obserwować ulicę. Dwójkami. Musimy mieć jako zabezpieczenie co najmniej dwa wozy w bocznych ulicach.

Wallander stuknął rękami w stół.

- Ten człowiek jest niebezpieczny - powiedział. - Wszyscy muszą mieć broń.

Hansson wraz z policjantami z Malmö wyruszyli na pierwszą wartę. Wzięli ze sobą Nyberga, żeby wskazał im dom i sprawdził, czy dalej pali się światło.

- Trzeba obudzić Kjella Albinssona z Rydsgardu - ciągnął Wallander. - I przywieźć na komendę. Posłać po niego wóz.

Nikt nie słyszał o Albinsonie. Wallander wyjaśnił, kto zaczął, po czym mówił dalej:

- Czy Ake Larstam figuruje w rejestrach? To robota dla Martinssona. Jest środek nocy. Ale dla nas to dzień pracy.

Dzwońcie i budźcie każdego, kto jest potrzebny. Albinsson posiada jego dane osobowe. Pytanie, czy to wystarczy. I czy w ogóle są prawdziwe. On przebiera się za kobietę. Prze

obraża się. Być może nazywa się całkiem inaczej. Prawdę mówiąc, Larstam brzmi jak przybrane nazwisko. Musimy szu

kać na wszystkie strony, żeby zbudować wizerunek sprawcy.

Wallander postawił na stole zawiniętą w papierowy ręcznik szklanę.

- Jeśli dopisze nam szczęście, będą tu odciski palców. Zakładając, że ta koncepcja ma ręce i nogi, powinny się pokrywać ze śladami zabezpieczonymi w mieszkaniu Svedberga i w rezerwacie. W Nybrostrandzie nie udało się nic znaleźć.

- Co z Sundeliusem? - spytała Ann-Britt. - Jego też chyba budzimy? Przecież podejrzewamy go o związki z Larstamem?

Wallander skinął głową i rzucił okiem na Thurnberga. Ten nie wysuwał żadnych zastrzeżeń.

- Ściągnijcie go tutaj. Możesz się nim zająć. Nie ma się co z nim cackać. Jetem pewien, że kłamał. Nie ma już czasu na łgarstwa.

Thurnberg pokiwał głową.

- Zgadzam się z tym. Chciałbym tylko zapytać, czy istnieje choćby najmniejsze ryzyko pomyłki.

- Nie - odparł Wallander. - Nie ma pomyłki.

- Jest pan absolutnie przekonany, że to Ake Larstam? Jedyne, czym właściwie dysponujemy, to wycinki z prasy.

Wallander się nie zawahał.

- To on. Nie ma żadnych wątpliwości.

Zanim się rozeszli do swoich zadań, naradzali się nad tym, jak długo powinni czekać z wejściem do mieszkania. Jeśli

Wallander ma rację, że Larstam uciekł w popłochu, nie ma co liczyć na to, że dobrowolnie wróci. Wallander był zdania, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby natychmiast tam wejść. Ale mimo wszystko nie był zdecydowany. Przyjęli propozycję Martinssona, żeby przedtem porozmawiać z Albinssonem, którego już zerwano z łóżka i wieziono na komendę.

- Chciałbym się dowiedzieć, kto mieszka w tym domu - powiedział Wallander. - Pchnijcie tam kogoś i niech zobaczy nazwiska na liście lokatorów. Kto jest właścicielem nieruchomości? Musimy zdobyć dostęp do piwnicy i strychu.

Ustanowili tymczasowy punkt dowodzenia w pokoju zebrania. Wallander siedział u szczytu stołu, kiedy zjawił się Kjell Albinsson. Był bardzo błądy i dezorientowany. Nadal nie rozumiał, dlaczego w środku nocy został zerwany z łóżka i przewieziony do Ystadu. Wallander posłał po kawę dla niego. W korytarzu mignęła Ann-Britt Hóglund w towarzystwie rozeźlonego Sundeliusa.

- Nie będę owijał w bawełnę - zaczął komisarz. - Podejrzewamy, że Ake Larstam kilka tygodni temu zabił policjanta, którego pogrzeb odbył się wczoraj.

Albinsson zbladł.

- To niemożliwe.

- To nie wszystko - ciągnął Wallander. - Jesteśmy także przekonani, że zamordował trójkę młodych ludzi w hagestadz-kim rezerwacie i dziewczynę na wyspie z archipelagu Óstergötlandii. A na końcu młodą parę w Nybrostrandzie. Ten człowiek w ciągu krótkiego czasu zamordował osiem osób. Jest jednym z najstraszniejszych morderców w szwedzkiej historii.

Albinsson pokręcił głową.

- To musi być pomyłka. Nie Ake.

- Nie mówiłbym tego, gdybym nie był pewny. Proszę mi wierzyć na słowo. I odpowiadać na pytania najlepiej, jak pan potrafi. Zrozumiał pan?

-Tak.

Thurnberg wszedł do pokoju. Bez słowa usiadł po drugiej stronie stołu, naprzeciwko Albinssona.

- To jest prokurator Thurnberg - wyjaśnił Wallander. - Ale jego obecność nie oznacza, że jest pan o cokolwiek oskarżony.

Widać było, że Albinsson nie zrozumiał.

- Przecież ja nic nie zrobiłem.

- Właśnie to powiedziałem. Proszę się teraz skoncentrować na pytaniach. Ponieważ niektóre informacje potrzebne nam są szybciej niż inne, pytania mogą się panu wydać chaotyczne.

Albinsson skinął głową. Zaczynało do niego docierać, że wszystko dzieje się naprawdę, a nie w jakimś osobliwym śnie.

- Ake Larstam mieszka przy Harmonigatan osiemnaście - zaczął Wallander. - Wiemy, że nie ma go w domu. Podejrzewamy, że uciekł. Że się ukrywa. Pytanie brzmi: czy nie wie pan, gdzie może się znajdować?

- Nie znam go na tyle dobrze.

- Czy ma domek na wsi? Jakichś bliskich przyjaciół?

- Nie wiem.

- Coś musi pan wiedzieć?

- Są jakieś informacje w jego aktach personalnych. Ale wszystko jest w rozdzielni.

Wallander zaklął po cichu. Powinien był o tym pomyśleć.

- Musimy je natychmiast sprowadzić.

Wstał i skinął na swego rozmówcę, żeby za nim poszedł. Właśnie wrócił nocny patrol.

Wallander przekazał im Albinssona, wyjaśniając, o co chodzi. Potem wrócił do pokoju zebranych. Thurnberg robił notatki.

- W jaki sposób dostał się pan do mieszkania? - spytał.

- Włamałem się - odparł Wallander. - W obecności Nyberga. Ale biorę na siebie całą odpowiedzialność.

- Mam nadzieję, że podejrzenia w stosunku do Larstama są uzasadnione. Jeżeli nie, to będziemy mieli problem.

- Zazdroszczę panu, że ma pan czas, żeby w obecnej sytuacji nad tym się zastanawiać.

- Bywa, że policja się myli - odpowiedział Thurnberg. - Musi pan zrozumieć moje stanowisko. Rozzłościło to Wallandera. Z największym trudem pohamował gniew.

- Nie chcę mieć na głowie następnego morderstwa. Po prostu. A Ake Larstam jest tym, którego poszukujemy.

- Nikt nie chce więcej morderstw - stwierdził Thurnberg. - Tak samo jak nikt nie chce, żeby policja popełniała błędy.

Wallandera to uraziło. Już miał zapytać prokuratora, czy wspominając o błędach, pił do niego, kiedy do pokoju wszedł Martinsson.

- Dzwonił Nyberg - poinformował. - Wygląda na to, że światło pali się w tych samych oknach.

- Co z sąsiadami? - zapytał Wallander. - Kto tam mieszka? Kto jest właścicielem?

- Od czego mam zacząć? Od policyjnych rejestrów? Szukać pod: Larstam? Czy od sąsiadów? - odpowiedział pytaniami Martinsson.

- Najlepiej zrób wszystko jednocześnie. Co prawda, jeśli znajdziemy Larstama we własnych archiwach, zdobędziemy ważny kawałek jego historii. Bardzo by się nam przydała.

Martinsson wyszedł. Wallander siedział w milczeniu. Thurnberg pisał. Gdzieś czekał pies. Wallander pomyślał z roztargnieniem, że to może Kall. Była za trzy minuty trzecia. Wallander przyniósł kawę. Drzwi do pokoju Ann-Britt Hóglund były zamknięte. Siedziała w środku z Sundeliusem. Wallander rozważał, czy ma wejść.

Postanowił, że nie wejdzie. Ktoś podał mu telefon. Dzwonił Hansson, by zakomunikować, że obserwacja trwa od dziesięciu minut.

- Czy wszyscy zdają sobie sprawę, że mamy do czynienia z bardzo niebezpiecznym osobnikiem? - zapytał Wallander.

- Ręczę za to. Powtarzałem to wiele razy - zapewnił Hansson.

- Powtórz jeszcze raz. Przypomnij im, że nie minęło dużo czasu od pogrzebu naszego kolegi.

Wallander wrócił do pokoju zebrań. Thurnberga już nie było. Komisarz przeczytał jego zapiski w notesie.

Thurnberg zapisał rymowane słówka: broń, koń, słoń. Wallander pokręcił głową. Minęło dalsze pięć minut. Potem do pokoju wszedł Albinsson. Nie był już taki blady. W rękach miał żółty skoroszyt.

- To są poufne informacje - oświadczył. - Powiniennem zadzwonić do naczelnika poczty i poprosić o instrukcje.

- W takim razie pójdę po prokuratora - odpowiedział Wallander. - I zostanie pan zatrzymany za utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości.

Albinsson najwyraźniej mu uwierzył. Wallander wyciągnął rękę po skoroszyt. Większość stron stanowiły wykazy czynności służbowych. Wallander szybko stwierdził, że przez ostatnie dwa lata Larstam pracował we wszystkich rejonach oprócz jednego. Zgadzały się również wcześniejsze informacje Albinssona. Od początku marca do połowy czerwca miał zastępstwo w okolicach Skarby, gdzie mieszkała Isa Edengren. W lipcu rozwoził pocztę w Nybrostrandzie.

Przeszedł do akt personalnych. Ake Larstam urodził się 10 listopada 1952 roku w Eskilstunie. Pełne nazwisko brzmiało Ake Leonard Larstam. W 1970 roku zrobił maturę w Eskilstunie. W 1971 roku odbył służbę wojskową w pułku pancernym w Skóvde. W 1972 zaczął studia na politechnice Chalmersa w Göteborgu. Zrobił dyplom w roku 1979. W tym samym roku podjął pracę w Biurze Konsultacji Technicznej Stranda w Sztokholmie. Pracował tam do roku 1985, po czym odszedł na własną prośbę i przekwalifikował się na listonosza. Tego roku przeprowadził się do Hóóru, a później do Ystadu. Nie był żonaty, nie miał dzieci. W kratce „najbliższy krewny” widniała kreska.

- Czy ten człowiek naprawdę nie ma żadnej rodziny? - zapytał z niedowierzaniem.

- Na to wygląda.

- Z kimś się jednak przyjaźnił?

- Był bardzo zamknięty. Już to mówiłem.

Wallander odłożył skoroszyt. Wszystkiemu trzeba się będzie przyjrzeć bliżej. Przede wszystkim musi się dowiedzieć, gdzie może być Larstam. Teraz, w nocy z wtorku na środę, dwudziestego pierwszego sierpnia.

- Nikt nie jest aż tak samotny - nalegał Wallander. - Z kim rozmawiał? Z kim pił kawę? Czy nie miał żadnych opinii? Musi istnieć ktoś, kto wie o nim więcej, niż jest tu napisane.

- Czasami o nim rozmawialiśmy - powiedział Albinsson.

- Że nie wiadomo, jaki jest naprawdę. Ale ponieważ zawsze był uprzejmy i pomocny, nikt sobie tym nie zaprzętał głowy. Okazuje się, że można polubić ludzi, o których nic się nie wie.

Wallander rozważał słowa Albinssona. Potem zveksłował rozmowę na inny tor.

- Pracował na zastępstwach. Raz dłużej, raz krócej. Czy kiedykolwiek zdarzyło się, że odmówił?

- Nigdy.

- Nie miał innych zajęć?

- Nie wyglądało na to. Nieraz zwracaliśmy się do niego z kilkugodzinnym wyprzedzeniem.

- I zawsze można go było zastać? -Tak.

- Czyli siedział w domu i czekał na telefon.

- Takie sprawiał wrażenie.

- Według pana był obowiązkowy, pomocny, dokładny i chętny do roboty. Zamknięty w sobie. Czy w jego zachowaniu nie zauważył pan niczego dziwnego?

- Czasami śpiewał - odparł Albinsson po namyśle.

- Śpiewał?

- Tak. Śpiewał. Może raczej nucił.

- Co śpiewał? Kiedy śpiewał? Proszę mówić jaśniej.

- Chyba psalmy. Cicho. Kiedy sortował listy i pisma. Kiedy szedł do samochodu. Nie wiem, czy śpiewał dobrze. Pewnie nie chciał przeszkadzać.

- To dziwne. Śpiewał psalmy?

- Może religijne pieśni.

- Czy był religijny?

- Skąd mam wiedzieć?

- Ma pan odpowiadać, a nie zadawać pytania.

- W tym kraju panuje wolność wyznania. Ake Larstam mógł być buddystą i nikt by o tym nie wiedział.

- Buddyści nie mordują nowożeńców ani młodych ludzi - powiedział ostro Wallander. - Czy miał jakieś inne dziwactwa?

- Bardzo często mył ręce.

- Coś jeszcze?

- Raz jeden pamiętam go w złym humorze. Było to przy jakiejś okazji, gdy wszyscy byli weseli i roześmiani. Ale szybko mu przeszło.

- Może pan powiedzieć coś więcej na ten temat? - spytał wyczekująco Wallander.

- Chyba nie. To wszystko, co wiem.

- Nie lubił zadowolonych ludzi?

- Nie wiem. Ale bywało, że się wycofywał, gdy inni się śmiali, kiedy byli zadowoleni.

Najwyraźniej źle to znosił.

Wallander przypomniał sobie słowa Nyberga w Nybro-strandzie. Tam, gdzie znaleźli młodą parę i fotografa. Powiedział, że morderca nie lubi szczęśliwych ludzi.

- Czy bywał gwałtowny?

- Nigdy.

- Miał jakieś inne dziwactwa?

- Nie miał żadnych dziwactw. Starał się być niewidoczny. Wallander czekał, że Albinsson jeszcze coś doda.

- Można powiedzieć, że to była jego główna cecha. Za żadną cenę nie chciał być zauważony. Nigdy nie odwracał się tyłem do drzwi.

- Co pan przez to rozumie?

- Że zawsze chciał widzieć, kto wchodzi. I kto wychodzi.

Wallander domyślał się, co Albinsson chciał powiedzieć.

Spojrzał na zegarek. Była za dziewiętnaście czwarta. Zadzwoił do Ann-Britt Hóglund.

- Ciągle siedzisz z Sundeliusem? - Tak.

- Spotkajmy się na korytarzu. Wallander wstał.

- Czy mogę już jechać do domu i położyć się spać? - zapytał Albinsson. - Żona z pewnością się niepokoi.

- Proszę do niej zadzwonić. Może pan mówić tak długo, jak pan zechce. Na koszt państwa. Ale nie może pan jeszcze jechać do domu.

Wallander wyszedł na korytarz i zamknął drzwi. Ann-Britt już na niego czekała.

- Co mówi Sundelius?

- Zaprzecza, że kiedykolwiek słyszał o Ake Larstamie.
Podtrzymuje, że ze Svedbergiem nie łączyło go nic poza oglądaniem gwiazd i wizyt u homeopaty. Jest bardzo zdenerwowany. Myślę, że nie lubi rozmawiać z policjantkami.
Wallander kiwnął głową w zadumie.

- Myślę, że możemy go puścić do domu - powiedział. - Na pewno nie znał Larstama. W tym wszystkim kryją się dwie tajemnice. Larstam włamuje się do cudzych, zabezpieczonych przestrzeni. Svedberg miał tajemnicę, którą skrywał przed Sundeliusem.

- Co to była za tajemnica?

- Zastanów się.

- Chcesz powiedzieć, że za tym wszystkim kryje się trójkąt?

- Nie za. W samym środku.

Skinęła głową.

- Odeślę go do domu. Kiedy mamy zmienić Hanssona i pozostałych?

Wallander już podjął decyzję.

- Niech zostaną. Wchodzimy do mieszkania. Wątpię, żeby Ake Larstam wrócił tej nocy. Ukrywa się. Pytanie gdzie. Od powiedz możemy znaleźć tylko w jego mieszkaniu.

Wallander wrócił do pokoju zebrani. Albinsson dalej rozmawiał z żoną przez telefon. Wallander dał mu znak, żeby skończył.

- Nie przypominało się panu coś jeszcze? - zapytał. - Na przykład, gdzie Ake Larstam mógłby się ukrywać?

- Nie wiem. Ale przyszła mi na myśl jeszcze jedna jego cecha.

- Jaka?

- Że stale szukał kryjówek.

Wallander kiwnął głową.

- Odstawimy pana do domu - powiedział. - Proszę dzwonić, jeśli jeszcze coś panu przyjdzie do głowy.

Poszli do recepcji. Wallander polecił odwieźć go do domu. Potem odszukał Nyberga i zawiadomił, że zamierza wejść do mieszkania.

- Tym razem pójdzie jak z płatką - stwierdził Nyberg. -

Mam już wprawę.

Piętnaście po czwartej weszli do mieszkania. Zebrali się wokół Wallandera przed drzwiami do wytłumionego pokoju.

- Szukamy odpowiedzi na następujące pytania - oznajmił.

- Gdzie podziewa się sprawca? Gdzie ma kryjówkę? Jak go stamtąd wykurzyć? Następnego pytania domyślcie się sami: czy planuje nowe zabójstwa? To jest w tej chwili najpilniejsze.

Byłoby dobrze mieć jakieś zdjęcie.

Odciągnął na bok Nyberga.

- Odciski palców - powiedział. - Thurnberg jest niespokojny. Musimy jak najszybciej związać Larstama z miejscami zbrodni. Przynajmniej z rezerwatem i mieszkaniem Svedberga. Jeśli jakiś szwedzki policjant ma prawo do priorytetowego traktowania, to ty nim jesteś. Od ciebie trzeba zacząć.

- Zrobię, co w mojej mocy - przyrzekł Nyberg.

- A nawet więcej - dodał Wallander. - Zadzwoń do głównego komendanta, jeśli to będzie konieczne.

Wallander usiadł na łóżku w wytłumionym pokoju. Hansson ukazał się w drzwiach.

Wallander machnął ręką, żeby mu nie przeszkadzał. Hansson zniknął.

W jakim celu wytłumia się pokój? - rozmyślał. Żeby nie wpuszczać dźwięków z zewnątrz. Albo ich nie wypuszczać, żeby nie przedostawały się na zewnątrz. Ale w takim mieście jak Ystad? Gdzie jest niewielki ruch? Rozejrzył się po pokoju. Poczł, że łóżko jest twarde. Wstał i odchylił prześcieradło. Brakowało materaca. Spał na samej ramie. Cierpiętnik, pomyślał. Dlaczego? Przyklęknął i zajrzył pod łóżko. Pusto. Nie było nawet kurzu. Znowu przysiadł na łóżku. Ściany były gołe. Stała tylko lampa. Usiłował wyobrazić sobie obecność mężczyzny. Ake Larstam, czterdzieści cztery lata. Urodzony w Eskilstu-nie. Absolwent politechniki Chalmersa. Inżynier przekwalifikowany na listonosza. Zabijasz nagle osiem osób. Prócz fotografa i policjanta, wszyscy byli w przebraniu. Fotografa można nie liczyć. Przypadkiem wszedł ci w drogę. A policjanta zabiłeś, bo był na tropie twojej tajemnicy. Jego przecucie się sprawdziło.

Pozostali byli w przebraniu. Pełni radości. Dlaczego ich zabiłeś? Czy tu, w tym wytłumionym pokoju, powstawały plany?

Wallander nie wyczuwał jego obecności. Wstał i przeszedł do salonu. Rozejrzył się. Wszędzie było mnóstwo porcelanowych figurek. Psy, koguty, kobiece figurki z przełomu wieku, krasnale i trolle. Jak domek dla lalek, pomyślał. Domek dla lalek z szaleńcem w środku. Szaleńcem, który na dodatek ma zły gust. Wypełnia życie tanimi ozdóbkami. Ciekawe, gdzie się podziewasz. Zmuszony przez nas do ucieczki.

Ann-Britt Hóglund pojawiła się w drzwiach od kuchni. Wallander natychmiast zauważył, że na coś trafiła.

- Myślę, że powinieneś tu przyjść.

Wallander poszedł za nią do kuchni. Na stole stała szuflada z papierami. Niektóre już wyjęła. Kwity i broszury. Na wierzchu leżała kartka wyrwana z notesu. Na niej kilka słów zapisanych ołówkiem, nierównym charakterem pisma. Wallander włożył okulary i przeczytał tekst. Tylko osiem słów. Jak makabryczny wierszyk. Numer 9. Środa 21. Fortuna kołem się toczy. Od razu zrozumiał, o co chodzi, tak samo jak Ann-Britt Hóglund.

- Zabił już osiem osób - przypomniał Wallander. - Teraz kolej na dziewiątą.

- Dzisiaj jest dwudziesty pierwszy - zauważyła. - Środa.

- Musimy go złapać. Zanim to zrobi.

- Co oznacza ostatnie zdanie? „Fortuna kołem się toczy”?

- To znaczy, że Ake Larstam nie znosi szczęśliwych ludzi. Powiedział jej, co mówił Albinsson.

- Jak znajduje się szczęśliwych ludzi?

- Nie znajduje się. Trzeba ich szukać. Poczł znajomy skurcz w żołądku.

- Jedno mnie dziwi - powiedziała. - Napisał: numer dziewięć. Pojedyncza osoba. Do tej pory atakował kilka osób jednocześnie. Nie licząc Svedberga.

- Svedberg to osobny przypadek. Masz rację, coś w tym jest. To ważne spostrzeżenie.

Było dwadzieścia po czwartej. Wallander podszedł do okna i wyjrzał przez szybę. Świt nie nadchodził. Gdzieś w ciemności czał się Ake Larstam. Ogarnęła go panika. Nie dopad-

niemy go, pomyślał. Znowu zaatakuje. A my zjawimy się za późno.

Wybrał sobie ofiarę. Nie mamy pojęcia, kto to jest. Poruszamy się na ślepo. Nie wiemy nawet, w którą stronę się zwrócić. Nic nie wiemy.

Wallander odwrócił się do Ann-Britt Hóglund.

Potem włożył gumowe rękawiczki i zaczął przerzucać papiery w szufladzie.

Tak sobie wyobrażał ostateczną drogę ucieczki. Idzie prosto przed siebie. Powoli zapada się w nieskończoną głębię, gdzie panuje ciemność i cisza, nie pozostawiając za sobą żadnych śladów. W głębi morza wyobrażał sobie ostatnią kryjówkę. Ostatnią szansę, aby ujść cało.

Wsiadł w jeden ze swoich samochodów i pojechał nad morze, na zachód od Ystadu. Zatrzymał się w Mossbystrand. W sierpniową noc plaża była opustoszała. W górze pojedyncze samochody przejeżdżały w kierunku Trelleborga. Światła z szosy do niego nie docierały. Stał tak, żeby w każdej chwili móc uciec, gdyby ktoś go nakrył.

Zgasił światła. Naokoło panowała ciemność. Przez otwarte okno dochodził cichy szum morza. Było ciepło i bezwietrznie. Powoli i systematycznie przebiegał w myślach ostatnie wydarzenia. Jedno go niepokoiło. Dopisało mu szczęście. Zazwyczaj zamykał drzwi od wytłumionego pokoju. Tego wieczoru, idąc spać, zostawił je uchylone. Chciał wierzyć, że zdolność wymykania się była już organiczną częścią jego świadomości. Nie mógł jednak nie brać pod uwagę faktu, że po prostu miał szczęście.

Gdyby zamknął drzwi, nie usłyszałby, jak włamywali się w nocy. Obudził się gwałtownie, od razu zrozumiał, co się święci, i czmychnął kuchennymi drzwiami. Czy je zamknął? Nie wiedział. Jedyne, co zdążył zabrać, to pistolet i ubranie. Od początku wiedział, że to policja.

Potem wyjechał z Ystadu. Mimo zdenerwowania, zmusił się do powolnej jazdy. Nie chciał ryzykować wypadku.

Była czwarta. Do świtu jeszcze kawałek czasu. Przemyślał wszystko. Pytał sam siebie, czy nie popełnił jakiegoś błędu. Nie mógł się niczego dopatrzeć. Nie musi zmieniać planów. Wszystko poszło po jego myśli. Podczas pogrzebu Svedberga odszukał adres przy Mariagatan, gdzie mieszkał policjant. Bez trudu otworzył zamek wytrychem. Przeszukał mieszkanie, stwierdził, że mężczyzna mieszka sam, i ułożył plan działania. Wszystko poszło łatwiej, niż przypuszczał. W szufladzie w kuchni znalazł parę zapasowych kluczy. Kiedy tu przyjdzie następnym razem, nie będzie musiał używać wytrycha. Położył się nawet na łóżku w sypialni. Było stanowczo za miękkie. Od razu poczuł, że się zapada.

Potem poszedł do domu. Wziął prysznic, zjadł i odpoczywał w wytłumionym pokoju. Po południu, zgodnie z wcześniejszym postanowieniem, zabrał się do polerowania porcelanowych figurek. Zajęło mu to więcej czasu, niż przypuszczał. Kiedy wreszcie skończył, zjadł i poszedł do łóżka. Spał już od wielu godzin, kiedy zaczęli się do niego włamywać.

Wysiadł z samochodu. Noc była ciepła i spokojna. Nie pamiętał takiego sierpnia. Być może dawno, kiedy był dzieckiem. Nie miał pewności. Zszedł na plażę. Fale leniwie kołysały się przy brzegu. Myślał o policjantach znajdujących się w jego mieszkaniu. Jak wyciągają szuflady, brudzą podłogę i przemieszczają porcelanowe figurki. Wściekało go to. Miał wielką ochotę wrócić, wbiec po schodach na górę i wszystkich zastrzelić. Opanował się jednak. Nie warto było dać się złapać dla zemsty. Wiedział, że nie znajdą nic, co pomogłoby go zidentyfikować. Żadnych dokumentów, żadnych zdjęć. Nic. Nie wiedzą o skrytce bankowej, którą posiadał pod fałszywym nazwiskiem. Tam przechowywał dokumenty, które mogłyby go zdemaskować. Zdjęcia, numery rejestracyjne samochodów, dokumenty bankowe.

Na pewno pozostaną w mieszkaniu przez wiele godzin. Ale wcześniej czy później policjant wróci do domu, wyczerpany wielogodzinnym czuwaniem. Będzie tam na niego czekał.

Wrócił do samochodu. Najważniejsze to się wyspać. Mógł położyć się w jednym ze swych samochodów. Istniało ryzyko, że w aucie ktoś go nakryje. Zresztą nie chciał spać skulony na tylnym siedzeniu. To poniżej jego godności. Chciał się wyciągnąć, wypocząć w prawdziwym łóżku, z którego najpierw wyjmie materac, żeby poczuć twarde podłoże.

Przyszło mu na myśl, czy nie przenocować w hotelu. Ale tam musiałby się zameldować. Wolał tego uniknąć, nawet pod cudzym nazwiskiem.

Wreszcie uświadomił sobie, że nie wziął pod uwagę najprostszego rozwiązania. Znał miejsce, gdzie mógłby wypocząć. Ryzyko, że ktoś się tam zjawi, było niewielkie. Tam też były kuchenne drzwi, więc w razie konieczności zawsze zdąży się wymknąć.

Zapalił silnik i włączył światła. Nadchodził świt. Potrzebował snu. Musiał wypocząć przed tym, co go czeka.

Wyjechał z powrotem na szosę. Wracał do Ystadu.

Dochodziła piąta, gdy Wallander zrozumiał, że o Larstamie może powiedzieć tylko jedno. Ten otoczony szmirowatymi figurkami człowiek nie pozostawiał po sobie śladów. Przeszukali niemal całe mieszkanie i nie natrafili na żaden ślad mieszkańca. Nie znaleźli żadnych osobistych dokumentów ani listów. Ani jednego dokumentu, gdzie figurowało nazwisko Ake Larstama. Ani jednego zdjęcia. Przeszukali piwnicę i strych. Piwnica była pusta. Wallander skonstatował, że nie było w niej nawet kurzu. Na strychu stał stary kufer. Kiedy wyłamali zamek, zdesperowany Wallander zobaczył, że był pełen potłuczonych porcelanowych figurek. Kiedy skończyli, zebrali się w kuchni, podczas gdy eksperci techniczni pod kierownictwem Nyberga kończyli pracę w salonie.

- Nigdy czegoś podobnego nie widziałem - powiedział Wallander. - Człowiek o nazwisku Larstam nie istnieje. Nie ma żadnego papierka, żadnego dokumentu, który by jego istnienie potwierdzał.

- Może ma inne mieszkanie?

- Może mieć i dziesięć mieszkań - odparł Wallander. - Domów i letniskowych domków.

Problem polega na tym, że nie natrafiliśmy na żaden trop.

- Może się wyniósł? - zapytał Hansson. - Wiedział, że depczemy mu po piętach.

- Nie wygląda na to, żeby sprzątnął i się wyprowadził. On chyba w tej pustce mieszka. W wytłumionym pokoju. Może zresztą masz rację. Chciałbym, żeby tak było. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że przeczy temu ta adnotacja.

Przed nimi leżała kartka z notesu.

- Może źle zrozumieliśmy?

- Jest wyraźnie napisane. Nyberg twierdzi, że pisał to niedawno. Rozpoznał po konsystencji grafitu. Ma na to sposób.

- W jakim celu to pisał?

Pytanie postawił Martinsson. Wallander je podchwycił.

- Masz rację. Istotne pytanie. To jedyny osobisty papier, który znaleźliśmy. Zagrzebany w masie innych papierów. Co to oznacza? Zakładam, że on był w domu, kiedy przyszliśmy z Nybergiem. Tylne drzwi zastaliśmy niedomknięte. Uciekał w popłochu.

- I nie zdążył ze sobą zabrać kartki?

Wallander rozmawiał z Martinssonem.

- To jest jakieś wytłumaczenie. W każdym razie pierwsze, które się nasuwa. Tylko czy właściwe?

- A mamy jakieś inne?

- Może liczył, że ją znajdziemy?

Nie rozumieli, o czym mówił. Musiał przyznać, że niewiele miał na poparcie swojej hipotezy.

- Co wiemy o Ake Larstamie? Że potrafi zdobywać informacje. Że wdiera się do cudzych tajemnic. Nie twierdzą, że ma dostęp do wyników śledztwa. Przypuszczam, że zdobyte informacje łączy z dużą umiejętnością przewidywania. Mógł przewidzieć, że go znajdziemy. Że depczemy mu po piętach. W każdym razie musiał rozważyć taką ewentualność po tym, jak pojawiłem się w barze w Kopenhadze. Co więc robi? Przy

gotowuje ucieczkę. Jednocześnie pozostawia dla nas wiadomość. Wie, że ją znajdziemy w tym pozbawionym papierów mieszkaniu.

- Po co miałby to robić? Jaki ma w tym cel?

To znowu pytał Martinsson.

- Drażni się z nami. To się zdarza. Szaleńcy starają się upokorzyć policję. Musiał triumfować po Kopenhadze. Ośmielił się publicznie pokazać tuż po publikacji zdjęcia Louise w duńskiej prasie i uszedł cało.

- Jednak coś tu nie gra. Znajdujemy kartkę tego samego dnia, kiedy rzekomo ma zaatakować. Nie mógł przecież przewidzieć, że przyjdziemy akurat tej nocy.

Wallander zdawał sobie sprawę, że jego rozumowanie jest naciągane. Nie upierał się więcej.

- Musimy to, mimo wszystko, potraktować poważnie. Że on dziś zaatakuje.

- Czy istnieją ku temu jakiegokolwiek przesłanki? Głos dochodzący od drzwi należał do Thurnberga.

- Nie - odparł Wallander. - Nie mamy. Nie ma co ukrywać. Nikt nie zareagował. Wallander poczuł, że musi rozproszyć panujący nastrój rezygnacji.

- Jest tylko jedna rzecz, którą możemy zrobić. Przepatrzeć od nowa materiał śledztwa. Raz jeszcze się cofnąć. I mieć nadzieję, że wpadniemy na coś, co dotychczas nam umknęło. Jakiś wzorzec postępowania, który mógłby nam wyjawić, kto jest dziewiątą osobą. Bądź co bądź, sytuacja radykalnie się zmieniła. Wiemy, kim jest morderca, którego szukamy. Były inżynier, który się przekwalifikował na listonosza.

- Rzeczywiście tak pan przypuszcza? Że jest jakaś czytelna logika w postępowaniu tego człowieka? Której dotąd nie dostrzeżliśmy?

- Nie mogę powiedzieć na pewno. Ale nie widzę innego wyjścia. To lepsze niż czekanie z założonymi rękami na kolejną katastrofę.

Było dwadzieścia po piątej. Wallander zaproponował, że spotkają się o ósmej rano. Do tego czasu mieli trochę odpocząć. Ulica była pod obserwacją. Postanowiono obudzić sąsiadów i wypytać ich o Larstama. Nieruchomość była własnością firmy budowlanej. Wallander chciał natychmiast się dowiedzieć, czy firma nie wynajmuje Larstamowi innego mieszkania. Hansson miał się tym zająć.

Nyberg zaczekał, aż zostanie sam na sam z Wallanderem.

- Mieszkanie jest starannie wysprzątane. Ale zdjeliśmy odciski palców.

- Jeszcze coś?

- Chyba nic.

- Broń?

- Gdyby była, tobym powiedział.

Wallander kiwnął głową. Nyberg był szary na twarzy ze zmęczenia.

- Masz rację, mówiąc, że ten człowiek nie lubi szczęśliwych ludzi.

- Schwytamy go?

- Prędzej czy później. Obawiam się o najbliższy dzień.

- Nie można jakoś ostrzec ludzi? Przez radio?

- I co powiemy? Żeby się nie śmiali? On już wybrał ofiarę. Prawdopodobnie kogoś, kto nie ma zielonego pojęcia, że jest śledzony.

- Prędzej już znajdziemy jego kryjówkę.

- Ja też tak sądzę. Żebyśmy chociaż wiedzieli, ile mamy czasu. W rezerwacie przyrody zaatakował wieczorem lub w nocy. Młodą parę zabił po południu. A Svedberga, być może, rano. Może napaść o każdej porze.

- Jest jeszcze jedna ewentualność. Że w ogóle nie ma kryjówki. Ani drugiego mieszkania, ani domku na wsi. Jeśli tak, to gdzie się podziewa?

Wallander musiał przyznać mu rację. Zmęczenie zdecydowanie wpływało na jego zdolność oceny sytuacji.

- Jak tobie się wydaje?

Nyberg wzruszył ramionami.

- Wiemy, że ma samochód. Zawsze może się przespać na tylnym siedzeniu. Jest jeszcze ciepło. W najgorszym razie może spać na dworze. Na przykład w jakimś szałasie albo na łodzi. Możliwości jest dużo.

- Za dużo. A czasu na szukanie nie ma.

- Wyobrażam sobie, jakie przechodzisz piekło. Wierz mi.

Rzadko się zdarzało, żeby Nyberg powiedział coś osobistego. Wallander cenił jego wsparcie. Przez chwilę czuł się mniej samotny.

Wallander wyszedł na ulicę i przystanął niezdecydowany. Powinien pójść do domu, wziąć prysznic i chociaż pół godziny się przespać. Drażył go jednak niepokój. Patrol zawiózł go do komendy. Miał nudności i czuł, że powinien coś zjeść, ale skończyło się na tym, że napił się kawy i zażył lekarstwa. Potem zasiadł za biurkiem i przeglądał akta śledztwa. Raz jeszcze ujrzał siebie w przedpokoju Svedberga, z Martinssonem za plecami. To Ake Larstam był w mieszkaniu i zastrzelił Svedberga. W dalszym ciągu nie wiedział, co ich ze sobą łączyło. Ale Svedberg miał zdjęcie Larstama w kobiecym przebraniu. Teraz rozumiał, dlaczego mieszkanie wyglądało jak po włamaniu. Larstam miał obsesję na punkcie pozostawiania śladów. Po zastrzeleniu Svedberga szukał w mieszkaniu swojego zdjęcia.

Svedberg miał własną tajemnicę.

Wallander czytał dalej. Czy to, co wiedział o wydarzeniach w rezerwacie, może mu pomóc w ustaleniu kryjówki Larstama? Szukał bezskutecznie jakiegoś tropu. Wydarzenia w Nybrostrandzie również nie dostarczały żadnej wskazówki. Co chwila patrzył na zegarek. Kto był dziewiątą osobą? Szukał, drażył. Odpowiedzi nie było.

O ósmej stawili się w pokoju zebrani. Kiedy Wallander rozejrzał się po wycieńczonych i niespokojnych twarzach, kolejny raz ogarnęło go uczucie klęski. Nie dlatego że prowadził ich złą ścieżką. Ale że nie odnalazł właściwej drogi. W każdym razie nie do końca. Dreptali w kółko po ziemi niczyjej, nie wiedząc, w którą stronę się skierować.

Jedno wiedział na pewno.

Od tej chwili muszą pracować razem. To będzie ich kwatera główna. Nie opuszczą jej, jeśli nie będzie to konieczne. Tropu muszą szukać w istniejącym materiale śledztwa i we własnych głowach. Nie na ulicy. Dopiero kiedy dopracują się przekonującej teorii co do miejsca pobytu Larstama lub jego ewentualnej ofiary, ponownie wyślą patrole. Poprosił wszystkich, żeby przynieśli swoje teczki z materiałem śledztwa.

- Od tej chwili pracujemy wszyscy razem. Z tego pokoju prowadzimy dochodzenie. Wyłącznie stąd.

Rozeszli się, żeby przynieść potrzebne rzeczy. Został tylko Martinsson.

- Czy ty choć trochę spałeś? - zapytał.

Wallander pokręcił przecząco głową.

- Musisz się przespać. Nie damy sobie rady, jeśli ty padniesz.

- Jeszcze trochę wytrzymam.

- Przekroczyłeś już granicę. Ja spałem całą godzinę. Pomogło.

- Przejdę się - powiedział Wallander. - Pójdę do domu zmienić koszulę. Ale nie w tej chwili.

Martinsson chciał coś powiedzieć. Wallander powstrzymał go ruchem ręki. Nie miał siły dyskutować. Usiadł u szczytu stołu. Zastanawiał się, czy starczy mu sił, żeby wstać potem z krzesła. Kiedy zebrali się powtórnie, zamknęli drzwi od sali. Thurnberg rozluźnił węzeł

krawata. Widać było, że też jest zmęczony. Lisa Holgersson zawiadomiła, że siedzi pod telefonem i opędza się od dziennikarzy.

Wszyscy spoglądali na Wallandera.

- Musimy starać się wniknąć w jego tok myślenia - rozpoczął. - Czy w materiałach możemy znaleźć jakąś odpowiedź? Nie wszyscy będziemy siedzieli nad zgromadzonym materiałem. Niektórzy z nas muszą zająć się jego przeszłością. Czy prawdą jest, jak wynika z danych personalnych, że nie ma żadnej rodziny, czy może rodzice żyją? Czy ma rodzeństwo? Kto go pamięta ze studiów? Poprzednie miejsce pracy? Gdzie przechodził szkolenie na listonosza? Naszym największym problemem jest straszliwy brak czasu. To prawda. Musimy założyć, że kartka z szuflady w kuchni to precyzyjnie sformułowany przekaz. Do nas lub do niego samego. Powstaje teraz pytanie, od czego zacząć badanie jego przeszłości.

- Naturalnie od tego, czy ma rodziców - odparła Ann-Britt Hóglund. - Miejmy nadzieję, że matka żyje i ma jasny umysł. Wiadomo, że matki znają swoje dzieci.

- To zadanie dla ciebie - powiedział Wallander.

- Jeszcze nie skończyłam - ciągnęła. - Uważam, że jest coś dziwnego w tym, że przekwalifikował się na listonosza.

- Niedawno pewien biskup został kierowcą taksówki - wtrącił Hansson. - Takie rzeczy się zdarzają.

- Mimo wszystko - upierała się. - Słyszałam o tym biskupie. Miał pięćdziesiąt pięć lat. Może człowiek chce spróbować czegoś innego, zanim życie się skończy? Ale Ake Larstam zmienił zawód jeszcze przed czterdziestką.

Wallander uważał, że wpadła na coś ważnego.

- Myślisz, że coś zaszło?

- Dlaczego odszedł? Dlaczego rzucił pracę? Według mnie coś musiało się stać. Co spowodowało, że nagle ze wszystkim zerwał.

- Inżynier, który raptem pali wszystkie mosty i odchodzi - powiedział Wallander.

- Na dodatek się wyprowadza - dodał Thurnberg. - Może Ann-Britt ma rację.

- Ja się tym zajmę - zdecydował Wallander. - Zadzwońię do firmy. Jak się nazywała?

Martinsson przerzucał kartki.

- Biuro Konsultacji Technicznej Stranda. Odszedł stamtąd w osiemdziesiątym piątym roku. Miał wtedy trzydzieści trzy lata.

- Zaczniemy od tego - powiedział Wallander. - Pozostali niech szukają w materiałach na stole. Gdzie może się znajdować? Kto będzie następną ofiarą?

- Czy nie powinniśmy znów przywieźć Albinssona? - spytał Thurnberg. - Może mu się coś przypomni, kiedy będzie słuchał naszych rozmów.

- Zgadza się z tym - odparł Wallander. - Przywieźmy go. Ktoś musi też sprawdzić Larstama w naszych rejestrach. To jego prawdziwe nazwisko.

- Chyba tam nie figuruje. Już sprawdzałem - poinformował Martinsson.

Wallander był zdziwiony. Kiedy zdążył to sprawdzić? Odpowiedź mogła być jedna.

Martinsson kłamał, mówiąc, że godzinę spał. Pracował tak samo jak Wallander. Skłamał z troski o niego.

Wallander nie był pewien, czy ma być wzruszony, czy zły. Postanowił to zignorować.

- Zaczynamy - oznajmił. - Jest jakiś kontakt do tego biura?

Ktoś mu podał numer. Głos automatycznej sekretarki podawał inny numer, pod adresem na wyspie Vaxholm, leżącej w pobliżu Sztokholmu. Spróbował jeszcze raz. Tym razem ktoś się odezwał.

- Biuro Inżynierów Stranda - powiedział kobiecy głos.

- Tu Kurt Wallander z policji kryminalnej w Ystadzie. Potrzebne mi są dane o kimś, kto u was pracował.

- O kogo chodzi?

- O inżyniera Ake Larstama.
- Nikt o tym nazwisku u nas nie pracuje.
- Właśnie to powiedziałem. Pracował. Proszę uważnie słuchać.
- Proszę nie tym tonem. Skąd mam wiedzieć, że pan jest z policji? Może pan być kimkolwiek. Wallander o mało nie wyrwał przewodu ze ściany. Ale udało mu się zachować spokój.
- Słusznie - przyznał. - Nie może pani wiedzieć, kim jestem. Potrzebuję tych informacji. Ake Larstam pracował do osiemdziesiątego piątego roku.
- To nie za moich czasów. Lepiej, żeby porozmawiał pan z Perssonem.
- Na wszelki wypadek dam pani mój numer telefonu, gdyby chciał sprawdzić w komendzie w Ystadzie.

Zapisała numer.

- Sprawa jest bardzo ważna - powiedział Wallander. - Czy zastałem Perssona?
- Rozmawia właśnie z firmą budowlaną. Powiem, żeby zadzwonił, jak skończy.
- Nie ma mowy. Musi przerwać spotkanie i zadzwonić teraz.
- Powiem mu, że to ważne. Więcej nie mogę zrobić.
- Może pani powiedzieć coś jeszcze: że policyjny helikopter wylądował na waszym dachu, jeżeli nie odezwie się w ciągu trzech minut.
- Wallander odłożył słuchawkę. Wzrok wszystkich zebranych skierowany był na niego. Spojrzał na Thurnberga, który nagle parsknął śmiechem.
- Przykro mi - powiedział Wallander - ale byłem zmuszony.

Thurnberg pokiwał głową.

- Nic nie słyszałem. Absolutnie nic.
- Nie minęły dwie minuty i odezwał się telefon. Dzwonił Hans Persson. Wallander wyjaśnił, o co mu chodzi. Nie wspomniał o ciężących na Larstamie podejrzaniach.
- Według moich informacji odszedł od was w osiemdziesiątym piątym roku.
- Zgadza się. O ile pamiętam, zniknął w listopadzie.
- Zniknął? To brzmi dość dramatycznie.
- Tak też było.

Wallander mocniej przycisnął słuchawkę do ucha.

- Co się stało?
- Został wyrzucony. Jest jedynym inżynierem, którego zwolniłem. Może powinienem dodać, że jestem założycielem firmy.
- Kim wobec tego jest Strand?
- Uważałem, że Strand brzmi lepiej niż Persson. Nigdy nie było w firmie żadnego Stranda.
- Wyrzucił pan Ake Larstama z pracy. Dlaczego?

- To bardzo trudno wytłumaczyć. Głównym powodem było to, że nie pasował do zespołu.
- Z jakiego powodu?
- To, co powiem, zabrzmiałoby dziwnie.
- Jestem policjantem. Z dużym doświadczeniem.
- Był zbyt niesamodzielny. Zawsze się ze wszystkim zgadzał. Choć było widać, że ma inne zdanie. Nie można prowadzić rozmowy z człowiekiem, który myśli tylko o tym, żeby przypodobać się innym. To pozbawia dyskusję dynamiki.
- On taki był?
- Tak. Nie dało się tego dłużej ciągnąć. Nigdy nie wychodził z własnymi pomysłami. Ze strachu, że ktoś inny może mieć odmienną opinię.
- A jego kwalifikacje?
- Znakomite. Od tej strony nie miałem mu nic do zarzucenia.

- Jak zareagował na wymówienie?

- W ogóle nie zareagował. W każdym razie ja nic nie zauważyłem. Proponowałem mu, żeby został przez najbliższe pół

roku. Ale zabrał się natychmiast. Wyszedł z mojego biura, wziął płaszcz i tyle go widziałem. Nawet nie odebrał odprawy, która mu się należała. Po prostu zniknął.

- Miał pan później z nim kontakt?

- Próbowaliśmy. Ale przepadł.

- Wie pan, że został listonoszem?

- Zwracali się do nas kilkakrotnie z pośredniaka. Słyszałem o tym.

- Nie wie pan, czy miał jakiegoś bliskiego przyjaciela?

- Nic nie wiedzieliśmy o jego prywatnym życiu. W biurze, jak mógł się pan zorientować, nie miał nikogo. Bywało, że pilnował mieszkania lub domu podczas nieobecności właściciela. Na ogół jednak żył na uboczu.

- Nie wie pan, czy ma rodzeństwo? Czy żyją jego rodzice?

- Nie. Nic o nim nie wiedzieliśmy. W tak małej firmie jak nasza stanowiło to problem.

- Rozumiem. I dziękuję za pomoc.

- Rozumie pan, że jestem ciekawy? Czy coś się stało?

- Dowie się pan w swoim czasie. W tej chwili nie mogę nic więcej powiedzieć.

Wallander z trzaskiem odłożył słuchawkę. Jakaś myśl nabierała kształtu. Coś, co powiedział Persson. Larstam pilnował cudzych mieszkań. Wahał się. Może warto było to sprawdzić.

- Co się dzieje z mieszkaniem Svedberga? - zapytał.

- Ylva Brink powiedziała mi po pogrzebie, że nie zabrała się jeszcze do jego opróżnienia - odpowiedziała Ann-Britt.

Wallander pomyślał o kluczach, które nadal przechowywał w szufladzie biurka.

- Hansson - powiedział - weź kogoś i pojedź do mieszkania Svedberga. Popatrz, czy ktoś się tam nie kręcił.

- Nic więcej?

- Nie. Klucze leżą w górnej szufladzie mojego biurka.

Hansson wyszedł z policjantem z Malmö. Była za trzy dziesiąta. Ann-Britt Hóglund próbowała odnaleźć rodziców Lars-tama. Martinsson wyszedł do swoich rejestrów. Wallander udał się do toalety. Unikał swojego odbicia w lustrze. Wrócił do pokoju zebrań. Ktoś podał mu karton z kanapkami. Potrząsnął głową. Weszła Ann-Britt Hóglund.

- Oboje rodzice Larstama nie żyją.

- Miał jakieś rodzeństwo?

- Dwie starsze siostry.

- Musimy je odnaleźć. Znowu wyszła. Wallander pomyślał o swojej siostrze, Kristinie. Jak by go opisała, gdyby policja nieoczekiwanie zaczęła ją wypytywać?

Usiadł za stołem i sięgnął po karton z kanapkami. Był pusty. Thurnberg rozmawiał przez telefon. Wallander słyszał, że chodziło o przełożenie jakiejś narady. Martinsson wrócił po skoroszyt. Thurnberg zakończył rozmowę. W tej samej chwili zjawił się Kjell Albinsson. Thurnberg pociągnął go w głąb pokoju i po cichu wszczął z nim rozmowę.

Nagle ktoś krzyknął na korytarzu. Wallander poderwał się z krzesła. W drzwiach stał policjant.

- Strzelanina! - wrzasnął. - W okolicy Torgetu! Wallander natychmiast się domyślił.

- Mieszkanie Svedberga - krzyknął. - Czy są ranni?

- Nie wiem. Ale były strzały.

W niecałą minutę cztery radiowozy na sygnale ruszyły na miejsce. Wallander trzymał w ręku pistolet. Ścisnął go tak mocno, że aż rozbolała go ręka. Więc Larstam tam był, pomyślał. Co się stało z Hanssonem? I kolegą z Malmö? Miał jak najgorsze przeczucie. To było nie do zniesienia. Nie mógł o tym myśleć.

Wallander wyskoczył z radiowozu, zanim ten zatrzymał się na Lilia Norregatan. Przed bramą zebrali się gapie. Wallander pobiegł prosto do wejścia. Później ktoś mu powiedział, że ryczał jak żołnierz w ataku.

Wpadł na Hanssona i policjanta z Malmö. Byli cali i zdrowi.

- Co się stało? - krzyknął Wallander.

Hansson był błydy jak ściana. Trząsł się. Policjant z Malmö usiadł na chodniku.

- Był tam - wyjaśnił Hansson. - Otworzyłem drzwi. Stałiśmy w przedpokoju. Nagle wyrósł jak spod ziemi i strzelił. Mieliśmy szczęście, że nie trafił. Potem zniknął, a my wybiegłiśmy. Mieliśmy szczęście. To wszystko.

Wallander nie odpowiedział. Wiedział, że to nieprawda. Larstam był wprawnym strzelcem. Gdyby chciał, trafiłby ich w czoło. Ale nie chciał. W tym dniu ktoś inny miał zostać złożony w ofierze.

To nie szczęście. Po prostu Hansson nie był dziewiątą osobą.

Wallander miał pewność, że Larstam opuścił mieszkanie tylnym wyjściem. Zawsze zabezpiecza sobie odwrót. Mimo to, zanim weszli do mieszkania, założyli kuloodporne kamizelki. Ulica została zamknięta.

Mieszkanie było puste. Tyłne drzwi niedomknięte. Larstam zostawił wiadomość, pomyślał Wallander. To już drugie uchylone drzwi. Wskazuje nam drogę ucieczki.

Martinsson wyszedł z sypialni Svedberga.

- Leżał na jego łóżku. Przynajmniej wiemy, jak postępuje.

Znajduje kryjówki w opuszczonych gniazdach.

Wiemy, jak postępował, pomyślał Wallander. Możemy być pewni, że następnym razem nie zachowa się tak samo.

- Pójdźmy o krok dalej - kontynuował Martinsson. - Zadajemy sobie pytanie, jak on myśli. On pewnie robi to samo. Zastanawia się, jak my myślimy. Może mieszkanie powinno być pod obserwacją? Właśnie dlatego, że jesteśmy przekonani, że do niego nie wróci.

- On nie potrafi czytać naszych myśli - stwierdził Wallander.

- Nie jestem pewien. Wydaje mi się, że jest jednocześnie o krok za i o krok przed nami.

Wallander nie odpowiedział. On również miał takie wrażenie.

Było wpół do jedenastej. Wallander wyszedł ostatni z mieszkania Svedberga. Czuł się tak, jakby zaczynał wszystko od początku. Stracił rachubę, który to już raz.

Jedną rzecz wiedział na pewno. Larstam nie zabił jeszcze dziewiątej ofiary. W przeciwnym razie Hansson już by nie żył. Jako dziesiąty. A policjant z Malmö jedenasty.

Dlaczego on czeka? - myślał Wallander. Dlatego, że musi? Czyżby wybrana ofiara była nieosiągalna? A może istnieje jeszcze inne wytłumaczenie?

Wallander zszedł po schodach.

Pytania się nie kończyły, a odpowiedzi nie było.

Zaczynał wszystko od początku.

34

Później trochę żałował.

Może powinien był mimo wszystko celować w ich głowy? Wdarli się w jego sen, gdy otworzywszy drzwi, wkroczyli do mieszkania.

Od razu się domyślił, że to policja. Kto inny mógł wejść do mieszkania, które wciąż należało do Karla Everta, mimo że już nie żył i został pochowany? Było oczywiste, że szukali jego. Nie było innego wytłumaczenia.

Raz jeszcze uszedł cało. Odczuwał ulgę i zadowolenie. Mimo że się ich nie spodziewał, naturalnie, był przygotowany. Otworzył tyłne drzwi, a wejście zablokował, podstawiając

krzesło. Tak żeby się przewróciło, kiedy ktoś będzie wchodził. Pistolet trzymał przy sobie na łóżku. Leżał w butach.

Budziły w nim niepokój odgłosy ulicy. W jego wytłumionej sypialni było inaczej. Tam nawet ciska była kryjówką. Wielokrotnie namawiał Karla Everta, żeby przerobił pokój i wytłumił dźwięki. Nic z tego nie wyszło. Teraz już było za późno.

Kiedy go obudzili, śnił o swym dzieciństwie. Umykające, niewyraźne obrazy. Stał schowany za kanapą, był jeszcze bardzo mały i słyszał kłócących się ludzi, zapewne rodziców. Męski głos - twardy i rozkazujący. Trzepotał nad jego głową jak groźny ptak. Potem głos kobiety. Cichy i wystraszony. Jakby słyszał własny głos, mimo że oniemiały i niewidoczny dla nikogo stał za kanapą.

W tym momencie doszły go dźwięki z przedpokoju. Przemocą wdarli się w jego sen. Kiedy przewróciło się krzesło, był już na nogach, z pistoletem w dłoni. Teraz zaczynał żałować. Nawet gdyby to oznaczało zmianę pierwotnego planu. Może powinien był ich zastrzelić?

Opuścił dom z pistoletem w kieszeni kurtki. Samochód zaparkował przy dworcu. Z daleka słyszał syreny. Dotarł do Sandaskogen i jechał dalej w kierunku Ósterlenu. Zatrzymał się w Kaseberdze. Poszedł na spacer do portu. Zastanawiał się, co dalej. Wciąż chciało mu się spać. Było już jednak późno. Nie wiedział, kiedy policjant o nazwisku Wallander zamierza wrócić do domu. Musi być tam przed nim. Wyznaczył sobie

dzisiejszy dzień. Nie mógł tego zmienić i nie chciał przepuścić nadarzającej się okazji.

Kiedy doszedł do końca pomostu, podjął decyzję. Wrócił do Ystadu. Zaparkował samochód na tyłach domu, do którego miał się udać. Niezauważony przez nikogo, wślizgnął się do bramy wejściowej przy Mariagatan. Nacisnął dzwonek i nasłuchiwał. Nikogo nie było w domu.

Otworzył drzwi i usiadł na kanapie w salonie. Czekał. Pistolet położył na stole przed sobą.

Zarówno Hansson, jak i policjant z Malmö byli w szoku po zajściu na Lilia Norregatan. Mimo że nie zostali ranni, nie byli w stanie dalej pracować. Hansson nalegał, żeby zostać. W czasie rozmowy z nim Wallander odniósł jednak wrażenie, że tamten nie czuje się najlepiej. Łatwiej poszło z policjantem z Malmö. Lekarz szpitalny błyskawicznie zawiadomił, że jest on w bardzo złym stanie psychicznym.

Skład zespołu skurczył się więc o dwie osoby. Kiedy po nagłym zajściu przy Lilia Norregatan Wallander na nowo zebrał grono współpracowników, atmosfera była napięta. Lisa Holgersson odciągnęła go na bok, pytając, czy nie nadeszła pora, żeby ściągnąć posiłki z okolicznych okręgów. Wallander się wahał - ze zmęczenia i z poczucia niewykonanego zadania. Odmówił. Nie są im potrzebne posiłki, tylko koncentracja. Nic nie pomoże, że radiowozy będą w kółko krążyć po ulicach. Potrzebują wyłącznie czasu na metodyczne poszukiwanie punktu, w którym nastąpi przełom w śledztwie.

- Czy taki punkt istnieje? - spytała. - Czy to tylko twoje pobożne życzenie?

- Nie wiem - odpowiedział.

Ponownie zasiedli wokół stołu konferencyjnego. Byli niespokojni i podenerwowani. Wallander starał się ukierunkować przebieg dyskusji. Ciągłe wracał do tego samego. Gdzie w tej chwili jest Larstam? Kto jest następną ofiarą? Dziewiątą osobą? I co mówi nam zajście na Lilia Norregatan?

Martinsson nic nie znalazł, przeszukawszy rejestr. Ake Larstam nie był notowany na policji. Teraz jakiś inny policjant szperał w archiwum w nadziei, że gdzieś natrafi na ślad Larstama. Ann-Britt Hóglund nie udało się jeszcze odnaleźć żadnej z sióstr. Ponieważ zabrakło Hanssona, Wallander poprosił ją, żeby przerwała szukanie. Chciał ją mieć w pobliżu. Uważał, że siostry mogą zaczekać. Wszystko mogło poczekać. Oby go tylko znaleźli, zanim podniesie broń na dziewiątą osobę.

- Co wiemy? - zadawał pytanie po raz nie wiedzieć który.

- Jest nadal w mieście - odpowiedział Martinsson. - Czyli zaatakuje tutaj albo gdzieś w pobliżu.

- W jakiś sposób musi to na niego działać - odezwał się Thurnberg, który rzadko zabierał głos.
- Wie, że depczemy mu po piętach. Nasza obecność musi na niego wpływać.
- Być może to mu odpowiada - stwierdził Wallander. - Nie wiem. Może pan ma rację.
Wykurzyliśmy go dwa razy w ciągu doby. Czuje, że ziemia pali mu się pod nogami. Jego precyzyjnie dopracowane plany zaczynają brać w łeb. Nie wiemy, jakich spodziewać się reakcji.

Kjell Albinsson siedział sam w kącie pokoju. Wallander nie wiedział, jakie dostał polecenia od Thurnberga. Zauważył nagle, że Albinsson chce coś powiedzieć. Skinął głową w jego stronę. Pocztowiec wstał i podszedł do stołu.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie - zaczął niepewnie.
- Ale doszły mnie słuchy, że kiedyś widziano Larstama na przystani. Latem zeszłego roku. Możliwe więc, że ma łódź.
Wallander uderzył dłonią w stół.

- Ile w tym jest prawdy?
- Widział go jeden listonosz. Był pewien.
- Widział go wsiadającego do łodzi?
- Nie. Ale twierdził, że miał w ręku kanister z benzyną.
- Możemy więc wykluczyć żaglówkę - powiedział policjant z Malmö.

Natychmiast podniosły się głosy protestu.

- Łodzie żaglowe mają silniki - wyjaśnił Martinsson. - Nie możemy niczego wykluczać. Nawet tego, że ma hydroplan.

Tym razem ostatnie słowa Martinssona wzbudziły protesty. Wallander je uciszył.

- Na łodzi można, rzecz jasna, mieć kryjówkę. Pytanie, czy mamy iść tym tropem.

Zwrócił się do Albinssona.

- Jest pan pewien, że dobrze pamięta?
- Tak.

Wallander spojrzał na Thurnberga, który kiwnął głową.

- Pchnijcie na przystań policjantów w cywilu - polecił Wallander. - Dyskretnie, sprawnie i bez pytań. Przy najmniejszym podejrzeniu, że Larstam tam jest, mają się wycofać. Potem zdecydujemy, co dalej.

- Musi tam być dużo ludzi - zauważyła Ann-Britt Hóglund. - Przy takiej pogodzie.

Martinsson i policjant z Malmö udali się na przystań. Wallander zaprosił Albinssona do stołu.

- Może pamięta pan coś jeszcze - powiedział. - Przed chwilą przypomniała się panu przystań. Jeśli ma pan więcej takich przystani, to proszę nam teraz powiedzieć.

- Jestem całkiem skołowany - wyznał tamten. - Zastanawiałem się. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak mało o nim wiem.

Widać było, że Albinsson jest szczery. Wrócił do swojego kąta. Wallander spojrzał na zegarek. Wpół do dwunastej. Nie złapiemy go, pomyślał. Lada chwila dostaniemy wiadomość, że zamordowano kolejną osobę.

Ann-Britt Hóglund skierowała rozmowę na sprawę ewentualnego motywu. Jaki jest motyw działania Larstama? Dlaczego dokonuje zbrodni?

- To chyba jakiś rodzaj zemsty - odparł Wallander.

- Zemsty za co? - spytała. - Za to, że go kiedyś wywalili z biura? To się nie trzyma kupy. Co z tym wspólnego ma młoda para? W dodatku nie przejął się zbytnio zwolnieniem z pracy.

Przekwalifikował się na listonosza.

- Ciekawe, dlaczego wybrał akurat ten zawód - zastanawiał się Wallander. - Od inżyniera do listonosza jest duży krok. Czy już wtedy zaczynał układać swoje straszliwe plany? Czy to przyszło dopiero później?

- Tego nie wiemy.

- Tak samo jak wielu innych rzeczy.

Rozmowa zamarła. Wallander spojrział na zegarek. Czekał na to, czego się lękał. Wstał i poszedł po kawę. Ann-Britt poszła za nim.

- Motyw jest zupełnie inny - stwierdził, kiedy na stojąco pili kawę w stołówce. - Nawet jeśli u podstaw leży potrzeba zemsty. Larstam zabija ludzi, którym jest dobrze. Którzy są pełni radości. Nyberg wpadł na to w Nybrostrandzie. Co więcej, Albinsson to potwierdził. Ake Larstam nie lubi ludzi, którzy się śmieją.

- Jest zatem bardziej obłąkany, niż się nam wydaje. Nie zabija się przecież ludzi dlatego, że są szczęśliwi. W jakim my żyjemy świecie?

- Może jest tak, jak mówisz - powiedział Wallander. - Prawdziwe pytanie brzmi: w jakim właściwie żyjemy świecie. Ta myśl jest jednak zbyt straszna, żeby ją do siebie dopuścić. Być może to, czego się obawiamy, już nastąpiło. Ostateczny rozpad praworządneho społeczeństwa. Na jego miejsce przychodzi społeczeństwo, w którym coraz więcej ludzi czuje się niepotrzebnych lub wręcz niechcianych. W którym kompletnie wyzuta z logiki przemoc stała się nieodłączną częścią naszej codzienności. Narzekamy na rozwój. Czasami myślę, że sprawy zaszły dużo dalej, niż sobie zdajemy sprawę.

Chciał jeszcze ciągnąć myśl, ale przerwała mu wiadomość, że Martinsson jest przy telefonie. Oblał się kawą, kiedy biegiem wracał do pokoju zebrania.

- Nic nie znalazłem - informował Martinsson. - Przejrzałem listę właścicieli, którzy trzymają tu łódki. Ake Larstam na niej nie figuruje.

- Przeszliście się po pomostach?

- Tu go nie widać.

- Czy może figurować pod innym nazwiskiem? Może podał fałszywe dane?

- To jest mała przystań i prawie wszyscy się znają. Wątpię, żeby Larstam podawał fałszywe nazwisko. Jest na to zbyt ostrożny.

Wallander nie dawał za wygraną.

- Może ktoś inny wynajął miejsce?

- Ale kto? Ake Larstam nie miał przyjaciół.

- Sprawdziłeś, czy w rejestrze nie ma Svedberga?

- Tak, pomyślałem o tym. Nie ma.

Wallanderowi przemknęła przez głowę pewna myśl. Z początku jej nie zatrzymywał. Po chwili jednak ją pochwycił.

- Zajrzyj raz jeszcze do rejestru - polecił. - Sprawdź wszystkie nazwiska, które przewinęły się podczas dochodzenia. Te ważne i te drugoplanowe. Może coś znajdziesz.

- Takie jak Hillström lub Skander?

- Tak jest.

- Wiem, o czym myślisz. Ale czy to ma sens?

- Nic nie ma sensu. Przejrzyj wszystko jeszcze raz. Odezwij się, jak coś znajdziesz.

Wallander odłożył słuchawkę. Na białej koszuli brązowiła się plama z kawy. Pamiętał, że w szafie miał ostatnią czystą koszulę. Zajmie mu niespełna dwadzieścia minut pojechać do domu i przebranie się. Wolał jednak poczekać na telefon od Martinssona. Podszedł Thurnberg.

- Chcę puścić Albinssona do domu. Nie sędzę, żeby jeszcze był nam potrzebny.

Wallander wstał, podszedł do pocztowca i podał mu rękę.

- Bardzo pan nam pomógł.

- W dalszym ciągu nic nie rozumiem.

- Nikt z nas nie rozumie.

- Nie wolno tego rozgłaszać - uprzedził Thurnberg. - Bo może pan mieć przykrości.

Albinsson obiecał milczeć i wyszedł. Wallander poszedł do toalety. Wrócił myślami do teleskopu Svedberga. Dlaczego ktoś go postawił w domu u Bjórklunda? Wrócił do pokoju.

- Czy ktoś wie, gdzie jest Nyberg?

- Siedzi w pokoju Hanssona i dzwoni.

- Jeśli zadzwoni Martinsson, to jestem z Nybergiem.

Wallander udał się do pokoju Hanssona. Nyberg siedział

ze słuchawką przy uchu i notował. Podniósł wzrok na Wallandera. Komisarz słyszał, że Nyberg rozmawia z laboratorium ekspertyz technicznych w Linköpingu. Skończył rozmowę.

- Wyniki będą w ciągu dnia - powiedział Nyberg. - Dowiemy się, czy to kciuki Larstama.

- To pewne. Nie potrzebujemy odpowiedzi. Potrzebujemy potwierdzenia.

- Co będzie, jeśli na chwilę przyjmujemy, że to nie jego palce?

- To zrezygnuję z kierowania śledztwem.

Nyberg zastanawiał się nad jego słowami. Usiadł na krześle Hanssona.

- Co z teleskopem? - spytał Wallander. - Dlaczego stał w domu Bjórklunda? Kto go tam postawił?

- Chyba Larstam, nie ktoś inny.

- Ale w jakim celu?

- Może żeby nas zmylić. Zamącić nam w głowach. To próba zrzucenia winy na kuzyna Svedberga.

- Larstam pomyślał o wszystkim.

- Jeśli nie, to wkrótce znajdziemy jakąś lukę. I wtedy go złapiemy.

- Jego odciski powinny być na teleskopie.

- O ile ich nie usunął.

Zadzwonił telefon. Wallander chwycił słuchawkę. Dzwonił Martinsson.

- Miałaś rację.

Wallander poderwał się, przewracając krzesło.

- Masz coś?

- Na przystani jest miejsce postojowe na nazwisko Isy Edengren. Widziałem na własne oczy kontrakt. Jeśli to Larstam sfalszował jej podpis, zrobił to bardzo zręcznie. Pamiętam charakter jej pisma. Rozmawiałem z człowiekiem, który spisywał kontrakt. Mówił, że przyszła do niego kobieta.

- O ciemnych włosach?

- Otóż to. Louise.

- Ale w klubie o tym nie wiedzieli?

- Powiedziała, że głównie będzie pływał jej brat.

- Larstam jest cwany - powiedział Wallander.

- To stara, drewniana łódź motorowa. Ma nadbudówkę i miejsca do spania. Obok niej cumuje żaglówka, z drugiej strony jest puste miejsce.

- Jadę do was. Trzymajcie się z dala od pomostu. I nie zapominajcie o dyskretnej obserwacji. On może się pojawić. Na pewno jest teraz szczególnie ostrożny. Zanim podejdzie do łodzi, z pewnością będzie obserwował przystań.

- Prawdę mówiąc, nie pomyśleliśmy o tym.

Wallander zakończył rozmowę i streścił sytuację Nybergowi.

Wrócił do pokoju zebrań. Ann-Britt Hóglund i Thurnberg mieli w razie potrzeby zarządzić pełną mobilizację.

- Co pan ma zamiar zrobić, jeśli on jest na pokładzie? - spytał Thurnberg.

- Nie wiem. Muszę najpierw się przekonać, jak to wygląda.

Dochodziła pierwsza, kiedy Wallander dotarł do przystani. Było ciepło, łagodna bryza wiała z południowego wschodu. Pamiętał, żeby wziąć ze sobą lornetkę. Z daleka obserwowali łódź.

- Wygląda na opuszczoną - powiedział Martinsson.

- Czy na żaglówce po lewej są jacyś ludzie? - spytał Wallander.

- Nie ma nikogo.

Wallander przesuwał lornetkę, obserwując łodzie. Na wielu z nich byli ludzie.

- Nie możemy dopuścić do strzelaniny - powiedział Martinsson. - Ani opróżnić przystani.

- Nie możemy również czekać. Trzeba się przekonać, czy jest na pokładzie. Jeśli tak, musimy go złapać. Jeśli nie, to przynajmniej uzyskamy pewność.

- Czy mamy zabezpieczyć teren?

- Nie - odparł Wallander. - Wejdę na łódź. Martinsson drgnął.

- Oszalałeś?

- Zabezpieczenie terenu i usunięcie ludzi zajmie co naj-
mniej godzinę. Nie mamy tyle czasu. Idę na łódź. Osłaniaj
mnie z pomostu. To nie będzie długo trwało. On przecież nie
siedzi na czatach. Jeśli tam jest, to śpi.

Martinsson był absolutnie przeciwny.

- Nie mogę się z tym zgodzić. To się może skończyć katastrofą.

- Jeszcze jedno, o czym nie pomyślałeś. Larstam nie zastrzelił Hanssona ani policjanta z
Malmö. Nigdy nie uwierzę, że spudłował. Po prostu żaden z nich nie był dziewiątą osobą -
powiedział Wallander.

- I ty też nią nie jesteś?

- Nie sądzę.

Martinsson miał jeszcze jedno zastrzeżenie.

- Łódź jest na przystani. Nie ma tylnych drzwi, przez które mógłby umknąć. Co uczyni?
Skoczy do portowego basenu?

- To ryzyko musimy podjąć - powiedział Wallander. - Brak zapasowego wyjścia może
wszystko zmienić.

Martinsson nie dał się przekonać.

- Uważam, że to brak odpowiedzialności.

Wallander podjął już decyzję.

- No, to róbmy po twojemu. Jedź do komendy i zarządz
pełną mobilizację. Ja tu zostanę.

Martinsson odjechał. Wallander posłał policjanta z Malmö, żeby obserwował parking i drogę
do przystani.

Wallander wszedł na pomost. Zdawał sobie sprawę, że idąc na konfrontację z bezwzględnym
przeciwnikiem, łamie podstawowe reguły obowiązujące w policji. Sam, bez osłony, i na
niezabezpieczonym terenie.

Na pomoście bawiło się kilku chłopców. Wallander zwrócił się do nich i stanowczym tonem
nakazał im zejść na ląd. W kieszeni miał odbezpieczony pistolet. Starał się ocenić sytuację.
Mógłby skoczyć z pomostu. Ale co dalej? Jeśli Larstam jest na łodzi, dojrzy go przez przednią
szybę. Wallander byłby całkowicie odsłonięty.

Jedynym sposobem było wejść na pokład od tyłu. Do tego potrzebna mu była łódź. Rozejrzał
się. Na sąsiednim jachcie odbywało się małe przyjęcie. Obok jachtu kołysała się na wodzie
mała czerwona jolka. Wallander nie zastanawiał się. Wszedł na pokład i podsunął zaskoczonym
ludziom policyjną legitymację.

- Muszę skorzystać z jolki - oświadczył.

Podniósł się łysy mężczyzna z kieliszkiem wina w ręku.

- Dlaczego? Czy zdarzył się wypadek?

- Nie, to nie wypadek. I nie mam czasu odpowiadać na pytania. Zostajecie na łodzi. Nikt nie
schodzi na pomost. Ten, kto nie posłucha, pożałuje. Zrozumiano?

Nikt się nie odezwał. Wallander niezdarnie wgramolił się do jolki. Mocował się nieporadnie z wiosłami. Jedno wypadło mu z ręki. Schylił się po nie i wtedy omal nie wyslizgnął mu się z kieszeni pistolet. Pocąc się i klnąc, chwycił wreszcie wiosła. Łysy mężczyzna odczepił linkę. Wallander odpłynął.

Zastanawiał się, czy łódka nie zatonie pod jego ciężarem. Powoli zbliżał się do motorówki. Przytrzymał się ręką rufy. Zauważył, że łódź ma stacjonarny silnik. Czuł, jak wali mu serce. Ostrożnie, żeby nie rozkołysać łodzi, zaczepił linkę. Nasłuchiwał. Jedyne, co słyszał, to bicie własnego serca. Pistolet trzymał w ręku. Ostrożnie począł rozpinać plandekę. W środku nic się nie poruszyło. Teraz był najtrudniejszy moment. Musiał rozsunąć plandekę i jednocześnie uskokoczyć. Na wypadek, gdyby ktoś czaił się w środku z bronią w ręku. W głowie czuł kompletną pustkę. Zaciskał pistolet w drżącej i spoconej dłoni.

Potem szarpnął plandekę i rzucił się na bok. Jolka zakołysała się i niewiele brakowało, a wpadłby do wody. Udało mu się pochwycić odbijacz. Nic się nie działo. Jednym szarpnięciem zerwał cały bok plandeki. Kokpit był pusty. Małe mahoniowe drzwi prowadzące do dolnej kajuty były otwarte. Widział całe wnętrze. Kajuta była pusta. Wszedł na pokład. Ciągle miał w ręku pistolet. Zszedł w dół po dwóch stopniach. Były tam dwie koje doświetlone małymi, okrągłymi świetlikami. Nikogo. Nie było również pościeli, tylko dwa materace w plastikowych osłonach.

Wszedł do kokpitu. Był zlany potem. Wsunął pistolet do kieszeni i powiosłował z powrotem. Ludzie z kieliszkami wina stali przy relingu i gapili się na niego. Łysy złapał linkę. Wallander wspiał się na pokład.

- Może teraz się czegoś dowiemy - powiedział łysy mężczyzna.

- Nie - rzucił krótko Wallander.

Śpieszył się. Pomoc mogła być w drodze. Trzeba ją zatrzymać. Larstama nie było na łodzi. To mogło oznaczać, że po raz pierwszy wyprzedzili go o krok. Wallander zadzwonił z pomostu do Martinssona.

- Jesteśmy w drodze - powiedział tamten.

- Odwołaj wszystko! - krzyknął Wallander. - Żadnych samochodów. Przyjedź sam.

- Stało się coś?

- Nie ma go tutaj.

- Skąd wiesz?

- Wiem. Martinsson zamilkł.

- Byłeś na łodzi - powiedział po chwili. - Tak?

- Nie ma czasu - odparł Wallander. - Pomówimy innym razem.

Martinsson zjawił się w pięć minut. Wallander przypuszczał, że Larstam może być w drodze do przystani. Powiedział o tym Martinssonowi. Martinsson pokręcił głową na widok zerwanej plandeki.

- Trzeba ją zamocować. Ktoś musi pilnować pomostu i przystani - wydał dyspozycje Wallander.

Martinsson z pomostu obserwował brzeg. Wallander pośpiesznie przeszukał kokpit i dolne koje. Nic nie znalazł. Larstam nigdy nie pozostawiał papierów. Zamocował plandekę i wrócił na pomost.

- Jak dostałeś się na pokład?

- Pożyczyłem jolkę.

- Wariacki pomysł.

- Być może. Ale nie byłbym taki pewny.

Martinsson odszedł, aby porozmawiać z policjantem, któremu Wallander zlecił obserwację parkingu. Teraz miał pilnować przystani i pomostu. Poprosił o przysłanie kilku dodatkowych funkcjonariuszy z komendy.

- Powinieneś pojechać do domu i zmienić koszulę - powiedział, patrząc znacząco na Wallandera.

- Pojadę. Ale najpierw musimy porozmawiać z resztą zespołu.

Nikt w komendzie nie zapytał, w jaki sposób Wallander dostał się na łódź. Nikomu nie przyszło do głowy zapytać, czy był sam. Martinsson siedział w milczeniu przy stole. Wallander widział, że był oburzony. Ale w tej chwili nic nie mógł na to poradzić.

- Być może po raz pierwszy znajdujemy się o krok przed nim - oświadczył Wallander. - Co oczywiście nie znaczy, że zamierza nocować na łodzi. Pewnie liczy się z tym, że ją od naleźliśmy.

- Wygląda na to, że na nowo znaleźliśmy się w punkcie wyjścia - odezwała się Ann-Britt Hóglund. - Czy rzeczywiście nie ma sposobu, żeby go namierzyć? I kto miałby być tą dziewiątą ofiarą?

- Trzeba kontynuować poszukiwania - odpowiedział Wallander.

- Wynajął miejsce postojowe na łódź na nazwisko Isy Edengren. Działa w sposób niedający się przewidzieć. Na każdym kroku nas zaskakuje. Jedyne, co możemy zrobić, to nadal szukać w materiałach dochodzenia. Gdzieś jest umykający punkt, który wszystko otwiera. Jestem o tym przekonany.

Wallander złapał się na tym, że przybiera kaznodziejski ton. Tak jakby przekonywał garść niewiernych o istnieniu jedynej słusznej nauki. Czuł się nieco bezradny. Zaprzętała go w tej chwili jedna myśl.

- Isa Edengren. Dlaczego Larstam wybrał właśnie ją? Czy to przypadek? Czy coś się za tym kryje?

- Pogrzeb Isy jest pojutrze - powiedział Martinsson.

- Niech ktoś się skontaktuje z jej rodzicami. I wezwie jedno z nich na komendę. Chciałbym bliżej przyjrzeć się tej historii z łodzią.

Wallander wstał.

- Ale najpierw pojadę do domu zmienić koszulę. Zajmie mi to dwadzieścia minut.

Ebba weszła do pokoju, niosąc kartony z kanapkami.

- Jak mi dasz klucze, to ci ją przywiozę - zaproponowała.

- To żaden kłopot.

Wallander podziękował. Czuł, że musi się wyrwać, choćby na dwadzieścia minut. Zabierał się właśnie do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała Ann-Britt Hóglund i natychmiast dała mu znak, żeby został.

- Dzwoni komenda z Ludviki - powiedziała. - Tam mieszka jedna z sióstr Ake Larstama.

- Wysłałem zapytanie - oświadczył Martinsson. - Teraz jest odpowiedź.

Wallander postanowił zostać. Rozejrzał się za Ebbą, ale już wyszła. Martinsson przejął rozmowę. Wallander siedział w rogu, zapatrzony w płamę z kawy na koszuli. Ann-Britt Hóglund dzwoniła do rodziców Isy Edengren z drugiego aparatu. W momencie kiedy uzyskała połączenie, Martinsson odłożył słuchawkę.

- Berit Larstam - relacjonował. - Czterdzieści siedem lat, bezrobotna, pracownik socjalny. Mieszka w Fredriksbergu. Gdziekolwiek to leży.

- Kradzież broni - przypomniał Wallander. - Larstam mógł być z wizytą u siostry.

Martinsson machnął w powietrzu kartką. I zaczął wybierać numer. Przez chwilę Wallander poczuł się niepotrzebny. Postanowił pójść do recepcji i dać Ebbie klucze. W recepcji jej nie było. Pewnie poszła do toalety. Wrócił do pokoju. Martinsson wisiał na telefonie. Ann-Britt

Hóglund, ze zmarszczonym czołem, trzymała słuchawkę przy uchu. Wallander dreptał tam i z powrotem po pokoju. Thurnberg gdzieś przepadł. Wallander począł wrzucać do kosza papierowe kubki po kawie. Ann-Britt Hóglund zakłęta i odłożyła słuchawkę.

- Ojciec powiedział, że przyjedzie. Axel Edengren. Możemy się spodziewać aroganckiego faceta, negatywnie nastawionego do policji.

- A to z powodu?

- Zrobił mi długi wykład na temat naszego braku kompetencji. Miałam ochotę go ochrzanić.

- Trzeba było to zrobić.

Martinsson zakończył rozmowę telefoniczną.

- Larstam odwiedzał ją raz na trzy lata - powiedział. -

Odniosłem wrażenie, że ich kontakt nie jest szczególnie bliski.

Wallander spoglądał na niego zaskoczony.

- Nie pytałeś o nic więcej?

- Jasne, że pytałem. Prosiła, czy może oddzwonić. Była czymś zajęta.

Wallander zaczął być nieprzyjemny. Martinsson się bronił. W pokoju zapadła cisza. Wallander wstał i wyszedł do recepcji. Ebba siedziała za szybą, na swoim miejscu.

- Muszę cię jednak poprosić - powiedział, podając jej pęk kluczy. - W szafie powinna być koszula. Jeśli nie, to weź coś z kosza z brudną bielizną.

- Już to kiedyś załatwiałam - odparła. - Dam sobie radę i tym razem.

- Ma cię ktoś zawieźć?

- Mam swoją starą brykę, zapomniałeś?

Wallander się uśmiechnął. Stał i patrzył za nią, jak wychodziła. Pomyślał, że szybko się postarzała w ciągu ostatnich lat.

Pierwsze, co zrobił po powrocie do pokoju, to przeprosił Martinssona za zjadliwy komentarz sprzed chwili.

Potem pracowali dalej.

Było dziesięć po drugiej.

35

Kiedy Axel Edengren zjawił się na komendzie, Ebba jeszcze nie wróciła. Wallander zastanawiał się, dlaczego to tyle trwa. Czyżby Ebba nie znalazła czystej koszuli? Poszedł do recepcji na spotkanie z Edengrenem z lekkim uczuciem niechęci. Nie tylko dlatego, że miał poplamioną koszulę, ale również z tego powodu, iż pamiętał swoją wcześniejszą reakcję na stosunek Edengrenów do córki. Zastanawiał się, jakiego spotka człowieka. Okazało się, że tym razem wyobrażenie pokrywało się z rzeczywistością. Axel Edengren był niebywale wysoki i postawny. Nigdy nie widział tak potężnie zbudowanego mężczyzny. Miał krótko przystrzyżone, sterczące włosy i przenikliwe spojrzenie. Z jego postaci emanowało coś posepnego i odpychającego. Nawet uścisk dłoni był niechętny. Wallander postanowił zabrać go do swojego pokoju. Kiedy szli korytarzem, miał wrażenie, że podąża za nim groźny bawół, gotów w każdej chwili wziąć go na rogi. Wskazał na krzesło dla interesantów. Edengren opadł ciężko. Krzesło zatrzęszczało. Nie przejął się tym. Zaczął mówić, zanim jeszcze Wallander usiadł za biurkiem.

- To pan komisarz znalazł moją córkę - powiedział. - Jak to się stało, że pojechał pan na Barnsó?

- Proszę mówić mi „ty” - zaproponował Wallander.

Edengren zareagował niezwykle porywczo.

- Wolę mówić „pan” do ludzi, których nie znam i więcej w życiu nie spotkam. Co pan robił na Barnsó?

Wallander nie wiedział, czy ma być zły, czy nie. Potężny mężczyzna go irytował. Ale nie miał w tej chwili dosyć energii, aby mu się przeciwstawić.

- Miałem powody przypuszczać, że Isa tam przebywa. Zresztą rzeczywiście tak było.

- Wiem, co tam zaszło. Nie mogę pojąć, jak mógł pan do tego dopuścić.

- Do niczego nie dopuściłem. Gdybym miał choćby najmniejszą możliwość, żeby temu zapobiec, z pewnością bym z niej skorzystał. Tak samo jak pan. Nie tylko w stosunku do Isy. Również w stosunku do Jórgena.

Edengren drgnął na dźwięk imienia syna. Wyglądał, jakby nagle zahamował w pełnym biegu. Wallander skorzystał z okazji, żeby zmienić temat.

- Czas nie pozwala nam na rozmowę o tym, co się wydarzyło. Pozwoli pan, że złożę wyrazy współczucia z powodu Isy. Spotkałem się z nią kilka razy i zrobiła na mnie dobre wrażenie.

Edengren chciał coś powiedzieć, ale Wallander nie dopuścił go do głosu.

- Chodzi o miejsce na przystani w Ystadzie - kontynuował. - Kontrakt jest podpisany przez Isę Edengren.

Edengren spojrzał na niego podejrzliwie.

- To kłamstwo.

- To z całą pewnością prawda.

- Isa nie miała łodzi.

- Wiem o tym. Czy pan miał tu kiedyś miejsce na łódź?

- Trzymam łodzie w marinie w Óstergötlandzie.

Wallander nie miał powodu, żeby mu nie wierzyć. Ciągnął dalej:

- Prawdopodobnie ktoś podpisał kontrakt w imieniu Isy.

- Kto taki?

- Ten, kto jest podejrzany o jej zamordowanie. Edengren wbił wzrok w Wallandera.

- Kto to jest?

- Nazywa się Ake Larstam.

Żadnej reakcji. Nazwisko nic mu nie mówiło.

- Schwytaliście go?

- Jeszcze nie.

- Dlaczego? Jeśli to on zabił moją córkę?

- Nie udało nam się jeszcze go namierzyć. Dlatego pana wezwaliśmy, licząc na pańską pomoc.

- Kim on jest?

- Z różnych powodów nie wolno mi ujawnić wszystkich informacji. Mogę powiedzieć tylko tyle, że w ostatnich latach pracował jako listonosz.

Edengren potrząsnął głową.

- Czy to jakiś żart? Isę miałby zabić listonosz?

- Niestety, na to wygląda.

Edengren chciał zadać następne pytanie. Wallander mu przerwał. Chwila słabości minęła.

- Może pamięta pan, czy Isa należała do jakiegoś klubu żeglarskiego? Czy żeglowała lub miała przyjaciół, którzy po siadali łodzie?

Odpowiedź Edengrena go zaskoczyła.

- Isa nie. Ale Jórgen tak. On miał żaglówkę. Latem trzymał ją w Grycie. Żeglował wtedy w okolicach Barnsö. Jesienią i wiosną łódź cumowała tutaj.

- Zatem miał miejsce na łódź?

- Tak. I trzymał ją tutaj w zimie.

- Ale Isa nie żeglowała?

- Często pływała z bratem. Dobrze się rozumieli. W każdym razie okresowo.

Wallander po raz pierwszy wyczuł cień smutku w głosie siedzącego naprzeciwko mężczyzny, który stracił oboje dzieci. Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Wallander podejrzewał, że w obszernym ciele kłębił się wulkan uczuć, który nie potrafił znaleźć ujścia.

- W jakich latach Jórgen żeglował?

- Dostał łódź chyba w dziewięćdziesiątym drugim roku. Mieli taki nieformalny klub.

Żeglowali, balowali. Pisali tajemnicze sprawozdania. Wysyłali listy w butelkach. Jórgen najczęściej sekretarzował. Uczyłem go, jak się pisze protokół.

- Są gdzieś jeszcze te protokoły?

- Po jego śmierci włożyłem je do pudła. Leżą tam nadal. Nazwisko, pomyślał Wallander. Tego potrzebuję.

- Pamięta pan może, jak się nazywali przyjaciele Jórgena?

- Niektórych pamiętam. Ale nie wszystkich.

- Zapewne nazwiska są w protokołach?

- Możliwe.

- Musi pan je przywieźć - powiedział Wallander. - Mogą się nam przydać.

Powiedział to tak stanowczo, że Edengren nie zaprotestował. Wallander zaproponował, że wyśle wóz do Skarby. Edengren odmówił. Chciał jechać sam.

Odwrócił się w drzwiach.

- Nie wiem, jak sobie poradzę - powiedział. - Straciłem oboje dzieci. Co mi pozostaje?

Nie czekał na odpowiedź. Zresztą Wallander nie wiedziałby, co powiedzieć. Podniósł się i wrócił do pokoju zebrań. Ebby nie było. Poszedł do recepcji. Nikt jej nie widział. Wallander poszedł do pokoju i zadzwonił na swój domowy numer. Począł osiem sygnałów, zanim odłożył słuchawkę. Ebba pewnie już wyszła.

Edengren był z powrotem w ciągu czterdziestu minut. Położył przed Wallanderem brązową kopertę.

- To wszystko. Jest jakieś jedenaście protokołów. Nie traktowali tego zbyt serio.

Wallander przerzucał kartki. Były napisane na maszynie, z dużą ilością błędów. Wyłowił siedem nazwisk. Nie znał żadnego z nich. O ile pamiętał, nie pojawiły się w toku śledztwa. Jeszcze jeden ślepy tor, pomyślał. Wciąż mi się wydaje, że Ake Larstam pozostawia ślady, z których dałoby się ułożyć logiczny wzór. Tymczasem on zaciera niemal wszystkie tropy.

Mimo tych wątpliwości wrócił do pokoju zebrań i przekazał protokoły Martinssonowi. Wyjaśnił, o co chodzi. Prosił o sprawdzenie nazwisk. Jeszcze nie zdążył wyjść, kiedy Martinsson go przywołał. Wallander wrócił do stołu.

- Czy jeden z listonoszy nie nazywał się Berg? Na tej pięknej broszurze z pocztu?

Zapomniał o tym. Ale natychmiast przyznał Martinssonowi rację.

- Już do niego dzwonię - powiedział Martinsson.

Podszedł do telefonu. Wallander wrócił do Edengrena.

Przed samymi drzwiami przystanął. Czy miał jeszcze jakieś pytania? Doszedł do wniosku, że nie. Kiedy wszedł do pokoju, Edengren stał przy oknie. Odwrócił się do Wallandera. Komisarz ze zdziwieniem spostrzegł, że ma zaczerwienione oczy.

- Może pan wracać do domu - powiedział. - Nie jest pan już potrzebny.

Edengren spojrzał na niego badawczo.

- Złapiecie go? Zabójcę Isy?

- Tak. Złapiemy.

- Dlaczego to zrobił?

- Nie mamy pojęcia.

Edengren wyciągnął rękę na pożegnanie. Wallander odprowadził go do recepcji. Miejsce Ebby wciąż było puste.

- Zostajemy w Szwecji do pogrzebu - powiedział Edengren.

- Nie wiem, co dalej. Może sprzedam gospodarstwo w Skarby i wyjedziemy z kraju? Trudno nam myśleć o powrocie na Barnsö.

Edengren wyszedł, nie czekając na odpowiedź. Wallander długo za nim spoglądał.

Kiedy wrócił do pokoju zebrani, Martinsson siedział przy telefonie i rozmawiał z listonoszem o nazwisku Berg. Stał obok, przysłuchując się. Ale nie mógł ustać w miejscu. Znow wyszedł na korytarz. Czekamy, pomyślał. Jesteśmy nieustannie zajęci. Załatwiamy telefony, przewracamy kartki skoroszytów, przeprowadzamy ostre rozmowy, wyciągamy wnioski. Ale tak naprawdę robimy jedno - czekamy. Jak dotąd Ake Larstam wciąż nas wyprzedza i nie potrafimy zmniejszyć dystansu.

Usłyszał, że Martinsson zakończył rozmowę. Wrócił do pokoju.

- Zgadza się - oświadczył. - Stefan Berg jest jego synem. Obecnie studiuje na uniwersytecie w Kentucky.

- Czy nam to coś daje?

- Wątpię. Berg był bardzo szczery. Przyznał, że często w rozdzielni mówi o sobie i swojej rodzinie. Czy ktoś słucha,

czy nie. Ake Larstam z pewnością nieraz był świadkiem opowiadań Berga o synu i jego klubie. Wallander usiadł na swoim zwykłym miejscu.

- Ale co to oznacza? Czy to dokądś prowadzi?

- Nie wygląda na to.

W nagłym przypływie gniewu Wallander zmiotł dłonią leżące na stole papiery.

- Nie dopadniemy go - krzyknął. - Gdzie on się chowa?

Kto jest dziewiątą osobą?

Zebrani w pokoju patrzyli na niego wyczekująco. Wallander rozłożył ramiona w przeproszającym geście. Wyszedł z pokoju i zaczął chodzić tam i z powrotem po korytarzu. Nie wiedział, który to już raz. Wyszedł do recepcji. Ebby nadal nie było. Widocznie nie znalazła czystej koszuli w szafie, pomyślał. Pewnie pojechała kupić nową.

Było siedem po trzeciej. Pozostało niespełna dziewięć godzin do końca dnia, w którym Ake Larstam miał powtórnie zaatakować.

Wallander podjął decyzję. Wcześniej przekształcił pokój w prowizoryczne centrum dowodzenia, tym razem zamierzał stworzyć jądro grupy dochodzeniowej. Stojąc w drzwiach, czekał, aż ściągnie na siebie wzrok Ann-Britt Hóglund.

- Weź ze sobą Martinssona - powiedział. - Chodźmy na chwilę do mnie.

Przyszli oboje, Martinsson miał ze sobą krzesło.

- Przegadajmy to razem, tylko we trójkę - zaczął Wallander. - Mamy wciąż te same dwa pytania: Gdzie on się podziwiał? Kto jest wybraną ofiarą? Jeśli przyjmujemy, że zaatakuje minutę przed północą, pozostaje nam niespełna dziewięć godzin. Ale to naturalnie pobożne życzenie. Musimy założyć, że czasu jest mniej. Może już jest za późno. Tylko że jeszcze o tym nie wiemy.

Wiedział, że zarówno Martinsson, jak i Ann-Britt Hóglund brali pod uwagę tę możliwość. Mimo to, jakby dopiero teraz dotarł do nich prawdziwy jej sens.

- Gdzie jest Larstam? - powtórzył Wallander. - Jak rozu

muje? Odnajdujemy go w mieszkaniu Svedberga. Musiał za kładać, że nigdy nie wpadniemy na to, żeby go tam szukać.

Jednak na to wpadliśmy. Potem odnaleźliśmy łódź. Ale nie wiemy, czy zamierzał się na niej ukryć. Może uważa, że jest spalona. Co wtedy?

- Rzuca nam wyzwanie - powiedział Martinsson. - Jeśli za każdym razem postępuje w ten sam sposób, to wybierze ofiarę i okoliczności tak, żeby wszystko odbyło się szybko, a ofiara nie była dla niego żadnym zagrożeniem. Co innego my. Wie, że go ścigamy. Wie, że odkryliśmy jego kobiece przebranie.

- Dobrze - pochwalił Wallander. - To sensowna interpretacja. Zadajmy sobie pytanie, co on myśli.

- Zastanawia się, co my myślimy - odparła Ann-Britt Hóglund.

Wallander czuł, że zaczynają odbierać na tych samych falach.

- Ty jesteś Larstamem - podsunął. - Jak on rozumuje?

- Zamierza przeprowadzić to, co postanowił. Jest pewien, że nie wiemy, kto jest dziewiątą osobą.

- Skąd ma tę pewność?

- Bo inaczej dalibyśmy jej lub jemu ochronę. Na pewno to sprawdził.

- Moglibyśmy również dojść do innych wniosków - wtrącił Martinsson. - Że skieruje całą energię na szukanie bezpiecznej kryjówki. Dopóki mu jest potrzebna. Nie musi się przejmować przyszłą ofiarą.

- Uważa, że tak myślimy - powiedziała Ann-Britt Hóglund.

- I tak właśnie myślimy.

- Więc trzeba myśleć inaczej - stwierdził Wallander. - Musimy zrobić krok w nieznaną.

- Wybrał kryjówkę w miejscu, gdzie nie przyjdzie nam do głowy go szukać.

- W takim razie powinien wybrać piwnicę w komendzie

- powiedział Martinsson.

Wallander pokiwał głową.

- Przynajmniej symboliczną komendę. Pytanie, gdzie takowa się znajduje.

Przemyślali nad odpowiedzią.

- Czy on myśli, że wiemy, jak wygląda bez przebrania?

- Musi zakładać, że tak. Nie może ryzykować.

Wallanderowi przyszło coś do głowy. Zwrócił się do Martinssona:

- Pomyślałeś o tym, żeby zapytać siostrę z Ludwiki o zdjęcie?

- Tak, pomyślałem. Ale twierdziła, że jedyne zdjęcie, jakie ma, zostało zrobione, kiedy miał czternaście lat. W dodatku nie jest na nim podobny.

- Czyli z tamtej strony nie możemy się spodziewać pomocy.

- Skontaktowałem się z wszystkimi centralnymi urzędami, które muszą mieć zdjęcia. Ale ten człowiek najwyraźniej nie posiada ani prawa jazdy, ani dowodu, ani paszportu.

- Na pewno ma - zaprotestował Wallander. - Gdybyśmy tylko wiedzieli, jakie nazwisko nadał Louise. Znalazłbyś wtedy wszelkie możliwe zdjęcia.

- A co robił, kiedy prowadził samochód bez peruki? Musiał brać pod uwagę, że może zostać zatrzymany? Czym się wtedy legitymował?

Wallander przypomniał sobie nagle pewne zajście sprzed lat. Dopiero w tej chwili skojarzył je sobie z Svedbergiem i Ake Larstamem.

- To było, zanim Ann-Britt zaczęła pracować. Ale ty, Martinsson, powinieneś pamiętać. Zginęło wtedy od nas kilka książeczek paszportowych. Z kasy panczernej. Wewnętrzne

dochodzenie niczego nie wykryło. Było jednak oczywiste, że kradzieży dokonał ktoś z pracowników.

- Pamiętam. Była bardzo przykra atmosfera. Jeden na drugiego krzywo patrzył.

- Pamiętam jeszcze coś - dodał Wallander. - Przy jakiejś okazji Rydberg powiedział, że jest pewien, że to Svedberg je ukraść. Nigdy się nie dowiedziałem, skąd czerpał tę pewność.

- Sądzisz, że to Svedberg załatwił papiery dla Louise?

- Albo dla Ake Larstama. Albo dla obojga.

W milczeniu rozmyślali o wydarzeniu sprzed lat. Po chwili Wallander ostrożnie powrócił do głównego nurtu rozmowy.

- Pozostaje pytanie: gdzie on się ukrywa? Szukajmy odpowiedzi. Gdzie w tej chwili jest Ake Larstam?

Zapanowało milczenie. Nie było czego się chwycić. Same domysły, których nie dało się ze sobą powiązać.

Wallander czuł, jak ogarnia go panika. Czas nieubłaganie się kurczył.

- Przejdźmy do osoby, którą zamierza zgładzić - powiedział. - Kim ona jest? Do tej pory zabił sześcioro młodych ludzi, nieco starszego fotografa i policjanta w średnim wieku. Dwóch ostatnich możemy pominąć. Pozostaje szóstka młodych. Przy dwóch różnych okazjach. W dwóch grupach.

- Trzech - zaoponowała. - Isę Edengren zabił później. Na odległej wyspie.

- To pokazuje, że doprowadza do końca, co postanowił - oświadczył Wallander. - Za wszelką cenę. Pytanie, czy w obecnej sytuacji jest coś niedokończonego. Czy może on zaczyna coś od początku?

Zanim ktoś zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Była to Ebba. Niosła koszulę na wieszaku.

- Przykro mi, że to tak długo trwało - przeprosiła. - Ale nie mogłam sobie dać rady z zamkiem.

Wallander wiedział, że zamek w drzwiach działa bez zarzutu. Ebba musiała pomylić klucze. Wziął koszulę i podziękował. Potem przeprosił i poszedł się przebrać do toalety.

- Jak iść na ścieżkę, to przynajmniej w czystej koszuli - zażartował po powrocie. Brudną koszulę włożył do szuflady biurka.

- Nie widać niczego niedokończonego - powiedział Martins-son. - Wiemy na pewno, że tamtej nocy w rezerwacji miała być jeszcze tylko Isa Edengren. A więcej niż dwie osoby nie pobierają się w czasie jednej ceremonii ślubnej.

- Zatem zaczyna od początku - skomentował Wallander. - To wersja najgorsza z możliwych. Oznacza, że nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Kompletnie nic.

Zapadła cisza. Cóż mogli jeszcze powiedzieć? Jedną rzecz, pomyślał. W obliczu dwóch niemożliwych opcji musimy wybrać tę mniej niemożliwą.

- Nic nie wykombinujemy w sprawie kryjówki. Jedyna możliwość, jaką mamy, to odnaleźć ofiarę. Zanim zaatakuje.

Od tej chwili skoncentrujemy się wyłącznie na tym. Jeśli się ze mną zgodzicie.

Zdawał sobie sprawę, że to nieprzyjemna decyzja. W gruncie rzeczy niemożliwa.

- To do niczego nie prowadzi - stwierdziła Ann-Britt Hóglund. - Nie znajdziemy ani jego, ani ofiary, cokolwiek zrobimy.

- Nie możemy się poddać - odparł Wallander.

Zaczęli od początku. Nie wiadomo, który już raz. Minęła czwarta. Wallandera bolał żołądek. Z nerwów i z głodu.

Był tak wyczerpany, że uważał to za naturalne. Wyczuwał takie samo rozpaczliwe zmęczenie u pozostałych.

- Słowo-klucz - powiedział. - Radośni ludzie. Szczęśliwi ludzie. Co jeszcze?

- Młodzi ludzie - odparł Martinsson.

- Przebrani - dodała Ann-Britt Hóglund.

- Nie powtarza się - zauważył Wallander. - Oczywiście, nie możemy być pewni. Ale to mało prawdopodobne. Pytanie, gdzie mamy dzisiaj szukać młodych, radosnych i przebranych ludzi? Nie takich, co biorą ślub lub zamierzają balować w rezerwacie przyrody.

- Może jakaś maskarada? - podsunął Martinsson.

- Gazeta - powiedział nagle Wallander. - Co dzieje się dzisiaj w Ystadzie?

Jeszcze nie zdążył skończyć zdania, a Martinsson już był za drzwiami.

- Nie pójdziemy do tamtych? - spytała Ann-Britt Hóglund.

- Jeszcze nie. Za chwilę. Jeszcze jeden krok. Żebyśmy mogli coś położyć na stole. Nawet jeśli to się okaże fałszywym tropem.

Martinsson wpadł do pokoju z „Ystads Allehanda”. Pochylili się nad rozłożoną gazetą. Pokaz mody w Skurupie natychmiast zwrócił uwagę Wallandera.

- Modelki i modele są poprzebierani. I powinni być w dobrym humorze. Kiedy prezentują kolekcje.

- To w przyszłą środę - zwróciła uwagę Ann-Britt Hóglund.

- Źle spojrzalesz.

Przewracali dalej strony i niemal równocześnie to zauważyli. Wieczorem w hotelu Continental odbywało się spotkanie Stowarzyszenia Przyjaciół Ystadu. Członkowie mieli na nie przybyć w dziewiętnastowiecznych strojach.

Wallander nie był przekonany. Nie potrafił powiedzieć dlaczego. Lecz Martinsson i Ann-Britt Hóglund nie dzielali jego wątpliwości.

- To impreza zaplanowana od dawna - zauważył Martinsson. - Miał dużo czasu, żeby się przygotować.

- Członkowie takiego towarzystwa nie należą chyba do najmłodszych - oponował Wallander.

- Bywają w bardzo różnym wieku - odparła Ann-Britt Hóglund. - Takie odnoszę wrażenie.

Wallander był wciąż niezdecydowany. Ale nie mieli nic do stracenia. Bankiet miał się zacząć o wpół do ósmej. Za kilka godzin.

Dla pewności przejrzeni jeszcze raz gazetę. Niczego innego nie znaleźli.

- Decyzja należy do ciebie - powiedział Martinsson. - Idziemy tam czy nie?

- Nie do mnie - odparł Wallander. - Do nas. Zresztą macie rację. Nie mamy innej opcji.

Wrócili do pokoju zebrani. Ktoś poszedł po Thurnberga. Wallander chciał, żeby zawiadomić Lisę Holgersson. Podczas gdy czekali, Martinsson szukał organizatora wieczornej imprezy.

- W hotelu będą wiedzieli, kto rezerwował salę - podsunął Wallander. - Dzwoń do nich.

Mimo że Martinsson stał tuż obok, Wallander mówił podniesionym głosem. Był podekscytowany ze zmęczenia i napięcia.

Kiedy Thurnberg i Lisa Holgersson weszli do pokoju, Wallander zamknął drzwi, aby podkreślić wagę sytuacji. Wyjaśnił, jak doszli do tego, że Ake Larstam może zaatakować w czasie przyjęcia w hotelu Continental, które odbędzie się za kilka godzin. Podkreślał przez cały czas element niepewności. Mogli się mylić, mogli iść ślepym tropem. Ale nie mieli innego. Alternatywą było pasywne oczekiwanie. Liczył się z obiekcjami ze strony Thurnberga, a nawet z zupełnym brakiem zrozumienia.

Ku jego zdziwieniu, Thurnberg się zgodził, używając tego samego argumentu. Nie mieli innego wyjścia.

- Miejmy nadzieję, że źle zrozumieliśmy słowa, które zapisał na kartce - powiedział Thurnberg. - Przede wszystkim potrzebujemy więcej czasu, żeby pchnąć jego twarz do mediów. Żeby wnikać w jego mroczną tajemnicę.

- Przekonamy się o północy - stwierdził Wallander. - Ten człowiek nie zmienia planów.

Przystąpili do działania. Było piętnaście po piątej. Mieli ponad dwie godziny na zorganizowanie akcji. Wallander wziął ze sobą Martinssona do hotelu Continental, Ann-Britt Hóglund została w komendzie. Od pierwszej chwili postanowili zwrócić się o dodatkowych funkcjonariuszy do pobliskich okręgów. Wallander zaznaczył, że wszyscy biorący udział w akcji mają być wyposażeni w sprzęt ochronny. Ake Larstam jest niebezpieczny. Nie ulega najmniejszej wątpliwości. Potem pojechali do hotelu.

- Chyba nigdy dotąd nie miałem na sobie kamizelki kuloodpornej - zauważył Wallander. - Z wyjątkiem ćwiczeń.

- Jeśli użyje tej samej broni co wcześniej, to kamizelka pomoże - dodał Martinsson. - Tylko że on celuje w głowę.

Wallander uświadomił sobie, że Martinsson ma rację. Z samochodu zadzwonił do komendy i zawiadomił, że potrzebują również kasków.

Zaparkowali przed wejściem do hotelu.

- Szef restauracji nazywa się Orlovsky - informował Martinsson.

- Poznałem go kiedyś - odparł Wallander.

Orlovsky zdziwił się na ich widok. Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna po pięćdziesiątce. Czekał na nich w recepcji. Wallander postanowił powiedzieć prawdę. Weszli do sali restauracyjnej, gdzie trwały przygotowania do wieczornego bankietu.

- Musimy się śpieszyć - powiedział Wallander. - Potrzebny byłby ktoś, kto zna na wylot budynek hotelowy i może oprowadzić Martinssona.

Orlovsky przywołał kelnera, który właśnie nakrywał do stołu.

- Pracuje tu od dwudziestu lat.

Kelner nazywał się Emilsson. Zdziwił się, gdy usłyszał, czego od niego żądają. Nic nie mówiąc, oddalił się w towarzystwie Martinssona.

Wallander wyjaśniał. Nie wszystko. Ale wystarczająco dużo, żeby Orlovsky pojął wagę sytuacji.

- Czy nie lepiej byłoby odwołać przyjęcie? - zapytał, kiedy Wallander zamilkł.

- Możliwe. Ale dopiero wtedy, kiedy dojdziemy do wniosku, że nie jesteśmy w stanie zapewnić gościom ani personelowi dostatecznej ochrony. Jeszcześmy do niego nie doszli.

Wallander chciał wiedzieć, jak goście będą rozmieszczeni. Poprosił o wykaz nazwisk i miejsc. Miały być trzydzieści cztery osoby. Obchodząc salę dookoła, Wallander usiłował wczuć się w przygotowania Ake Larstama. Nie chce wpaść, myślał. Skądś musi przyjść. I mieć zapewniony odwrót. Z pewnością nie zamierza zgładzić trzydziestu czterech osób. Ale musi podejść do stołu.

Uderzyła go pewna myśl.

- Ilu kelnerów będzie wieczorem? - zapytał.

- Razem sześciu.

- Czy zna pan wszystkich? Czy zawsze tu pracują?

- Jeden jest zatrudniony tylko na dzisiejszy wieczór.

- Kto to jest? Jak się nazywa?

- Nazywa się Leijde i pracuje przy większych imprezach. To tamten, u szczytu stołu - pokazał ręką.

Wallander ujrzał niskiego, korpulentnego mężczyznę około sześćdziesiątki, rozstawiającego kieliszki.

- Mam go zawołać? Wallander pokręcił głową.

- A jak personel w kuchni? Szatniarz? Barmani?

- Wszystko stali pracownicy.

- Macie gości w hotelu?

- Kilkoro niemieckich turystów. Rodziny z dziećmi.

- Nikogo innego się nie spodziewacie?

- Restauracja jest zarezerwowana. Oprócz personelu restauracji jest jeszcze recepcjonista.

- Ciągle ten sam Hallgren? - spytał Wallander. - Znam go.

Orlovsky potwierdził. Martinsson z kelnerem wyszli z kuchni. Emilsson powrócił do nakrywania stołu. Wallanderowi przemknęło przez myśl, czy również personelu nie powinno się wyposażyć w kaski i kamizelki. Ale to odstraszyłoby Larstama. Wallander poczuł nagle całkiem blisko jego obecność. Miał wrażenie, że obserwuje hotel.

Wiedział, że w tej sytuacji żaden wybór nie jest dobry. Jeśli obstawia hotel uzbrojoną policją, Larstam się nie zjawi. Zapobiegna morderstwu, ale go nie złapią. I beznadziejna pogoń będzie trwała dalej.

Wallander chciał, żeby Larstam wszedł do restauracji. Chciał go schwytać. Ale zanim zdąży wystrzelić.

Martinsson z pomocą Orlovsky'ego szkicował plan wejść i wyjść, sali restauracyjnej, toalet i kuchni. W głowie Wallandera powoli kształtował się przebieg akcji.

Czas naglił. Wallander z Martinssonem wrócili do komendy. Czekala na nich wiadomość, że posiłki są w drodze. Ann-Britt Hóglund i Lisa Holgersson działały sprawnie.

Umieścili szkic Martinssona w rzutniku.

- Cały plan jest bardzo prosty - powiedział Wallander. -

W jakimś momencie Ake Larstam musi wejść do hotelu. Za tem budynek trzeba otoczyć. Policjanci mają być jak najmniej widoczni. Wiem, że to trudne. Ale jednak spróbujemy. W przeciwnym razie obawiam się, że go spłoszymy.

Rozejrzał się naokoło. Nikt się nie odezwał.

- Gdyby udało mu się przedostać przez zewnętrzny pierścień, nasi ludzie będą w restauracji. Proponuję, żeby Martinsson i Ann-Britt Hóglund, odpowiednio ubrani, udawali kelnerów.

- W kamizelce i kasku? - zapytał Martinsson.

- Jak tylko wejdzie do sali restauracyjnej, musimy go zgnać. Dlatego wszystkie wyjścia będą zablokowane, z wyjątkiem tego przy recepcji. Ja sam będę w ruchu. Jedyne ja potrafię go zidentyfikować.

Wallander zamilkł.

- Co mamy robić, jak się pojawi? - pytał dalej Martinsson.

- Raportujecie bezpośrednio do mnie o wszystkich podejrzanym osobach w obrębie zewnętrznego pierścienia. Będę

miał wszędzie blisko. Jeżeli to on - trzeba go ująć. Gdyby uciekał - strzelamy.

- A jeśli mimo wszystko dostanie się do środka?

- Będziecie mieli broń. Musicie jej użyć.

Wallander ich ponaglał - czas uciekał. Zaczęły napływać posiłki z innych okręgów. Była szósta.

Zanim się rozeszli, Wallander powiedział coś jeszcze:

- Musimy być przygotowani na to, że znowu może przebrać się za kobietę. Nie za Louise. Jakąś inną. Poza tym nie ma pewności, czy w ogóle się pojawi.

- Co wtedy?

- Idziemy spać i śpimy do samego rana. Tego potrzebujemy najbardziej.

Tuż po siódmej byli na miejscu. Martinsson i Ann-Britt włożyli kelnerskie stroje. Wallander urzędował w pokoju za recepcją. Miał łączność radiową z siedmioma odbiornikami na zewnątrz i jednym w kuchni. Pistolet trzymał w kieszeni. Zaczęli się schodzić goście. Ann-Britt Hóglund miała rację - dużo młodych. Równie młodych jak Isa Edengren. I przebranych. Nastrój był radosny. W recepcji i w sali restauracyjnej rozbrzmiewał śmiech. Komisarz myślał, że Ake Larstam nienawidziłby tej radości.

Wallander czekał. Była ósma. Nic się nie działo. Bez przerwy kontaktował się z patrolami na zewnątrz. Nic podejrzanego. Za siedem wpół do dziewiątej przyszło wezwanie z ulicy Supgrand, graniczącej z południową ścianą budynku. Jakiś mężczyzna przystanął na chodniku i wpatrywał się w okna hotelu. Wallander wyskoczył z recepcji. Zanim zdążył wyjść na ulicę, mężczyzna odszedł. W świetle ulicznej latarni jeden z policjantów rozpoznał w nim właściciela sklepu z butami w Ystadzie. Wallander powrócił na swoje miejsce. Z restauracji dochodziły dawne pieśni biesiadne, zaraz potem ktoś wygłaszał mowę. Nic się nie działo. Martinsson stanął w drzwiach restauracji. Wallander czuł nieustające napięcie. Była dziesiąta. Deser został zjedzony. Kolejne pieśni, kolejne przemówienia. Za dwadzieścia jedenasta. Przyjęcie dobiegało końca. Omyliliśmy się, pomyślał Wallander. Nie przyszedł. Albo się zorientował, że hotel jest pod obserwacją.

Poczuł ulgę i zarazem rozczarowanie. Dziewiąta osoba, ktokolwiek nią był, nadal żyła. Jutro przyjrzą się bliżej wszystkim uczestnikom bankietu. Spróbują spośród nich wyłowić zagrożoną osobę. Wciąż nie udało im się ująć Larstama.

Pół godziny przed północą ulica w pobliżu hotelu opustoszała. Goście się rozeszli, policjanci wrócili na komendę. Wallander upewnił się, że przystań i mieszkanie przy ulicy Har-monigatan są pod całonocną obserwacją. Potem pojechał z Martinssonem i Ann-Britt Hóglund. Nie mieli siły dyskutować o minionym wieczorze. Umówili się na ósmą rano. Thurn-berg i Lisa Holgersson zgodzili się z nimi, że w tej chwili zebranie nie miało sensu. Larstam się nie pokazał. Na pytanie dlaczego, spróbują odpowiedzieć nazajutrz.

- I tak zyskaliśmy na czasie - powiedział prokurator. - Kto wie, czy nie dzięki tej akcji.

Wallander poszedł do siebie i zamknął pistolet w szufladzie biurka.

Wsiadł do auta i pojechał do domu, na Mariagatan.

Była za cztery dwunasta, kiedy zaczął wchodzić po schodach.

36

Wallander przekręcił klucz w zamku.

Gdzieś z daleka, z głębi podświadomości, wypłynęło wspomnienie czegoś, co powiedziała Ebba. O zamku w drzwiach. Zamka nie dało się otworzyć tylko wtedy, kiedy od wewnątrz tkwił w nim klucz. Mogło się to zdarzyć, gdy ktoś był w mieszkaniu. Linda, na przykład, zawsze miała zwyczaj wkładać klucz od wewnątrz. Kiedy wracał do domu i nie mógł otworzyć drzwi, od razu wiedział, że Linda jest w domu.

Później niejednokrotnie myślał, że zwolniona reakcja musiała wynikać z przemożnego, przytłaczającego zmęczenia.

Przekręcił klucz, myśląc o tym, co powiedziała Ebba. Ale zamek chodził gładko. Zrozumiał, co to oznacza, w chwili gdy otwierał drzwi. Raczej odgadł, niż ujrzął postać w głębi korytarza. Rzucił się na bok i poczuł jednocześnie piekący ból w prawym policzku. Wpadł na schody i pędził w dół na złamanie karku, z uczuciem, że jego chwile są policzone. Ake Larstam był w jego mieszkaniu. Był tam po to, żeby go zabić. To nie Hansson miał być dziewiątą ofiarą. Ani policjant z Malmö, ani też Ebba, która przyszła po czystą koszulę, kiedy Larstam znajdował się wewnątrz. To jego, Wallandera, Larstam postanowił zgładzić. Dobiegł do wyjścia i szarpnąwszy drzwi, wypadł na ulicę. Dopiero na jej końcu przystanął i odwrócił się. Było pusto. Krew ciekła mu z policzka, pulsowała w obolałej głowie. Sięgnął do kieszeni po broń. Przypomniawszy sobie, że zamknął ją w szufladzie biurka. Cały czas obserwował drzwi wejściowe, spodziewając się, że Larstam lada chwila się ukaże. Stał na najdalszym rogu ulicy. Jedyne, co mógł zrobić na widok Larstama, to rzucić się do ucieczki. Ale zdawał sobie sprawę, że nie może tego uczynić. Nareszcie wiedzieli, gdzie się ukrył. Z mieszkania nie było drugiego wyjścia. Larstam miał tylko jedną drogę odwrotu. Frontowymi drzwiami. Wallander zakrwawionymi rękami szukał w kieszeni komórki. Czyżby zostawił ją w samochodzie? Przypomniawszy sobie. Kiedy wkładał pistolet do szuflady, położył telefon na biurku. I tam go

zostawił. Zaklął z wściekłości. Nie miał ani broni, ani telefonu. Nie mógł wezwać pomocy. Gorączkowo szukał jakiegoś rozwiązania. Nic mu nie przychodziło do głowy. Nie wiedział, jak długo tak stał, z kołnierzem kurtki osłaniającym krwawiący policzek. Nie spuszczał z oka drzwi wejściowych. Niekiedy rzucał wzrokiem na ciemne okna. Larstam tam stoi, myślał. Widzi mnie na dole. Ale nie wie, że nie mam broni. I nie wie, że nie mam komórki. Jeśli za chwilę nie nadejdą posiłki, domyśli się. I wtedy wyjdzie.

Spojrzał na niebo. Księżyc w pełni ledwie wyglądał zza chmur, które pod wieczór nadciągnęły nad Skanię. Nadal było ciepło, lecz zerwał się wiatr. Co robić? - pomyślał. I co myśli Larstam?

Spojrzał na zegarek. Siedem minut po północy. Czwartek, dwudziesty drugi sierpnia. Fakt, że minęła północ, niewiele mu pomoże. Wpadł w pułapkę. Być może Larstam przeczuwał, że Wallander i jego koledzy zainteresują się bankietem w hotelu?

Wallander usiłował odgadnąć, w jaki sposób Larstam dostał się do jego mieszkania. Nie zajęło mu to zbyt dużo czasu. Po raz pierwszy miał wrażenie, że odkrył pewien wzór w jego zachowaniu. Larstam korzystał z okazji. Dzień wcześniej, podczas pogrzebu Svedberga, wszyscy policjanci, co do jednego, byli w kościele. Larstam miał mnóstwo czasu, żeby wejść do mieszkania. Potem znalazł w środku zapasowe klucze.

Myśli kłębiły się w głowie Wallandera. Bolał go policzek. Strach pulsował w całym ciele. Najważniejsze pytanie, dlaczego Larstam wybrał akurat jego, odsuwał na później. Muszę znaleźć jakieś wyjście, myślał. Jakiś sposób. Za plecami miał budynek biurowca. Gdyby nie to, mógłby zapukać w szybę i obudzić jakiegoś mieszkańca. Jeśli zacznie wołać o pomoc, ktoś może dać znać na policję. Ale wtedy nie zdąży ostrzec przybywającego patrolu. I powstanie chaos

Nagle usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Ktoś szedł w jego kierunku. Zza rogu wyłonił się mężczyzna. Szedł prosto na Wallandera, który wyszedł z cienia. Mężczyzna drgnął i stanął jak wryty. Ręce trzymał w kieszeniach skórzanej kurtki. Wyciągnął je i widać było, że się przeląkł. Kiedy Wallander podszedł, cofnął się o krok.

- Jestem z policji - powiedział Wallander. - Zdarzył się wypadek. Potrzebuję pomocy.

Mężczyzna, koło trzydziestki, patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem.

- Nie słyszysz, co mówię? Jestem policjantem. Musisz się skontaktować z komendą. Powiedzieć, że Larstam jest w mieszkaniu Wallandera na Mariagatan. I mają być ostrożni. Zrozumiałeś?

Mężczyzna potrząsnął głową. Potem coś powiedział. Wallander usłyszał obcy język. Polski. Niech to cholera, pomyślał. Też mi się trafił! Jakiś błakający się po Ystadzie Polak.

Spróbował po angielsku. Mężczyzna odpowiadał monosylabami. Wallander stracił cierpliwość. Zrobił krok do przodu i ryknął. Mężczyzna wziął nogi za pas.

Wallander znów został sam. Larstam był na górze, za ciemnymi oknami. Niebawem zrozumie, dlaczego nie nadchodzi pomoc. I wtedy pozostanie mu tylko ucieczka.

Starał się zebrać myśli. Musi być jakieś inne wyjście. Po chwili wpadł na pomysł. Podniósł rękę, jak gdyby dawał znak komuś po drugiej stronie ulicy. Wołając, wskazywał na okna mieszkania. Skrył się za rogiem, gdzie Larstam nie mógł go zobaczyć. Larstam nie wie, że tu nikogo nie ma, pomyślał. Daje mi to kilka minut. Zarazem ryzykuję, że Larstam ucieknie. Póki jeszcze nie został okrążony.

Nagle zdarzyło się coś, o czym nie śmiał marzyć. W ulicę skręcił samochód. Wallander stanął pośrodku ulicy i wymachiwał rękami. Samochód przyhamował. Wallander podbiegł do przodu. Mężczyzna za kierownicą ze złością opuścił szybę. Na widok zakrwawionej twarzy Wallandera, chciał ją szybko zamknąć. Wallander włożył rękę przez okno i szarpnął drzwi. Kierowcą był mężczyzna około pięćdziesiątki. Obok niego siedziała kobieta. Znacznie

młodsza. Wallander odniósł wrażenie, że coś jest nie tak. Ale nie miał czasu się zastanawiać. Miał w głowie tylko jedno: ująć Larstama i zakończyć wreszcie to upiorne śledztwo.

- Policja! - wrzasnęła, wyciągając legitymację. - Zdarzył się wypadek. Macie telefon w samochodzie?

- Nie.

Czy jeszcze nie wszyscy mają komórki? - pomyślał zdesperowany.

- Co się stało? - spytał nerwowo mężczyzna.

- Nieważne. Pozostaje pan od tej chwili do dyspozycji policji. Ma pan jechać prosto na komendę. Wie pan, gdzie to jest?

- Nie jestem stąd - powiedział tamten.

- Ja wiem - odparła kobieta.

- Macie jechać i powiedzieć, że Larstam jest w mieszkaniu Wallandera - kontynuował. - Jasne? Mężczyzna skinął głową.

- Proszę powtórzyć - rozkazał Wallander.

- Larstam jest w mieszkaniu Wallgrena.

- Do diabła! Nie Wallgrena, Wallandera!

- Larstam jest w mieszkaniu Wallandera.

- Powie pan, że Wallander potrzebuje pomocy. I że trzeba zachować środki ostrożności.

Mężczyzna powtórzył, tym razem prawidłowo.

- Co się stało? - spytała kobieta.

- Nic nie mogę powiedzieć. Proszę jechać.

Mężczyzna skinął głową. Samochód odjechał. Wallander

wrócił na róg i wyjrzał. Jak długo go nie było? Może minutę z kawałkiem. Larstam musi być nadal na górze. Wallander spojrzał na zegarek. Najdalej za dziesięć minut zjawi się pierwszy radiowóz. Ale czy Larstam będzie tak długo czekał?

Ból przewędrował do głowy. Przypiliło go. Rozpiął rozporek, nie spuszczać wzroku z drzwi wyjściowych. Minęły trzy minuty. Jeśli kobieta знаła drogę, powinni już być w komendzie. Ktokolwiek ma dyżur, zrozumie, że to pilne. Wallander poczuł budzącą się nadzieję.

Po siedemnastu minutach wciąż nie było śladu radiowozów. Wallander rozumiał, że para w samochodzie wcale nie pojechała do komendy. Oszukali go. Znowu znajdował się w punkcie wyjścia.

Podczas gdy zastanawiał się, co dalej, doszedł do niego jakiś dźwięk. Z początku nie potrafił go zlokalizować ani zidentyfikować. Dźwięk nie powrócił. Zastanawiał się, czy nie dałoby się od zewnątrz zabarykadować drzwi frontowych. Złapać go w potrzask. Ale w jaki sposób je zablokować? Larstam ma się na baczności. Jeżeli otworzy drzwi i dostrzeże Wallandera na klatce, będzie to jego koniec. Tym razem Larstam nie spudłuje.

Rozmyślenia przerwał odgłos silnika samochodu. Dochodził z za domu. Nie umiał powiedzieć, skąd wiedział, że to Larstam. Przeoczył możliwą drogę ucieczki. Dźwięk, który przedtem słyszał, pochodził z dachu, po którym ktoś ostrożnie się skradał. Pół piętra nad jego mieszkaniem było okno dachowe. Larstam je odkrył. Jakimś sposobem spuścił się z dachu.

Wallander zaczął biec ulicą. Z przeciwległego rogu

zdażył tylko ujrzeć odjeżdżający czerwony samochód. Mimo że nie widział, kto siedzi za kierownicą, był pewien, że to Larstam. Nie zastanawiając się, pobiegł do samochodu i ruszył za nim. Ujrzał tylne światła samochodu Larstama. Za chwilę zrozumie, że go śledzę, pomyślał Wallander. Ale nie może wiedzieć, że nie mam broni. Wyjechali na drogę numer dziewiętnaście w kierunku Kristianstadu. Larstam jechał szybko. Strzałka wskaźnika paliwa znajdowała się w dolnej granicy czerwonego pola. Komisarz usiłował zgadnąć, dokąd tamten zdążył. Miał z pewnością jakiś cel. To, że jechał szybko, nie musiało oznaczać rozpaczliwej i chaotycznej ucieczki. Mijali Stora Herrestad. Był mały ruch. Wallander widział po drodze tylko dwa samochody. Co zrobię, jeśli Larstam się zatrzyma? - pomyślał. I wysiądzie? Z bronią w

ręku. Zachowywał stosowną odległość, gotów w każdej chwili zahamować. Larstam musiał już wiedzieć, że Wallander go ściga. Nagle zauważył, że jadący przed nim samochód przyśpiesza. Wchodzili w kręty odcinek drogi. Wallander stracił z oczu samochód Larstama. Za każdym razem, gdy wychodził z zakrętu, wyobrażał sobie, że Larstam się na niego zaczął. Wciąż szukał wyjścia. Był sam. Nikt nie wiedział, gdzie jest, i znikąd nie mógł liczyć na pomoc.

Znowu ujrzał samochód Larstama. Skręcał w boczną drogę, prowadzącą do Fyledalenu. W tym momencie wyłączył światła.

Wallander raptownie przyhamował. Powoli podjeżdżał do tamtej drogi. Księżyc prześwitywał od czasu do czasu pomiędzy chmurami. Była ciemna sierpniowa noc. Wallander zatrzymał się na poboczu. Wyłączył reflektory. Szybko wysiadł z samochodu i zrobił kilka kroków w bok. Panowała cisza. Samochód Larstama również się zatrzymał. Nie było słyhać silnika.

Wallander wślizgnął się głębiej w ciemność na poboczu drogi. Podciągnął suwak kurtki i schował kołnierzyk koszuli. Kurtka była ciemnoniebieska. Biała koszula byłaby zbyt widoczna. Niechcący przejechał ręką po policzku, który zaczął od nowa krwawić. Przelazł przez rów i wylądował na skraju pastwiska. Nadepnął na coś. Usłyszał trzask. Zaklął po cichu i oddalił się stamtąd, idąc wzdłuż rowu. Nie tylko ja nasłuchuje, myślał. Larstam również. Przykucnął i usiłował przebić ciemności wzrokiem. Potem spojrzął na niebo. Księżyc skrył się za chmurą. Za chwilę znów wyjrzy.

Posuwał się ostrożnie wzdłuż rowu, aż doszedł do kępy krzaków. Skulił się za nimi. Jeśli się nie mylił, znajdował się w tej chwili naprzeciwko wjazdu na drogę do Fyledalenu. Zmieniając pozycję, trącił nogą jakiś przedmiot. Był to odłamany kawałek deski. Podniósł go. Powoli zamieniam się w człowieka pierwotnego, pomyślał. Szwedzka władza broni się deską. Czyżby to była wizja przyszłości? Powrót do dawnych praw dzielnicowych, które dopuszczały zemstę rodową?

Księżyc wypłynął zza chmury. Wallander przykucnął za krzakami, które pachniały ziemią i gliną. Widział teraz samochód Larstama. Stał na bocznej drodze, tuż za zakrętem. Wokół panowała cisza. Usiłował przebić wzrokiem cienie po drugiej stronie drogi. Znowu napłynęła chmura. Powróciła ciemność. Wallander usiłował się skupić. Larstam na pewno nie siedzi w samochodzie. Ale co myśli? Wie, że Wallander go śledził. Ponieważ jest przezorny, liczy się z tym, że Wallander ma broń. Musi się domyślać, dlaczego nie zjawił się żaden radiowóz. Wallander nie był w stanie nawiązać z nimi kontaktu. Zatem byli sami w pobliżu Fyledalenu. Dwaj uzbrojeni mężczyźni. Wallander zdawał sobie sprawę, że jego jedyną szansą jest to, że Larstam nie wie, iż deska, którą trzyma w ręku, jest jego jedyną bronią.

Usiłował zebrać myśli. Co robić? Zaczekać do świtu? Zatrzymać samochody na drodze? A potem zamknąć całe Fyledalen, które od północnego wschodu graniczyło z gminą ystadzką? To nic nie da. Zanim zabezpieczą teren i wezwą patrol z psami, Larstama już dawno nie będzie. Wallander wiedział, jak sprawnie wynajduje zapasowe wyjścia, jak potrafi ująć całość.

Rozważał inne możliwości, których tak naprawdę nie było. Cały czas nasłuchiwał. Słyszał tylko szum wiatru. Wiele razy mroził go strach na myśl, że Larstam jest całkiem blisko. Gdzieś za nim lub przy nim. Z pistoletem uniesionym w górę. Tym samym, z którego przedtem bezgłośnie strzelił mu w czoło.

Wallander nie usłyszał strzału. Poczuł tylko ból i szarpnięcie w policzku. Broń miała tłumik.

Cały czas próbował sobie wyobrazić, co Larstam myśli. Stało się coś, czego nie zaplanował. Gdzieś była granica, poza którą kończyły się zapasowe wyjścia i potajemne drzwi.

Przypuszczał, że Larstam był zbity z tropu i reagował podobnie jak on. Nie mógł zostać w samochodzie. Ciekawe tylko, czy był w pobliżu, czy też zapuścił się głębiej, w kierunku Fyledalenu.

Widzi w ciemności tak samo źle jak ja, pomyślał Wallander. Ani trochę lepiej. Znajdujemy się pod tą samą chmurą.

Wallander postanowił przedostać się na drugą stronę drogi i z boku podejść do samochodu. W tym momencie niebo zasnuły gęste chmury. Księżyc nie było widać. Przebiegł skulony przez drogę i skrył się za krzakami. Samochód Larstama był o dwadzieścia metrów od niego. Nasłuchiwał. Cisza. Miał ze sobą deskę.

Nagle coś usłyszał. Trzask łamanej gałęzi. Dźwięk dochodził z naprzeciwka. Wallander wsunął się głębiej w krzaki. Znowu usłyszał trzask, tym razem słabszy. Kroki człowieka. Oddalał się od samochodu i szedł w stronę doliny. A zatem Larstam czekał, podobnie jak on. Teraz się ruszył. Gdyby Wallander nie przeszedł przez drogę, nigdy by nie usłyszał kroków. Mam przewagę, myślał. Słyszę cię. A ty nie wiesz, że jestem tuż obok.

Znowu trzask. Tym razem jak gdyby Larstam wpadł na drzewo. Dochodzące dźwięki były coraz słabsze. Wallander wydostał się z krzaków i począł iść wzdłuż drogi. Szedł na ugiętych kolanach, trzymając się zarośli na poboczu. Co piąty krok przystawał. Droga prowadziła lekko w dół, w kierunku Fyledalenu. Pamiętał, że z lewej strony płynęła rzeka. Nie wiedział, czy to była Fyle, czy Nybro. Kiedy przeszedł około pięćdziesięciu metrów, przystanął. Nasłuchiwał. Nocny ptak krzyknął gdzieś w pobliżu. Odczekał ponad pięć minut. Trzasków nie było już słyhać. Co to znaczy? Czyżby Larstam się zatrzymał? Czy też poruszał się tak szybko i bezgłośnie, że znalazł się poza zasięgiem słuchu? Wallander poczuł, jak ogarnia go strach. Znowu coś przeoczył. Co myślał Larstam? Czy celowo łamał gałązki, żeby go zwabić? Czuł, jak łomocze mu serce. Mężczyzna z pistoletem znów był w pobliżu. Wallander rzucił okiem na niebo. W chmurach pojawiała się rysa. Za chwilę wyjdzie księżyc. Zrozumiał, że nie może tu zostać. Jeśli Larstam go zwabił, to musi być tuż przed nim. Wallander przeleciał na drugą stronę ulicy i wbiegł szybko na niskie zbocze. Przykucnął za drzewem i czekał.

Wyjrzał księżyc.

Krajobraz zabarwił się na niebiesko. Wallander próbował dostrzec skraj drogi z miejsca, gdzie przystanął. Niczego nie było widać. Zauważył, że zarośla się przerzedzały. Dalej było wzniesienie. Na szczycie pagórka stało samotne drzewo.

Księżyc znów wsunął się w chmury.

Wallander myślał o drzewie w rezerwacie. Tym, które dostrzegł i za którym skrył się morderca. Wtedy morderca był mężczyzną bez twarzy. Teraz wiedzieli, że nazywa się Ake Larstam. Jest jak kot, pomyślał Wallander. Wybiera wysokie i odosobnione miejsca, by mieć otwarty widok i panować nad sytuacją.

Natychmiast uznał, że Larstam kryje się za samotnym drzewem. Nie miał powodu dalej uciekać. Przynajmniej dopóki nie zabije Wallandera. Tak postanowił. Bez tego nie mógł kontynuować ucieczki.

Wallander ujrzał w tym szansę dla siebie. Larstam nie mógł podejrzewać, że na tyle go przejrzał. W dodatku całą uwagę miał skierowaną na drogę. Stamtąd spodziewał się komisarza. Wtedy podkradnie się całkiem blisko i zabije go jednym, tym razem celnym strzałem.

Wallander wiedział, jak ma postąpić. Zrobi długi okrążający manewr. Pójdzie z powrotem wzdłuż drogi, w górę zboczem po lewej, a potem prosto w kierunku drzewa, za którym skrył się Larstam.

Nie wiedział, co później nastąpi. I nie chciał o tym myśleć.

Manewr wykonał w trzech częściach. Najpierw poszedł z powrotem wzdłuż drogi. Potem w górę, bardzo wolno, żeby go nie było słyhać. Na końcu szedł równoległe do drogi. Przystanął. Warstwa chmur gęstniała. Bez światła księżyc niewiele widział. Cekał. Było sześć po drugiej.

Za trzy wpół do trzeciej księżyc wreszcie wyjrzał zza chmur. Wallander spostrzegł, że znajduje się na linii drzewa. Nie mógł dostrzec, czy ktoś przy nim stoi. Odległość była zbyt duża. Rosły gęste zarośla. Usiłował zapamiętać układ terenu. Lekkie wzniesienie, za nim krzaki, a potem jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów do drzewa.

Księżyc zniknął za chmurami. Z daleka doszedł krzyk nocnego ptaka. Wallander usiłował przemówić sobie do rozsądku. Larstam miał z pewnością wyostrzone zmysły. Nawet jeśli nie liczył się z tym, że komisarz go zlokalizował i zamierzał zająć od tyłu, nie należało go lekceważyć. Niezależnie od tego, z której strony Wallander go podejdzie, Larstam będzie w pełnej gotowości.

Mimo to ruszył w kierunku drzewa. Posuwał się niezwykle powoli, po omacku szukając drogi. Lał się z niego pot. Był przekonany, że słycać łomot jego serca. W końcu dotarł do zarośli. Znowu spojrzął na niebo. Gęsta pokrywa chmur. Po raz trzeci usłyszał ptaka. Uznał, że to ten sam. Ostrożnie wyjrzał zza krzaków. Panowała nieprzenikniona ciemność. Postanowił czekać.

Minęło blisko dwadzieścia minut, zanim księżyc powtórnie wyjrzał zza chmur. Czekał w napięciu, mimo że nie wiedział, co pocznie, jeżeli Larstam będzie stał za drzewem. Nie miał pojęcia. I bał się własnej porywczosci.

Światło rozcięło chmury. Jego oczom ukazał się Larstam. Przyłgął całym ciałem do pnia, całkowicie pochłonięty obserwacją drogi. Wallander widział jego dłonie. Pistolet musiał trzymać w kieszeni. Wyjęcie go i odwrócenie się zajmie mu kilka sekund. Tyle czasu miał Wallander do dyspozycji. Próbował oszacować odległość od drzewa, prześlizgnął się wzrokiem po terenie. Nie zauważył żadnych przeszkód, widocznych wklęsłości czy kamieni. Obrzucił szybkim spojrzeniem niebo. Za chwilę blask księżyca zgaśnie. Żeby się zbliżyć do Larstama, musi ruszyć w momencie, gdy zniknie światło i nadciągną chmury. Ścisnął w rękę deskę.

To szaleństwo, myślał. Robię coś, czego nie powinienem. Robię to, bo muszę.

Światło księżyca przygasało. Powoli wstał, był gotowy. Larstam się nie poruszył. Miał ochotę wydać bojowy okrzyk. Zyskałby może parę sekund, gdyby Larstam się przestraszył. Ale nie mógł przewidzieć, jak zareaguje mężczyzna stojący pod drzewem. Wallander wyskoczył do przodu. Deskę trzymał nad głową. Był już prawie przy drzewie. Księżyc rzucał nikłe światło. Wallander trafił na jakiś niewidoczny kamień czy korzeń. Stracił równowagę. Larstam się odwrócił. Wallander schwycił go za nogę. Larstam jęknął i wyrwał się. Zanim zdążył wyciągnąć z kieszeni broń, Wallander rzucił się na niego. Pierwszy cios deską trafił w pień drzewa. Deska pękła. Było już niemal ciemno. Wallander cisnął resztką deski w Larstama. I potem trzasnął zaciśniętą pięścią. Nie wiedział, skąd brał siły. Ale czystym trafem uderzył w sam środek szczęki. Zatrzeszczało i Larstam padł bezgłośnie. Wallander zwałił się na niego, uderzył jeszcze raz i drugi, zanim do niego dotarło, że leżący pod nim mężczyzna jest nieprzytomny. Wówczas wyciągnął mu z kieszeni broń, którą Larstam zabił tylu ludzi.

Miał ochotę przyłożyć mu pistolet do głowy i nacisnąć spust. Ale się powstrzymał.

Potem taszczył nieprzytomnego Larstama w dół, do drogi. Dopiero kiedy byli przy samochodzie Wallandera, tamten zaczął jęczeć. Wallander wyciągnął linę holowniczą z bagażnika i skrępował mu ramiona. Potem przywiązał go do fotela dla pasażera.

Usiadł za kierownicą i spojrzął na Larstama. Nagle wydało mu się, że obok niego siedzi Louise.

Wallander przyjechał do komendy za piętnaście czwarta. Kiedy wysiadał z samochodu, zaczęło padać. Wystawił twarz na krople deszczu. Potem wszedł, żeby porozmawiać z dyżurnym policjantem. Ku jego zdziwieniu był nim Edmundsson. Pił kawę i jadł kanapkę. Wzdrygnął się na widok Wallandera, który zdał sobie sprawę, jak musi wyglądać. W dodatku ubranie miał zabłocone i oblepione igliwem.

- Co się stało?

- Żadnych pytań - powiedział stanowczo Wallander. - Mam w samochodzie związanego człowieka. Weź kogoś, załóż mu kajdanki i wprowadź do środka.

- Kto to?

- Ake Larstam.

Edmundsson wstał, trzymając w ręku kanapkę z paszтетem. Wallander, niewiele myśląc, wyjął mu ją z ręki i włożył sobie do ust. Bolał go policzek. Ale głód był silniejszy od bólu.

- Powiedziałaś, że masz sprawcę w samochodzie?

- Słyszysz, co mówię. Załóż mu kajdanki. Wprowadź do pokoju i zamknij na klucz. Jaki jest numer do Thurnberga?

Edmundsson sprawdził numer w komputerze i wyszedł. Wallander dokończył kanapkę. Gryzł powoli. Nie musiał się już śpieszyć. Wybrał numer do Thurnberga. Długo trwało, zanim ktoś odebrał. Usłyszał kobiecy głos. Przedstawił się. Thurnberg podszedł do telefonu.

- Tu Wallander. Sądzę, że powinien pan przyjechać.

- Dlaczego? Która godzina?

- Godzina nie ma znaczenia. Ale powinien pan przyjechać i dokonać formalnego zatrzymania Ake Larstama.

Wallander słyszał, jak Thurnberg łapie oddech.

- Jeszcze raz.

- Mam Larstama.

- Jak pan go, do cholery, złapał? Pierwszy raz słyszał, żeby Thurnberg zaklął.

- Znalazłem go w lesie.

Thurnberg zrozumiał, że to nie był żart.

- Już jadę - powiedział.

Edmundsson z kolegą wprowadzili Larstama. Spojrzenie Wallandera napotkało jego wzrok. Żaden z nich się nie odezwał.

Wallander wszedł do pokoju zebrań. Broń Larstama położył na stole.

Wkrótce zjawiał się Thurnberg. Cofnął się na widok Wallandera, który ciągle jeszcze nie wiedział, jak wygląda. Znalazł natomiast proszki przeciwbólowe w szufladzie biurka. I spostrzegł leżącą na stole komórkę. Zmęczonym ruchem wrzucił ją ze złością do kosza na papiery. Niech leży. Wyciągnął ją przy sprzątaniu.

Pokrótko zreferował, co się wydarzyło. Wskazał na broń.

Jakby gotując się na jakąś uroczystość, Thurnberg wyciągnął z kieszeni krawat i zaczął go wiązać.

- No i złapał go pan. A to ci historia!

- Zgadza się. Niezła historia. Ale porozmawiamy o niej innym razem.

- Może powinniśmy zawiadomić pozostałych? - zaproponował Thurnberg.

- Po co? Niech się raz wyśpią. Po co ich budzić?

Thurnberg zgodził się z nim. Potem wyszedł, żeby zająć się Larstamem.

Wallander wstał z trudem i poszedł do toalety. Na policzku miał głębokie zadraśnięcie. Pewnie trzeba będzie założyć szwy. Nie miał siły myśleć o jeździe do szpitala. Odłoży to na później. Było wpół do piątej.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Rano Martinsson przyszedł pierwszy. Źle spał w nocy i niepokój przygnał go do komendy.

Thurnberg był na miejscu i przekazał nowinę. Martinsson od razu zadzwonił do Ann-Britt Hóglund, Nyberga i Hanssona. Chwilę później przybyła Lisa Holgersson.

Kiedy wszyscy się zebrali, ktoś zapytał, gdzie podziewa się Wallander. Według Thurnberga po prostu zniknął. Prawdopodobnie pojechał do szpitala, żeby opatrzyć ranę na policzku.

O wpół do dziewiątej Martinsson zadzwonił do Wallandera do domu. Nikt nie odpowiadał. Wówczas Ann-Britt zaproponowała, żeby sprawdzić, czy Wallander najzwyczajniej w świecie nie siedzi u siebie. Drzwi od pokoju były zamknięte. Martinsson lekko zapukał. Nie było odpowiedzi.

Otworzyli drzwi.

Wallander leżał na podłodze i spał. Pod głowę podłożył książkę telefoniczną i kurtkę.

Spał głęboko, pochrapując.

Ann-Britt Hóglund i Martinsson popatrzyli na siebie.
Potem wyszli, zamykając za sobą drzwi.

Epilog

W piątek dwudziestego piątego października w Ystadzie padał uporczywy deszcz.

Wiał porywisty, południowo-wschodni wiatr. Kiedy Wallander stanął w bramie domu przy ulicy Mariagatan, temperatura wynosiła siedem stopni. Mimo że postanowił jak najczęściej chodzić do komendy piechotą, tego ranka wziął samochód. Przez ostatnie dwa tygodnie był na zwolnieniu lekarskim. Dzień wcześniej doktor Góransson dodał mu jeszcze tydzień. Udało się obniżyć poziom cukru. Ale ciśnienie miał ciągle za wysokie. Zanim mu je zmierzili, odpoczywał przez piętnaście minut. Mimo to aparat pokazał wynik sto sześćdziesiąt na sto dwadzieścia. Wallander miał się nie pokazywać w pracy jeszcze przynajmniej przez tydzień. A nawet dłużej.

Nie jechał do komendy, żeby pracować. Miał przed sobą ważne spotkanie. Zgodził się na nie w zamęcie sierpniowych dni, gdy jeszcze nie wiedzieli, kim jest brutalny sprawca i czy przypadkiem znowu nie zaatakuje.

Wallander doskonale pamiętał tę chwilę. Martinsson był u niego w pokoju. Opowiadał o swoim jedenastoletnim synu, który stwierdził, że chce zostać policjantem. Martinsson się skarżył, że nie wie, co mu powiedzieć. I Wallander obiecał, że z chłopcem pogada. Jak już będzie po wszystkim. Teraz jechał spełnić obietnicę. Wtedy obiecał coś jeszcze. Że chłopcu, który miał na imię David, pozwoli przymierzyć czapkę od munduru. Poprzedniego wieczoru Wallander z wielkim trudem odszukał czapkę w torbie upchniętej głęboko w szafie. Przed pogrzebem Svedberga nie udało mu się jej znaleźć.

Włożył czapkę na głowę i spojrzął do lustra. Zupełnie jakby oglądał stare, niemal zapomniane zdjęcie. Powróciły wspomnienia.

Wallander zaparkował samochód i kuląc się na wietrze, podbiegł do wejścia. Ebba była przeziębiona. Wycierając nos, dała mu znak, żeby się trzymał z daleka. Wallander pomyślał, że za rok już nie będzie siedziała w komendzie. Przejdzie na emeryturę. Czekala na nią i jednocześnie się jej obawiała.

David miał przyjść za piętnaście dni. Wallander zdążył jeszcze przedtem uprzątnąć biurko. Za kilka godzin wyjedzie z Ystadu. Nie był do końca pewny, czy decyzja jest słuszna. Ale cieszył się na myśl, że będzie przemierzał samochodem jesienny krajobraz, przy dźwiękach operowej muzyki.

David był punktualny. Wprowadziła go Ebba.

- Masz gościa - powiedziała z uśmiechem.

- I to ważnego - odparł Wallander.

Chłopiec przypominał ojca. Wyczuwało się w nim pewną rezerwę, niekiedy tak wyraźną u Martinssona. Wallander położył czapkę na stole.

- Od czego zaczniemy? - zapytał. - Od czapki czy od pytań?

- Od pytań.

David wyciągnął z kieszeni kartkę. Przygotował się.

- Dlaczego został pan policjantem?

To proste pytanie zaskoczyło Wallandera. Musiał się namyślić. Postanowił sobie, że spotkanie z Davidem potraktuje poważnie. Chciał, żeby odpowiedzi były szczere i przemyślane.

- Chyba myślałem, że będzie ze mnie dobry policjant.

- A nie wszyscy policjanci są dobrzy? To nie było pytanie z kartki.

- Większość. Ale nie wszyscy. To tak jak z nauczycielami.

- Co powiedzieli rodzice, kiedy powiedział pan, że chce zostać policjantem?

- Mama nic nie mówiła, zmarła, zanim podjąłem decyzję.
 - A tata?
 - Był przeciwny. Do tego stopnia, że prawie przestaliśmy ze sobą rozmawiać.
 - Dlaczego?
 - Do dziś nie wiem. Może to dziwnie brzmi. Ale tak było.
 - Chyba go pan pytał?
 - Nigdy nie odpowiadał.
 - Czy on żyje?
 - Niedawno zmarł. Nie mogę już zapytać. Nawet gdybym chciał.
- Widać było, że słowa Wallandera sprawiły chłopcu przykrość. Niepewnie odszukał następne pytanie na kartce.
- Czy żałował pan kiedyś, że został policjantem?
 - Wiele razy. Myślę, że jak każdy z nas.
 - Dlaczego?
 - Widzi się tyle okropności. Czuje się bezradność. I człowiek się zastanawia, jak dotrwa do emerytury.
 - Uważa pan, że to, co pan robi, jest pożyteczne?
 - Czasami. Ale nie zawsze.
 - Myśli pan, że mam zostać policjantem?
 - Myślę, że powinienś poczekać z decyzją. Jak będziesz miał siedemnaście-osiemnaście lat, lepiej będziesz wiedział, czego chcesz.
 - Chcę zostać policjantem albo budować drogi.
 - Budować drogi?
 - To musi być fajna praca. Ułatwiać ludziom podróżowanie.
- Wallander skinął głową. Chłopiec był rezolutny. Ale nie stary malutki.
- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział David. - Czy pan się czasem boi?
 - Prawdę mówiąc, dość często.
 - I co pan wtedy robi?
 - Nie wiem. Źle śpiam. Staram się myśleć o czymś innym. Jeśli się da.
- Chłopiec schował kartkę do kieszeni i spojrzał na czapkę. Wallander mu ją podał. David włożył czapkę na głowę. Wallander zaprowadził go do lustra, żeby mógł się przejrzeć. Czapka była za duża i spadała na uszy. Potem odprowadził chłopca do recepcji.
- Możesz przyjść znowu, jak będziesz miał więcej pytań
 - powiedział Wallander.
- Stojąc, patrzył, jak mały znika w deszczu i podmuchach wiatru. Wrócił do biura i dokończył porządkowania sterty pa-
- A»K

pierów. Znow nabrał ochoty na wyjazd. Chciał jak najszybciej wyjść z komendy. Nagle w drzwiach stanęła Ann-Britt Hóglund.

- Myślałam, że jesteś na zwolnieniu.
 - Bo jestem.
 - Jak przebiegło spotkanie?
 - Jakie spotkanie? - spytał, nie rozumiejąc.
 - Martinsson się wygadał.
 - David to rozumny chłopiec. Staralem się szczerze odpowiadać na pytania. Zastanawiałem się, czy jego tata nie maczał w tym palców.
- Odstawił ostatnie skoroszyty. Biurko było puste. Ann-Britt usiadła na krześle.
- Masz czas?

- Tylko chwilę. Wyjeżdżam na kilka dni. Wstała i zamknęła drzwi.

- Właściwie nie wiem, po co ci to mówię - powiedziała, siadając. - Chciałabym, żeby na razie pozostało to między nami.

Odchodzi, pomyślał Wallander. Ma już dość. Przyszła, żeby mi to zakomunikować.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Czasami człowiek chce się podzielić tym, co go dręczy. Chociaż z jedną osobą.

- Ze mną jest podobnie.

- Rozwodzę się - powiedziała. - Doszliśmy do czegoś w rodzaju porozumienia. O ile można mówić o porozumieniu, gdy w grę wchodzi dwoje małych dzieci.

Wallander nie był zaskoczony. Już wcześniej wspominała, że nie najlepiej się im układa.

- Nie wiem, co mam powiedzieć - odparł.

- Nie musisz nic mówić. Nie chcę, żebyś coś mówił. Wystarczy, że wiesz.

- Sam się rozwiodłem - powiedział. - A raczej zostałem rozwiedziony. Wiem, jakie to piekło.

- Mimo to dobrze sobie poradziłeś.

- Tak sądzisz? Myślę, że wręcz przeciwnie.

- W takim razie skrzętnie to ukrywasz.

- To mi się rzeczywiście udało. Masz chyba rację. Deszcz walił w szyby. Wiatr się wzmagał.

- Jest jeszcze jedna rzecz - powiedziała. - Larstam pisze książkę.

- Jaką książkę?

- O popełnionych morderstwach. O sobie.

- Skąd wiesz?

- Czytałam w gazecie.

- Kto mu za to płaci? - spytał oburzony Wallander.

- Wydawnictwo. Wysokość honorarium jest naturalnie tajemnicą. Na pewno słona sumka.

Tajniki duszy seryjnego mordercy dobrze się sprzedają.

Wallander gwałtownie potrząsnął głową.

- Niedobrze się robi.

- Być może zostanie bogatym człowiekiem. Nie to co my.

- Przystępstwo najwyraźniej się opłaca.

- Chciałam tylko, żebyś wiedział - powtórzyła, wstając. - To wszystko.

W drzwiach się odwróciła.

- Przyjemnej podróży, dokądkolwiek jedziesz.

Odeszła. Wallander myślał o tym, co mówiła. O rozwodzie i o książce mordercy. O swoim oburzeniu. I wysokim ciśnieniu.

Miał wyjść, jak tylko skończy. Ale ciągle siedział. Wydarzenia sprzed dwóch miesięcy stanęły mu przed oczami.

Udało im się złapać Larstama, zanim zgładził dziewiątą ofiarę. Wszystkich, którzy później mieli z nim do czynienia, uderzała jego rezerwa i powściągliwość. Oczekiwali potwora i ze względu na swoje czyny był potworem. Ale nie był to człowiek, który zainteresowałby Sture Björklunda i międzynarodowy przemysł filmów grozy. Czasem myślał, że Ake Larstam był najbardziej zwyczajnym człowiekiem, jakiego w życiu spotkał.

Spędził wiele długich dni, przesłuchując go. Często odnosił wrażenie, że Ake Larstam był zagadką nie tylko dla otoczenia, ale i dla siebie samego. Odpowiadał otwarcie i szczerze na pytania Wallandera. Ale ten niczego się właściwie nie dowiedział.

- Dlaczego ich zabiłeś? - zapytał go Wallander. - Tę trójkę w rezerwacie? Otwierałeś ich listy, wyspiegowałeś miejsce spotkania. Czekałeś tam. I zastrzeliłeś ich.

- Czy może być coś lepszego niż śmierć w szczytowym momencie życia?
- Czy zabiłeś ich dlatego? Żeby im zrobić przysługę?
- Chyba tak.
- Chyba? Musisz przecież wiedzieć. Wszystko miałeś zaplanowane.
- Planowanie nie ma nic do tego.
- Jeździłeś po Europie i wysyłałeś kartki. Ukryłeś ich samochody. Ukryłeś ich ciała. Dlaczego?
- Nie chciałem, żeby ich odnaleziono.
- Dlaczego zakopałeś ciała tak, żeby móc je potem wyciągnąć?
- Chciałem zostawić sobie tę możliwość.
- Ale dlaczego?
- Nie wiem. Żeby zwrócić na siebie uwagę. Nie wiem.
- Pofatygowałeś się aż na Barnsö, żeby zabić Ise Edengren. Dlaczego nie pozwoliłeś jej żyć?
- Trzeba dokończyć to, co zaczęte.

Czasami Wallander nie wytrzymał. Wychodził z pokoju z przekonaniem, że siedzi tam potwór. Z uprzejmym uśmiechem i o powściągliwym sposobie bycia. Potem zmuszał się do powrotu i dalszego przesłuchania. Pytał o młodą parę, którą Larstam również szpiegował. Zasługiwała na śmierć, gdyż biło od nich szczęście, którego nie był w stanie znieść.

Na końcu mówili o Svedbergu. O długim i skomplikowanym, otoczonym tajemnicą związku. O trójkącie, bo Bror Sun-delius nie wiedział, że Svedberg zdradzał go z innym mężczyzną. Mówili o Stridhu, który znał całą historię i groził, że ich wyda. Mówili o lęku Svedberga, kiedy zrozumiał, że człowiek, którego znał od dziesięciu lat, miał coś wspólnego z zaginięciem młodych ludzi. Wspomnieli nawet o teleskopie, który Larstam wstawił do szopy Bjórklunda, żeby zmylić ślady.

Podczas wielokrotnych przesłuchań Wallander często odnosił wrażenie, że odpowiedzi Larstama niewiele wyjaśniały. To, co mówił, było w pewnym sensie niewystarczające. Był zawsze uprzejmy, przeproszał, kiedy czegoś dokładnie nie pamiętał. Ale istniała w nim jakaś przestrzeń, do której Wallander nie mógł dotrzeć. Nie mógł również zrozumieć natury związku Larstama ze Svedbergiem.

- Co się właściwie wydarzyło tamtego ranka?
- Którego ranka?
- Kiedy poszedłeś do mieszkania Svedberga, żeby go zastrzelić z broni, którą ukradłeś w Ludvice. Przy okazji wizyty u siostry we Fredriksbergu?
- Byłem zmuszony go zabić.
- Dlaczego?
- Oskarżał mnie. Że mam coś wspólnego z zaginięciem młodych ludzi.
- Oni nie zaginęli. Zostali zamordowani. Co spowodowało, że zaczął cię podejrzewać?
- Mówiłem mu o tym.
- Powiedziałaś mu, co zrobiłeś?
- Nie. Ale opowiadałem mu moje sny.
- Jakie sny?
- O tym, jak zmusić ludzi, żeby przestali się śmiać.
- Dlaczego ludzie mają się nie śmiać?
- Prędzej czy później szczęście obraca się w swoje przeciwieństwo. Chciałem im tego zaoszczędzić. Śniłem o tym i opowiadałem mu.
- Że zdarza ci się myśleć o tym, żeby zabijać szczęśliwych ludzi?
- Tak.
- Czyżby zaczął cię podejrzewać?
- Zorientowałem się dopiero na kilka dni przed tym.
- Przed czym?
- Zanim go zastrzeliłem.

- Co się stało?

- Zaczął zadawać pytania. Jak na przesłuchaniu. Zdenerwowałem się. Nie lubię uczucia niepokoju.

- Poszedłeś więc do niego i go zastrzeliłeś?

- Siedział na krześle. Z początku chciałem go tylko poprosić, żeby mnie przestał denerwować pytaniami. Ale pytał dalej. Byłem więc zmuszony z tym skończyć. Miałem ze sobą strzelbę, którą zostawiłem w korytarzu. Wziąłem ją stamtąd i go zastrzeliłem.

Wallander długo milczał. Usiłował sobie wyobrazić ostatnie chwile życia Svedberga. Czy zdążył zrozumieć? Czy wszystko odbyło się za szybko?

- To musiało być trudne - odezwał się po chwili. - Zabić człowieka, którego się kocha?

Larstam nie odpowiedział. Twarz miał bez wyrazu. Wallander powtórzył pytanie, ale i tym razem nie otrzymał odpowiedzi.

Przeszukując ubranie Larstama po schwytaniu go przez Wallandera, znaleźli w kieszeni mały aparat fotograficzny. Na filmie były dwa zdjęcia. Pierwsze zrobione w rezerwacie, zaraz po tym, jak Larstam zastrzelił trójkę młodych. Drugie na Barnsö. Z fleszem. Isa Edengren leżała skulona wśród paproci.

Wallander położył zdjęcia na stole przed sobą.

- Dlaczego fotografowałeś ofiary?

- Chciałem pamiętać.

- Co pamiętać?

- Jak było.

- To znaczy pamiętać, co czujesz, zgładziwszy kilkoro niewinnych ludzi?

- Raczej, że zrobiłem to, co sobie postanowiłem.

Wallander miał więcej pytań. Ale zbierało mu się na

mdłości i odsunął zdjęcia. Nie był w stanie. W każdym razie nie wtedy.

Przeszedł do ostatniej nocy, kiedy to Larstam czekał na niego w mieszkaniu przy Mariagatan.

- Dlaczego właściwie mnie wybrałeś jako następną ofiarę?

- Nie miałem nikogo innego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Z początku miałem odczekać. Rok, może dłużej. Potem już nie chciałem. Tak dobrze mi szło.

- Dlaczego właśnie ja? Nie jestem zbyt szczęśliwą osobą. Nieczęsto się śmieję.

- Ale za to ma pan pracę. W gazetach widziałem zdjęcia, na których pan się uśmiecha.

- Nie byłem przebrany. Nie miałem nawet munduru.

Odpowiedź Larstama go zaskoczyła.

- Miałem zamiar to zrobić.

- Co zrobić?

- Przebrać pana. Włożyć panu na głowę moją perukę. Upodobnić pana do Louise. Była już niepotrzebna. Mogła umrzeć. Postanowiłem przybrać postać innej kobiety.

Spojrzał Wallanderowi prosto w oczy. Ten odpowiedział na jego spojrzenie. Nigdy później nie umiał sobie wyjaśnić, co Larstam zobaczył.

I nigdy nie zapomni tej chwili.

Wreszcie nie miał więcej pytań. Ukształtował mu się pełny obraz człowieka, który oszalał, który nigdy nigdzie nie pasował i w którym nastąpiła eksplozja niekontrolowanej przemocy. Obraz potwierdził się w późniejszym badaniu psychiatrycznym. Zaniedbane i poniewierane dziecko, które z dzieciństwa wyniosło jedynie sztukę chowania się i uników. Załamał się po zwolnieniu go z pracy. A potem uznał, że ludzie, którzy się śmieją, są źli.

Wallander myślał o groźnym zjawisku, które kładło się cieniem na cały kraj. Coraz więcej niepotrzebnych ludzi znajdzie się na marginesie; będą skazani na niegodne życie w okropnych

warunkach. Stamtąd będą się przyglądali tym, którzy wylądowali po właściwej stronie i którzy mają powody do radości.

Przypomniał sobie niedokończoną rozmowę z Ann-Britt Hóglund. Mówili o tym, że załamanie się szwedzkiego społeczeństwa, być może, posunęło się dalej, niż przypuszczali. Irracjonalna i nieuzasadniona przemoc stała się niemal naturalnym składnikiem codzienności. Mieli poczucie, że pozostali z tyłu, a państwo prawa na wielu obszarach przestało funkcjonować. Po raz pierwszy w życiu Wallander zadawał sobie pytanie, czy nie dojdzie do tego, że i szwedzkie społeczeństwo całkowicie się załamie. W punkcie, w którym zbiegło się zbyt wiele głębokich rys. Jak daleko jest właściwie do Bośni? -pomyślał. Może dużo bliżej, niż mi się wydaje? Myślał o tym, siedząc naprzeciwko Larstama. Człowieka, który nie był, być może, aż taką zagadką. Człowieka stanowiącego przykład zachodzących zjawisk. Wewnętrzne załamanie splecione z zewnętrznym.

Na końcu nie pozostało już nic do powiedzenia. Ake Larstama wyprowadzono, i tak się to skończyło.

Kilka dni później Eva Hillström popełniła samobójstwo. Powiedziała mu o tym Ann-Britt Hóglund. Wallander wysłuchał jej w milczeniu. Potem wyszedł z komendy, kupił butelkę whisky i upił się.

Nigdy później do tego nie wracał. Nigdy nie mówił, co wtedy czuł. Że to ona okazała się dziewiątą i ostatnią ofiarą Larstama.

W końcu wstał, wziął kurtkę i wyszedł. Torbę już wcześniej wstawił do bagażnika. Komórkę miał ze sobą. Wyłączył ją i położył na tylnym siedzeniu.

Było dziesięć po dziesiątej, kiedy wyjechał z Ystadu. Jechał na Kristianstad, potem dalej, do Kalmaru.

O drugiej po południu zajeżdżał przed bar w Vasterviku. Wiedział, że zimą jest zamknięty. Miał jednak słabą nadzieję, że ją zastanie. Wielokrotnie myślał, żeby do niej zadzwonić. Nic z tego nie wyszło. Nie było dla niego jasne, czego się właściwie spodziewał. Wysiadł z samochodu. Wiatr i deszcz towarzyszyły mu od Skanii. Liście lepiły się do ziemi. Okna i drzwi były zaryglowane. Przeszedł na tyły domu, gdzie znajdował się pokój, w którym spał w drodze z Barnsó. Mimo że minęło zaledwie kilka miesięcy, wydawało mu się, że to nigdy się nie zdarzyło. Lub tak dawno, że obraz począł się zacierać.

Zaryglowany dom wzbudził w nim niepokój.

Wrócił do samochodu i jechał dalej. Do celu podróży, na którą zdecydował się z oporami. Zatrzymał się w Valdemarsviku i kupił butelkę whisky.

W kawiarni wypił kawę i zjadł kilka kanapek. Prosił, żeby nie smarować ich margaryną. O piątej, gdy zapadł już zmrok, ruszył krętą drogą wzdłuż zatoki Valdemarsviku w kierunku na Gryt i Fyrudden.

Lennart Westin zadzwonił niespodziewanie na początku września. Było już po wszystkim, Larstam pojmany, śledztwo

zakończone i przekazane Thurnbergowi. Tego popołudnia, Wallander przesłuchiwał pewnego młodego człowieka, który pobił ojca. Rozmowa wlokła się beznadziejnie. Nie udało mu się wyjaśnić, co się naprawdę wydarzyło. W końcu dał za wygraną, zastąpił go Hansson. Kiedy wrócił do siebie, zadzwonił telefon. Dzwonił Westin i pytał, kiedy Wallander wybierze się w odwiedziny na wyspy archipelagu. Wallander zapomniał, że Westin zapraszał go kiedyś, przy okazji rozmowy telefonicznej. Chciał odmówić. Ale zgodził się, w przekonaniu, że nigdy do tej podróży nie dojdzie. Umówili się na koniec października. Westin odezwał się, żeby mu przypomnieć. I teraz Wallander był w drodze.

Miał być w Fyruddenie o szóstej. Westin go odbierze. Zostanie u niego do niedzieli. Wallander był wdzięczny za zaproszenie, ale miał pewne obawy. Nigdy nie zdarzało mu się gościć u obcych ludzi. Ta jesień była jednym z najcięższych okresów w jego życiu. Ciągłe myślał o swoim zdrowiu, spodziewając się w każdej chwili udaru mózgu, mimo uspokajających słów

doktora Góranssona. Był na dobrej drodze. Poziom cukru się ustabilizował, on sam stracił na wadze i zmienił sposób odżywiania. Ale często miał uczucie, że jest już za późno. Mimo że jeszcze nie miał pięćdziesiątki, wyobrażał sobie w gorszych chwilach, że jego życie jest jak dogrywka. Niewidzialny gwizdek może w każdej chwili odgwizdać koniec gry.

Zajechał na portowy plac. Wiał ostry wiatr. Deszcz bębnił w szyby. Zaparkował w tym samym miejscu co latem. Zgasił silnik i słyszał fale bijące w nabrzeże. Tuż przed szóstą ujrzał światła pozycyjne. Łódź Westina.

Wysiadł z samochodu, wziął torbę i ruszył mu na spotkanie.

- Witam! - zawołał Westin, przekrzykując szum wiatru. -

Od razu płyniemy. Jedzenie czeka.

Wziął od niego torbę. Wallander na chwiejnych nogach wszedł na pokład. Trząśnięcie z zimna. Temperatura powietrza spadała.

- Nareszcie pan przyjechał - powiedział Westin, kiedy

Wallander znalazł się w kabinie sternika.

W tym momencie Wallander zapomniał o swoich wątpliwościach. Cieszył się, że znalazł się na statku i płynie w ciemności i wietrze.

Westin wykręcił. Wallander musiał się przytrzymać, żeby nie upaść. Kiedy wypłynęli z basenu portowego, usłyszał, jak fale walą o burzę.

- Boi się pan wody? - spytał Westin. W jego głosie nie było ironii, lecz zainteresowanie.

- Chyba tak - odparł Wallander.

Westin powoli zwiększał prędkość. Wallander poczuł nagłą radość. Zastanawiał się, skąd się wzięła. Wkrótce znalazł odpowiedź.

Nikt nie wiedział, gdzie jest. Nikt nie mógł go osiągnąć. Po raz pierwszy od bardzo dawna miał całkowity spokój.

Nazajutrz Wallander obudził się już o szóstej. Bolała go głowa. Dużo whisky połało się poprzedniego wieczoru. Wallander od razu poczuł się u Westinów jak w domu. Lennart miał dwoje nieśmiałych dzieci i żonę, która z miejsca przyjęła go jak starego przyjaciela. Na obiad była ryba, potem kawa i whisky. Opowiadali o życiu na szkierach. Wallander słuchał i od czasu do czasu wtrącał pytanie. Dzieci poszły do łóżek, potem oddaliła się żona. Siedzieli we dwóch dopóty, dopóki nie opróżnili niemal całej butelki. Od czasu do czasu Wallander wychodził na dwór za potrzebą. Deszcz ustał. Ale ochłodziło się. Westin przepowiadał, że nad ranem wiatr zelżeje.

Wallander spał na ocieplonej werandzie. Była druga, kiedy się położyli. Leżał i słuchał wiatru. Nawet przez chwilę nie pomyślał o Larstamie. Ani o komendzie. Ani nawet o Ystadzie.

Mimo że spał tylko cztery godziny, czuł się wyspany. Leżał w łóżku i patrzył w ciemność.

Wstał o siódmej, ubrał się i wyszedł na dwór. Westin miał rację. Wiatr się uspokoił, a

termometr przy oknie w kuchni wskazywał zero stopni. Na niebie wisiały ciężkie chmury.

Szedł ścieżką w kierunku morza. Powietrze wśród drzew pachniało świeżością. Po chwili doszedł na skały. Przed sobą miał otwarte morze. Łódź Westina przycumowana była w zatoce, osłoniętej od północnych i wschodnich wiatrów. Szedł po skałach i patrzył, jak świt pomału odsłania horyzont. Nagle ujrzał Westina na ścieżce prowadzącej od domu.

- Dzięki za wczoraj - powiedział Wallander. - Dawno nie spędziłem tak miłego wieczoru.

- Usłyszałem, że pan wstał - odparł Westin. - Pomyślałem, że zrobimy sobie małą przejażdżkę.

Chcę panu coś pokazać. Nic szczególnego. Ale warto zobaczyć.

- Co takiego?

- Wyspę. Szkier. Hammarskar. Westin trzymał w ręku reklamówkę.

- Mam kawę - wyjaśnił. - Ale whisky się skończyła. Poszli do hangaru. Już dniało, morze miało kolor ołowiu,

wiatr niemal całkiem ustał. Westin cofnął łódź i wziął kurs na otwarte morze. Mijali zadrzewione wysepki, a potem coraz to rzadsze, coraz słabiej porośnięte skały. Łódź kołysała się miękko na falach. Westin wskazał leżącą samotnie na pełnym morzu wyspę. Wkrótce zbliżyli się do niej. Westin zmniejszył prędkość i powoli podpływał od południowej strony.

- Pomyślałem, że zeskoczy pan na ląd - powiedział Westin. - Kiedyś mieszkali tu ludzie. Pozostaje zagadką, jak dawali sobie radę. Miałem przodków, którzy tu żyli pod koniec osiemnastego wieku. Młoda para. Pewnego dnia w październiku - tak jak teraz - zerwał się wichur z północnego wschodu. Musieli wypłynąć na morze, żeby zwinąć sieci. Łódź się wywróciła. Oboje utonęli. W domu mieli małe dzieci. Między innymi chłopca, którego potem wychowywali przybrani rodzice. Nazywał się Lars Olson. Jeden z jego wnuków zmienił nazwisko na Westin. Jestem jego potomkiem, w prostej linii. Westin rozlał kawę do kubków.

- Pomyślałem, że zezdnie pan na ląd - mówił dalej. - Tu się zaczyna Szwecja. Albo kończy. Zależy, z której strony się na to patrzy.

Pili kawę, podczas gdy łódź kołysała się na falach. Potem Westin ostrożnie ustawił łódź dziobem do wystającej skały. Wallanderowi udało się wyskoczyć na brzeg. Nie poślizgnął się. Łódź się cofnęła. Westin wychylił się z kabiny sternika.

- Nie musi się pan śpieszyć - zawołał. - Zaczekam.

Przed nim rozpościerały się dywany z wrzosów. Gdzieś tam w skalnych nieckach rosły gęste, splecione zarośla olchy. Poza tym skały były nagie. Ptasi szkielet leżał samotnie w szczelinie. Wallander ruszył na zachód. Piął się i ślizgał na wilgotnych skałach, mech uginał się pod jego ciężarem. Za pobliskimi chaszczami ujrzał zatokę. Naturalny port. Tam odnalazł pozostałości fundamentów domów, o których opowiadał Westin. Łodzi już nie było widać. Zasłaniały ją skały. Wokół panowała cisza. Słyszał tylko falowanie morza. Ogarnęło go dojmujące uczucie osamotnienia. Zarazem czuł, jak gdyby znalazł się w samym centrum. W miejscu, gdzie pole widzenia stale się poszerza.

Tu zaczyna się Szwecja, myślał. Tak jak powiedział Len-nart. Tu się zaczyna i tu się kończy. Wyspa, która w dalszym ciągu powoli i niedostrzegalnie wynurza się z wody. Szwedzka skała. Był wzruszony. Właściwie nie wiedział dlaczego. Próbował sobie wyobrazić, jak wyglądało tutaj życie - na skraju archipelagu, w podszytych wiatrem drewnianych domach, w biedzie i niedostatku.

Tu zaczyna się Szwecja i tu się kończy. Znajdował się w środku czegoś, czego nie potrafił ogarnąć. Jeśli historia jest jak krajobraz, można na nią patrzeć raz z jednej, raz z drugiej strony.

Na północ od zagłębienia z resztkami fundamentów znajdowało się skalne wzniesienie, które prawdopodobnie było najwyższym punktem wyspy. Szukał wzrokiem drogi pod górę. Ześlizgiwał się, ale próbował się wspiąć raz po raz, w pewnym momencie zjechał w dół i rozdarł sobie spodnie. W końcu jednak dotarł na szczyt. Łódź kołysała się na falach, z tej odległości wydawała się mała. Wallander rozejrzył się naokoło. Otwarte morze, na wschód i na północ podwodne skały i wysepki. Na południe i zachód archipelag się zagęszczał. Samotne ptaki wznosiły się i opadały wraz z prądami powietrza. Żadnych statków ani żaglówek płynących z wiatrem do zimowych przystani. Szlaki wodne opustoszały, znaki nawigacyjne stały na niewidocznym dnie jak samotne rzeźby.

Wallander wyobrażał sobie, że siedzi w wysokiej wieży. Miał niezmacony widok na wszystko dookoła.

Wkrótce skończy pięćdziesiąt lat. Większą część życia miał już za sobą. Nie mógł się cofnąć i zacząć od początku. Jeszcze kilka lat temu żył w ciągłej rozterce: czy nie odejść z policji i

poszukać innej pracy? Na przykład, jako szef ochrony w jakiejś firmie? Wycinał ogłoszenia, już niemal się zdecydował, lecz w końcu zmienił zdanie. Był policjantem i nim pozostanie. Nigdy nie wyjedzie z Ystadu. Przez najbliższych dziesięć lat będzie siedział w swoim biurze. Po raz ostatni wyjdzie stamtąd już jako emeryt, a co będzie dalej, nie wiedział.

Jak wytrzyma? Spoglądał na morze, jakby wypatrując odpowiedzi. Ale widział tylko nieme fale.

Myślał, że wszystko będzie coraz trudniejsze. Coraz więcej ludzi znajdzie się na marginesie, głównie młodzież, której jedynym bagażem stanie się poczucie bezużyteczności. Kraty i pęk kluczy będą symbolem nadchodzących lat.

Myślał dalej, że zawód policjanta polega na jednej tylko rzeczy - stawianiu oporu, zwalczaniu negatywnych tendencji na przekór wszystkiemu. Wiedział, że nie była to pełna odpowiedź. A może nawet nie całkiem prawdziwa. Szwedzcy politycy są w większości bez skazy, związki zawodowe nie są kontrolowane ani przez mafię, ani przez triadę. Szwedzcy właściciele firm nie muszą nosić przy sobie broni, strajkujący robotnicy rzadko bywają bici pałkami. Ale rozłam w społeczeństwie stale się powiększa. Przypomina wypieranie ładu, które przebiega tak powoli, że widoczne jest znacznie później. Ale rozłam istniał, to było oczywiste. W kraju następował nowy podział. Na potrzebnych i niepotrzebnych. W tych warunkach bycie policjantem będzie wymagało dokonywania coraz trudniejszych wyborów. W dalszym ciągu będą utrzymywać czystość na powierzchni, podczas gdy gnily same fundamenty społecznego porządku.

Wszystko będzie trudniejsze. Z lękiem myślał o nadchodzących latach.

Spojrzał w kierunku łodzi Westina.

Pomyślał, że nie może dłużej tu siedzieć. Co prawda Westin powiedział, że ma czas. Ale już długo czekał.

A jednak coś go trzymało. Uczucie, że znajduje się w niewidzialnej wieży. Rozległy widok, rozpoznanie, bycie w centrum samego siebie.

Chętnie by jeszcze chwilę został. Nie chciał jednak nadużywać cierpliwości Westina. Powoli i ostrożnie zaczął schodzić w dół.

W drodze powrotnej jeszcze raz na moment przystanął przy starych fundamentach. Kamienie gdzieś podpa-dały. Miał wrażenie, że powoli wracają w miejsce, gdzie niegdyś zostały zebrane.

Kiedy dotarł do brzegu, podniósł z ziemi odłamek kamienia i włożył go do kieszeni. Na pamiątkę. Potem szedł dalej, do cypla, gdzie wyszedł na ląd.

Westin go zauważył i zaczął ostrożnie kierować łódź w stronę skał.

W chwili kiedy Wallander wchodził na pokład, zaczął prószyć śnieg.

Z początku pojedyncze płatki, potem gęstniejące opady.

Śnieg nadciągał z północnego wschodu i szybko pokrył wysepki na skraju archipelagu.

Temperatura spadła poniżej zera.

Nadchodziła zima. Jesień się skończyła.

Wallander wspiął się na pokład. Łódź zawróciła. Stojąc, patrzył, jak wyspa powoli znika w gęstym śniegu.

Dzień później, w niedzielę, dwudziestego siódmego października, wyruszył w drogę do Ystadu. Śnieg już nie padał. W Skanii nadal była jesień.

KONIEC

* * *

Posłowie

Świat powieści cechuje wolność. Opisane wydarzenia mogły mieć miejsce, ale mogły również wyglądać całkiem inaczej.

Te słowa napisałem w posłowniu do Piątej kobiety.

Warto je powtórnie przytoczyć. Ponieważ w dalszym ciągu obowiązują.

Z tej wolności korzystam. Dotyczy to między innymi dokonanej przeze mnie reorganizacji poczty, sposobu sortowania i doręczania listów oraz podziału na poszczególne rejony.

Chciałbym z całą mocą podkreślić, że mój osobisty stosunek do wiejskich listonoszy jest jak najlepszy. Żadna z postaci występujących w tej książce nie ma odpowiednika w rzeczywistości.

Pozwoliłem sobie na jeszcze więcej. Poprzemieszczałem drogi, skracając je lub wydłużając.

Rezerwat przyrody jest nie do poznania. Większość ludzi by się w nim zgubiła. Gruszka do mieszania cementu hałasuje bardziej niż w rzeczywistości. Na dodatek, nie pytając o

pozwolenie, powołałem do życia nieistniejące towarzystwo i urządziłem mu bankiet. Zrobiłem też wiele innych rzeczy.

Opowieść powstała z pewnego pomysłu.

A to, że ją napisałem, jest najwyższym dowodem mojej wolności.

Polecamy bestsellerowe

kryminały Henninga Mankella

Seria powieści kryminalnych, których bohaterem jest komisarz Kurt Wallander z ystadzkiej policji. Stały się one bestsellerami nie tylko w Szwecji, gdzie osiągnęły łączny nakład ponad trzech milionów egzemplarzy; doczekały się przekładu na dwadzieścia pięć języków i wielu ekranizacji.

Jedną ze szczególnych cech Wallandera jest to, że stale się zmienia. W ten sposób różni się od wielu tzw. bohaterów, którzy są identyczni na pierwszej i na tysięcznej stronie książki. Ja takich książek nie lubię. Nikt z nas nie będzie jutro taki sam.

Henning Mankell

Szwecja Mankella - zimna, wyobcowana - jest tak samo pamiętnym i intrygującym krajobrazem jak Los Angeles Raymonda Chandlera.

„The Wall Street Journal”

W misterny, wyrafinowany i niebywale wciągający sposób autor tworzy niepowtarzalną atmosferę grozy, która dalece wykracza poza to, co oferują tuzinkowe kryminały.

„Der Spiegel”

W powieściach o Wallanderze refleksje na tematy społeczne łączą się z precyzyjnym opisem policyjnej codzienności, a styl jest oszczędny jak zimowy pejzaż.

„San Jose Mercury Journal”

Książki oraz bezpłatny katalog

Wydawnictwa W.A.B.

można zamówić pod adresem:

ul. Łowicka 31, 02-502 Warszawa

tel. (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Redakcja: Marianna Sokołowska

Korekta: Magdalena Stajewska

Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt okładki i stron tytułowych:

Towarzystwo Projektowe - Marek Goebel

Na I stronie okładki wykorzystano fragment obrazu

Louisa Janmota Le Poeme de l'dme: Realite, 1851 (?)
© Musee des Beaux-Arts de Lyon/Alain Basset
Fotografia autora: © Lina Ikse Bergman
Wydawnictwo W.A.B.
02-502 Warszawa, ul. Łowicka 31
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl
Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne
Piaseczno, ul. Żółkiewskiego 7
Druk i oprawa: OPOLGRAF SA. Opole,
ul. Niedziałkowskiego 8-12
ISBN 83-7414-173-5

Jedną ze szczególnych cech Wallandera jest to, że stale się zmienia. W ten sposób różni się od wielu tzw. bohaterów, którzy są identyczni na pierwszej i na tysięcznej stronie książki. Ja takich książek nie lubię. Nikt z nas nie będzie jutro taki sam.

Henning Mankell

Mankell to mistrz

„Die Welt”

Szwecja Mankella

- zimna, wyobcowana - jest tak samo

jak Los Angeles Raymonda Chandlera. ' „The Wall Street Journal”

Głos namiętnego idealisty,

odświeżające antidotum na sztampę i komercję. Świetny pisarz.

„Sunday Herald”